

Suma wszystkich ludzi

Farland David



calibre 0.9.27

DAVID FARLAND

SUMA WSZYSTKICH LUDZI

Księga I

DZIEŃ DZIEWIĘTNASTY

MIESIĄCA ŻNIW

WSPANIAŁY DZIEŃ NA ZASADZKĘ

1

ZACZYNA SIĘ W CIEMNOŚCI

Całe miasto wkoło zamku Sylvarresta przyozdobione było podobiznami Króla Ziemi.

Widziało sieje na każdym kroku: wisały w witrynach sklepów, stały przy murach i bramach miejskich, sterczały przybite obok drzwi budynków - umieszczono je wszędzie, gdzie tylko Król Ziemi mógłby znaleźć jakieś wejście do domu.

Większość z nich była prostej, wyraźnie dziecięcej roboty, ot, trochę trzciny związanej w kształt człowieka, często z koroną z liści dębowych na głowie. Jednak przed sklepami i tawernami wisały figury umiejętnie wyrzeźbione w drewnie, naturalnej wielkości, nierzadko pracowicie pomalowane i ubrane w porządne podróżne szaty z zielonej wełny.

Wierzono wówczas, że w wigilię Hostenfest duch ziemi wstępuje w swoje podobizny i budzi Króla Ziemi. Ten zaś, ożywiony, będzie chronić rodzinę przez kolejny rok oraz pomoże zebrać i zwieźć plony.

Był to czas zabawy i radości. W wigilię Hostenfest ojciec rodziny odgrywał rolę Króla Ziemi, układając podarki przed kominkiem. Rano, w pierwszy dzień świąt, dorośli odnajdywali tam flaszki z młodym winem lub beczułki z ciemnym piwem.

Dziewczynkom Król Ziemi przynosił lalki ze słomy i kwiatów, a chłopcom jesionowe miecze albo wózki.

Wszystkie te podarunki od Króla Ziemi były tylko drobną częścią jego zasobów, niezmiernego bogactwa „owoców lasów i pól”, którym wedle legendy nagradzał tych, co ukochali ziemię.

I tak domy i składy wokół zamku były mocno zdobne tej nocy dziewiętnastego dnia miesiąca żniw, cztery dni przed Hostenfest.

Wszystkie sklepy zostały dokładnie wysprzątane i zaopatrzone jak się patrzy na bliski już jesienny jarmark.

Ulice były puste, jak to o przedświcie. Poza strażą miejską i kilkoma niańkami powód, aby o tak wczesnej porze wychodzić z domów, mieli jedynie królewscy piekarze.

Oni jednak zbierali już piankę z królewskiego piwa i dodawali ją do ciasta, aby bochenki wyrosły do rana. Co prawda był to także sezon na węgorze, które odbywały swą coroczną wędrówkę rzeką Wye, i ktoś mógłby oczekiwać widoku paru przynajmniej rybaków, ci jednak opróżnili wiklinowe wężerze godzinę po północy i dobrze przed drugą strażą dostarczyli już rzeźnikom baryłki z żywymi rybami do oskórowania i zasolenia.

Poza murami miasta, na łąkach na południe od zamku Sylvarresta, ciemniały sylwetki namiotów karawany z Indhopalu, przybyłej na Północ ze zbiorem letnich przypraw.

W obozowisku panowała cisza, z rzadka przerywana porykiwaniem osła.

Bramy miasta były zamknięte, wszyscy cudzoziemcy zostali odprowadzeni, pod strażą, z kwartałów kupców kilka godzin temu. Nie licząc przemykających z rzadka fret, ulice były wymarłe.

Nikt więc nie miał możliwości dojrzeć, co się dzieje w mrocznej alejce. Nawet wyposażony w dary wzroku siedmiu ludzi królewski dalekowidzący, który pełnił

straż w gnieździe starego graaka ponad Warownią Darczyńców, nie wypatrzył poruszenia w wąskich

uliczkach dzielnicy handlowej.

A tymczasem na Kociej, tuż przy rogu z Maślaną, dwóch ludzi walczyło w mroku o nóż.

Gdyby ich kto zobaczył, pomyślałby zapewne o splecionych w walce tarantulach: ręce i nogi tylko migwały, błyskał unoszony nóż, stopy ślizgały się na wygładzonym bruku. Obaj mężczyźni sapali i stękali w tych zapasach ze śmiercią.

Obaj byli ubrani na czarno. Sierżant Dreys z Gwardii Królewskiej nosił czarny mundur ze srebrnym dzikiem, znakiem rodu Sylvarresta. Napastnika okrywał czarny, workowaty burnus z bawełny, zwykły strój zabójców z Muyyatinu.

Chociaż sierżant Dreys, cięższy od swego przeciwnika o pięćdziesiąt funtów, miał siłę trzech ludzi i bez trudu unosił nad głową ciężar o wadze sześciuset funtów, to jednak bał się, że tej walki nie wygra.

Kwartał oświetlały jedynie gwiazdy, których blasku nader niewiele docierało na Kocią. Uliczka miała ledwie siedem stóp szerokości, a stojące przy niej domy liczyły aż po dwa piętra, od frontu zaś ich fundamenty znacznie się przez lata pozapadały, przez co dachy niemal spotykały się w górze, kilka metrów nad głową Dreysa.

Sierżant ledwo widział cokolwiek, z całego napastnika najczęściej migwały mu białka jego oczu i równie białe zęby, perłowy poblask czegoś w lewym nozdrzu... No i ten lśniący nóż. Jego bawełniana szata pachniała lasem, a z ust zalatywało mu anyżkiem i curry.

Nie, Dreys ani się spodziewał, że będzie tu musiał walczyć. Nie wziął żadnej broni, na grzbiet narzucił jedynie płócienną opończę, pod którą zwykle wkładał koleczugę.

No i portki i buty, ale to wszystko, bo przecież nikt nie chodzi uzbrojony po zęby na spotkanie z kochanką.

Ledwie chwilę temu wszedł w Kocią, aby się upewnić, że nie natknie się na ront Straży Miejskiej, gdy usłyszał jakieś szuranie dochodzące zza sterty żółtych dyń leżących przy jednym ze straganów. Pomyślał, że widocznie spłoszył fretę polującą na mysz albo szukającą skrawka tkaniny do okrycia. Obrócił się pewien, że ujrzy, jak przypominające szczura, tyle że pękate stworzenie pomyka w ukrycie, gdy z mroku skoczył nań zabójca.

Poruszał się szybko, w dłoni ścisnął nóż. Umiejętnie przenosił ciężar z nogi na nogę, z wprawą machał klingą, która zrazu śmignęła niebezpiecznie blisko ucha sierżanta, ten jednak zdołał się obronić. Jednak napastnik zaraz zawinął ręką, mierząc w gardło Dreysa. Sierżant przytrzymał na chwilę jego nadgarstek.

- Morderca! Cholerny morderca! - krzyknął.

Szpieg! Pomyślał. Wykryłem szpiega! Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to że przyłapał kogoś sporządzającego plan okolic zamku.

Uderzył kolanem w brzuch napastnika, aż tamten uniósł się w powietrze. Potem szarpnięciem wyprostował mu rękę i spróbował ją wykręcić.

Zabójca pozwolił mu na to, ale drugą ręką uderzył go z pięści w mostek.

Trzasnęły żebra. Niewysoki mężczyzna musiał być naznaczony runami mocy. Dreys podejrzewał, że siły ma co najmniej za pięciu.

Chociaż z uwagi na to obaj walczący byli nieprawdopodobnie krzepcy, dary zwiększały jedynie możliwości mięśni i ścięgien, a w żadnym razie szkieletu, przez co podobne walki szybko zmieniały się w coś, co Dreys zwykł nazywać „mieleniem kości”.

Starał się utrzymać nadgarstek napastnika i przez chwilę siłowali się w milczeniu.

- Chyba tam! - rozległy się nagle krzyki gdzieś z lewej. - Tam, tam! - Z lewej była uliczka Tania, gdzie domy nie stały tak ciasno i gdzie sir Guilliam wybudował

sobie niedawno trzypiętrowy dworek. Nadchodził stamtąd ront Straży Miejskiej, ten sam, którego Dreys starał się nie napotkać. Sir Guilliam poprosił strażników, sygnawszy monetą, aby posiedzieli sobie nieco pod latarnią przy bramie dworku.

- Na Kociej! - krzyknął Dreys. Żeby tylko udało mu się przytrzymać zabójcę jeszcze przez chwilę, żeby nie zdołał go pchnąć ani uciec.

Południowiec wrywał się rozpaczliwie. Znów uderzył, tym razem wyżej, łamiąc sierżantowi kolejne żebra. Dreys nie czuł zbytnio bólu. Kto walczy o życie, nie przejmuje się podobnymi drobiazgami.

Desperackie wysiłki jednak poskutkowały. Zabójca uwolnił rękę z nożem.

Przerażony Dreys kopnął go w kostkę i bardziej poczuł niż usłyszał, jak tamtemu pęka kość.

Napastnik rzucił się do przodu, błysnął nóż. Dreys usunął mu się z drogi i pchnął południowca, który jednak zdołał przejechać sierżantowi płytko ostrzem po żebrach.

Dreys złapał go za łokieć i obrócił. Tamten zachwiał się, niezdolny utrzymać ciężaru ciała na złamanej nodze. Dreys kopnął ją na wszelki wypadek raz jeszcze i odepchnął napastnika.

Przez cały czas rozglądał się gorączkowo, szukając jakiegoś luźnego kamienia brukowego, czegokolwiek, co mógłby wykorzystać jako broń. Za sobą miał gospodę zwaną Maślnicą, której żywy symbol stał przy frontowym oknie obok kwitnącej winorośli i figury Króla Ziemi. Dreys umyślił, żeby osiągnąć żelaznego ubijaka i użyć go jako pałki.

Odpychając południowca, sądził, że niewielki mężczyzna poleci do tyłu, ale on złapał się opończy sierżanta i zatoczywszy gwałtownie półkole, powrócił, wyciągając rękę z nożem.

Dreys uniósł przedramię, żeby się osłonić.

Ostrze opadło nisko i wbiło mu się głęboko w brzuch, tuż pod pogruchotanymi żebrami. Straszliwy ból przeszył wnętrzości sierżanta, obiegł ręce i ramiona, ogarnął cały świat.

Przez chwilę długą jak wieczność Dreys tylko stał i patrzył. Krople potu zalały mu szeroko otwarte oczy. Przeklęty zabójca patroszył go jak rybę, wcisnął dłoń z nożem aż po nadgarstek w ranę i pchał do góry, próbując sięgnąć serca. Lewą ręką szukał kieszeni. W końcu trafił na książkę. Zmacał ją przez opończę i uśmiechnął się.

Więc o to ci chodziło? Zdumiał się Dreys. O książkę?

Gdy wieczorem jako strażnik miejski odprowadzał obcokrajowców z kwartałów kupieckich, spotkał kupca z Tuulistanu, który rozstawił namiot w pobliskim lesie.

Tuulistańczyk podszedł do niego niepewnie, jakby z lękiem.

- Podarek, dla króla - powiedział kiepskim rofehawańskim. - Podasz? Przekażesz królowi?

Kłaniając się służbiście, Dreys obiecał, że przekaze. Spojrzał obojętnie na okładkę. Kroniki Owatta, emira Tuulistanu. Cienki tomik oprawny w jagnięcą skórę.

Sierżant schował go do kieszeni. Rano zamierzał przekazać podarunek dalej.

Teraz bolało go tak bardzo, że nie tylko ruszyć się, ale i krzyczeć nie mógł.

Świat zawirował. Odepchnął się od zabójcy, chciał się odwrócić i uciekać. Nogi miał jak z waty, słaniał się słaby niby kocię. Potknął się. Zabójca złapał go od tyłu za włosy i szarpnął, aby odsłonić gardło.

Cholera, pomyślał Dreys, mało ci jeszcze? Już mnie prawie zabiłeś! Ostatnim wysiłkiem wyszarpnął książkę z kieszeni i cisnął ją poprzez Maślaną.

We wnęce obok stosu baryłek rósł tam krzak róży. Sierżant dobrze znał to miejsce, zamglonym wzrokiem dostrzegając żółte kwiaty. Książka posłusznie poleciała w ich kierunku. Zabójca zaklął we

własnym języku, zostawił Dreysa i pokuśtykał w ślad za woluminem.

Dreysowi tak szumiało w uszach, że nic więcej nie słyszał. Z wysiłkiem dźwignął się na kolana. Coś poruszyło się na skraju uliczki - to zabójca zanurkował w rózę. Z lewej nadciągały rosłe cienie.

Błysnęły wyciągnięte z pochew miecze, blask gwiazd odbił się w żelaznych hełmach. Straż Miejska Dreys legł na bruku i wtulił twarz w kamienie.

W szarym przedświcie przez niebo przeciągnął zdążający na południe klucz dzikich gęsi. Ich klangor zdał się Dreysowi podobny do szczekania odległego stada psów.

2

CI, KTÓRZY UKOCHALI ZIEMIĘ

Tego samego ranka, kilka godzin po napadzie na sierżanta Dreysa i ponad sto mil na południe od zamku Sylvarresta, księżę Gaborn Val Orden musiał stawić czoło sprawom także kłopotliwym, znacznie jednak mniej drastycznej natury. Niemniej, mimo że wysłuchał wielu lekcji w Domu Zrozumienia, żadna nie przygotowała go na spotkanie z tajemniczą młodą kobietą, którą ujrzał na wielkim targowisku w Bannisferre.

Zamyślił się akurat głęboko przy pewnym straganie na Rynku Południowym. Stał zapatrzonego w służące do chłodzenia wina naczynia z polerowanego srebra.

Sprzedawca miał wiele zgrabnych żelaznych rondli, jednak jego skarbem były trzy spore kubelki na lód z opasowanymi dzbanami w środku. Naczynia były tak świetnej roboty, że wyglądały na dawne dzieła śniadych. Tyle, że śniadzi zniknęli z powierzchni ziemi tysiąc lat temu, a kubelki nie mogły być tak stare. Każdy miał stylizowane na pazury nóżki, po bokach widniały sceny myśliwskie - ogary goniące przez las. Na dzbanach przedstawiono młodego lorda na koniu: nastawioną kopią mierzył w maga raubenów. Gdy wstawiło się dzban do kubelka, obrazy się uzupełniały - młody lord walczył z magiem w otoczeniu ogarów.

Wszystkie sceny zostały utrwalone w metalu metodą, której istoty Gaborn nie potrafił się nawet domyślić. Robota była tak misterna, tak dokładnie oddawała detale, że aż dech zapierało.

Gaborn tak się zachwycił cudami Bannisferre, że nie zauważył nawet, iż obok niego przystanąła młoda kobieta. Uświadomił to sobie, gdy dobiegła go woń róż (Obok mnie stoi kobieta, która trzyma suknie w szafie z różanymi płatkami, pomyślał bezwiednie), ale i wtedy sądził, że to jak on amatorka staroci, i dalej podziwiał kubelki. Spojrzał na nią, dopiero gdy ujęła jego rękę.

Delikatnie ścisnęła prawą dłońią palce jego lewej. Dotknięcie było przyjemne, elektryzujące. Gaborn nie cofnął ręki.

Może wzięła mnie za kogoś innego, pomyślał. Spojrzał na nią z ukosa. Była wysoka i piękna, miała zapewne z dziewiętnaście lat, ciemnobrązowe włosy przybrane grzebykami z macicy perłowej i czarne oczy z tak ciemnymi białkami, że ich barwa wpadała niemal w błękit. Nosiała prostą kremową suknię z jedwabiu z obszernymi rękawami, które stawały się ostatnio modne wśród co bogatszych elegantek z Lysle. Gronostajowy pas ze srebrną klamrą w kształcie kwiatu zapięła wysoko, tuż pod zgrabnym biustem, powyżej widniał

skromny naszyjnik. Z ramion zwieszał się jedwabny, ciemnoszkarłatny szal, tak długi, że końcami sięgał ziemi. Gaborn uznał po chwili, że dziewczyna jest więcej niż piękna. Była cudowna.

Uśmiechnęła się do niego dyskretnie, nieśmiało i Gaborn odwzajemnił uśmiech, zaciskając usta. Nadzieja szła w nim o lepsze z zakłopotaniem. Poczynania nieznanym kojarzyły mu się z ćwiczeniami, które obmyślał dlań co rusz w Domu Zrozumienia mistrz ogniska domowego. Tyle, że to nie było żadne ćwiczenie.

Gaborn nie znał tej dziewczyny, w ogóle nie znał nikogo w całym tym wielkim mieście. Mogło

się to wydawać dziwne, biorąc pod uwagę rozmiary Bannisferre, z jej wysokimi, wzniesionymi z szarego kamienia domami pieśni, egzotycznymi łukami i białymi gołębiami krążącymi między błękitnym niebem a kasztanowcami. Jednak fakt pozostawał faktem - Gaborn nie znał tu nikogo, nawet najlichszego kupca. Był bardzo daleko od domu.

Stał na skraju rynku, blisko zabudowań portowych i szerokiego nabrzeża południowej odnogi rzeki Dwindell, obok otwierał się Zaulek Kowali z paleniskami na otwartym powietrzu. Dobiegało stamtąd dzwonięcie młotów, skrzywienie miechów, biły kłęby dymu.

Z zakłopotaniem skonstatował, że spokojna atmosfera Bannisferre dziwnie uspiła jego czujność. Nawet nie spojrzał na tę kobietę, gdy stanęła obok. Dwakroć dotąd nastawano na jego życie. Zabójcy dopadli jego matkę, jego babkę, brata i dwie siostry, a on tymczasem plątał się tutaj beztrąsko niczym wieśniak z brzuchem pełnym piwa.

Nie, upewnił się zaraz. Nigdy jej nie widziałem, a ona trzyma mnie za rękę, choć wie, że jestem tu obcy. W najwyższej mierze zdumiewające.

W Domu Zrozumienia wiele razy bywał w Gabinetce Twarzy, gdzie zgłębiał tajniki mowy ciała, dowiadując się, ile można wyczytać z wyrazu oczu przeciwnika, jak odróżnić objawy niepokoju czy zmęczenia od sygnałów zakłopotania wyłącznie na podstawie drobnych zmian w ułożeniu ust kochanki.

Jego mistrz ogniska domowego, Jorlis, był mądrym nauczycielem, a studiujący u niego przez kilka ostatnich zim Gaborn wyróżniał się pilnością.

Dowiedział się, że wszyscy, czy to książęta, czy rozbójnicy, kupcy czy żebracy, mają emocje i oczekiwania wypisane na twarzach i że noszą na obliczach przebrania, które zależnie od okoliczności powszechnie uznaje się za stosowne. Potrafił przejąć przywództwo w pomieszczeniu pełnym młodych mężczyzn, stając po prostu wśród nich z uniesioną zdecydowanie głową, umiał jednym uśmiechem skłonić kupca do obniżenia ceny.

Okryty jedynie zwykłym płaszczem podróżnym, z opuszczoną głową, mógł niby zwykły człowiek przejść przez rojny plac targowy i nikt nie rozpoznawał w nim księcia, a co najwyżej dziwił się, skąd ten młody żebrak wytrzasnął taki porządny płaszcz.

Tak więc potrafił czytać w ludzkich gestach, postawie i mimice, a sam, niezmiennie, był dla innych zagadką. Ze swą podwójną inteligencją mógł w godzinę zapamiętać treść sporej księgi. Przez osiem lat w Domu Zrozumienia nauczył się więcej niż większość innych przez całe życie wytrwałych studiów.

Jako Władca Runów miał trzy zapisy siły i dwa wytrzymałości, w walce mógł bez trudu skrzyżować oręż z mężem dwakroć od niego większym. Gdyby go zaatakował

jakiś rauben, Gaborn dowiódłby, jak śmiertelnie niebezpieczny może być dla napastnika Władca Runów.

Jednak dla świata był przede wszystkim nader przystojnym młodzieńcem, co zawdzięczał kilku zapisom czaru osobistego. Tyle że w Bannisferre, gdzie zjeżdżali śpiewacy i aktorzy z całego królestwa, nawet niepoślednia uroda nie budziła żywszych reakcji.

Przyjrzał się kobiecie, aby odczytać coś z jej zamiarów. Uniesiony podbródek świadczy o pewności siebie, a przechylona głowa... Tak, to zapytanie, ona czeka na odpowiedź.

Dotknięcie dłoni... dość słabe, wyraża wahanie. Silne jednak na tyle, żeby sugerować... stosunek własności. Czyżby rościła sobie do mnie jakieś prawa?

Może to próba uwiedzenia? zastanowił się. Ale nie, postawa ciała powiadała co innego. Gdyby chciała mnie uwieść, dotknęłaby raczej pleców, ramienia, pośladków lub piersi. Na dodatek, choć trzymała go za rękę, stała w pewnym oddaleniu, jakby nie chciała narzucać fizycznej bliskości.

Nagle zrozumiał: to propozycja małżeństwa. Nader niezwykajna, nawet jak na Heredon. Rodzina tak atrakcyjnej kobiety nie powinna mieć przecież żadnych kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego kandydata.

A może to sierota? pomyślał nagle Gaborn. No tak, próbuje znaleźć partię na własną rękę!

Ale i ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała go w pełni. Dlaczego nie zwróci się do jakiegoś bogatego lorda, by ją wyswatał?

Zastanowił się, jak ona go widzi. Najpewniej ma go za syna kupca. Zgodnie z rolą zresztą, którą przyjął. Chociaż miał osiemnaście lat, nie przestał jeszcze rosnąć, a ciemne włosy i błękitne oczy były czymś zwykłym w Crowthenie Północnym. Ubierał

się zatem jak modniś z tego królestwa, taki, co to ma więcej pieniędzy niż smaku i wędruje od miasta do miasta, podczas gdy jego ojciec zajmuje się poważnymi interesami. Nosił zielone rajtuzy i spodnie zebrane nad kolanami, do tego kosztowną bawełnianą koszulę z bufiastymi rękawami i srebrnymi guzikami. Na koszulę wkładał kaftan z ciemnozielonej bawełny obrębiony dobrze wyprawioną skórą i przyozdobiony słodkowodnymi perłami. Przebrania dopełniał kapelusz z szerokim rondem i bursztynową spinką przytrzymującą jedno strusie pióro.

Ubierał się tak, gdyż jawność byłaby podczas tej misji co najmniej niewskazana.

Ostatecznie miał za zadanie oszacować potencjał obronny Heredonu, zbadać, ile jest prawdy w opowieściach o bogactwie tej krainy i niezwykłych przymiotach twardego pono jak skała miejscowego ludu.

Rzucił okiem na ochraniającego go Borensona. Ulica była zatłoczona, a stojące pod ścianami stragany powiększały ścisk. Jakiś muskularny i opalony na brąz młodzieniec bez koszuli, tylko w czerwonych spodniach, przeganiał tuzin trzymany na postronkach kóz, smagając je wierzbową witką. Po drugiej stronie, pod kamiennym łukiem obok wejścia do gospody, stał Borenson i uśmiechał się szeroko, wyraźnie rozbawiony przygodą Gaborna. Był wysoki i szeroki w barach, z rudymi włosami, spod których prześwitywała lekka łysina, gęstą brodą i wesołymi, błękitnymi oczami.

Obok niego sterczał chudy jak szkielet mężczyzna z krótko przyciętą jasną czupryną. Nosił proste, brunatne szaty historyka, dobrane jakby pod kolor kasztanowych oczu, i mało gustowny szal. Człowiek ten był kimś w rodzaju kronikarza. Będąc w służbie Władców Czasu, towarzyszył Gabornowi od dnia jego narodzin, zapisując każde książęce słowo i czyn. Zwano go po prostu Dziennikiem, zarówno od powołania, jak i od miana zakonu, do którego należał - Bractwa Dni. Jak wszyscy jego członkowie, porzucił dawne imię i tożsamość, gdy tylko połączył swój umysł z umysłem innego brata. Obserwował teraz pilnie Gaborna czujnymi, strzelającymi na boki oczami. Cokolwiek dojrzał, usłyszał czy wyczuł, zaraz wszystko zapamiętywał. Trzymająca Gaborna za rękę kobieta pobiegła oczami za jego spojrzeniem. Zauważyła i strażnika, i Dziennika. Młody kupiecki syn z przybocznym strażnikiem nie był niczym niezwykłym, jednak taki, któremu towarzyszyłby ponadto Dziennik, trafiał się naprawdę rzadko. To sugerowało, że Gaborn jest kimś bardzo bogatym i ważnym, na przykład synem mistrza gildii. Tak czy owak, kobieta nie mogła wiedzieć, że jest księciem.

Pociągnęła go za rękę, zachęcając do przechadzki. Zawahał się.

- Coś się panu spodobało? - spytała z uśmiechem. Głos miała miły i zachęcający niczym sprzedawane na jednym z pobliskich stoisk placuszki z kardamonem, jednak pobrzmiwała w nim jakaś kpiąca nuta. Jasne, chciała wiedzieć, czy uznał ją za interesującą, chociaż przypadkowy słuchacz pomyślałby, że mówi o kubelkach do chłodzenia wina.

- Mają trochę porządnych sreber - odparł Gaborn. Używając mocy swego Głosu, położył

szczególny akcent na słowo „srebra”, co miało skrycie zasugerować dziewczynie, że w Domu Zrozumienia studiował w Gabinetce Dłoni. Niech myśli, że naprawdę jestem kupcem, powiedział sobie.

Właściciel straganu, który wcześniej wytrwale ignorował Gaborna, teraz wyłonił się z cienia prostokątnego parasola.

- Chciałby pan kupić dzban dla damy? - zapytał.

Jeszcze przed chwilą miał go jedynie za syna handlarza, który przyszedł, by sprawdzić dla ojca ceny towarów. Teraz uznał go widocznie za młodego żonkosia paradującego z o wiele bardziej atrakcyjną niż on sam połowicą. Bogaci kupcy często żenili młodo swych synów, aby połączyć rodzinne kapitały.

Uważa zatem, że zwykłym srebrem kupować przychylność żony, pomyślał Gaborn.

Oczywiście, tak piękna kobieta rządziłaby w domu. Niemniej wynika z tego, że sprzedawca też jej nie zna, co znaczy, że ona również jest tu obca. Czyżby przybyła z Północy?

Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie do sprzedawcy.

- Chyba nie dzisiaj - rzuciła ironicznie. - Ma pan świetne srebra, ale w domu mamy lepsze.

Odwróciła się, znakomicie grając rolę żony. Tak to może wyglądać, jeżeli się pobierzemy, zdawała się mówić. Nie będę miała kosztownych zachcianek.

Sprzedawca nie krył konsternacji. Po prawdzie trudno powiedzieć, czy we wszystkich królestwach Rofehavanu znalazłoby się dwóch kupców mających na składzie równie dobre srebra stołowe.

Dziewczyna pociągnęła Gaborna za sobą. Nagle poczuł się nieswojo. Na dalekim Południu damy z Indhopalu nosiły czasem pierścienie lub brosze z ukrytymi zatrutymi igłami.

Starały się zwabić bogatych podróżnych do gospody, gdzie mordowały ich i okradały. Ta tutaj piękność mogła się trudnić czymś podobnym.

Chociaż niekoniecznie. Zerknąwszy przelotnie na przybocznego, Gaborn spostrzegł, że Borenson jest raczej rozbawiony niż zaniepokojony. Chichotał z twarzą okrytą rumieńcem, jakby chciał spytać: I gdzie to się, przepraszam bardzo, teraz wybieracie?

Borenson też studiował mowę ciała, szczególnie ciała kobiecego, i przenigdy by nie pozwolił, żeby cokolwiek zagroziło bezpieczeństwu jego pana.

Dziewczyna poprawiła chwyt, zacisnęła mocniej dłoń. Domaga się większej uwagi?

- Przepraszam, jeśli się narzucam, dobry panie - powiedziała. -

Czy zdarzyło się kiedyś, że zauważywszy kogoś z daleka, poczuł pan nagle nieodparte drgnienie serca?

Jej dotyk był bardzo miły i Gaborn chciałby wierzyć, że ledwo go ujrzała, zaraz się w nim zakochała.

- Nie, tak to nie - skłamał. Kiedyś już się tak zadurzył.

Z bezchmurnego nieba świeciło na nich słońce. Łagodny i ciepły wiatr niósł od rzeki woń świeżo skoszonych łąk na drugim brzegu. Piękny dzień. Orzeźwiająca, dodająca ducha pogoda.

Po wygładzonym przez lata bruku szło boso pół tuzina młodziutkich kwiaciarek.

Czystymi głosami nawoływały klientów. Pachniały zbożem. Były w spranych sukniach, a w białych fartuchach, których skraj unosiły jedną dłonią, trzymały kolorowe naręczka kwiatów - burgundowych chabrów, białych stokrotek, ciemnoczerwonych i brzoskwiniowych róż na długich łodygach. I jeszcze maki, i bukieciki słodko pachnącej lawendy.

Gaborn patrzył, jak przechodzą, wszystkie piękne niczym nocny śpiew skowronka.

Wiedział, że nigdy nie zapomni ich widoku, tych uśmiechów. Sześć, wszystkie blond lub o

jasnobrązowych włosach.

Jego ojciec rozłożył się obozem kilka godzin drogi od miasta. Rzadko puszczał gdzieś Gaborna bez silnej eskorty, ale tym razem nakłonił go do małej wycieczki.

- Musisz dobrze poznać Heredon - powiedział. - Ten kraj to coś więcej niż tylko zamki i żołnierze. Gdy ujrzysz Bannisferre, pokochasz tę ziemię, podobnie jak ja ją kiedyś pokochałem.

Dziewczyna znów ścisnęła mu dłoń.

Gdy patrzył na kwiaciarki, zmarszczyła brwi. Było jej przykro. Gaborn pojął nagle, kim ona jest i czego z taką desperacją odeń oczekuje. Omal się nie roześmiał, widząc, jak niewiele brakowało, aby go omotała.

Odwzajemnił uścisk ciepło, po przyjacielsku. Był już pewien, że nic ich nie połączy, jednak życzył jej dobrze.

- Nazywam się Myrrima... - powiedziała i zawiesiła głos w oczekiwaniu, że on też się przedstawi.

- Piękne imię, akurat dla urodziwej dziewczyny.

- A ty jak się nazywasz? - Lubisz intrygi, prawda?

- Nie zawsze. - Uśmiechnęła się, oczekując, że jednak jej odpowie.

Dwadzieścia kroków za nimi Borenson zastukał pochwą miecza w mijający go wózek.

Znak, że opuścił posterunek przy drzwiach gospody i idzie teraz w ślad za panem.

W towarzystwie Dziennika, rzecz jasna. Myrrima obejrzała się.

- Twój przyboczny robi wrażenie - powiedziała.

- Jest dobry - zgodził się Gaborn.

- Podróżujesz w interesach? Podoba ci się Bannisferre?

- Dwakroć tak.

Nagle cofnęła rękę.

- Niełatwo zawierasz znajomości - stwierdziła, spoglądając na niego nieco mniej uśmiechnięta. Może wyczuła, że wszystko na nic, że jej nie poślubi.

- Rzeczywiście. Dla mnie to normalne. Może to kwestia słabości charakteru - powiedział Gaborn.

- Ale dlaczego? - spytała Myrrima, ciągle skłonna do pewnej kokieterii.

Przystanęła przy fontannie z posągami Edmona Tillermana trzymającego dzban o trzech dzióbkach, z których lała się woda na pyski trzech niedźwiedzi.

- Bo stawką jest życie - odparł Gaborn. Usiadł na skraju fontanny i spojrzał na basen. Zaskoczone jego pojawieniem się wielkie kijanki czmychnęły w zieloną głębinę. -

Gdy zawieram z kimś bliską znajomość, staję się za tego kogoś odpowiedzialny.

Powierzam mu nadto swoje życie, a w każdym razie jakąś jego część. Gdy zaś ktoś powierza mi siebie, oczekuję odeń całkowitego oddania. Niczego mniej. W zamian też chcę życia. To musi być wzajemne... musi mnie wypełniać.

Myrrima zmarszczyła czoło, zaniepokojona tak poważnym tonem.

- Nie mówisz jak kupiec. Raczej... jak lord!

Widział, co myśli. Mogła poznać, że nie jest z linii Sylvarresty, nie jest lordem z Heredonu. Musiał więc być jakimś zagranicznym dygnitarzem, zapewne w podróży.

Przybyszem z któregoś z najbardziej na północ położonych królestw Rofehavanu.

- Powinam się domyślić... ktoś tak przystojny... - powiedziała. - Jesteś zatem Władcą Runów, który przybył, aby poznać naszą krainę. Powiedz mi, czy uznałeś ją za dość miłą, aby starać się o rękę księżniczki Iomy Sylvarresty?

Gaborn podziwiał, jak zgrabnie dziewczyna doszła do właściwego wniosku.

- Zdumiewa mnie bogactwo jej zieleni i siła charakteru mieszkańców -
odpowiedział.

- Jest bogatsza, niż sądziłem.

- Ale czy księżniczka Sylvarresta cię przyjmie? - dociekała dziewczyna.

Zastanawiała się, z jakiego to ubożego zamku mógł przybyć ten nieznajomy. Usiadła obok niego na skraju fontanny.

Gaborn wzruszył ramionami, udając, że aż tak bardzo go to nie obchodzi.

- Znam ją jedynie z pochwalnych relacji - stwierdził. - Ty zapewne wiesz o niej znacznie więcej. Jak, uważasz, wypadnę w jej oczach?

- Jesteś dość przystojny - powiedziała Myrrima, szczerze spoglądając na jego szerokie ramiona i długie ciemnobrązowe włosy opadające spod kapelusza z piórem. W końcu musiała zauważyć, że mimo wszystko ma włosy zbyt jasne, aby ujść za przybysza z Muyyatinu czy przedstawiciela któregoś z narodów Indhopalu.

Nagle wciągnęła głęboko powietrze, oczy jej się rozszerzyły.

Wstała pospiesznie i odstepiła o krok, niepewna, czy powinna tylko stać, czy może dygnąć, albo zgoła paść na ziemię, błagając uniżenie o łaskę.

- Wybacz mi, książę Ordene, ale... nie zauważyłam od razu podobieństwa do waszego czcigodnego ojca! - Cofnęła się aż o trzy kroki, jakby najbardziej ze wszystkiego chciała uciec na oślep, bo wiedziała już, że nie z synem biednego barona ma do czynienia i że ten młody człowiek nie mieszka w zwanej na wyrost fortecą kupie kamieni, ale przybył tu z samej Mystarrii.

- Znasz mego ojca? - spytał Gaborn, po czym wstał i podszedł do niej. Ujął dziewczynę za rękę, by ją uspokoić, że nie dopuściła się obrazy.

- Raz go widziałam wasza wysokość... przejeżdżał przez miasto w drodze na polowanie -
powiedziała Myrrima. - Byłam wtedy tylko dziewczynką, ale nie potrafię zapomnieć jego twarzy.

- Zawsze lubił Heredon.

- Tak... dość często tu przybywa - powiedziała Myrrima. Jej pewność siebie gdzieś uleciała. -
Przepraszam, jeśli sprawiłam kłopot, panie. Nie chciałam być arogancka. Och... - Rzuciła się do ucieczki.

- Zatrzymaj się! - zawołał Gaborn, wkładając w okrzyk akurat tyle mocy Głosu, by ją uspokoić.

Stała jak uderzona pięścią i obróciła się ku niemu. Podobnie jak kilka innych osób w pobliżu.

Zaskoczeni przez polecenie, posłuchali odruchowo. Gdy się zorientowali, że okrzyk nie do nich był skierowany, paru spojrzęło na księcia z zaciekawieniem, inni oddalili się zirytowani, że Władca Runów zakłóca im spokój.

Tuż za plecami Gaborna pojawili się nagle Borenson i Dziennik.

- Dziękuję, że się zatrzymałaś, Myrrimo - rzekł książę.

- Któregoś dnia możesz zostać królem, panie - odpowiedziała pozornie bez związku.

- Naprawdę tak myślisz? Sądzisz, że Ioma mnie zechce? To pytanie ją zaskoczyło.

- Powiedz mi, proszę - ciągnął Gaborn. - Jesteś piękna i spostrzegawcza. Dobrze byś sobie radziła na dworze. Twoja opinia ma dla mnie sporą wagę.

Gaborn wstrzymał oddech, czekając na jej szczerą ocenę. Nie mogła wiedzieć, jakie to dla niego ważne, ale Gaborn naprawdę potrzebował tego aliansu. Potrzebował

silnego ludu Heredonu, niezdobytych fortec tego kraju, jego szerokich równin, które starczyło tylko zaorać, by przyniosły plon. Owszem, jego Mystarria była bogata, żyzna i ludna, kwitł w niej handel, ale po latach zmagania Wilczy Władca Raj Ahten podbił ostatnio królestwa Indhopalu i Gaborn

wiedział, że na tym się nie skończy. Wiosną Raj Ahten ruszy albo na barbarzyńskie państwa Inkarry, albo zwróci się na Północ, ku królestwom Rofehavanu.

To, gdzie dokładnie zaatakuje, nie miało zresztą większego znaczenia. Wojna szykowała się tak czy owak i Gaborn wiedział, że bez bogactw tej krainy nie zdoła skutecznie obronić ludu Mystarrii.

Chociaż Heredon od czterystu lat nie zaznał żadnego większego konfliktu, jego murów nie rozebrano. Nawet prowincjonalna, usadowiona pośród urwisk forteca Tor Ingel nadawała się do obrony lepiej niż większość zamków strzegących posiadłości Gaborna w Mystarrii. Potrzebował zatem Heredonu, toteż bardzo mu zależało na małżeństwie z Iomą.

Co jednak ważniejsze, chociaż nikomu o tym nie śmiał wspomnieć, coś w głębi serca podpowiadało mu, że potrzebuje także samej Iomy. Był to jakiś dziwny poryw, który przygnał go tutaj wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niewidzialna gorejąca nić, która złączyła w jedno jego serce i umysł. Czasem w nocy, gdy leżał bezsennie, miał też osobliwe wrażenie, że coś wrywa mu się z piersi, jakby rozgrzany mocno kamień. Nici splatały się w sieć, a ta ciągnęła go ku Iomie. Cały rok zmagał się z pragnieniem, by poprosić o jej rękę, i dłużej już nie potrafił się opierać.

Myrrima znów przyjrzała się Gabornowi, jakby całkiem obiektywnie oceniała jego szansę. Potem roześmiała się lekko.

- Nie - odparła. - Ioma cię nie zechce, panie.

Nawet się nie zawahała. Rzuciła te słowa, jakby to było oczywiste. I uśmiechnęła się uwodzicielsko. Ale ja owszem, mówił jej uśmiech.

- Jesteś bardzo pewna siebie - powiedział Gaborn z udaną obojętnością. - Chodzi o moje ubranie? Przywiozłem też stosowniejsze stroje.

- Owszem, wasza wysokość, przybywasz z najpotężniejszego królestwa Rofehavanu, ale... jak to powiedzieć?...wasza polityka budzi pewne podejrzenia.

To było prawie jak oskarżenie o brak skrupułów. Gaborn obawiał się, że to może wypłynąć.

- Bo mój ojciec postępuje pragmatycznie? - spytał.

- Dla niektórych to pragmatyzm, dla innych... zbytnia zachłanność. Gaborn uśmiechnął się krzywo.

- Król Sylvarresta uważa go za pragmatyka... ale jego córka nazywa go zachłannym?

Tak powiedziała?

Myrrima uśmiechnęła się i dyskretnie skinęła głową.

- Słyszałam plotki, że wyraziła się tak podczas zimowej uczy.

Gaborn zdumiewał się często, ile pospólstwo wie, lub przynajmniej się domyśla, o zamiarach i poczynaniach wysoko urodzonych. Sprawy, które były nierzadko pilnie strzeżonymi sekretami dworu, publicznie omawiano w gospodach odległych nawet o setki staj od pałacu. Myrrima też wydawała się pewna swych źródeł.

- Zatem odrzuci moją propozycję ze względu na mego ojca.

- W Heredonie powiadają, mój panie, że księżę Orden „bardzo przypomina swego ojca”.

- Za bardzo? - spytał Gaborn. Czyżby to powiedziała księżniczka Sylvarresta?

Zapewne po to, aby w miarę możliwości uciszyć plotki. To prawda, Gaborn zewnętrznie przypominał ojca, ale nie był taki jak on. Nie uważał też wcale ojca za zachłannego, o co oskarżała go Ioma.

Myrrima miała dość taktu, by nie mówić nic więcej. Wysunęła rękę z jego dłoni.

- Ona wyjdzie za mnie - powiedział Gaborn, pewien, że zdoła po swojemu przekonać księżniczkę.

Myrrima uniosła brwi.

- Jak możesz tak sądzić, mój panie?! Bo postąpiłaby pragmatycznie, sprzymierzając się z najbogatszym królestwem Rofehavanu? - Roześmiała się melodyjnie, szczerze ubawiona.

W normalnych okolicznościach, gdyby jakiś wieśniak roześmiał mu się tak w twarz, Gabornowi włos zjeżyłby się ze złości. Teraz jednak zawtórował dziewczynie.

- Być może jednak, mój panie, nie opuścisz naszego kraju z pustymi rękami - rzuciła dwuznacznie.

Ostatnie zaproszenie. Księżniczka Sylvarresta cię nie zechce, ale ja i owszem.

- Nie sądzisz, że niemądrze byłoby rezygnować z pogoni, nie czekając nawet na początek polowania? - spytał Gaborn. - W Domu Zrozumienia, w Gabinetecie Serca, mistrz ogniska domowego mawiał: „Głupiec określa się wedle tego, kim jest. Mądry człowiek - wedle tego, kim może być”.

- Jeśli tak, mój pragmatyczny książę, to obawiam się, że zgrzybiejesz i umrzesz samotny, łudząc się, że kiedyś poślubisz Iomę Sylvarrestę. Życzę miłego dnia.

Już miała odejść, ale Gaborn nie mógł jej przecież tak łatwo na to pozwolić. W

Gabinetecie Serca nauczył się między innymi, że czasem najlepiej działać pod wpływem impulsu, że ta część umysłu, w której rodzą się sny, niejednokrotnie potrafi najlepiej nami pokierować, nawet jeśli nie rozumiemy jej podszeptów. Gdy Gaborn powiedział

dziewczynie, że uważa ją za dobrą kandydatkę na damę dworu, mówił poważnie. Naprawdę chciałby ją widzieć w swym otoczeniu. Nie jako żonę, nawet niejako kochankę, ale - jak intuicyjnie wyczuwał - sojusznika. Czy nie zwracała się do niego „mój panie”? Bez wątpienia też czuła, że coś ją z nim łączy.

- Poczekaj, moja pani - powiedział Gaborn.

Odwróciła się, zaskoczona tonem jego głosu. Mówiąc „moja pani”, chciał naznaczyć ich stosunek elementem zależności. Wiedziała już, czego może od niej oczekiwać: całkowitego oddania. Jej życia. Jako Władcy Runów Gabornowi zaszczepiono nawyk stawiania poddanym wysokich wymagań, jednak od tej cudzoziemki nie mógł żądać od razu aż tyle.

- Tak, mój panie?

- W domu masz dwie brzydkie siostry, o które musisz się troszczyć? - spytał. - I głupiego brata?

- Spostrzegawczy jesteś, panie - odparła Myrrima. - Tyle że to matka zapisała mi rozum, a nie brat. - Przez jej oblicze przemknął cień bólu. To było jej brzemię.

Przerażająco wysoka cena za magię. Trudno jest wziąć na siebie materialną odpowiedzialność za tych, którzy udzielili nam daru siły, rozumu lub urody, ale gdy w grę wchodzi bliscy krewni lub ukochani przyjaciele, to wręcz bolesne. Rodzina Myrrimy musiała być beznadziejnie biedna, skoro spróbowała ratować się w ten właśnie sposób - obdarzając jedną kobietę urodą trzech i mądrością dwóch, aby znalazła bogatą partię, męża, który wyciągnie ich wszystkich z dna rozpacz.

- Skąd wzięliście pieniądze na dreny? - spytał Gaborn. Magiczne żelaza, które pozwalały przenieść przymioty jednej osoby na drugą, były niezwykle kosztowne.

- Moja matka dostała mały spadek. No i pracowałyśmy, wszystkie cztery - wyjaśniła Myrrima.

Wyczuł gorzką nutę w jej głosie. Zapewne jeszcze przed tygodniem lub dwoma, gdy dopiero stała się piękna, samo wspomnienie o tym przyprawiało ją o łzy.

- W dzieciństwie sprzedawałaś kwiaty? Myrrima uśmiechnęła się.

- Łąka za naszym domem nie rodzi wiele więcej.

Gaborn sięgnął do sakiewki i wyciągnął złotą monetę. Na awersie widniał profil króla Sylvarresty, na rewersie Siedem Kamieni z Mrocznej Puszczy, na których wedle legendy wspierała się ziemia. Książę nie znał zbyt dobrze tutejszych środków płatniczych, ale wiedział, że w monecie

jest dość złota, aby niezbyt liczna rodzina dziewczyny mogła utrzymać się za nią przez kilka miesięcy. Ujął rękę Myrrimy i położył jej krążek na dłoni.

- Nie... nie zarobiłam na to - powiedziała, patrząc mu badawczo w oczy. Może obawiała się niecnej propozycji. Niektórzy możni brali sobie kochanki. Gaborn jednak nigdy by tego nie uczynił.

- Ależ zarobiłaś - odparł książę. - Rozjaśniłaś uśmiechem mroki niego serca.

Proszę, przyjmij ten podarunek. Pewnego dnia znajdziesz swego kupieckiego księcia. I okaże się wtedy, że jesteś cenniejsza od wszystkich skarbów, które znaleźć można na rynku w Bannisferre.

Stała z monetą w dłoni, zdumiona i przestraszona. Po kimś równie młodym jak Gaborn nie oczekuje się zwykle tak dwornych słów, jednak jemu po ćwiczeniach nad Głosem przychodziły one bez trudu. Spojrzała mu w oczy zupełnie inaczej, z respektem, jakby dopiero teraz go zobaczyła.

- Dziękuję, książę Ordenie. Może... powiem tyle, że jeśli Ioma cię przyjmie, to pochwalę jej decyzję. - Obróciła się i okrążywszy fontannę, zniknęła szybko w gęstniejącym tłumie. Gaborn spojrzał jeszcze za nią, doceniając linię karku, zwiewne szaty i płomienisty szal.

Borenson podszedł i klepnął księcia w ramię.

- Ach, panie, co za kuszący cukierek - zachichotał.

- Tak, naprawdę przemiła - szepnął Gaborn.

- Ale miałem zabawę. Patrzyłem, jak staje za tobą i mierzy cię spojrzeniem niczym tuszę na rzeźnickim haku. Czekala z pięć minut - Borenson uniósł dłoń z rozczapierzonymi palcami - aż ją zauważysz! Ale ty byłeś ślepy jak freta za dnia! Nic, tylko podziwiałeś jakieś kształtne rondle! Jak mogłeś jej nie dostrzec? Nie zauważyć takiej dziewczyny?

Aj! - Borenson aż ramionami wzruszył.

- Nie chciałem nikogo urazić - powiedział Gaborn, spoglądając gwardziście w oczy.

Chociaż Borenson, jako przyboczny, powinien przede wszystkim wypatrywać potencjalnych zabójców, to po prawdzie ów niebywale chutliwy olbrzym nie potrafił przejść ulicą, żeby nie cmoknąć na jakąś zgrabną dzierlatkę. A jeśli przez tydzień żadnej nie poderwał, to zwracał głośno uwagę na każdą choć trochę atrakcyjniejszą od worka pasternaku. Czasem żartował, że dzięki temu żaden zamachowiec przebrany za kobietę na pewno nie ujdzie jego czujności.

- Ja urażony? W żadnym razie - stwierdził Borenson. - Już prędzej zaintrygowany.

I zdumiony. Jakim cudem jej nie spostrzegłeś? Przecież musiałeś chociaż poczuć jej zapach.

- Tak, pachnie bardzo miło. Trzyma suknie w szafie wyłożonej płatkami róż.

Borenson zatoczył teatralnie oczami i jęknął. Jego zarumieniona twarz zdradzała niezwykle podniecenie. To samo widać było w spojrzeniu. Chociaż w zasadzie tylko żartował, Gaborn wiedział, że na Borensenie ta północna piękność zrobiła znacznie większe wrażenie, niż okazywał. Gdyby sam był sobie panem, bez wątplenia pognałby za dziewczyną.

- Mogłeś jej przynajmniej pozwolić, by cię wyleczyła z tej przykrej dolegliwości, na którą cierpisz, mój panie. Z dziewictwa.

- Wśród młodych mężczyzn to dość powszechna choroba - powiedział nieco urażony Gaborn. Borenson odzywał się czasem do niego, jakby byli kumplami od baryłki.

Przyboczny jeszcze bardziej poczerwieniał.

- I tak być powinno, mój panie!

- Poza tym - dodał książę, przypominając sobie, że od czasu do czasu dzieciom z nieprawego łoża udawało się zdobywać władzę w królestwie - nierzadko lekarstwo więcej kosztuje chorego niż choroba.

- Podejrzewam, że to lekarstwo warte było każdej ceny - powiedział tęsknie Borenson, spoglądając za Myrrimą.

Całkiem nagle zaświtał Gabornowi pewien plan. Wielki geometra powiedział mu kiedyś, że gdy znajduje rozwiązanie jakiegoś trudnego rachunku, nabiera pewności, że wynik jest właściwy, gdy czuje to całym sobą. Gaborn pomyślał właśnie, by zabrać tę młodą kobietę ze sobą do Mystarrii, i miał niewytłumaczalne wrażenie, że to ze wszech miar dobry pomysł.

Było to uczucie podobne do tego, które przyciągnęło go do owej krainy, nieodparty impuls.

Po chwili namysłu znalazł też sposób, jak plan zrealizować.

Spojrzał na Borensona, aby utwierdzić się w domysłach. Gwardzista stał u jego boku, o głowę wyższy od Gaborna, wciąż z czerwonymi policzkami, jakby zakłopotany swymi myślami. Jego wesołe, błękitne oczy zdawały się świecić własnym blaskiem. Nogi mu się trzęsły, chociaż Gaborn nigdy nie widział, by zadrżał kiedykolwiek w walce.

Myrrima oddaliła się już sporo i skręcała właśnie w wąską uliczkę przy rynku.

Prawie biegła. Borenson pokręcił z żalem głową, jakby chciał spytać: Jak mogłeś pozwolić jej odejść?

- Borenson - szepnął Gaborn. - Pospiesz za nią. Przedstaw się uprzejmie i przyprowadź ją z powrotem, ale porozmawiajcie trochę po drodze. Nie poganiaj, nie spiesz się. Powiedz, że potrzebuję jej tylko na chwilę.

- Wedle życzenia, mój panie - odparł Borenson i pobiegł tak szybko, jak potrafią tylko ci z zapisem metabolizmu. Większość przechodniów schodziła wielkiemu gwardziście z drogi, wolniejszych lub niezgrabnych zwinnie sam omijał.

Gaborn nie wiedział, jak długo potrwa, nim Borenson wróci z dziewczyną, cofnął się zatem w cień gospody. Dziennik podążył za nim. Stanęli tam razem nieco zirytowani chmurą krążących wkoło pszczół. Cały fronton gospody został urządzonej jako

„wonny ogród” w północnym stylu. Na dachu wysiano błękitne powoje, a z całej masy skrzynek i doniczek wyrastały wszelkie kwitnące pnącza: jasne i łzawiące na ścianach kapryfolium, delikatne perełki kołysanych łagodnym wiatrem malw, zduszona prawie wśród powodzi jaśminu, gigantyczna i różowa jak jutrzienka mandevilla. Pomiędzy tym wszystkim przebijały brzoskwiniowe kwiaty pnącej róży, a na samym dole zieleniały grządki mięty, rumianku, werbeny i innych przypraw. Gospody na dalekiej Północy zwykle były otoczone podobnymi kwietnikami dla stłumienia woni dolatujących z rynku. Ogródkowe zioła wykorzystywano ponadto w kuchni. Gaborn ulżył w końcu swemu powonieniu, przechodząc kilka kroków dalej, w pełny blask słońca, gdzie zapach kwiatów nie był już tak duszący.

Borenson wrócił po kilku chwilach. Wielką dłonią trzymał Myrrimę za łokieć i nader osobliwie drobił obok niej po bruku. Gdy oboje stanęli przed nim, Myrrima skłoniła lekko głowę.

- Chciałeś ze mną rozmawiać, mój panie?

- Tak - odparł Gaborn. - Chociaż najbardziej zależało mi na tym, abyś poznała Borensona, mojego przybocznego. - Celowo nie nazwał go gwardzistą, jak powiedziałyby w Mystarrii. - Służy mi od sześciu lat, dowodzi moją strażą osobistą. To dobry człowiek. Moim zdaniem jeden z najlepszych w Mystarrii. Na pewno najświetniejszy żołnierz.

Borensonowi zapłonęły policzki. Myrrima spojrzała na niego taksujące i uśmiechnęła się dyskretnie. Nie mogła nie zauważyć do tej pory, że Borenson ma dodatkowy dar metabolizmu. Błyskawiczne reakcje, chyży krok i wyraźna nieskłonność do bezruchu były tego widowym dowodem.

- Borenson został właśnie wyniesiony do godności barona królestwa i otrzymał nadanie ziemskie... Drewverry. - Gaborn natychmiast się zorientował, że palnął głupstwo. Nie rozdaje się lekką ręką tak dużych włości. Ale słowo się rzekło...

- Mój panie, nigdy nie słyszałem... - zaczął Borenson, ale Gaborn uciszył go machnięciem dłoni.

- Jak powiedziałem, właśnie został baronem. - Włości Drewverry były jednymi z rozległych i gdyby Gaborn miał czas się zastanowić, nie darowałby ich nawet najlepszemu żołnierzowi za całe życie wzorowej służby. Uznał jednak, że tak hojny gest winien podbudować lojalność Borensona, chociaż nigdy nie miał powodów, by w nią wątpić.

- Wszelako, jak sama widzisz, większość czasu pochłania mu służba. Potrzebuje żony, która pomogłaby mu zarządzać majątkiem.

Na twarzy Borensona zdziwienie ustąpiło miejsca radości. Północna piękność wyraźnie zawróciła mu w głowie, a Gaborn ewidentnie zamierzał ich wyswatać.

Myrrima przyjrzała się bez żenady obliczu Borensona, jakby po raz pierwszy dostrzegła jego potężną zuchwę. Zerknęła też na odznaczające się pod odzieniem muskuły.

Nie kochała go, jeszcze nie, może nigdy nie pokocha. Poślubienie mężczyzny żyjącego dwakroć szybciej, który zestarzeje się i umrze, zanim jego małżonka osiągnie wiek średni, nie było najciekawszą perspektywą. Niemniej zaaranżowany w ten niezwykły sposób związek mógł mieć pewne zalety.

Borenson stał osłupiały i oniemiały niczym chłopiec przyłapany na kradzieży jabłek. Wyraz jego twarzy świadczył jednoznacznie, że interesuje go ta partia, że bardzo na nią liczy.

- Mówiłem ci, że dobrze byś sobie poradziła na dworze - powiedział Gaborn. -

Chcę, abyś przybyła na dwór mego ojca.

Bez wątpienia zrozumiała: żaden Władca Runów nigdy jej nie poślubi, najlepsze, na co może liczyć, to pożądlivy potomek kupieckiej arystokracji. Gaborn zaś ofiarowywał jej miejsce w kręgu władzy, o czym normalnie mogłaby jedynie marzyć. To oraz małżeństwo z godnym szacunku mężczyzną, którego osobliwe koleje życia skazały na samotność. Nic nie gwarantowało, że go pokocha, ale Myrrima była praktyczną kobietą, która przejęła urodę sióstr i mądrość matki ze świadomością, jak wielką odpowiedzialność przyjmuje na swoje barki. Pamiętała, że musi troszczyć się o zubożone w ten sposób najbliższe jej osoby.

Wiedziała, czym jest brzemię władzy. Tak, będzie idealną gospodynią, sprawi się w Mystarrii.

Przeciągle spojrziała Borensonowi w oczy. Twarz jej stężała, usta się zacisnęły.

Rozważała propozycję. Pojmowała, jak nagły impuls ją podyktował.

Prawie niedostrzegalnie skinęła głową. Dobiła targu.

W odróżnieniu od niej Borenson nie wahał się ani chwili. Od razu ujął jej smukłą dłoń w obie ręce.

- Musisz wiedzieć, pani, że jakkolwiek ogniście rozkwitnie jeszcze moja miłość do ciebie, przede wszystkim pozostanę wierny memu panu.

- Tak być powinno - przytaknęła cicho Myrrima. Gabornowi serce żywiej zabiło.

Wygrałem jej miłość, pomyślał, podobnie jak uczyni to Borenson.

Nagle odniósł osobliwe wrażenie, że upatrzyła go sobie na zabawkę jakaś wielka siła.

Zdawało mu się, że ją czuje: coś jakby wiatr, wichurę właściwie, taką ogarniająca bez reszty, niewidoczną, ale niewyciężoną.

Przyspieszył mu puls. Rozejrzał się wkoło pewien, że tak niezwykle odczucie musi coś zwiastować, podobnie jak lekkie drgania gruntu uprzedzają o trzęsieniu ziemi, a nagły ruch powietrza o bliskiej burzy. Ale nie zauważył, by cokolwiek odbiegało od normy. Ludzie dokoła nie wyglądali na zaniepokojonych.

On jednak to czuł... ziemia drżała mu pod stopami, skały szykowały się, by ożyć, wzruszyć grunt, krzyknąć wielkim głosem. Naprawdę osobliwe wrażenie.

Uleciało jednak po chwili równie nagle, jak się pojawiło. Tak jak poryw wiatru przechodzi ponad łąką. Niedostrzegalny, ale poruszający wszystko na swej drodze.

Gaborn otarł pot z czoła. Było mu trochę nieswojo. Tysiąc mil przejechałem, by odpowiedzieć na odległy, niesłyszalny zew, a teraz to?

Zupełnie szaleństwo.

- Czy wy... czujecie cokolwiek? - spytał pozostałych.

3

O SKOCZKACH I PIONKACH

Gdy Chemoise dowiedziała się, że jakiś kupiec korzenny zranił ciężko jej ukochanego, słońce nagle poczerniało i przestało grzać. Sama dziewczyna zbladła jak ściana i niemal całkiem upadła na duchu.

Księżniczka Ioma Sylvarresta patrzyła na swą damę dworu, ukochaną przyjaciółkę, i szukała rozpaczliwie jakiegoś sposobu, aby ją pocieszyć. Gdyby tu była lady Jollenne, na pewno wiedziałaby, co robić. Ale ochmistrzyni wyjechała na kilka tygodni do swej babki, która potłukła się paskudnie przy upadku.

Ioma, jej Dziennik i Chemoise wstały o świcie. Poszły do ogrodu królowej i zasiadły przy wielkim, wygiętym jak półksiężyc kamieniu, który stał pomiędzy przystrzyżonymi starannie krzewami, gdy zjawił się kapral Clewes. Przerwał im czytanie najnowszych romantycznych wierszy Adallego i oznajmił złą nowinę: z godzinę temu, może więcej, na Kocie doszło do walki z pijanym kupcem. Sierżant Dreys stawał dzielnie, ale bliski jest śmierci. Rozpłatany od krocza do serca. Cierpiąc, wołał Chemoise.

Chemoise przyjęła wiadomość stoicko, o ile kogoś, kto zastygł jak posąg, można nazwać stoikiem. Siedziała sztywno na kamiennej ławie z niewidzącymi oczami, jej długie, jasne włosy rozwiewały się na wietrze. Wcześniej, słuchając czytania Iomy, plotła wianek ze stokrotek, który teraz złożyła na podółku, na koralowej sukni z szyfonu.

Ledwie szesnaście lat i już ze złamanym sercem: za dziesięć dni mieli się pobrać.

Jednak nie ośmieliła się okazać bólu. Prawdziwa dama powinna lekko przyjmować podobne ciosy. Czekala teraz, aż Ioma pozwoli jej oddalić się do narzeczonego.

- Dziękuję, Clewes - powiedziała Ioma, widząc, że kapral wciąż stoi na baczność.

- Gdzie jest teraz Dreys?

- Ułożyliśmy go pod Warownią Króla. Nie chciałem go przenosić dalej. Pozostali leżą nad fosą.

- Pozostali? - spytała Ioma. Siedziała obok Chemoise; wzięła dziewczynę za rękę.

Była zimna, bardzo zimna.

Clewes był dość stary jak na tak niską rangę. Nosił krótko przystrzyżoną brodę sztywną niczym rżysko; spod hełmu z pękniętym rzemieniem wyzierały włosy.

- Tak, wasza wysokość. - Po raz pierwszy, odkąd wszedł do ogrodu, zwrócił się do Iomy jak należy. - Dwaj ze Straży Miejskiej. Zginęli w walce. Sir Beaman i giermek Poll.

Ioma spojrzała na Chemoise.

- Idź do niego - powiedziała.

Dziewczyny nie trzeba było ponaglać. Skoczyła na równe nogi i pobiegła ścieżką między krzewami do furty w murze ogrodowym, otworzyła ją i zniknęła.

Ioma nie chciała zostawać dłużej sam na sam z kapralem jedynie w towarzystwie Dziennik (siostra stała cicho kilka kroków dalej). To nie było stosowne, ale niestety, musiała zadać jeszcze kilka pytań.

Wstała.

- Nie zamierzasz chyba oglądać sierżanta, wasza wysokość? - zaryzykował pytanie Clewes. -

Bo... to naprawdę paskudna rana - dodał, widząc błysk gniewu w jej oczach.

- Widywałam już rannych - odparła spokojnie. Spojrzała poza ogród, na miasto.

Ogród, splącheć zieleni z przyszczyżonymi żywopłotami i kilkoma starannie ukształtowanymi krzewami, mieścił się wewnątrz Murów Królewskich, drugiego z trzech kręgów umocnień miasta. Ioma widziała ze swego miejsca czterech żołnierzy Gwardii Królewskiej krocących galerią pod blankami. Dalej na wschód ciągnął się rynek miejski przylegający do Muru Zewnętrznego. Spojrzała na dzielnicę handlową - chaos dachów krytych łupkiem, czasem też blachą ołowianą wysypaną piaskiem, i labirynt wąwozów kamienistych uliczek. Gdzieś tam unosił się dym z kuchennych palenisk. W obrębie murów miejskich mieściło się aż czternaście tworów pomniejszych lordów.

Ioma poszukała spojrzeniem Kociej, wąskiej uliczki handlowej Schodzącej od Maślanej. Domy kupców, zbudowane z obrzuconej tynkiem plecionki, były pomalowane na jaskrawe kolory - jasny fiolet, kanarkowy lub trawiasty - tak jakby miało im to ująć lat. Biorąc pod uwagę, że ich wrosłe w ziemię fundamenty liczyły po jakieś pięćset wiosen, na niewiele się ta kosmetyka przydawała. Miasto wyglądało identycznie jak wczoraj czy przedwczoraj: nic, tylko morze dachów. I ani śladu morderców.

Za Murem Zewnętrznym, tam gdzie kończyły się zabudowania gospodarcze i pola ze stogami, nad przecinającymi porudziałe wzgórza Mrocznej Puszczy drogami unosiły się od południa i zachodu małe obłoczki kurzu. Z odległych królestw ściągały na jarmark całe tłumy. Już teraz przed bramami miejskimi wznosiły się tuziny kolorowych, jedwabnych namiotów, a za parę dni dziesięciotysięczne miasto miała wypełnić cztero - albo i pięciokrotnie liczniejsza ciżba.

Ioma odwróciła się z powrotem do kaprała. Clewes, jak na kogoś, kto przybył z tak tragiczną wieścią, zachowywał się niezwykle spokojnie. Ioma domyślała się, że miejsce walki musiało być całe porzygane krwią: karmazynowe ślady widniały nie tylko na butach kaprała, ale i na srebrzystym dziku wyszytym na czarnym mundurze. Najpewniej to Clewes przyniósł sierżanta Dreysa.

- Tak zatem ten obcy zabił dwóch ludzi i zranił trzeciego - powiedziała Ioma. -

Duże straty jak na zwykłą uliczną burdę. Zabiłeś może tego kupca korzennego?

Jeśli to zrobił, pomyślała, dostanie nagrodę. Zapewne szpilę z klejnotem.

- Nie, pani. My... posiekaliśmy go trochę, ale ciągle żyw. Przybył z Muiyatinu.

Nazywa się Hariz al Jwabala. Nie śmieliśmy go zabić. Chcieliśmy go przesłuchać. - Kaprał podrapał się po nosie, niezadowolony, że darował kupca życiu.

Ioma ruszyła ku furcie ogrodowej. Chciała dołączyć do Chemone. Skinieniem głowy dała znać kapralowi, że ma podążyć za nią. I za Dziennik.

- Rozumiem... - mruknęła zaniepokojona. Bogaty kupiec podejrzanego narodowości.

Przybył pewnie na przyszły tygodniowy jarmark. - Ale co kupiec korzenny z Muiyatinu robił na Kociej tuż przed świtem?

Kaprał Clewes przygryzł wargę, jakby wolał nie odpowiadać.

- Moim zdaniem szpiegował - odparł w końcu lodowatym tonem, w którym pobrzmiwała wyraźna wściekłość. Oderwał spojrzenie od kamiennego gargulca na szczycie Warowni Króla i przeniósł na księżniczkę, by zobaczyć jej reakcję.

- Zadałam pytanie - przypomniała.

Clewes otworzył furtę i przepuścił Iomę oraz Dziennik.

- Sprawdziliśmy w gospodach - stwierdził. - W żadnej wieczorem go nie widzieli, zresztą gdyby tam był, zostałby odprowadzony przy dziesiątym dzwonie. Nie mógł

się więc upić w obrębie murów miejskich, a bez wątplenia był pijany. Zalatywało od niego

rumem, fakt, że słabo. Poza tym czemu miałyby skradać się po nocy uliczkami, jeśli nie po to, żeby policzyć strażę! No to jak go przyłapali, co mu zostało? Udać pijanego i poczekać, aż strażnicy podejdą, a wtedy rzucić się na nich z nożem! - Clewes zatrzasnął

furkę. Tuż za kamiennym murem rozciągał się dziedziniec, na którym teraz stał stłoczony z tuzin strażników. Przy sierżancie Dreysie klęczał lekarz, nad nimi stała przygarbiona Chemoise, mocno przyciskając ramiona do piersi. Znad błoń wiatr przywiewał wczesnoporanne mgły.

- Rozumiem - szepnęła Ioma, nagle czując, że przyspieszył jej puls. - Zatem go wypytaliście?

Teraz, gdy byli na widoku, księżniczka stanęła przy murze.

- Jak nic chciałbym to zrobić! - stwierdził kapral. - Sam chętnie wysypałbym mu na język gorące węgle! Ale wszyscy kupcy z Muyyatinu i Indhopalu zaraz podnieśli wrzawę. Domagają się uwolnienia Jwabali. Zagrozili nawet, że nie będą handlować, aż blady strach padł na mistrza jarmarku: starszy cechu poszedł do samego króla, żeby poprosić o zwolnienie kupca z aresztu! Wyobrażacie sobie, pani? Szpiega! Chce, żebyśmy uwolnili szpiega i mordercę!

To akurat zdumiało Iomę. Nie zdarzało się, aby starszy cechu Hollicks domagał

się audiencji u króla o tak wczesnej porze, podobnie kupcy z Południa nigdy dotąd nie grozili zerwaniem jarmarku. Wszystko to świadczyło, że idzie o wielką stawkę i że gra wymyka się spod kontroli.

Obejrzała się przez ramię. Jej Dziennik, drobna kobieta z ciemnymi włosami i wiecznie zaciśniętymi szczękami, słuchała pilnie, stała cicho tuż pod furką ogrodową i głaskała trzymane na rękach wychudzone kociątko o żółtawej sierści. Ioma nie potrafiła dostrzec na jej twarzy jakiegokolwiek emocji. Może wiedziała już, kim jest ten szpieg i kto go wysłał. Niestety, we wszystkich sprawach politycznych Dziennik zachowywała zawsze całkowitą neutralność i nie odpowiadała nigdy na żadne pytania.

Ioma zastanowiła się. Kapral najpewniej miał rację. Kupiec był szpiegiem. Jej ojciec też miał szpiegów w królestwach Indhopalu.

Jak jednak dowieść mu szpiegostwa? Niemniej, skoro zabił dwóch ludzi ze Straży Miejskiej i zranił Dreysa, sierżanta Gwardii Królewskiej, wedle prawa powinien za to umrzeć.

Ale w Muyyatinie nie wykonywano egzekucji na osobach, które popełniły przestępstwo po pijanemu, nawet jeśli była to najcięższa zbrodnia, co znaczyło, że gdyby jej ojciec skazał kupca na śmierć, mieszkańcy Muyyatinu i wszyscy ich pobratymcy z Indhopalu uznaliby to za jawną niesprawiedliwość. Zagroziliby wycofaniem się z jarmarku.

Ioma rozważyła konsekwencje. Południowcy sprzedawali głowie przyprawy: pieprz, gałkę muszkatołową i sól, curry, szafran i cynamon, zioła lecznicze. Z dalszych stron przywozili jednak znacznie więcej: ałun używany do farbowania i garbowania skór, indygo inne barwniki potrzebne do obróbki wełny z Heredonu, a ponadto kość słoniową, jedwabie, cukier, platynę i krwawy metal.

Jeśli wszyscy ci kupcy wycofają się z jarmarku, będzie to poważny cios co najmniej dla tuzina rzemiosł. Gorzej nawet, bo bez przypraw do konserwowania żywności biedni z Heredonu mogą mieć kłopoty z przetrwaniem zimy.

Nic zatem dziwnego, że mistrz jarmarku Hollicks wziął się zżawo do negocjacji, tym bardziej że był też starszym cechu farbiarzy przerwanie jarmarku naraziłoby go na ogromne straty. Ioma nie lubiła Hollicksa. Zbyt często prosił króla o podniesienie ceł

wwozowych na tkaniny w nadziei, że dzięki temu podbije ceny na własne wyroby. Niemniej nawet on potrzebował tego, co mogli przywieźć kupcy z Indhopalu.

Na podobnej zasadzie heredońscy kupcy upatrywali okazji, by sprzedać za granicę swoją wełnę,

plótno i stal. Większość miejscowych bogaczy zamroziła w towarze olbrzymie sumy pieniędzy, w większości pożyczonych, i fiasko jarmarku doprowadziłoby do bankructwa setki znanych rodzin. A to właśnie dobrze sytuowane rody Heredonu odprowadzały większość tych podatków, za które król Sylvarresta utrzymywał

żołnierzy. Na dodatek sam też inwestował w handel i nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek kłopoty z jarmarkiem.

Ioma poczuła, że krew się w niej burzy. Wiedziała, że będzie się musiała pogodzić z nieuniknionym, czyli z tym, że jej ojciec pójdzie na ugodę i zwolni szpiega, jednak nadal jej się to nie podobało. Wiedziała też, że na dłuższą metę jej ród nie może sobie pozwolić na zbyt wiele podobnych kompromisów: to, kiedy Raj Ahten, Wilczy Władca Indhopalu, wyda wojnę zjednoczonym królestwom Rofehavanu, było tylko kwestią czasu. Wprawdzie na razie tamtejsi kupcy wytrwale przeprawiali się przez góry i pustynie, jednakże za rok lub dwa to się skończy.

A skoro tak, to czemu tego nie przyspieszyć? Dlaczego nie zerwać handlu już teraz?

Zastanawiała się Ioma. Jej ojciec mógłby przecież zbrojnie przejąć wszystko, co przywiozły cudzoziemskie karawany, i sam zacząć tę wojnę, którą od dawna próbuje odwlec.

Ioma rozumiała jednak, że król Jas Laren Sylvarresta tego nie robi. Nie wywoła wojny. Zbyt prawym jest człowiekiem. Biedna Chemoise! Jej ukochany leży bliski śmierci i nigdy nie zostanie pomszczony. Dziewczyna nie miała nikogo. Jej matka zmarła młodo, ojciec, wolny rycerz, dostał się do niewoli sześć lat temu, podczas wyprawy do Avenu.

- Dziękuję za przekazanie wiadomości - powiedziała do kaprała Clewesa. - Porozmawiam o tym z ojcem.

Pospieszyła ku gromadce żołnierzy. Sierżant Dreys leżał na materacu w zielonej trawie, okryty aż pod brodę kremowym prześcieradłem, które przesiąkło krwią. Krew sączyła mu się też z ust.

Błada twarz spływała potem, chociaż zapobiegliwie ułożono go w cieniu, z dala od porannego słońca. Kapral Clewes miał rację. Ioma nie powinna była tego oglądać. Tyle krwi, smród porwanych jelit, odór śmierci. Zrobiło się jej niedobrze. Kilkoro dzieci z zamku wstało dziś wcześniej i przyszło tu, by trochę popatrzeć.

Teraz zerknęły na Iomę, wyraźnie przerażone, wręcz wstrząśnięte, jakby w nadziei, że uśmiechnie się i zażegna jakoś całą tragedię, odwróci bieg zdarzeń.

Księżniczka podeszła szybko do dziewięciolatki imieniem Jenessee, objęła ją ramieniem i wyszeptała:

- Proszę, zabierz stąd wszystkie dzieci.

Roztrzęsiona dziewczynka przytuliła się na chwilę do Iomy i zrobiła, jak jej kazano.

Lekarz klęczący przy Dreysie zdawał się nic nie robić, przyglądał się tylko żołnierzowi. Gdy ujrzał Iomę i pytanie w jej oczach, pokręcił tylko głową. Był bezradny.

- Gdzie jest zielarz Binnesman? - spytała Ioma. Czarnoksiężnik, przełożony lekarza, byłby tu znacznie bardziej kompetentny.

- Poszedł... na łąki, zbierać złocień. Nie wróci przed wieczorem.

Zdegustowana Ioma pokręciła głową. Też wybrał sobie czas na zbieranie ziół do wypłaszania pajaków z zamku. Ale przecież powinna pamiętać. Noce robiły się coraz chłodniejsze i sama poskarżyła się wczoraj Binnesmanowi na pajaki szukające ciepłych kątów po pokojach.

- Obawiam się, że nic tu nie zdziałam - powiedział lekarz. - Nie śmiem go nawet ruszać, krwawi paskudnie. Nie mogę zaszyć ran, ale trudno mi je zostawić otwarte.

- Mogłabym przekazać mu dar - szepnęła Chemoise. - Część moich sił życiowych.

Przez dziewczynę przemawiała czysta miłość i Ioma chętnie uszanowałaby taki poryw serca.

- Myślisz, że go tym uszczęśliwisz? - spytał lekarz. - Co mu przyjdzie począć, gdy umrzesz wiosną od gorączki?

To prawda. Chemoise była dziewczyną wielkiego ducha, ale zdrowie miała nie lepsze niż inni. Zimą zawsze dostawała napadów gorączki, byle ranka czy siniak goiły się na niej całymi tygodniami. Gdyby przekazała swą odporność sierżantowi, tym łatwiej zapadałaby na wszelkie choroby i najpewniej nigdy nie zdołałaby dać mu dziecka. Każda próba musiałaby się skończyć poronieniem.

- Obecnie tylko dary odporności trzymają go przy życiu - mruknęła Chemoise. -

Gdyby miał jej jeszcze trochę, może zacząłby zdrowieć.

Lekarz potrząsnął głową.

- Przyjęcie daru, nawet daru żywotności, zawsze jest szokiem dla organizmu.

Rzadko groźnym, ale jednak, a w tych okolicznościach... Ja bym nie próbował. Możemy tylko czekać, może mu się poprawi.

Chemoise pokiwała głową. Przyklękła, otarła ręką krew z kącików ust Dreysa. Przy każdym oddechu pojawiały się szkarłatne pęcherzyki. Sierżant łapał powietrze tak ciężko, jakby następny haust miał być ostatni.

- Od dawna tak chrapliwie oddycha? - spytała Ioma. Lekarz pokręcił głową, ledwie zauważalnie, tak że Chemoise w ogóle tego nie dostrzegła. Odpowiedź była jasna: Dreys umierał. Czuwali przy nim całą, długą godzinę, a Dreys oddychał z coraz większym wysiłkiem, aż w końcu otworzył oczy. Spojrzał w górę niczym przebudzony z niespokojnego snu.

- Gdzie...? - wykrztusił, patrząc na Chemoise.

- Gdzie książka? - dopowiedział jeden z gwardzistów. - Znaleźliśmy ją... daliśmy już królowi.

Ioma nie miała pojęcia, o czym mowa. Nagle Dreysowi krew rzuciła się z ust, grzbiet wygiął się spazmatycznie. Sierżant wyciągnął rękę ku dłoni Chemoise...

I niemal w tej samej chwili przestał oddychać.

Chemoise ujęła niezgrabnie jego głowę, pochyliła się nisko i wyszeptała żarliwie:

- Chciałam przyjść. Chciałam zobaczyć się z tobą dziś rano...

Zaniosła się płaczem. Strażnicy i lekarz odstąpili na bok, zostawiając jej kilka chwil na ostatnie słowa miłości do ducha zmarłego, który mógł nie całkiem jeszcze ujść z ginącego ciała. W końcu dziewczyna wstała. Za plecami miała jedynie kaprała. Clewes wyciągnął swój topór bojowy, zasalutował nim energicznie, przytykając na moment utworzony przez podwójne żeleźce krzyż do hełmu.

Nie Iomę tak pozdrawiał, ale właśnie Chemoise.

- Wołał cię w cierpieniu, Chemoise - powtórzył cicho swoje wcześniejsze słowa, chowając topór.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona.

- To był cud... cud, że wołał. Większość ludzi przy takich ranach ledwie by pisnęła, popuściła w spodnie... i tyle. - Powiedziała to z brutalną szczerością, wymierzoną w człowieka, który przyniósł jej złą wiadomość. Po chwili jednak się uspokoiła. -

Ale dziękuję, kapralu - dodała łagodniej. - Dziękuję, że chciałeś ująć mi bólu tym wymysłem. Kapral zamrugał raz i drugi, obrócił się i odszedł do wartowni, Ioma położyła rękę na plecach Chemoise.

- Poszukamy ręczników... Umyjemy go przed pogrzebem. Chemoise wpatrzyła się w księżniczkę rozszerzonymi oczami, jakby nagle przypomniała sobie o czymś istotnym.

- Nie! - wykrzyknęła. - Niech kto inny go umyje. To już nieważne. Jego... jego ducha tu nie ma. Chodźmy, wiem gdzie jest!

Chemoise pobiegła uliczką ku Bramie Królewskiej. Poprowadziła Iomę i jej Dziennik przez rynek, potem Bramą Zewnętrzną za fosę. Pola nad fosą wypełniały się już przybyłymi na jarmark kupcami. Jaskrawe namioty południowców usadowiły się na wzgórzu na skraju puszczy, gdzie trzymano spętane tysiące mułów i koni z karawan.

Chemoise skręciła w lewo, na zarośniętą ścieżkę wiodącą nad fosą ku zagajnikowi rosnącemu na wschód od murów miejskich. Z drugiej strony ograniczała lasek zasilająca fosę rzeka Wye.

Z małego wzniesienia widać było ocalałe w górze rzeki cztery łuki starego, kamiennego mostu spinającego brzegi nad lśniąca niczym żywe srebro wodą. Za starym mostem wznosił się nowy, którego kamienna konstrukcja była w znacznie lepszym stanie,

brakowało mu jednak pięknych posągów zdobiących stary: postaci niegdysiejszych Władców Runów Heredonu przedstawionych w walce.

Ioma zastanawiała się często, czemu jej ojciec nie kazał zburzyć starego mostu po przeniesieniu posągów na nowy. Teraz rozumiała. Posągi były mocno zniszczone słońcem i mrozem, miejscami porosty nadkruszyły kamień, barwiąc go na żółto i zielono.

Niby tylko stos starych kamieni, ale malowniczy, wręcz czcigodny.

Okolice, którą Chemoise wybrała, by szukać ducha sierżanta Dreysa, była bardzo cicha i spokojna. Woda płynęła w kanale leniwie, jak to zwykle późnym latem.

Wysokie mury miejskie wyrastały z osiemdziesiąt stóp ponad zagajnikiem, ich długie cienie kąpały się w fosie. Nic nie odzywało się w zaroślach, różowe lilie wodne kwitły dostojnie, nawet najśłabszy wiatr nie poruszał gałązkami.

Trawa rosła tu bujnie. Na brzegu królował niegdyś wiekowy dąb, którego konary sięgały daleko ponad nurt, jednak trafiony piorunem usechł, a słońce wypaliło go na kość. Poniżej usadowiła się pnąca róża, gruba u podstawy niczym nadgarstek kowala i z kolcami ostrymi jak gwoździe. Wspięła się na pień dębu prawie na trzydzieści stóp, tworząc naturalny namiot naznaczony najczystsza bielą kwiatów jaśniejących niczym gwiazdy na ciemnozielonym sklepieniu listowia.

Chemoise przysiadła na ziemi pod osłoną krzewu. Trawa była tu wygnieciona. Ioma domyśliła się, że nie raz i nie dwa musiała posłużyć kochankom za posłanie.

Księżniczka zerknęła przez ramię na swoją Dziennik. Szczupła kobieta została czterdzieści stóp z tyłu, na skraju zagajnika. Ręce założyła na piersi, pochyliła głowę. Nasłuchiwała.

Potem Chemoise zrobiła coś dziwnego. Korzystając z odosobnienia różanego namiotu, podwinęła nieco suknie na biodrach, zległa na plecach i rozłożyła szeroko nogi.

Poza była szokująca i Ioma poczuła się zakłopotana, że na to patrzy. Chemoise jednoznacznie czekała na kochankę, spodziewając się, że przyjdzie i ją weźmie...

Na brzegu zakumkały ząby, obok kolana Chemoise przeleciała ważka tak niebieska, jakby ją ktoś skąpał w indygo. Zatoczyła krąg i zniknęła. Powietrze wciąż trwało nieruchome, pod drzewami zalegała cisza. Było tak pięknie, jakby duch sierżanta Dreysa naprawdę zamierzał przybyć, w każdym razie Ioma była prawie gotowa w to uwierzyć.

Chemoise, która przez całą drogę milczała jak zaklęta, teraz nagle załżała się łzami. Pocięły spod długich rzes i popłynęły strumykami po policzkach.

Ioma usiadła obok dziewczyny i otoczyła ją ramieniem. Przytuliła Chemoise tak, jak on musiał ją niedawno tulić.

- Bywałaś już tu z nim? - spytała.

Chemoise pokiwała głową.

- Wiele razy. Dziś rano też mieliśmy się tu spotkać.

W pierwszej chwili Ioma się zdziwiła. Jak? Jak zamierzali o świcie przedostać się przez bramy

miasta? No tak, Dreys był przecież sierżantem Gwardii Królewskiej...

Zapachniało skandalem. Jako dama dworu, najbliższa towarzyszka i praktycznie przyzwoitka Iomy, Chemoise winna mieć przede wszystkim baczenie, czy jej pani pozostaje dziewicą. Przy zamążpójściu księżniczki to Chemoise miała zaświadczyć, że Ioma dochowała czystości.

Dziewczyna zaczęła coś mówić, ale tak cicho, by nie usłyszała Dziennik. Trząsał się jej podbródek.

- Wypełnił mnie chyba, jakieś sześć tygodni temu. Będę miała dziecko. -

Wyznawszy to, Chemoise przygryzła knykcie, jakby sama chciała się ukarać. Stając się brzemienią, ściągnęła hańbę na swoją panią. Kto uwierzy przysiędze dziewczyny, która nie upilnowała własnej cnoty?

Dziennik Iomy bez wątpienia wie, jak było naprawdę, ale związana jest ślubami milczenia. Za jej życia nie ujawni ani słowa z tego, co pamięta. Dopiero po śmierci Iomy ogłosi całą kronikę jej życia.

Księżniczka pokręciła z niedowierzaniem głową. Dziesięć dni. Za dziesięć dni Chemoise wyszłaby za mąż i nikt nie zdołałby dowieść, że czemukolwiek się sprzeniewierzyła. A teraz, gdy jej ukochany zginął, całe miasto rychło pozna prawdę.

- Możemy wysłać cię gdzieś daleko - powiedziała Ioma. - Do mego stryja w Welkshire. Tam powiemy wszystkim, że owdowiałaś zaraz po ślubie. Nikt się nie domyśli.

- Nie! - chlipnęła Chemoise. - Nie o moją reputację się martwię, ale o twoją, pani! Kto zaświadczy za ciebie, gdy przyjdzie do narzeczeństwa? Ja nie będę mogła!

- Na dworze jest wiele kobiet, które mogą wyświadczyć mi tę przysługę - skłamała Ioma. Nawet odesłanie Chemoise nadszarpnęłoby reputację księżniczki: niektórzy gotowi byłiby pomyśleć, że zrobiono to dla ukrycia jakichś sprawek.

Jednak Ioma uznała, że teraz, gdy przyjaciółka tak cierpi, nie jest właściwa chwila, aby myśleć o własnej reputacji.

- A może mogłabyś się rychło wydać za mąż? - spytała ją Chemoise.

Siedemnastoletnia Ioma bezwzględnie nadawała się już do małżeństwa. - Księżę Internook się o ciebie starał. I słyszałam jeszcze, że król Orden... przysłał swego syna na Hostenfest...

Ioma wciągnęła gwałtownie powietrze. Król Sylvarresta kilka razy wspominał zimą, że pora by było z wolna za mąż. A teraz najstarszy przyjaciel jej ojca sprowadzał w końcu swego syna do Heredonu. Ioma dobrze wiedziała, co o tym sądzić, i czuła się dotknięta, że jej nie uprzedzono.

- Kiedy o tym słyszałaś?

- Dwa dni temu - odparła Chemoise. - Król Orden przysłał wiadomość. Twój ojciec nie chciał, żebyś się dowiedziała. Nie chciał... żebyś zbyt szybko się uprzedziła do sprawy.

Ioma przygryzła wargę. Nie pragnęła wcale wiązać się z synem króla Ordena. Ani przez chwilę tego nie rozważała.

Jednak gdyby przyjęła propozycję księcia Ordena, Chemoise mogłaby wypełnić swą powinność przyzwoitki. Jak długo nikt by się nie dowiedział, że dziewczyna nosi dziecko, tak długo i jej przysięga nie zostałaby zakwestionowana.

Ioma zjeżyła się w duchu na tę myśl. To nie było w porządku. Wolałaby nie porywać się na pospieszne małżeństwo tylko dla uratowania reputacji.

Nagle rozpalili się w niej gniew i wstała.

- Idziemy - rzuciła. - Idziemy do mojego ojca.

- Po co? - spytała Chemoise.

- Dopilnujemy, żeby ten indhopalski zabójca poniósł zasłużoną karę! - Ioma nie miała na razie

żadnego planu, ale złość była zbyt silna. Złość na ojca, że nie powiedział o złożonej propozycji, na Chemoise za jej żenujący brak skrupułów, na zabójców Raja Ahtena mordujących strażników Heredonu. I na kupców z miasta nakłaniających króla do uległości.

Musiała coś z tym zrobić. Chemoise uniosła głowę.

- Ja nie mogę. Proszę. Muszę tutaj zostać.

Wtedy Ioma zrozumiała. Przypomniała sobie opowieść powtarzaną wśród mężatek, że jeśli mężczyzna umrze i zostawi ukochaną noszącą jego dziecko, wówczas kobieta może przechwycić jego duszę, która wejdzie w rosnący płód i urodzi się ponownie. Żeby tak się stało, Chemoise musiała tylko znaleźć się o zachodzie słońca w miejscu, gdzie zlegli po raz pierwszy i gdzie spłodzili potomka, aby duch ojca bez trudu mógł ją odszukać.

Ioma nie podejrzewała nigdy, że Chemoise może dawać wiarę podobnym przesądom, ale nie miała też serca odmawiać takiej prośbie. Parę godzin snu pod różanym baldachimem nie powinno zaszkodzić, a jeśli dzięki temu Chemoise będzie bardziej kochać swoje dziecko, tym lepiej.

- Zadbam, żebyś wróciła tu przed zachodem słońca - powiedziała. - I będziesz mogła zostać przez godzinę po zmroku. Jeśli Dreys do ciebie przyjdzie, to tylko wtedy.

Na razie jednak muszę porozmawiać z królem.

Przed spotkaniem z ojcem Ioma poszła ze swoją damą zerknąć na mordercę Dreysa.

Milcząca, ale nie odstępująca jej nigdy Dziennik deptała księżniczce po piętach.

Kupiec korzenny siedział skuty łańcuchami w lochu pod koszarami jako jedyny lokator tego ponurego miejsca. Kajdany zwieszały się ze ścian, całe wnętrze zalatywało z dawna zasiedziałą śmiercią. Spod stóp uciekały wielkie robale. W drugim końcu pomieszczenia ziała w podłodze ogromna dziura studni, w której trzymano szczególnych więźniów. Jej brzegi pokrywała skorupa odchodów i plamy od uryny. Przebywający na samym dole musieli tkwić nieustannie w nieczystościach, które wartownicy zrzucali na nich z góry.

Morderca został przykuty za rękę i nogę do ściany. Był to młody mężczyzna, w wieku około dwudziestu dwóch lat. Miał oczy ciemne jak Ioma, jednak skórę bardziej śniadą i zalatywał silnie anyżkiem, curry, czosnkiem i oliwą z oliwek, podobnie jak reszta jego krajanów. Z całego odzienia zostawiono mu tylko przepaskę biodrową. Obie nogi miał złamane, wyrwano mu pierścień z nosa, szczękę znaczyła opuchlizna, na żebrach i twarzy widać było świeże sińce. Ktoś wygryzł mu nawet kęs ciała z ramienia, ale życie wciąż się w nim kołatało.

Na wszystkich niemal żebrach można było dostrzec piętna wszczepionych runów mocy, białe szramy długie na jakiś cal. Pięć runów krzepkości, trzy wdzięku, jeden odporności, jeden mądrości, jeden słuchu i jeden wzroku.

Żaden kupiec z Heredonu nie nosił tylu runów mocy. Ten mężczyzna był żołnierzem, zabójcą. Ioma w końcu przestała wątpić w jego profesję.

Jednak wewnętrzne przekonanie to żaden dowód. Na Południu, gdzie wydobywano krwawy metal służący do wyrobu drenów, łatwiej było go nabyć. Potem starczyło poszukać biedaków, żeby odkupić od nich dary.

Wprawdzie Ioma nie wierzyła, aby ten człowiek był kupcem, lecz nawet nadmierne bogactwo darów nie wystarczało, aby go skazać. Chemoise spojrzała mu głęboko w oczy i uderzyła w twarz. Tylko raz. Następnie obie kobiety poszły do Warowni Króla. Król Sylvarresta był na parterze w sali nieoficjalnych audiencji. Siedział na ławie w rogu, rozmawiając cicho z matką Iomy, raczej ponurym kanclerzem Roddermanem i przerażonym starszym cechu Hollicksem.

Deski podłogi zarzucono świeżą słomą zmieszaną z melisą i miętą. Przed wystygłym kominkiem wylegiwały się trzy ogary, dziewczyna ze służby czyściła nie używane szczypce i pogrzebaczę.

Dziennik Iomy niezwłocznie przeszła przez pokój i dołączyła do stojących z boku Dzienników króla i królowej.

Gdy Ioma weszła, ojciec spojrział na nią wyczekująco. Sylvarresta nie był próżny, nie nosił korony, tylko sygnet na opasującym szyję łańcuszku. Wolał, by raczej nazywano go lordem niż królem. Jednak starczyło spojrzeć w jego szare oczy, by uzyskać pewność, że ma się do czynienia z monarchą.

Starszy cechu Hollicks był kimś zdecydowanie odmiennym. Nosił się z przepychem: koszula z bufiastymi rękawami, wielobarwne spodnie, kamizelka i półpeleryna z kapturem - wszystko w tęczy, ale dopełniających się kolorach. Był starszym cechu farbiarzy i jego strój zachwalał tę profesję. Poza upodobaniem do strojności nie miał wielu wad.

Cechował go rzadko spotykany zdrowy rozsądek, który jednak trudno czasem było dostrzec, między innymi za sprawą wyrastających mu z nosa włosów, tak bujnych, że stanowiły niemal połowę jego wąsów.

- Aha - mruknął król, poznając Iomę. - Myślałem, że to ktoś inny. Widziałaś może od rana kóregoś z leśników? Nie było ich na dziedzińcu?

- Nie, wasza królewska mość - odparła Ioma.

Król pokiwał w zamyśleniu głową i spojrział na Chemoise.

- Moje kondolencje. To smutny dzień dla nas wszystkich. Mieliśmy wiele podziwu dla twojego ukochanego... był obiecującym żołnierzem.

Chemoise pochylała głowę i nagle znowu zbladła. Dygnęła.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie.

- Ale nie pozwolisz ujść mordercy bezkarnie, prawda? - spytała Ioma. - Powinien już być martwy!

- No proszę - zapiszczał Hollicks - to się nazywa pochopne wyciąganie wniosków.

Nie macie żadnych dowodów, że to było coś więcej niż tylko pechowa, pijacka bijatyka!

Król Sylvarresta podszedł do wejścia, wyjrzał na podwórzec i zamknął starannie drzwi. W pokoju zrobiło się nagle ciemno, gdyż otwarte były tylko dwa małe okna z drewnianymi okiennicami.

Król przeszedł przygarbiony przez pomieszczenie. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Niezależnie od twoich nalegań, byśmy poczekali z wszelkimi wnioskami, panie Hollicks, ja wiem, po prostu wiem, że ten człowiek jest szpiegiem.

Hollicks zrobił minę, jakby naprawdę nie dowierzał.

- A dowody, wasza królewska mość? - spytał naiwnie.

- Podczas gdy ty pocieszałeś swoich jęczących przyjaciół, ja posłałem kapitana Derrowa, by zbadał ślad zapachu tego człowieka - powiedział król. - Jeden z moich dalekowidzących widział go wczoraj o świcie, jak siedział na dachu i zapewne liczył strażę wkoło Warowni Darczyńców. Próbowaliśmy go złapać, ale zgubił się na rynku. A dziś znów się pokazał. Derrow mówi, że całą noc spędził poza oberżą. Śledził Dreysa, szedł

za nim aż do miasta. Musiał się wspiąć na Mur Zewnętrzny. Zabił Dreysa, bo szukał tego...

- Sylvarresta pokazał cienki tomik oprawny w beżową jagnięcą skórę. - Tej książki, bardzo dziwnej książki.

Hollicks zmarszczył brwi. Wolałby nie oglądać żadnych dowodów mogących świadczyć o winie tego kupca i utrudnić oddalenie oskarżenia o szpiegostwo.

- To ma być dowód, najjaśniejszy panie? Pijani miewają najrozmaitsze pomysły. Na przykład mój stajenny, ile razy ma w czubie, zawsze wchodzi na jabłoń. To, że Dreys miał tę książkę, niczego jeszcze nie dowodzi.

Król pokręcił stanowczo głową.

- Niezupełnie, bo w książce jest notatka adresowana do mnie. Od emira Tuulistanu. Jak wiecie, jest niewidomy, Raj Ahten zdobył jego zamek i zmusił go do zrzeczenia się daru wzroku. A jednak emir spisał historię swego życia i przysłał mi ją.

- Sam spisał własną kronikę? - spytała Ioma, dziwiąc się, dlaczego ktokolwiek, ślepy czy nie, miałby się trudzić czymś podobnym, mając Dziennika gotowego zrobić to samo, o wiele lepiej na dodatek, po jego śmierci.

- Jest tam coś o bitwach? - spytał Hollicks. - Opisuje cokolwiek ważnego?

- Opisuje wiele bitew - odparł król. - Emir zdaje relację z tego, jak Raj Ahten przełamał jego obronę i zajął sąsiednie zamki. Na razie tylko przejrzałem tę książkę, ale może się okazać ważna. Dość ważna, aby szpieg Raj Ahtena uznał za stosowne zabić Dreysa, żeby ją odzyskać.

- Ale... ten południowiec ma wszystkie papiery w porządku! - zaprotestował Hollicks.

- W sakwie nosił z tuzin listów polecających od różnych kupców. Ma pożyczki do spłacenia! Mówię waszej królewskiej mości, to kupiec! Wciąż nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów!

- Ale nosi więcej darów niż jakikolwiek kupiec - stwierdził król. - I to w proporcjach typowych dla wojownika.

Ostami argument jakby odebrał Hollicksowi chęć do dalszej perory.

- Wiecie, dwadzieścia lat temu, gdy byłem na Południu na dworze pani Sylvarresty w Jomateel, zdarzyło mi się grać z tym Rajem Ahtenem w szachy - powiedział cicho król, spojrzawszy na swoją żonę i położył uspokajająco dłoń na ramieniu Hollicksa.

Matka Iomy poruszyła się nerwowo. Nie lubiła, gdy ktoś jej przypominał, że jest kuzynką Wilka.

- Wiecie, jakie było jego otwarcie? - spytał Sylvarresta.

- Pionek króla do przodu na czwórkę? - rzucił Hollicks, wybierając najpopularniejszy wariant.

- Nie. Skoczek króla, zwany inaczej rycerzem, na trójkę przed czarnoksiężnikiem króla. Niezwykle otwarcie.

- To ma jakieś znaczenie? - spytał Hollicks.

- To określa jego podejście do gry. Pionki zostawia na miejscu, atakuje zaś rycerzami, czarnoksiężnikami, wieżami, królowymi, nawet własnego króla rusza. Nie zależy mu na opanowaniu środka szachownicy, woli pilnować narożników i dlatego wysyła tam takie figury, którymi może coś wskórać.

Król poczekał, aż starszy cechu pojmie wagę tej informacji, ale Hollicks jakby niczego nie dostrzegł. Należało wyłożyć sprawę prościej.

- Ten kupiec w lochu to skoczek, jeden z rycerzy Raja Ahtena. Ma na palcach odciski wskazujące na wieloletnie ćwiczenia z mieczem.

Hollicks zastanawiał się przez chwilę.

- Ale tak naprawdę to chyba nie wierzysz, najjaśniejszy panie, by Raj Ahten tu nadciągnął?

- Och, on już się zbliża. Dlatego właśnie wysłałem tysiąc rycerzy z giermkami i łucznikami, by obsadzili zamek Dreis. - Ojciec Iomy nie wspominał, że za dwa miesiące miało dojść do spotkania siedemnastu królów Rofehavanu zamierzających omówić prawdopodobną strategię najazdu Wilka. Uznał widać, że to akurat nie powinno kupca interesować.

Matka Iomy, królowa Venetta Sylvarresta, mogłaby niejedno opowiedzieć, by przestraszyć Hollicksa. Kiedyś wspomniała Iomie, że jej kuzyn, „młody Ahten”, odwiedził warownię jej ojca jako ośmiolatek. Ojciec Venetty wydał na cześć dzieciaka ucztę, zapraszając dowódców wszystkich oddziałów Gwardii Królewskiej, wysokich urzędników dworu i co ważniejszych kupców na okrasę.

Gdy stoły uginały się już pod ciężarem pieczonych pawi, ciast i wina, ojciec Venetty poprosił szanownego gościa o zabranie głosu. Młody Raj Ahten wstał, spojrzął na pana zamku i spytał: „Czy to na moją cześć ta ucza, czy dla mnie to podarunek?”

Ojciec Venetty potwierdził. Na to chłopiec szerokim gestem dłoni ogarnął całą setkę gości i powiedział: „Jeśli to moje, to niech ci ludzie sobie pójdą. Nie mam ochoty, by wyjadali mi obiad”. Urażeni goście wyszli zagniewani, zostawiając chłopca z taką ilością potraw, że w rok by tego wszystkiego nie zjadł.

Matka Iomy zwykła mawiać, że gdyby jej ojciec był mądrzejszy, już wtedy poderżnęłaby chciwemu bachorowi gardło. Przez całe lata Venetta przekonywała króla Sylvarrestę, że trzeba uderzyć zawczasu i zmiażdżyć Raja Ahtena jeszcze za młodu. Z jakiegoś powodu ojciec Iomy nie był jednak skłonny uwierzyć, że ten chłopak zdoła podbić dwadzieścia dwa królestwa Indhopalu.

- Zatem skążesz tego szpiega na śmierć? - zaczęła nalegać dziewczyna. - Musisz strzec sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości stanie się zadość - odparł król. - Raj Ahten zapłaci, i to słono. Ale nie zabiję rycerza.

Słyszając to, Hollicks odetchnął z ulgą.

Ioma musiała wyglądać na niezwykle zawiedzioną, gdyż jej ojciec dodał szybko:

- Wasze idealistyczne podejście do sprawy godne jest pochwały, ale mało praktyczne.

Nie możemy zdjąć głowy temu szpiegowi. Możemy natomiast zażądać za niego okupu.

- Okupu, wasza królewska mość? - spytał Hollicks. - Raj Ahten nigdy nie przyzna głośno, że ten szpieg jest jego człowiekiem. Ioma uśmiechnęła się, słysząc, jak Hollicks po raz pierwszy uznaje w oskarżonym szpiega.

- Oczywiście, że nie - przyznał król. - Jednak kupcy z Indhopalu twierdzą, że to jeden z nich. Oni zapłacą okup, żeby uratować jarmark. W Indhopalu to zwykła praktyka.

Powiadają, że jak chłop pojedzie tam na targ, to po powrocie znajduje swoje świny w roli zakładników w zagrodach sąsiadów.

- A skąd możesz mieć pewność, że zapłacą? - spytała Ioma.

- Bo bardzo chcą uratować jarmark. I jeszcze dlatego, że jak sędzę, w Mrocznej Puszczy ukrywa się oddział żołnierzy Raja Ahtena. Czekają na informacje od zwiadowcy. Przynajmniej niektórzy kupcy muszą o nich wiedzieć i dlatego tak gwałtownie domagają się uwolnienia szpiega. Tym chętniej więc zapłacą, by nie ryzykować, że wyda wszystko na torturach.

- A skąd to podejrzenie, wasza wysokość, że w Mrocznej Puszczy są żołnierze Raja Ahtena? - spytał Hollicks.

- Bo kilka dni temu wysłałem pięciu leśników, by wytropili legowiska największych niedźwiedzi przed przyszłotygodniowym polowaniem. Mieli zameldować się wczoraj rano. Żaden nie wrócił. Pięciu ludzi. Gdyby chodziło o jednego, to podejrzewałbym wypadek. Ale to byli zaufani słudzy. Nic nie powstrzymałoby ich przed wykonaniem mojego rozkazu. Zostali albo pojmani, albo zabici. Wysłałem zwiadowców, by to sprawdzić, ale chyba już wiem, co znajdują.

Hollicks wyraźnie pobladł.

- I tak ukrywający się w lesie żołnierze Raja Ahtena będą musieli zaatakować w ciągu najbliższych trzech dni, czyli przed polowaniem, podczas którego niechybnie zostaliby wykryci.

Król założył ręce na plecach i podszedł powoli do kominka.

- Będzie bitwa, mój panie? - spytał Hollicks. Sylvarresta pokręcił głową.

- Nie sędzę. To raczej tylko poprzedzający wojnę podjazd, o tak późnej roku nie spodziewałbym się niczego innego. Podejrzewam, że mamy do czynienia z oddziałem zabójców. Uderzą albo na

Warownię Darczyńców, aby mnie osłabić, albo wprost na rodzinę królewską.

- Ale co z nami, kupcami? - jęknął starszy cechu. - Czy mogą napaść na nasze dobra? Nikt nie jest bezpieczny!

Pomysł, by Raj Ahten mógł zamachnąć się na bogaczy, był tak nedorzeczny, że król aż się roześmiał.

- Myślę, przyjacielu, że nie masz się czego bać, wystarczy, jeśli zaryglujesz drzwi na noc. Ale teraz potrzebuję twojej rady. Musimy ustalić cenę za tego „kupca”. Do jak wielkich strat mamy się przyznać głośno?

- Proponowałbym tysiąc srebrnych grzywien wasza królewska mość - odparł ostrożnie Hollicks.

Ioma słuchała ojca, uważając jego rozumowanie zarówno za słuszne, jak i oburzające.

- Nie podoba mi się pomysł ustanawiania okupu za szpiega. To... jakby forma kapitulacji. Nie bierzecie wcale pod uwagę uczuć Chemoise! Zamordowano jej narzeczonego!

Król spojrział na Chemoise ze smutkiem i niemą prośbą w podkrążonych oczach.

Dziewczynie łyzy już obeschły, jednak ojciec Iomy poznał, że żal dopiero wzbiera.

- Przykro mi, Chemoise. Ufasz mi, prawda? Ufasz, że postępuję słusznie? Bo jeśli się nie mylę, to za tydzień będziesz miała i głowę mordercy zatkniętą na palu, i jeszcze tysiąc srebrnych grzywien z okupu.

- Oczywiście, panie. Będzie, jak mówisz - odparła Chemoise, niezdolna o tym myśleć.

- Dobrze - stwierdził król, biorąc słowa dziewczyny za dobrą monetę. - A teraz, panie Hollicks, rozważmy sprawę okupu. Tysiąc sztuk srebra, powiadacie? Skoro tak, to dobrze, że nie jesteście królem. Zaczniemy od żądania sumy dwadzieścia razy większej, a do tego wspomnimy jeszcze o dwudziestu funtach muszkatelu, pięćdziesięciu pieprzu, dwóch tysiącach funtów soli. I chcę jeszcze krwawego metalu. Ile go w tym roku zważyli?

- Nie wiem na pewno! - wykrzyknął Hollicks, przerażony królewskimi żądaniami.

Król Sylvarresta uniósł brwi. Hollicks musiał wiedzieć, na ile krwawego metalu można liczyć, i to co do uncji. Dziesięć lat wcześniej, w uznaniu zasług dla króla, Sylvarresta przyznał kupcowi prawo do korzystania z jednego daru rozumu. Wprawdzie dar ten nie czynił starszego cechu mądrzejszym, nie poprawiał jego biegłości w fachu, nie ułatwiał targowania się, ale pozwalał Hollicksowi zapamiętywać niezliczone, nawet takie, prawie nieistotne drobiazgi.

Przyjęcie daru rozumu było jak otworenie drzwi do umysłu drugiego człowieka.

Ktoś, kto korzystał z takiego daru, zyskiwał zdolność zapamiętywania wszystkiego, co tylko miał życzenie zapamiętać, podczas gdy dla darczyńcy jego własna pamięć stawała się terenem niedostępnym, nie mógł zerknąć nawet na to, co gromadziło się w jego głowie.

Hollicks od dawna trzymał wszystkie swe rachunki i zestawienia w umyśle swego darczyńcy.

Powiadano, że starszy cechu mógł cytować z pamięci każdą, kiedykolwiek podpisaną umowę, i to słowo w słowo; Hollicks zawsze też świetnie pamiętał, kiedy upływa termin płatności każdego rachunku.

Wiedział też oczywiście, ile krwawego metalu zważyli południowcy w ubiegłym tygodniu. Jako mistrz jarmarku był odpowiedzialny za rzetelne sprawdzenie wagi wszystkich wystawianych na sprzedaż dóbr. A także ich jakości.

- No... jak dotąd, wasza wysokość... kupcy z Południa zważyli jedynie trzynaście funtów krwawego metalu. Powiadają... że kopalnie w Kartichu cienko przez ostatni rok...

Trzynaście funtów powinno wystarczyć na prawie sto drenów. Hollicks spieszył się wyraźnie, jakby oczekiwał, że król wpadnie we wściekłość, usłyszawszy o tak nędznej ofercie.

Ojciec Iomy pokiwał w zamyśleniu głową.

- Raj Ahten i to chętnie zatrzymałby w swoich granicach. W przyszłym roku zapewne nie przywiozą niczego. Tak zatem zażądamy, by dodali do okupu trzydzieści funtów krwawego metalu.

- Nie mają tyle! - zaprotestował Hollicks.

- Znajdą - stwierdził Sylvarresta. - Na pewno coś przemycają. Niech sięgną do juków.

A teraz idź do naszych drogich zagranicznych gości i powiedz im, że król nie posiada się z gniewu i że muszą się spieszyć, bo Sylvarrestę trudno odwieść od zemsty.

Odmaluj im, jak to siedzę w swojej piwnicy i pociągam wino, rozważając, czy wziąć szpiega na tortury, by wszystko z niego wyciągnąć, czy może od razu rozpruć mu brzuch i powiesić drania na jego własnych kiszkach.

- Tak, panie - odparł podniecony Hollicks, skłonił się i wyszedł pospiesznie. Na samą myśl o czekających go negocjacjach pod tęczowymi szatami biły na niego siódme poty.

Podczas całej dysputy kanclerz Rodderman nie odezwał się ani słowem. Siedział tylko na ławie obok królowej i spoglądał to na króla, to na mistrza cechu. Czasem przesuwał dłonią po swoich długich bokobrodach. Gdy Hollicks wyszedł, kanclerz postanowił w końcu przemówić.

- Czy wasza królewska mość naprawdę sądzi, że otrzyma aż tak wysoki okup?

- Miejmy nadzieję - stwierdził krótko Sylvarresta.

Ioma wiedziała, że ojciec potrzebuje pieniędzy. Koszty uzbrojenia, darów i zaopatrzenia ogromnie rosną, gdy grozi wojna. Król rozejrzał się.

- A teraz, kanclerzu, wezwij, proszę, kapitana Derrowa. O ile się nie mylę, w nocy czeka nas wizyta zabójców. Musimy im zgotować stosowne powitanie.

Kanclerz wstał sztywno, pomasaował obolałe krzyże i wyszedł. Ojciec Iomy znów się zamyślił. Dziewczyna już chciała wyjść, ale przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Ojcze, gdy grałeś z Rajem Ahtenem w szachy, kto zwyciężył?

- On. - Król Sylvarresta uśmiechnął się, rozumiejąc podtekst pytania.

Była już w drzwiach, gdy pomyślała o czymś jeszcze.

- Ojcze, a czy teraz, gdy dane już nam było zobaczyć rycerza Raja Ahtena, powinniśmy się przygotować na spotkanie z jego czarnoksiężnikami?

Mars na czole króla starczył jej za całą odpowiedź.

4

WINO Z GŁUPIEJ JAGODY

Borenson uważnie spojrzał Gabornowi w oczy.

- Czy coś czuję, panie? Co mianowicie? Coś jak głód czy podniecenie? Obecnie czuję aż nazbyt wiele...

Gaborn nie potrafił precyzyjnie wyrazić, co właściwie dopadło go na rynku w Bannisferre.

- Nie, nic tak zwyczajnego. Czuję, jakby... ziemia zadrżała... w przewidywaniu?

Albo... - Nagle w umyśle uformował mu się jasny obraz. - Coś takiego, jak wtedy, gdy trzymasz dłonie na uchwytych pługa i widzisz równo odkładaną skibę, i wiesz, że niebawem padnie w tę ziemię nasienie, które wyda plon. Drzewa bez kresu i pola aż po horyzont.

Aż dziwne, jak silnie ten obraz wtargnął do umysłu Gaborna, wypierając wszystko inne. Słowa nie były w stanie oddać jego odczuć w tej chwili, kiedy jego dłonie jakby naprawdę zetknęły się z wytartymi, drewnianymi uchwytyami pługa, napięły się wiodące do wołu lejce, a lemiesz wgryzł się w glebę, odkładając czarną skibę i odsłaniając kryjące się pod powierzchnią robactwo. Książę czuł w ustach metaliczny posmak ziemi, widział

poła i puszcze ciągnące się jak okiem sięgnąć. Kieszenie ciężkie miał od nasion gotowych do rzucenia w bruzdę.

Wszystkiego tego doświadczał jakby równocześnie i zastanawiał się, czy jakikolwiek ogrodnik doznał kiedyś podobnego wrażenia antycypacji wyników mozolnej pracy.

Co najdziwniejsze, Gaborn nigdy dotąd ani niczego nie zaorał, ani zasiał.

Jednak teraz pożałował, że tego nie robił. Chciałby się czuć związany z ziemią.

Myrrima spojrzała na niego ze zdumieniem. Dziennik Gaborna nie wyszedł z roli obiektywnego obserwatora i wcale nie zareagował.

Borenson natomiast był bliski śmiechu, promieniał radością.

- Chyba przesadziłeś dziś z zażywaniem świeżego powietrza, mój panie. Twarz masz bladą i mokrą od potu. Dobrze się czujesz?

- Tak... czuję się bardzo... zdrowy - odparł Gaborn, niepewny, czy to jednak nie choroba. A może szaleństwo? Władcy Runów rzadko zapadali na cokolwiek. Dar umysłu poprawiał kiepską pamięć, dar sił życiowych wzmacniał najbardziej wiekowych królów. Jednakże obłąd...

- Świetnie zatem - rzekł książę, pragnąc zostać na chwilę sam ze swymi myślami i rozważyć, o co chodziło z tym wrażeniem... siania. - Myślę, że wy dwoje powinniście teraz zająć się trochę sobą, wykorzystać to popołudnie.

- Mój panie, jestem twoim przybocznym... - powiedział Borenson. Nie chciał oddalać się od swego księcia, Gaborn na palcach mógłby policzyć te przypadki, gdy Borenson opuszczał go na dłużej. Nie licząc oczywiście nocy, zwykłej pory snu.

- Zaszyję się w zajeździe, z dala od niebezpieczeństw i w bliskim sąsiedztwie pieczeni wieprzowej - rzekł książę.

Borenson niezbyt mógł odmówić. Zwyczaj nakazywał, aby sam poszedł do domu dziewczyny i poprosił o jej rękę. Wprawdzie przy pozbawionej rozumu matce i braku ojca nie można było należycie przeprowadzić sprawy, ale całkiem zaniechać obyczaju też się nie godziło.

- Jesteś pewien? To chyba niezbyt rozsądny pomysł - mruknął Borenson chłodnym, służbowym głosem. Przebywali ostatecznie w obcym kraju, a Gaborn był dziedzicem władcy najbogatszego narodu Rofehavanu.

- Po prostu idź, dobrze? - ponaglił go z uśmiechem książę. - Jeśli poczujesz się od tego lepiej, to mogę obiecać, że zaraz po posiłku pójdę do pokoju i porządnie zamknę drzwi.

- Wrócimy przed zmrokiem - zapewniła Myrrima.

- Nie, sam poszukam twojego domu - powiedział Gaborn. - Chcę poznać twoje szanowne siostry i twoją matkę.

- Za mostem Himmeroft - wyjaśniła pospiesznie dziewczyna. - Cztery mile Szlakiem Dzwonków, szara chata na łące.

Borenson pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie, wrócę po ciebie. Nie chcę, żebyś jechała sama.

- Zatem do zobaczenia wieczorem - powiedział Gaborn. Patrzył jeszcze za nimi, jak trzymając się za ręce, odchodzą lekkim krokiem przez ciżbę.

Książę nie od razu opuścił rynek. Chwilę przyglądał się kuglarzowi tresującemu białe gołębicę do akrobacji powietrznej, potem ruszył na przechadzkę po brukowanych uliczkach Bannisferre. Dziennik postępował za nim krok w krok.

W centrum miasta wznosił się tuzin domów pieśni, wszystkie z szarego kamienia, wysokie na pięć lub sześć pięter, z misternie rzeźbionymi fryzami i posągami wkoło. Na progu jednego z gmachów stała piękna, młoda kobieta i śpiewała nastrojową arię przy akompaniamencie harfy i

drewnianych instrumentów dętych. Wkoło tłoczyła się grupka wieśniaków. Płynący nad uliczką głos śpiewaczki hipnotyzował, kusił odbitym od murów echem. Nie był to oczywiście normalny występ, lecz jedynie zachęta do zjawienia się na wieczornym koncercie. Gaborn postanowił, że się wybierze i weźmie Borensona oraz Myrrimę.

Dalej przy tej samej ulicy przycupnęły budynki łaźni i gimnazjum. Na tutejszych szerokich alejach bez trudu mogło manewrować nawet kilka powozów. Wystawy eleganckich sklepów pyszniły się białą porcelaną, wyrobami ze srebra i kosztowną bronią dla szlachetnie urodzonych.

Bannisferre było młodym miastem, miało niecałe czterysta lat. Zaczęło się od wytyczenia targowiska dla okolicznych rolników. Gdy na wzgórzach Durkin odkryto żelazo, kowale zbudowali odlewnię, ta zaś jakością wyrobów przyciągnęła rychło bogatą klientelę oczekującą nie tylko wygod, ale i rozrywek.

Tak więc Bannisferre wyrosło na centrum sztuk wszelakich. Ściągali tu rzemieślnicy pracujący w żelazie, srebrze i złocie, ceramicy słynni ze swoich przepięknych cloisone i porcelanowych caczuszek, dmuchacze szkła wyrabiający cudaczne, przepysznie barwne kubki i wazy... Aż w końcu zaroilo się w Bannisferre od rzemieślników i artystów wszelkiego możliwego autoramentu.

Było to miłe miasto, wolne od plugastwa. Obecnie udekorowane gdziekolwiek spojrzeć podobiznami Króla Ziemi - kunsztownie pomalowanymi i ubranymi drewnianymi posągami. Na ulicy nie wpadało się co rusz na płaczących się pod nogami urwisów, sędziowie urzędowali w obszytych złotem skórzanych pelerynach - nie tyle praktykujący prawnicy, ile jeszcze jedna ozdoba i atrakcja grodu.

Urok tego zakątka napełniał Gaborna lekkim smutkiem. Miasto nie zostało należycie ufortyfikowane. Choć wzniesione nad rzeką, nie nadawało się na warownię, a otaczający je niski, kamienny mur może i powstrzymałby konnicę, ale tylko ciężką. Zapewne można by się bronić nieco dłużej w domach pieśni z ich rzędami posągów.

Nie, w razie wojny Bannisferre zostałoby zdobyte z marszu, a jego piękno skalane.

Wdzięczne domy pieśni były wprawdzie z kamienia, jednak wzniesiono je, myśląc o pięknie, a nie o obronie. Drzwi i okna była za szerokie. Podobnie jak mosty na rzece Dwindell - nawet cztery powozy mogły się na nich minąć. Trudno bronić takiej przeprawy.

Gaborn wrócił na Rynek Południowy i przedarł się przez chmurę pszczoł do gospody. Zamierzał dotrzymać złożonej Borensonowi obietnicy i nie kusić licha. Znalazł

miejsce w rogu, zamówił obiad stosowny dla wyrafinowanego podniebienia i położył nogi na stole.

Dziennik usiadł naprzeciwko. Gaborn czuł, że powinien uczcić szczęśliwą odmianę losu Borensona. Rzucił srebrną monetę usługującemu tu jasnowłosemu chłopakowi, może pięć lat młodszemu od niego.

- Przynieś nam wina. Dla Dziennika jakieś słodkie, dla mnie z głupiej jagody.

- Tak, panie - odparł chłopiec.

Gaborn rozejrzał się wkoło. Sala była prawie pusta. Trzy tuziny krzeseł, tylko parę zajętych. Na drugim końcu dwóch wytwornych mężczyzn o ciemnej karnacji rozmawiało cicho na temat zalet innych lokali w mieście. Nad stołami krążyło leniwie kilka zielonych much. Z rynku dobiegał kwik świni.

Gospoda miała się wypełnić pod wieczór.

Chłopak wrócił z dwoma brunatnymi, glinianymi kubkami i dwoma krągłymi butelkami z żółtego szkła, a nie płaskimi flaszkami, do których rozlewano wino na Południu. Każda butelka miała szyjkę opieczętowaną czerwonym woskiem z odcisniętą literą B. Oznaczało to dobry, należycie

wyleżakowany rocznik. Gaborn nie przywykł do tak znamienitych trunków. Wino trzymane w bukłakach zmieniało się w ocet już po sześciu miesiącach.

Chłopak nalał obu po łyku, potem postawił butelki na stole. Szkło zaczęło się już pocić, takie było zimne.

Gaborn przyjrzał się od niechcenia butelkom, przesunął po jednej palcem wskazującym, zbierając wilgotny kurz, i spróbował na języku. Dobra, słodka ziemia. Świetna pod uprawę.

Dziennik upił wina i przytrzymał łyk w ustach.

- Hmm... - zamruczał. - Nigdy nie smakowałem jeszcze czegoś równie udanego. - W mgnieniu oka wychylił resztę kubka i ponownie go napełnił.

Gaborn gapił się na Dziennika. Tego jeszcze nie widział. Kronikarz był zawsze trzeźwy, nigdy się nie upijał. Podobnie jak nie marnował czasu na kobiety ani na cokolwiek nie związanego ze swym powołaniem, czyli rejestrowaniem wydarzeń z życia królów, zbieraniem materiału dla Władców Czasu. Złączony z innym jeszcze bratem, tworzył

z nim zespół - wzajemnie przekazawszy sobie dary bystrości, dysponowali jakby jednym umysłem, obaj wiedzieli to samo i tyle samo. Zazwyczaj podobne więzy wiodły ku szaleństwu wynikłemu z walki o zapanowanie nad zdwojonym umysłem, ale w tym wypadku było inaczej.

Obaj powierzyli swoje żywoty bractwu, a ono o nich dbało. Partner Dziennika siedział w tej chwili gdzieś w klasztorze na jednej z wysp za Orwynne i zapisywał wszystko, czego się dowiadywał o Gabornie.

I dlatego widok Dziennika popijającego chciwie wino był tak dziwny, a nawet całkiem niezwykły. Napad egoizmu?

Gaborn spróbował swego trunku. Wino z głupiej jagody nazwę nosiło na wyrost, nie robiono go bowiem z żadnej jagody, lecz ze słodkich winogron przyprawionych takimi ziołami, jak werbena, wiesiołek i czarny bez, które pobudzały umysł i umniejszały skutki spożycia alkoholu. Smakowało korzennie i było nieco mniej słodkie niż zwykłe wino, a kosztowało tyle, że bardzo niewielu było na nie stać. Nazwa była zatem również ironią podszyta, gdyż to akurat wino nie osłabiało działania zmysłów, lecz raczej je wyostrzało. Jak już się upić, rozumował Gaborn, to najlepiej napitkiem, który pozwala zachować czujność.

W pachnącej świeżym chlebem i duszoną wieprzowiną gospodzie Gaborn poczuł się nieco pewniej. Upił kilka łyków wina, które okazało się zdumiewająco dobre, chociaż nie wywoływało aż takiego pragnienia jak trunek pochłaniany przez Dziennika.

Niemniej księcia nie opuszczał niepokój. Tam, na zewnątrz, ledwie godzinę wcześniej, poczuł nagły przypływ poczucia władzy. Raz dwa ożenił swego przybocznego i na dodatek gratulował sobie tej decyzji. Teraz, gdy siedział przy stole, wydało mu się to dość osobliwe... wręcz dziecinne. Niestosownie impulsywne.

Owszem, pewnego dnia obejmie rządy w jednym z największych królestw świata, jednak w normalnych okolicznościach nigdy nie ośmieliłby się wykorzystywać swojej pozycji, aby brać na siebie rolę swata.

Zadumał się. Ciężyla mu odpowiedzialność związana z przyszłym królowaniem, ale co z niego będzie za król, jeśli zacznie się bawić w podobne głupstwa? W

Komnacie Serc Domu Zrozumienia Ibirmarle, mistrz ogniska domowego, powiedział raz:

„Nawet Władca Runów nie może rozkazywać sercu. Głupiec ten, kto spróbuje”. Gaborn jednak przekonał Borensona do ożenku.

A co, jeśli koniec końców znieawidzi tę dziewczynę? Będzie miał żal do Gaborna?

Niemiała perspektywa. I jeszcze jedno: co z Myrrimą? Czy pokocha Borensona?

Dziennik zaczął drugi kubek wina i mimo widocznych prób utrzymania pragnienia w ryzach, osuszył naczynie kilkoma łykami.

- Czy słusznie zrobiłem? - spytał Gaborn. - Borenson to przecież dobry człowiek, prawda? Pokochają.

Dziennik uśmiechnął się, lekko zaciskając wargi, i spojrzał uważnie na Gaborna spod przymrużonych powiek.

- W moich stronach jest takie powiedzenie: Dobre czyny sprzyjają szczęściu.

Gaborn zastanowił się, skąd właściwie Dziennik może pochodzić. Owszem, członkowie bractwa byli ludźmi, ale uważali się niemal za odrębny gatunek.

Zapewne słusznie, bo oddanie Władcom Czasu wymaga wielkich ofiar. Muszą porzucić dom i rodzinę, wyrzec się lojalności wobec władcy. W zamian ta gromada tajemniczych mężczyzn i kobiet bada życie możnych, spisuje kroniki, które publikuje po ich śmierci, a jednak trzyma się z dala od świata polityki.

Jednak Gaborn nie ufał całkowicie tym obserwatorom, a szczególnie nie lubił ich tajemniczych uśmiechów. Był pewien, że całe to towarzystwo tylko udaje obojętność wobec ludzkich spraw. Towarzyszyli wszystkim Władcom Runów, spisując ich słowa i czyny, a czasem, gdy się spotykali, przekazywali sobie różne informacje, ale niejawnie, tylko swym tajnym językiem. Przodkowie Gaborna obserwowali rytuały Dzienników od pokoleń, ale nie dołączyli złamać ich szyfrów.

Jednak na ile prawdziwe były ich bezstronność i dystans? Gaborn podejrzewał, że czasem członkowie bractwa dopuszczali się zdrady, przekazując informacje wrogim królom. Były w dziejach bitwy, których przebieg jasno wskazywał na krecią robotą szpiegów. Najpewniej właśnie Dzienników. Niemniej i w tym nie byli konsekwentni na tyle, by orzec, komu właściwie sprzyjają, kogo mają za sojusznika. Po prawdzie wyglądało na to, że źli królowie korzystali z informacji Dzienników tyle samo, ile dobrzy. A żaden król nie mógł

uniknąć ich obecności. Owszem, byli tacy, co próbowali się pozbyć Dzienników, ale rządy ich kończyły się gwałtownie przed upływem roku. Zawsze i niezmiennie. Bractwo Dni było zbyt potężne, by z nim igrzać, a jeśli któryś władca usuwał swego Dziennika z tego padołu, rychło odkrywał, jak potężną bronią są informacje gromadzone przez partnera zgładzonego. Wrogowie poznawali słabe strony, majątek przepadał, wieśniacy wzniecali bunty. Nikt nie mógł bezkarnie narazić się Dziennikom. Gaborn uważał nawet, że nikt tego nie powinien robić. Stara maksyma głosiła: „Kto nie zniesie próby wejrzenia w jego życie, nie może nałożyć korony”. Podobno słowa te przekazali ludziom sami Szlachetni w dniach, gdy pierwsi królowie zyskali towarzystwo Dzienników. „Władcy Runów winni zawsze służyć człowiekowi” - to inna zasada podana przez Szlachetnych.

Zatem pozycja Gaborna miała swą cenę. Nigdy nie uwolni się od tej osoby, nigdy nie będzie sam. Chociaż obejmie władzę nad całym królestwem, na niektóre sprawy nadal nie będzie miał wpływu.

Raz jeszcze powrócił myślami do Borensona. To był żołnierz, a żołnierze nie zawsze okazują się dobrymi władcami, gdyż przywykli rozwiązywać problemy siłą. Ojciec Gaborna wolał nadawać tytuły ziemskie kupcom, który opanowali sztukę negocjacji. Gaborn pojął nagle, że Dziennik nie odpowiedział na jego pytanie, że wykreślił się sianem.

- Powiedziałem, że Borenson to dobry człowiek. Zgadzasz się z tym?

Dziennik patrzył gdzieś przed siebie. Głowa mu się lekko kiwała i był na najlepszej drodze do upicia. Nalał sobie jeszcze wina.

- Ani w części nie tak dobry jak ty, wasza wysokość. Ale założę się, że uczyni ją całkiem szczęśliwą.

Powiedział wasza wysokość, a nie mój panie.

- Ale to dobry człowiek, prawda? - spytał po raz trzeci Gaborn, zirytowany unikami Dziennika.

Brat odwrócił oczy i zaczął coś mruczeć pod nosem.

Gaborn uderzył w blat, aż butelki podskoczyły, zadzwoniły kubki.

- Odpowiedz! - krzyknął.

Dziennik spojrział na niego zdumiony. Wiedział, że nie należy ignorować ostrzeżenia, bo w następnej kolejności przyjdzie mu posmakować pięści księcia, a Gaborn miał

siłę trzech mężczyzn. Dość, by zabić zwykłego człowieka jednym uderzeniem.

- No... a czemu to takie ważne, wasza wysokość? - zagadnął Dziennik, starając się odzyskać jasność myśli. - Nigdy wcześniej nie troskałeś się jego moralność. Nie dociekałeś, ile w nim dobroci.

Znow łyknął wina i chociaż bez wątpienia miał ochotę na więcej, rozsądek wziął górę.

Odstawił kubek.

Czemu właściwie dopytuję o kręgosłup moralny Borensona? zastanowił się Gaborn i odpowiedź zaraz sama przyszła: bo wypileś wino z głupiej jagody i zauważyłeś, jak bardzo Dziennik wykręca się od odpowiedzi w tej kwestii. Ponieważ Myrrima powiedziała, że księżniczka Ioma powątpiewa w twoje szlachetne przymioty. Teraz zaczynasz się niepokoić, co sądzą o tobie inni. Bo... wiesz, że każdy prostak może dochrapać się kawałka ziemi, a tylko niektórzy królowie zyskują serca poddanych.

Gaborn miał nadzieję zdobyć nie tylko przychylność swego ludu, ale także Iomy, nie śmiał jednak wyjawiać tych planów Dziennikowi. Ani nikomu innemu. Gdyby ojciec Gaborna, król Orden, dowiedział się o tych zamiarach, mógłby go powstrzymać.

Wino poszło do głowy i zaczęło działać, ukazując świat w innym świetle. Gaborn jednak nie zamierzał dać się zwieść z tropu innymi wątkami, które podsuwał mu Dziennik.

- Opowiedz na moje pytania! Co sądzisz o Borensenie? Dziennik położył dłonie na stole i zebrał się na odwagę.

- Jak chcesz, wasza wysokość. Spytałem raz Borensona, jakie jest jego ulubione zwierzę, a on odpowiedział, że uwielbia psy. Spytałem go dlaczego, a on odparł: lubię słuchać, jak warczą. Podoba mi się, gdy rzucają się na obcych z bezmyślną agresją.

Gaborn roześmiał się. To pasowało do Borensona. W walce był straszny.

Dziennik odetchnął, widząc, jak Gabornowi poprawia się humor. Pochylił się nad stołem.

- Prawdę mówiąc, wasza wysokość, sądzę że Borensen podziwia w psach coś całkiem innego - dodał konspiracyjnie. - Coś, o czym nie wspomniał.

- Co takiego?

- Wierność.

Gaborn roześmiał się jeszcze głośniej.

- To Borensen jest jak pies.

- Nie. Lubi tak o sobie myśleć, ale jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie, to ma wszystkie psie zalety prócz tej jednej. Prócz wierności.

- Zatem nie uważasz go za dobrego człowieka?

- To zabójca. Rzeźnik, wasza wysokość. Dlatego został dowódcą twojej straży.

Gaborna to zirytowało. Dziennik się mylił. Historyk uśmiechnął się po pijacku i znowu łyknął na odwagę.

- W gruncie rzeczy żaden z twoich przyjaciół nie jest dobrym człowiekiem -

ciągnął Dziennik. - Wasza wysokość nie dobiera ich sobie dla ich cnót.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Gaborn, który zawsze sądził, że jego przyjaciół cechuje stosowna doza zalet.

- To proste, wasza wysokość. Niektórzy wybierają przyjaciół, kierując się ich wyglądem, inni patrzą na majątek lub pozycję społeczną, jeszcze inni myślą o interesie ogółu. A są i tacy, którzy szukają w nich znaczących zalet. Ty jednak, panie, żadnego z tych kryteriów nie cenisz sobie zbyt wysoko.

To była prawda, Gaborn miał przyjaciół tak pomiędzy szpetnymi, jak i małymi tego świata. Bliski mu Eldon Parris sprzedawał pieczone króliki na rynku. Wielu innych przyjaciół mógłby bez cienia przesady określić jako zwykłych łotrów.

- Jak więc dobieram sobie przyjaciół? - spytał.

- Jesteś młody, zatem przede wszystkim zwracasz uwagę na ich umiejętność wejrzenia w cudze serce, wasza wysokość.

Stwierdzenie to było dla Gaborna niczym podmuch powietrza znad zamarznętego jeziora. Przenikliwe i odświeżające. Uczciwe postawienie sprawy. Bez wątpienia prawdziwe.

- Nigdy o tym nie pomyślałem... Dziennik roześmiał się.

- To jeden z siedmiu kluczy do zrozumienia motywów ludzkiego działania. Obawiam się, młody panie, że niezbyt potrafisz dobierać sobie przyjaciół. Ha! Czasem wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy zostaniesz królem: otoczysz się ekscentrykami i uczonymi. Nie potrwa długo, a zaczniesz za ich poradą brać regularnie lewatywy z czosnkowego wywaru i

nosić pantofle ze spiczastymi czubkami! Ha!

- Siedem kluczy? Skąd znasz takie rzeczy?

- Z Komnaty Marzeń - odparł Dziennik i nagle usiadł prosto, pojawiwszy poniewczasie, jak wielki błąd popełnił. Władcy Runów nie mieli dostępu do tej komnaty Domu Zrozumienia.

Tajemnice, których tam nauczano, dotyczyły ludzkich motywacji i prawdziwych pragnień; uważano, że ich znajomość byłaby w rękach królów nazbyt potężną bronią. Gaborn uśmiechnął się triumfalnie - małe to było zwycięstwo, ale smakowite. Uniósł kubek.

- Za marzenia.

Dziennik jednak nie spełnił toastu razem z nim. Najpewniej przysięgał sobie właśnie, że nigdy więcej nie będzie pił w obecności Gaborna.

Z cieni na drugim końcu pomieszczenia wyłoniła się freta z młodym w łapkach.

Freciątko popiskiwało z cicha po swojemu, co jednak ani do Dziennika, ani do Gaborna nie docierało, mimo że mieli dobry słuch. Wszystkie sześć sutek frety było poczerwieniałe i nabrzmiałe. Wysokie na stopę stworzenie miało mało wyrazisty pyszczek, w którym odznaczały się przede wszystkim masywne szczęki. Podeszło do Dziennika i prawie oślepiąca dziennym światłem, poczęło wpychać małe do kieszeni jego płaszcza.

Frety nie były stworzeniami inteligentnymi, chociaż miały swój język i posługiwały się prymitywnymi narzędziami. Większość ludzi miała je za gryzonie, gdyż podobnie jak one, frety nieustannie podkopywały się pod domy w poszukiwaniu żywności.

Gaborn słyszał, że samice fret często w ten właśnie sposób odstawiają małe od piersi - szukają gospody, a następnie pakują potomka do kieszeni kogoś obcego. Jednak nigdy jeszcze tego nie widział. Wielu rzuciłoby po prostu w stworzenie sztyletem. Gaborn uśmiechnął się lekko i odwrócił oczy. Dobrze, pomyślał, niech małe freciątko wyżre temu cholernemu historykowi podszewkę z płaszcza. Poczekał, aż freta skończy upychać małe.

- A co ze mną? - spytał pijanego Dziennika. - Czy jestem dobrym człowiekiem?

- Wasza wysokość jest wręcz wcieleniem cnót!

Gaborn uśmiechnął się. Nie mógł oczekiwać innej odpowiedzi. Na tyłach sali gospody inkarrański pieśniarz uderzył w struny mandoliny i zaczął ćwiczyć to, co chciał

zagrać dla mającego zebrać się pod wieczór tłumu. Gaborn rzadko słuchał pieśni Inkarran, jego ojciec bowiem nie przepuszczał ich przez granice; teraz więc chętnie nastawił ucha na kontrabandę. Inkarranin miał skórę jasną jak śmietana, włosy przywodzące na myśl płynne srebro, oczy zaś zielone niczym stary lód. Całe jego ciało pokrywały plemienne tatuaże: nogi oplatała mu niebieska winorośl, pośród której widniały ideogramy wymieniające imiona jego przodków i nazwę rodzinnej wioski. Na kolanach i przedramionach wytatuowano węzły i inne magiczne symbole.

Mężczyzna śpiewał głosem silnym, nieco gardłowym. Na swój sposób było to piękne i wskazywało jednoznacznie, że ma ukryte runy talentu. Sztuka tworzenia ukrytych runów właściwa była tylko niektórym Inkarranom. Mimo to pieśniarz nie potrafiłby oddać eterycznych tonów wyśpiewywanych godzinę wcześniej przez solistkę przed domem pieśni. Z drugiej strony jego głos brzmiał prawdziwiej, to był szczerzy śpiew, pomyślał

Gaborn. Tamta kobieta występowała dla pieniędzy i sławy, ten tu mężczyzna chciał przede wszystkim zabawić gości gospody. Szczodry i szczerzy gest.

Dziennik wbił oczy w dno kubka. Był świadom, że powiedział za dużo, ale musiał wyduścić z siebie jeszcze jedno.

- Wasza wysokość, może to i dobrze, że nie cnoty najbardziej cenisz u przyjaciół.

Przynajmniej wiesz, że nie możesz im w pełni ufać. A jeśli wasza wysokość jesteś mądry, to i sobie nie zaufasz.

- Jak to? - zdumiał się Gaborn. Ktoś taki jak Dziennik nigdy nie był sam, wciąż pozostawał w bliźniaczym związku z drugim członkiem bractwa i nigdy nie zaznawał

tego luksusu, jakim jest zaufanie do samego siebie. Gaborn zastanowił się, czy to sprzężenie naprawdę jest aż tak korzystne.

- Najcięższe występki popełniają zwykle ludzie, którzy mają się za dobrych i dlatego nie zaglądną w głąb swoich dusz. Ci, którzy dostrzegają w sobie zło, mogą się przed nim uchronić, powstrzymać od najgorszego. Zło staje się w pełni złem dopiero wtedy, gdy czynimy je ze szczerym przekonaniem, że postępujemy dobrze.

Gaborn chrząknął zadumany.

- Jeśli mi wolno być tak śmiałym, to dodam jeszcze, że się cieszę, iż o to spytałeś, panie. Ludzie nie stają się dobrzy, czyniąc dobro od czasu do czasu. Trzeba nieustannie słuchać swych myśli, patrzeć na swe czyny, oceniać je codziennie, wciąż na nowo pytając siebie, czy idę właściwą drogą.

Gaborn zapatrzył się na chudego uczonego. Oczy zrobiły mu się szkliste, głowę ledwo trzymał prosto, chociaż myślał chyba o wiele jaśniej niż przeciętny pijaczek, rady zaś przekazywał tonem całkiem uprzejmym. Żaden Dziennik nigdy niczego Gabornowi dotąd nie doradził. To było wyjątkowe doświadczenie.

W tejże chwili otworzyły się drzwi gospody i weszło dwóch mężczyzn. Obaj mieli ciemną cerę i brązowe oczy, a ich strój sugerował, że są kupcami, którzy dopiero co przybyli do miasta. Przy boku nosili rapiery i długie noże przytroczone w okolicy kolan.

Jeden uśmiechnął się, drugi zmarszczył brwi.

Gaborn przypomniał sobie coś, co usłyszał od ojca jeszcze w dzieciństwie: „W

kraju Muiyatin zabójcy zawsze podróżują parami. Porozumiewają się ze sobą mową gestów”.

Potem ojciec nauczył go tej ich mowy. Jeden uśmiechnięty, drugi z marsowym czołem znacząco: „Żadnych wieści, tak dobrych, jak i złych”.

Gaborn omiótł pomieszczenie oczami. W przeciwległym rogu siedziało kolejnych dwóch śniadych. Tak jak on, wybrali miejsca plecami do ściany. Jeden z nich podrapał się w lewe ucho: „Niczego nie słyszeliśmy”.

Nowo przybyli siedli z dala od rodaków. Jeden położył dłonie płasko na stole:

„Czekamy”. Ruchy mężczyzny były szybkie, ale precyzyjne, co sugerowało jednoznacznie, że ma dar metabolizmu. Mało kto może się pochwalić podobnym darem, poza... wojownikami, do których ma się wielkie zaufanie.

Gaborn prawie oczom nie dowierzał. Gośćmi tej gospody byli przede wszystkim całkiem zwyczajni ludzie, a tutaj... Podejrzani nie patrzyli wcale na siebie, w gruncie rzeczy, gdyby nie wiedza Gaborna, nikt nie dostrzegłby w ich gestach nic osobliwego.

Książę rozejrzał się po sali i nie zauważył nikogo, na kogo warto by się było zamachiwać. Nikogo, poza nim samym, a jednak był pewien, że to nie on jest celem zabójców. Cały dzień podróżował w przebraniu, a w Bannisferre roіło się od bogatych kupców i pomniejszych panów na włościach. Śniadzi mogli polować na któregoś z nich, lub nawet śledzić jakiegoś swego pobratymca z Południa.

Gaborn nie był należycie uzbrojony, by stawić czoło takim ludziom. Wstał bez słowa wyjaśnienia: zamierzał poszukać Borensona. W drodze do drzwi minął się z chłopakiem niosącym jego pieczeń wieprzową i świeży chleb ze śliwkami.

Książę wyszedł na ulicę. Dziennik podążył na nim chwiejnym krokiem. Rano, gdy było jeszcze chłodno, miasto robiło wrażenie o wiele lepsze niż teraz. Upał

sprawił, że atmosfera miłego ożywienia musiała skapitulować przed smrodem. Na rynku wisiał w powietrzu odór parującego zwierzęcego moczu wymieszany z wonią brudu i ludzkiego potu.

Gęsta zabudowa wkoło sprawiała, że fetor praktycznie stał w miejscu.

Gaborn pospieszył do stajni, gdzie stary koniuszy z Fleeds przyprowadził księciu jego ciemnobrązowego ogiera. Koń ożywił się, widząc swego pana, uniósł wysoko łeb i zadarł jasny ogon. Chyba chciał opuścić to miejsce równie szybko jak Gaborn.

Książę pogłodził konia po chrapach i obejrzał go sobie ze wszystkich stron.

Widać było, że zadbano o niego jak należy: sierść została wyszczotkowana, ogon i grzywa przeczesane. Nawet zęby mu wyczyszczono. Chociaż miał nadwagę, jeszcze przeżuwał resztki siana.

Po chwili stajenny przyprowadził również białego muła Dziennika. Chociaż nie był to bojowy ogier z wszczepionymi runami siły, również wyglądał niczego sobie.

Gaborn nieustannie oglądał się przez ramię, wypatrując znaków obecności kolejnych zabójców, ale tutaj, przy stajniach, nic szczególnego nie wpadło mu w oko. W

końcu zagadnął stajennego:

- Nie zauważyłeś ostatnio jakichś obcych mężczyzn o śniadej cerze podróżujących parami?

Stajenny pokiwał głową, jakby tylko czekał na to pytanie.

- A juści, jak pan żeś o tym powiedział, to istnie, czterech takich zostawiło u mnie konie. I jeszcze czterech widziałem, jak jechali Sienną na północ.

- Często się tu pokazują? Stajenny uniósł brwi.

- Po prawdzie, jakbyście mi, panie, nie przypomnieli, to nawet bym ich nie przyuważył. I było jeszcze dwóch, co wczoraj późnym wieczorem przegalopowali przez miasto.

Gaborn zmarszczył brwi. Zabójcy zmierzali na północ. Dokąd? Do odległego o setki mil zamku Sylvarresta.

Wyjechawszy z miasta, Gaborn zdwoił czujność. Skierował ogiera na most Himmerroft,

malowniczą budowlę z kamienia spinającą brzegi szerokiej rzeki.

Patrząc w dół, dostrzegł wielkiego brunatnego łososia sunącego przez głębokie zakole, czasem podpływającego ku powierzchni, by złapać krążącą w cieniu wierzb muchę. Rzeka była głęboka, chłodna, bardzo spokojna. Nigdzie nie dostrzegł śladu zabójców.

Pod drugiej stronie bruk ustąpił miejsca zwykłej, ubitej ziemi. Droga ciągnęła się między wioskami na zachód, jej odnoga kierowała się ku północy. Rozstaje otaczał

las, pomiędzy drzewami z północnej strony rosły dzwoneczki, obecnie rzadkie już i przekwitające, bladofioletowe. Gaborn skręcił na Szlak Dzwonków i pognął konia.

Ogier miał wszczepione w kark runy metabolizmu, dzielności, wdzięku i mądrości, dzięki którym był szybki za trzy, silny i urodziwy za dwa i mądry za cztery konie. Typ budowy predestynował go do gonitwy po polach i lasach, do pokonywania przeszkód. Takie zwierzę nie czuje się dobrze w miejskiej stajni, gdzie pasione na ziarnie tylko w tłuszcz obrasta.

Dziennik ze wszystkich sił starał się utrzymać na swoim mule, dość złośliwym stworzeniu, które przy każdej okazji próbowało kąsać rumaka Gaborna. Rychło zostało zresztą w tyle.

Nagle zdarzyło się coś dziwnego. Gaborn jechał przez pola, puste akurat w pełni upału, jeśli nie liczyć przycupniętych nad rzeką świeżych stogów, jednak gdy znalazł się na

niewielkim wzniesieniu trzy mile od Bannisferre, ujrzał przed sobą zalegającą nad ziemią mgłę, w której ledwie majaczyły stogi. Widok był naprawdę dziwny: mgła w słoneczny dzień, i to wczesnym popołudniem. Dęby i szczyty stogów wystawały ponad opar, który był na dodatek dziwnej, jakby lekko niebieskawej barwy. Gaborn nie widział jeszcze takiej mgły.

Zatrzymał się. Koń zarżał nerwowo. Gaborn wjechał w tuman powoli, nieustannie pociągając nosem. Pachniało dość dziwnie, ale czym, tego księżę nie potrafił

powiedzieć. Gaborn miał dwa dary węchu; tylko dwa, jak teraz uznał. Zdawało mu się, że wyczuwa siarkę. Może są w okolicy jakieś gorące źródła i to z nich ta mgła. Pogonił konia przez pola.

Po pół mili mgła zgęstniała tak bardzo, że nawet słońce zbladło na niebie, zmieniło się w żółtawą i rozmytą plamę większej jasności. Na samotnym dębie pokrakiwały wrony. Milę dalej Gaborn ujrzał pośród mgły szary dom, przed którym rąbała drwa młoda kobieta z włosami jak słomiana strzecha. Dziewczyna uniosła głowę. Z tej odległości jej skóra wydawała się szorstka jak jutowy worek, rysy proste, choć osobliwie wyostrzone, a oczy żółte i chorowite. To musiała być jedna z tych sióstr, które oddały Myrrimie swą urodę. Skręcił ku niej i zawołał.

Przerażona dziewczyna zakryła twarz. Gaborn podjechał bliżej i spojrzał na nią ze współczuciem.

- Nie trzeba chować oblicza. Kto ujął sobie, by przydać cnót innemu, godzien jest szacunku. Brzydka twarz często kryje szlachetne serce.

- Myrrima jest w środku - mruknęła dziewczyna i uciekła do domu. Zaraz też wyłonił się stamtąd Borenson z Myrrima u boku.

- Piękny jesienny dzień się zrobił. - Gaborn uśmiechnął się do Borensona. -

Wyczuwam w podmuchach wiatru spalone słońcem rżyska po owsie, jesienne liście i... zdradę. Borenson, zaskoczony, zagapił się na mgłę.

- Myślałem, że się po prostu zachmurzyło - powiedział. - Nie miałem pojęcia... -

Przez zakryte płótnem okna domu nie mógł wcześniej dojrzeć mgły. Wciągnął powietrze w płuca.

Borenson miał cztery dary węchu i jego nos wyczuwał o wiele więcej niż nos Gaborna.

- Olbrzymi. Cuchnący olbrzymi. Wielu ich tu macie? - spytał Myrrimy.

- Nigdy żadnego nie widziałam - odparła zdumiona dziewczyna.

- Ale ja ich wyczuwam. I to wielu.

Spojrzał Gabornowi w oczy. Obaj wiedzieli, że szykuje się coś dziwnego. Księżę zjawił się znacznie wcześniej, niż zapowiedział.

- Do miasta wjechali zabójcy - szepnął Gaborn. - Z Muyyatinu. Co najmniej dziesięciu ruszyło na północ drogą do zaniku Sylvarresta, ale tutaj żadnego po drodze nie widziałem.

- Zbadam sprawę - mruknął Borenson. - Równie dobrze mogą czyhać na twojego ojca.

Jego orszak przejedzie jutro przez miasto.

- Ale chyba z tobą będę bezpieczniejszy? - spytał Gaborn. Borenson zastanowił się i skinął głową. Wyprowadził swojego konia zza domu i dopiero wtedy z mgły wyłonił się Dziennik na mule.

- Niebawem wrócimy - powiedział Gaborn do Myrrimy i popędził ogiera ku łące za chatą. Wolałyby nie zostawiać jej teraz, gdy wkoło kręcili się olbrzymi, ale w końcu sam z Borensonem narażał się na większe niebezpieczeństwo.

Lekki wiatr z północy mieszał opar. Jechali przezeń zielonymi łąkami. Rzeka skręcała na zachód i wkrótce znaleźli się na ścieżce nad brzegami Dwindell. Tutaj nienaturalna mgła jeszcze zgęstniała i zrobiło się tak ciemno, że nawet jaskółki przestały śmigać nad wodą, a miast nich pojawiło się kilka polujących na owady nietoperzy. W krzakach błyskały zielone ogniki świetlików, miękka trawa rosła gęsto, chociaż niedawno została krótko skoszona.

Wszędzie na rozlewiskach rolnicy zbierali siano; wzdłuż rzeki stały liczne stogi czerniejące pośród mgły niczym wielkie, morskie skały. Ilekroć któryś wyłaniał

się z oparu, Gaborn się zastanawiał, czy to olbrzym. A może jakiś kryje się za stogiem?

Teraz i on wyczuwał ich woń. Tłuste włosy olbrzymów zalatywały zawsze gorzkim piżmem, ich wiekowe cielska pokrywały porosty i plamy pleśni.

Jeszcze sto dwadzieścia lat temu nikt w Rofehavanie o nich nie słyszał. Potem pewnej mroźnej zimy nadciągnęło po lodzie plemię czterystu olbrzymów. Wielu spośród nich było rannych. Nie władali dobrze żadnym ludzkim językiem i nigdy nie zdołali wypowiedzieć, jacy to straszni wrogowie ścigali ich po lodowej pustyni. Jednak z pomocą gestów i prostych komend nauczono ich pracować, przez co stali się do pewnego stopnia użyteczni dla ludzi - nosili wielkie głązy w kamieniołomach lub drzewa na wyrębach.

Szczególnie chętnie wynajmowali ich bogaci władcy Indhopalu i z czasem całkiem sporo olbrzymów wyemigrowało na Południe. Jednak naprawdę świetne to plemię było tylko w jednym - w wojowaniu.

Gaborn i Borenson dotarli do małego domku stojącego na wzgórzu pośród drzew.

Okna były ciemne, z komina nie unosił się dym. W progu leżał martwy rolnik z ręką wyciągniętą ku odciętej głowie, jakby już nieżywy pragnął ją pochwycić, by się nie odtoczyła. W powietrzu wisiał miedziany zapach krwi.

Borenson zaklął i pogonił konia. Mgła gęstniała, coraz szczelniej otulała ziemię. W trawie wypatrzyli parujące jeszcze, ludzkie ślady. Przygniecione źdźbła były poczerńiałe, martwe. Gaborn nigdy nie widział czegoś podobnego.

- Tkacze płomieni - orzekł Borenson. - I to potężni, zdolni do ognistej przemiany.

Pięciu Tkacze płomieni trafiali się oczywiście i w Mysterrii. Tacy czarownicy potrafili ogrzać pokój albo zmusić drwa, by zajęły się ogniem, ale żaden nie miał dość mocy, żeby wypalić grunt, po którym stąpał. Nie aż tak. Ci tutaj bliżsi byli więc postaciom z legend o czarnoksiężnikach zdolnych wydierać ludziom sekrety duszy czy wzywać z podziemnego świata istoty będące grozą wcieloną.

Serce zabiło Gabornowi; spojrzął na bardzo czujnego teraz Borensona. W północnych królestwach nie spotykało się takich tkaczy płomieni, podobnie zresztą jak olbrzymów o paskudnym usposobieniu, jedni i drudzy musieli przybyć zatem z Południa.

Gaborn znów spróbował wyczuć, co niesie wiatr. Czy ta mgła, nader dziwna mgła, nie jest w gruncie rzeczy dymem? Zasłoną dymną wywołaną przez tkaczy płomieni? Jeśli tak, to jak wielką armię skrywa?

Nasi szpiegowie się mylili, zrozumiał Gaborn. Raj Ahten nie poczeka z inwazją do wiosny.

Ślady tkaczy płomieni wiodły na północ, wzdłuż brzegu rzeki. Oddziały Raja Ahtena musiały chyba ciągnąć lasami, chociaż tutaj maszerowały z pewnością skrajem puszczy. Mrocznej Puszczy. Mało kto ośmielał się zapuszczać w głąb tego starego, dzikiego i obdarzonego własną mocą lasu. Nawet Raj Ahten nie był dość szalony.

Gdyby Gaborn skierował się teraz na północ, to w pół dnia dotarłby do zamku Sylvarresta. Ale właśnie po to zabójcy strzegli drogi - aby nikt nie przemknął z ostrzeżeniem dla króla Sylvarresty. Gaborn pomyślał jednak, że na takim koniu, silnym i stworzonym do łowów, mógłby bezpiecznie przejechać przez las. Wiedział, co mu tam grozi.

Bywał już wcześniej w Mrocznej Puszczy: polował tu na wielkie, czarne niedźwiedzie.

Olbrzymie niedźwiedzie wyrastały tam czasem równie wielkie jak ogier księcia, a przez stulecia nauczyły się na dodatek atakować jeźdźców. Niemniej powiadano, że pomiędzy drzewami czają się też siły o wiele groźniejsze - szczególnie w zarośniętych, pradawnych ruinach strzeżonych wciąż przez magiczne zaklęcia. No i były jeszcze duchy tych, którzy tam zginęli. Gaborn widział raz takiego ducha.

Ludzie Raja Ahtena musieli jechać na rumakach bojowych, które świetnie sprawdzały się na otwartej przestrzeni, ale w lesie brakowało im szybkości. Niemniej nawet w pełnym galopie jazda poprzez las zajęłaby mu cały dzień. Trochę za długo na jednego, nawet najsilniejszego konia. Poza tym ojciec Gaborna nie pozostał bezpieczny na dalekim Południu, lecz ciągnął na Północ na coroczne jesienne polowanie. Zgodnie ze zwyczajem, tyle że tym razem wziął ze sobą ponad dwa tysiące zbrojnych. Za tydzień Gaborn miał oficjalnie oświadczyć się księżniczce Iomie Sylvarreście, a król Orden chciał, by synowi towarzyszył orszak co się zowie.

Teraz jednak te oddziały mogły się przydać w walce.

Gaborn uniósł dłoń. Szybkimi ruchami palców przekazał Borensonowi: „Wycofaj się i ostrzeż króla Ordena”. Borenson spojrzął niespokojnie i spytał: „Dokąd jedziesz?”

„Ostrzec Sylvarrestę”.

„Nie! To niebezpieczne!”, odpowiedział Borenson. „Ja pojedę!” Gaborn pokręcił głową i wskazał na południe.

„Ja pojedę na północ!”, upierał się Borenson. „Dla ciebie to zbyt niebezpieczne!”

Jednak Gaborn nie mógł na to pozwolić. Nie szukał łatwych dróg do władzy, tej prawdziwej władzy, opartej na uwielbieniu dla monarchy. A jak lepiej zyskać serca ludu Heredonu, jeśli nie tak, przychodząc mu z pomocą w potrzebie?

„Muszę jechać”, pokazał Gaborn zdecydowanymi gestami.

Borenson znów zaczął oponować, ale Gaborn zamachnął się mieczem i ciął przez policzek przybocznego. Cięcie nie było głębokie, Borenson gorzej ranił się czasem przy goleniu.

Niemal natychmiast książę powściągnął gniew i pożałował swego czynu. Niemniej Borenson nie miał dość rozumu, aby nie spierać się ze swoim panem w gardłowej sytuacji.

Kłótnia zawsze jest zacznym trucizny, a kto uwierzy, że poniesie klęskę, najpewniej rzeczywiście przegra. Gaborn nie chciał niczego zatruwać.

Gaborn wskazał mieczem na południe i spojrzął znacząco na Borensona i Dziennika.

Wolną ręką przekazał: „Sprawdźcie, co z Myrrimą”. Skoro wojacy Raja Ahtena zabijali wieśniaków, by na pewno nikt nie wykrył obecności wojsk, to i Myrrimą mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Borenson zastanawiał się upiornie długo. Gaborn nie był byle śmiertelnikiem. Z jego darami mądrości i dzielności niewiele brakowało mu już do mężczyzny. Przez ostatni rok Borenson zaczął go traktować jak równego sobie. Bardziej tak niż jak dziecko, za które odpowiadał. Co więcej, Borenson był w rozterce powinności. Ostrzec należało obu królów, i Ordena, i Sylvarrestę, i to możliwie jak najszybciej. W dwóch kierunkach naraz jechać przecież nie mógł. „Na drodze czyhają zabójcy”, przypomniał mu Gaborn. „Lasy są bezpieczniejsze. Nic mi nie będzie”.

Ku zdumieniu Gaborna Dziennik zawrócił muła i ruszył w drogę powrotną. Księżę rzadko miał okazję uwolnić się od nadzoru historyka, ale cóż, skoro muł nijak nie mógł się równać w galopie z ogierem, próba towarzyszenia Gabornowi mogłaby zakończyć się dla Dziennika tylko w jeden, fatalny sposób.

Borenson sięgnął za siodło i wydobyl łuk i kołczan. Wręczył broń Gabornowi i pochylił się ku niemu.

- Niech Szlachetni mają cię w opiece - szepnął.

Gaborn mógł potrzebować tego łuku. Skinął z wdzięcznością głową.

Gdy obaj zniknęli już we mgle, księżę oblizał wargi. W ustach zaschło mu ze strachu. Gotowość do czynu to załazek odwagi, przypomniał sobie jedną z nauk z Gabinetu Serca. Nagle jednak wszystko, co poznał w Domu Zrozumienia, wydało mu się dziwnie...

nieprzydatne w tej sytuacji.

Przygotował się do walki. Najpierw zsiadł i cisnął na ziemię paradny kapelusz z piórami. Nie chciał przypominać bogatego kupca, w tej podróży winien wyglądać na nędznego wieśniaka, co to go nie stać na żadne dary.

Sięgnął do juków i wyciągnął szary, poplamiony płaszcz. Narzucił go na ramiona.

Sprawdził cięciwę łuku. Nie miał topora, sposobnego do przerąbywania zbroi, tylko obosieczny miecz i przytroczony na łydce sztylet. Napiął parę razy mięśnie rąk i ramion. Wysunął na chwilę miecz z pochwy - dobrze wyważony i znajomy niczym jeszcze jedna kończyna. Schował go troskliwie.

Konia nie mógł nijak przebrać ni zamaskować. Rumak miał postawę dumną jak ożywiony posąg z kamienia lub żelaza. W oczach jarzyły mu się iskierki inteligencji.

- Musimy się pospieszyć, przyjacielu, ale po cichu - wyszeptał mu do ucha Gaborn.

Koń kiwnął łbem. Gaborn nie miał pewności, ile zwierzak zrozumiał, bo odpowiedzieć przecież nie potrafił. Obdarzony kilkoma darami końskiej bystrości, umiał jednak wykonywać wiele ustnych poleceń, więcej niż niejeden człowiek.

Na razie księżę nie śmiał wskakiwać na siodło, wolał poprowadzić ogiera.

Wiedział, że zarówno przed, jak i za armią Raja Ahtena będą krążyć zwiadowcy, a on wolałby nie wystąpić w roli majaczącego we mgle celu dla jakiegoś łuczника.

Ruszył truchtem, krokiem, który potrafił utrzymywać całymi dniami. W tej dziwnej mgle pola trwały nienaturalnie ciche. Spod nóg umykały mu polne myszy, samotna wrona odezwała się z dębu. Wróble poderwały się całą chmarą. Gdzieś w głębi lasu krowa domagała się głośno wydojenia. Potem Gaborn słyszał jedynie suchy szelest traw pod stopami i głuche uderzenia kopyt.

Podążając na północ przez rżyska, uświadomił sobie, że jak na Władcę Runów, nie jest szczególnie silny. Nigdy nie chciał być taki. Zbyt dręczyłoby go poczucie winy, że dodaje sobie mocy

kosztem czyjejs ofiary.

Jednak ledwo się narodził, ojciec zaczął kupować dla niego dary: dwa bystrości i tyleż odwagi, trzy sił życiowych i trzy wdzięku. Widział teraz za dwóch, słyszał za trzech. Miał pięć darów głosu i dwa dostojęstwa. Nie był zatem nikim szczególnym, zwłaszcza w porównaniu z Niezwycięzonymi Raja Ahtena. Nie miał daru metabolizmu, nie nosił zbroi.

Nic go zatem nie chroniło, ale też nic nie spowalniało mu ruchów. Gaborn wolał polegać na sprycie, odwadze i chyżości swego ogiera.

Minał jeszcze dwa domy, oba z martwymi mieszkańcami. Przy pierwszym przystanął w ogrodzie, pozwolił koniowi zjeść kilka jabłek, sam schował parę owoców na później.

Nieco dalej, za drugim gospodarstwem, pola kończyły się ścianą jesionów, dębów i klonów. Granica Mrocznej Puszczy. Liście na drzewach nabrały już matowych barw późnego lata, ale nic nie zapowiadało jeszcze jesieni. W dolinach lato zawsze trwa trochę dłużej.

Wędrując skrajem pola, Gaborn poczuł woń skóry, zmęczonych jazdą koni i naoliwionych pancerzy. Ciągle jednak nikogo nie widział.

W końcu trafił na wiodącą w głąb puszczy drogę dla wozów drwali. Przystanął na skraju lasu, by podciągnąć popręg, bo czekała go forsowna jazda, gdy usłyszał trzask gałęzi.

Niecałe czterdzieści stóp dalej stał olbrzym. Wielkie stworzenie z brudnożółtą sierścią wbijało srebrzyste oczy w mgłę, niepewne chyba, czy Gaborn jest przyjacielem, czy wrogiem. Przeświecające przez korony drzew słońce kładło się na wielkie oblicze wysokiego na dwadzieścia stóp stwora, osiem stóp mierzącego w barach.

Nosił kolczugę z żelaznych kółek, za broń służył mu pień dębu ujęty w żelazne pierścienie. Mordę miał dłuższą niż głowa konia, pysk pełen ostrych zębów. Dzicy olbrzymi nijak nie przypominali ludzi.

Zastrzygł małym, okrągłym uchem, odganiając gza, potem odsunął pobliskie drzewa i pochylił się, wyęzając wzrok.

Gaborn wiedział, że nie powinien wykonywać gwałtownych ruchów, bo olbrzym niechybnie uzna go za wroga. To, że dotąd nie zaatakował, podpowiedziało Gabornowi jedno: zwiadowcy wrogiej armii musieli nosić ciemne płaszcze i jeździć na bojowych rumakach. Tak jak on.

Olbrzym na razie chciał jedynie obwąchać Gaborna. Przyjaciele z armii Raja Ahtena powinni pachnieć curry, oliwą z oliwek i bawełną. Czyli inaczej niż książę. Tak czy owak jasne się stało, że za chwilę Gaborn będzie miał olbrzymia na karku.

Chciał uderzyć, ale wiedział, że nie przebije mieczem tak masywnej kolczugi, zwykła walka z nim nie miała zatem sensu. Nie powinien też pozwolić, aby stwór ostrzegł innych,

więc i łuk nie był szczególnie przydatny. Żadna strzała nie zabije takiej bestii od razu.

Nie, największe szansę dawała tu cierpliwość. Trzeba było pozwolić olbrzymowi podejść jak najbliżej. Niech schyli się nad Gabornem, by go dokładnie obniuchać, a wtedy książę dobędzie miecza i poderżnie stworowi gardło. Szybko i cicho.

- Przyjaciel - powiedział Gaborn spokojnym głosem, aby dodać tamtemu odwagi.

Puścił wodze, rzucił na ziemię łuk. Gigant podszedł, wsparł się na maczudze i pochylił.

Poruszył nozdrzami ledwo dziesięć stóp od Gaborna. Ciągle za daleko.

Przysunął się o kolejną stopę i znów zaczął wietrzyć. Olbrzymi nie mieli czułego węchu. Potwór miał szeroki nos, na którym marszczyła się skóra, gdy wciągał powietrze. Oczy też miał szeroko rozstawione, prawie na dwie stopy. Gaborn czuł w jego

oddechu odór gnijącego mięsa, widział zmatowiałą krew zaschniętą na sierści. Olbrzym musiał uctować ostatnio na jakiejś padlinie.

Znów zmniejszył dystans o stopę. Gaborn też się nieco przysunął, pomrukując łagodnie niczym pragnący okazać swą tożsamość żołnierz przyjaznej armii.

Rozmiary bestii go przytłaczały. Przy nim jestem niczym, myślał. Niczym. Mógłby mnie unieść jak szczeniaka. Każda jego ręka była niemal równie długa jak sam książę. W tej sytuacji nie było ważne, że Gaborn to Władca Runów - te olbrzymie łapska zmiażdżyłyby mu kości, rozszarpały mięśnie.

Wielkie jak talerze srebrzyste oczy przysunęły się całkiem blisko. Nie gardło, pojął nagle Gaborn. Za daleko na cięcie. Nie dam rady poderznąć mu gardła. Zatem oko.

Niczym nie chronione wielkie, srebrzyste oko.

Olbrzym był bardzo stary, z pomarszczonym pod sierścią pyskiem. Musiał to być jeden z tych najbardziej wiekowych olbrzymów, którzy nadciągnęli kiedyś po północnym lodzie. Sędziwy starzec. Gaborn pożałował, że nie zna jego mowy, aby dobić jakoś targu, przekupić.

Olbrzym uklęknął, znów wciągnął głęboko powietrze i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Gaborn jednym ruchem wyciągnął miecz i wbił go głęboko w oczodoł olbrzyma, sięgając aż do mózgu. Wyszarpnął zaraz klingę i odskoczył. Zdziwił go wielki strumień krwi, który natychmiast trysnął z rany.

Olbrzym cofnął się gwałtownie i przycisnął łapska do oczodołu. Szczeka opadła mu na chwilę. Wyprostował się, zachwiał w lewo i uniósł pysk do nieba. Umierając, zawył jeszcze. Gromowy zew wstrząsnął puszcza.

Wszędzie na północ, południe i zachód od Gaborna rozległy się pohukiwania innych olbrzymów.

5

WAROWNIA DARCYŃCÓW

Tego wieczoru miasto poniżej zaniku Sylvarresta leżało ciche i spokojne.

Wcześniej, za dnia, przybyły nadzwyczaj liczne karawany kupców z Południa, wszystkie obładowane cennymi przyprawami i barwnikami, kością słoniową i suknem z Indhopalu.

Błonia za murami miejskimi jaśniały od jedwabnych namiotów. Latarnie w ich wnętrzach upodabniały płócienne pawilony do wielobarwnych klejnotów - szmaragdów, topazów, szafirów i jadeitów. Z mrocznych i groźnych murów zamku wyglądało to zarówno pięknie, jak i niepokojąco.

Wszyscy strażnicy na blankach wiedzieli, że „kupiec korzenny” został już zwolniony oraz że jego pobratymcy przyjęli warunki króla i bez szemrania zapłacili sowity okup. Jednak nie byli tym uszczęśliwieni i po cichu niezmiernie się burzyli. Wszyscy obawiali się, że mogą z tego wyniknąć zamieszki. Jednak z karawanami mułów i koni pojawiło się coś jeszcze, coś całkiem nowego, czego jeszcze nigdy tu nie widziano, chociaż karawany z Indhopalu przybywały od setek lat.

Były to słonie. Czternaście białych słoni, w tym jeden z wszczepionymi runami siły. Okrywały je kolorowe, jedwabne tkaniny, na łbach miały czapraki ze złotogłowa naszywanego perłami. Uprząż nosiły równie zdobną, a na grzbietach dźwigały jedwabne palankiny.

Ich właściciel, jednooki mężczyzna z siwą brodą, powiedział, że przyprowadził je jako ciekawostkę, jednak w zamku wiedziano, iż w Indhopalu nakładano słoniom pancerze i wysyłano przodem, by taranowały bramy fortec.

Ponadto kupcom towarzyszyła dziwnie silna straż wynajęta do obrony karawan. „No tak”, przyznawali kupcy pytani o ten nadmiar zbrojnych, „ale bandyci na pogórzcu bardzo się w ostatnim roku rozzuchwalili. Są prawie tak groźni jak raubenowie z gór!” Jeśli chodzi o raubenów, ten rok

nadzwyczaj w nich obfitował. Całe bandy przekraczały górskie granice na południu i zachodzie, zagrażając Fleeds i Orwynne. Żołnierze Sylvarresty odkryli wiosną w Mroczej Puszczy wydeptane przez nich ścieżki - pierwsze takie ślady od trzydziestu lat.

Tak więc mieszkańcy Heredonu przymykali oko na całe oddziały strażników przy karawanach i mało kto, prócz króla Sylvarresty i dowódców jego wojsk, martwił się słoniami.

Po zachodzie słońca ruszył się zimny wiatr i znad rzeki nadpełzła mgła. Otuliła miasto, sięgnęła do parapetów na murach. Noc nie była księżycowa, na niebie płonęły tylko wieczne diademy gwiazdznego pola.

Nic zatem dziwnego, że zabójcy przedostali się przez Mur Zewnętrzny nie zauważeni. Może zresztą weszli do miasta w ciągu dnia, udając kupców, i ukryli się w jakimś gołębniku czy stajni, a część rzeczywiście skorzystała z gęstej mgły, której pasma ogarniały blanki niczym macki.

Nikt nie poczuł się też przesadnie zaskoczony, gdy samotny strażnik z Warowni Króla spostrzegł cienie wspinające się niczym czarne pająki po Murze Królewskim, od strony Maślanej.

Król wystawił dodatkowych obserwatorów, by pilnowali tego miejsca. Wszystkie strzelnice każdej wieży były obsadzone. Oczekiwano, że zabójcy spróbują tej właśnie nocy, ale nawet strażnicy zdumieli się, jak szybko i cicho nadeszli napastnicy. I jacy byli groźni.

Tylko ludzie z darem metabolizmu zdolni byli poruszać się tak szybko, że jeśli ktoś mrugał akurat oczami, to mógł ich nie spostrzec. Przyjmowanie podobnych darów równało się niemal samobójstwu, bo wprawdzie ktoś taki był niemal dwukrotnie śmiglejszy od zwykłego człowieka, to jednak starzał się także dwukrotnie prędzej.

Niemniej obserwujący rozwój wydarzeń królewski dalekowidzący, sir Millman, zauważył, że niektórzy zabójcy poruszali się aż trzykrotnie szybciej. Tak wyposażeni wojownicy musieli się wypalić po dziesięciu latach, umrzeć po piętnastu.

Poza tym tylko ktoś obdarzony nadludzką siłą mógł się wspiąć na te mury z pomocą jedynie stóp i palców szukających szczelin między kamieniami. Sir Millman nie potrafił nawet odgadnąć, ile darów krzepkości miał każdy z nich.

Millman obserwował ich z Wieży Królewskiej. Z darem wzroku siedmiu ludzi był idealny na ten posterunek.

- Panie, goście nadeszli - zawołał cicho w stronę drzwi komnaty króla.

Król Sylvarresta siedział tyłem do ściany na ulubionym fotelu do czytania swego ojca i studiował zapiski emira Owatta z Tuulistanu. Próbował się dowiedzieć, co tak niezwykle jest w taktyce walki Raja Ahtena, że ten za wszelką cenę stara się to zachować w sekrecie.

Teraz król zdmuchnął lampę i podszedł do wykuszu. Spojrzał przez przezroczystą tafłę okna. Szkło było tak wiekowe, że się pofałdowało i spływało gdzieś tam soplami zgrubień niczym masło czy smoła.

Zabójcy dotarli do ostatniego muru zamku Sylvarresta, Warowni Darczyńców, gdzie przemieszkiwali wszyscy ci, którzy oddali swoje dary członkom rodu Sylvarresta oraz żołnierzom króla.

Zatem zabójcy Raja Ahtena przybyli zabić darczyńców Sylvarrestów, zamordować wszystkich wspierających jego potencjał obronny umysłami, siłą i żywotnością.

Był to czyn naprawdę nikczemny. Darczyńcy nie mogli się bronić. Wspaniali młodzieńcy, którzy oddali talenty bystrości, nie potrafili odróżnić lewej ręki od prawej. Ci, którzy oddali swe siły fizyczne, leżeli bezradni jak niemowlęta, zbyt słabi nawet na to, by wstać z łóżek. Zabijanie darczyńców było zwykłą podłością.

Niemniej, co ze smutkiem trzeba było przyznać, nie było innego, równie skutecznego sposobu, aby pokonać Władcę Runów. Usuwając tych, którzy go we wszystkim wspierali, odzierało się go z sił i czyniło na powrót zwykłym człowiekiem.

Atak rozwijał się tak szybko, że Sylvarresta ledwie miał czas wydać obrońcom rozkazy. Na blankach czekał wrzący olej wniesiony tam zaraz po zmroku, a poza zwykłą trójką straży ukryci za występami muru czaili się inni zbrojni.

Niemniej trzeba było ich ostrzec, że nadeszła pora walki. Łucznicy w wieżach i żołnierze skryci w mieście musieli zostać powiadomieni, że mają odciąć zabójcom drogi ucieczki. Gdy napastnicy dotarli do połowy wysokości muru, król otworzył okno i dmuchnął w świstawkę. Cicho, ale przenikliwie.

Żołnierze jak jeden skoczyli na nogi. W dół pociekł olej, w ślad za nim poleciały puste, żelazne kociołki. Efekt był gorszy, niż oczekiwano, gdyż płyn ostygł już nieco i chociaż zabójcy krzyczeli z bólu poparzeni, a paru odpadło strąconych kociołkami, to jednak ponad dwudziestu wciąż wspinało się sprawnie jak jaszczurki.

Strażnicy na szczycie Warowni Darczyńców sięgnęli po miecze i piki. Z odległej o jakieś sto jardów Warowni Króla nadleciały strzały i znów kilku zabójców runęło w dół, jednak wojownicy Raja Ahtena okazali się przerażająco szybcy, a przede wszystkim niezwykle zdeterminowani.

Król Sylvarresta sądził, że napotkawszy opór, napastnicy rzucą się do ucieczki, oni jednak tylko przyspieszyli wspinaczkę, aż dotarli do blanków. Tam czekały na nich ostre żelaza. Tuzin nie zdołał ich uniknąć.

Niemniej siedmiu dostało się na szczyt wieży, gdzie mogli wreszcie wykorzystać swe niewiarygodne umiejętności. Ludzie Sylvarresty nie mieli z nimi większych szans i tuzin ich poległ w zamian za czterech dalszych napastników. Trzech ocalałych runęło po schodach do warowni w tej samej chwili, gdy w bramie pojawili się królewscy pikinierzy.

Ignorując strażników, napastnicy skoczyli do żelaznej kraty zamykającej wejście do Sali Darczyńców. Dwóch zabójców uchwyciło ją, szarpnęło i wyrwało, aż z portalu posypały się dwustufuntowe kamienie. Trzeci zabójca obrócił się ku pikinierom, gotów do obrony. Jednak ci pikinierzy nie byli zwykłymi żołnierzami. Kapitan Derrow i kapitan Ault nadchodzili ramię przy ramieniu. Śmiało, bez uników. Kapitan Ault uderzył z szybkością błyskawicy w głowę zabójcy.

Tamten zanurkował i musnął krótką szablą rękawicę Aulta. Napastnik ubrany był na czarno, istny, oszałamiająco szybki potwór. Ciął, przenosząc ciężar z jednej stopy na drugą, tak błyskawicznie, że zwykły człowiek by się nie zastawił. Zaraz wyciągnął drugą szablę i zamachał obiema w śmiertelnie groźnym stylu walki zwanym Tańcem Rąk.

W tejże sekundzie obite żelazem drzwi Warowni Darczyńców skrzypnęły rozdzierająco i dwaj napastnicy otworzyli je szeroko. Jeden zaraz wbiegł do środka.

Kapitan Derrow wymachiwał piką niczym toporem. Zabójca w progu otrzymał celny cios w głowę. Drugi uchylił się, ale Ault przewidział ten ruch. Wbił mu pikę w pierś, uniósł go i odrzucił na bok. Natychmiast cisnął też samą pikę, dobył długiego sztyletu i skoczył do Warowni Darczyńców.

W środku odkrył, że zabójca zdążył już zabić dwóch strażników przy drzwiach i pobiegł dalej, mordując pięciu czy sześciu darczyńców, którzy leżeli w łóżkach.

Właśnie

klęczał nad następną ofiarą; w dłoni trzymał szablę.

Ault cisnął sztyletem, który wbił się głęboko w plecy mężczyzny. Gdyby zabójca był

zwykłym człowiekiem, wyzionąłby ducha w jednej chwili; gdyby buzowała w nim wściekłość połączona z nadmiarem sił życiowych, wpadłby w szal bitewny.

On jednak uczynił coś jeszcze innego, co zmroziło Aultowi szpik w kościach.

Obrócił się, ciemna postać w czarnym kaftanie i czarnych bawełnianych spodenkach, z czarną chustą na twarzy. W uchu jaśniało mu złote kółko. Przyjrzał się uważnie kapitanowi, w jego spojrzeniu czaiła się śmierć. Serce zabiło żywiej Aultowi, który nie potrafił sobie nawet wyobrazić, iloma darami trzeba dysponować, aby stać tak ze sztyletem wbitym w plecy.

Przez drzwi wpadł tuzin żołnierzy, wypełniając salę. Ault wziął młot z rąk martwego strażnika. Zabójca spojrzał kapitanowi w oczy i uniósł ręce.

- Barbarzyńco! - odezwał się chropawo, z dziwnym akcentem. - Tak jak ci ludzie mnie ogarną, tak i wy ulegniecie Niezwyciężonym mego pana!

Niezwyciężeni Raja Ahtena byli elitą elit: wojownikami o wielkich siłach życiowych, każdy z jednym przynajmniej darem metabolizmu.

Zabójca zachowywał się, jakby zamierzał zaatakować, ale Ault wiedział, że to tylko gra pozorów. Nie po to obcy wdarł się do sali, aby walczyć, jego zadaniem było zamordować tylu darczyńców, ilu tylko zdoła.

Gdy obrócił się ku kolejnemu łóżku, kapitan zamachnął się młotem i strzaskał napastnikowi podstawę czaszki.

- Ja bym się nie zakładał - powiedział.

Czekając w warowni, król Sylvarresta czuł, jak jego darczyńcy umierają. Tracił z nimi magiczny kontakt. Dziwne, przyprawiające o mdłości wrażenie, zupełnie jakby zimny wąż buszował mu we wnętrzościach. Śmierć każdego z nich zatrząskiwała kolejne drzwi do obszarów pamięci, wspomnień, które miały zostać utracone na zawsze.

Udzielili mu daru pamięci i zginęli, a on teraz nie dowie się nawet, co stracił

- czy były to wspomnienia z dzieciństwa, czy z pikniku w puszczy. A może obraz ważnych układów szermierczych, których uczył go ojciec? Albo przepiękny zachód słońca, lub pocałunek żony...

Wiedział jedynie, że został zubożony. Drzwi do komnat pamięci zamknęły się na głucho, w umyśle króla zaległa na chwilę wielka ciemność, w której jasno jarzyło się tylko poczucie straty. Gdy biegł na dół, aby bronić swoich darczyńców, miał wrażenie, że porusza się w kompletnym mroku.

Minutę później dotarł do warowni i mógł policzyć poległych. Dziesięciu strażników martwych, pięciu rannych. I pięciu zamordowanych darczyńców.

Obejrzawszy ciała zabitych napastników z Muyyatinu, przekonał się, jak niezwykle byli wojownikami. Ich dowódca, ten pokonany przez Aulta, miał ponad siedemdziesiąt runów wszczepionych w ciało. Z tak wieloma darami musiał być chyba jednym z kapitanów Niezwyciężonych. Wielu innych miało po dwadzieścia lub trochę więcej runów, co czyniło ich równymi kapitanowi Derrowowi.

Pięciu darczyńców Sylvarresty leżało bez życia. Dwóch wykształconych, którzy oddali mu pamięć i bystrość, dwóch wspierających go swym wzrokiem i jeden służący tak samo królewskiemu dalekowidzącemu. Sylvarresta pomyślał, że widać ślepcy musieli sobie opowiadać różne historie przy ogniu i ich głosy ściągnęły tu obu nierozumnych.

Gdy zabrano już ciała, Sylvarresta pomyślał, że jednak miał sporo szczęścia.

Mogło być gorzej. Gdyby zabójcy wdarli się głębiej do warowni, skutki byłyby opłakane.

Jednak nie mógł się nie zastanawiać, co utracił. Dysponował darami umysłu pięciu ludzi. Czterdzieści procent z tego, co umiał i pamiętał, owoce lat ciężkiej nauki, po prostu zniknęło. Czy w

nadchodzących dniach odczuje brak czegoś, co pamiętał

jeszcze przed kwadransem?

Zamyślił się. Czy ten atak to wstęp do przyszłorocznej wojny? Czy Raj Ahten wysłał zabójców przeciwko wszystkim królom Północy, by spróbować ich osłabić? A może był to element jakiegoś śmielszego planu?

Lektura zapisków emira napełniła Sylvarrestę niepokojem. Raj Ahten rzadko uciekał się do złożonych planów. Zwykle atakował pojedyncze zamki całą siłą, pokonywał obrońców, a nim ruszał w dalszą drogę, zabezpieczał solidnie tyły.

Wydało się dziwne królowi, że Ahten wymierzył atak właśnie w Heredon, który nie leżał w najbliższym sąsiedztwie ziem dzikiego władcy. Nie był też najsłabiej bronionym z królestw Północy.

Potem przypomniał sobie tę partię szachów sprzed wielu lat i to, jak Raj Ahten starał się opanować przeciwległe narożniki szachownicy. Wprawdzie Heredon leżał na skraju planszy Ahtena, jednak konsekwencje jego utraty byłyby tragiczne: Raj Ahten opanowałby przyczółek na Północy, zmuszając Fleeds i Mysterię do obrony granic tak północnych, jak i południowych. Heredon nie był też biednym krajem, miał najlepszych mieczników i płatnerzy w całym Rofehavanie, obfitował w bydło hodowane na mięso, dające wełnę owce i drzewa do budowy fortyfikacji oraz machin wojennych. No i wasali, potencjalnych dostarczycieli darów.

Jeśli Raj Ahten naprawdę zamierzał ruszyć na Północ, wszystko to bardzo by mu się przydało.

Moja żona jest jego kuzynką, przypomniał sobie Sylvarresta. Ahten wyobraża sobie pewnie, że może być dlań kimś niebezpiecznym, konkurentem. Moce jedne wiedzą, jak bardzo się myli. Gdyby Venetta Sylvarresta miała tylko okazję, już wiele lat temu pchnęłaby kuzyna nożem we śnie.

A może to rzeczywiście tylko fragment większego planu? zaniepokoił się Sylvarresta. Podobne ataki mogły zostać przeprowadzone na wszystkie zamki w Rofehavanie.

Gdyby zabójcy uderzyli równocześnie, Sylvarresta nie zdołałby ostrzec innych królów.

Przetarł oczy. Gubił się w domysłach.

KSIĘGA 2

DZIEŃ DWUDZIESTY

MIESIĄCA ŻNIW

DZIEŃ OFIARY

6

PAMIĘĆ UŚMIECHÓW

Książę Gaborn jechał cicho przez Mroczną Puszcę, omijając z ostrożności wąskie parowy i ciemniejsze skupiska drzew, w których mogły się gromadzić duchy zmarłych.

Drzewa wyciągały nad nim pokręcone, na wpół nagie konary, pożółkłe liście brzoź kołysały się w nocnym wietrze niczym wypowiadające niemą groźbę palce. Gruby dywan liści na ziemi tłumiał uderzenia końskich kopyt.

Czarodziejska mgła zaczęła rozchodzić się krótko po zmroku, widać Raj Ahten już jej nie potrzebował. Teraz dla odmiany gwiazdy na niebie jaśniały z nienaturalną jasnością, może dzięki jakiemuś zaklęciu tkaczy płomieni, takiemu przydajacemu światła, by Wilczy Władca łatwiej mógł przeprowadzić swoje wojska przez lasy.

Cztery godziny okrążał Gaborn jego armię, myląc pogonie. Udało mu się zabić jeszcze dwóch olbrzymów, zestrzelił z siodła jednego marudera i od trzech godzin miał wrażenie, że nikt nie podąża jego śladem.

Jadąc, rozmyślał o Mrocznej Puszczy, która była lasem starym i jakkolwiek by nań spojrzeć, zawsze dziwnym. Powiadano, że u źródeł rzeki Wye, w magicznych strumieniach i jeziorach, żyją

nawet trzystuletnie jesiotry, mądre niczym najwięksi uczeni.

Jednak nie temu dziwił się Gaborn: zastanawiała go legendarna zdolność puszczy do odróżniania dobra od zła. Niewielu złoczyńców tu zagładało. Owszem, był Edmon Tillerman, który wszedł między drzewa łajdakiem, bandytą i szaleńcem, zabierał

niedźwiedziom dary odwagi i bystrości, aż sam stał się leśnym stworzeniem. Jednak wedle opowieści krążących wśród ludu opuścił potem las ukradkiem i z czasem został bohaterem wspomagającym biednych rolników skrzywdzonych przez innych złoczyńców i chroniącym leśne zwierzęta.

Czasem słyszało się jeszcze dziwniejsze historie, jak ta o starej kobiecie sprzed setek lat, która została zamordowana i pogrzebana w Mroczej Puszczy pod stertą liści.

Odrodziła się jako leśna istota i dopadła po kolei wszystkich swych zabójców.

A co z gigantycznymi „kamiennymi ludźmi”, którzy przemierzali podobno te strony?

Czasem widywano ich, jak podchodzili na skraj puszczy i wystawali tam, spoglądając w zamyśleniu na południe.

Był taki czas, całe wieki temu, gdy puszcza kochała ludzi o wiele bardziej niż obecnie.

Wtedy można było swobodnie przez nią podróżować. Teraz witała gości niepokojącym bezruchem, pełnym napięcia, ciężkim milczeniem, jakby ochronić się chciała przed zbyt wielką ciżbą niechcianych intruzów. Bez wątpienia gorąco przywołane przez tkaczy płomieni, uderzenia żelaznych podków, obecność całej armii i olbrzymów pogorszą tylko sytuację.

W powietrzu zaczęły przemykać cicho sowy, dwa razy Gaborn dostrzegł między drzewami jelenie potrząsające wielkimi porożami, jakby szykowały się do walki.

A po jego prawej maszerowała armia. Niepokój napełniał puszcę i narastał niczym duchota przed potężną burzą.

Przez długie godziny Gaborn przemykał między drzewami i coraz ciężiej było mu na sercu, coraz chmurniej i wolniej płynęły jego myśli. Towarzyszyło temu zwykłe, miłe nawet zmęczenie, jakie nachodzi niekiedy człowieka, gdy zasiądzie z pucharem wina przed kominkiem lub przyłoży się spać, zażywszy przyrządzonego przez zielarzy wywaru z płatków maku.

Zaczęły mu ciążyć powieki. Na wpół drzemiąc, wjechał na grań, ominął wierzchołek wzgórza i ruszył w dolinę, gdy drogę zagroziły mu krzaki jeżyn i splątane gałęzie. Ogarnęła

go złość i wyciągnął miecz, by utorować sobie przejście, gdy nagle zamarł, usłyszawszy z przodu przekleństwa i coś jeszcze... Szczęk blach. Ktoś w zbroi przedzierał się tą samą drogą. Jeszcze chwila, a byłoby za późno. Ledwo uniknął niebezpieczeństwa, skręciwszy w bok.

Te drzewa... Czy to one omal go nie zgubiły?

Przystanął w głębokim cieniu, skąd dojrzał, że to jeden z patroli Raja Ahtena.

Tuzin zwiadowców przedzierał się przez zarośla. Gaborn zamarł w bezruchu. Wstrzymał nawet oddech.

Minęli go w ciemności, a wtedy ściągnął mocno wodze i westchnął głęboko.

Spróbował zebrać myśli. „Nic ci nie zrobię”, chciał przekazać puszczy. „Nie zamierzam cię skrzywdzić”. Musiał zmobilizować cały wysiłek woli, by ponownie dosiąść konia, by skierować go gdzie indziej, nie w najgłębszą ciemność, ku jądru zniszczenia. Pot wystąpił mu na czoło, ręce się trzęsły, oddychał płytko, urywanie. „Jestem twym przyjacielem”, próbował powiedzieć. „Wycuj me intencje. Sprawdź mnie”. Długo starał się otworzyć przed lasem i serce, i umysł, porozumieć się jakoś z wiekową puszczą.

W końcu poczuł zbliżające się powoli macki. Szukały go wyraźnie, aż pochwyciły niczym korzenie ogarniające kamień. Były niewiarygodnie silne. Przeniknęły każdą część jego umysłu. Przed

oczami zaczęły migotać Gabornowi urwane obrazy z dzieciństwa, fragmenty snów i dorosłych już marzeń. Wszystkie nadzieje i pragnienia.

Po jakimś czasie, równie wolno, jak nadeszły, macki zaczęły się wycofywać.

- Nie zatrzymuj mnie - szepnął Gaborn w ciemność, gdy odzyskał już mowę. - Twoi wrogowie są moimi wrogami. Przepuść mnie, a może uda mi się ich pokonać.

Minęło jeszcze kilka minut, aż napięcie wkoło zaczęło jakby maleć. Gaborn też się odprężył i poddał senności, chociaż dzięki darowi sił życiowych nie musiał spać.

Pomyślał o tym wszystkim, co zawiodło go na Północ, o pragnieniu ujrzenia Iomy Sylvarresty. Wiedziony szalonym porywem, przybył w zeszłym roku potajemnie do Heredonu na polowanie, aby przyjrzeć się dziewczynie. Ojciec co roku jeździł na Hostenfest, wielkie jesienne święto ustanowione tysiąc sześćset lat wcześniej, gdy Heredon Sylvarresta przebił włócznią w tej okolicy maga raubenów. Od tamtej pory władcy Heredonu urządzali zawsze w miesiącu żniw w Mroczej Puszczy łowy na wielkie dziki, obowiązkowo z włócznie, tak jak niegdyś walczyło się z raubenami.

Tak więc Gaborn przyjechał w orszaku swego ojca jako prosty giermek. Żołnierze wiedzieli oczywiście o jego obecności, ale żaden nie śmiał mówić o tym otwarcie ani zdradzać jego przebrania. Król Sylvarresta też zauważył młodzieńca podczas polowania i chociaż go poznał, nienaganne maniery monarchy nie pozwoliły mu rzec ani słowa.

Uważał, że to sprawa Gaborna i jeśli książę sam się nie ujawni, nikomu nic do tego.

Niemniej dla wszystkich postronnych obserwatorów Gaborn był giermkim jak się patrzy. Pomagał żołnierzom wkładać zbroje przed turniejami, sypiał w stajni, zajmował się końmi i bronią podczas tygodni trwającego polowania. Miał także okazję zasiąść przy stole podczas uczy Hostenfest, chociaż jako prosty giermek dostał miejsce na końcu stołu, z dala od królów, szlachty i rycerzy. Stamtąd przyglądał się bez żenady obecnym, jakby nigdy nie ucztował na obcym dworze.

Z dala zresztą Ioma wyglądała tym wspanialej. Czarne, głębokie oczy i ciemne włosy, cera bez skazy... Ojciec mówił, że ma urodzive oblicze, a poznawszy opowieści o tym, co Ioma powiedziała i uczyniła przez lata, Gaborn doszedł do wniosku, iż piękno dziewczyny nie ogranicza się do twarzy i serce też ma szlachetne.

Znał już dobrze dworską etykietę, ale podczas tej uczy niejednego się nauczył o zwyczajach panujących na Północy. W Mystarrii zwykło się myć ręce przed jedzeniem w misie zimnej wody, na Północy ręce i twarz myło się w wodzie tak gorącej, że aż parowała. Na Południu wycierało się później ręce w tunikę, tutaj służba podawała grube ręczniki, które potem każdy układał sobie na kolanach, by ocierać nimi podczas uczy tłuszcz czy wydmuchiwać w nie nos. Na Południu biesiadnicy dostawali małe, tępe noże i drobne widelce, by w razie awantury nikt nie mógł ich użyć jako broni, tutaj każdy jadł

własnym nożem i widelcem.

Największa, i najbardziej niemiła, różnica wiązała się z psami. Na Południu szlachetnie urodzony rzucał kości przez prawe ramię, by i psy mogły sobie pojeść. Tutaj nie dopuszczano psów do sali biesiadnej, kości składano zatem na talerzach, aż rosły z nich odrażające stopy zabierane potem przez najmłodszych ze służby.

Gaborn zwrócił uwagę na jeszcze jedno. Z początku myślał, że chodzi o zwyczaj właściwy Północy, potem pojął, że robi to tylko Ioma. W znanych Gabornowi królestwach służący mogli zacząć jeść dopiero wtedy, gdy skończyli ucztować król i jego goście, a skoro biesiada trwała zwykle od południa do późnego wieczoru, i to z występami minstrelów, błaznów i sztukmistrzów pomiędzy daniami, służący mogli wziąć coś do ust dopiero około północy.

Tak zatem, gdy dobrze urodzeni objadali się w najlepsze, służba mogła tylko patrzeć tęsknie na

ciasta i kapłony.

Gaborn zajadał z apetytem, czyszcząc talerz po talerzu, co było dowodem uznania dla gościnności gospodarza. Niebawem jednak dostrzegł, że Ioma zostawia parę kąsków z każdego dania i Gaborn zastanowił się, czy przypadkiem nie uchybia miejscowym zwyczajom. Przyjrzał się księżniczce i usługującej jej dziewczynce lat chyba dziewięciu, która miała wyraźnie ściągniętą głodem twarzyczkę.

Ioma uśmiechała się, dziękując, jakby miała do czynienia ze szlachetnie urodzoną, a nie zwykłą służką, i oceniała chyba po jej spojrzeniu, czy danie wydaje się małej apetyczne. Gdy tamta spoglądała na nie łakomie, księżniczka zostawiała coś, akurat tyle, by dzieciak mógł podgryźć to w drodze do kuchni.

Gaborn aż się zdumiał, ujrawszy, jak Ioma ledwo spróbowała faszerowanej kuropatwy w sosie pomarańczowym i zadowolona się talerzem zimnej sałatki z kapusty.

Dopiero przy czwartym daniu ksiązę zauważył, że przydzielony mu służący, młodzutki chłopiec, robi się przy każdym kursie z kuchni coraz bledszy.

Świadomość, że być może nie zje nic aż do północy, musiała mu bardzo dokuczać.

Gdy chłopiec przyniósł drewnianą tackę ze stekiem wołowym z szalotkami i orzechami, wszystko to w winie, Gaborn odprawił go ruchem dłoni, pozwalając dzieciakowi napchać żołądek jeszcze ciepłym daniem.

Ku zdumieniu Gaborna król Sylvarresta zauważył to i spojrzał na młodego księcia, jakby ten uczynił coś złego. Gaborn dobrze zapamiętał sobie wyraz jego twarzy.

Jednak gdy po chwili całkiem nieświadoma zachowania Gaborna (i królewskiej reakcji) Ioma zrobiła to samo, Sylvarresta przeżuł w zamyśleniu kąsek wołowiny i odezwał się do córki półgłosem:

- Nie smakuje, kochana? Może mam kazać, by wysmagano kucharzy za obrazę twego podniebienia?

Ioma okryła się rumieńcem.

- Nie... jedzenie jest aż za dobre, mój panie. Obawiam się, że już się najadłam.

Kucharzy raczej należy pochwalić niż ukarać.

Król roześmiał się i mrugnął do Gaborna. Chociaż młody ksiązę nie zdradził

oficjalnie swej tożsamości, Sylvarresta zdawał się mówić: Dobra byłaby z was para. Uznałbym taki mariaż.

Niemniej wiele innych znaków świadczyło, przynajmniej zdaniem Gaborna, że nie jest wart Iomy. Usługująca jej dziewczynka spoglądała na swoją panią z więcej niż miłością,

a gdy ktoś się do niej odzywał, czynił to zawsze z szacunkiem graniczącym z uwielbieniem. Chociaż Ioma miała ledwie szesnaście lat, ci, którzy dobrze ją znali, nie tyle nawet ją kochali, ile uważali za największy skarb. Gdy Gaborn szykował się już do opuszczenia Heredonu, ojciec zabrał go na prywatną rozmowę z królem Sylvarrestą.

- Tak więc przybyłeś wreszcie do mojego królestwa - powitał go Sylvarresta.

- Przybyłbym wcześniej, ale musiałem skończyć szkołę wasza królewska mość - odparł Gaborn.

- Mam nadzieję, że w przyszłym roku zjawisz się bardziej oficjalnie.

- Niezawodnie, wasza wysokość - obiecał Gaborn i serce zabiło mu mocniej, gdy dodał: - Będę oczekiwał tej chwili, panie. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Ojciec sięgnął łokcia Gaborna, dając mu znak, by nie przesadzał ze śmiałością, ale Sylvarresta tylko się roześmiał. W jego szarych oczach zapaliły się iskierki zrozumienia.

- W przyszłym roku zatem.
- Ale to bardzo ważne - nalegał Gaborn.

Król Sylvarresta spojrział na niego ostrzegawczo.

- Nazbyt ci się pali, młody człowieku. Upatrzyłeś sobie największy mój skarb.

Może i będzie twój, ale ja niczego mojej córce w tej materii nie rozkażę. Musisz ją zdobyć. W przyszłym roku.

Zima wydała się Gabornowi szczególnie długa, chłodna i pusta. Dziwnie było teraz wracać na Północ, aby zdobyć kobietę, z którą nie zamienił dotąd ani słowa.

Z zamyślenia wyrwał go brzęk cięciwy. Zaraz potem poczuł pieczenie na prawym przedramieniu. Strzała rozdarła mu skórę.

Wbił pięty w boki wierzchowca, który natychmiast zerwał się do galopu. Gaborna przegięło do tyłu i ledwo zdążył pochylić się nad końskim karkiem, gdy przemykali pod pierwszą gałęzią. Wkoło było całkiem ciemno i księcia omal nie ogarnęła panika.

Nie potrafił

się nawet domyślić, skąd wypuszczono strzałę. Nikogo nie wyczuł, nie było żadnego ostrzeżenia.

Nagle przemknął obok kępy drzew, między którymi odziany w czerń jeździec cisnął właśnie łuk na ziemię i z pochwy na plecach wyciągał szablę. Gaborn dojrzał jedynie błysk szaleństwa w jego oku i zarys posiwiącej, koziej bródki.

Koń Gaborna przeskoczył nad zwalonym drzewem i pomknął jak wicher. Księżę wyprostował się w siodle. Był otępiały od bólu, krew płynęła mu strumieniem z rany. Trzy cale w lewo i grot przebiłby płuco.

Napastnik zawył jak wilk i ruszył za nim w pościg. Odpowiedziało mu psie wycie gdzieś po prawej - to były psy bojowe zdolne zwietrzyć jego zapach.

Długie godziny Gaborn jechał przez wzgórza, nie zatrzymując się nawet dla opatrzenia rany. Był na tyłach armii wroga i przede wszystkim musiał ominąć zwiadowców.

Próbował zmylić pogoń, skręcając przed maszerującymi oddziałami na zachód, ku sercu puszczy. Im dalej jechał, tym bledsze zdawały się gwiazdy, zupełnie jakby to chmury tłumiły ich blask. Z coraz większym trudem znajdował też drogę.

W końcu, mając nadzieję, że przekonał prześladowców, iż udało mu się im umknąć, zawrócił ku głównym siłom armii, prosto ku niebezpieczeństwu. Wciąż nie wiedział jeszcze, z jakimi wojskami ma do czynienia ani jak liczny jest ten wróg.

Gdy gwiazdy znów nagle pojaśniały, usłyszał odgłosy maszerujących przez las wojsk: trzask gałązek, tupot okutych żelazem butów. Zatrzymał konia i wylotu groty blisko grani wzgórza, kryjąc się za paprociami, spojrział w dolinę.

Przed nim rozszczeły się psy. Musiały go zwietrzyć.

Gaborn wyprostował się w siodle i wbił oczy w ciemność. Milę przed nim była przerwa między drzewami, coś jak niecka zamarznętego zimą jeziora. Jednak teraz był koniec lata: woda wyschła, zostawiając tylko pole trzcin.

Nagle pojawili się w nich tkacze płomieni Raja Ahtena. Spod mrocznych sosen wyłoniło się pięciu ludzi, wszyscy nadzy, nie licząc płomieni liżących ich bezwłose ciała.

Stąpali śmiało przez podmokły grunt. Za nimi pojawiło się coś jeszcze, stwory skaczące przez trawy, czarniejsze od najgłębszego cienia. Posturę miały jakby ludzką, często jednak opadały na czworaki i biegły, podpierając się zwiniętymi w pięści dłońmi.

Małpy? zastanowił się Gaborn. Widział już te zwierzaki przywożone na Północ jako

osobliwości. Raj Ahten miał w swej armii olbrzymów, tkaczy płomieni, Niezwycięzonych i psy, mógł zatem sięgnąć i po wyposażone w talenty mały.

Coś podpowiadało jednak Gabornowi, że tych stworzeń nigdy jeszcze dotąd nie spotkał. Były większe niż mały. Może to wspomniane w dawnych legendach nieludy, pomyślał książę, albo jakieś całkiem nowe paskudztwo. Z lasu wysypywały się ich całe tysiące, ciemna rzeka ciał. Wśród nich maszerowali olbrzymi. Z tyłu jechali Niezwyciężeni. Ich zbroje lśniły w blasku gwiazd.

Daleko na zachodzie zawodziły i warczały psy tropiące woń krwi Gaborna. Pierwszy już pojawił się na ścieżce - wielki mastiff w żelaznej obroży i skórzanej masce chroniącej pysk i oczy. Przywódca stada. Musiał być naznaczony runami siły pozwalającymi biec szybciej i na większe dystanse, niż potrafiły inne psy. Tym łatwiej było mu złapać trop Gaborna i lepiej potrafił go utrzymać. Książę nie miał szans uciec tej sforcie.

Chyba żeby straciła tak świetnego przywódcę...

Sięgnął po ostatnią strzałę i napiął cięciwę. Jasny mastiff gnał ścieżką nieprawdopodobnie szybko, nad niskimi paprociami migały co chwila to łeb, to zad. Z darami siły i metabolizmu takie psy mogły w kilka chwil przebiec całe mile.

Gaborn śledził go spojrzeniem i próbował odgadnąć, w którym miejscu zwierzę wypadnie z paproci. Ukazał się sto jardów w dole stoku, warknął wściekle i ruszył prosto na księcia. Skórzana maska upodabniała jego mordę do trupiej czaszki. Gdy bestia była odległa ledwie o pięćdziesiąt jardów, Gaborn wypuścił strzałę. Trafiła w maskę i zrykoszetowała po głowie.

Mastiff nawet nie zwolnił. Książę nie miał czasu, by wciągnąć miecz z pochwy.

Pies skoczył. Gaborn ujrzał jego rozwartą paszczę i rozległą ranę na czole, gdzie strzała wydarła kawał ciała, i przesunął się w siodle. Mastiff o włos minął

pierś jeźdźca, kolce przy obroży poszarpały mu odzież, wytoczyły krew z głębokich zadrapań.

Ogier kwiknął przerażony i skoczył ku grani wzgórza. Pognał między sosnami i Gaborn znów musiał uważać przede wszystkim na zwisające nisko gałęzie. Ledwie zdołał utrzymać się w siodle. Po chwili wierzchowiec gnał w dół przeciwległego zbocza, a Gabornowi udało się wreszcie wyciągnąć miecz, chociaż łuk został zaplątany gdzieś w gałęziach. I tak go już nie potrzebuję, pocieszył się. Jestem przed armią Raja Ahtena i teraz muszę ją już tylko prześcignąć.

Wbił pięty w boki konia, nakazując stworzeniu bieg z największą możliwą szybkością. Uniesiona klinga miecza pobłyskiwała w mroku nocy. Tutaj, między pagórkami, drzewa rosły rzadziej i ogier po raz pierwszy mógł pokazać, na co naprawdę go stać. Skoczył

ponad stertą kamieni, a Gaborn usłyszał warczenie po lewej. Mastiff znów ich dogonił. Biegł tuż przy nogach konia.

- Na wilka! - krzyknął Gaborn i wierzchowiec skoczył, wierzgając w locie. Był to manewr, którego uczono wszystkie myśliwskie konie ze stajni Ordenów. Służył do pozbycia się atakującego wilka lub dzika.

Pies dostał żelazną podkowę prosto w nos. Pisnął tylko i zległ z przetrąconym karkiem. Jednak z grzbietu wzgórza Gaborna dobiegł już jazgot tuzina innych psów. Uniósł głowę. Za sforą gnali jeźdźcy w czarnych opończach. Jeden z nich zadał w róg, wzywając okoliczne patrole, by przyłączyły się do łowów. Jestem za blisko ich armii, uzmysłowił sobie Gaborn.

Jednak Raj Ahten naruszył tylko skraj Mrocznej Puszczy. Obawiał się zapuszczać pod te najstarsze drzewa. Nie bez powodu.

Ostatniej jesieni, gdy Gaborn był tu na polowaniu z ojcem i królem Sylvarrestą, cała setka ludzi rozłożyła się pod drzewami, paląc ogniska, zajadając się pieczonymi kasztanami, świeżą dziczyzną, grzybami, popijając korzenne wino. Sir Borenson i kapitan Derrow ćwiczyli walkę na miecze,

zadziwiając wszystkich swoimi umiejętnościami.

Borenson był mistrzem tanecznego stylu walki, potrafił wywijać mieczem czy toporem tak szybko, że trudno było nie tylko ujrzeć samą broń, ale i domyślić się, gdzie uderzy.

Kapitan Derrow walczył z większym namysłem: długo czekał z wymierzeniem ciosu, ale gdy wybrał już moment i miejsce, trafiał z niewiarygodną precyzją.

Ojciec Gaborna i król Sylvarresta grali w szachy przy świetle lampy i nie zwracali uwagi na turniejowe zabawy, gdy nagle dobiegł ich spomiędzy drzew jęk tak dziwny i przejmujący, że Gabornowi włosy zjeżyły się na karku i aż go zmroziło.

Borenson, Derrow i wszyscy widzowie zamarli w jednej chwili, a ktoś zawołał:

„Spokojnie, niech nikt się nie rusza!” Wszyscy wiedzieli, jak niebezpiecznie jest ulec urokowi tutejszych duchów.

Gaborn przypomniał sobie teraz uśmiech Borensona. Stał zły i zmęczony, a mimo to uśmiechał się, pokazując zęby, wpatrzony w stok wzgórze przy wąskim parowie obok obozu.

Pojawiła się tam blada postać, samotny mężczyzna na koniu, jęczący jak wicher owiewający turnie. Otaczał go łagodny szarawy poblask. Gaborn widział tę postać tylko przez chwilę, ale i tak zdjęło go przerażenie. W ustach mu zaschło, ledwo mógł złapać oddech. Obejrzał się na ojca, ale obaj królowie spokojnie wpatrywali się w szachownicę.

Nie zwrócili najmniejszej uwagi na upiora. Ojciec przesunął na szachownicy czarnoksiężnika, zabrał piona i dopiero wtedy spojrzął, ale na syna. Musiał zauważyć jego niezwykłą błądź, bo uśmiechnął się krzywo i rzekł: „Uspokój się, Gabornie. Żaden książę Mysterrii nie musi bać się upiorów Mrocznej Puszczy. Nam wolno tu przebywać”. Król Sylvarresta roześmiał się ponuro i zerknął na młodzieńca. Wyglądało na to, że tylko obaj królowie naprawdę wiedzą, o czym mowa.

Gaborn jednak czuł, że to prawda, miał dojmujące wrażenie, że coś go chroni przed upiorami. Powiadano, że w dawnych czasach właśnie król Heredonu władał tą puszcza i wszyscy jej mieszkańcy byli mu posłuszni. Królowie Heredonu podupadli jednak z wiekami i Gaborn długo się zastanawiał, czy Sylvarresta naprawdę ma moc rozkazywania tutejszym upiorom.

Teraz, gdy psy i zwiadowcy podjęli jego trop, Gaborn postanowił to sprawdzić.

Pogonił konia w głąb puszczy.

- Duchy lasu, jestem książę Gaborn Val Orden z Mysterrii! Błagam was, obrońcie mnie! - zakrzyknął w galopie.

Jeszcze nim skończył, zrozumiał, że popełnił błąd. Zmarli nie dbają o sprawy żywych. Jeśli Gaborn przyciągnie ich uwagę, to dopilnują co najwyżej, aby czym prędzej do nich dołączył.

Ogier gnał w dół kolejnego zbocza. Przemknął pod konarami wielkiego dębu i wypadł na niewielkie mokradło. Musiał dość długo brnąć w stojącej wodzie, żeby dostać się między krzaki po drugiej stronie.

Wyjeżdżając na brzeg, Gaborn nie usłyszał odgłosów pościgu, tylko chrząkania i piski setki dzikich świń, które rzuciły się do ucieczki. Może miały go za myśliwego?

Jeden z wielkich odyńców zatrzymał się na chwilę. Był niemal tak wysoki jak koń, szable lśniły mu niczym prawdziwe. Gaborn pomyślał, że za chwilę przebiją nimi wierzchowca, ale dzik tylko się odwrócił i pognął za stadem. Ogier przemknął pod kolejnymi dębami i wziął z marszu opadające stromo zbocze. Po

chwili wylądowali obaj sześćdziesiąt stóp niżej, w głębokiej wodzie, po czym popłynęli na przeciwległy brzeg.

Około południa następnego dnia Gaborn wyjechał z Mrocznej Puszczy. Obdarty i pokrwawiony wykrzyczał strażnikom przy bramach miasta ostrzeżenie przed atakiem.

Gdy pokazał swój książęcy sygnet, zaraz zaprowadzono go do króla Sylvarresty.

Władca przyjął go w Wielkiej Sali, gdzie zebrali się już wszyscy jego doradcy, Gaborn pospieszył ku nim, by się przywitać, ale król powstrzymał go spojrzeniem.

Chociaż przecież spotkali się już kiedyś, Sylvarresta traktował go z wyraźnym dystansem.

- Mój panie - powiedział Gaborn, kłaniając się lekko z uwagi na swą pozycję -

przybyłem ostrzec cię o planowanym ataku. Armia Raja Ahtena maszeruje z południa. Jest w Mrocznej Puszczy i szybko nadciąga. Dotrze tu przed zmrokiem.

Przez oblicze króla przemknął niepokój i jakby niepewność. Spojrzał na kapitana Aulta.

- Przygotować co trzeba do obrony. Szybko.

Wielu innych królów zaufałoby swoim dowódcom na tyle, by zostawić szczegóły w ich rękach, jednak Sylvarresta zaczął następnie dziwną wyliczankę poleceń, które wygłaszał, jakby nie były rozkazami, lecz kierowanymi do Aulta pytaniami. Król wyraźnie szukał u swego kapitana aprobaty!

- Wysłać patrole na miasto, niech sprawdzą, czy wszystkie dachy są bezpieczne od ognia. Co do kupców z Południa, którzy stanęli pod murami, obawiam się, że będziemy musieli być niegościnni i odebrać im towary. Ale nie zabijać bez wyraźnej potrzeby. Zostawcie im konie, by mogli wrócić do siebie, i dość żywności, żeby nie głodowali po drodze. A, i zabijcie jeszcze słonie. Nie chcę, żeby rozbiły nam bramy.

- Tak, panie - odparł Ault z chmurnym obliczem. Zasalutował i czym prędzej wyszedł.

Przygotowania nabrały tempa i część doradców też opuściła komnatę. Gaborn miał silne wrażenie, że coś jest strasznie nie tak.

Zapadła chwila ciszy. Szare oczy króla Sylvarresty lustrowały uważnie postać Gaborna.

- Jestem twym dłużnikiem, książę - powiedział w końcu. - Oczekiwaliśmy czegoś podobnego, ale nie teraz, tylko raczej wiosną. Zeszłej nocy przeżyliśmy już jeden atak. Zabójcy uderzyli na naszych darczyńców. Byliśmy jednak przygotowani, więc nie wyrządzili nam wielkich szkód.

Gaborn zrozumiał nagle, skąd brał się chłód Sylvarresty, skąd brała się jego niepewność. Król po prostu go nie pamiętał.

- Miło było cię poznać, książę Ordene. Collin! - krzyknął do kogoś za plecami Gaborna. - Jedzenie i kąpiel dla księcia Ordene. I czyste ubranie. Nie chcemy, żeby nasi przyjaciele chodzili w zakrwawionych łachmanach.

I uścisnął Gaborna, któremu to wsparcie nagle bardzo się przydało, gdyż właśnie sobie uświadomił, co oznacza ta sytuacja, i zdjął go strach. Skoro Sylvarresta nie pamięta mojej twarzy, co jeszcze zapomniał? Ile zostało mu z umiejętności dowódczych? Ze sztuki wojennej?

To dlatego doradcy królewscy zebrali się tak tłumnie: żeby wesprzeć władcę sumą swojej wiedzy. Czy jednak wystarczy jej, by odeprzeć atak takiego potwora jak Raj Ahten?

7

PRZYGOTOWANIA

Całe popołudnie upłynęło poddanym króla Sylvarresty na przygotowaniach. Histeria wywołana wiadomością o grożącym ataku szybko minęła: ustały krzyki dzieci i wieśniaków, skończyły się szalone próby ucieczki z miasta podejmowane przez starszych i niedołącznych. Ostatecznie rolnicy i żołnierze zgodnie obsadzili Mur Zewnętrzny i ustawili barykady na ulicach. Od czterystu lat nie zdarzyło się, aby podobna ciżba zebrała się na blankach, bo wielu przyszło z czystej ciekawości.

Po ulicach i placach biegały przestraszone, zdezorientowane świnie, krowy, owce i kurczęta. W obrębie murów zgromadzono inwentarz z całej okolicy. Z jednej strony miał on posłużyć wyżywieniu obrońców podczas oblężenia, z drugiej chodziło o to, żeby utrudnić aprowizację żołnierzom Raja Ahtena. Zrudziałe łąki u stóp zamku opustoszały. Kupcy z Południa odjechali, unosząc swoje barwne

namioty. Namioty i mało co więcej.

Z godziny na godzinę wojska Raja Ahtena gromadziły się coraz liczniej na południowych stokach wzgórz u skraju puszczy. Z początku spoza drzew wyjrżeli jedynie Niezwycięzeni, rycerze w czarnych kolczugach lub zbrojach płytowych i tunikach w złocie i czerwieni. Trzymali się jednak lasu, wyraźnie nie chcąc zdradzić swojej liczby.

Później obok nich pokazały się też zastępy olbrzymów i psy.

Miasto było już w gruncie rzeczy odcięte. Nikt nie odważył się do niego wejść ani z niego wyjść, chociaż maszyny oblężnicze Raja Ahtena były jeszcze daleko w puszczy.

Żołnierze Raja Ahtena zajęli się na razie wycinką drzew do budowy umocnień.

Obrońcy stali gotowi - łucznicy i pikinierzy, włócznicy i obsługa katapult. Król Sylvarresta wysłał umyślnych do pobliskich zamków z prośbą o pomoc.

Zamek był już przygotowany do walki, niemniej w Warowni Darczyńców, najlepiej strzeżonym zakątku miasta, wciąż wrzała praca. Mury warowni wypełniała atmosfera bólu i cierpienia. Kobiety i mężczyźni stawili się tłumie, by wesprzeć swego pana darami. Dwie setki sług i wasali Sylvarresty chciały przekazać królowi talenty. Główny darmistrz króla, Erin Hyde, przygotowywał dreny, a dwóch jego pomocników badało ochotników, szukając takich, którzy nadawaliby się na dawców odwagi, mądrości, sprawności lub sił życiowych. Ze względu na koszt i rygor operacji ich dary musiały być najwyższej jakości, poza tym skoro władca znalazł się w potrzebie, powinien otrzymać to, co najlepsze.

Kanclerz doradzał tym, którzy mieli szczęście sprostać wszystkim warunkom.

Pomagał niepiśmiennym wieśniakom wypełnić kontrakty gwarantujące, że w zamian za dary Sylvarresta zapewni im dożywotnio opiekę i utrzymanie.

Pośród wybranych krzatali się też pocieszyciele - ich zadaniem było wesprzeć życzliwym słowem przyjaciół lub krewnych osób, które miały zostać niebawem okrutnie okaleczone.

Najdalej, po drugiej stronie dziedzińca, zebrali się niektórzy darczyńcy z dawnych lat.

Warownia kryła ich całe półtora tysiąca, większość dość sprawnych, aby móc oglądać ceremonię przekazania darów. Ioma znała wielu z nich całkiem dobrze, gdyż często pomagała przy starszych spośród nich: ślepym Carrocku, który oddał wzrok; skretyniałym Mordinie, niegdyś błyskotliwym młodzieńcu, który oddał rozum. Głusi, chorowici, szpetni, słabi tak, że niemal przykucili do łóżka, i setki innych - cała niedołężna armia.

W samym środku tej ciżby siedział na szarym kamieniu pośród trawy król Sylvarresta ze spojrzeniem palącym jak słońce w południe i majestatyczny jak gwiazdziste niebo. Broń miał pod ręką, pancerz częściowo nałożony i tylko pierś została naga.

Gotowi do oddania darów leżeli na niskich pryzkach i czekali, aż zjawi się przy nich Erin Hyde ze swymi zaklęciami i drenami. Tymi, którzy oddali już swoje talenty, zajmował się naczelnny lekarz Sylvarresty i zielarz, Binnesman. Był to człek niski, z przygarbionymi plecami, chodził ubrany na zielono, a dłonie miał wciąż poplamione różnymi miksturami.

Uśmiechał się niezmiennie, rozmawiając z nowymi darczyńcami. Jednych uspokajał

dobrym słowem, innym podsuwał jakieś dekokty. Jego umiejętności najbardziej przydatne były na murach. Zielarskie talenty lekarza stały się już dawno wręcz legendarne: jego napary z boranu, hyzopu, bazylii i innych jeszcze ziół przydawały odwagi przed bitwą, wzmacniały, wspomagały później gojenie się ran.

Jednak Binnesman nie podążał jeszcze na mury, na razie bardziej potrzebny był

tutaj, gdyż przekazanie ważnego daru bywało niekiedy groźne dla życia darczyńcy. Pewien muskularny osiłek, który oddał Sylvarreście swą siłę, zasłabł chwilę później i serce mu stanęło. Inny,

przekazawszy swą zręczność, skądinąd wielką, najpierw dostał

konwulsji, a potem zeszywniał w skurczu tak silnym, że nie zdołał zaczerpnąć następnego oddechu. Na razie Binnesman musiał więc pozostać na dziedzińcu. Dar był przydatny tak długo, jak długo pozostawał przy życiu darczyńca, a zatem o każdego z nich należało dbać ze wszystkich sił.

Ioma też przyłożyła rękę do przygotowań. Jej Dziennik obserwowała wszystko beznamiętnie, stojąc w cieniu przy kuchniach warowni. Ioma klęczała akurat na brudnym dziedzińcu przy noszach, na których leżała jej niańka, matrona, która dbała o nią od dzieciństwa. Potężna kobieta pociła się obficie ze zdenerwowania, chociaż wieczór był chłodny. Wysokie mury fortecy osłaniały przez późnym słońcem.

- Dewynne, jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał ojciec Iomy głosem tak potężnym, że aż echo poniosło się po dziedzińcu.

Dewynne uśmiechnęła się blado, chociaż twarz miała ściągniętą strachem.

- Każdy walczy jak może - wyszeptła. Ioma usłyszała w jej głosie wyraźne uwielbienie, miłość do króla Sylvarresty.

Główny darmistrz, Erin Hyde, wszedł pomiędzy Dewynne i króla i sprawdził dren, przyrząd podobny do żelaza do piętnowania zwierząt, tyle że wykonany z krwistoczerwonego metalu. Miał stopę długości, z jednej strony wieńczył go wykuty run, z drugiej calowej średnicy krąg. Hyde przycisnął delikatnie run do pulchnego ramienia kobiety i zaintonował zaklęcie. Śpiewał wysokim głosem, poszczególne słowa ulatywały niby szczebiot ptaka, całość zaś prawie wcale nie przypominała ludzkiej mowy i Ioma ledwo cokolwiek z tego pojmowała. Wiedziała jednak, że darmistrz śpiewa pieśń siły. W połączeniu z runami na drenie pieśń ta wyciągała z darczyńcy właściwy talent.

Symbol na drenie kojarzył się Iomie z lecącym orłem, który trzyma w dziobie wielkiego pająka. Kręte linie znaku runicznego zwijały się i krzyżowały pod dziwnymi, ale bardzo naturalnymi kątami, tworząc symbol sił życiowych. Dewynne zawsze była bardzo zdrowa, w całym życiu nie przechorowała ani dnia. Teraz jej dar będzie chronić króla Sylvarrestę w walce, gdyby zdarzyło mu się odnieść ranę.

Darmistrz zakończył śpiew nagłym, gardłowym krzykiem przypominającym bulgot gorącej lawy lub ryk lwa na pustkowiach.

Koniec drenu rozjarzył się rdzawą różowością, po chwili zapłonął tytanową bielą.

- Na Moce, ale to boli! - zakrzyknęła Dewynne i odruchowo spróbowała odsunąć się od drenu. Pot pociekł z niej strumieniami jak przy wysokiej gorączce. Twarz wykrzywił grymas cierpienia. Zacisnęła szczęki, wygięła ciało w łuk, po czym legła, dysząc, chociaż nie przestała się pocić.

Ioma unieruchomiła ją jak mogła. Silny żołnierz ujął prawą rękę matrony, by nie oderwała jej od drenu, co zniweczyłoby działanie zaklęcia.

- Spójrz na mojego ojca - powiedziała Ioma, próbując odwrócić uwagę Dewynne od bólu. - Spójrz na swego pana! On cię ochroni. On cię kocha. Mój ojciec zawsze cię kochał, tak jak ty jego. On cię ochroni, obroni, tylko patrz na niego.

Ioma zgromiła darmistrza wzrokiem, tak że się odsunął i odsłonił króla.

- Ach, a ja myślałam, że rodzenie boli! - załkała Dewynne, odwracając głowę, by spojrzeć z uwielbieniem na króla Sylvarrestę. To było konieczne. Musiała sobie przypomnieć, czemu się godzi na taki wielki ból. Musiała sobie uświadomić, że zgodziła się na to dobrowolnie, że chciała tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ażeby to wszystko pojawiło się jasno i wyraźnie w jej myślach, musiała z kolei widzieć osobę, dla której się poświęcała.

Król Sylvarresta, mężczyzna trzydziestokilkuletni, siedział z nagim torsem, kasztanowatymi

włosami opadającymi miękko na ramiona i starannie przystrzyżoną falującą brodą. Zbrojmistrz dopasowywał mu skórzany kaftan pod pancerz, jednak na razie król go jeszcze nie wkładał. Darmistrz mógł wszczepić mu runy jedynie na nagie ciało.

Kanclerz Rodderman domagał się tymczasem głośno, by król zaraz udał się na mury pokrzepić obrońców swym widokiem. Stary mędrzec szambelan Inglorians podpowiadał zaś, że lepiej zostać na razie na dziedzińcu i przyjąć tyle darów, ile tylko możliwe.

Król przychylił się do rady tego drugiego. Spojrzał na Iomę, ale napotkał cierpiący wzrok Dewynne i zatrzymał na niej oczy.

W tej chwili nie liczyło się nic więcej. Król zignorował doradców, zbrojmistrza i cały, narastający tumult coraz bliższej wojny. W jego spojrzeniu była tylko miłość.

Miłość i niewypowiedziany smutek. Powiadał on Dewynne, że władca dobrze wie, co od niej otrzymuje i jakie to dla niej jest ważne. Ioma pamiętała, że ojciec nie znosi podobnych chwil, nie cierpi pustoszyć jednych dla obrony drugich.

Nagle coś musiało się odmienić w Dewynne. Widać doszła do tego poziomu tęsknoty i pragnienia, który umożliwia przekazanie zdolności. Śpiew darmistrza przeszedł w stanowcze krzyki. Zaklęcie zadziało z całą mocą.

Pałający bielą dren zadrzał i zaczął się wić w dłoni darmistrza jak wąż. Dewynne jęknęła przejmująco. Musiała niewyobrażalnie cierpieć. Coś w niej się załamało, pękło przytłoczone olbrzymim ciężarem. A może to ona sama zapadła się w sobie, zmalęła. W powietrzu rozeszła się woń palonych włosów i przypiekanej skóry. Pojawiły się smużki dymu. Dewynne szarpnęła się, ale sierzant, mąż o nadludzkiej sile, trzymał ją pewnie. Dawczyni odwróciła się od Sylvarresty. Zacisnęła mocno zęby, odgryzając koniuszek języka, krew pociekła jej po brodzie, Iomie zdało się, że w oczach kobiety odbija się teraz całe cierpienia świata.

W końcu zaczęła omdlewać. Siły życiowe uszły z niej na tyle, że musiała przymknąć powieki, zmęczenie wzięło górę. Runy na drenie płonęły czystą bielą i zdawały się drzeć, wibrować. Darmistrz, mężczyzna o pociągłej twarzy, haczykowatym nosie, z długą i siwą kocią bródką, przyjrzał się ożywionym runom. Ich blask odbijał się w jego czarnych oczach. W końcu darmistrz zaintonował pieśń radości i triumfu.

Uniósł nad głowę trzymane w obu dłoniach dreny i zamachał nimi. Biały blask nakreślił w powietrzu jakby ślad spadającej gwiazdy. Ślad ten jednak nie zniknął, nie bladł.

Wstęga światła zawisła nad dziedzińcem. Darmistrz przyjrzał się jej uważnie, jakby oceniał jej szerokość i spoistość.

Pieśń znów się zmieniła, nabrała piskliwych tonów, darmistrz podbiegł zaś do Sylvarresty, ciągnąc za sobą smugę blasku. Wszyscy odsunęli się byle dalej, nikt nie ważył się ryzykować zerwania więzi pomiędzy królem a darczynią.

Darmistrz skłonił się przed władcą i przytknął pałający dren tuż pod jego piersią.

Pieśń złagodniała kojąco, dren zaś zaczął jakby niknąć, rozsypywać się w biały pył, w miarę jak przygasał jego blask. Ioma nie przyjmowała żadnego daru od wczesnego dzieciństwa i nie pamiętała, jak można się wtedy czuć. Wiedziała jednak, że o ile oddawanie talentu wywołuje nieopisany ból, to przyjmowanie wiąże się z niewysłowioną euforią.

Oczy Sylvarresty rozszerzyły się, skóra pokryła się wielkimi kroplami potu.

Wszystko to jednak z rozkoszy. Jego spojrzenie przesyciła radość, zmarszczki na twarzy jakby złagodniały, mięśnie zwiótczały w chwili wielkiego odprężenia. Król panował jednak nad sobą na tyle, by nie okazywać szalonej radości, nie robić przedstawienia.

Binnesman ominął Iomę i pochylił się nad dawczynią. Jego oddech pachniał

anyżkiem, szaty nosił ciemnozielone, z jakiejś dziwnej, mechatej tkaniny roztaczającej woń ziół, które trzymał w kieszeniach. We włosach miał żdźbła trawy. Chociaż z rumianymi jak jabłuszka policzkami nie był przystojny, roztaczał dokoła jakąś zmysłową aurę.

Ileć było blisko Iomy, ta zawsze odczuwała irytujące ją podniecenie. Ale Binnesman był Strażnikiem Ziemi, magiem wielkiego formatu, a zatem jego siły twórcze musiały oddziaływać na otoczenie, czy ktoś tego chciał, czy nie.

Ukląkł i położył brudną dłoń na szyi Dewynne, by sprawdzić jej puls. Na twarzy malował mu się smutek i niepokój.

- Do cholery z tym darmistrzem - mruknął, szukając czegoś w kieszeni.

- Co się stało? - spytała trwożnie Ioma. Szeptem, aby inni nie słyszeli.

- Hyde stosuje scorrelską wersję zaklęć i wyciąga z tych ludzi zbyt wiele w nadziei, że ich wykuruję. Gdyby mnie tu nie było, Dewynne nie przeżyłaby następnej godziny, o czym on świetnie wie!

Binnesman był człowiekiem spokojnym, uprzejmym i oddanym swojemu powołaniu, jednym z tych, którzy opiekują się wypadłymi z gniazda pisklętami wróbli czy cierpliwie leczą przejechanego przez wóz zaskrońca. Błękitne oczy zmierzyły uważnie Dewynne spod krzaczastych brwi.

- Uratujesz ją? - spytała Ioma.

- Może. Ale wątpię, czy zdołam utrzymać przy życiu wszystkich. - Wskazał na leżących obok pozostałych darczyńców, którzy jak mogli, tak próbowali przetrwać, mimo że utracili właśnie swe największe przymioty. - Szkoda, że twój ojciec nie wynajął

latem darmistrza ze szkoły w Weymouth.

Ioma niewiele z tego pojmowała. Wiedziała, że darmistrze z poszczególnych ośrodków żarliwie dowodzą wyższości swych szkół i że tylko ktoś bardzo biegły w sprawie i postępach prac mógłby orzec, która z nich naprawdę jest lepsza. Niektórzy darmistrze specjalizowali się w konkretnych rodzajach darów. Hyde był świetny, gdy chodziło o słuch czy powonienie, które ojciec Iomy uważał za szczególnie ważne w pełnym lasów królestwie.

Jednak gdy przychodziło mu pracować nad głównymi darami, jak siły życiowe czy metabolizm, sprawiał się wyraźnie gorzej. Poza tym w odróżnieniu od innych darmistrzów nie przeprowadzał nader kosztownych eksperymentów na psach czy koniach.

Binnesman znalazł w końcu w kieszeni to, czego szukał: świeży liść kamfory.

Roztarł go w placach i przepołowił. Podsunął kawałki pod nos Dewynne. Przykleiły się do pokrytej potem skóry. Potem wydobył jeszcze z tej samej kieszeni płatki kwiatu lawendy, kilka brunatnych żdźbeł i inne zioła, które począł przykładac na ciało Dewynne, niektóre zaś wsuwał jej w usta.

Dziwny to był widok - stary czarnoksiężnik miał tylko dwie kieszenie, obie wypchane różnaitością wymieszanych ziół, a jednak nie spojrzawszy nawet do środka, zawsze wyciągał to, co było potrzebne.

Ioma zerknęła na sąsiednie postanie, gdzie leżał terminator rzeźniczy, zwałisty chłopak imieniem Orrin. Szykował się, by oddać swemu panu dar krzepkości. Widok młodzieńca tak pełnego odwagi, miłości i junackiej siły był dla księżniczki trudny do zniesienia, łamał jej serce. Jeśli odda, co ma najlepszego, być może już nigdy nie wstanie z łóżka. To nie było w porządku: w gruncie rzeczy pozbawiano go życia, ledwie się ono zaczęło. Jednak z drugiej strony chłopak nie ryzykował bardziej niż Ioma. Co więcej, jeśli Raj Ahten zdobędzie Heredon, a ojciec Iomy zginie, dar krzepkości powróci do właściciela.

Niezdolny do powtórzenia zabiegu, będzie mógł w spokoju praktykować swój zawód.

A co czeka Iomę, jeśli Heredon padnie? Tortury i śmierć?

Nie, terminator wie, co robi, pomyślała księżniczka. Uczynił mądry wybór, może najmądrzejszy, jaki był mu kiedykolwiek dany. Oddając królowi talent właśnie teraz, spędzi być może w jego służbie nie więcej niż dzień.

- Mało czasu... - mruknął Binnesman, smarując wargi Dewynne maściami uzdrawiającymi. Kobieta zaczęła dyszeć, jakby każdy oddech był dla niej wielkim wysiłkiem.

Binnesman pomagał jej, uciskając miarowo klatkę piersiową.

- Mogę jakoś pomóc? - spytała Ioma, przerażona, że nianka umrze tutaj i cała jej ofiara pójdzie na marne.

- Nie przeszkadzaj, proszę... - wycedził zielarz tonem, jakim rzadko ktokolwiek zwracał się do Władców Runów. - Ach, przepraszam, prawie bym zapomniał. Jakiś młodzieniec chce się z tobą widzieć. Tam czeka. To książę Mystarrii.

Ioma spojrzała na mur warowni i kamienne schody wiodące do południowej wieży, na której ustawiono maszyny miotające. Na szczycie wieży dostrzegła swą przyzwoitkę. Chemoise wymachiwała zawzięcie rękami. Za nią chodził w tę i z powrotem strażnik w czarnym mundurze.

- Na mam czasu na podobne głupoty - warknęła.

- Idź do niego - polecił jej ojciec, chociaż siedział o pięćdziesiąt stóp dalej.

Użył Głosu, słyszała go więc tak, jakby wyszeptał jej to wprost do ucha. Nawet w gwarze i zamieszaniu na pełnym ludzi dziedzińcu usłyszał jej cicho rzucony komentarz. -

Wiesz przecież, że od dawna pragnę, by nasze rody się połączyły.

Czyli książę przybył w konkury. Ioma była w stosownym wieku, niemniej godnych uwagi zalotników dotąd nie spotkała. Owszem, ujawniło się paru chętnych synów pomniejszych wielmożów, ale żaden z nich nie miał majątku, który mógłby się równać z włościami jej ojca.

Ale czemu książę Orden zjawiał się z tą propozycją właśnie teraz? Teraz, gdy królestwo zostało zaatakowane? A może... Tak, nie zamierza się oświadczyć, lecz tylko złożyć wyrazy uszanowania, przeprosić dwornie.

Czy warto teraz marnować czas na takie drobiazgi?

- Jestem zajęta - powiedziała Ioma. - Roboty po łokcie. Ojciec spojrział na nią ze smutkiem. Był naprawdę przystojny.

- Pracujesz od kilku godzin. Potrzebujesz odpoczynku. To odpowiednia chwila. Idź i porozmawiaj z nim chociaż przez godzinę.

Chciała się sprzeciwić, ale gdy spojrzała w szare oczy ojca, odczytała niewypowiedzianą prośbę: Porozmawiaj z nim, teraz. Cokolwiek tutaj zrobisz, i tak będzie bez znaczenia, gdy przyjdzie do walki.

8

MNIEJ NIŻ GODZINA

Godzina to nie dość, aby się zakochać, ale tyle tylko mieli dla siebie tego chłodnego, jesiennego popołudnia. W lepszych czasach Ioma byłaby wdzięczna nawet za kilka chwil sam na sam z zalotnikiem. Zeszłej zimy ojciec opowiadał jej sporo o Gabornie, wychwalał go pod niebiosa w nadziei, że gdy przyjdzie ten dzień, Ioma chętnie go przyjmie.

W normalnych okolicznościach nie miałyby nic przeciwko miłości. Wypatrywałyby jej z bijącym sercem. Jednak tego dnia, gdy królestwo mogło się rozpaść w proch, spotkanie z synem króla Ordena nie dawało nadziei na nic więcej poza prostym zaspokojeniem ciekawości.

Czy mogłaby go pokochać? Jeśli tak, to spotkanie z nim przyniesie jej tylko przykrą wiedzę, co właściwie traci, czego nie zazna.

Chociaż najpewniej i tak nic by z tego nie wyszło. Koniec końców to Orden.

Chociaż małżeństwo z kimś niechcianym to niewielka przykrość w porównaniu z tym, co może ją czekać niebawem. Wiedziała też, że jej lud winien jest Gabornowi wdzięczność, zatem nawet jeśli wolałaby nie mieć z nim nic wspólnego, powinna go potraktować uprzejmie.

Postanowiła, że się postara. Ruszyła w górę po kamiennych schodach. Dziennik szła tuż za nią, podeszwy muskały z szelestem kamień. W pół drogi spotkały się z Chemoise, która po nie schodziła.

- Czeka na ciebie od dobrej chwili - powiedziała dworka, uśmiechając się z przymusem, lecz w jej oczach pojawiły się jakieś wesołe iskierki.

Chemoise życzyła chyba swej pani szczęścia, chociaż sama ledwie co straciła ukochanego. Ioma знаła ją od dzieciństwa, potrafiła czytać z jej gestów. Gdy spojrzała na Chemoise, rysy przyjaciółki wygładziły się, spojrzenie złagodniało. Najwyraźniej księżę się jej spodobał.

Ioma zdobyła się na uśmiech, chociaż akurat teraz wydawało się to ze wszech miar niestosowne. Chemoise chodziła od wczoraj jak nieprzytomna. Wciąż myślała o zabitym ukochanym i dziecku, które miało się narodzić, i gdyby nie usilne błagania Iomy, pewnie zapomniałaby nawet o jedzeniu.

Teraz z kolei wydawało się, że do Chemoise nie dociera, iż jest wojna. Umysł dziewczyny był w połowie uśpiony. Może naprawdę tego nie dostrzega, pomyślała Ioma. Chemoise wydawała się tak niewinna. Sierżant Dreys podsumował to kiedyś: „Dla Chemoise walka na białą broń nie różni się specjalnie od oprawiania kaczk. Jedyną różnicę widzi w tym, że wroga się potem nie zjada”.

Chemoise ujęła dłonie Iomy i pociągnęła ją na górę, aż stanęły w blasku słońca.

Po chłodnym cieniu warowni była to przyjemna odmiana.

Służka wskazała księcia.

- Pani, niech mi będzie wolno przedstawić ci jego wysokość księcia Gaborna Val Ordena. Ioma nie spojrzała na gościa, ale za blanki. Chemoise odeszła czym prędzej na drugą stronę wieży, czterdzieści kroków dalej, żeby zapewnić młodemu trochę prywatności.

Ku zdumieniu Iomy młodzi żołnierze, którzy obsługiwali katapulty, ruszyli w ślad za służką. Ioma przyjrzała się machinom, ich lśniącym metalowym koszom. Wyglądały, jakby nie używano ich jeszcze w walce. Istotnie, dotąd widziała jedynie, jak wystrzelivano z nich bochny chleba, kiełbasy i mandarynki, które podczas świątecznych uczt ojciec kazał przerzucać dla wieśniaków ponad Murem Zewnętrznym.

Dziennik Iomy stanęła o tuzin kroków od Iomy i Gaborna.

- Księżę, twój Dziennik jest obecnie u boku twego ojca - powiedziała. - Zastąpię go na razie, by zapewnić ciągłość zapisu twych dziejów.

Gaborn nie odpowiedział, chociaż Ioma usłyszała szelest jego płaszcza, jakby pochylił głowę.

Wciąż nawet na niego nie spojrzała. Przeszła w przeciwległy róg wieży, przysiadła na blanku i zapatrzyła się na jesienne pola królestwa swego ojca.

Drżała lekko. Nie chciała spojrzeć Gabornowi w twarz, nie śmiała. Ostatecznie był Władcą Runów, synem potężnego króla, mógł się okazać niewypowiedziane przystojny. Ioma wolałaby, aby gra pozorów, złudzenie wyglądu, nie psuła pierwszego wrażenia.

Pilnie odwracała od niego głowę. Niemniej gdy usłyszała, jak wzdycha, doceniając jej urodę, uśmiechnęła się lekko. Bez wątplenia widywał na Południu ładniejsze kobiety.

Ruszył się lekki wiatr, zapachniało potrawami z pałacowej kuchni, Ioma usiadła wygodniej na murze; drobne kamyczki posypały się w osiemdziesięciostopową przepaść. Gdzieś koguty piały przed wieczorem, w obrębie murów miejskich ryczały dopominające się udoju krowy. Na brunatnych polach jaśniały kropki krytych strzechami domów, w dali, na północy i na południu, wzdłuż rzeki

Wye widać było kilka wiosek.

Wszędzie jednak było pusto. Rolnicy, kupcy i ich sługi przyłączyli się do żołnierzy. Chłopcy i mężczyźni stali już uszykowani z łukami i włóczniami. Paru miejscowych handlarzy zebrało się na parapecie muru - zajadali kurczęta i ciasto, jakby wciąż trwał jarmark, jakby czekali na turniej.

Na dole, przy Murze Zewnętrznym, piętrzył się stos wozów, beczek i skrzyń.

Ułożono go na wprost bramy i w razie gdyby Raj Ahten zdołał wyłamać belki mostu zwodzonego i bronę, ta barykada miała zatrzymać jego żołnierzy, wystawiając ich na cel łucznikom.

Z wolna zapadł zmrok. Nad dębami i jesionami puszczy krążyły wrony i gołębie spłoszone przez wojsko Raj Ahtena. Pod drzewami płonęły ogniska i dym snuł się między wzgórzami. Las jaśniał od ognia, ale Ioma nie potrafiła oszacować, jak liczna jest skryta na jego skraju armia najeźdźców.

Jednak wszędzie widać było oznaki ich obecności. Ponad koronami drzew unosił się balon zwiadowczy w kształcie graaka. Załogę stanowiło dwóch ludzi. Wzniesli się na czterysta stóp i wisieli tak już ponad dwie godziny. Na rozległych brzegach rzeki Wye, która wiła się poprzez królestwo niczym szeroka wstęga, stały w jednej, ciemnej linii dwa tysiące spętanych koni. Pilnowała ich jakaś setka rycerzy i giermków, którzy najwyraźniej nie obawiali się ataku. Straż trzymali pikinierzy i cała masa kudłatych olbrzymów.

Z głębi lasu dochodził stukot siekier. Raj Ahten kazał ścinać drzewa na drabiny i maszyny oblężnicze. Co kilka chwil słychać było głuchy łomot powalanego pnia, a w puszczy pojawiała się luka. Tak wielka armia, tylu ludzi przybyło z Południa. Ioma wciąż się zdumiewała, że mogli dotrzeć tak daleko nie poprzedzeni żadną wieścią. Diuk Longmot winien ostrzec króla, winien rozpoznać przeciwnika. Chyba że Raj Ahten znalazł jakiś sposób, aby uniknąć wykrycia. Jeśli tak, to Longmot przyśle pewnie swoich na pomoc, ledwie się dowie o oblężeniu... Jednak wedle Iomy wszystko to na milę pachniało zdradą obawiała się, że Longmot nie udzieli żadnej pomocy.

Książę Orden odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę Iomy.

- Inaczej wyobrażałem sobie nasze spotkanie - zaczął. Miał miły głos. - Miałem nadzieję przynieść do twego królestwa dobre wieści, a nie zapowiedź wojny.

Zupełnie jakby jego propozycja mogła być powodem do radości! Ioma podejrzewała, że co mądrzejsi z jej poddanych skłonni byłiby uronić kilka łez nad podobnym mariażem, chociaż zrozumieliby bez wątpienia, jak cenny może być dla Heredonu trwały związek z Mystarrią, najbogatszym królestwem Rofehavanu.

- Dziękuję za pośpiech - odparła Ioma. - Jestem wdzięczna, że ryzykowałeś taką jazdę.

Książę podszedł do niej i wyjrzał przez blanki wieży.

- Jak sądzisz, kiedy zaatakują? - spytał głosem, w którym pobrzmiwała ciekawość chłopca poruszonego perspektywą bitwy.

- O świcie - odparła. - Nie chcę, żeby ktokolwiek wymknął się z zamku, więc nie będą za bardzo zwlekać. - Biorąc pod uwagę siłę wojsk Raja Ahtena oraz obecność magów, olbrzymów i jego legendarnych szermierzy, należało uznać, że jutro królestwo jej ojca najpewniej upadnie.

Ioma spojrzała kątem oka na Gaborna. Młodzieniec po wejściu w wiek męski powinien się odznaczać szerokimi ramionami. Miał długie, ciemne włosy. Nosił czysty, błękitny płaszcz podróżny i miecz o wąskiej klindze u pasa.

Odwróciła oczy. Nie chciała widzieć nic więcej. Szeroki w barach jak jego ojciec. Oczywiście, że przystojny. Koniec końców otrzymał dary uroku osobistego od poddanych.

Nie jak Ioma. Podczas gdy niektórzy Władcy Runów eksploatowali intensywnie swój lud, aby ukryć swe wady i niedoskonałości, Ioma została pobłogosławiona naturalną wielką urodą. Gdy była jeszcze niemowlęciem, zgłosiły się do jej rodziców dwie piękne dziewczyny gotowe oddać swój

wdzięk. Przyjęto ich propozycję w imieniu dziecka, jednak gdy Ioma podrosła dość, aby pojąć, ile podobny czyn kosztuje darczyńcę, odmówiła przyjmowania dalszych talentów.

- Na twoim miejscu nie podchodziłabym tak blisko do blanków - powiedziała Ioma.

- Chyba nie chcesz, by cię zobaczyli?

- A co Raj Ahten może dostrzec spod drzew? Młodzieńca rozmawiającego z dziewczyną i tyle.

- W jego armii są tuziny dalekowidzących. Bez wątpienia rozpoznają i księżniczkę, i księcia.

- Tak piękną księżniczkę trudno przeoczyć - zgodził się Gaborn - ale ja raczej jego ludzi nie zainteresuję.

- Nosisz znak Ordenów, prawda? - Jeśli ksiązę wierzył, że dalekowidzący Ahtena naprawdę go nie rozpoznają, to trudno. Ioma nie zamierzała się spierać z gościem. Przypomniała sobie jego znak rodowy: zielonego rycerza. Zwykle widniał wyszyty na płaszczu. - Lepiej nie dać się spostrzec w tych murach.

Gaborn zachichotał, nie było w tym jednak wesołości.

- Wziąłem płaszcz jednego z waszych żołnierzy. Nie zdradzę swej obecności. W

każdym razie nie przed przybyciem mego ojca. O ile historia może czasem udzielać nauk, to szykuje się tutaj długie oblężenie. Zamek Sylvarresta nie został zdobyty od ośmiuset lat. Ale starczy, jeśli utrzymacie się trzy dni. Góra! Tylko trzy dni!

Ksiązę Orden mówił to z dużą pewnością siebie. Chciała mu wierzyć, wierzyć, że połączone siły jej ojca i króla Ordena zdołają odepchnąć olbrzymów i czarnoksiężników Raja Ahtena. Jeśli Orden ma przybyć, to roześle wici do innych władców Heredonu.

Mimo wysokich na osiemdziesiąt stóp murów, mimo głębokiej fosy, mimo łuczników, balist i katapult za blankami i pułapek na łąkach poniżej, szansę pobicia Raja Ahtena nie były zbyt wielkie. Jak pokonać kogoś o tak strasznej sławie?

- Nadciągnie z odsieczą? - spytała Ioma. - Taki pragmatyczny władca miałby ryzykować życie, by bronić zamku Sylvarresta?

Gaborn poczuł się urażony.

- Mój ojciec może podchodzić pragmatycznie do wielu spraw, ale nie do przyjaźni.

Poza tym, walcząc tutaj, postąpi słusznie.

Ioma zastanowiła się.

- Rozumiem... Jasne, dlaczego miałby walczyć u siebie, wykrwawiać i gubić własny lud, patrzeć, jak sypią się mury jego zamku, skoro może urządzić porządną obronę tutaj?

- Od dwudziestu lat mój ojciec przyjeżdża do was regularnie na Hostenfest -

stwierdził Gaborn, pilnując się, żeby nie warknąć. - Wiesz, ile zawiści wzbudził tym w wielu sercach? Mógłby obchodzić święto w domu lub gdziekolwiek indziej, ale zawsze przybywał tutaj!

Mógłby odwiedzać innych królów, tłumacząc się przyczynami politycznymi, ale on tylko jednego uznaje za przyjaciela.

Ioma nie miała większego pojęcia, co inni królowie myślą o jej ojcu, chociaż kojarzyła, że chyba nic sympatycznego. Nazywali go „ckliwym głupcem”. Jako Związany Przysięgą ślubował, że nigdy nie przyjmie daru od nikogo ze swych poddanych, jeśli nie otrzyma go dobrowolnie. Mógłby kupować dary, wielu ludzi gotowych było oddać swój wzrok czy głos za odpowiednią opłatą, ale Sylvarresta nie zniżyłby się do czegoś takiego. Nigdy nawet nie myślał, by pozyskiwać dary siłą czy szantażem. Nie był Wilkiem, nie był Rajem Ahtenem.

Ale ojciec Gaborna to osobna kwestia. Orden przyznawał się po części, że jest

„pragmatyczny” w kwestii darów - obecnie przyjmował tylko te, które ofiarowywano mu dobrowolnie, ale w młodości był zamieszany w niejasne interesy kupowania talentów. Dla Iomy były

to postęпки nie tyle pragmatyczne, ile moralnie podejrżane. Dziwnie łatwo zdobywał wtedy zaufanie małych i nabywał dary zbyt tanio i za często, tak dla siebie, jak i dla swoich żołnierzy. Podobno przez lata ojciec Gaborna posiadał ponad sto darów. Z drugiej strony Ioma wiedziała świetnie, że król Orden nie przypomina Raja Ahtena.

Nigdy nie wymuszał darów z wieśniaków w zamian za zaległe podatki. Nigdy nie zdobywał kobiety, aby poprosić ją nie tylko o serce, ale i talenty.

- Wybacz mi - powiedziała Ioma. - niesprawiedliwie wyraziłam się o Ordenie.

Jestem zbyt zdenerwowana. Był dobrym przyjacielem i sprawiedliwym władcą dla swego ludu. Ale obawiam się, że twój ojciec użyje Heredonu jako tarczy. Gdy my będziemy kulic się pod ciosami Raja Ahtena, on porzuci nas i umknie z pola. To byłby bardzo rozsądny postępek.

- Nie znasz mojego ojca - stwierdził Gaborn. - To prawdziwy przyjaciel. - Wciąż czuł się dotknięty, ale odezwał się tak szczerze i łagodnie, że Ioma zastanowiła się mimowolnie, ile to darów wymowy książę mógł otrzymać. Ilu niemych ma na służbie? Omal nie zadała tego pytania. Pewnie z tuzin, odpowiedziała sobie w myślach.

- Twój ojciec nie poświęcił życia w naszej obronie. Przecież sam to wiesz.

- Zrobi, co będzie trzeba - odparł chłodno Gaborn.

- Oby nie musiał - wyszeptala Ioma. Prawie odruchowo zerknęła do Warowni Darczyńców. Pod przeciwległą ścianą stała jedna ze śmierzących nierozumnych jej ojca, kobieta, która nie panowała nawet nad swoimi zwieraczami. Ślepiec zbierał się, by zaprowadzić ją do jadalni. Musieli obejść starca, który skutkiem oddania talentu metabolizmu poruszał się tak wolno, że z jednej komnaty do drugiej szedł cały dzień. Miał

szczęście, że w ogóle mógł chłodzić, bo większość tak zubożonych zapadała po prostu w magiczny sen i budziła się dopiero wtedy, gdy władca, któremu oddali swój dar, umierał.

Wszystko to budziło w Iomie odrazę. Władcy Runów doznawali od swych poddanych wielkich dobrodziejstw, ale za upiorną cenę.

- Doceniam twą umiejętność odróżniania dobra od zła, księżniczko, ale mój ojciec nie zasłużył na brak szacunku. Przez ostatnie dwanaście lat mało co poza jego pragmatyzmem chroniło nasze królestwa przed Rajem Ahtenem.

- Niezupełnie - odparła Ioma. - Mój ojciec od dawna wysyłał na Południe zabójców.

Wielu naszych najznakomitszych wojowników zginęło w tej potrzebie, inni popadli w niewolę. Kupiliśmy dzięki temu trochę czasu, chociaż w zamian za krew naszych najlepszych ludzi.

- Oczywiście - mruknął Gaborn, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że nie ceni wysiłków króla Sylvarresty zbyt wysoko.

Ioma wiedziała, że ojciec Gaborna od dziesięcioleci szykował się do wojny i nikt nie starał się osłabić potęgi Raja Ahtena tak uparcie jak on. No tak, próbuję go sprowokować do sprzeczki, pomyślała. Gaborn jednak nie był tak porywczy jak jego ojciec.

Ioma próbowała sobie wmówić, że nie lubi i nie polubi Gaborna i że nie ma żadnych szans, by go pokochała. Kusiło ją, by na niego spojrzeć, ale nie śmiała. A jeśli jego twarz zajaśnieje w słońcu?

Jeśli okaże się piękniejszy ponad ludzkie pojmanie? Czy jej serce nie zacznie się tłuc o żebra niczym uwięziona za szybą ćma?

Okolicę okrywał coraz głębszy mrok. Ogniska pod drzewami kojarzyły się Iomie z rozżarzonymi węglami - czerwone płomienie przebijały przez złote i szkarłatne liście. Na skraju lasu widać było krążących olbrzymów. W tym świetle można było pomylić ich postaci ze stogami, tacy byli kudłaci i jasnowłosi.

- Wybacz, że mało dziś jestem zgodna, lecz nastrój chwili nie sprzyja dwornym rozmowom -

powiedziała Ioma. - Nie zasłużyłeś jednak na szorstkie potraktowanie.

Ale dziś możemy co najwyżej zejść na pole i pozabijać nieco żołnierzy Raja Ahtena.

- Chyba nie będziesz walczyć?! - zdumiał się Gaborn. - Obiecuj mi! Szermierze Raja Ahtena to nie byle ciury.

Ioma omal się nie roześmiała, słysząc o walce. Owszem, jak większość dam, pod suknią, przy łydce, nosiła mały sztylet. Wiedziała też, jak go użyć. Z długą bronią nie miała jednak nigdy nic wspólnego, ale postanowiła jeszcze trochę podrażnić Gaborna.

- Dlaczego nie? - spytała, w połowie tylko żartem. - Mury miasta obsadzili chłopcy i kupcy! Cenią swe życie nie mniej niż my nasze, a mają tylko te dary, z którymi matki ich urodziły. Ja zaś otrzymałam dary mądrości i uroku, i sił życiowych, mogę więc się bronić. Może nie mam ręki dość silnej do miecza, ale czemu nie miałabym walczyć?

Oczekiwała, że Gaborn zacznie jej uświadamiać, jak niebezpiecznie jest podczas bitwy. Muskulary olbrzymów były jak ze stali, a każdy z ludzi Raja Ahtena miał

dary odwagi, zwinności, metabolizmu i sił życiowych. Co więcej, byli to ludzie zaprawieni w wojaczce.

Ioma wiedziała, że w gruncie rzeczy upór nie ma sensu. Owszem, jej poddani wcale nie chcieli umierać, ale mogłaby ocalić choć jednego, a nawet dwóch lub trzech.

Koniec końców i tak stanie u boku ojca, będzie pomagała bronić murów zamku.

Jednak odpowiedź Gaborna dość ją zaskoczyła.

- Nie chcę, byś wzięła udział w bitwie, bo to nieodpowiednia oprawa dla twojej urody.

Ioma roześmiała się czysto i słodko, zupełnie jak lelek kozodój śpiewający na porębie.

- Nie patrzę na ciebie z rozmysłem: wolę, aby serce nie wzięło góry nad rozsądkiem - odparła. - Może powinieneś postąpić podobnie.

- To prawda, jesteś piękna - powiedział Gaborn - ale ja nie jestem chłopcem i nie głupieję na widok ładnej twarzyczki. - Znów użył Głosu, i to z uczuciem. - To prawość stanowi o twym uroku. Będę szczery, księżniczko - stwierdził. - Są jeszcze inne królestwa, z którymi warto by się sprzymierzyć, i inne księżniczki. Haversind Zamorski czy Internook. - Przerwał na chwilę, by się zastanowić. Oba te królestwa były równie wielkie jak Heredon, podobnie bogate i zapewne łatwiejsze nawet do obrony. Chyba żeby obawiać się inwazji z morza... A uroda księżniczki Arrooley z Internooku była wręcz legendarna.

Opowiadano o niej nawet tutaj, w miejscu odległym o tysiąc dwieście mil. - Ale to ty mnie intrygujesz.

- Ja? A to czemu?

- Kilka lat temu posprzeczałem się z ojcem. Chciał kupić dla mnie dar wdzięku od pewnego młodego rybaka. Sprzeciwiłem się. Sama widziałaś, jak wegetują ci, którzy oddali jakiś dar. Nawet jelita odmawiają im posłuszeństwa. Rzadko mogą chodzić, a nawet próba odezwania się czy zamknięcia powiek wywołuje ból. Widziałem, jak z wolna opadają z sił, umierają, czasem po roku czy dwóch. Najbardziej jednak bolesna wydawała mi się utrata wdzięku osobistego. Odmówiłem więc, a ojciec wpadł w złość. Powiedziałem, że to nie w porządku trwać przy tym „haniebnym procederze” i przyjmować dary od tych poddanych, którzy są tak nierozumni i ubodzy, że chętnie oddają nam, co mają najlepszego.

Ojciec roześmiał się i stwierdził: „Mówisz zupełnie jak Ioma Sylvarresta. Gdy ostatnio zasiadałem przy jej stole, nazwała mnie obżartuchem. Nie chodziło wcale o jedzenie, ale o to, że pozywiam się na cudzym nieszczęściu! Ha! Wyobraź sobie!” Gdy Gaborn zacytował ojca, uczynił to dokładnie jego tonem. Znów użył Głosu.

Ioma dobrze pamiętała ten komentarz. Ojciec uznał go za czystą impertynencję i kazał ją porządnie wychłostać w obecności króla Ordena, a na dodatek zamknął na cały dzień w pokoju, bez jedzenia i wody. Ale Ioma i tak nie żałowała swoich słów.

Twarz płonęła jej z zakłopotania. Często czuła się rozdarta pomiędzy podziwem dla króla Ordena i odrazą do jego poczynań. W jakiejś mierze była to postać heroiczna. Mendellas Draken Orden był potężnym i upartym królem, a powiadano, że i w walce staje jak mało kto. Od dwóch dekad pilnował, by królestwa Północy pozostawały zjednoczone.

Jednym spojrzeniem potrafił zmusić do uległości niedoszłego tyrana, starczyło jedno jego słowo, by niesforny młody książe wypadł z łask ojca.

Niektórzy zwali go królmistrzem, inni władcą marionetek. Orden jednak wyniósł się ponad innych nie bez przyczyny. Podobnie jak pradawni Władcy Runów, musiał być kimś więcej niż zwykłym człowiekiem, bo i jego wrogowie nie byli ludźmi.

- Wybacz mi - powiedziała Ioma. - Twój ojciec nie zasłużył na tak ostre słowa z ust zarozumiałej dziewięciolatki.

- Wybaczyc? - zdumiał się Gaborn. - Co tu jest do wybaczenia? Zgadzam się z tobą. Tysiąc lat temu nasi przodkowie mieli pewnie powody, by dodawać sobie godności z pomocą drenów. Ale najazdy raubenów należą już do przeszłości. Ty czy ja jesteśmy Władcami Runów tylko dlatego, że z urodzenia przysługują nam korzyści z tego procederu!

Twój komentarz tak mnie zaciekawił, że poprosiłem ojca, by powtórzył mi słowo w słowo wszystko, co kiedykolwiek od ciebie usłyszał, i opisał okoliczności, w jakich do tego doszło. Zaczął więc sobie przypominać, co powiedziałaś od trzeciego roku życia, i przekazał mi, co uznał za ciekawe.

Dał Iomie tylko chwilę, by mogła sobie uzmysłowić implikacje. Król Orden, jak każdy z licznymi darami umysłu, spamiętywał oczywiście wszystko, co kiedykolwiek usłyszał, nawet najbardziej przypadkową kwestię. Z takimi darami potrafił

usłyszeć szept rozlegający się trzy pokoje dalej, i to przez grube, kamienne ściany zamku. Jako dziecko Ioma niezbyt rozumiała, jak wielkie są zdolności dorosłego Władcy Runów, i często się zdarzało, że mówiła coś, co nijak się nie nadawało dla uszu króla Ordena. A on to doskonale pamiętał.

- Rozumiem...

- Bez obrazy. Nie masz się czym kłopotać. Ojciec opowiedział mi o wszystkich żartach, które spletałaś pannie Chemoise. - Skinął głową w kierunku dziewczyny.

Ioma bardziej to poczuła, niż spostrzegła. - Nawet gdy byłaś dziewczynką, mój ojciec uważał cię za zabawną i szlachetną. Chciałem cię poznać, ale musiałem poczekać na stosowny czas. W zeszłym roku byłem na Hostenfest z orszakiem mego ojca. Przyjechałem, żeby cię zobaczyć...

Siedziałem w Wielkiej Sali i patrzyłem na ciebie przez całą ucztę i jeszcze po niej. Aż dziwne, że nie wypaliłem ci wzrokiem dziury w stroju. Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie, Iomo. Zapadłaś mi w serce. Obserwowałem tych, którzy siedzieli wkoło ciebie, dzieci, które nas obsługiwały, i damy dworu i widziałem, że oni wszyscy cię kochają. Rano, gdy wyjeżdżaliśmy z karawaną, ujrzałem, że otacza cię chmara dzieci i że pilnujesz, by żaden maluch nie zaplątał się pod końskie kopyta. Oni cię kochają, a ty nie zostajesz im dłużna. W żadnym królestwie Rofehavanu nie ma nikogo podobnego.

Przybyłem więc w nadziei, że podobnie jak inni z twego otoczenia, też stanę się pewnego dnia kimś godnym twego afektu.

Piękne słowa, pomyślała Ioma, zbierając czym prędzej myśli. Król Orden zawsze zapraszał na

uczę do Wielkiej Sali dziesięć do dwudziestu paru osób z orszaku gościa, chociaż trzymał się zasady, że niedźwiedzia skosztować mogą tylko ci, którzy się przyczynili do jego upolowania. Ioma próbowała przypomnieć sobie twarze tych ludzi: kilku nosiło blizny od drenów, czyli że byli pomniejszymi panami na własnych dziedzinach. Czy między nimi mógł się kryć książę Gaborn? Chociaż... On był młody.

Najbardziej zaufani gwardziści i zbrojni z orszaku króla Ordenu byli starsi.

Orden wiedział, że dobry wojak musi mieć swoje lata. Nie będzie nim porywczy młodzik rzucający się do walki, ledwie nadarzy się okazja, by pomachać mieczem czy toporem. Nie, najlepsi są starzy mistrzowie, którzy sztuki wojenne mają w małym palcu i nie raz stawali do walki. Tacy potykają się prawie w bezruchu, pracują żelazem oszczędnie, ale nader efektywnie.

W orszaku Ordenu nie było młodzików. Prócz... jednego, którego zapamiętała: nieśmiałego chłopaka siedzącego przy drugim końcu stołu. Był przystojny, z prostymi włosami i przenikliwymi, błękitnymi oczami, w których pobłyskiwała niebagatelna inteligencja, chociaż wgapiał się w całe otoczenie jak prosty wieśniak. Ioma uznała go wtedy za zaufanego sługę, może giermka. Ale przecież taki zwykły chłopak nie mógł być Władcą Runów! Ta myśl ją zaniepokoiła, jej serce żywiej zabiło. Obróciła się do księcia Ordenu, by rozproszyć wątpliwości.

I roześmiała się. To był on. Młodzieniec z prostymi ciemnymi włosami i czystymi błękitnymi oczami. Zmężniał przez ten rok. Ioma ledwie ukryła zaskoczenie.

Przecież on... nie wyglądał na nikogo szczególnego. Nie mógł nosić więcej niż dwa dary uroku osobistego.

Gaborn uśmiechnął się, widząc jej radość.

- Ujrzałaś mnie już zatem i poznałaś powody mego przybycia - powiedział. - Czy gdybym poprosił cię o rękę, byłabyś skłonna mi ją oddać?

- Nie - odparła Ioma ze szczerością płynącą z głębi serca. Gaborn odsunął się gwałtownie, jakby go spoliczkowała.

- Dlaczego? - spytał, jakby w żadnym razie nie oczekiwał odmowy.

- Nie znam cię. Cóż o tobie wiem? Jak mogłabym pokochać kogoś obcego?

- Możesz wejrzeć w me serce - stwierdził Gaborn. - Nasi ojcowie pragną unii politycznej, ja jednak pragnę jedności naszych umysłów i dusz. Sama się przekonasz, pani Sylvarresta, jak wiele nas łączy.

Ioma zaśmiała się lekko.

- Szczerze mówiąc, książę Ordenu, jeśli zależy ci tylko na królestwie Heredonu, to zapewne mogłabym ci je dać. Ale ty prosisz o me serce, a serca komuś obcemu obiecać nie mogę.

- Tego się obawiałem - przyznał bezpośrednio Gaborn. - Przez przypadek jesteśmy sobie obcy. Gdybyśmy mieszkali bliżej siebie, zapewne zrodziłaby się między nami miłość. Skoro jednak nie mogę cię przekonać, to czy wolno mi podarować ci coś, co może odmieni twą decyzję?

- Niczego nie pragnę - powiedziała Ioma i znów serce jej zabiło. Wojska Raja Ahtena stoją u bram. Chciała, by sobie poszły. Poniewczasie pojęła, że zbyt szybko udzieliła odpowiedzi.

- Jest coś, czego pragniesz, chociaż o tym nie wiesz - odparł Gaborn. -

Mieszkasz w zamku zagubionym wśród lasów i mówisz, że niczego nie pragniesz. Bez wątpienia nieobcy ci lęk. Był taki czas, że wszyscy Władcy Runów byli podobni do twego ojca.

Wszystkich wiązała przysięga służenia bliźnim i żaden nie wziął od nikogo daru, który nie zostałby mu dobrowolnie przekazany. A teraz proszę, tkwimy tu osaczeni, a Raj Ahten podchodzi pod bramy. Wszyscy wkoło, wszyscy królowie Północy chwalący swe pragmatyczne podejście do życia, gonią od dawna tylko za bogactwem, chociaż cały czas powtarzają sobie, że nigdy nie staną się tacy

jak Raj Ahten. Ty dojrzałaś ich obłudę. Dostrzegłaś słabość w mym ojcu, chociaż byłaś wtedy ledwie dzieckiem. To wielki mąż, ale ma wady, jak my wszyscy.

Dobry pozostał po części zapewne i dlatego, że czasem ktoś taki jak ty powiedział mu to i owo, przestrzegł przed zgubną chciwością. I dlatego mam dla ciebie coś, co daję ci, księżniczko Sylvarresto, o nic w zamian nie prosząc.

Podszedł i ujął ją za rękę. Ioma myślała, że wsunie jej w dłoń klejnot albo wiersz miłosny. Poczwała jednak tylko zgrubienia na jego palcach, poczuła ciepło jego skóry.

Przyklęknął przed nią i wyszeptał przysięgę, tak starą, że mało kto znał język, w którym ją ułożono. Było to ślubowanie tak mocno wiążące, że chyba żaden inny Władca Runów nie odważyłby się go złożyć:

- Tę przysięgę składam w twojej obecności i życiem zaświadczam o szczerości każdego jej słowa.

Ja, Władca Runów, ślubuję służyć ci jako obrońca. Ja, tobie oddany Władca Runów, sługą twym będę nade wszystko. Ślubuję, że nigdy daru żadnego nie wezmę siłą ni oszustwem. Nie będę też ich kupował od ludzi w potrzebie biedą wymuszonej. Miast tego, gdy zbraknie komu złota, daruję mu je z własnowoli. Tylko ci, którzy staną u mego boku w walce ze złem, zostać będą mogli moimi darczyńcami. Jako mgła unosi się z morza, tako też tam wraca. Złożył ślubowanie tych, których zwano Związanymi Przysięgą, ślubowanie dawnych Władców Runów, zwykle składane wasalom, czasem jednak również wicekrólom lub zaprzyjaźnionym monarchom, których zamierzało się bronić. Nie składało się go lekko, było bowiem równoznaczne z wyborem nowej drogi życia. Ioma wiedziała to wszystko i nic dziwnego, że zrobiło jej się słabo.

Teraz, gdy Raj Ahten zaatakował Północ, ród Ordenów będzie musiał zebrać wszystkie siły. Złożenie tej przysięgi przez Gaborna było w tej sytuacji czynem...

samobójczym. Ioma nie spodziewała się nigdy podobnie serdecznego gestu ze strony Ordenów. Dotrzymanie tej przysięgi mogło się przecież okazać niemożliwe. Nie odpowiedziała tym samym. Była zbyt... pragmatyczna.

Przez chwilę stała ogluszona, pojmując, że gdyby wypowiedział przed nią te słowa w spokojniejszych czasach, pomyślałaby o nim dobrze. Ale teraz... byłaby to nieodpowiedzialność.

Spojrzała na swoją Dziennik. Oczy młodej kobiety rozszerzyły się nieco, co było jedynym, ale znaczącym objawem jej zdziwienia. Obróciła głowę z powrotem ku Gabornowi. Chciała dobrze zapamiętać tę chwilę, zatrzymać ją w pamięci.

Godzina to nie dość, aby się zakochać, ale tyle tylko mieli dla siebie tego dnia.

Gabornowi starczył jednak ułamek tego czasu, by zdobyć jej serce i na dodatek ukazać dziewczynie, kim właściwie jest. Dostrzegł, że ona kocha swój lud, to była prawda, ale Ioma i tak się zastanawiała: nawet jeśli Gaborn traktuje złożenie tej przysięgi jako wyraz miłości do całego rodzaju ludzkiego, czy to nie jest głupota? Czyżby swój honor stawiał ponad życie własnych poddanych?

- Nienawidzę cię za to - tyle tylko zdołała powiedzieć.

Nagle z dna doliny buchnęło ciężkie bicie bębnow. Słońce zapadało za horyzont.

Na skraju lasu dwóch olbrzymów waliło w wielkie, miedziane kotły, z mroku pod drzewami wypadł tuzin siwej maści nakrapianych koni. Jeźdźcy mieli czarne, łańcuszkowe kolczugi i blachy, a na nich żółte tuniki. Na piersiach nosili czerwone wilki - znak Raja Ahtena. Ten na samym przedzie jechał z umocowanym na długiej kopii zielonym, trójkątnym proporcem. Pragnął rozmawiać.

Pozostali mieli topory i tarcze w barwie miedzi - straż honorowa. Na ich tarczach widniał herb Indhopalu: miecz pod gwiazdą. Wszyscy nosili to samo umundurowanie.

Wszyscy prócz jednego... Na samym końcu jechał sam Raj Ahten - w czarnej zbroi i hełmie z szeroko rozpostartymi białymi skrzydłami sowy po bokach. Na lewym ramieniu zawiesił tarczę, w prawej ręce trzymał młot bojowy o długiej rękojeści. Gdy się zbliżał, zdawało się, że opromienia go dziwny blask, jakby był jedyną gwiazdą na pustym nocnym niebie.

Innym przypominał samotną łódź płynącą pod światłami pośród czarnej toni.

Ioma nie mogła oderwać odeń oczu. Nawet z tej odległości jego wspaniałość zapierała dech. Nie było widać rysów twarzy, ale nawet z murów wydawał się porażająco piękny. Ioma wiedziała, że spojrzenie temu człowiekowi w oblicze byłoby nader niebezpieczne.

Podziwiała jego hełm z białymi skrzydłami. W sypialni miała dwa ozdobne antyczne hełmy. Jaki wspaniały byłby to dodatek do kolekcji, pomyślała. Oczywiście z czaszką Raja

Ahtena szczerzącą pod nim zęby. Za wodzem jechał na zwykłej, kasztanowatej klaczy Dziennik Wilczego Władcy. Z trudem udawało mu się nie zostawać za bardzo w tyle. Ioma zastanowiła się, jakież to sekrety mógłby ujawnić...

Na dole, przy bramie, żołnierze jej ojca zaczęli pokrzykiwać ostrzegawczo:

„Uwaga na twarz! Uwaga na twarz!” Spojrzała na tych, którzy stali na murach: większość z nich trzymała broń w ręku. Obdarzony wieloma talentami siły kapitan Derrow podbiegł

do blanków z wielkim, stalowym łukiem, który tylko on jeden w całym królestwie potrafił naciągnąć. Miał nadzieję posłać Rajowi Ahtenowi parę strzał.

Jakby w odpowiedzi na okrzyki żołnierzy nad Wilczym Władcą uformowała się chmura bursztynowego blasku. Jasny wir obniżył się, przyciągając wszystkie spojrzenia ku obliczu jeźdźca. To musi być jakaś sztuczka tkaczy płomieni, pomyślała Ioma.

Raj Ahten chciał, aby jej ludzie dobrze mu się przyjrzeni.

Zbliżał się do bramy miasta. Jego gwardziści ruszyli przed nim w szyku, sunęli przez łąkę niczym nawałnica. Również nie dosiadali normalnych wierzchowców, tylko ogierów z darami siły, przekształconych przez Władców Runów tak samo jak oni. Widok tych zwierząt mknących przez trawy tak lekko, jak kormorany szybują po niebie, napełnił Iomę zdumieniem i podziwem. Nigdy jeszcze nie widziała, by oddział jazdy galopował w takim równym szyku. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak wspaniałego.

Książę Orden podbiegł do schodów.

- Królu Sylvarresto, jesteś tu potrzebny. Raj Ahten chce się ukladać.

Ojciec Iomy zaklął i zaczął z chrzęstem blach nakładać zbroję.

Za Rajem Ahtenem, w pobliżu opuszczonych gospodarstw na skraju puszczy, zaczęły wyłaniać się z mroku wojska Wilczego Władcy. Najpierw spod drzew wyszło pięciu tkaczy płomieni, wszyscy bliscy stania się żywiołem, za którego sprawą nie mogli nosić odzieży. Omywani językami zielonkawego płomienia jaśnieli niczym stopy sygnałowe. Suche trawy pod ich stopami buchnęły ogniem. Potem pojawili się wojownicy, blask tkaczy płomieni odbił się w wypolerowanych zbrojach i jasnych mieczach.

Wśród tysięcy zbliżających się ku miastu żołnierzy dawało się dostrzec istoty jeszcze dziwniejsze niż płomieniści magowie. Bacząc, by nie rozdeptać jakiegoś człowieka, maszerowali niezdarnie wysocy na dwadzieścia stóp olbrzymi w kolczugach i z okutymi żelazem maczugami. Obok stąpały psy bojowe, wielkie bestie, mastiffy z wszczepionymi runami. Łuczników było tylu, że trudno zliczyć.

Na skraju puszczy zamajaczyły kolejne niewyraźne cienie. Porośnięte futrem stwory z czarnymi grzywami, syczące i warczące. Skakały na ugiętych nogach i podpierały się dłońmi. Każdy niósł olbrzymią pikę.

- Nieludy! - ktoś krzyknął. - Nieludy z dali poza Inkarrą!

Nieludy o ostrych kłach i czerwonych oczach, zwinne niczym małpy, miały się wspinać po murach. Ioma nie widziała jeszcze żadnego nieluda, w każdym razie żywego. Raz natknęła się na starą, wygarbowaną skórę takiego stwora, które na Północy żyły dotąd tylko w legendach. Nieludy. Nic dziwnego, że armia Raja Ahtena maszerowała we dnie wyłącznie lasami, a atakowała zawsze nocą.

Na razie jednak wszystko to było na pokaz. Raj Ahten chciał się efektownie przedstawić. Pokazać swe niezliczone zastępy, błysnąć w oczy bogactwem.

„Widzicie mnie?“, dawał do zrozumienia. „Wy, nędzarze z Północy, żyjący w tym marnym zaścianku, nie wiecie nawet, czym jest prawdziwe bogactwo. Popatrzcie na Wilczego Władcę, popatrzcie na jego dostatek“. Ale ludzie Iomy byli gotowi do walki. Chłopcy i mężczyźni stojący na murach zamku i miasta zaciskali dłonie na drzewcach włóczni, patrzyli, czy strzały leżą, jak trzeba, pod ręką.

Jej lud podejmie walkę i będzie to bitwa, o której w przyszłych latach powstanie niejedna pieśń. Dopiero teraz ojciec Iomy skończył wkładać zbroję, złapał oręż i ruszył żwawo po schodach. Jego Dziennik, starszy uczonec z białymi włosami, mało ciężem nie pogubił, próbując za nim nadążyć.

Ioma nie była przygotowana na odmianę, która dokonała się w ojcu. W ciągu kilku ostatnich godzin przyjął sześćdziesiąt darów od swych poddanych i znacznie urósł

w siłę. W pełnej zbroi i z ciężkim młotem bojowym znalazł się na górze prawie jednym skokiem. Poruszał się jak pantera.

Gdy stanął na szczycie wieży, olbrzymi przestali uderzać w kotły, a wojska Raja Ahtena się zatrzymały. Tylko mało karne i niewyszkolone nieludy warczały i prychały z dala, jakby paliły się do walki. Raj Ahten krzyknął, wstrzymując swego ogiera, a taka była siła tego krzyku naznaczonego setkami darów głosu, że mimo wiatru słowa dały się słyszeć wyraźnie nawet na szczycie warowni. Były jednak uprzejme i łagodne, maskowały groźbę stojącą za jego poczynaniami.

- Królu Sylvarresto, ludu Heredonu! - zahuczał niby dzwon. - Zostańmy przyjaciółmi, a nie wrogami. Nie żywię do was urazy. Spójrzcie na moją armię... - Rozpostarł szeroko ramiona. - Niezdolacie jej pokonać. Spójrzcie na mnie. Nie jestem wam wrogiem.

Chyba nie każesz mi, królu, siedzieć tu przez całą noc na chłodzie, gdy sam będziesz ucztował przy kominku? Otwórz szeroko bramy. Zostanę twym panem, a wy wszyscy będziecie moim ludem.

Jego głos brzmiał tak słodko, tak przemawiał do rozsądku i umiłowania pokoju, że obrońcy na murach - Ioma widziała to wyraźnie - ledwie mogli mu się oprzeć. Co gorsza, po chwili rozległ się klekot kołowrotu przy bramie miejskiej i powoli zaczął się opuszczać most zwodzony.

Iomie zabiło serce. Pochyliła się nad murem i krzyknęła: „Nie!“, zdumiona, że wśród poddanych ojca znalazł się jakiś głupiec, który dał się wziąć na lep Głosu tego potwora. Król też krzyknął, nakazując natychmiast podnieść most, ale oboje stali daleko od bramy i dość wysoko. Na dodatek zasłona hełmu władcy stłumiła jego głos.

Sylvarresta uniósł

ją i powtórzył polecenie.

Walczący z gniewem kapitan Derrow wypuścił strzałę w Wilczego Władcę. Pomknęła z niewiarygodną szybkością, mały rozmazany punkt, zdolny jednak przebić każdą zbroję. Lecz błyskawiczna reakcja Ahtena zaskoczyła nawet łucznika. Władca Runów po prostu wyciągnął rękę i złapał strzałę w powietrzu.

Taki refleks... Raj Ahten dokonał czegoś, co uchodziło za niemożliwe, nawet przy tak wielu darach metabolizmu. Ioma z daleka poznała, że Wilk musi być pięć lub i sześć razy szybszy od

zwykłego człowieka. Żyjąc w takim tempie, zestarzeje się i umrze za kilka lat. Możliwe jednak, że wcześniej podbije cały świat.

- Słuchajcie - zaczął rzeczowo - więcej sobie tego nie życzę. Złóżcie broń i zbroje. Poddajcie mi się - powiedział łagodnie, lecz tak sugestywnie, że nawet Ioma uległa temu poleceniu.

Bezwolnie sięgnęła po swój sztylet, gotowa cisnąć go z murów. Dopiero dłoń Gaborna powstrzymała ją od tego szalonego czynu. Zaraz go też pożałowała, zrozumiała bowiem bezsens swego postępowania, i spojrzała na ojca z obawą, że ściągnęła na siebie jego złość.

Król jednak też zmagął się z sobą, by nie rzucić w dół swego młota bojowego.

Zastygła przerażona, że jej ludzie posłuchają uwodzicielskiego głosu Raja Ahtena.

Stojący bliżej Wilczego władcy mogli przecież dać się przekonać.

Nagle, z niemal radosnym krzykiem, poddani Sylvarrestów zaczęli rzucać z murów łuki i włócznie. Miecze i wszelkie inne żelazo zadzwoniło na kamieniach przy fosie, obok legły tarcze i hełmy. Balista z południowego muru chlupnęła rozgłośnie do wody.

Wrzawa była niemal ogłuszająca, zupełnie jakby Raj Ahten przybywał, aby wyzwolić miasto, jakby był zbawcą, a nie najeźdźcą. Po chwili bramy miasta stanęły przed nim otworem.

Kilku najwierniejszych żołnierzy Sylvarrestów próbowało przeciwstawić się tłumowi i zamknąć wrota. Kapitan Derrow wywijał swym stalowym łukiem jak maczugą, odrzucając mieszczan. Paru wojowników wielkiego serca, ale mniejszych darów, nie zdołało zejść z blanków. Ledwie zaczęli głośno protestować, stojący najbliżej pochwycili ich i obezwładnili. Ioma widziała, jak kilku strażników miejskich zepchnięto z murów na pewną śmierć. Księżniczka nie widziała z wieży twarzy Raja Ahtena, a i jego głos brzmiał

tutaj, tak wysoko, zapewne mniej słodko. Wszelako jedno było pewne - miasto zostało wzięte, chociaż Ioma nie mogła jeszcze w to uwierzyć. Opadł most zwodzony, uniosła się brona. Po chwili otwarto też wewnętrzne wrota. Wróg zdobył zamek Sylvarresta bez jakichkolwiek strat. Witany wiatami Raj Ahten wjechał na dziedziniec tuż za bramą, podczas gdy mieszkańcy miasta rozbierali barykadę. Kurczęta pierzchały z drogi Wilka.

Jak mogłam być tak ślepa? zastanawiała się Ioma. Jak mogłam nie dostrzec niebezpieczeństwa? Jeszcze przed chwilą miała nadzieję, że ojciec i król Orden zdołają powstrzymać Raja Ahtena. Ależ byłam łatwowierna, jęknęła w duchu.

Ojciec Iomy krzyknął do swoich ludzi, aby się poddali. Nie chciał, żeby ginęli na próżno. Wieczorny wiatr uniósł rozkaz.

Wstrząśnięta Ioma spojrzała na jego twarz. Dostrzegła, że jest blady. Ujrzała kogoś roztrzęsionego, pokonanego i pobitego, kogoś, kto utracił wszelką nadzieję. Głos mego ojca jest oschły jak północny wiatr, pomyślała Ioma. Wobec Raja Ahtena jest niczym.

Wszyscy jesteście jak pył. To niepojęte.

Raj Ahten pochylił się w siodle. Zrobił to z niezwykłą lekkością. Z daleka jego twarz nie była większa niż ziarnko piasku na plaży, ale Ioma pomyślała, że musi być piękny. Młody i przystojny. Zbroję nosił z większym wdziękiem niż inni ubranie. Ioma patrzyła na niego z podziwem. Powiadano, że ma dary siły tysiąca ludzi. Gdyby nie troska o całość kości, mógłby przeskoczyć mur i posiekać męza w zbroi tak łatwo, jakby obierał brzoskwinie.

W walce musiał być niemal niezwyciężony. Z tyłoma darami rozumu uzyskanymi od setek mędrców i dowódców nie dałby się zaskoczyć żadnemu szermierzowi. Dary metabolizmu pozwalały mu obieć w mgnieniu oka cały dziedziniec, przemknąć rozmazaną smugą pomiędzy zaskoczonymi wartownikami. Mając tyle sił życiowych, wytrzymałby niemal każdy cios zadany mu w walce.

Raj Ahten nie był już człowiekiem. Jak zamierzał, stał się podobniejszy do żywiołu, nowej siły

przyrody. Takiej, która postanowiła podporządkować sobie cały świat.

Nie potrzebował armii za plecami, żadnych słoni czy olbrzymów do wyłamania zamkowych bram. Nieludy też były dlań tylko orszakiem. Podobnie tkacze płomieni nie musieli w jego służbie podpalać domów obleganych miast.

Oni wszyscy byli tylko tłem, pomniejszych straszakami używanymi dla odwrócenia uwagi. Coś jak kleszcze na sierści olbrzyma.

- Nie możemy walczyć - wyszeptał ojciec Iomy. - Niech Moce się nad nami zmiłują, nie możemy z nim walczyć.

Gaborn oddychał niespokojnie. Przysunął się tak blisko do Iomy, że poczuła na twarzy jego ciepło.

Księżniczka miała wrażenie, że to nie ona tam stoi, że cudzymi oczami patrzy na rozwój wypadków. Ludzie wbiegali na dziedziniec, starając się precyzyjnie jak najbliżej nowego pana, nowego władcy, który zniszczy niebawem ich wszystkich.

Ioma bała się Raja Ahtena nie mniej niż śmierci, ale też go witała. Moc jego Głosu skłoniła ją, by powitać najeźdźcę.

- Wasz lud stracił wolę oporu - powiedział książę Gaborn Val Orden. -

Przyjmijcie wyrazy mego współczucia, ty i twój ojciec, bo chyba straciliście królestwo.

- Dziękuję - odparła Ioma głosem słabym, obcym, odległym. Gaborn stanął przed królem Sylvarrestą.

- Czy mógłbym coś zrobić, wasza królewska mość? - Mówiąc to, patrzył na Iomę.

Pewnie miał nadzieję zabrać ją stąd ze sobą.

Ojciec Iomy obrócił oczy na księcia. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku.

- Ty? Taki młody? Co niby mógłbyś zrobić?

Ioma myślała gorączkowo. Czy Gaborn mógłby jej pomóc w ucieczce? Nie, to niewykonalne. Raj Ahten wie na pewno, że księżniczka jest w zamku, musiano ją zauważyć na murach. Gdyby Gaborn spróbował ją uwolnić, Ahten ścigałby ich do skutku.

Najlepsze, co zostało księciu, to samemu się ratować. Wilk nie wie przecież, że młody Orden przybył tu w gości.

Król Sylvarresta musiał dojść chyba do tego samego wniosku.

- Jeśli zdołasz wydostać się z zamku, przekazaj pozdrowienia swemu ojcu. I powiedz mu, że bardzo żałuję, ale nie będziemy już razem polować. Może zdoła jeszcze pomścić mój lud. - Sięgnął pod napierśnik i wyjął skórzany worek z małą książką.

- Jeden z moich ludzi został zamordowany, gdy chciał mi ją dostarczyć. To pamiątki emira Tuulistanu. Głównie filozoficzne dywagacje i poezja, ale jest też trochę uwag o bitwach stoczonych przez Raja Ahtena. Sądzę, że emir chciał mi coś przekazać, ale nie zdołałem wyczytać co. Dopilnujesz, by jego zapiski trafiły w ręce twego ojca?

Gaborn wziął książkę i schował ją do kieszeni.

- A teraz, młody książę, lepiej zmykaj, zanim Raj Ahten usłyszy, że tu jesteś.

Biorąc pod uwagę stan ducha moich wiernych poddanych, niebawem dowie się i o tym.

- Odchodzę z wielkim żalem. - Gaborn skłonił głowę przed królem.

Ku zdumieniu Iomy książę przysunął się do niej i ucałował ją w policzek.

Zdumiała się, jak silnie zabiło serce jej pod jego dotykiem. Popatrzył na nią uważnie.

- Nie upadaj na duchu - szepnął zdecydowanym tonem. - Raj Ahten wykorzystuje ludzi, ale ich nie zabija. Jestem twoim obrońcą i wrócę po ciebie. - Odwrócił

się energicznie i zbiegł po schodach tak zgrabnie, że prawie nie słyszała jego kroków. Gdyby

nie szum krwi w uszach i ciepły ślad pocałunku na policzku, jego niedawna obecność mogłaby się wydać złudzeniem.

Kapitan Ault podążył niezwłocznie za Gabornem. Jak on ucieknie, pomyślała Ioma, skoro żołnierze Raja Ahtena obsadzili miasto? Spojrzała za nim. Powiewając błękitnym płaszczem, przeciskał się przez tłum ślepych, głuchych, idiotów i innych kalekich darczyńców rodu Sylvarresta. Nie był szczególnie wysoki. Może i zdoła się wymknąć, nie zwracając niczyjej uwagi.

Jakie to dziwne, pomyślała, wciąż nieco rozkojarzona. Dziwne, ale być może go kocham. Nieśmiało kielkowała w niej nadzieja, że naprawdę mogliby się pobrać.

Ale oczywiście, najpierw książę Orden musiałby wyjść z tego cało, a jej nie zostało już nic, co mogłaby mu zaofiarować. Wciąż otępiała pomyślała, że ten dzień i tak nie mógł się skończy inaczej.

- Do widzenia, mój panie - wyszeptła do nikszej sylwetki Gaborna i dodała jeszcze stare błogosławieństwo dla podróżnych: - Niech cię Szlachetni prowadzą.

Znów spojrzała na Raja Ahtena, który uśmiechał się i machał do nowych poddanych.

Jego nakrapiany wierzchowiec kroczył dumnie po bruku, a wieśniacy rozstępowali się przed nim pokornie, wrzeszcząc coraz głośniejsz. Wilk dotarł do Muru Zewnętrznego i minął bramę miejską. Skręcił za róg i na chwilę zniknął Iomie z oczu.

Nagle tuż obok pojawiła się Chemoise. Ioma przełknęła ciężko ślinę. Co też Raj Ahten ze mną zrobi? pomyślała. Skaże na śmierć? Na tortury? Na życie w nędzy? A może pozwoli mi zachować pozycję, a ojca uczyni regentem? Całkiem prawdopodobne.

Została jej tylko nadzieja.

W dole Raj Ahten wyłonił się nagle z przecznicy odległej ledwie o dwieście jardów. Ioma widziała już jego twarz jaśniejącą pod szeroko rozpostartymi, białymi skrzydłami hełmu

- czysta cera, lśniące czarne włosy, ruchliwe ciemne oczy. Był przystojny, bardzo urodziwy. Posągowy ideał, symbol miłości i wszelkiego dobra.

Spojrzał na Iomę. Ponieważ była piękna, tak piękna, jak może być tylko księżniczka z rodu Władców Runów, Ioma przywykła do osłupiających męskich spojrzeń.

Wiedziała, jak wielkie wrażenie robi na silnej płci.

Ale nigdy jeszcze nie widziała drapieżnika, który wpatrywałby się w nią tak jak Raj Ahten.

9

OGRÓD CZARNOKSIEŻNIKA

Gaborn nie tyle zbiegł, ile sfrunął po schodach Warowni Darczyńców i zaczął przepychać się pomiędzy zapełniającymi dziedziniec nierozumnymi i kalekami.

Kapitan Ault szedł u jego boku.

- Młody panie, proszę się skierować do kuchni darczyńców i poczekać tam, aż ktoś się po pana zjawi. Po zmroku znajdziemy jakiś sposób, żeby wydostać się za mury.

Gaborn skinął głową.

- Dziękuję, sir Ault.

Od paru godzin wiedział już, że będzie musiał poszukać drogi ucieczki z zamku Sylvarresta, ale nie sądził, że nastąpi to tak szybko. Myślał, że najpierw dojdzie do wielkiej bitwy. Mury bez wątpienia były dość grube, żeby powstrzymać armię Raja Ahtena, przynajmniej na jakiś czas.

Najbardziej chciało mu się spać. Od trzech dni prawie nie zmrużył oka. Co prawda niemal nie potrzebował snu: jako niemowlak otrzymał trzy dary siły życiowej i szczęśliwie dwaj z jego trzech darczyńców ciągle żyli. Potrafił drzemać z głową na końskim karku, wyłączając umysł i nie przerywając jazdy. Niemniej czasem lubił się uczciwie przespać.

Co innego jedzenie. Nawet bardzo żywotni Władcy Runów musieli jeść. Żołądek dawał mu już

o sobie znać, ale dotąd nie miał czasu nic przekąsić.

Gorzej, że odniósł ranę, niewielką, ale grot strzały przebił prawy biceps ręki, która trzymała miecz. Książę przemyślał ranę i zabandażował, ale ciągle czuł, jak pulsuje i piecze. Nie miał kiedy zająć się sobą, a teraz na dodatek musiał się jeszcze ukryć.

Zabił jednego ze zwiadowców Raja Ahtena i trzech olbrzymów. Jego strzały ugodziły z pół tuzina psów bojowych. Zwiadowcy będą chcieli się zemścić. Czuł się osaczony i wcale nie był przekonany, że uda mu się uciec, nawet jeśli poczeka do nocy. Miał

dwa dary węchu, ale nie mógł się przecieżyć równać z ludźmi Raja Ahtena, których nosy były bardziej czułe niż psów tropiących. Bez trudu go zwietrzą. Chociaż przy Iomie robił wrażenie pewnego siebie, w rzeczywistości był przerażony.

Niemniej postanowił działać metodycznie: nie wszystko naraz. Kierując się wonią jedzenia warzonego w kuchni darczyńców, wszedł przez szerokie drzwi. Klamka z brązu została mu w dłoni.

Okazało się, że jest w jadalni. Po prawej zobaczył kolejne przejście, do kuchni, gdzie w palenisku buzował ogień. Z żerdzi zwisały oskubane gęsi, sery, warkocze czosnku, wędzone węgorki i pęta kiełbas. Słychać było bulgot gotującej się w wielkim kotle zupy. Pachniało mocno estragonem, bazylią i rozmarynem. Przy szerokim blacie stała niewidoma dziewczyna i układała na wielkiej metalowej tacy gotowane jajka, rzepę i cebulki. U jej stóp bury kot bawił się lekko nadgryzioną i mocno przestraszoną myszą. Dalej ciągnęły się po obu stronach stoły z grubych desek, wszystkie pociemniałe od starości i zużycia.

Na każdym jaśniały niewielkie lampki oliwne.

Piekarze i kucharze zamkowi pracowali ciężko, zapełniając stoły bochnami chleba, misami owoców, talerzami mięsa. Podczas gdy reszta poddanych króla podążała na mury, oni wypełniali swój obowiązek opieki nad nieszczęśnikami, którzy oddali swe dary rodowi Sylvarresta.

Podobnie jak w większości podobnych kuchni, tak i tutaj personel składał się głównie z ludzi, którzy sami wyrzekli się jakichś przymiotów: pozbawieni uroku osobistego podawali do stołów i pomagali przy paleniskach, niemi i głusi zajmowali się wypiekami.

Ci, którzy oddali zmysły wzroku, powonienia i dotyku, zamiatali podłogi i szorowali przypalone garnki.

Najbardziej uderzyła Gaborna cisza. Chociaż kręciło się tu około dwunastu osób, prawie nikt się nie odzywał, czasem tylko dał się słyszeć jakiś krótki rozkaz czy polecenie. Ci ludzie byli ciężko przerażeni.

Wonie mieszały się w powietrzu. Odór sprawionych zwierząt szedł o lepsze z wonią świeżo wypieczonego chleba, dojrzewającego sera, rozlanego wina, gorącego tłuszczu. Mimo upiorności tej kombinacji zapachów Gaborn poczuł się nagle głodny.

Pospieszył do jadalni. Wąski korytarz na tyłach prowadził do pieców chlebowych.

Gaborna dobiegł zapach świeżego ciasta drożdżowego.

Złapał ze stołu gorący bochen, na co piękna dziewczyna ze służby syknęła z naganą. Gaborn się jednak nie zniechęcił, wziął, co chciał, i posłał dziewczynie spojrzenie powiadające jednoznacznie: „To moje”.

Służąca wycofała się, zakładając ręce na piersi w sposób typowy dla tych, którzy oddali dar dotyku. Gaborn znalazł dobry nóż i odciął udko gęsi z sąsiedniego talerza. Potem zatknął nóż za pasek i wepchnął do ust tyle mięsa, ile tylko zdołał. Odkorkował

butelkę wina i łyknął potężnie, by splukać gęsinę. Wino było zdumiewająco dobre. Jeden z podpalanych królewskich ogarów, który wylegiwał się pod stołem, wyszedł

teraz, siadł przed jedzącym Gabornem, spojrzał na niego wyczekująco i zaczął

niecierpliwie zamiatać ogonem.

Gaborn rzucił mu kość ze sporą ilością mięsa i sięgnął po kolejny bochenek chleba.

Cały czas myślał gorączkowo. Owszem, ktoś miał się zjawić, by pomóc mu wydostać się z zamku, ale wiedział, że i tak nie będzie to łatwe. I powtarzał też sobie, aby nie przesadzać z zaufaniem. Rozważał rozmaite plany. Zamek Sylvarresta miał fosę, przy wschodnim murze płynęła rzeka, której woda napędzała młyn.

A przy młynie powinna być przystań z łodziami używanymi przez rodzinę monarszą do przejażdżek. Często zdarzało się, że podobną przystań łączyło z zamkiem podziemne przejście.

Tyle że ludzie Raja Ahtena będą mieli z pewnością ten zakątek na oku. Wilk miał też ze sobą całą masę nieludów widzących w ciemności. Wątpliwe, aby Gaborn zdołał niepostrzeżenie dotrzeć do przystani.

A może kuchnia ma połączenie z rzeką? Może obsługa wie coś o odpływie czy kanale do usuwania odpadków? Chociaż raczej nie. W takich kuchniach zwykle nic się nie marnowało. Kości dawano psom, obierki i wnętrzności świniom, skóry przekazywano do garbarni, cała reszta szła na kompost do ogrodów.

Niemniej Gaborn musiał uciekać rzeką. Nie mógł ryzykować wytropienia przez psy.

Zostać w zamku, ukryć się na noc też nie mógł. Trzeba było odejść przed nocą.

Gdy tylko zrobi się ciemno i miasto opustoszeje, zwiadowcy Ahtena zaczną go szukać z wielkim apetytem na zemstę.

Urodziwa służąca wróciła z następną butelką wina, kolejnymi bochnami chleba i nowym mięsem na miejsce tego, co wyjadł Gaborn.

- Przepraszam za najście - powiedział Gaborn do jej pleców. - Jestem księżę Orden.

Muszę dotrzeć do rzeki. Znasz jakieś dogodne przejście?

Niemal natychmiast poczuł się głupio. Nie powinien zdradzać, kim jest. Niemniej bardzo chciał wyjaśnić dziewczynie, dlaczego tak się zachowuje, a przedstawienie się było najprostszym sposobem.

Dziewczyna spojrzała na niego, w jej brązowych oczach odbiło się światło lamp.

Gaborn zastanowił się, dlaczego właściwie pozbyła się zmysłu dotyku. Zawód miłosny?

Postanowienie, by nigdy więcej nie dotykać nikogo, by samej tego nie zaznać?

Życie musiało być dla niej niełatwe. Niezdolna poczuć gorąca ni zimna, bólu ni rozkoszy, kiepsko zapewne również słyszała, widziała. Węch też musiał zostać upośledzony.

Takim ludziom życie wydawało się niemiłosiernie puste, na dodatek często zacinali się czy parzyli, nawet o tym nie wiedząc. Zimą mróz nie robił na nich wrażenia, co kończyło się czasem ciężkimi odmrożeniami.

Gaborn nie wiedział, komu dziewczyna oddała swój zmysł dotyku - królowi, królowej czy Iomie. Był jednak prawie pewien, że król Sylvarresta nie zachowa głowy. Być może umrze w przeciągu kilku godzin, jeszcze przed świtem. Chyba że Raj Ahten zechce go najpierw poddać torturom.

A co ta dziewczyna zamierzała robić dziś wieczorem? Siedzieć przy ogniu w nadziei, że poczuje jego ciepło? Wyjść na chłodną mgłę, wyobrażając sobie wiatr na twarzy? Bez wątplenia nie było jej lekko.

- Na tyłach jest ścieżka - powiedziała zdumiewająco miłym matowym głosem. -

Piekarz chadza tamtędy do młyna. Obok rośnie kilka niskich wierzb zwieszających się nad wodą. Może ci się udać.

- Dziękuję - odparł Gaborn.

Obrócił się, zamierzając wrócić na dziedziniec. Musiał opuścić zamek, ale chciał wcześniej zaszkodzić jeszcze jakoś Ahtenowi. Pamiętał, że na trawniku, gdzie jeszcze niedawno pracował darmistrz, widział parę tuzinów drenów.

Dreny wykuwano z cennego krwawego metalu wydobywanego pośród wzgórz Kartishu. W gruncie rzeczy był to stop, którego najważniejszą domieszką, jak wierzono, były jakieś składniki ludzkiej krwi. Nic innego nie nadawało się do produkcji drenów.

Gaborn nie mógł pozwolić, aby podobne bogactwo wpadło w ręce najeźdźcy.

Jednak gdy chciał wyjść, dziewczyna dotknęła jego ramienia.

- Zabierzesz mnie ze sobą? - spytała. Książę ujrzał strach w jej oczach.

- Mogę. Ale nie wiem, czy uda mi się umknąć. Tutaj będziesz chyba bezpieczniejsza.

Gaborn wiedział z doświadczenia, że darczyńcom zwykle brakuje odwagi. Nie należeli do ludzi skłonnych czepiać się życia za wszelką cenę. Służyli swoim panom, ale raczej biernie. Nie wiedział, czy dziewczynie starczy determinacji, by uciec.

- Jeśli zabiją królową... - powiedziała. - Żołnierze... użyją mnie. Wiesz, jak mszczą się czasem na pojmanych darczyńcach.

Dopiero teraz Gaborn pojął, czemu dziewczyna oddała zmysł dotyku. Czemu obawiała się dotknięć. Bała się bólu. Gwałtu. I miała rację. Żołnierze Raja Ahtena mogli ją skrzywdzić. Darczyńcy zbyt słabi,

aby wstać, albo - po przekazaniu daru metabolizmu - tak powolni, że zwykłe mrugnięcie powiekami zdarzało im się góra pięć razy na godzinę, wszyscy oni byli poniekąd częścią swego Władcy Runów, z którym łączyły ich niewidzialne więzy. Dostarczając mu siły, wspierali go w walce z wrogami.

Jeśli król Sylvarresta zginie, ci biedacy nie unikną zemsty.

Gaborn najchętniej powiedziałby dziewczynie, że nie może jej zabrać, kazałby jej zostać, nie wystawiać się na niebezpieczeństwa ucieczki. Pojmował jednak, że akurat dla niej pozostanie w Warowni Darczyńców wiązać się może z jeszcze większym zagrożeniem.

- Zamierzam przepłynąć rzekę - stwierdził. - Umiesz pływać? Dziewczyna z wahaniem skinęła głową.

- Słabo. - Wzdrygnęła się mimowolnie, zadrżał jej podbródek, oczy wypełniły się łzami.

W Heredonie nie ceniono zbyt wiele umiejętności pływania, ale w Mysterii owszem.

Gaborn pobrał sporo lekcji u mistrzów wodnych czarów. Wciąż działało zaklęcie chroniące go przed utonięciem. Pochylił się nad dziewczyną, ścisnął jej dłoń.

- Bądź dzielna. Nic ci się nie stanie - powiedział i obrócił się, żeby wyjść.

Dziewczyna przemknęła obok, po drodze ściągnęła ze stołu chleb dla siebie, przy drzwiach wzięła jeszcze kostur podróżny i stary szal, którym owinęła głowę, po czym prędko wyszła.

Na haku w tym samym kącie, gdzie stał kostur, Gaborn dojrzał fartuch piekarza, zbyt gruby i ciepły, by nosić go przy piecu. Podczas pracy piekarze i tak zwykle rozdzielali się do pasa.

Gaborn włożył fartuch, brudny, zalatujący drożdżami i cudzym potem. Na haku zawiesił tunikę żołnierza Sylvarrestów. Teraz wyglądał jak zwykły służący. Tylko miecz i sztylet nie pasowały do wizerunku, ale trudno. Bardzo ich potrzebował.

Pospieszył na dziedziniec, żeby zebrać dreny. Czyste, wieczorne niebo pociemniało już, cienie urosły, czarne i głębokie. Przed wartownią płonęły pochodnie.

Ledwo książę wyszedł za próg, zaraz pojął, że postąpił bardzo nieroztropnie.

Wielka drewniana brama do warowni stała otworem, gwardziści Raja Ahtena byli już na dziedzińcu.

Nawet ktoś całkiem nie wtajemniczony musiałby zauważyć, z jaką szybkością poruszają się ci ludzie - przy ich sumie darów zdolności Gaborna były niczym. Wszędzie kręcili się darczyńcy Sylvarrestów patrzący ze zdumieniem na przybyszów. Raj Ahten opuszczał właśnie warownię razem z królem Sylvarrestą i Iomą.

Gaborn rozejrzał się po dziedzińcu. Dreny, których szukał, zniknęły.

Jeden z gwardzistów przyszpilił go wzrokiem. Gaborn poczuł, że serce zaczyna mu łomotać. Spróbował skurczyć się, pomniejszyć. Przypomniawszy sobie, czego uczono go na ten temat w Domu Zrozumienia.

Jestem niczym. Jestem kaleką, chciał powiedzieć całą swą postawą. Jeszcze jednym ułomnym ludzkim szczątkiem w służbie króla Sylvarresty. Ale miecz sugerował co innego.

Chociaż... Niemowa lub głuchy mógł mieć ciągle chęć do walki.

Gaborn cofnął się w cień, przygarbił nieco, opuścił prawy bark i zwiesił luźno rękę, wpatrując się z otwartymi ustami w ziemię.

- Ty! - krzyknął gwardzista, kierując wierzchowca nieco bliżej. - Jak się nazywasz?

Gaborn spojrzawszy na darczyńców obok, jakby niepewny, o kogo chodzi. Nikt inny nie nosił broni, więc książę nie mógł liczyć na wtopienie się w tłum.

Uśmiechnął się głupkowato i zrobił zeza. Wiedział, że w warowniach darczyńców bywają i tacy, którzy wprawdzie nie mają niczego wartego darowania, jednak bardzo pragną służyć swym panom dlatego trzymają się blisko. Kogoś takiego mógł zagrać.

Zerknął spode łba na żołnierza, wyciągnął rękę i wskazał palcem jego wierzchowca.

- Ale ładny konik!

- Jak się nazywasz, pytałem? - powtórzył gwardzista. Mówił z lekkim tafańskim akcentem.

- Aleson - odpowiedział Gaborn. - Aleson Oddaniec. - Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby chodziło o tytuł szlachecki. W rzeczywistości tak nazywano tych, którzy nie nadawali się na darczyńców, osoby w gruncie rzeczy bezużyteczne. Sięgnął po miecz, jakby chciał go wyciągnąć. - Ja... chcę zostać rycerzem. - Wysunął klingę do połowy, na pokaz, potem schował. Ta chwila wystarczyła jednak, aby żołnierz rozpoznał dobrą stal.

I chyba naprawdę uznał, że ma przed sobą upośledzonego na umyśle chłopaka, który nosi miecz z czystego uwielbienia dla broni.

W tejże chwili w bramie pojawił się otwarty wóz pełen ludzi w pelerynach z kapturami. Wszyscy mieli opadłe szczęki, puste, bezmyślne spojrzenie. Niektórzy byli tak słabi, że mogli jedynie leżeć; ich ręce zwieszały się z wozu. Inni, pozbawieni daru zwinności,

kulili się przygarbieni, z kończynami powykrzywianymi nieustannymi skurczami mięśni.

Raj Ahten wprowadzał swoich darczyńców. Wóz ciągnęły cztery wielkie perszerony.

Ogiery gwardzistów zatańczyły, zaczęły wierzgać. Miały za mało miejsca.

Ogłupiała ciżba stała nieruchomo i tylko patrzyła.

- Świetny miecz, chłopcze - rzucił żołnierz i podjechał kawałek, by przepuścić wóz. - Uważaj tylko, żeby się nie skaleczyć. - To ostatnie dodał zainteresowany już bardziej znalezieniem przejścia dla konia niż Gabornem.

Książę zaszurał nogami, podchodząc trochę bliżej. Wiedział, że natręctwo jest najlepszym sposobem, aby zniechęcić kogoś do siebie.

- E, jest tępy. Chcesz zobaczyć, panie?

Wóz zatrzymał się i Gaborn dojrzał dwórkę Iomy, Chemoise. Siedziała z tyłu, podtrzymywała głowę jednego z leżących tam darczyńców.

- Ojczy, ojczy...! - zawołała i książę pojął, że to wcale nie są darczyńcy Raja Ahtena, ale

pojmani rycerze. Mężczyzna obok Chemoise miał około trzydziestu pięciu lat i jasnobrązowe włosy. Gaborn patrzył na nich i żałował, że nie może im pomóc.

Najchętniej ocaliłby całe to królestwo. Ciebie też, poprzysiągł w duchu, myśląc o Chemoise.

Jeśli zdołam, ciebie też ocalę.

Z cienia obok Gaborna wyłonił się masywny mężczyzna w brudnej szacie.

- Aleson, ty śmierzdielu! - warknął. - Nie stój na drodze! Chciałbym ci przypomnieć, że nie opróżniłeś jeszcze nocników darczyńców! Ruszaj się i zrób, co do ciebie należy. Zostaw tego dobrego człowieka w spokoju.

Ku zdumieniu Gaborna nieznajomy wcisnął mu w dłonie uchwyty dwóch wiader pełnych odchodów i dał mu z rozmachem w łeb. Wiadra cuchnęły ostro. Dla kogoś z darem węchu było to nie do zniesienia. Gaborn z trudem opanował mdłości, jak tylko mógł wykręcił głowę w bok i spojrzał z wyrzutem na przysadzistego mężczyznę z krótką, siwiejącą już brodą. W półmroku można go było wziąć za jeszcze jednego darczyńcę, ale po chwili księżę go rozpoznał: to był zielarz Sylvarrestów, potężny mag, Strażnik Ziemi Binnesman.

- Zanieś to do ogrodu, zanim zrobi się zupełnie ciemno - szepnął zielarz ze złością - Albo wleję ci gorzej niż ostatnim razem.

Gaborn pojął, o co chodzi. Zielarz wiedział, że zwiadowcy Raja Ahtena znają zapach księcia. Tyle że żaden z tropicieli nie zbliży się nawet do tak woniejących wiader.

Gaborn wstrzymał oddech i dźwignął wiadra.

- Tylko nie potknij się gdzie. Czy cały czas muszę cię pilnować? - syknął

Binnesman.

Mówił cicho, jakby nie chciał, żeby usłyszał ich ktoś postronny, ale wiedział

przecież, że żołnierze Raja Ahtena mają dość darów słuchu, aby złowić z oddali nawet tętno Gaborna.

Potem poprowadził księcia naokoło na tyły kuchni. Tam spotkali się z dziewczyną.

- Dobrze, znalazłeś go! - szepnęła do Binnesmana.

Zielarz tylko skinął głową i uniosł ostrzegawczo palec. Ani słowa! Powiódł oboje przez małą, żelazną bramę na tyły Warowni Darczyńców, a później, wydeptaną ścieżką, do ogrodu. Ogrodu pełnego ziół.

Po zwróconym na południe murze pięła się ciemna winorośl. Binnesman zatrzymał się i zaczął zrywać jakieś liście. W zapadającym zmroku Gaborn rozpoznał liście tojadu.

Zebrawszy pełną garść, zielarz roztarł je w dłoniach. Dla przeciętnego człowieka tojad był tylko taką sobie rośliną obdarzoną niezbyt miłym zapachem, jednak dla psów było to ziele trujące, przez co zwano je czasem psią kapustą. Psy go unikały, Binnesman był zaś mistrzem zdolnym wzmocnić działanie każdej trucizny.

Po chwili Gaborn poczuł coś bardzo trudnego do opisania - nicujący wnętrzości, ciężki odór kojarzący się z wcielonym złem. W umyśle księcia pojawił się obraz olbrzymiego pająka rozpinającego w poprzek ścieżki morderczą sieć. Coś groźnego, śmiertelnie groźnego.

Można było sobie wyobrazić, jak to przerazi psy.

Binnesman rozrzucił liście na ziemi, nieco ich soku wtarł w obcasy Gaborna. Gdy skończył, poprowadził oboje przez ogród. Inne zioła mijał obojętnie.

Przeskoczyli niskie ogrodzenie i podeszli do Muru Królewskiego, drugiego kręgu obwarowań miasta.

W końcu dotarli do małej furty z żelaznej kratownicy. Przejście było tak niskie, że musieli nisko pochylić grzbiet. Obok stało dwóch strażników. Na ruch ręki Binnesmana jeden z nich wy dobył klucz

i otworzył furę.

Gaborn odstawił cuchnące wiadra w nadziei, że wreszcie będzie mógł je porzucić, ale Binnesman syknął cicho, by książkę zabrał je ze sobą.

Strażnicy przepuścili całą trójkę. Po drugiej stronie muru rozciągał się istic królewski ogród, o wiele wspanialszy i bujniej rozrośnięty niż wszystko, co Gaborn kiedykolwiek widział. Na otwartej przestrzeni resztki dziennego światła pozwalały dojrzeć o wiele więcej niż w wąskich uliczkach.

Nie był to jednak typowy ogród pałacowy. Zieleń nie rosła tu w równych rzędach, tylko pieniała się dziko w wielkiej różnorodności, jakby nazbyt żyzna ziemia rodziła niepowstrzymanie, ze wszystkich sił. Dziwne, obsypane białymi kwiatami wybujałe krzaki łączyły się w górze, tworząc nad ścieżką gęsty baldachim. Pnącza opanowały wszystkie mury ogrodu, jakby szukały drogi ucieczki.

Ogród ciągnął się pół mili w każdym kierunku. Po chwili przed Gabornem rozpostarła się łąka pełna kwiatów. Dalej wznosiło się wzgórze porośnięte sosnami i innymi jeszcze, rzadkimi drzewami ze Wschodu i Południa.

Wiele tu było osobliwości, jak drzewka pomarańczowe i cytrynowe rosnące nad gorącymi stawami pozwalającymi im przetrwać w klimacie, gdzie zimy z reguły były mroźne i surowe. Dalej widniały drzewa z liśćmi przypominającymi opadające ku ziemi włosy i inne jeszcze, o konarach tak powykrzywianych ku górze, jakby się chciały ucześcić nieba.

Przez łąkę ciurkał strumień, przy małym jezioru gasiła pragnienie rodzina saren. Wszędzie widać było kwitnące opętańczo kwiaty i zioła. Od wschodu i zachodu ciemniały pasma puszczy. Nawet teraz, po zachodzie słońca, powietrze wypełniało brzęczenie pszczół.

Gaborn zaczerpnął głęboki oddech i zdało mu się, że w jego płucach zagościły równocześnie wonie wszystkich lasów i ogrodów świata. Najchętniej zatrzymałby w sobie tę woń na zawsze, przesycił się nią cały. Zmęczenie kilku ostatnich dni nagle gdzieś uleciało, tak odurzający był ten bukiet zapachów.

Aż do tej chwili Gaborn nie wiedział, co to znaczy żyć naprawdę. Pośpiech stracił na znaczeniu. Dobrze byłoby zostać tu na zawsze, chociaż w tym ogrodzie czas zdawał

się nie płynąć. To było szczególne... poczucie bezpieczeństwa. Ta ziemia ochroni go przed wrogami, tak jak roślin Binnesmana strzegła przed okrutną zimą.

Binnesman pochylił się i ściągnął buty. Skinął na Gaborna i dziewczynę, by zrobili to samo.

To musiał być legendarny Ogród Czarnoksiężnika, domena Binnesmana. Miejsce, którego zielarz nigdy nie potrafi opuścić na dłużej.

Cztery lata wcześniej, gdy zmarł stary czarnoksiężnik Yarrow, kilku uczonych z Domu Zrozumienia chciało, aby Binnesman przejął po nim stanowisko mistrza ogniska domowego w Komnacie Mocy Ziemi. Stanowisko to było tak prestiżowe, że praktycznie nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś nie chciał go objąć. Gdy wieść o tym się rozeszła, podniosła się wrzawa. Nie minęło wiele czasu od wydania przez Binnesmana zielnika, w którym opisał on rośliny mogące znacznie przysłużyć się ludziom. Strażnik Ziemi imieniem Hoewell zaatakował herbistę, wytykając mu, że w tej publikacji popełnił liczne błędy.

Binnesman pomylił wedle niego kilka rzadkich ziół, parę rysunków było podobno wstawionych do góry nogami, a na dodatek fałszywie zdefiniował szafran, tajemniczą i drogą przyprawę sprowadzaną z wysp na dalekim południu. Binnesman twierdził, że to rodzaj kwiatu, podczas gdy Hoewell popierał powszechne przekonanie, iż jest to mieszanina pyłków zbieranych z dziobów gniazdujących kolibrów.

Niektórzy wzięli stronę Binnesmana, jednak Hoewell był zarówno uczonym, jak i twardym politykiem. W jakiś sposób zdołał zniechęcić pomniejszych zielarzy do zabierania głosu,

niewykluczone, że jako Strażnik Ziemi uciekł się do magii, która z magią zielarską nie miała nic wspólnego. Reszty dokonał manipulacjami czysto politycznej natury.

Binnesman zatem nie otrzymał prominentnego stanowiska, choć niektórzy twierdzili, że sam zrezygnował, ze wstydu. Inni jeszcze dowodzili, że jego kandydatura nigdy nie zostałaby zatwierdzona. Gaborn podejrzewał, że to Binnesman rozpuszcza owe plotki, aby dodać sobie znaczenia.

Teraz jednak, widząc te drzewa, czując woń rzadkich przypraw i miodnych kwiatów, Gaborn zrozumiał, że zielarz po prostu nie chciał opuścić tego ogrodu. Nikt by nie chciał. To było dzieło życia Binnesmana. Świadectwo jego mistrzostwa.

Zielarz postukał stopą w but Gaborna. Dziewczyna zdjęła już obuwie.

- Wybacz, książę, ale trzeba je zzuć - powiedział. - To nie jest zwykła łąka.

Wciąż oszołomiony Gaborn posłuchał.

Binnesman spojrzął znacząco na wiadra z nieczystościami. Książę dźwignął niemiły ciężar i wszyscy ruszyli przez dywan rozmarynu i łagodnie pachnącej mięty. Ich stopy rychło przesiąknęły woniami łąki.

Zielarz poprowadził Gaborna obok saren, które tylko spojrzały tęsknie na Strażnika Ziemi, aż dotarli do osobliwej jarzębiny, która wyrastała niezmiernie wysoko i pyszniła się wręcz idealnie symetryczną koroną. Binnesman przyjrzał się jej uważnie.

- To dobre miejsce - orzekł.

Wykopał pod drzewem mały dołek i skinął na Gaborna, by podszedł z wiadrami, po czym wylał ich zawartość do zagłębienia. Coś przy tym zadzwoniło i Gaborn dostrzegł pośród nieczystości ciemny metal.

Ze zdumieniem poznał dreny Sylvarrestów.

- Nie możemy pozwolić, aby Raj Ahten je dostał - powiedział zielarz i włożył dreny z powrotem do wiadra. Nawet nie zwrócił uwagi na pokrywające je fekalia. Przeszedł jakieś pięćdziesiąt kroków do strumienia, w którym pluskał polujący na komary łoś.

Binnesman wszedł do wody i kolejno opłukał dreny, po czym położył je na brzegu.

Pięćdziesiąt sześć drenów. Słońce zaszło już przed godziną i teraz metalowe przyrządy ledwie odbijały się cieniem od ziemi.

Gdy Binnesman skończył, Gaborn oddał od swego odzienia pas materii i zawinał weń dreny. Wyszedł mu całkiem zgrabny tobołek. Spojrzął na zielarza, który uśmiechnął się z aprobatą, jednak poza tym wyglądał na głęboko zamyślonego. Poruszał lekko masywnymi szczękami. Nie był wysoki, ale wyraźnie szeroki w ramionach.

- Dziękuję - powiedział Gaborn. - Dziękuję za uratowanie drenów.

Binnesman zignorował te słowa. Przyglądał się uważnie Gabornowi, jakby chciał zarazem zajrzeć mu w głąb duszy i zapamiętać każdy rys jego twarzy.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Kim więc właściwie jesteś?

- Nie wiesz? - zdumiał się Gaborn.

- Owszem, wiem, synem króla Ordenu - mruknął zielarz. - Ale kim ponadto? Jakie zobowiązania tobą kierują? W co wierzysz? To najwięcej mówi o człowieku.

Dreszcz przeszedł Gaborna, gdy usłyszał słowo „zobowiązania”. Był pewien, że zielarz ma na myśli ślubowanie złożone księżniczce Sylvarreście. A takie przysięgi powinny pozostać tajemnicą. Czy może chodzi o to, że obiecał dziewczynie z kuchni, iż nie pozwoli jej skrzywdzić? Albo o przyrzeczenie dane sobie, że uratuje Chemoise i jej ojca?

Niemniej wydawało mu się, że tak dosłowne potraktowanie sprawy uraziłoby Binnesmana.

Spojrzał na dziewczynę. Stała z założonymi rękami, jakby bała się czegokolwiek dotykać.

- Jestem Władcą Runów. Władcą Związanym Przysięgą.

- Hmm - mruknął zielarz. - To już coś. Służysz czemuś większemu niż ty sam. Ale skąd tu się wzięłeś? Dlaczego już teraz przybyłeś do zamku Sylvarresta, miast w przyszłym tygodniu, razem z ojcem, jak było uzgodnione?

- Ojciec wysłał mnie przodem - odparł bez namysłu Gaborn. - Chciał, żebym obejrzał ten kraj, pokochał go wraz z jego ludem, jak on kiedyś.

Binnesman w zamyśleniu skinął głową i pogładził brodę.

- I jak go znajdujesz? Spodobała ci się ta kraina?

Gaborn chciał odpowiedzieć, że ją podziwia, że to piękne królestwo, silne i niemal bez skazy, jednak Binnesman przemawiał takim głosem, z takim szacunkiem wypowiedział słowo „kraina”, że chyba nie chodziło mu o to samo, o królestwo. Chociaż może.

Czyż ten ogród nie był częścią Heredonu? Czy nie były jego częścią te egzotyczne drzewa sprowadzone z krańców świata?

- Uważam ją za godną podziwu.

- Ha - mruknął Binnesman, rozglądając się po krzakach i drzewach. - One nie dotrwają do rana. Wiesz, co mogą tkacze płomieni. Ich magia to magia niszczenia, moja zaś pomaga zachowywać. Oni służą płomieniom, a ogień nie pozwoli im odzyskać ludzkich postaci, póki wystarczająco go nie posilą. A co może być dla nich bardziej łakomego niż ten ogród?

- A co zrobisz z tobą? Zabiją cię? - spytał Gaborn.

- To... ponad ich siły - stwierdził Binnesman. - Zbliża się nowa pora roku.

Niebawem moje odzienie poczerwienieje.

Gaborn zastanowił się, czy należy to rozumieć dosłownie. Ubranie starego było ciemnozielone, barwą przypominało soczyste liście środka lata. Czyżby samo potrafiło zmieniać kolor?

- Możesz iść ze mną - zaproponował książę. - Pomogę ci uciec. Zielarz pokręcił głową.

- Nie muszę uciekać. Znam się trochę na leczeniu. Raj Ahten będzie chciał, żebym mu służył.

- Zgodzisz się?

- Ja też mam swoje zobowiązania - szepnął Binnesman. Ostatnie słowo wypowiedział z tym samym naciskiem co poprzednio. - Ale ty, Gabornie Val Ordenie, musisz uciekać.

Nagle książę usłyszał odległe naszczekiwanie. Psy nie były zadowolone.

Binnesman ożywił się.

- Nie musisz się ich bać. Nie przejdą mojej zapory. A jeśli spróbują, zginą. - W jego głosie dał się słyszeć smutek. Bolał nad koniecznością uśmiercenia mastiffów.

Chrząknął, wspiął się na brzeg strumienia. Garbił się, jakby zatroskany lub zaniepokojony.

Ku zdumieniu Gaborna, w niemal całkowitych ciemnościach znalazł winorośl i przyniósł nad wodę nieco jej liści.

- Podwiń prawy rękaw - powiedział młodzieńcowi. - Wyczuwam ropiejącą ranę.

Gaborn posłuchał, a Binnesman przyłożył liście do rany i przytrzymał je dłonią.

Zaraz zaczęły wyciągnąć ból. Książę odczuł miły chłód. Ostrożnie opuścił rękaw, pilnując, by materia przycisnęła liście do skóry.

- A w ogóle jak się czujecie? - spytał zielarz tonem prawie zwykłej pogawędki i spojrzał na oboje. - Zmęczeni? Zalęknieni? A może jesteście głodni?

Ruszył wolnym krokiem przez łąkę, zrywając po drodze to liść, to kwiat. Gaborn zdumiał się,

jak Binnesman rozpoznaje w mroku poszczególne rośliny, ale może po prostu pamiętał dobrze, gdzie co rośnie. Przetarł stopy Gaborna najpierw werbeną, potem czymś o ostrzejszym zapachu. Zerwał kilka kwiatów ogórecznika, którego liście świeciły lekko w ciemności, delikatnie wziął kolejno każdy z pięciopłatkowych kwiatów w palce i ścisnął, aż zostały same płatki z czarnymi pręcikami. Kazał je zjeść Gabornowi, a ten poczuł

zaraz przyływ spokoju i pewności siebie. Nie sądził, że w tych okolicznościach to w ogóle możliwe.

Zielarz zerwał jeszcze kilka kwiatów dla dziewczyny, dał jej też nieco rozmarynu dla pokonania zmęczenia, po czym ruszył ku trawiastemu stokowi wzgórza, gdzie zerwał gałązkę kwitnącego krzewu.

- Świetlik - szepnął. Z gałązki kapał wonny, oleisty sok. Binnesman nakreślił nim jakieś linie: najpierw na czole Gaborna, potem wysoko na policzku.

Nagle, ku wielkiemu zdumieniu Gaborna, nocne mroki stały się mniej nieprzeniknione. Posiadał dar wzroku, ale czegoś podobnego nie doświadczył: to było tak, jakby zielarz dodał mu jeszcze z pół tuzina takich darów. Chociaż skutkowało trochę inaczej: nie tyle dostrzegał więcej światła, ile łatwiej poznawał, co widzi. Normalnie musiałby długo wyteżać oczy, aby pojąć w tych warunkach, na co właściwie patrzy - teraz wiedział to od razu.

Spojrzał na odległy las, gdzie dostrzegł ciemną postać ukrywającą się wśród drzew - rosnącego męża w pełnej zbroi. Potężnego, Gdyby nie poprawa zdolności widzenia, Gaborn nigdy by go nie dojrzał. Zastanowił się, kto to może być i co tam robi, i nagle... pojął wszystko.

Binnesman tymczasem potraktował tak samo dziewczynę i powiedział jej:

- Schowaj gałązkę do kieszeni. Możecie potrzebować jej jeszcze przed świtem.

Ułamiesz wtedy koniuszek i powtórzysz zabieg.

Gaborn pojął, że zielarz nie pytał o ich samopoczucie tylko dla zabicia czasu.

Że zapewne nigdy nie zadaje podobnych pytań bez wyraźnego powodu. Przygotowywał Gaborna i dziewczynę do ucieczki w ciemności. Zabiegi wcierania soku liści w skórę miały zmienić ich zapach, zmylić tropy. Inne zioła poprawiały ich zdolności.

Wszystko zabrało mniej niż trzy minuty, potem przyszła pora na bardziej szczegółowe pytania.

- Wciąż jesteś zmęczona? - zagadnął dziewczynę. - Serce nie bije ci za szybko?

Mogę dać ci jeszcze mięty, ale nie chciałbym cię przeciążać.

Gabornowi rzucił szybko kilka poleceń:

- Nasiona maku weź do kieszeni. Gdybyś został ranny, zacznij je żuć. Złagodzą ból.

Zabrał ich następnie na skraj lasu, gdzie rosły trzy ciemne drzewa, wyciągające konary niczym wielkie, palczaste i mchem porośnięte stwory. Pomiędzy nimi otwierała się mała polanka. Gaborn poczuł się nieswojo. W bliskości drzew miał wrażenie, że ktoś obserwuje go, szacuje i lada chwila odprawi. Wszędzie wkoło, i w glebie, i w roślinach, krył się duch ziemi. Gaborn wyczuwał go w liściach, w sokach drzew.

Binnesman zatrzymał się w gęstwie małych krzaków porastających wzgórek pośrodku polany.

- A tutaj mamy rutę - powiedział. - Zbierana o brzasku przydaje się i w medycynie, i w kuchni, ale jeśli zerwie się ją po gorącym dniu, staje się potężnym środkiem drażniącym. Jeśli zdarzy się, że pogoń dopadnie was pod wiatr, ciśnij im to w oczy, Gabornie.

Albo do ognia. Dym z tego ziela jest najbardziej niebezpieczny.

Gaborn nie śmiał dotknąć rośliny. Podchodząc do krzaków, prawie że wstrzymał oddech. Binnesman jednak swobodnie zerwał kilka więdnących, żółtych kwiatów. Bez szkody dla siebie zebrał też nieco liści.

Dziewczyna w ogóle się nie zbliżyła. Chociaż nic nie czuła, wolała zachować ostrożność.

Zielarz obejrzał się na Gaborna.

- Nie musisz się bać - wyszeptał. Gaborn jednak wiedział swoje.

Binnesman pochylił się i podjął garstkę ciężkiej, gliniastej ziemi. Położył ją na dłoni księcia.

- Chcę, żebyś przyjął pewne zobowiązanie - powiedział zielarz takim głosem, że Gaborn natychmiast zrozumiał, jak bardzo poważna to sprawa i że jego odpowiedź

będzie miała wielkie znaczenie. Każde słowo padało z osobna, uroczyście i wyraźnie, a jednak całość przypominała prawie śpiew.

Gaborna nieco to speszyło, jeśli nie wręcz wystraszyło. Gdy wziął garstkę ziemi, poczuł, jakby grunt zakołysał mu się pod stopami. Nagle ogarnęło go zmęczenie.

Ziemia na dłoni wydała mu się niezwykle ciężka, kamienie raczej niż humus.

Czarnoksiężnik nie robi niczego, do czego nie miałby prawa, pomyślał książe. To nie jest zwykły ogród.

- Powtarzaj za mną: Ja, Gaborn Val Orden, przysięgam na tę ziemię, że nigdy jej nie skrzywdzę, że poświęcę się dla zachowania nasienia człowieczeństwa, że przeniosę je przez ten mroczny czas, który nadejdzie. - Binnesman wbił spojrzenie w oczy Gaborna.

Czekał bez mrugnięcia, wstrzymując oddech, aż książe powtórzy ślubowanie.

Coś zadrżało w Gabornie. Poczuł, jak ta garstka ziemi zaczyna... sączyć w jego umysł wrażenie czyjejs obecności, wszechpotężnej obecności... To samo czuł wczoraj, w Bannisferre, gdy wiedziony impulsem, poprosił Borensona, aby ożenił się z Myrrimą.

Tyle że teraz wrażenie to było o wiele silniejsze. Oddech drzew, tajemne życie skał... Z głębi ziemi, pulsując, dawała o sobie znać dziwna siła, jakby grunt drżał

niecierpliwie w oczekiwaniu. Tak, Gaborn czuł to wyraźnie bosymi stopami - ozywające pod nim moce ziemi.

Zrozumiał, że od wielu dni siedł tutaj na spotkaniu z przeznaczeniem. Czy ojciec nie kazał mu przyjechać do tego kraju, nie kazał mu się nauczyć, jak kochać tę ziemię? Czy i jego zainspirowały jakieś moce?

Poczuł to również w gospodzie w Bannisferre, gdy popijał wino z głupiej jagody, najlepsze, jakie kiedykolwiek smakował, z literą B na woskowej pieczęci. Teraz już wiedział, wiedział bez pytania, że to Binnesman dostarczył tamtą butelkę wina. Żadne inne nie zadziałałoby równie mocno i aż tak cudownie. Tamto wino rozjaśniło mu myśli i przywiodło właśnie tutaj.

Decyzja nie była łatwa. Książe obawiał się powtórzyć przysięgę czarnoksiężnika, obawiał się zostać sługą ziemi. Czego będzie to wymagało? Czy stanie się Strażnikiem Ziemi, jak Binnesman? Gaborn składał już inne ślubowania, które miał za święte.

Jak powiedziała Myrrima, nie zwykł przyrzekać niczego lekkomyślnie.

Jednak tym razem lękał się także odmówić złożenia przysięgi. Tropiciele Raja Ahtena szukali go najpewniej przez cały czas. Potrzebował pomocy w ucieczce, zależało mu na wsparciu Binnesmana.

- Przysięgam - powiedział zielarzowi. Binnesman zachichotał.

- Nie mnie, głupcze. Nie mnie, tylko ziemi przysięgnij, tej, którą trzymasz w dłoni i którą czujesz pod stopami. Wypowiedz całe ślubowanie.

Gaborn otworzył usta, świadom aż do bólu, jak wielkie znaczenie przywiązuje Binnesman do tych słów i że cała sprawa jest ważniejsza, niż to sobie wcześniej wyobrażał. Zastanowił się przelotnie, jak zdoła zrównoważyć obie przysięgi, obecną i tę złożoną wcześniej Iomie.

- Ja... - zaczął, a ziemia zakołysała się lekko. Po chwili wszystko zamarło.

Cisza spowiła pola, lasy i ogród, ucichł wiatr, nawet zwierzęta zamilkły. Drzewa wkoło urosły

jakby i pociemniały, odcinając wszelkie światło.

Ciemność, ciemność. Znalazłem się pod ziemią, pomyślał Gaborn. Rozejrzał się wkoło ze zdumieniem, bo ten nocny spokój nie był normalny. Cała kraina pogrążyła się w bezruchu, a książę poczuł, że zbliża się ku niemu coś niezwykłego i nader potężnego.

Binnesman też to wyczuł. Wyszedł spośród krzewów i rozejrzał się zaskoczony.

Ziemia poruszyła się obok jego stóp, darń rozstała się niczym kawał rozdzieranej materii. Z cienistych zarośli na skraju lasu wyłoniła się czarna postać; ta sama, którą Gaborn dostrzegł przed chwilą, chociaż wtedy nie widział jej szczegółowo.

To nie był zwykły śmiertelnik. To w ogóle nie był człowiek, ale raczej golem ulepiony z żywej, czarnej ziemi. Grudki i kamyki spojone tak doskonale, że odtwarzały nawet rysy twarzy.

Gaborn zaraz poznał, kto się ku niemu zbliża. Raj Ahten. Wyszedł żwawo z lasu w pełnej zbroi i czarnym jak onyks wysokim skrzydlatym hełmie. Książę zamarł

przerażony i niepewny, co to właściwie ma oznaczać. Spojrzał na Binnesmana, ale ten też nie posiadał się ze zdumienia.

Goleni wpatrywał się w Gaborna z szyderczym rozbawieniem na ulepionym z ziemi obliczu. W leśnym mroku ktoś niewtajemniczony mógłby go wziąć za człowieka, bo nawet rzęsy, paznokcie i cała faktura tkaniny na odzieniu odtworzone zostały wręcz perfekcyjnie, tyle że brakowało im właściwych barw.

Nagle ziemia przemówiła.

Zienna istota nie poruszała wcale ustami, słowa zdawały się płynąć znikąd i zewsząd, jak poszum wiatru na łące czy nad samotnymi turniami. Jak jęk kamieni przetaczanych w strumieniu czy sunącego w dół osypiska.

Gaborn nie rozumiał, co golem mówi, nie znał tego języka. Binnesman jednak pilnie nastawił ucha i zaraz przetłumaczył.

- Pyta cię: Złożysz mi przysięgę, synu człowieczy? Dziwnie odgłosy nie cichły.

Binnesman zastanawiał się przez chwilę, nim przełożył następny fragment.

- Powiadasz, że kochasz tę krainę. Ale czy dotrzymasz danego mi słowa, chociaż noszę oblicze wroga?

Gaborn spojrział na zielarza, a ten kiwnął głową ponagląco, polecając księciu przemawiać wprost do ziemi.

Młodzieniec nie widział nigdy podobnej istoty, nie słyszał nawet żadnych opowieści, które sugerowałyby jej istnienie. Ziemia przyszła do niego w postaci, którą mógł

ogarnąć, miał szansę pojąć. Niektórzy utrzymywali, że patrząc w płomienie, dostrzegają za nimi oblicze Mocy, i często zdawało się Gabornowi, że ogień jest najbardziej wyrazistym żywiołem, najmniej zaś powietrze. Nigdy jednak nie sądził, by ziemia była zdolna do ukazania swego oblicza.

- Kocham tę krainę - powiedział w końcu.

Głuchy poszum znów się nasilił.

- Jak możesz kochać coś, czego nie rozumiesz? - przetłumaczył Binnesman.

- Kocham to, co rozumiem, i zapewne pokocham też resztę - odparł książę najszczerzej, jak umiał.

Zienna istota uśmiechnęła się dwuznacznie. Głazy huknęły serią zderzeń.

- Kiedyś, gdy twe ciało zmiesza się z moim, zrozumiesz i mnie - przełożył

Binnesman.

- Czy obawiasz się tego dnia?

Chodziło o śmierć. Ziemia chciała wiedzieć, czy Gaborn boi się śmierci.

- Tak - stwierdził księżę. W tej sprawie nie śmiał kłamać.

- Nie możesz więc pokochać mnie w pełni - wyszeptała ziemia. - Czy mimo to wesprzesz mą sprawę?

Raj Ahten. Ta istota była tak podobna do Raja Ahtena. Gaborn wiedział, czego od niego oczekuje. Więcej niż życia - oczekuje afirmacji śmierci, rozkładu, wszystkiego, czym jest ziemia.

Oblicze ziemi ukazywało swą obcość, nieludzką emocji. Gaborn spojrzawszy w jego oczy i w umyśle pojawił mu się szczególnie obraz: pastwisko daleko na południe od Bannisferre, gdzie białe kamienie sterczały z zielonej murawy niczym zęby; malownicze, purpurowe góry Alcairu widoczne z domu na południowym horyzoncie. I jeszcze coś - rozległe rozpadliny, pieczary i wąwozy ciągnące się głęboko pod ziemią, gdzie ludzkie oko nigdy nie sięga. Wielokolorowa gleba i ciemny kamień, masa skrytej pod powierzchnią ciemnej skały, masa tak wielka, że żaden człowiek nie zdołałby jej udźwignąć, zmierzyć się z tym ogromem. I jeszcze kamienie szlachetne, i muł, i liście gnijące w poszyciu puszczy pośród ludzkich kości. Woń siarki, popiołu, trawy i krwi. Rzeki toczące z łomotem wody przez najciemniejsze zakątki świata, nieskończone morza okrywające oblicze ziemi niczym łyż radości.

Nie zdołasz mnie poznać, zdawała się mówić ziemia. Nie pojdziesz mnie nigdy, nie zrozumiesz, znasz tylko powierzchnię zjawisk. Chociaż szukasz we mnie sprzymierzeńca, ja z konieczności zostanę twym wrogiem.

Gaborn rozważył słowa przysięgi. Bolesnej przysięgi. Czy zdoła jej dotrzymać?

- Dlaczego mam złożyć ci śluby? - spytał. - Co to znaczy „nie ranić ziemi”? Co to znaczy „zachować nasienie człowieczeństwa”?

Tym razem Binnesman nie zwlekał z tłumaczeniem odpowiedzi, która pojawiła się pod postacią bliższą raczej westchnieniu wiatru niż skalnym łomotom.

- Nie będziesz szukał sposobu, aby mi zagrozić - odparła istota, całkiem naturalnie opierając się o pień jednego z ciemnych drzew. Kora wygięła się zaraz w coś na kształt wielkiej, otulającej postaci dłoni. - Postarasz się zgłębić mą wolę, będziesz szukał sposobów, jak najlepiej służyć ziemi.

- W jakiej mierze? - spytał Gaborn, niepewny, czego się po nim oczekuje.

Głuchy łomot, huk, rumor. Binnesman zmarszczył czoło, jakby szukał właściwych słów.

- Tak jak ty nie możesz mnie w pełni pojąć, tak i ja nigdy do końca cię nie zrozumiem.

Ale tyle wiem: kochasz swój lud, chcesz jego dobra. Pragniesz ratować ludzi.

Kiedyś był taki czas, gdy ogień kochał ziemię, a słońce unosiło się znacznie bliżej mnie. Ale to już przeszłość, w tej mrocznej epoce przychodzi mi szukać innych sprzymierzeńców.

Proszę cię, byś ocalił pozostałych z rodzaju ludzkiego.

- Ocalił ich przed czym? - spytał trwożnie Gaborn. Syczenie poniosło się po lesie.

- Przed ogniem. Równowaga przyrody została naruszona. To, co wy zwiecie „pierwotnym żywiołem”, na długie wieki zapadło w sen, niebawem się jednak obudzi i przemknie przez świat, siejąc śmierć. W naturze ognia leży pochłaniać wszystko i nieustannie rosnać. Mało co oprze się zniszczeniu.

Gaborn dość wiedział o czarach, aby rozumieć i to, że chociaż wszystkie żywioły współtworzą życie, to jednak ich sojusz nie jest sprawą łatwą i każdy z nich faworyzuje inne formy życia. Powietrze ukochało ptaki, woda ryby, ziemia zaś rośliny i te stworzenia, które wędrują po jej powierzchni. Ogień upodobał sobie chyba tylko węże i istoty zamieszkujące podziemia. Ziemię i wodę cechuje stałość, powietrze zaś i ogień - zmienność.

Ziemia jest opiekuńcza, a wraz z wodą chroni wszelkie życie.

Przecież jestem Władcą Runów, księciem Mysterrii, pomyślał nagle Gaborn, a Mysterria

zawsze słyneła z wodnej magii. Magii właściwej tym, którzy ukochali ziemię. Nic zatem dziwnego, że ziemia szuka we mnie sojusznika.

- Chcesz mej pomocy - powiedział Gaborn. - Tylko głupiec pozostałby na to głuchy. Chcesz, bym kogoś uratował, i chętnie się tego podejmę. Ale co proponujesz mi w zamian?

Skąły zahuczały, ziemia pękła w pobliżu, buchnął pióropusz pary. Ziemia się śmiała.

Binnesman jednak przetłumaczył jej słowa bez cienia uśmiechu.

- Proszę cię tylko o jedno: byś ocalił ludzi i ich człowieczeństwo. Jeśli ci się uda, czyn ten sam w sobie będzie dla ciebie nagrodą. Uratujesz bowiem tych, których uważasz za warty ocalenia, którzy wiele dla ciebie znaczą.

- Jeśli mi się uda?

Wiatr zaszumił samotną nutą wśród drzew.

- Kiedyś żyli na tej ziemi śniadzi, a wcześniej tothowie... Pod koniec tych mrocznych czasów może się okazać, że i po ludzkości zostało jedynie wspomnienie.

Gaborn zmartwiał. Myślał, że ziemia chce, aby uwolnił ludzi od Raja Ahtena.

Teraz okazywało się, że w powietrzu wisi coś znacznie groźniejszego niż wojna pomiędzy dwoma narodami. Coś znacznie bardziej śmierniczości.

- Co ma się zdarzyć? - spytał.

Ziemia odpowiedziała lekkim wiatrem. Binnesman długo marszczył czoło, aż w końcu sam poszukał odpowiedzi.

- Nie potrafię ci przekazać, co usłyszałem od ziemi, Gabornie. To zbyt złożone, nie sposób tego przekazać zwykłymi słowami. Ziemia też nie wie wszystkiego. Tylko Władcy Czasu widzą przyszłość. Tym razem ziemia nie wszystko pojmuje. Wyczuwa jednak destrukcję, wielkie zniszczenia. Niebo zaciągnę dymy, wszystko zajmie się ogniem. Słońce w południe zaświeci ledwo, ledwo, a jego tarcza zapłonie krwistą czerwienią.

Morza zadławia się popiołem. Zbyt wiele tego, bym umiał to w pełni wyrazić.

Czarnoksiężnik umilkł, a Gaborn ujrzał, że twarz mu pobladła jak popiół.

Tłumaczenie tego, co ziemia miała do powiedzenia, musiało być dlań wielkim wysiłkiem. Albo może przeraził się tak bardzo, że nie mógł już mówić.

Gaborn nie pojmował, jakim cudem mógłby dotrzymać tego ślubu, jednak musiał go złożyć, i to niezależnie od ceny. Przyklęknął i wypowiedział formułę.

- Ja, Gaborn Val Orden, przysięgam na tę ziemię, że nigdy jej nie skrzywdzę, że poświęcę się dla zachowania nasienia człowieczeństwa, że przeniosę je przez ten mroczny czas, który nadejdzie.

Drżał cały. Ziemna istota pochylała się nad nim coraz bardziej, aż hełmem niemal dotknęła jego czoła. Wiatr zaszepotał księciu w uszach, grunt zatrzęsał się złowieszczo.

- Trzymam cię za słowo - wychrypiał Binnesman. - Chociaż z czasem mnie przeklniesz.

Istota uniosła lewą rękę i przytknęła dwa utworzone z ziemi palce, duży i wskazujący, do czoła Gaborna, po czym nakreśliła znak runiczny. Następnie przycisnęła je do warg Gaborna.

Książę otworzył usta. Istota wsunęła w nie palce. Gaborn poczuł smak żyznej gleby na języku. Zacisnął lekko zęby.

W tej samej chwili ziemna istota zaczęła się rozsypywać. Jej włosy zmieniły się w pył, mięśnie zwiotczały, aż w końcu został po niej kopczyk zwykłej gleby. Natychmiast zniknęło też przemożne poczucie obecności czegoś potężnego. Drzewa znów zaczęły przepuszczać nikłe światło. Gaborn odetchnął głęboko.

Pobladły Binnesman spojrział na kupkę ziemi. Sięgnął po nią, posmakował. Wziął jeszcze garstkę, sypnął trochę na lewe, potem na prawe ramię Gaborna, na koniec na głowę.

- Ziemia uzdrawia, ziemia chroni, ziemia zawsze cię przyjmie - zanucił z cicha.

- A teraz - szepnął po chwili, kładąc dłonie na ramionach księcia - Gabornie Val Ordenie,

nadaję ci imię Zrodzonego z Ziemi. Jako ty służysz ziemi, tak i ona cię wspomogę.

Polana wciąż pełna była woni ruty, teraz jednak zapach ten jedynie wiercił

Gaborna w nosie. Podeszedł do krzewu, pogłodził wyblakły żółty kwiat, zerwał kilka liści.

Obejrzał się.

Binnesman patrzył na niego z wyraźnym podziwem.

Gdy książę zerwał jeszcze tuzin liści, zielarz chrząknął.

- Wzięłeś już tego na prawie dwie wioski - ocenił. - Chyba starczy. Chodź już, nie mamy czasu.

Czarnoksiężnik wziął liście i roztarł je w dłoniach. Po chwili zmieniły się proszek. Wsywał wszystko do mieszka, który nosił na piersi, i powiesił go na szyi Gaborna. Gaborn przyjął woreczek lekko zmieszany. Na usta cisnęły mu się setki pytań, jednak chociaż z początku, gdy wszedł do tego dziko zarosłego ogrodu, czuł się w nim bezpiecznie, teraz wiedział, że mimo iż jest pod opieką, czasu szybko ubywa. Nie mógł

zwlekać, trzeba było poniechać pytań.

Dziewczyna z kuchni stała przez cały czas na skraju polany, na twarzy malowało się jej czyste przerażenie. Binnesman poprowadził ją i Gaborna ze wzgórza ku południowej granicy ogrodu. Szli spieszenie wąską ścieżką. Gaborn w jednej dłoni ścisnął

węzełek z drenami, drugą trzymał na mieczu. Czuł się dziwnie, jakby odrętwiały. Chętnie by odpoczął, poukładał sobie to i owo w myślach.

Gdy dotarli do przeciwległego skraju rozległej łąki i weszli w cień egzotycznych drzew, Gaborn usłyszał dobiegające z tyłu krzyki. Obejrzał się.

Noc zapadła już niemal całkiem, widać było ognie na wieżach Warowni Darczyńców i Gwardii, światła w oknach pokojów królewskich. Na niebie jaśniało kilka samotnych gwiazd. To ostatnie zdumiało w pierwszej chwili Gaborna, ciągle bowiem widział

wyraźnie jak w dzień.

Na wzgórzu, daleko za ich plecami, pojawił się punkt jaśniejszy niż wszystkie inne: ogniasta postać ludzka spowita w zielone płomienie oplatające ją niczym węzowe języki, muskające gładką skórę bezwłosej czaszki.

Tkacz płomieni stanął przed tą samą furką, którą Gaborn nie tak dawno tu wszedł.

Strażnicy uciekli przed czarownikiem, ten zaś wyciągnął rękę i z dłoni strzelił

mu snop słonecznego blasku. Żelazna krata zaczęła się wyginać, aż się stopiła, i tkacz płomieni wszedł do ogrodu.

Za nim pojawili się zwiadowcy Raja Ahtena. Mężowie w czarnych opończach.

Wietrzyli za zapachem Gaborna.

- Szybciej! - szepnął Binnesman.

Gdyby to byli zwykli ludzie, Gaborn nie odczuwałby strachu. Wiedział jednak, że nie ze śmiertelnikami przyszłoby mu się zmierzyć, ale z żywiołem. To ogień go szukał.

Pobiegli przez las, przez mokradła nad strumieniem. Kilkaset stóp dalej strumień wpadał do rzeki Wye, tam właśnie książę miał nadzieję znaleźć coś, co umożliwiłoby mu ucieczkę. Dziewczyna i czarnoksiężnik nie potrafili biec tak szybko jak on, który przeskakiwał co niższe krzaki, niemniej w kilka chwil dotarli do niewielkiego domku z pobielonymi ścianami i słomianą strzechą.

- Muszę się zająć moimi nasionami - syknął Binnesman. - Rowano, znasz drogę do młyna. Zaprowadź Gaborna. Niech ziemia będzie z wami obojgiem!

- Chodź - rzuciła Rowana. - Tędy. - Szarpnęła go za rękaw i pociągnęła ceglastą drogą. Gaborn

posłuchał potulnie, czując coraz wyraźniej, że muszą się spieszyć.

Słyszał już krzyki dobiegające z łąki za nimi. Nie włożył jeszcze butów i każdy krok boleśnie mu o tym przypominał, ale Rowana biegła po kamykach lekko, jakby nic nie czuła.

Jednak nawet w biegu czuł... zdumienie, wielkie zadziwienie cudami, których nie potrafił do końca pojąć. Żeby tak móc się zatrzymać, dać sobie czas na przemyślenie wszystkiego. Wiedział jednak, że teraz byłoby to zbyt niebezpieczne.

Dotarli do krańca ogrodu.

- Stój, stój - szepnął do Rowany. - Włóż buty, zanim sobie wszystkie kostki w stopach odbijesz.

Posłuchała go. Gaborn też wzał obuwie i dalej pobiegli już szybciej. Minęli furkę ogrodową i przemknęli uliczką do stajen królewskich, wielkiego budynku ze świeżego drewna. Dziewczyna uchyliła jakieś drzwi.

Tuż za progiem śpiący na sianie stajenny krzyknął z przerażenia, ale oni przebiegli obok niego i wzdłuż rzędu zagród, w których, wsparte na zwieszających się z sufitu pasach, stały królewskie konie darczyńcy, pozbawione rozumu, dzielności, wytrzymałości i metabolizmu, aby bojowe rumaki władcy mogły lepiej stawać w polu. Rowana dopadła tylnych drzwi. Ten sam strumień, który płynął przez Ogród Czarnoksiężnika, przemykał tutaj przez błotnisty wybieg, gdzie konie przytupywały i strzygły uszami ze strachu.

Potem zniknął pod wielkim, kamiennym murem, fragmentem zewnętrznych umocnień miasta.

Gaborn nie zdołałby wspiąć się na ten mur, wysoki na jakieś pięćdziesiąt stóp, ale Rowana znalazła miejsce, gdzie kamienie skruszały przez wieki. Przejście było wąskie, za wąskie dla wojownika w zbroi, ale szczupła dziewczyna i młodzieniec jakoś się precyzyjnie, chociaż nie uniknęli kąpieli w lodowatej wodzie.

Dalej strumyk spływał po zielonym stoku. Na jego brzegu rosły wysokie i obsypane baziami wierzby. Gaborn uniósł głowę. Tuż nad nimi czuwał na wieży łucznik.

Zerknął w dół, dostrzegł ich i ostentacyjnie się odwrócił. Pas ziemi wzdłuż murów był niemal całkiem nagi, co miało ułatwiać robotę łucznikom. Gaborn nigdy nie przedostałby się tędy do zamku nie zauważony.

Poniżej wierzb stok stał się bardziej stromy, pojawiały się gęsto rosnące brzozy i olchy. Było pod nimi tak ciemno, że księżę prawie nic nie widział, jednak lasek nie był rozległy, przypominał trójkąt długi na dwieście i szeroki na sto jardów.

Przez drzewa widać było ciemną i czarną rzekę. Przekradający się na czworakach Gaborn słyszał lekki szum płynącej wody. Zatrzymał się i złapał dziewczynę za kostkę. Na drugim brzegu rzeki coś się ruszało: nieludy i paru olbrzymów rozbijało w ciemności obóz.

Nieludy rysowały się jako przygarbione cienie na tle jasnych pól. Księżę domyślał się, że te stworzenia, które zwykły polować nocami, skacząc na zdobycz z gałęzi, widzą zapewne w ciemności lepiej niż ludzie, ale o ile lepiej?

Nieludy przybyły tysiąc lat wcześniej zza morza i Władcy Runów radzili sobie jakoś z ograniczaniem ich liczebności. Kiedyś urządzili nawet wyprawę do mrocznych krain za Morzem Carolla, aby wytrzebić je w ich rodzinnej krainie, co na długo ostudziło wojenne zapały napastników. Zresztą nieludy nie były biegłe w walce, chociaż świetnie radziły sobie w ciemności. Od wieków uchodziły za stwory legendarne, chociaż powiadano, że mieszkają wciąż w górach Hest za Inkarrą i czasem porywają dzieci, które potem pożerają.

Mieszkańcy Inkarry nigdy jakoś się nie pokusili, aby oczyścić tropikalne puszcze z resztek tych stworzeń. Gaborn nie wiedział, ile jest prawdy w tych opowieściach. A może nieludy widzą go nawet teraz?

Po lewej las był gęstszy. Gaborn dostrzegł szeroką kamienną tamę. Młyn. Jego wielkie koło skrzypiało i chlapało niemiłosiernie.

- Poprowadzę - szepnął do dziewczyny. Ruszył powoli pomiędzy wierzbami. Pełził na brzuchu jak wąż, by nie przyciągnąć uwagi nieludów i spokojnie dotrzeć w największą gęstwinę.

Byli poza murami miasta, na stromym brzegu. Od wschodu zamykała im drogę rzeka, od południa fosa. Książę miał nadzieję, że Raj Ahten nie ma dość żołnierzy, żeby obsadzić nimi również te lasy. Powoli wprowadził Rowanę głębiej między drzewa. Cały czas pilnował, żeby nawet gałązka pod nimi nie trzasnęła.

Z góry, skądś z trzewi zamku Sylvarresta, dobiegły ich gniewne krzyki. Pewnie doszło jednak do jakiejś walki. W pobliżu rozległy się inne jeszcze odgłosy. Zwiadowcy okrzykiwali się po taifańsku:

- Tędy! Tam sprawdźcie! Za nim! - Szukali już Gaborna za murami.

Książę dopełził do samej wody i poczekał na Rowanę. Przyjrzeni się drugiemu brzegowi.

Na wzgórzu za nimi rozszalał się ogień. Gaborn czuł woń dymu. Płomienie pożerały ogród Binnesmana. Z tej odległości wyglądały jak różanopalca zapowiedź jutrzeńki.

Płomienie odbijały się w srebrzystych oczach przysadzistych olbrzymów ze splątanymi grzywami. Pomiedzy nimi, osłaniając ślepie przed blaskiem, kręciły się nieludy.

Rzeka wyglądała na płytką. Chociaż jesień była już blisko, przez ostatnie parę tygodni deszcz padał raczej rzadko. Gaborn pomyślał, że choćby zanurkował najgłębiej, jak się da, nieludy i tak go zauważą. Wyglądało jednak na to, że niebawem płomienie ogarną całe miasto, a wtedy przygarbione stwory staną się na wpół ślepe.

Książę skulił się jeszcze bardziej i wskazał Rowanie parę gałęzi, które mogłaby potrącić.

Nagle coś trzasnęło z tyłu. Obrócił się w jednej chwili i sięgnął po broń. Jeden z tropicieli Raja Ahtena stał niemal nad nimi. Skryta częściowo wśród drzew sylwetka odcinała się lekko od oświetlonego pożarem nieba.

Mężczyzna nie ruszył od razu. Zastygł, pewien, że skrywa go ciemność. Rowana też się zatrzymała i spojrzała w górę. Chyba nie dostrzegła prześladowcy.

Nosił czarną opończę, w ręku trzymał nagi miecz. Za całą ochronę miał

lakierowaną skórzaną kamizelkę. Gdyby nie wcześniejsze zabiegi Binnesmana, Gaborn też by go nie zauważył.

Trudno było orzec, iloma tamten rozporządza darami, jaki jest silny lub szybki, ale tropiciel też nie mógł przecież wiedzieć, jakie możliwości ma teraz Gaborn.

Książę przeniósł wzrok na prawo, jakby nie dostrzegł napastnika, i dalej przepatrywał zarośla. Po dłuższej chwili odwrócił się i wbił spojrzenie w przeciwległy brzeg.

Odłożył węzełek z drenami i udając, że drapie się po brzuchu, wysunął sztylet zza pasa.

Ścisnął go w

lewej dłoni w taki sposób, żeby nie było widać głowni.

Potem już tylko nasłuchiwał. Koło młyńskie łomotało niczym kamienna lawina, z miasta dobiegały krzyki mieszkańców próbujących walczyć z ogniem.

- Poczekaj tutaj - szepnął do Rowany.

Tropiciel ruszył. Był coraz bliżej. Gaborn wstrzymał oddech.

Był cichy, zwinny i szybki. Musiał otrzymać dar metabolizmu.

Gaborn go nie miał. Owszem, był młody i sprawny, ale nie mógł się równać z takim wojownikiem. Nie mógł też mu pozwolić na podniesienie alarmu. Nawet niezbyt głośny krzyk zwróciłby uwagę nieludów. Czekał więc, aż tropiciel podejdzie bliżej.

Dwadzieścia

stóp... Trzasnęła gałązka. Książę udał, że tego nie usłyszał. Jeszcze chwila.

Gdy mężczyzna był już prawie przy nim, cały skupiony i ostrożny, by zachować ciszę, Gaborn obrócił się i skoczył nad Rowaną.

Napastnik uniósł miecz tak błyskawicznie, że głownia tylko mignęła rozmazaną smugą. Przyjął pozycję do walki - kolana ugięte, sztych wysunięty daleko do przodu. Był niewątpliwie szybszy od Gaborna. Ale niekoniecznie sprytniejszy.

Z dziesięciu stóp książę rzucił sztyletem. Trafił rękojeścią w nos. Tamten jednak zawahał się na moment i tyle starczyło księciu, by rzucić się na przeciwnika i jednym ruchem rozciąć mu mieczem rzepekę.

Tropiciel próbował odbić cięcie, opuszczając miecz, ale się spóźnił. Niemal tym samym ruchem, którym zranił napastnika w kolano, Gaborn uniósł broń i płynnie rozplatał tamtemu gardło.

Wojownik ponownie spróbował sięgnąć Gaborna - nie wiedział jeszcze, że umiera.

Książę usunął się z drogi jego miecza, chociaż nie do końca, bo coś zapiekło go nagle przy zębach. Odbił wrogą klingę i tanecznym krokiem wycofał się z jej zasięgu.

Tropiciel zabulgotał i zachwiał się. Krew buchnęła mu z rozciętej szyi, tryskając w rytm uderzeń serca. Gaborn wiedział, że chwile tamtego są już policzone, i spróbował się cofnąć jeszcze bardziej, żeby uniknąć kolejnego zranienia. Potknął się jednak o korzeń i przewrócił, ale miecz wciąż trzymał w górze na wypadek, gdyby przyszło odparować jakiś spóźniony cios.

Mózg przeciwnika zaczął zdradzać oznaki niedokrwienia. Najpierw pojawiły się zaburzenia wzroku. Tropiciel rozejrzał się nieprzytomnie, spróbował się złapać młodego drzewka, ale chybił. W końcu puścił miecz i upadł na twarz.

Gaborn spojrział na stok powyżej, ale nie dostrzegł nikogo więcej. W myślach podziękował Binnesmanowi za zioła, które stłumiły jego zapach. Pomacał zębra.

Krwawiło, ale niezbyt mocno. Obawiał się, że będzie gorzej. Zatałkował krew i poszukał węzła z drenami.

Rowana oddychała ciężko. Wciąż była przerażona. Gdy podchodził, patrzyła na niego, jakby się obawiała, że i jego rana okaże się zaraz śmiertelna.

Wyprostował się jak mógł, by uspokoić dziewczynę, i poprowadził ją pomiędzy wierzby, które dawały trochę lepszą kryjówkę. Płomienie za ich plecami strzelały coraz wyżej.

Nieludy na drugim brzegu spoglądały trwożnie w ich stronę. Słyszały odgłosy walki, ale oślepił je blask płomieni i Gaborn z Rowaną niknęli im w cieniu. Daremnie wyteęzały wzrok. Może je też niepokoił hałas koła młyńskiego: nie wiedziały, czy w lesie nie toczy się jakaś większa potyczka. Nie paliły się też do przeprawy przez rzekę ani do walki w podobnie niepewnych warunkach. Gaborn przypomniał sobie mgliście, że nieludy chyba boją się wody.

Nie wychodząc z cienia wierzb, wszedł po pas do rzeki i spojrział w dół nurtu.

Trzech olbrzymów stało po kolana w wodzie. Pilnowali zakrętu. Jeden trzymał płonąca pochodnię, dwaj pozostali dzierżyli wielkie dębowe maczugi uniesione na podobieństwo włóczni. Przepatrywali nurt niczym rybacy. Wyraźnie czuwal, aby nikt tędy nie uciekł.

Ten sam ogień, który oślepił nieludy, dla olbrzymów był tylko pomocą. Gaborn przyjrzał im się uważnie. Na zakręcie woda mogła mieć co najwyżej trzy stopy głębokości i ani Gaborn, ani Rowana nie mieli szans, aby się tamtędy przemknąć.

Nagle dziewczyna otworzyła bezgłośnie usta, zwinęła się w pół i złapała za żołądek.

10

OBLICZE CZYSTEGO ZŁA

Gdy Raj Ahten wjeżdżał przez bramę, Ioma stała wciąż na południowej wieży Warowni

Darczyńców. Na polach wkoło zapadła już noc i tkacze płomieni kierowali się ku miastu. Ich drogę znaczyły pasma spalonej trawy, jednak ku zdumieniu księżniczki suche źdźbła nie buchały nagłym płomieniem. Kilkaset jardów za każdym z magów ogień samoistnie wygasał, przez co tkacze wyglądali z góry jak komety z płomienistymi, blednącymi ogonami.

Za nimi wyjechał pomiędzy drzew wielki wóz pełen mężczyzn w obszernych szatach. Kolebiąc się, ciągnął nierówną gruntową drogą łączącą zamek z Mroczną Puszczą. Legendarni Niezwyciężeni Raja Ahtena też już zbliżali się ku bramie miejskiej.

Maszerowali w dwudziestu zwartych czworobokach, po stu mężów w każdym.

Reszta jednak została na równinie. Zastęp olbrzymów trzymał się linii drzew, paru zapuściło się nad rzekę, a nieludy o ciałach ciemniejszych niż mrok nocy otoczyły zamek, przysiadając na polach. Ich obecność z góry skazywała na niepowodzenie wszelkie próby ucieczki.

Trzeba przyznać, że strażnicy Warowni Darczyńców nie otworzyli jej wrót w oczekiwaniu na Raja Ahtena. Stali twardo na swoich posterunkach, patrząc tylko, jak Wilk zbliża się ulicą Rynkową i Dziedzińcem Królewskim do najbardziej strzeżonej części zamku.

Czekali, aż król Sylvarresta zejdzie z wieży. Ioma szła obok niego, trzymając dłoń w jego dłoni, za nimi postępowało oboje Dzienników, na końcu Chemoise.

Dobrze, pomyślała księżniczka. Niech Wilk poczeka sobie chwilę pod bramą, niech poczeka na prawdziwego pana zamku Sylvarresta. To będzie drobne zadośćuczynienie za całe zło, które niebawem nastąpi.

Chociaż na twarzy króla nie malował się nawet cień strachu, to ścisnął dłoń córki o wiele za mocno, wręcz kurczowo.

Zeszli na dziedziniec warowni. Czuwający tu gwardziści należeli do najlepszych w całym królestwie, ale też było to miejsce święte, jądro potęgi Sylvarrestów.

Gdyby darczyńcy zginęli, po tej potędze nie zostałoby śladu.

Dwaj strażnicy przy bramie wciąż robili wrażenie w swych czarno-srebrnych tunikach nałożonych na kolczugi.

Gdy król do nich podszedł, zaprezentowali piki, opuszczając je grotami ku ziemi.

Przez kratę widać było już podjeżdżającego do bramy Raja Ahtena.

- Najjaśniejszy panie? - spytał kapitan Ault. Gotów był walczyć do śmierci, gdyby władca tak postanowił, albo i zabić go wraz z córką, oszczędzić im długich tortur, których tak obawiała się Ioma.

- Spocznij - powiedział Sylvarresta niezbyt pewnym głosem.

- Jakież rozkazy, wasza królewska mość? - spytał Ault. Ioma zamarła, serce zabiło jej mocniej. Lękała się, że ojciec każe zaraz uśmiercić ich oboje, żeby tylko nie dostali się w ręce nieprzyjaciela.

Z dawna toczyła się pomiędzy możnymi Rofehavanu gorąca dysputa, co należy czynić w podobnych sytuacjach. Zwycięzca często próbował zabrać dary pokonanym, aby się stać silniejszym. A Raj Ahten już teraz był aż nazbyt potężny. Niektórzy uważali, że w podobnej sytuacji lepiej popełnić samobójstwo, niż ugiąć kark.

Inni jednak dowodzili, że powinno się żyć dalej w nadziei, że kiedyś jeszcze zdoła się pomóc swojemu ludowi. Ojciec Iomy podzielał ten pogląd, chociaż od dwóch dni, od kiedy stracił dwa dary pamięci, stał się nagle ostrożny, pełen obaw, że utracił myśli i wspomnienia wielkiej wagi. Czuł, że może się pomylić, zbłądzić, i bardzo się tego bał.

Spojrzał czule na córkę.

- Życie jest takie piękne - szepnęła. - Nie sądzisz? Ioma skinęła głową.

- Życie, Iomo... - dodał. - Życie jest dziwne i piękne, pełne cudów nawet w najczarniejszych

godzinach. Zawsze w to wierzyłem. Jeśli tylko można, trzeba wybrać życie. Żyjmy zatem w nadziei, że przysłużymy się jeszcze naszym poddanym.

Ioma zadrżała w obawie, że być może ojciec wybrał niewłaściwie. A jeśli najlepiej przysłużyliby się oboje swojemu ludowi, umierając tu teraz?

- Otwórz bramę - szepnął król do Aulta. - I przynieś jakieś lampy. Będziemy potrzebowali światła.

Krępy kapitan ponuro skinął głową. Ioma wyczytała w jego oczach, że prędzej umrze, niż będzie spokojnie patrzeć, jak Sylvarresta traci swe królestwo. Nie podzielał

zdania swego władcy. Zasalutował jednak, przykładając drzewce piki do daszka hełmu.

„Zawsze będziesz mym panem”, powiadał tym gestem.

Król w odpowiedzi skinął oszczędnie głową. Strażnicy zdjęli rygle i każdy złapał za jeden z uchwytów wrót. Pchnęli je na zewnątrz.

Raj Ahten czekał w siodle swego siwego ogiera z białymi cętkami na ciemniejszym zadzie. Wkoło stali gwardziści, a jego Dziennik, wyniosły mężczyzna z siwymi skroniami, czuwał z tyłu. Wielki rumak Wilczego Władcy był niewątpliwie szlachetnej krwi.

Ioma słyszała o tej rasie, ale nigdy dotąd żadnego nie widziała. Zwano je cesarskimi, a wywodziły się z koni przywiezionych niegdyś z legendarnego państwa tothów leżącego za Morzem Carolla.

Raj Ahten wyglądał dostojnie, jak na wielkiego monarchę przystało. Czarna zbroja pokrywała jego ciało niby łuskowata skóra, szerokie, sowe skrzydła na hełmie przyciągały oczy ku jego twarzy. Patrzył niewzruszenie na króla i Iomę.

Twarz miał ani starą, ani młodą, ani zdecydowanie męską, ani kobiecą, co częste u tych, którzy dostali wiele darów urody i wdzięku od osób obu płci. Jednak był

piękny, tak okrutnie piękny, że Iomę aż serce zabolalo, gdy spojrzala w te czarne oczy. Oto bylo oblicze godne czci, warte nawet ofiary zycia. Poruszał głową lekko na boki w sposób typowy dla tych, którzy otrzymali liczne dary metabolizmu.

- Sylvarresta - odezwał się z siodła, omijając tytuły - nie ma u was zwyczaju kłaniać się swemu władcy?!

Moc jego Głosu była tak wielka, że pod Ioma ugięły się nogi i całkiem nad sobą nie panując, uklękła, aby spełnić swą powinność, chociaż jakiś szept z tyłu głowy podpowiadał nieustannie: Zabij go, zanim on zabije ciebie.

Ojciec Iomy też przyklęknął, na jedno kolano.

- Wybacz, panie - powiedział. - Witaj w zamku Sylvarresta.

- Od teraz to zamek Ahten - poprawił go Wilk.

Z tyłu, za Iomą, szcęknał metal. Z wartowni wracali strażnicy z latarniami.

Raj Ahten przyglądał im się chwilę. Światło odbijało się w jego oczach. Potem lekko zeskoczył z konia i podszedł do Sylvarresty.

Był wysoki, o pół głowy wyższy niż ojciec Iomy, która zawsze uważała króla za rosnącego mężczyznę. Księżniczka poczuła strach. Nie wiedziała, czego oczekiwać.

Może Raj Ahten sięgnie po swój krótki miecz i utnie obojgu głowy? Nie zdążyłaby nawet mrugnąć.

Trudno było przewidzieć poczynania tego człowieka. W ciągu kilku ostatnich lat podbił wszystkie południowe królestwa wkoło Indhopalu. Jego potęga rosła z przerażającą szybkością. Mógł sobie pozwolić zarówno na niespotykaną wielkoduszność, jak i na nieludzkie okrucieństwo.

Powiadano, że osaczywszy sułtana Avenu w jego zimowym zamku w Shemnarvalli, czym

przedzej pojmał jego żonę i synów przebywających w letniej siedzibie i zagroził, że wystrzeli dzieci z katapulty i przerzuci przez mury zamku. Sułtan stanął na blankach i odkrzyknął: „Dalej, mam młot i kowadło, by zrobić sobie lepszych synów!” A miał

ich bardzo wielu i podobno tamtej nocy Raj Ahten kazał ich wszystkich spalić. Krzyki niosły się przerażające, gdyż za każdym razem czekał, aż jęki umilkną i dopiero potem ciskał płonące ciało ponad murami. Na sułtana to nie podziałało, ale jego własna gwardia nie zdzierzyła i otworzyła bramy. Gdy Raj Ahten wszedł do twierdzy, kazał ukarać sułtana dla przykładu. Ioma nie wiedziała, co było dalej, bo w cywilizowanych krajach nie rozprowadano ze szczegółami o podobnych sprawach.

Powszechnie wiadomo jednak, że Raj Ahten osądza królów, zanim jeszcze zabiera się do podboju ich państw. Z góry przewiduje, którego zabić, którego popędzić w niewolę, którego uczynić regentem, Iomie znów niespokojnie zatrzepotało serce. Jej ojca wiązała przysięga, był człowiekiem honoru i najbardziej ludzkim spośród wszystkich władców Rofehavanu. Raj Ahten zaś był najpaskudniejszym tyranem, jaki chodził po ziemi od ośmiuset lat. Nie traktował innych królów jak równych sobie, miał ich za wasali.

Tych dwóch nie mogło dzielić tronu Heredonu.

Raj Ahten sięgnął na plecy po swój młot bojowy o rękojeści niemal tak długiej, jak sam Wilk był wysoki. Postawił żeleźce na bruku, złączył dłonie na rękojeści i z ironicznym uśmiechem oparł na nich brodę.

- Mamy do pogadania, Sylvarresta - powiedział. - Na początek o tym, co nas różni. - Wskazał głową na ulicę za swoimi plecami. - To twoi ludzie?

Wielki wóz, który Ioma widziała wcześniej na drodze wiodącej przez pola, wtoczył się przez bramę. Był pełen żołnierzy, to można było poznać po ich zaciętych obliczach, jednak gdy podjechał bliżej, Ioma pojęła, co to za wojownicy: kapral Deliphon, fehmistrz Skallery... twarze, których nie widziała od lat.

Chemoise jęknęła, potem krzyknęła głośno i podbiegła do wozu. Na samym przodzie leżał jej ojciec, Eremon Vottania Solette. Obecnie szczątek człowieka, niezdolny ruszyć nawet powieką. Plecy wygięte miał w łuk, wszystkie mięśnie sztywne i napięte niczym w stężeniu pośmiertnym. Ioma zrobiła kilka kroków śladem Chemoise, ale nie śmiała podejść bliżej Raja Ahtena.

Jednak nawet z odległości trzydziestu stóp czuła smród bijący od tych ludzi.

Byli nieprawdopodobnie brudni, wzrok mieli pusty, pozbawiony choćby isierki rozumu.

Niektórzy trwali z opuszczonymi ze zmęczenia żuchwami. Wszystkich ograbiono z cenniejszych darów: bystrości, odwagi, wdzięku, metabolizmu i sił życiowych.

Stali się zupełnie bezradni.

Chemoise z płaczem przytuliła głowę ojca do piersi. Ault podszedł z migoczącą latarnią. W tym świetle blade twarze na wozie wyglądały jeszcze straszniej.

- Większość była niegdyś moimi - przyznał ostrożnie Sylvarresta. - Ale zwolniłem ich z zależności lennej. To najemnicy, wszyscy wolni rycerze. Nie jestem ich panem.

Nie było to zbyt przekonujące wytłumaczenie. Chociaż wojownicy na wozie rzeczywiście byli wolnymi rycerzami, to jednak ślubowali zniszczyć wszystkich władców w rodzaju Raja Ahtena. Przysięga ta była ważniejsza niż więzy lojalności wobec byłego pana, niemniej to właśnie Sylvarresta wyposażał ich w pieniądze i broń niezbędne do działań przeciwko Rajowi Ahtenowi. Był z nimi związany. Równie dobrze łucznik mógłby twierdzić, że nie bierze odpowiedzialności za poczynania wystrzelonej strzały, skoro ta oderwała się od cięciwy jego łuku.

Raj Ahten nie przyjął tłumaczeń. Skrzywił się, odwrócił na chwilę głowę. Serce prawie że

stańto Iomie w piersi, gdy ujrzała łzy w oczach Wilka.

- Wyrzuciłeś mi dużo zła - powiedział. - Twoi zabójcy zgładzili wielu moich darczyńców, zamordowali mego krewniaka i kilku serdecznych przyjaciół spośród sług.

Głos Wilka napełnił Iomę przepotężnym poczuciem winy. Czowała się jak dziecko przyłapano na dręczeniu kotka. Bolało tym bardziej, że smutek Raja Ahtena wydawał się jak najbardziej szczerzy. Raj Ahten kochał swych darczyńców.

Nie, podpowiadał jakiś niewyraźny głos. Nie wolno ci uwierzyć w to wszystko, chociaż on bardzo tego pragnie. To sztuczka, to tylko Głos. Wilk kocha wyłącznie siłę, którą otrzymuje od swoich ludzi. Jednak sceptycyzm ledwie się przebijał przez poczucie winy.

- Chodźmy do sali tronowej - powiedział Raj Ahten. - Nie dajecie mi innego wyboru, jak tylko przedyskutować wszystko, co tak bardzo nas różni. Napełnia mnie żalem, że muszę przystąpić do negocjowania... warunków kapitulacji.

Król Sylvarresta pochylił głowę. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Ioma odetchnęła lekko. Będą rozmawiać. Tylko rozmawiać. Raj Ahten skierował się ku Warowni Króla. Ioma poszła za ojcem cała odrętwiała. Nie czuła nawet nierówności bruku.

Chemoise została przy wozie: wtaczano go właśnie na dziedziniec Warowni Darczyńców.

Podtrzymywała głowę ojca i szeptała mu wszystkie słowa pocieszenia, jakie potrafiła znaleźć.

Tymczasem Ioma, jej ojciec i troje Dzienników przeszło za Rajem Ahtenem przez najbogatszą część Heredonu, gdzie mieściły się wytworne sklepy ze srebrem i klejnotami, porcelaną i drogimi tkaninami. Przed nimi wznosiła się Warownia Króla.

Na szczycie jaśniały już latarnie. Ioma uważała tę wieżę za brzydką: wielki, kamienny blok na bazie kwadratu, wysoki na sześć kondygnacji, przyozdobiony jedynie granitowymi posągami niegdysiejszych królów otaczającymi podstawę budowli. Każdy z nich miał szesnaście stóp wysokości. Zwieńczenie murów urozmaicały rzeźby minstreli i tancerzy, zbyt małe jednak, aby dało się je wyraźnie dojrzeć z dołu.

Ioma miała ochotę rzucić się do ucieczki, zniknąć w którejś z alejek, schować za krowami spędzonymi tu przed nocą. Serce waliło jej jak młotem i czuła się coraz gorzej.

Gdy przeszli przez bramę Warowni Króla, omal nie zemdląta. Ojciec ujął jej dłoń, pomógł utrzymać się na nogach. Mimo mdłości ruszyła za królem po szerokich schodach. Pokonali pięć pięter, aż dotarli do komnat władcy.

Raj Ahten poprowadził ich przez salę audiencyjną i dalej, do wielkiej sali tronowej. Trony króla i królowej wykonano z lakierowanego drewna, oba były obite szkarłatnym jedwabiem. Nogi, podłokietniki i oparcia ozdobiono złotymi liśćmi, jednak całość nie była przesadnie efektowna. Na strychu warowni dałoby się znaleźć ciekawsze trony.

Sala jednak była naprawdę olbrzymia, z wysokimi wykuszowymi oknami wychodzącymi na północ, południe i zachód i dobrym widokiem na spory kawał królestwa. Po obu stronach tronów płonęły lampy, w obszernym kominku tańczyły niewielkie płomyki.

Wilki zasiadł na królewskim stolcu. Mimo zbroi umościł się wygodnie.

Skinął na króla Sylvarrestę.

- Ufam, że moja kuzynka Venetta ma się dobrze. Idź po nią. I odśwież się nieco, przebierz. Gdy będziesz gotowy, zaczniemy audiencję. - Pokazał na zbroję Sylvarresty, dając do zrozumienia, że władca ma się jej pozbyć.

Król skinął głową, nie tyle na znak zgody, ile posłuszeństwa, i odszedł do swoich apartamentów. Ioma była tak wystraszona, że miast do swojego pokoju, wołała pójść za nim.

Żadne z Dzienników nie ruszyło ich śladem. Bractwo mogło spisywać każdy krok Władców

Runów, ale sypialnianej prywatności nawet ono nie śmiało naruszać.

Przystanęli za to w urządzonym w starym stylu przedpokoju, gdzie zwykle czekali na polecenia swego pana służący i strażnicy, i pograżyli się w rozmowie prowadzonej tajnym językiem Bractwa Dni.

Była to zwykła kolej rzeczy przy spotkaniach braci i sióstr z wrogich królestw.

Ioma nic z tego nie rozumiała, zamknęła więc po prostu drzwi sypialni, odcinając się od ich szybkiej wymiany zdań.

Królowa Venetta Sylvarresta siedziała na fotelu. Włożyła najlepszą suknię i wszelkie regalia. Siedziała plecami do drzwi, popatrując w południowe okno i malując paznokcie bezbarwnym lakierem.

Była próżna, miała aż dziesięć darów urody i wyglądała na o wiele piękniejszą niż Ioma. Miała czarne włosy oraz oliwkową karnację i w tym przypominała Raja Ahtena. Oboje byli ciemniejsi od dziewczyny. Piękna korona nie mogła konkurować z jej twarzą o naturalnym uroku. Berło - złoty walec z wysadzaną perłami kulą leżało na kolanach.

- I tak straciłeś swe królestwo - powiedziała z westchnieniem, Iomę zabolalo to bardziej niż cokolwiek, co do tej pory usłyszała. Król ściągnął pancerne rękawice, rzucił je na wielkie łożo z kolumnkami.

- Mówiłam ci, że tak będzie - ciągnęła królowa. - Byłeś zbyt łagodny, żeby je utrzymać. To była tylko kwestia czasu.

Ioma odczuła to jeszcze boleśniej. Nigdy nie widziała matki... właśnie takiej.

Nigdy dotąd nie słyszała, by podobne słowa padały z jej ust.

Sylvarresta odpiął hełm, cisnął go obok rękawic, i zajął się kolejnymi zapięciami.

- Nie żałuję swych decyzji - odparł. - W ten sposób nasz lud mógł wyrastać w pokoju.

- Ale bez sojuszników, bez silnego króla, zdolnego ich obronić - rzuciła matka Iomy. - I ile tego pokoju ostatecznie im dałeś?

Ioma stała jak ogłuszona. Zawsze uważała matkę za spokojną i trzeźwą, gotową stać u boku męża w każdej potrzebie.

- Ile mogłem.

- A dziś ci się odwdzięczyli. Gdybyś był prawdziwym władcą, stanęliby w twojej obronie. Walczyliby u twego boku. Walczyliby mimo wszystko.

Ioma pomogła ojcu zdjąć naramienniki i resztę blach chroniących okolice obojczyka. Po chwili na łożku znalazł się także napierśnik. Dopiero teraz księżniczka zauważyła, że ojciec układa zbroję w postać stalowego męża leżącego na brzuchu, z twarzą wtuloną w materace.

Venetta miała rację. Król Sylvarresta nie zyskał nigdy podziwu i szacunku, na które niewątpliwie zasługiwał. Związany Przysięgą Władcy Runów winien przyciągać popleczników, winien budzić miłość poddanych. Tymczasem chętni do przekazywania swych darów wędrowali zwykle do obcych królów, na przykład do Ordenu, gdzie mogli sprzedać swe talenty za wyższą cenę. Tacy królowie jak Sylvarresta rzadko otrzymywali pomoc, chyba że zjawiał się uzurpator, który zyskiwał dary dzięki szantażom. Jak Raj Ahten.

Wtedy kto żyw gotów był ciągnąć pod sztandary władcy podobnego Sylvarreście.

I dlatego Wilk tutaj właśnie przypuścił pierwszy atak, pomyślała Ioma, chociaż bliżej było mu do innych królestw.

- Słyszysz mnie, panie? - spytała Venetta. - Słyszysz, co mówię?

- Słyszę - odparł Sylvarresta. - I ciągle cię kocham.

Matka Iomy odwróciła się. Usta miała wykrzywione w grymasie cierpienia, oczy pełne łez

miłości. Wyglądała bardzo młodo. Podobnie jak wierny pies ukąsi czasem w bólu rękę pana, który próbuje go ratować, tak i ona porwała się na męża i teraz bardzo tego żałowała.

- I ja cię kocham i kochać nie przestanę - powiedziała. - Jesteś po tysiącokroć bardziej godzien miana króla niż mój oszalały kuzyn.

Sylvarresta zdjął kolczugę i został w skórzanej kamizelce. Spojrzał wymownie na Iomę, która wyszła z komnaty, zostawiając rodziców samych.

Nie ważyła się wracać do sali tronowej, do Raja Ahtena. Przysiadła w przedpokoju sypialni, przysłuchując się ożywionej rozmowie Dzienników. W dawnych czasach spędzali tu noc służący i strażnicy, jednak król nie życzył sobie, aby tu przesiadywali.

Niewielkie pomieszczenie z ławami mogło pomieścić kilka osób.

Po kilku długich chwilach matka i ojciec Iomy wyszli z sypialni. Venetta była wciąż w pełnym monarszym stroju, ojciec włożył ceremonialny płaszcz, na jego obliczu malowała się determinacja.

- Pamiętaj, kim jesteś - rzuciła Venetta, mijając córkę. Zamierzała grać rolę królowej do samego końca.

Ioma podążyła za nimi na audiencję u Wilczego Władcy. Ku jej zdumieniu dołączyło do niego dwóch Niezwycięzonych. Stali po obu stronach tronu. Widok takich trzech mężów robił wrażenie. Król Sylvarresta wystąpił naprzód. Doszedł do końca karmazynowego dywanu przed tronem, przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę.

- Jas Laren Sylvarresta na twe usługi, panie. Jak sobie życzyłeś, przedstawiam ci moją żonę, twą drogą kuzynkę, Venettę Moshan Sylvarrestę.

Królowa spojrzała na męża, przez chwilę stała niezdecydowana, w końcu też lekko pochyliła głowę. Przez cały czas obserwowała czujnie Wilczego Władcę.

Gdy jej głowa była w najniższym położeniu, Ahten skoczył jak błyskawica, rozmazana smuga. Zatrzymał się przed królową i sięgnął po swój krótki miecz.

Zerwana sztychem z jej głowy korona poleciała w górę i zadzwoniła o kamienne sklepienie.

- Jesteś zarozumią! - ostrzegł królową Wilk. Venetta spojrzała Ahtenowi w oczy.

- Wciąż jestem królową - powiedziała tytułem obrony.

- O tym ja postanowię - stwierdził Raj Ahten. Przeciął mieczem poduszkę jej tronu i usiadł obok. Potem ściągnął pancerne rękawice i cisnął je na zniszczone siedzisko. Objął dłońmi podłokietniki i dopiero teraz Ioma zorientowała się, że Wilk jest nieco zdenerwowany.

Czegoś od nich chciał. Tego była już pewna.

- Byłem wobec ciebie aż nazbyt cierpliwy. To ty, Jas Laren Sylvarresta, opłacałeś rycerzy, który zaatakowali mnie nie sprowokowani. Przybyłem się upewnić, że te ataki ustaną. Oczekuję... stosownego zapewnienia.

Ojciec Iomy milczał przez dłuższą chwilę. Matka klęczała obok tronu.

- Co by to miało być? - spytał w końcu król Sylvarresta.

- Obietnica, że nigdy więcej nie wystąpisz przeciwko mnie.

- Masz moje słowo - powiedział Sylvarresta, patrząc prosto w oczy Raja Ahtena.

- Dziękuję - westchnął ciężko Wilk. - Niełatwo mi przyjąć tacie słowo. Zawsze byłeś godnym władcą swego ludu. Skutecznym. Twoje królestwo cieszy się ładem i dostatkiem. Twój lud może mi oddać wiele darów. Gdyby czasy nie były tak mroczne, pewnie moglibyśmy zostać sojusznikami, ale... Ale obecnie więksi wrogowie gromadzą się u naszych

południowych granic.

- Inkarranie.

Raj Ahten machnął lekceważąco ręką.

- Gorzej. Raubenowie. Od trzydziestu lat mnożą się, jak króliki. Całkiem spustoszyli lasy Denhamu. Wypędzili niełudy z ich górskich siedzib. W przyszłym roku ruszą na nas. Zamierzam ich powstrzymać. Będę potrzebował twojej pomocy, pomocy wszystkich północnych królestw. Zamierzam zapobiec najgorszemu.

Ioma poczuła się zagubiona. Jej ojciec chyba też niezbyt wiedział, co o tym myśleć.

- Możemy ich pokonać! - stwierdził. - Pomocne królestwa zjednoczą się dla takiej sprawy. Nie musisz prowadzić tej wojny sam!

- A kto poprowadzi nasze armie? - spytał Raj Ahten. - Ty? Król Orden? Ja? Sam wiesz, jak to wygląda.

Ojciec Iomy wyraźnie przygasł. Raj Ahten miał rację. Nikt nie zdoła zjednoczyć królów Północy pod jednym sztandarem. Zbyt wiele dzieliło ich politycznych różnic, dawnych urazów, zazdrości i rywalizacji. Gdyby Orden poprowadził armię na Południe, ktoś z pewnością zostałby na miejscu, aby zaatakować jego osłabione miasta.

A w żadnym razie nikt nie zaufałby Rajowi Ahtenowi, Wilczemu Władcy. Od setek lat Władcy Runów cierpieli ataki różnych watażków z nadmiernym apetytem na władzę. W dawnych czasach niektórzy szczególnie pazerni spośród tych uzurpatorów korzystali z drenów, aby wydzierać zdolności nawet wilkom, przez co nazywano ich Wilczymi Władcami.

Inni, pragnący uzyskać lepszy węż lub słuch, brali te dary od psów, które potrafiły oddawać talenty dobrowolnie i nie wymagały później szczególnie kosztowej opieki.

Istniała nawet szczególna rasa wywodząca się od mastiffów, która dostarczała krzepkości i sił życiowych.

Niemniej Wilczy Władcy, którzy przyjęli coś od psów, stawali się podludźmi, istotami o wielu cechach zwierzęcych. W końcu zaczęto tak nazywać każdego niegodziwca, w tym i Raja Ahtena, który nigdy nie parał się psim procederem.

Żaden król Północy nie podążyłby za Rajem Ahtenem. Kto zyskał miano Wilczego Władcy, stawał się wyrzutkiem. Szanowani lordowie mieli obowiązek wspierać zwalczających kogoś takiego wolnych rycerzy. W razie czego Wilczy Władcy mogli liczyć na tyle samo litości, ile okazywano przyłapanym pośrodku stada owiec prawdziwym wilkom.

- Nie tędy droga - rzekł król Sylvarresta. - Są jeszcze inne sposoby na poprowadzenie tej wojny. Gdyby każde królestwo wysłało dziesiątą część swych rycerzy...

- Tędy droga - uciał Raj Ahten. - Gotów jesteś ze mną o tym porozmawiać? Mam tysiąc darów rozumu, ty zaś... - Spojrzał uważnie w oczy Sylvarresty. - Ty zaś dwa.

To mógł być ślepy traf, ale Ioma i tak wiedziała, co o tym myśleć. Powiadano, że „mądry król nie zjada wszystkich rozumów, tylko szuka dobrych doradców”. Na Północy uważano za niepotrzebny zbytek, gdy ktoś przyjmował więcej niż cztery dary umysłu. To i tak wystarczało, by zapamiętać wszystko, co kiedykolwiek się zobaczyło, usłyszało czy poczuło. Sylvarresta nigdy nie przyjąłby zatem więcej niż cztery dary. Ale skąd Raj Ahten wiedział, że połowa jego zdolności niedawno przepadła?

Napomnienie o tysiącu darów oszołomiło Iomę. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak to możliwe. Niektórzy twierdzili, że kilka dodatkowych talentów umysłu potrafi wzbogacić Władcę Runów, przydając mu szczególnych cech, jak wyjątkowe zdolności twórcze i niezwykła przenikliwość.

Raj Ahten założył ręce na piersi.

- Zbadałem dokładnie problem raubenów. Przekradają się coraz liczniej do naszych królestw, a każdy mag prowadzi nową królową. To już prawie inwazja. A teraz, Sylvarresto, pora na coś więcej

niż twoje pokojowe zapewnienia. Obnaż pierś.

Niezgrabnie niczym tresowany niedźwiedź, król Sylvarresta rozwiązał tasiemki, nerwowo zrzucił ciemnogrnatowy jedwab, aż w końcu błysnął obrośniętą klatką piersiową.

Pod prawym sutkiem widać było szramy po drenach, ślady podobne do pozostawionych przez zęby kochanki. Raj Ahten jednym spojrzeniem oszacował jego siły.

- Twój rozum, Sylvarresta. Chcę twego rozumu.

Ojciec Iomy jakby skulił się w sobie. Opadł na oba kolana. Wiedział, co to oznacza: będzie popuszczał w spodnie, zapomni własnego imienia, przestanie poznawać rodzinę i najbliższych przyjaciół. Ledwo co poznał ból utraty części wspomnień. Pokręcił głową.

- Nie chcesz czy nie możesz? - spytał Raj Ahten. Sylvarresta rozłożył szeroko obie ręce i niezdolny wykrztusić słowa, znów pokręcił głową.

- Nie chcesz? Ale musisz...

- Nie mogę! - krzyknął król. - Już raczej mnie zabij.

- Nie chcę twej śmierci. Na co mi ona? Ale rozum to co innego.

- Nie mogę!

Że wróg brał czyjś dar, to się zdarzało, ale Raj Ahten chciał od Sylvarresty znacznie więcej. Ponieważ król sam posiadał liczne dary, Wilczy Władca uczyniłby go swoim pośrednikiem.

Człowiek mógł przekazać dar tylko raz w życiu, a gdy do tego dochodziło, wytwarzał się magiczny kanał, swoista więź pomiędzy władcą a jego poddanym, którą zerwać mogła jedynie śmierć. Jeśli to władca umierał, talent powracał do darczyńcy. W razie śmierci darczyńcy władca tracił uzyskane od niego cechy.

Jeśli jednak ktoś taki jak Sylvarresta przekazałby dar rozumu Rajowi Ahtenowi, wyposażyłby go nie tylko we własne przymioty umysłu, ale również w te, które otrzymał wcześniej od innych. I jeszcze wszystkie, które mógł dostać w przyszłości. Jako pośrednik stałby się żywym łącznikiem pomiędzy Rajem Ahtenem a setkami swoich poddanych.

- Ależ możesz, starczy, że pojmiesz, jak wiele masz po temu powodów - odezwał się Wilk. - Co się stanie z twoim ludem? Obchodzi cię jego los, prawda? Oni ci zaufali, twoi przyjaciele, słudzy, darczyńcy. Twoja ofiara może ich ocalić. Jeśli będę musiał cię zabić, to zabiję również twoich darczyńców, całą rzeszę mężczyzn i kobiet, którzy nie mogą już nikomu nic ofiarować, mogą jednak szukać okazji, by się na mnie zemścić.

- Nie mogę! - powtórzył Sylvarresta.

- Nawet po to, aby kupić życie stu, tysiącowi twych wasali?

Iomę przepełniła odraza. Zapadła nabrzmiąta oczekiwaniem cisza. Raj Ahten mógł przyjąć tylko dobrowolnie ofiarowany dar. Niektórzy władcy zwykli przekupywać w tym celu potencjalnych darczyńców, inni rozkochiwali ich w sobie. Raj Ahten używał szantażu.

- A co z twoją piękną żoną, moją kuzynką? - ciągnął Raj Ahten. - Co z jej życiem? Nie przekażesz mi daru, by ją uratować? By kupić jej godne życie? Przecież nie chciałbyś, żeby tak cudna istota została niewłaściwie wykorzystana.

- Nie rób tego! - krzyknęła matka Iomy. - On mnie nie złamie!

- Mógłbyś ją uratować. A nawet więcej, bo zostałaby na tronie jako regentka. Na tym tronie, który tak ukochała.

Król Sylvarresta spojrzał na żonę. Broda mu drżała. Z wahaniem skinął głową.

- Nie! - krzyknęła Venetta Sylvarresta, obróciła się gwałtownie i rzuciła ku ścianie.

Ioma pomyślała w pierwszej chwili, że matka chce rozbić sobie głowę o mur, ale nie: biegła ku wysokiemu oknu za Dziennikami.

W mgnieniu oka obok niej pojawiła się Raj Ahten. Chwycił Venettę za rękę. Przez chwilę próbowała się wyrwać, w końcu jednak obróciła się ku niemu z grymasem bólu na twarzy.

- Proszę! - rzuciła, usiłując rozprostować palce Wilka. I nagle, całkiem nagle, wbiła paznokcie w jego nadgarstek. Popłynęła krew. Królowa spojrzała triumfalnie w oczy Raja Ahtena. - Oto, jak zabija się Wilczego Władcę, kochany! - krzyknęła do męża.

Ioma przypomniała sobie, jak matka malowała paznokcie bezbarwnym lakierem, i zrozumiała - wszystkie fochy królowej były tylko wybiegiem. Chciała zbliżyć się do Raja Ahtena na tyle, żeby zatopić zatrute paznokcie w jego ciele.

Venetta cofnęła się i uniosła zakrwawione paznokcie, jakby chciała, aby Raj Ahten obejrzał je sobie dokładnie przez śmiercią.

Wilk spojrzał z obrzydzeniem na nadgarstek. Płynąca z ran krew poczerniała, ręka zaczęła puchnąć w oczach. Trwało to przez moment. Raj Ahten wbił spojrzenie w oczy kuzynki, która z wolna zaczęła blednąć.

Ioma spojrzała na szramy. Rany zabiłniły się w przeciągu paru chwil, poczerniała skóra zaczęła odzyskiwać naturalny kolor.

Ile sił życiowych może mieć ten człowiek? Ile darów metabolizmu? Ioma nigdy nie widziała tak szybkiego uzdrowienia, chociaż słyszała, że to możliwe.

Raj Ahten uśmiechnął się przerażająco, niczym drapieżnik.

- Widzę, że i tobie nie mogę zaufać, Venetto - szepnął. - A szkoda, bo jestem sentymentalny i miałem nadzieję, że rodzinę da się zachować.

Uderzył ją wierzchem dłoni i było to uderzenie godne Władcy Runów. Cały bok twarzy Venetty zapadł się zmasakrowany, krew trysnęła dokoła, coś strzeliło jej w karku.

Cios rzucił królową z tuzin stóp do tyłu, prosto na wysokie okno.

Szkoło pękło z hukiem. Ciało zaczęło jeszcze o czerwone draperie i przez ułamek sekundy zatrzymało się na parapecie, aż runęło w przepaść pięciu pięter.

Chwilę później roztrzaskało się na dziedzińcu.

Ioma stała wstrząśnięta.

Jej ojciec krzyknął, a Raj Ahten spojrzał tylko z rozdrażnieniem na szczątki witrażu i powiewającą na wietrze czerwoną materię.

- Moje kondolencje, Sylvarresta - powiedział. - Sam widziałeś, że nie miałem wyboru. Oczywiście, zawsze są tacy, którzy uważają, że łatwiej jest zabić lub zginać samemu, że to prostsze niż życie w czyjejs służbie. I mają rację. Śmierć nie wymaga wysiłku.

Ioma czuła, jak coś znika z jej serca, zostawiając bolesną próżnię. Ojciec tylko siedział na ugiętych kolanach i trząsał się spazmatycznie.

- A teraz - ciągnął Wilk - zajmiemy się szczegółami transakcji. Chcę twego rozumu. Dla mnie to mała korzyść, ale ty zyskasz sporo. Jeśli się zgodzisz, twoja córka, Ioma, obejmie rządy jako regentka. Może być?

Sylvarresta załkał i nieprzytomnie pokiwał głową.

- Przynieś swoje dreny - powiedział. - Niech zapomnę ten dzień, w którym tyle utraciłem, i zostanę jako dziecko. - Godził się oddać dar rozumu w zamian za życie Iomy.

Ioma znów uklękła, przerażona. Nie mogła zebrać myśli, ale też niezbyt chciała myśleć. Od matki usłyszała: „Pamiętaj, kim jesteś”. Ale co to miało znaczyć?

Jestem księżniczką, sługą mego ludu. Czy powinnam zaatakować Raja Ahtena, podzielić los

matki? Co by to dało?

Jako regentka będzie dysponować pewną władzą. Zachowa szansę cichego przeciwstawiania się Wilkowi, jak długo życia, będzie mogła podkopywać jego pozycję. Zapewni swym poddanym jakąś dozę szczęścia i wolności. Bez wątpienia z tego samego powodu jej ojciec nie zdecydował się na walkę do końca i w odróżnieniu od matki wybrał życie.

Serce biło Iomie jak szalone. Nie potrafiła niczego wymyślić, nie potrafiła znaleźć innego wyjścia. Pamiętała jednak twarz Gaborna i słowa, które wypowiedział parę godzin wcześniej: zapewnienie, że będzie jej bronił i że wróci po nią.

Ale jeśli nawet, to cóż wskóra? Nie pokona Raja Ahtena. A jednak mogła tylko trzymać się tej nadziei.

Raj Ahten skinął na gwardzistę.

- Wezwij darmistrzów.

Darmistrze Raja Ahtena zjawili się błyskawicznie: niewysocy mężczyźni w szafranowych szatach. Na ich twarzach malowało się okrucieństwo. Jeden niósł dren ułożony na atlasowej poduszce.

Obaj byli mistrzami w swoim fachu. Pierwszy od razu zaintonował zaklęcia, drugi przytrzymał króla Sylvarrestę i zaczął go przygotowywać do zabiegu.

- Patrz na swoją córkę, sirrah - powiedział z chropawym, kartiskim akcentem. -

Dla niej to robisz. Dla niej. Ona to wszystko. Ją kochasz. Dla niej to wszystko.

Ioma stała przed ojcem na wpół odrętwiała i słuchała jego krzyków, gdy dren z wolna się nagrzewał. Metal ożył nagle, zaczął się skręcać i zwijać. Księżniczka otarła królowi pot z czoła i spojrzała w jego czyste, szare oczy. Widziała, jak ubywa w nich wysysanej przez dren inteligencji, aż w końcu była już pewna, że ojciec nie pamięta nawet jej imienia, że został mu już tylko bezrozumny krzyk bólu.

Zapłakała, gdy krzyknął po raz ostatni i padł bezsilnie u jej stóp.

Darmistrz podszedł do Raja Ahtena. Rozgrzany do białości dren ciągnął za sobą smugę światła. Wilk ściągnął hełm. Czarne włosy rozsypały mu się na ramionach.

Potem zsunął zbroję i rozpiął skórzany kaftan, odsłaniając muskularną pierś naznaczoną tyłoma szramami po drenach, że trudno było na niej znaleźć choć skrawek nie pobliznionej skóry.

Przyjmując dar, siedział wyprostowany na tronie. Oczy jarzyły mu się z zadowolenia, gdy od niechcienia obserwował Iomę.

Księżniczka chciałaby rzucić się na niego z pasją, obsypać ciosami pięści, ale nie śmiała tego uczynić. Przysiadła z głową ojca na kolanach. Gładziła go po włosach. Król otworzył oczy i na krótką chwilę odzyskał chyba jeszcze świadomość.

Spojrzał na Iomę i otworzył usta, jakby zdumiony widokiem tej niezwykle pięknej istoty.

- Gaaah - zabełkotał i zalał uryną dywan pod sobą.

- Ojcze, ojciec - szepnęła Ioma, całując go z nadzieją, że kiedyś, z czasem, pojmie chociaż, jak bardzo go kochała. Darmistrze zakończyli śpiewy i wyszli. Raj Ahten sięgnął po leżący na tronie królowej miecz.

- Chodź, zajmij swe miejsce obok mnie - powiedział.

Ioma dojrzała na jego twarzy niemal nie skrywane pożądanie, ale nie wiedziała, czy to o nią chodzi Wilkowi, czy o jej dary.

Zanim pojęła, co właściwie robi, była już w połowie drogi do tronu. Ze wściekłością skonstatowała, że Raj Ahten znów użył Głosu. Nie cierpiała takich manipulacji.

Usiadła na tronie. Próbowała nie patrzeć na upiornie piękną twarz Wilka.

- Rozumiesz, dlaczego musiałem to zrobić, prawda? - spytał, Ioma nie odpowiedziała.

- Któregoś dnia mi podziękujesz - dodał. - Studiowałaś może w Domu Zrozumienia lub czytałaś chociaż stare kroniki?

Ioma skinęła głową. Czytywała kroniki, w każdym razie wybrane fragmenty.

- Nieobce ci imię Daylana Młota?

- Tego wojownika?

- Kroniki zwał go Sumą Wszystkich Ludzi. Tysiąc sześćset osiemdziesiąt osiem lat temu odparł najazd tothów i ich magów. Tutaj, na wybrzeżu Rofehavanu. Pokonał

ich niemal w pojedynkę. Miał tyle darów sił życiowych, że choć miecze przeszywały mu serce, rany goiły się natychmiast, gdy klinga opuszczała ciało. Wiesz, ilu darów wymaga taka sztuka?

Ioma pokręciła głową.

- A ja wiem. Spróbuj, jeśli chcesz.

Ioma zachowała sztylet pod suknią. Zawahała się. To musiała być jakaś prowokacja, ale z drugiej strony - czy kiedykolwiek będzie miała drugą szansę, aby go pchnąć?

Sięgnęła po sztylet i spojrzała w oczy Raja Ahtena. Nie tracił pewności siebie.

Wbiła mu sztylet między żebra. Jęknął boleśnie, wzrok zamglili mu się na chwilę.

Obróciła ostrze w ranie, ale krew nie popłynęła. Tylko w miejscu, gdzie metal wchodził w ciało, pojawił się delikatny, czerwony śluz. Wyciągnęła żelazo. Rana natychmiast się zamknęła.

- Rozumiesz? - spytał Wilk. - Ani trucizna twojej matki, ani twój sztylet nie zdołały mnie zranić. Wśród Władców Runów nie było nigdy nikogo równego Daylanowi. Aż do teraz.

- W moim kraju powiadają - odezwała się - że gdy otrzymał dość darów, nie potrzebował już nowych. Miłość jego ludu wspierała go na tyle, że nawet gdy umierali jego darczyńcy, ich dary pozostawały przy nim. - Tego akurat nigdzie nie wyczytała, ale tak właśnie rozumiała istotę władania nad runami i miała nadzieję, że to prawda.

Chciała, żeby tak było, żeby to powstrzymało kiedyś Raja Ahtena od wysysania życia z ludzi.

- Sądzę, że jestem już tego bliski - powiedział cicho Wilk. - Chyba stanę się równy Daylanowi i być może zdołam pokonać raubenów, nie tracąc przy tym pięćdziesięciu milionów poddanych, jak musiałoby się zdarzyć w każdym innym wypadku.

Ioma patrzyła mu w oczy. Chciałaby zniechęcić go za to, co zrobił. Jej ojciec spoczywał w kałuży własnego moczu na podłodze, jej matka leżała martwa na kamieniach dziedzińca, a mimo to Ioma nie potrafiła nienawidzić Ahtena. Wydawał się taki... szczery. I piękny.

Pogładził jej dłoń. Nie odważyła się jej cofnąć. Zastanowiła się, czy będzie próbował ją uwieść. Czy potrafiłaby stawić opór?

- Uroczą jesteś. Gdybyśmy nie byli krewnymi, pewnie wziąłbym cię za żonę. Ale obawiam się, że zwyczaj zakazuje podobnych związków. Dobrze, Iomo, teraz pora, abyś i ty przyczyniła się do mojego zwycięstwa nad raubenami. Oddasz mi swoją urodę.

Ioma zdrętwiała. Wiedziała, jak to będzie: szorstka skóra, cienkie, splątane włosy, żyłki na nogach, nieświeży oddech. Odrażający widok.

Ale to tylko połowa. Uroda to więcej niż samo piękno, fizyczna atrakcyjność. To również barwa skóry, połysk włosów, blask oczu, postawa, gestykulacja, zdecydowanie. Pewność siebie idzie w parze z miłością własną. I tak, zależnie od wprawy i intencji darmistrza, większość tego zniknie, pozostawiając ją szpetną i pełną obrzydzenia do siebie.

Ioma pokręciła głową. Musiała przeciwstawić się Rajowi Ahtenowi wszelkimi dostępnymi sposobami. Ale wciąż nie potrafiła żadnego wymyślić.

- Chodź, dziecko - powiedział łagodnie. - Na co ci ta uroda? Żeby zaciągnąć jakiegoś księcia do

łóżka? Niegodna zachcianka. Mogłabyś, ale co potem? Życie pełne żalu?

Widziałaś przecież, jak wielu cię pożąda, jak na ciebie patrzą. Musisz już chyba być tym solidnie zmęczona.

Gdy tak to wyłożył, logicznie i spokojnie, Ioma poczuła się wręcz zawstydzona.

Takie uwielbienie własnej urody to próżność, przejaw samolubności.

- Na pustyni, gdzie się urodziłem, stoi wielki posąg, wysoka na trzysta stóp rzeźba, zagrzebana częściowo w piasku i przechylona. To wizerunek króla, dawno zapomnianego, o obliczu wygładzonym przez wiatry. Na sztandarze leżącym u jego stóp widnieje wyryty napis: „Niech wszyscy pokłonią się Ozyvariusowi Wielkiemu, władcy tej ziemi, którego królestwo nigdy nie upadnie!” Pytałem skrybów, ale żaden nie potrafił mi powiedzieć, kim był ten król ani kiedy rządził. Widzisz, zawsze byliśmy tylko przelotnym zjawiskiem - szepnął. - Tak nietrwali. Ale razem, Iomo, staniemy się kimś więcej.

Głód i chciwość pobrzmiewające w jego głosie niemal odebrały jej rozum. Jeszcze chwila, a z radością oddałaby mu swą urodę, ale jakiś głos wciąż podpowiadał: Nie. Umrę.

Stanę się nikim.

- Nie umrzesz - powiedział Raj Ahten. - Jeśli zostanę Sumą Wszystkich Ludzi, twe piękno będzie żyć we mnie. Jakaś część ciebie pozostanie, będzie kochana i podziwiana.

- Nie - odparła przerażona Ioma.

Wilk spojrzał na podłogę, gdzie leżał bezwładnie ojciec księżniczki.

- Nawet żeby uratować mu życie?

Ioma zrozumiała. Ojciec odwodziłby ją od zgody na tę transakcję. Zabroniłby jej.

- Nie - powtórzyła i zadrzała.

- To naprawdę straszny widok, gdy torturują idiotę. Twój ojciec musiałby znieść wielki ból, ale ani przez chwilę nie pojmowałby, dlaczego go to spotyka. Nie wiedziałby też, że istnieje śmierć, która może wyzwolić, a kaci powtarzaliby twoje imię za każdym razem, gdy gorące żelazo dotykałoby jego skóry. W końcu krzyczałby z bólu na sam dźwięk twego imienia. To byłoby naprawdę przerażające.

Księżniczce mowę odjęło. Spojrzała zrozpaczona na Raja Ahtena. Przecież nie mogła się zgodzić!

Wilk skinął na jednego ze swoich ludzi.

- Przyrowadź dziewczynę.

Gwardzista zniknął na chwilę i zaraz wrócił z Chemoise, która powinna być w Warowni Darczyńców, u boku ojca. Chemoise, która tyle wycierpiała w tym tygodniu, tyle straciła przez Raja Ahtena.

Skąd Wilk mógł wiedzieć, że są przyjaciółkami? Czyżby Ioma zdradziła się spojrzeniem?

Chemoise patrzyła szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami. Zapłakała, widząc króla na podłodze, krzyknęła doprowadzona do wybitego okna. Gwardzista zmusił ją, by spojrzała w dół.

Ioma cierpiała na widok zzeranej strachem przyjaciółki z dzieciństwa. Dwa żywoty

- Raj Ahten zabije dwoje. Chemoise i jej nie narodzone dziecko.

Wybacz mi tę zdradę, chciała powiedzieć Ioma, bo wiedziała, wiedziała całą duszą, że kapitulacja to błąd. Gdyby nikt z wcześniej pokonanych nie zdecydował się poddać do końca, Raj Ahten byłby już do dzisiaj martwy. Wiedziała też jednak, że jej własna uroda nie przyda się Wilkowi praktycznie na nic, nie będzie mu znaczącym wsparciem, choć z drugiej strony pozwoli na uratowanie czyjegoś życia.

- Nie mogę oddać mego daru tobie - powiedziała niezdolna ukryć obrzydzenia do rozmówcy.

Nie mogła oddać swego daru jemu osobiście.

- Jeśli nie mnie, to oddaj pośrednikowi - zaproponował Raj Ahten.

Oto było wyjście. Mogła przekazać swe piękno ojcu. Dla niego, dla Chemoise.

Żadnego bezpośredniego kontaktu z Wilkiem.

- Każ przynieść dren - powiedziała łamiącym się głosem.

Chwilę później dostarczono dren. Pojawiła się też wynędzniała kobieta, która kiedyś już oddała swą urodę. Ioma spojrzała na workowate, brudnoszare suknie i ujrzała, jaka stanie się niebawem.

Mimo wszystko spróbowała wyobrazić sobie niegdysiejsze piękno tej kobiety.

Rozległ się śpiew. Ioma patrzyła na Chemoise, wciąż wychyloną z okna. W

milczeniu przyzwalała swej urodzie odpłynąć, poświęcała się dla czegoś kochanego i pięknego.

Dla życia przyjaciółki i jej dziecka.

Coś zaszeleściło w mroku i wraz z drenem przysuniętym przez darmistrza do dolnej części karku Iomy pojawiła się nikła smuga fosforycznego blasku.

Przez chwilę nie działo się nic więcej, aż ktoś szepnął:

- Dla twojej przyjaciółki. Zrób to dla swojej przyjaciółki.

Ioma skinęła głową. Pot wystąpił jej na czoło. W myślach utrzymywała wciąż obraz Chemoise z dzieckiem na rękach.

Poczuła nieopisany ból. Otworzyła oczy i ujrzała, jak jej skóra na dłoniach wysycha i pęka niczym trawiona wewnętrznym ogniem. Węzły żył wybiły spod niej na podobieństwo korzeni, paznokcie zbieleły jak kreda. Gładkie włosy zmierzwiły się i poskręcały niczym robaki. Młode, jędrne piersi obwisły. Sięgnęła ku nim przerażona. Pożałowała zgody, ale było już za późno. Czowała się, jakby stała w rzece, a nurt wymywał piasek spod jej stóp.

Zapadała się. Wszystko, co było jej, całe piękno i urok, uchodziło, przepływało w dren.

Krzyknęła z bólu i przerażenia, ale piękno wciąż z niej wyciekało. Nagle spojrzała na siebie całkiem inaczej, jak nigdy jeszcze nie patrzyła. Widok ten wzbudził w niej odrazę. Po raz pierwszy zrozumiała, że całe jej życie było niczym, ona była niczym, nikim, zerem. Bała się krzyknąć, by nie urazić nikogo chrapliwym głosem.

To kłamstwo! Nie jestem aż tak brzydka! zawołała w myślach do Raja Ahtena.

Możesz zabrać mi urodę, ale duszy nie zabierzesz. Po chwili jednak odsunęła się od otchłani nowych myśli. Teraz czuła jedynie... samotność. Była absolutnie samotna. I obolała.

W jakiś sposób udała się jej rzadka sztuka: nie zemdliała, chociaż miała wrażenie, że całe jej ciało spowijają płomienie.

11

ZOBOWIĄZANIA

Czarna i zimna rzeka omywała wartko uda Gaborna i niczym ręka topielca próbowała wciągnąć go w swój nurt. Zgięta w dwoje Rowana pojękiwała wciąż na brzegu.

- Co się stało? - szepnął Gaborn, ledwie odważając się poruszyć ustami.

- Królowa... nie żyje... - wykrztusiła dziewczyna.

Gaborn od razu zrozumiał. Po latach odrętwienia, życia bez możliwości pocucia czegokolwiek, na Rowanę zwała się nagle cała lawina doznań - nocny chłód, zimno wody,

ból w poranionych stopach, zmęczenie po dniu ciężkiej pracy i niezliczone drobniejsze wrażenia.

Ktoś, kto oddał dar dotyku i kto odzyskał go w pewnej chwili, musiał na nowo poznać ten świat. Na nowo, ale jakby po raz pierwszy. Wstrząs tego przeżycia mógł

niekiedy zabić, gdyż wszystkie doznania stawały się nagle dwadzieścia razy silniejsze. Gaborn zaczął niepokoić się o młodą kobietę. Czy będzie zdolna do wędrówki? Woda była lodowato zimna i nie udałooby mu się przenieść dziewczyny ponad nurtem.

Co gorsza, jeśli królowa zginęła, to Raj Ahten może nabrać ochoty, żeby zabić i resztę monarszej rodziny: króla Sylvarrestę i Iomę.

I jeszcze te zobowiązania. Gaborn wziął ich na siebie stanowczo za dużo. Aż do przeciążenia. Przyjął odpowiedzialność za Rowanę, przez co nie śmiał jej teraz ruszyć, wprowadzić do rzeki. Z drugiej jednak strony obiecał też uratować Iomę.

Przysiągł, że po nią wróci.

Miał ochotę uklęknąć w rzece, by chłodna woda obmyła mu ranę na żebrach. W górze lekki wiatr kołysał gałęziami olch i brzoź. Z głębokich cieni pod nimi widział dolny bieg strumienia oświetlony pomarańczowym poblaskiem.

Ogród Binnesmana płonął w najlepsze. Na drugim brzegu nieludy pochrząkiwały i wyteżały oczy, próbując dojrzeć Gaborna, który wiedział jednak, że jak długo pozostaje pod drzewami i nie próbuje się ruszać, tak długo nie grozi mu wykrycie. Paru olbrzymów brodziło na płyciznach w dole rzeki. Gaborn był prawie pewien, że sam zdołałby przepłynąć niebezpieczny odcinek, umknąłby z zamku Sylvarresta, żeby zanieść ojcu nowinę o jego upadku. Płycizna wody nie wydawała mu się aż taką przeszkodą. Co innego dziewczyna.

Rowana praktycznie uniemożliwiła mu ucieczkę.

Poprzysiągłem coś Iomie, pomyślał. Złożyłem ślubowanie. Jestem jej obrońcą jako Władca Runów, jestem nim jako ktoś oddany tej ziemi. Oba śluby należały do najbardziej wiążących.

Dzień wcześniej, na rynku w Bannisferre, Myrrima zarzucała Gabornowi, że niełatwo przychodzi mu zaręczyć za coś swoim słowem. To była prawda. Nie śmiał nim szafować. „Kim jest Władca Runów?”, uczyła go kiedyś matka. „Przede wszystkim kimś, kto dotrzymuje słowa. Twoi poddani przekazują ci dary, a ty ich w zamian chronisz.

Dają ci rozum, byś prowadził ich mądrze. Dają ci siłę, byś walczył jak rauben. Darowują ci siły życiowe, a ty pracujesz dla nich potem długie godziny. Żyjesz dla nich. A jeśli kochasz ich, jak powinienes, gotów jesteś dla nich umrzeć. Żaden poddany nie powierzy najmniejszego daru Władcy Runów, który żyje tylko dla siebie”.

W takich słowach królowa Orden wykladała sprawę synowi. Była to silna kobieta, to ona przekonała Gaborna, że pod maską ojcowskiej nieczułości kryje się człowiek o niewzruszonych zasadach. Owszem, w minionych latach król Orden kupował dary od biednych, co niektórzy uważali za moralnie podejrzane, on jednak widział sprawę odmiennie. Nie korzystał z cudzej biedy, ale jak powiadał: „Niektórzy kochają pieniądze bardziej niż bliźnich. Dlaczego im nie pozwolić, aby ich słabość obróciła się w cnotę?” Istotnie, dlaczego nie? To był trafny argument, szczególnie w ustach kogoś, kto dbał o dobrobyt swego królestwa. Niemniej w ostatnich trzech latach ojciec zaniechał

tej praktyki. Przestał płacić biednym. Jak powiedział Gabornowi: „Myliłem się. Nie potrafię dociec motywów cudzego postępowania, zatem koniec z kupowaniem”. Zaiste, biedakami gotowymi sprzedać swe dary kierowały rozmaite pobudki. Niekiedy nawet ci najbardziej zachłanni myśleli też o ukochanych bliskich i wyobrażali sobie, że przekazując dar, składają im siebie w ofierze. Ale byli i tacy nędzarze, którzy czynili to z czystej desperacji.

„Kup mój słuch”, błagał pewien rolnik po wielkiej powodzi cztery lata temu. „Na co mi uszy, skoro ciągle słyszę tylko płacz moich głodnych dzieci”.

Świat był pełen podobnych nieszczęśników, dla których z tego czy innego powodu życie już się skończyło. Ojciec Gaborna nie skorzystał z propozycji rolnika, tylko dał mu dość żywności, aby cała

jego rodzina mogła przetrwać zimę, dał też budulec i robotników, by mógł

odbudować dom, i jeszcze nasiona na wiosenny zasiew. W ten sposób dał mu nadzieję. Gaborn zastanowił się, co by Ioma pomyślała o jego ojcu, gdyby знаła tę historię. Zapewne zmieniłaby zdanie na lepsze. Niech tylko przeżyje, a na pewno o tym usłyszy.

Gaborn spojrział poprzez drzewa na rysujące się za nimi miasto i mury zamku.

Czuł, jak z wolna ogarnia go rozpacz. Niewielkie mam szansę wobec Raja Ahtena, pomyślał. Może raczej powinienem ukryć się w mieście, by urządzić potem zasadzki na żołnierzy? Ale jak długo bym wówczas przetrwał? Po ilu dniach by mnie złapali?

Po niewielu.

Jednak czy lepiej wywiążę się ze swych powinności, jeśli teraz ucieknę?

Powinienem zrobić coś więcej. Powinienem chociaż spróbować uratować Iomę i Binnesmana... i wszystkich innych.

Niemniej jego ojciec powinien się dowiedzieć o upadku Sylvarresty i jak do tego doszło.

Ponadto Gaborna ciągnęło do domu. Chociaż podziwiał tutejszy lud, wysokie, kamienne budowle i chłodne, miłe ogrody, to nie była jego ojczyzna. Gaborn nie postawił nogi w swoim zamku od blisko ośmiu lat, które spędził pięćdziesiąt mil od miasta, w Domu Zrozumienia. Mieszkał w kwaterze bez żadnych wygód, obracał się między stanowczymi, niewzruszonymi w swych poglądach uczonymi. Stęsknił się za prawdziwym łóżkiem, takim, w jakim sypiał w dzieciństwie, za podmuchem wiatru znad pól, który wpływał

co rano do jego sypialni.

Miał nadzieję, że zimę przepędzi, mogąc się godziwie najeść i studiować z ojcem taktykę, że będzie fechtował z gwardzistami. Borenson obiecał oprowadzić go po najlepszych piwiarniach Mysterrii. No i była jeszcze Ioma, która zdobyła jego serce łagodnością. Myślał, że mógłby ją zabrać do siebie. Liczył na tak wiele...

Chciał wrócić do domu. Wiedział, że to głupie marzyć, aby ktoś się nim zajął, uwolnił od trosk. Całkiem jak w dzieciństwie.

Pamiętał, jak chadzał wówczas ze swym starym ogarem do orzechowego lasu, żeby polować na króliki. Pamiętał dni, gdy ojciec brał go nad Rosisty Potok, gdzie łowili łososie. Wierzby płaczące zwieszały się nisko nad wodą, a zielone kokony larw kołysały się przyczepione lepkiemi nitkami do gałęzi drzew, wabiąc ryby. Życie przypominało wtedy jedno, nie kończące się lato.

Ale Gaborn nie mógł wrócić. Rozpacz napępiała go myśl, że być może w ogóle nie zdoła żywy umknąć z okolic Sylvarresty.

Przez chwilę wydało mu się nawet, że właściwie nie ma powodów do ucieczki.

Ojciec i tak dowie się niebawem o upadku miasta. Wieśniacy poniosą opowieść w najdalsze strony. Król Orden już tu ciągnie. Miał dotrzeć za trzy dni, zatem nowiny powinny dojść do jego uszu najpóźniej jutro.

Nie, Gaborn nie musiał ostrzegać ojca za wszelką cenę, miasta zaś opuszczać wręcz nie powinien. Przede wszystkim musiał poszukać schronienia dla Rowany. Dobrze, żeby był to jakiś ciepły zakątek, w którym mogłaby dojść do siebie. Potem należało pomóc Iomie.

Ponadto złożył jeszcze jeden, znaczniejszy ślub.

Przysiąc nigdy nie ranić ziemi. To akurat nie powinno być chyba trudne, gdyż nigdy nie pragnął jej skrzywdzić. Jednak gdy się zastanowił, zaczął powątpiewać, czy to tylko tyle.

Tkacze płomieni palili właśnie ogród Binnesmana. Czy nie powinien spróbować ich powstrzymać?

Wysłuchał się w swe serce. Szukał odpowiedzi zgodnej z wolą ziemi.

Ogień zdawał się płonąć coraz jaśniej. Może ogarniał nowe połacie, a może to tylko jego poblask odbijał się teraz w chmurach dymu. Dym drapał w gardle. Nieludy po drugiej stronie rzeki zaczęły naszczekiwać. Inne z jakiegoś powodu pojękiwały. Podobno nieludy bały się wody. Oby tak było i oby bały się na tyle, żeby nie spróbowały popłynąć na poszukiwania.

W sprawie ogrodu nie wyczuł niczego. Nic nie popychało go do działania, nie ganiło ani nie chwaliło za bezczynność. Zresztą, gdyby Binnesman pragnął ocalić ogród, to przecież by powiedział.

Gaborn cicho wyszedł z rzeki i zbliżył się do Rowany, która wciąż kulila się między wierzbami. Objął ją ramieniem i przytulił. Zastanawiał się, co teraz zrobić, gdzie się ukryć. Gdyby tak przyjęła ich ziemia, gdyby ofiarowała im schronienie w głębokiej jamie, do której mogliby wypełznąć. Nagle poczuł, że to właściwe pragnienie. Po chwili wiedział

już, że ziemia gotowa jest udzielić im podobnej pomocy.

- Rowano, czy znasz w mieście jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć? Jakiś loch albo studnię?

- Ukryć się? To nie popłyniemy?

- Woda jest za płytka i zbyt zimna. Daleko byś nie upłynęła. - Gaborn zwilżył wargi językiem. - Zamierzam zostać tutaj i walczyć z Rajem Ahtenem jak tylko będę umiał. Sprowadził dość swoich żołnierzy i darczyńców. Jeśli zostaną, będę mógł mu dokuczyć.

Rowana przysunęła się bliżej. Zęby jej dzwoniły, wyraźnie chciała się rozgrzać, niemniej Gaborn czuł przede wszystkim kuszące kształty jej piersi i miękkie włosy, które wiatr przytulał mu do policzka. Zimno musiało być dla niej dotkliwsze teraz od strachu, ale też zmokła, brodząc w strumieniu, i nie miała tyle sił życiowych, ile Gaborn, dla którego chłód nigdy nie był przeszkodą.

- Zostajesz ze względu na mnie - wyszeptwała, szcękając zębami. - Ale ja nie mogę zostać. Raj Ahten każe spisać wszystkich...

Nowy król zwykle zarządzał spis poddanych dla ustalenia, kto może mieć jakieś pieniądze. Poza tym darmistrze Raja Ahtena szukać będą potencjalnych dawców, a gdy ustalą, że Rowana była darczyńcą zgłodzonej królowej, najpewniej będą chcieli ją wziąć na tortury.

- Może i tak - stwierdził Gaborn. - Będziemy się o to martwić później. Na razie musimy się ukryć. Znasz jakieś miejsce? Takie, które ma silny własny zapach?

- Jak piwnice korzenne? - szepnęła dziewczyna. - Są przy stajniach królewskich.

- Piwnice? - powtórzył Gaborn, czując, że to może być to. Ziemia zaakceptuje ten wybór.

- Latem Binnesman trzyma w nich zioła na sprzedaż, podczas święta król dokłada tam wszystko, co kupi. Teraz są pełne, wiele skrzyń. To na wzgórzu, za stajniami.

Gaborn zastanowił się. Bezpośrednio do miasta wejść im się nie uda, zostaje ta droga, którą przyszli. Ale czy zdołają zmylić tropy?

- A co ze strażami? Przyprawy są cenne.

Rowana pokręciła głową.

- W pokoju nad piwnicami sypia pewien kuchcik, ale wszyscy wiedzą, że jego nawet burza nie budzi.

Gaborn sięgnął po węzełek z drenami i wcisnął go do obszernej kieszeni płaszcza.

Piwnice spełniały chyba wszystkie warunki. Miejsce, do którego rzadko zachodzono, pełne woni kryjących zapach uciekinierów.

- Chodźmy - powiedział, ale nie skierował się wprost pod górę. Wziął Rowanę na rękę i ruszył z nią w dół rzeki. Schylony brodził przez porośnięte trzciniami płycizny. Nie chciał zostawiać wyraźnego tropu.

Nurt stawał się coraz bardziej wartki. W tym miejscu od głównego koryta odbiegał

kanal zasilający fosę. Jego brzegi były na tyle wysokie, że osłaniały go łącznie z głową, i było tak, aż dotarł do hurkoczącego i chlapiącego koła wodnego. Po prawej ciągnął się tutaj wysoki, kamienny mur odgradzający kanał od głównego nurtu, po lewej wznosił się budynek młyna, za nim ciągnął się stromo pod górę szlak wiodący do miasta.

Gaborn zatrzymał się. Nie mógł iść dalej kanałem, teraz musiał się wdrapać na brzeg, potem przekraść się przez drzewa, z powrotem do murów miejskich. Skręcił i zaczął się wspinać po wysokim i suchym, brunatnym ściernisku. Jeszcze niedawno rosło tu żyto.

Przed sobą dostrzegł fretę, samca z zaostrzonym kijem pełniącym funkcję włóczni.

Trzymał straż przed dziurą w fundamentach młyna, stał plecami do Gaborna.

Po chwili z dziury wychyłała druga freta: niosła związany rogami skrawek materii, zapewne pełen zmiotków mąki. Niby nic wielkiego, ale dla fret niebezpieczna sprawa. Ludzie zabijali je często za drobniejsze przewiny.

Nie pokazując się, żeby nie przestraszyć stworzeń, Gaborn obrócił się i spojrzał w dół rzeki. Nie wystawiał głowy ponad ściernisko.

Tuż nad wodą, w cieniu drzew, przesuwało się kilkanaście ciemnych postaci, z czego jedna w kolczudze, wszyscy z mieczami i łukami. Tropiciele znów trafili na jego ślad.

Skryty wciąż w trawach Gaborn obserwował żołnierzy przez długie dwie minuty.

Znaleźli martwego towarzysza i zaraz ruszyli brzegiem rzeki. Szli z nurtem. Bez wątplenia oczekiwali, że Gaborn spróbuje przepłynąć obok olbrzymów, aby skryć się we względnie bezpiecznej Mroczej Puszczy. Wydawało się, że to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Skoro uciekł już z zamku, to przecież szaleństwem byłoby tam wracać. Jeśli złączą go szukać w Mroczej Puszczy, szybko trafią na wiele jego tropów. Był tam przecież rano.

Jednak ten w kolczudze wciąż wpatrywał się w okolice młyna i wyraźnie mrużył oczy. Stał z wiatrem, raczej nie mógł wyczuć woni Gaborna. Ale i tak coś go zaciekało. Może dostrzegł fretę? Stworzenia były brunatne, stały na tle szarego kamienia.

Żeby tak się poruszyły, tropiciel zrozumiałby, co właściwie widzi.

Podczas pobytu w Domu Zrozumienia Gaborn nie przykładał się do nauki języków.

Poza własnym rofehawańskim znał trochę indhopalski. Gdyby miał więcej darów rozumu, pewnie przychodziłoby mu to łatwiej. Postanowił zresztą, że w przyszłości poświęci językom więcej uwagi.

Niemniej przez wiele zimowych wieczorów spotykał się w pewnej piwiarni ze znajomymi, niekoniecznie z własnej sfery. Jeden z nich, zwykły kieszonkowiec, wyćwiczył kiedyś parę fret w wyszukiwaniu monet, za które potem kupował jedzenie. Frety zbierały monety upuszczone na ulicy, sprawdzały podłogi sklepów, a nawet groby, bo wielu chowało nieboszczyków z miedziakami ułożonymi na oczach.

Ten człowiek znał kilkanaście słów z mowy fret, prostego języka złożonego z przenikliwych gwizdów i warknięć. Gaborn miał dość darów Głosu, by te dźwięki powtórzyć.

- Jedzenie - zagwizdał. - Jedzenie. Dam. Zaskoczona freta obróciła się i nastawiła uszu. - Co? Co? - warknęła. - Słyszę cię.

Zwrot „słyszę cię” oznaczał zwykle prośbę, by rozmówca powtórzył, co mówił.

Fretom pozwalało to ocenić, gdzie się znajdują.

- Jedzenie. Dam - zagwizdał Gaborn przyjacielsko. To była jedna dziesiąta wszystkich zwrotów, które znał w ich mowie.

Z lasu nad młynem odpowiedział tuzin innych głosów.

- Słyszę cię. Słyszę cię. - I jeszcze wiele innych słów, których Gaborn nie rozumiał. Możliwe,

że tutejsze frety mówiły innym dialektem, bo sporo niezrozumiałych zwrotów brzmiało jakoś znajomo. Młodzieńcowi wydawało się, że słyszał powtórzone kilka razy słowo „chodźcie”.

Potem, całkiem nagle, na bruku wkoło młyna pojawiło się sześć fret. Wybiegły spomiędzy drzew. Jeszcze więcej musiało się wciąż kryć w cieniach. Wystawiając spiczaste pyszczki i niuchając ostrożnie, zaczęły podchodzić do Gaborna.

- Co? Jedzenie?

Gaborn spojrzał na rzekę. Jak zareaguje tropiciel? Mężczyzna w kolczudze musiał już dojrzeć, że to frety buszują wkoło fundamentów młyna. Na rozum biorąc, powinien dojść do wniosku, że skoro frety biegają swobodnie, to Gaborna tu nie ma. Wtedy by uciekły.

Po chwili wahania tropiciel machnął mieczem ku pozostałym drużynom na obu brzegach. Hurkot koła młyńskiego zagłuszył rozkazy, ale zwiadowcy skierowali się w końcu na południe. Zniknęli między drzewami na stoku, co świadczyło, że zamierzają przeszukać raczej las w dole rzeki.

Gdy Gaborn był pewien, że sobie poszli i że żadne czujne oczy nie patrzą w jego stronę, wziął Rowanę na rękę i poniósł pod górę.

12

PROPOZYCJE

Chemoise Solette stała odrętwiała. Widok przyjaciółki odmieniającej się w oczach zmroził ją do kości.

Gdy Raj Ahten skończył z księżniczką, obrócił się i spojrzał w oczy dworki.

Rozdymając nozdrza, momentalnie ją ocenił.

-

Piękna jesteś -- szepnął -- Możesz mi służyć. - Chemoise niw zdołała ukryć obrzydzenia, które wzbudziły w niej te słowa.

Ioma wciąż leżała na podłodze, ledwie przytomna i prawie nieobecna. Ojciec Chemoise spoczywał na wozie w Warowni Darczyńców.

Nie odpowiedziała. Raj Ahten uśmiechnął się słabo. Nie mógł przejąć daru od kogoś, kto tak go nienawidził, nawet Głosem nie omotałby w tej chwili Chemoise.

Pozostały mu jednak jeszcze inne możliwości. Spojrzał na nią tak, jakby stała przed nim naga.

- Zaprowadźcie ją do Warowni Darczyńców. Będzie zajmować się królem i swoją księżniczką.

Chemoise przebiegł dreszcz, zaświtała jej jednak i nadzieja, że może gdy zaszyje się w warowni, Raj Ahten o niej zapomni.

Gwardzista chwycił dziewczynę za łokieć i pociągnął na wąskie schody wiodące z sali tronowej, a następnie poprowadził uliczką wiodącą ku Warowni Darczyńców. Tam pchnął ją w bramę. Powiedział kilka słów po indhopalsku do strażników. Ci uśmiechnęli się niedwuznacznie.

Chemoise pobiegła do ojca. Zawleczono go już do wielkiej sali i złożono na czystym sienniku. Dla Chemoise był to bolesny widok, ale też rana ojca była głęboka, jątrzyła się od wielu lat.

Eremon Vottania Solette był wolnym rycerzem, który ślubował pokonać Raja Ahtena.

Gdy siedem lat temu został uwolniony ze służby u Sylvarresty, nie składał tej przysięgi z lekkim sercem, pojechał jednak przez zielone wiosną pola ku dalekiemu królestwu Avenu.

Zapłacił za to najwyższą cenę. Chemoise pamiętała ojca, jak siedział wyprostowany w siodle, pamiętała, jak bardzo była z niego dumna. Ten wielki rycerz dziesięcioletniej dziewczynce wydawał się wręcz niezwyciężony.

Teraz jego ubranie śmierdziało gnijącą słomą i zastarzałym potem. Brodę miał przyciśniętą do piersi, wszystkie mięśnie napięte, przykurczone. Chemoise poszukała czystego gałgana, przyniosła wody i zaczęła myć ojca. Krzyknął, gdy dotknęła jego kostki. Przyjrzała się

uważniej nogom - obie były całe w szramach. Skóra napuchła czerwono, włosy całkiem z niej zniknęły.

Znaczyło to, że przez ostatnie sześć lat Raj Ahten trzymał go w łańcuchach.

Niesłychane. Nikt tak nie traktuje darczyńców. Aż dziwne, że tak długi czas ponieważ go nie zabił. Na Północy otaczano darczyńców pełną opieką, szanowano ich i podziwiano. Raj Ahten zaś, jak powiadano, brał jeńców przede wszystkim po to, aby zyskiwać nowych darczyńców.

Czekając, aż przyniosą jej z kuchni bulion, Chemoise ujęła rękę ojca. Całowała ją, aż spojrzał na córkę. Wzrok miał szalony, nie mógł nawet mrugać.

Z Warowni Króla dobiegł ją krzyk jakiegoś nowego darczyńcy.

Nie chciała tego słuchać, nie chciała o tym myśleć, odezwała się więc do ojca.

Szeptem.

- Tak się cieszę, że tu jesteś. Tak długo czekałam.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki, jak przy smutnym uśmiechu.

Odetchnął nieco głębiej.

Nie wiedziała, jak powiedzieć ojcu, że jest w ciąży. Chciała, żeby choć przez chwilę poczuł się szczęśliwy, by uwierzył, że przynajmniej życie córki potoczyło się dobrze. Nie zamierzała wspominać, jak bardzo zawiodła księżniczkę. Miała nadzieję, że ojciec nigdy nie będzie miał okazji poznać prawdy. Karmiony iluzjami mógłby zaznać choć trochę spokoju.

- Ojcze, jestem teraz zameżna - szepnęła. - Z sierżantem Dreyssem z Gwardii Królewskiej. Gdy wyjeżdżałeś, był tylko chłopcem. Pamiętasz go?

Ojciec konwulsyjnie obrócił głowę na bok.

- To dobry człowiek, bardzo serdeczny. Król dał mu kawałek ziemi blisko miasta.

Chemoise przestraszyła się, czy to aby nie przesada. Sierżanci rzadko otrzymywali nadania ziemskie. - Mieszkamy tam z jego matką i siostrami. Będziemy mieli dziecko. Już rośnie we mnie.

Nie mogła przecież powiedzieć mu prawdy, że ojciec jej dziecka zginął przez Raja Ahtena i że poszła, by chociaż ducha jego przyciągnąć, poszła tam, gdzie tyle razy kochali się nocami, sprowadzając hańbę na księżniczkę. Nie śmiała opowiedzieć, jak duch przyszedł do niej wieczorem, chłodny cień człowieka. Nosiła go teraz w sobie.

Jednak ten wieczór, gdy poczuła w brzuchu pierwsze poruszenia rosnącego płodu, wydawał jej się wtedy najcudowniejszą chwilą w życiu.

Znów ujęła rękę ojca, a właściwie pięść, w którą chyba od bardzo dawna zaciśnięte były jego palce. Rozprostowała je, być może po raz pierwszy po latach bezruchu.

Ojciec odpowiedział, ściskając jej dłoń na znak uczucia i podziękowania, ale zrobił to bardzo mocno. W końcu miał kilka darów siły.

Z początku Chemoise starała się to ignorować, ale nie mogła. Bolało.

- Ojcze, nie ściskaj mnie tak mocno - szepnęła.

Rozluźnił palce, zalękniony, i próbował odsunąć rękę, jednak tym, którzy oddali dar zwinności, z trudem przychodziło rozluźnić mięśnie, ledwie nad nimi panowali.

Mimowolnie zacisnął palce jeszcze silniej, aż Chemoise przygryzła wargi.

- Proszę - powiedziała, zastanawiając się, czy ojciec nie przejrzał przypadkiem jej kłamstw. Może chce ją ukarać?

Eremon Solette skrzywił się przepraszająco. Walczył ze wszystkich sił, żeby jednak rozluźnić uchwyt i uwolnić Chemoise. Przez chwilę wysiłki przynosiły efekt odwrotny do zamierzonego, w końcu jednak mu się udało.

Ciągle nikt nie przychodził z bulionem warzonym specjalnie dla tych, którzy oddali dar

metabolizmu. Ojciec Chemoise nie zdołałby zjeść niczego więcej. Skurczone mięśnie żołądka nie pozwalały na normalne trawienie.

- Ojczy - odezwała się znów Chemoise - tak długo czekałam. Tak długo cię wypatrywałam... Gdybyś tylko mógł mówić, opowiedziałbyś, co zaszło.

Eremon Vottania Solette został pojmany w Avenie, w nadmorskim zimowym zamku Raja Ahtena. Wspiął się na białą wieżę i wśliznął się przez okno z powiewającymi na wietrze tiulowymi zasłonami. Znalazł się w pokoju pełnym ciemnowłosych kobiet śpiących na materacach. Wszystkie były prawie nagie, odziane jedynie w cienkie muśliny.

Harem Raja Ahtena.

Na stole z drewna sandałowego stała fajka wodna z brązu, odchodziło od niej osiem ustników wijących się niczym ramiona ośmiornicy. Kulki czarnozielonego opium spaliły się już na popiół. Eremon stanął w bezruchu, podziwiając piękności u swych stóp.

W misach wkoło łóżek płonęły węgle i w pomieszczeniu panowało miłe ciepło.

Pizmowa woń kobiet sprawiała, że całość kojarzyła się nieodparcie z rajem, efekt psuła jedynie gorzka woń opium.

W sąsiednim pokoju rozległ się kobiecy śmiech, ktoś ruszał się energicznie.

Wojownik nabrał nagle nadziei, że być może przyłapał Raja Ahtena w chwili, gdy całkiem nagi zajmował się czymś mocno absorbującym jego uwagę. Jednak gdy wstał, cały w czerni, i cicho wysunął z pochwy długi sztylet, zamierzając przemknąć się pod ścianą, jedna z kobiet obudziła się i dojrzała intruza.

Eremon chciał ją uciszyć. Skoczył, by zatopić nóż w jej gardle. Nie zdążył.

Krzyknęła i z alkowy wyskoczył nagle przebudzony niewielki eunuch, strażnik tego przybytku. Uderzył Eremona laską.

Eunuch nazywał się Salim al Daub, był otyłym mężczyzną o wysokim, kobiecym głosie, częstym u rzeźniców. W podzięce za pojmanie zabójcy Raj Ahten sprezentował mu wielki dar - zwinność samego Eremona.

Eremon myślał, że prędzej umrze, niż odda dar strażnikowi Raja Ahtena. Ale żywił skrycie dwie wielkie nadzieje. Przede wszystkim ufał, że zdoła jeszcze pewnego dnia powrócić do Heredonu i ujrzy swoją córkę.

Teraz patrzył na nią i widział, na jaką piękność wyrosła, jak podobna się stała do matki, i nie mógł powstrzymać płaczu, że spełniło się jego marzenie.

Chemoise patrzyła na pełne łez oczy ojca. Łapał ciężko powietrze, żeby się nie udusić. Stan mięśni klatki piersiowej nie pozwalał na zaczerpnięcie głębokiego oddechu.

Chemoise nie pojmowała, jak zdołał wytrzymać całe sześć lat.

- Gorzej ci? - spytała. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Długo trwało, nim zdołał wykrztusić dwa słowa:

- Zabij... nas.

KSIĘGA 3

DZIEŃ DWUDZIESTY PIERWSZY

MIESIĄCA ŻNIW

DZIEŃ KŁAMSTW

13

PRAGMATYCZNY KRÓL ORDEN

Trzydzieści mil na południe od zamku Sylvarresta wznosiła się ponad Mroczną Puszcza wysoka na czterysta stóp skała zwana Tor Hollick. Z jej turni rozciągał

się rozległy widok. Kiedyś, dawno temu, stała tu forteca, z której teraz nie pozostał niemal kamień na kamieniu. Okoliczni wieśniacy zabrali większość z nich do budowy swoich domów.

Król Mendellas Draken Orden wiercił się na ułamanym i pokrytym liszajami porostów odłamku kolumny, niezbyt wygodnym siedzisku, i patrzył ponad niższymi wzgórzami i kołysanymi nocnym wiatrem wierzchołkami drzew. Podmuchy targały też jego brokatową czapkę, dłonie ogrzewał kubkiem przesłodzonej herbaty. Gdzieś w górze krążyła na skórzastych skrzydłach para graaków: dwa podobne do nietoperzy stwory przesłaniające na mgnienie gwiazdy i nawołujące się co chwila w ciemności.

Król Orden nie patrzył jednak w górę, tylko na płonący w wielkiej dali ogień.

Czy to Sylvarresta?

Samo przypuszczenie niepokoiło Ordena, a nawet więcej - przepełniało go bólem, i to takim odczuwanym zarówno sercem, jak i całą duszą. Nauczył się z latami kochać to królestwo i jego króla. Może aż za bardzo, bo teraz sam pchał się w niebezpieczeństwo.

Wedle zwiadowców Raj Ahten dotarł do Sylvarresty około południa. Wilk mógł przypuścić nagły atak i spalić miasto. Widząc rosnącą lunę, Orden obawiał się najgorszego.

W lesie poniżej skały obozowało dwa tysiące zbrojnych. Wszyscy byli wyczerpani po całym dniu forsownego marszu. Borenson popędził do króla zaraz po rozstaniu z Gabornem. Nie była to łatwa jazda - na jego szlaku zostało czterech martwych zabójców.

Król Orden drętwiał też na myśl o synu, który był gdzieś tam, wśród płomieni.

Najchętniej wysłałby szpiega, żeby sprawdzić, co z nim. Mógłby wysłać szpiega lub przypuścić frontalny atak, aby uratować Gaborna. Co chwila nachodziły go podobnie jałowe myśli. Wstawał wtedy i chodził po skale tam i z powrotem, chociaż miejsca nie było tu wiele.

Nie, nic nie mógł zrobić, i tylko narastała w nim złość na syna. Co za uparty, dumny chłopak. I beznadziejnie głupi. Czy naprawdę uwierzył, że Rajowi Ahtenowi chodzi tylko o miasto? Przecież Wilk musiał wiedzieć, że Orden jak co roku zmierza do Sylvarrestów na polowanie. Żeby zniszczyć Północ, trzeba było najpierw zgładzić ród Ordenów.

Cała ta eskapada nie była niczym innym jak pułapką. Gdy na Południu poluje się na lwy, nagonka zaczyna buszować w krzakach, a z tyłu chowają się myśliwi z włóczniami. Raj Ahten wiedział, co robi, czyniąc tyle hałasu wkoło miasta Sylvarresta. Orden wysłał już zwiadowców na południe i wschód, aby sprawdzić, jakie to oddziały blokują mu drogę do domu. Bez wątplenia wszystkie szlaki musiały być strzeżone. Jeśli Wilk dobrze rozegra tę partię, może zgładzić Ordenów i zająć na dodatek Heredon. Król Orden nie oczekiwał, by zwiadowcy wrócili wcześniej niż następnego dnia. Może nawet później.

Gaborn postąpił głupio, udając się do zamku Sylvarresta. Głupio, ale i szlachetnie.

Król Orden był od dawna przyjacielem Sylvarresty i wiedział dobrze, że gdyby wyszło trochę inaczej, gdyby to on pierwszy usłyszał, że Jas Laren Sylvarresta znalazł się w potrzebie, też ruszyłby mu na ratunek.

Teraz musiał jednak poprzestać na wpatrywaniu się z oddali w płomienie trawiące miasto i oczekiwaniu na raporty wysłanych przodem zwiadowców. Pojechało ich sześciu, wszyscy na dobrych, wzmocnionych rumakach. Powinni rychło wrócić. Wprawdzie żołnierze i konie potrzebowali odpoczynku, ale i Mendellas nie zamierzał spać tej nocy.

Podobnie jak zapewne nie będzie mu dane przespać wielu następnych. Mając czterdzieści darów sił życiowych, nie musiał zresztą spać, była to wyłącznie kwestia wyboru.

Bez wątplenia Raj Ahten też nie zamierzał dzisiaj kłaść się na spoczynek.

Trochę wyżej nad królem siedział na skale jego Dziennik, a obok Gabornowy. Orden spojrzał na

nich z namysłem. Dlaczego Dziennik Gabora nie rusza do niego? Jeśli chłopak jest w zamku, winien do niego dołączyć. Gdyby ktokolwiek z Bractwa Dni spostrzegł Gabora, ten tutaj zaraz by wiedział. A może to już nieistotne? Może jego syn trafił do niewoli albo nie żyje?

Przez następną godzinę patrzył na ogień i pozwalał myślom błądzić, zastanawiał się nad obroną własnego królestwa. Czasem zdarzało mu się odczuwać coś dziwnego... wrażenie, zapowiedź niebezpieczeństwa, jak świadomość obecności raubenów u jego południowych granic. Gdy był jeszcze dzieckiem, usłyszał od ojca, że podobne przeczucia to przywilej królów, znak prawowitego pochodzenia. Teraz też oczekiwał jakiegoś przeczucia, ale żadne go nie nachodziło.

Myślał o fortecach na pograniczu. Czy są bezpieczne?

W końcu zjawił się jeden ze zwiadowców. Zamek Sylvarresta rzeczywiście padł. Tuż po zachodzie słońca i całkiem bez walki.

Było gorzej, niż obawiał się Orden. Słyszając wieści, król sięgnął do szkatułki, którą nosił u pasa. Zawierała korespondencję przeznaczoną dla króla Sylvarresty.

Nosiła pieczęć diuka Longmot.

Zwiadowcy Ordenu przechwycili kuriera z Longmot o świcie, o ile „przechwycili” to właściwe słowo. Dokładnie mówiąc, znaleźli go martwego. Zabójcy ustrzelili go najpierw z łuku, potem ukryli ciało w zaroślach przy drodze. Gdyby nie smród rozkładu, zwiadowcy nigdy nie wpadliby na jego ślad i nie przejęliby listu.

W normalnych okolicznościach Orden uszanowałby tajemnicę korespondencji i dostarczyłby ją osobiście Sylvarreście. Ale adresat został pokonany, a Orden obawiał się, że i Longmot mógł przesyłać złe wieści. Może też znalazł się w oblężeniu, a jego zamek był drugą fortecą Heredonu, zaraz po Sylvarreście. Wprawdzie w królestwie było jeszcze dziewiętnaście innych twierdz, ale wszystkie strzegły mniejszych miast lub wiosek, a pięć bardziej przypominało zwykłe strażnice.

Tak więc król Orden złamał pieczęć na szkatułce i wyciągnął żółtawy zwój pergaminu. Rozwinął go i zaczął czytać w świetle gwiazd. List został spisany najwyraźniej kobiecą ręką, ale w pośpiechu, tak że trafiały się nawet skreślenia: Swemu Wielce Prawemu Monarsze, Królowi Jasowi Larenowi Sylvarreście, uszanowanie i życzy pozdrowienia śle Jego wierna poddana, diuszesa Emmadine Ot Laren.

Drogi Wuju, zostałeś zdradzony. Mój mąż Bez mojej wiedzy mój mąż Cię sprzedał, pozwalając wojskom Raja Ahtena przemaszerować przez Mroczną Puszcę.

Najwidoczniej małżonek mój ma nadzieję zasiąść na twoim tronie jako regent, gdyby Heredon upadł.

Raj Ahten był tu dwie noce temu razem z potężną armią. Mój mąż nakazał opuścić dlań most, naszych żołnierzy powstrzymał od działania.

Potem Wilk przyszedł po nocy i wziął dary od wielu, bardzo wielu. Odplacił mojemu mężowi zdradą za zdradą, wieszając go za wnętrzności na żelaznej kracie za oknem jego własnej sypialni. Raj Ahten dobrze wie, że nie można ufać zdrajcy.

Mnie potraktował podle, używając sobie tak, jak dozwolone jest jedynie mężowi.

Potem zmusił mnie, abym oddała mu dar urody, i pojechał, zostawiając swego namiestnika, paru uczonych i mały garnizon, aby zarzą zastraszał miasto pod jego nieobecność.

Przez dwa dni jego namiestnik gnębił nas bez miłosierdzia, biorąc dary na setki.

Nie obchodziło go, czy darczyńcy przeżyją to, czy umrą. Dziedzińce zapełniły się bezsilnymi biedakami, o których nie miał kto dbać. Ja sama posłużyłam mu za pośredniczkę, biorąc dary urody od setek kobiet, a moi synowie, Wren i Dru, choć to tylko dzieci, przekazują siły życiowe dla Wilka.

Niecałą godzinę temu nasi słudzy z pomocą kilku gwardzistów zdołali wzniecić bunt i pokonać ciemiężycieli. Walka była krwawa.

Ale nie daremna! Zdobyliśmy czterdzieści tysięcy drenów!

Król Orden przerwał lekturę, bo nagle tchu mu zabrakło. Wstał i znów zaczął krążyć po skale. Zrobiło mu się słabo.

Czterdzieści tysięcy drenów! Niesłychane! We wszystkich północnych królestwach przez dwadzieścia lat nie oddano tak wielu darów. Orden spojrział na obu Dzienników siedzących powyżej na skale. Na pewno wiedzieli o tych drenach. Na wszystkie Moce, Orden chciałby wiedzieć jedną setną tego co oni.

Raj Ahten był głupcem, składając podobnie wielki skarb w jednym miejscu.

Przecież ktoś mógł go ukraść! Na Moce, ja go wykradnę! pomyślał Orden.

Chyba że to pułapka! Czy Raj Ahten naprawdę uwierzył, że zdoła utrzymać zamek Longmot? Orden zastanowił się. Skoro ktoś zdobył cudzy zamek, wziął najlepsze dary od całej rodziny panującej i większości dobrych żołnierzy, to mógł sądzić, że pokonał

wszystkich wrogów, i to tak, że ani zipną. Diuszesa napisała, że to służba wznieciła bunt z pomocą ledwie garstki gwardzistów.

Znaczy to, że jej żołnierze albo zginęli, albo zostali ogołoceni z darów. Chyba to jednak nie jest pułapka.

Raj Ahten ufał, że jego ludzie przechowają skarb swego władcy w Longmot -

wielkiej, świetnie obwarowanej fortecy. Czy może być lepsze miejsce, by ukryć tyle drenów?

Poza tym łatwo mógł je potem przewieźć do zamku Sylvarresta, aby dalej eksploatować pokonanych wrogów. Część pewnie i tak już zabrał.

Król Orden wrócił do listu.

Ufam, że te dreny mogą Ci być bardzo pomocne w prowadzeniu wojny. Z południa zbliża się armia okupacyjna. Wedle dochodzących wieści będzie tu za cztery dni.

Wysiałam prośbę o pomoc do Grovermana i Dreisa. Wierzą, że z ich pomocą przetrwamy oblężenie. Sami się nie obronimy, Wilk bowiem nie zostawił mi ani gwardii zamkowej, ani żołnierzy. Ci, którzy oddali mu dary, są z nim związani poprzez moich synów.

Raj Ahten pociągnął do miasta Sylvarresta. Nie sądzę, by dotarł do was przed wieczorem poprzedzającym Hostenfest.

On jest bardzo niebezpieczny. Ma tyle darów urody, że jaśnieje jako słońce. Od dziesięcioleci Longmot był ojczyzną wielu próżnych kobiet, z których każda myślała tylko o tym, żeby być piękniejszą od innych. Całe ich piękno płynie teraz przeze mnie do Raja Ahtena.

Ale nie będę wspierać Twego wroga. W ciągu dwóch dni wszyscy ci, którzy przekazali mu w Longmot dary, umrą z mej ręki. Boleję, że muszę zabić własnych synów, ale tylko w ten sposób zdołam uwolnić żołnierzy, aby miał kto bronić miasta.

Dreny ukryłam. Zostały zakopane pod zagonem rzepy w majątku Bredsfor.

Przypuszczam, że nie zobaczymy się już więcej za życia. Kapitana Cedrica Tempesta z gwardii zamkowej wyznaczam na tymczasowego dowódcę Longmot.

Ciało mego męża wisi wciąż za oknem, jego własne jelita posłużyły za stryczek.

Nie odetnę łajdaka. Gdybym wiedziała wcześniej o jego zdradzie, nie potraktowałabym go tak łagodnie.

Idę naostrzyć nóż. Gdyby mi się nie udało, wiesz, co robić.

Twoja oddana kuzynka

diuszesa Emmadine Ot Laren

Mendellas Orden skończył czytać i z bijącym sercem opuścił dłoń z pergaminem.

- Wiesz, co robić - szepnął. Znanie od wieków powiedzenie tych, którzy służyć musieli jako pośrednicy, znaczyło: Zabij mnie, jeśli sam nie zdołam tego uczynić.

Król Orden nie raz widywał diuszese. Zawsze uważał ją za nieśmiałą, wręcz myszowatą, w żadnym razie nie przeznaczoną do wielkich czynów. A tylko silna kobieta potrafi zabić siebie i swoje dzieci. Król Orden wiedział, że czasem nie ma wyboru. Raj Ahten za pośrednictwem rodziny książęcej zebrał dary wszystkich żołnierzy diuka Longmot, zmusił ich do oddania najlepszych talentów, czyniąc ich niezdolnymi do walki.

Przynajmniej za życia rodziny książęcej...

Aby uratować księstwo, diuszesa musiała wypełnić swą powinność i zabić własne dzieci. Ponure coś za coś. Król Orden miał nadzieję, że jego syn nie wpadnie nigdy w ręce Raja Ahtena. Uważał, że w razie konieczności byłby zdolny zabić Gaborna. Mimo że wzdragał się na tę myśl.

Odwrócił list, żeby sprawdzić datę. Dziewiętnasty miesiąca zniw. Prawie dwa dni temu i ponad sto mil stąd. Diuszesa nie oczekiwała, aby Raj Ahten dotarł do miasta Sylvarresta przed jutrem.

Zatem zamierzała zabić się o świcie, przed przybyciem armii okupacyjnej. Szkoda, że nie zrobiła tego dzisiejszego ranka. Jej ofiara mogłaby wspomóc króla Sylvarrestę.

Orden szybko skreślił listy do diuka Grovermana i earla Dreis, których zamki leżały najbliżej Longmot. Poprosił ich usilnie, aby wysłali pomoc i z tą samą prośbą zwrócili się do sąsiadów. Diuszesa wprawdzie napisała już do nich wcześniej, jednak Orden obawiał się, że jej posłańcy mogli podzielić los mężczyzny znalezione przy drodze. Dla pewności, że posiłki na pewno przybędą, Orden wprost wyłożył, jak wielki skarb zostawił Raj Ahten w zamku Longmot.

- Borenson! - zawołał król, skończywszy pisać.

Kapitan siedział na skałach kilka metrów poniżej splątanych gałęzi gniazda graaków.

- Tak, mój panie? - spytał, idąc po kamieniach do Mendellasa.

- Mam dla ciebie robotę. Niebezpieczną robotę.

- Dobrze! - odparł radośnie Borenson, usiadł obok króla i spojrzał na niego wyczekująco. Rude włosy wysypywały mu się spod hełmu i spływały na ramiona. Był o całą głowę wyższy od Ordena. Poddani nie powinni być tak rośli.

- Zabieram pięć setek ludzi na południe, do zamku Longmot. Zaraz. Tysiąc ruszy za mną o świcie. Ty, nie czekając, poprowadzisz pięciuset w kierunku Sylvarresty.

Zwiadowcy przekazali, że w okolicznych lasach obozuje kilka tysięcy niełudów. Jeśli dobrze pogonisz, natkniesz się na nich pod miastem o brzasku. Świetna okazja do ćwiczeń łuczniczych. Ale wy trzymajcie się lasu. Jeśli Wilk się nie dowie, ilu was jest, nie odważy się wysłać posiłków z twierdzy. Gdyby mimo to zaatakował, wycofujcie się natychmiast ku Longmot. Cokolwiek zresztą będzie się działo, w południe macie ruszyć tam i tak. Wydaje się, że diuszesa Longmot ma sporo kłopotów. Raj Ahten zajął jej zamek, wziął setki darów od jej ludu. Diuszesa zamierza zabić o świcie i siebie, i wszystkich, którzy zostali darczyńcami Wilka. Na dodatek w jej ręce wpadł olbrzymi skarb i muszę go od niej przejąć. Ty będziesz pilnował, żeby Raj Ahten nie dobrał mi się do tyłka.

Król Orden zastanowił się nad następnym ruchem. Dobrze znał te lasy, sporo polował w nich przez ostatnie dwadzieścia lat. Należało wykorzystać jakoś tę przewagę.

- Zniszczę most w Hayworth, co tak czy tak będzie wskazane, ty zaś ruszysz swoich do Dżiczego Brodu, a dokładniej, obsadzisz nimi ten wąski parów poniżej brodu.

Gdy oddziały Raja Ahtena tam wjadą, twoi ludzie zaatakują. Niech spychają głowy z góry i szyją z łuków, niech rozpalą ogień na wschodnim krańcu wąwozu, ale niech nie dobywają mieczy, chyba że

będą musieli. Potem mają pogonić do Longmot. Rozumiesz? Mają nękać Wilka, przyczynić mu szkód, szarpać, opóźniać jego marsz.

Borenson uśmiechnął się jeszcze szerzej, prawie po maniacku. Misja była w zasadzie samobójcza i Orden nie pojmował, skąd ta radość. Czyżby Borenson pragnął śmierci? A może podniecało go tak bliskie spotkanie ze śmiercią?

- Ale ciebie z nimi nie będzie.

- Nie? - Borenson przestał się uśmiechać.

- Nie. Dla ciebie mam coś trudniejszego. Jutro w południe, gdy twoi ludzie zaczną się wycofywać, żeby zastawić pułapkę, ty sam, całkiem sam, zaznaczam, pojedziesz do zamku Sylvarresta przekazać Rajowi Ahtenowi pewną wiadomość.

Borenson znów wyszczerzył zęby, ale to już nie był ten szalony uśmiech sprzed chwili. Teraz był to wyraz determinacji. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Bądź pewien siebie i wbij Wilkowi tyle szpil, ile tylko zdołasz. Pochwal się, że wziąłem Longmot, a na dowód wspomnij, że o świcie zabiłem wszystkich jego tamtejszych darczyńców...

Borenson z trudem przełknął ślinę.

- Daj mu jednoznacznie do zrozumienia, że przejąłem czterdzieści tysięcy jego drenów i zamierzam zrobić z nich dobry użytek. Powiedz też, że odsprzedam mu...

pięć tysięcy z nich za cenę, którą sam zna.

- Jaka to cena?

- O tym nie mów ani słowa - odparł Orden. - Jeśli ma mojego syna, to sam go zaproponuje. Jeśli go nie ma, to pomyśli, że mówisz o rodzinie Sylvarrestów i zaproponuje króla. Kogokolwiek ci przekaże, sprawdź przez odjazdem, w jakiej ten ktoś będzie kondycji. Sprawdź, czy Wilk nie zmusił Gaborna, lub króla Sylvarresty, do przekazania daru.

Podejrzewam, że wykorzysta rodzinę królewską w roli pośredników głównych darów.

Piętnaście godzin starczy, by zebrać ich setki. Jeśli tak, to wiesz, co robić.

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś. Wiesz, co robić.

Borenson zaśmiał się dziwnie. Brzmiało to prawie jak kaszel. Nie krzywił się już radośnie, oczy mu zmatowiały, cała twarz stężała.

- Mam zabić króla Sylvarrestę lub twego syna? - spytał z niedowierzaniem.

Jeden z wielkich graaków przemknął nisko nad wzgórzem i krzyknął w mrok. Król Orden dosiadał kiedyś tych gadów. Miał sześć lat i ważył pięćdziesiąt funtów, gdy ojciec pozwolił mu odbywać długie podróże na grzbietach oswojonych graaków. Wraz z innymi jeźdźcami wyprawiał się ponad górami do dalekiego królestwa Dzerlas w Inkarrze.

Tylko chłopcy z darami krzepy, rozumu, sił życiowych i zwinności mogli się ważyć na podobne przygody.

Jednak gdy i jego syn doszedł tego wieku i też zaczął dosiadać graaków, Mendellas nie pozwolił mu nigdy na daleką podróż. Starał się chronić Gaborna. Nazbyt kochał syna, chciał dać mu czas, by spokojnie dorósł, niespiesznie doszedł dojrzałości, co rzadko udawało się Władcom Runów. Zmuszani wcześniej okolicznościami do przyjęcia darów metabolizmu, starzeli się szybko, a przecież on musiał nauczyć jeszcze Gaborna sztuk dyplomacji, strategii i intrygi, których nie wykładano w Domu Zrozumienia.

Co więcej, ojciec Mendellasa trafił do niewoli, gdy przyszedł król był jeszcze dzieckiem. Gdzieś na Południowych Pustkowiach zmuszono ojca, aby został

darczyńcą Wilka. Przyjaciele wybawili go potem z opresji - z pomocą miecza oszczędzili mu

okrutnego losu.

Borenson mógł nigdy nie pojąć, jak bolesne było wydanie tego rozkazu. Ale i lepiej, żeby nie wiedział wszystkiego. Tak on, jak i pozostali nie powinni być świadomi, że to wielkie serce Gaborna ściągnęło nań wyrok śmierci.

Król Orden poklepał wielkiego rycerza po ramieniu. Ze współczuciem. Borenson drżał cały. Trudno mu było zmienić się z obrońcy Gaborna w jego zabójcę.

- Dobrze mnie usłyszałeś. Gdy Raj Ahten otrzyma wiadomość, sam pogna zaraz do Longmot, aby wydać mi bitwę. Do świtu zyska w zamku Sylvarresta setki darczyńców, których nie zabierze przecież ze sobą. Zbyt się będzie spieszył. Nie zdoła też zostawić przy nich należytej straży. Gdy już wyjedzie, dostaniesz się do Warowni Darczyńców w zamku Sylvarresta i zabijesz wszystkich, których tam zastaniesz.

Borenson zmartwiał.

- Sam rozumiesz, że trzeba to zrobić. Może od tego zależeć moje życie, twoje życie i życie wszystkich w Mystarrii, wszystkich, których znasz i kochasz. Nie wolno nam okazać słabości. Ani miłosierdzia.

Orden sięgnął do mieszka przy pasie i wyciągnął małą buteleczkę, w której trzymał mgły z pól w Mystarrii. Jego wodni czarnoksiężnicy zapewniali go, że starczy tej mgły, aby ukryć nawet całą armię. Borenson ze swoimi mógł jej potrzebować. Król wręczył mu magiczny rekwizyt i pomyślał, czy nie przekazać rycerzowi również złotej tarczy wiezionej jako prezent zaręczynowy dla Sylvarresty. Chroniło ją potężne zaklęcie wodne.

Chociaż nie, sam przecież mógł jej potrzebować.

Nie chciał zabijać Sylvarresty, jednak jeśli przyjaciel stał się podporą Raja Ahtena...

Orden dobrze pojmował swoje obowiązki. Królowie Rofehavanu winni wiedzieć, że nikt nie zdoła przekazać Wilkowi daru bezkarnie. Jeśli to uczyni, niezawodnie zginie. Tak jak najlepszy przyjaciel Ordena.

- Zrobimy wszystko, co konieczne, aby ocalić naszych przyjaciół i bliskich - powiedział król Orden tak do siebie, jak i do Borensona. - Szczególnie gdy zdarzy im się służyć wrogowi. To nasza powinność. Toczmy wojnę.

14

CZARNOKSIĘŻNIK W KAJDANACH

Krótko przed świtem w sali tronowej rozległ się brzęk łańcuchów i w drzwiach pojawił się zakuty w kajdany Binnesman. Gwardziści wciągnęli go do środka i zostawili przed obliczem Raja Ahtena.

Ioma patrzyła na to zaszyta w najciemniejszym kącie i cała w strachu, że Binnesman ją dostrzeże. Czowała wstręt do siebie. W ciągu paru ostatnich godzin znalazła dość czasu, by przyjrzeć się uważnie znakowi runicznemu na swej piersi. Był to skomplikowany wzór, wzór straszny, zdolny wyciągnąć o wiele więcej niż tylko urodę.

Wysysał również dumę i nadzieję i chociaż Ioma próbowała walczyć z jego wpływem, odmawiała wciąż uznania dominacji Raja Ahtena, nie czuła się godna miana człowieka. Niby najlichszy robak kuliła się w kącie i tylko patrzyła.

Legandy powiadały, że dawno temu darmistrz Phedrosh stworzył run woli, znak zdolny pozbawiać ofiary siły umysłu. Gdyby Raj Ahten naznaczył nim Iomę, nigdy nie zdołałaby mu się przeciwstawić. Teraz czuła wdzięczność wobec Phedrosha, że przed ucieczką do Inkarry zniszczył swe dzieło i wszystkie o nim zapiski.

Zadzwończyły łańcuchy wciąganego do pomieszczenia Binnesmana. Żelaza łączyły jego stopy z

karkiem, skuwały razem dłonie. Dwóch strażników powlokło go po posadzce i cisnęło do stóp Raja Ahtena.

Obok pojawiło się zaraz czterech tkaczy płomieni Wilka, wszyscy ciemnoskórzy i bezwłosi. Wyglądali bardzo młodo, w ich oczach jarzył się szczególny blask typowy dla tych, którzy zadają się z ogniem. Trzech mężczyzn i, jak się okazało, jedna kobieta.

Ci pierwsi wdziali na tę okazję tuniki z szafranowego jedwabiu, kobieta karmazynową pelerynę.

Gdy podeszła bliżej Iomy, dziewczyna poczuła jej ciepło na swojej skórze, suche ciepło, jakie bije od rozgrzanych kamieni wsuwanych w zimne noce do pościeli.

I jeszcze jedno się pojawiło: dzikie pożądanie pomieszane z pobudzeniem intelektualnym. Pożądanie nie miało nic wspólnego z tym ożywieniem ziemskiej zmysłowości, którą odczuwała w obecności Binnesmana: pragnieniem rodzenia dzieci, karmienia ich. Nie, tkacze płomieni sprowadzali nieodpartą żądzę przymuszania, gwałcenia, wydzierania i rozlaną wściekłość, a jedno i drugie, i trzecie sprzęgało się z chorym intelektem.

Biedny Binnesman wyglądał jak półtrup. Czarnoksiężnika od stóp do głów pokrywał popiół, jednak gdy podniósł głowę, w błękitnych jak niebo oczach nie było widać strachu.

A powinienes się bać, pomyślała Ioma. Powinienes. Nikt nie może się równać z Rajem Ahtenem, nikt nie zdzierży blasku jego oblicza ani potęgi Głosu. W ciągu paru ostatnich godzin widziała rzeczy, których wcześniej nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić: dwustu gwardzistów jej ojca oddało dary. Zwykle starczała odrobina perswazji.

Rzut oka na twarz Wilczego Władcy, zachęcające słowo i już.

Mało kto choćby pomyślał o stawieniu oporu. Kapitan Derrow z Gwardii Królewskiej przeprosił, że nie może przysiąc niczego Ahtenowi, gdyż wcześniej już związał

się słowem z rodem Sylvarrestów. Błagał zatem, aby zezwolono mu pełnić służbę w Warowni Darczyńców, jako że obecnie wszystkie wielkie rody zaczną wysyłać zabójców dla zgładzenia Sylvarresty. Raj Ahten zgodził się, stawiając jeden tylko warunek: aby Derrow oddał mu pomniejszy talent. Stańto na słuchu.

Inny, który w ogóle odmówił współpracy, spotkał się ze znacznie gorszym przyjęciem. Kapitan Ault powiedział zdecydowane „nie”, a na dodatek przeklął Wilka i życzył mu śmierci.

Raj Ahten przeczekał wszystko cierpliwie z uśmiechem na twarzy, ale zaraz potem kobieta w karmazynowej pelerynie ujęła czule dłoń kapitana. Wówczas dopiero Wilczy Władca wybuchnął śmiechem. Całe ciało kapitana zajęło się płomieniem. Rzucił się i krzyczał, gdy ogień trawił jego ciało i topił zbroję. Pokój rozbrzmiał

nieziemskimi jękami i wypełnił się odorem palonej skóry i włosów, który jeszcze teraz unosił się w powietrzu.

Poczerniałe truchło Aulta ciśnięto pod schody przy wejściu do Warowni Króla.

Reszta stawała kolejno w pokorze. Raj Ahten przemawiał do nich spokojnie z obliczem jasnym jako słońce, a jego głos płynął niewzruszenie niczym szum morza.

Żołnierze przeszukiwali przez całą noc domy najbogatszych kupców, szukając złota i darów. Ludzie dawali im wszystko wedle życzenia, nie wając się skąpić czegokolwiek.

Tak Raj Ahten poznał w końcu imię tego młodego człowieka, który zabił paru jego olbrzymów, uszczuplił zastępy zwiadowców i mastiffów, aż przekradł się w końcu do zamku, aby ostrzec króla Sylvarrestę przed nagłą napaścią. Tropiciele wciąż szukali śladów księcia Ordenu w Mrocznej Puszczy.

Król Sylvarresta siedział na podłodze u stóp Raja Ahtena przywiązany za szyję do tronu. Niczym nieświadome niczego kocię żuł powoli sznur, próbując go przegryźć, i nie pomyślał nawet,

że mógłby go po prostu odwiązać. Ioma patrzyła na to i nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że Wilczy Władca jest kimś niezwykłym i wielkim. Jego blask tak ją omotał, że obecność ojca w tym miejscu i w tym stanie uznawała za całkiem stosowną.

Przecież inni trzymają przy sobie ulubione psy czy koty, a Raj Ahten nie był zwykłym władcą, zasłużył na to, aby za swoich pupili mieć ludzi.

Obok stała jego straż przyboczna, dwóch doradców i piąty tkacz płomieni, znowu kobieta, przygotowująca Iomę o dreszcze. Czuła moc bijącą od tej władającej ogniem czarodziejki w ciemnogrnatowej pelerynie narzuconej na nagie ciało. Czuwała przy kociołku, w którym płonęły gałązki i szczapy drewna. Zielone płomienie strzelały chwilami aż na cztery stopy.

W pewnej chwili kobieta uniosła głowę znad kociołka i spojrzała uradowana na Raja Ahtena.

- Dobre wieści, o Jaśniejący. Twoi ludzie zabili króla Garetha Arrooleya z Internooku. Jego blask zniknął z powierzchni ziemi.

Ioma zdumiała się na te słowa. To znaczy, że Raj Ahten zaatakował nie tylko tego jednego króla z Pomocy. Jak rozległe plany poczynił? Wszyscy chyba wychodzimy na głupców w porównaniu z jego geniuszem. Tak jak król uwiązany przez swą ignorancję u jego stóp...

Raj Ahten spojrzał na zalanego zielonym blaskiem Binnesmana i w zamyśleniu podrapał się w brodę.

- Jak się nazywasz? - spytał. Binnesman uniósł głowę.

- Nazywam się Binnesman.

- A, Binnesman. Znam twe dzieła. Czytałem twój zielnik. - Raj Ahten uśmiechnął się wyrozumiale i spojrzał na tkaczkę płomienia. - Zakuliście go w kajdany? A to czemu?

- Wydaje się niegroźny.

Tkaczka spojrzała w stronę Binnesmana, ale niezupełnie na niego. Była jak w transie.

Chyba nie żywiła wobec czarnoksiężnika przyjaznych uczuć.

- Zupełnie niegroźny, wasza wysokość - odezwał się Binnesman. Mówił silnym głosem i chociaż wciąż na czworakach, patrzył na Wilka całkiem spokojnie.

- Możesz wstać - powiedział Raj Ahten.

Binnesman skinął głową i z wysiłkiem pozbierał się na nogi, chociaż pęta zmuszały go wciąż do silnego pochylania karku. Ioma ujrzała wyraźniej krótki łańcuch łączący obręcze na nogach, rękach i szyi. Jednak ta krzywa postawa jakoś mu nie wadziła. Przez lata pracował pochylony nad roślinami i grzbiet sam mu się zaoblił.

- Uwważaj na niego, mój panie - odezwała się tkaczka. - On ma wielką moc.

- Niespecjalnie - wtrącił się Binnesman. - Zniszczyłeś mój ogród, dzieło mistrzów trujących się nad nim od pięciuset lat. Przepadły zioła i przyprawy, które tam rosły. Mówią o tobie, żeś pragmatyczny, więc wiesz z pewnością, ile były warte!

Raj Ahten uśmiechnął się przekornie.

- Przykro mi, że moi czarnoksiężnicy zniszczyli twój ogród. Ale ty ocalałeś, prawda?

Możesz urządzić następny ogród. Ja mam wspaniałe ogrody wokoło moich willi i pałaców na Południu. Drzewa z najdalszych zakątków świata, żyzna gleba, mnóstwo wody.

Binnesman pokręcił głową.

- Nigdy. Nigdy nie stworzę drugiego takiego ogrodu jak ten, który spaliłeś. W nim było moje serce, rozumiesz... - Zacisnął palce na materii swego ubioru.

Raj Ahten pochylił się ku niemu.

- Przykro mi, ale trzeba było przyciąć ci skrzydła, Strażniku Ziemi. - Tytuł

Binnesmana wypowiedział z szacunkiem, jakiego nie okazał nikomu innemu tej nocy.

- Niemniej ciebie, mistrzu Binnesman, nie pragnę skrzywdzić. Niewielu jest na świecie godnych uwagi Strażników Ziemi, a ja sprawdziłem skuteczność ziół polecanych przez wszystkich biegłych w twojej profesji, zbadałem dostarczane przez was maści i napary. Ty jesteś niewątpliwie mistrzem w swym fachu. Zasłużyłeś na szacunek większy niż ten, którego zaznajesz. Winienes być mistrzem ogniska domowego w Domu Zrozumienia. Ty, a nie ten szalbierz Hoewell.

Ioma zdumiała się bez reszty. Raj Ahten słyszał o pracy Binnesmana, usłyszał o nim aż w Indhopalu. Wilk był zaiste wszechstronny.

Binnesman patrzył na niego spod krzaczastych brwi. Zmarszczki na jego twarzy nadawały mu wygląd mędrca, a po latach nieustannego uśmiechania się wyglądał dodatkowo na kogoś miłego i pogodnego. Jednak w jego spojrzeniu brakło uprzejmości. Ioma pamiętała, jak potrafił samym spojrzeniem tępić buszujące w ogrodzie robactwo.

- Ludzkie zaszczyty nie mają dla mnie wartości.

- Co zatem jest dla ciebie cenne? - spytał Raj Ahten, a gdy Binnesman nie odpowiedział, dodał:

- Będiesz mi służyć?

Inni zareagowaliby na ten wystudiowany i subtelny ton natychmiastową prostracją.

- Nie służę królom.

- Służyłeś Sylvarreście - przypomniał mu Raj Ahten. - Tak jak mnie teraz będziesz służył!

- Sylvarresta był moim przyjacielem, a nie panem.

- Służyłeś jego ludowi. Służyłeś mu jako przyjaciel.

- Ja służę ziemi i wszystkim, którzy na niej żyją.

- Więc i mnie?

Binnesman spojrzał na Wilka tak, jakby ten był dzieckiem przyłapanym na robieniu czegoś jednoznacznie zakazanego.

- Czy pragniesz, bym ci służył jako człowiek, czy jako czarnoksiężnik?

- Jako czarnoksiężnik.

- Skoro tak, to nie mogę ci niczego ślubować, gdyż umniejszyłoby to moje siły.

- A to jakim cudem?

- Ślubowałem służyć ziemi i tylko jej - odparł Binnesman. - Służę drzewom w godzinie potrzeby, podobnie jak służę lisowi w jego norze. Ludzie nie znaczą dla mnie ani mniej, ani więcej niż każde inne stworzenie. Ale jeśli złamię ślub wiążący mnie z ziemią, jeśli spróbuję służyć tobie, moja moc może zniknąć. Masz wielu innych gotowych się dla ciebie poświęcić i chyba dobrze będzie, jeśli zadowolisz się ich ofiarą, Raju Ahtenie.

Ioma zastanowiła się, zaskoczona. Binnesman kłamał, tyle wiedziała. Ludziom służył wytrwalej niż zwierzętom. Kiedyś powiedział jej, że to wyraz osobistej słabości do rodzaju ludzkiego. We własnych oczach to akurat czyniło go niewartym jego mistrza. Ioma obawiała się, że Wilk pozna się na kłamstwie i ukarze Binnesmana.

Piękna twarz Wilczego Władcy nie zdradzała jednak żadnych podejrzeń. Wciąż była przecudowna.

- Jesteś Władcą Runów, rozumiesz więc, jak bardzo trzeba dbać o darczyńców, by nie zagłodzili się lub nie rozchorowali. Jeśli bowiem umrą, stracisz wszystko, co od nich uzyskałeś - powiedział miękko Binnesman. - Ta sama zasada odnosi się do mnie...

i do twoich tkaczy płomieni. Widzisz, jak podsycają ogień, pewni, że w zamian otrzymają od niego siłę?

- Panie - odezwała się kobieta stojąca u boku Wilka - pozwól mi go zabić. - Płomienie pokazują, że jest niebezpieczny. Pomógł księciu Ordenowi uciec z ogrodu, wspiera twoich wrogów.

Jego aura świadczy, że jest twym przeciwnikiem.

Raj Ahten dotknął uspokajająco dłoni kobiety.

- Naprawdę? - spytał. - Pomogłeś księciu uciec?

Nie odpowiadaj mu, chciała krzyknąć Ioma. Nie odpowiadaj! Ale Binnesman tylko wzruszył ramionami.

- Był ranny. Opatrzyłem go, tak jak zwykle opatrywać króliki czy krowy, potem pokazałem mu drogę do Mrocznej Puszczy, żeby mógł się ukryć.

- Dlaczego?

- Bo twoi żołnierze chcieli go zabić - odparł zielarz. - A ja służę życiu. Dbam o życie. Twoje, twoich wrogów. Służę życiu równie wytrwale, jak ty służysz śmierci.

- Nie służę śmierci, tylko rodzajowi ludzkiemu - stwierdził spokojnie Raj Ahten, jednak przymrużył odrobinę oczy i jego twarz nieco stężała.

- Ogień trawi - powiedział Binnesman. - Oczywiście, skoro otoczyłeś się tyłoma tkaczami płomieni, musisz odczuwać to, co oni. Ich pragnienie niszczenia ogarnia także ciebie.

Raj Ahten leniwym ruchem oparł się wygodnie na tronie.

- Ogień rozjaśnia też i odślania nowe - odparł. - Ogrzewa nas w chłodne noce. W słusznych dłoniach staje się narzędziem czynienia dobra, może nawet leczyć.

Najjaśniejsi i Szlachetni są istotami ognistymi. Życie rodzi się z ognia. Z ziemi i z ognia.

- Owszem, może się stać narzędziem dobra, ale nie teraz. Nie w tym wieku, który nadchodzi. Żadna istota o dobrej aurze nie przyłączy się do ciebie. Chyba że pozbędziesz się tych... sił. - Binnesman wskazał na tkaczy płomieni. - Inni czarnoksiężnicy lepiej by ci posłużyli.

- Zatem będziesz mi służył? - spytał Raj Ahten. - Dostarczysz moim wojskom ziół

i maści? - Uśmiechnął się, a w pomieszczeniu jakby pojaśniało. Ioma była pewna, że teraz Binnesman z pewnością pomoże.

- Zioła dla chorych i rannych? To mogę uczynić z czystym sumieniem. Ale służyć ci nie będę.

Raj Ahten skinął głową. Był wyraźnie rozczarowany. Oddanie Binnesmana znaczyłoby naprawdę sporo.

- Panie - syknęła tkaczka płomieni, spoglądając na Wilka znad kociołka. - Jemu nie można ufać. On służy pewnemu królowi! Widzę go w moich płomieniach, to mąż bezlicy, ale w koronie! Król nadchodzi, król, który cię zniszczy!

Raj Ahten pochylił się na tronie i przyjrzał uważnie zielarzowi. Zielone płomienie z kociołka lizwały niemal bok jego twarzy.

- Moja magini czyta w płomieniach - szepnęła. - Powiedz mi, Binnesmanie, czy ziemia też ci coś podpowiada? Czy jest taki król, który mnie pokona?

Binnesman wyprostował się nieco, złożył ręce i zacisnął dłonie w pięści.

- Nie jestem przyjacielem Władców Czasu i nie znam przyszłości. Nie wpatruję się w wypolerowane kamienie. Ale uczyniłeś sobie wielu wrogów.

- Ale czy jest jakiś król, któremu służysz?

Binnesman zamyślił się, aż mu się brwi nastroszyły. Ioma była niemal przekonana, że stary zielarz nie odpowie, ale w końcu odezwał się półgłosem:

- Kamień i drzewo, drzewo i kamień to ciało me, ma krew i kość. Metal i krew, drzewo i kamień, to mam jedyne, to jedno mam.

- Co? - spytał Raj Ahten, chociaż musiał słyszeć wszystko.

- Nie służę żadnemu człowiekowi, ale król nadchodzi, wasza wysokość. Król, którego ziemia ma za przyjaciela. Czternaście dni temu postawił stopę w Heredonie. Wiem o tym, bo słyszałem, jak

kamienie szeptały sobie o nim, gdy spałem nocą na łące. Odezwał

się do mnie głos, zawołał mnie czysto jak skowronek: „Nowy Król Ziemi nadchodzi! Jest już w tej krainie!”

- Zabij go! - zakrzyknęli na te słowa wszyscy tkacze płomieni. - On służy twemu wrogowi!

Raj Ahten próbował ich uciszyć, unosząc rękę.

- Kto jest tym Królem Ziemi? - spytał z płonącymi oczami.

Tkacze wciąż domagali się głośno śmierci Binnesmana. Ioma zaczęła się obawiać, że Wilk uczyni zadość ich prośbom. Oczy im gorzały, a kobieta przy kociołku uniosła zaciśniętą pięść, która buchnęła płomieniem. Jeszcze chwila, a zdanie Wilczego Władcy przestanie się liczyć i magowie sami zabiją Binnesmana.

- To Orden! - krzyknęła Ioma, by uratować zielarza. - Król Orden przekroczył naszą granicę dwa tygodnie temu!

W tej samej chwili wszystkie łańcuchy pętające Binnesmana opadły na podłogę, a zielarz rozprostował dłonie, ciskając coś w powietrze...

Płatki żółtych kwiatów, pomarszczone korzonki i suche liście. Wszystko to zamigotało w zielonym blasku.

Tkacze płomieni krzyknęli przerażeni i padli zmiecieni pod ściany, jakby przygniotła ich wielka masa.

Kociołek syknął i płomień zgasł. Podobnie jak wszystkie lampy w sali tronowej. Półmrok rozjaśniał teraz tylko blady blask przedświt wlewający się przez wysokie okna.

Gdy jej wzrok już się przyzwyczaił, Ioma rozejrzała się zdumiona. Tkacze płomieni leżeli półprzytomni. Porażeni, ogluszeni, patrzyli, niczego nie widząc, i zwijali się z bólu.

Sala wypełniła się nagle świeżą, oczyszczającą wręcz wonią, jakby przyniesioną z wiatrem znad odległych łąk. Binnesman wyprostował się i dumnie spojrzął na Raja Ahtena spod krzaczastych brwi. Żelazne kajdany leżały na podłodze nienaruszone; to raczej ciało Binnesmana rozstało się na chwilę, żeby je zrzucić.

Tkacze płomieni wyraźnie cierpieli, jednak Ioma nie poczuła niczego niezwykłego.

Płatek kwiatu dotknął jej twarzy i opadł na podłogę. I tyle.

Raj Ahten spojrzął na zielarza z lekkim rozdrażnieniem i złapał się poręczy tronu.

- Coś ty zrobił? - spytał spokojnie. Mimo wszystko spokojnie.

- Nie pozwolę, aby twoi tkacze płomieni mnie zabili - powiedział Binnesman. -

Obezwładniłem ich na chwilę, nic więcej. A teraz, jeśli wybaczysz, mam sporo do zrobienia.

Chciałeś ziół dla swojego wojska?

Czarnoksiężnik odwrócił się, żeby wyjść.

- Czy to prawda, że wspierasz króla Ordenu? Będziesz walczył u jego boku? -

zapytał Raj Ahten.

Binnesman spojrzął przeciągle na Wilka i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie o to w tym wszystkim chodzi.

- Nie pragnę z tobą walczyć - odrzekł. - Nigdy nie pozbawiłem nikogo życia. Ty jednak jesteś nieczuły na siły ziemi, Raju Ahtenie. Ponad tobą wyrasta wielkie drzewo życia, liście szepczą, ale ich nie słyszysz. Śpisz wśród korzeni i śniesz o podbojach.

Pomyśl raczej, jak chronić życie. Twój lud cię potrzebuje. Mimo wszystko wierzę w ciebie.

Mam nadzieję nazwać cię przyjacielem.

Raj Ahten przyglądał mu się przez chwilę.

- Cóż musiałoby się zmienić, żebyśmy zostali przyjaciółmi?

- Złóż przysięgę ziemi, że jej nie skrzywdzisz. Przysięgnij, że postarasz się zachować pierwiastek człowieczeństwa w mrocznej epoce, która nadejdzie.

- Czego wymagałyby ode mnie te śluby?

- Odpraw tkaczy płomieni, który pragną pustoszyć ziemię. Zaczynj cenić życie, wszelkie życie, roślinne i zwierzęce. Jedz to, co rośliny same ci dadzą, i nie niszczyj ich, zabijaj tylko te zwierzęta, które zabić musisz. Nie marnuj żadnego żywota, czy zwierzę to będzie, czy człowiek. Zawróć armię z marszu ku tej wojnie, którą rozpocząłeś.

Raubenowie stoją u twych południowych granic, to z nimi powinieneś walczyć.

Przez długi czas Raj Ahten tylko siedział na tronie i patrzył na Binnesmana. Do sali wpadł służący z nową lampą, jej blask ukazał zamyśloną twarz Wilka.

Ioma dostrzegła tęsknotę w jego oczach i prawie uwierzyła, że Wilk zaraz złoży śluby.

Ale gdy służący podszedł bliżej, przez oblicze Wilczego Władcy przemknął płomienisty grymas innego postanowienia.

- Przysięgam chronić rodzaj ludzki przed raubenami. Dla jego własnego dobra - powiedział Raj Ahten. - Ja... robię tylko to, co konieczne, co muszę...

- Nic podobnego! - krzyknął Binnesman. - Posłuchaj sam siebie! Przyjąłeś tyle darów głosu, że gdy mówisz, sam siebie przekonujesz do swych szalonych argumentów!

Ulegasz omamom!

Ioma zrozumiała nagle, że Binnesman ma rację. Raj Ahten dawał się zwieść własnemu, obłąkanemu Głosowi. Księżniczka nigdy nie sądziła, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

- Ale nie jest jeszcze za późno, byś to zmienił! - zawołał zielarz. - Chociaż to ostatnia chwila. Zostaw te szalone pomysły. Nie odzieraj ludzi z darów, zwąc się dobrym!

Obrócił się i opuścił salę. Chociaż wyglądał jedynie na przygarbionego starca, szedł bez strachu, jakby to on zarządził przesłuchanie i jakby to Raj Ahten został tu wciągnięty chwilę wcześniej w łańcuchach.

I zniknął.

Ioma patrzyła zaskoczona, bo nikomu innemu nie udało się od dawna ta sztuka, by z własnej woli porzucić towarzystwo Raja Ahtena. Księżniczka obawiała się, że Wilk spróbuje uwięzić starego maga, będzie go chciał zmusić do powrotu i, być może, do służby.

Ale Wilk nie poruszył się nawet, wciąż zamyślony. Patrzył tylko w mroczny korytarz, którym odszedł Binnesman.

Chwilę później tkacze płomieni zaczęli wracać do przytomności, nadbiegła też straż zaniepokojona wieścią, że ktoś dostrzegł zielarza za bramą, na drodze do Mrocznej Puszczy.

- Nasi łucznicy na murach mogli go ustrzelić - powiedział jeden ze strażników -

ale nie mieliśmy rozkazów w tej sprawie. Nieludy obozujące na polach nawet nie próbowały go niepokoić. Czy mam wysłać tropicieli, żeby sprowadzili go z powrotem?

Raj Ahten zmarszczył czoło. Jak Binnesman zdołał dojść na pola ledwie chwilę po opuszczeniu sali? I dlaczego żaden z doświadczonych strażników go nie zatrzymał?

- Czy dotarł już do skraju puszczy? - spytał Wilk.

- Tak, panie.

- Co on zamierza? - zastanowił się głośno Raj Ahten. Wstał zdecydowanie. -

Wyślijcie za nim oddział myśliwych - polecił. - Niech go znajdą. Jeśli to w ogóle wykonalne.

Ale Ioma wiedziała, że jest już za późno. Binnesman wszedł do lasu, do pradawnej Mrocznej Puszczy, gdzie skupiają się moce ziemi. Nawet najlepsi tropiciele Raja Ahtena byli tam bez szans. Szczególnie gdy chodziło o Strażnika Ziemi.

Gdy tropiciele odeszli, Gaborn z Rowaną na rękach ruszył dalej wzdłuż młyna. Dla młodego mężczyzny z trzema darami krzepkości dziewczyna nie była dużym ciężarem.

Wiązała się z tym też pewna korzyść - Rowaną nie zostawiała śladu na ziemi.

Trudno jest zwiertzyć ślad kogoś, kto właśnie wyszedł z rzeki. Woda zmywa naturalne wydzieliny ciała i mało co zostaje z własnych woni.

Gdy wspinał się po stromiźnie obok koła młyńskiego, frety dojrzały go w końcu i smyrgnęły w poszukiwaniu ukrycia.

- Jedzenie, jedzenie - zagwizdał, pamiętając, jak wielką przysługę oddały mu nieświadomie te stworzenia. Sam nie miał tyle jedzenia, aby je poczęstować, ale dotarłszy do

młyna, odsunął rygiel przy drzwiach i wszedł do środka. Kosz nad żarnami pełen był owsa. Gaborn otworzył go i zerknął do tyłu. Frety stały niemal na progu i szeroko otwartymi oczami wpatrywały się w ciemność. Jedna z nich, mała szarobrazowa samiczka, poruszała nerwowo łapkami i noskiem.

- Jedzenie. Daję - gwizdnał miękko Gaborn.

- Słyszę cię - zaszczebiotała w odpowiedzi.

Gaborn przeszedł powoli obok fret, zostawiając je przed drzwiami. Czekwały, mrugając i popatrując nań nerwowo, widać nie ważyły się wejść do młyna w jego obecności.

Książę pospieszył ścieżką do miasta. Trzymał się linii drzew, aż dotarł do małego strumienia wijącego się wśród puszystych wierzb. Dalej trzeba było przekradać się cicho przez podmokły grunt. Niebo nad wzgórzem czerwieniało intensywną łuną, na jego tle była wyraźnie widoczna czarna sylwetka stojącego na murze strażnika. Przyglądał się pożarowi ogrodu Binnesmana. W powietrzu unosił się popiół.

Gaborn zdołał przemknąć nie zauważony, pod wierzbami, aż do murów miejskich.

Tam postawił Rowaną i pierwszy przecisnął się przez pełen zimnej wody tunel.

Poczekał po drugiej stronie na dziewczynę, która pojawiła się, dzwoniąc zębami. Była przeraźliwie zmarznięta. Dźwignęła się na kolana, zachwiała i padła zemdlona.

Gaborn złapał ją w porę i ułożył na brzegu strumienia. Zdjął swój brudny płaszcz i otulił nim dziewczynę, chociaż cienka materia kiepsko ochroniła przed zimnem.

Potem znów dźwignął Rowaną i pomaszerował ulicami.

Dziwna to była wędrownica. Płomienie nad ogrodem Binnesmana strzelały aż na osiemdziesiąt stóp, wokół pełno było rozkrzyczanych ludzi biegających tam i z powrotem w strachu, że ogień może się rozprzestrzenić.

Po drodze do stajen Gaborn mijał dziesiątki ludzi, wielu biegło z wiadrami do strumienia, by przynieść wody i polać słomiane dachy domów, na które padało coraz więcej płonących żagwi.

Jednak nikt nie zaczepił Gaborna, nie spytał o nic, nie zainteresował się niesioną przez niego nieprzytomną kobietą. Czy to ziemia mnie chroni, pomyślał, czy może tej nocy to widok tak zwykły, że nikogo już nie dziwi?

Znalazł piwnicę z opisu Rowany. Był to spory budynek przypominający magazyn, tyle że zagłębiony w zboczu wzgórza. Przed szerokimi drzwiami ciągnęła się rampa załadunkowa, wysoka na poziom wozu.

Gaborn otworzył ostrożnie wrota i zaraz spowiała go mieszanka najrozmaitszych woni: suszonego czosnku i cebuli, pietruszki i bazylii, mięty, geranium, leszczyny i setek jeszcze innych ziół. W pomieszczeniu przed magazynem sypiać miał strzegący go kuchcik i w kącie faktycznie leżał

siennik nakryty kocem, ale chłopaka nie było. Pewnie poszedł z przyjaciółmi popatrzeć na obce wojsko i wielki ogień.

Naprzeciw wejścia wznosiła się ściana ze spojonych zaprawą kamieni. Gaborn podszedł tam z Rowaną na rękach i otworzył drzwi, obok których wisiała latarnia, na półeczce stała zaś butelka z olejem i jeszcze kilka zapasowych lamp. Gaborn nalał oliwy i zapalił knot. Począł, aż zajaśnieje porządnie, po czym podniósł głowę. I zamarł.

Wiedział, że król handlował przyprawami, ale nie miał pojęcia, że aż na taką skalę. Cały magazyn pełen był różnych pojemników i worków. Z lewej stały wielkie puszkę z zwykłymi przyprawami kuchennymi, których starczyłoby dla całego miasta co najmniej na rok. Pośrodku dostrzegł mniejsze baryłki z leczniczymi ziołami i olejami Binnesmana, wszystko zapakowane do wysyłki. Po prawej leżały tysiące butelek wina i jeszcze beczułki piwa, whiskey i rumu. Magazyn musiał się ciągnąć ze sto stóp w głąb wzgórza.

Zapachy zbijały z nóg: prócz świeżych woni dawało się też wyczuć nutę zgnilizny, pleśni i kurzu. Gaborn wiedział, że znalazł bezpieczne miejsce. Tutaj, pod ziemią, żaden tropiciel go nie znajdzie.

Zamknął za sobą wielkie drzwi i przyświecając sobie latarnią, przeszedł na sam koniec magazynu. Ustawił tam kilka skrzynek tak, by można się było za nimi schować, i ułożył za nimi Rowanę. Sam położył się obok, by ogrzać dziewczynę. Zasnął przytulony do jej pleców.

Gdy się obudził, Rowana leżała przodem do niego i patrzyła mu w oczy. Poczł miękki dotyk na wargach i pojął, że obudziła go pocałunkiem. Oddychała gęboko.

Miała ciemną cerę, gęste, lśniące, czarne włosy i delikatną, drobną twarz. Dla Gaborna nie była piękna, lecz tylko efektowna. Niepodobna do Iomy czy nawet Myrrimy. Tamte kobiety posiadały dary, które wynosiły je ponad zwykły, ludzki wymiar. Przeciętny mężczyzna mógłby na ich widok zapomnieć nawet, jak się nazywa i zapewne nigdy, nawet po latach, nie uwolniłby się od wspomnienia ich postaci.

Pocałowała go znowu.

- Dziękuję - wyszeptła.

- Za co?

- Za ogrzanie mnie. Za to, że zabrałaś mnie ze sobą. - Przysunęła się bliżej i okryła ich jednym płaszczem. - Nigdy nie czułam tak bardzo, że... żyję. Nigdy tak bardzo jak teraz. - Wzięła jego dłoń i położyła sobie na policzku w oczekiwaniu, że zacznie ją pieścić.

Gaborn jednak nie śmiał. Wiedział, czego dziewczyna chce. Właśnie powróciła do świata zmysłów i pragnęła czułości. Ciepła jego ciała, dotyku...

- Chyba... nie powinienem - powiedział Gaborn. Odsunął się i odwrócił plecami do dziewczyny. Wyczuł, że zeszywniała, wyraźnie urażona i zawstydzona.

Przez chwilę ją ignorował, potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął książkę otrzymaną kilka godzin wcześniej od króla Sylvarresty. Kroniki Owatta, emira Tuulistanu, przeczytał na okładce.

Oprawa z jagnięcej skóry była wyraźnie nowa, pachniała jeszcze tuszem. Gaborn otworzył tomik. Bał się, że nie będzie znał języka emira, ale autor sam przetłumaczył wszystko, co miał do zapisania. Po wewnętrznej stronie okładki skreślono szerokim i zdecydowanym pismem dedykację:

Memu Ukochanemu Prawemu Bratu, Królowi Jasowi Larenowi Sylvarreście, z pozdrowieniami.

Minęło osiemnaście lat, odkąd uctowaliśmy razem w oazie pod Binyi, jednak wciąż często o tobie myślę. To były ciężkie lata, pełne trosk. Przekazuję ci ostatni dar - tę książkę.

Proszę cię usilnie: pokazuj ją tylko zaufanym.

Ostrzeżenie zastanowiło Gaborna. Zapisawszy je, autor nie zostawił już sobie miejsca na podpis.

Gaborn uspokoił myśli. Chciał zapamiętać całą książkę, co przy dwóch ledwie darach bystrości było trudnym, choć wykonalnym zadaniem.

Czytał szybko. Dwa pierwsze rozdziały były poświęcone życiu emira: jego młodości, małżeństwu i powiązaniom rodzinnym, szczególnie ustanowionych przez niego praw. Następne dziesięć zawierało relację z dziesięciu bitew stoczonych przez Raja Ahtena podczas kampanii przeciwko innym rodzinom panującym.

Wilk zaczął od zniszczenia pomniejszych i pogardzanych rodów Indhopalu. Jednak miast zajmować ich zamki czy rujnować miasta, uderzał w koligacje. Na Południu było w zwyczaju mścić poległych krewnych; kto by tego poniechał, straciłby twarz.

Razem z jeźdźcami z Deyazu zaatakował zamek w jednym mieście, potem zabił konie dostarczające darów wierzchowcom armii, która mogłaby przybyć na pomoc temu miastu. Gdzie indziej jeszcze wziął dzieci na zakładników. Mnożąc ataki, obezwładniał z wolna przeciwników.

Gaborn szybko zrozumiał, że Raj Ahten jest mistrzem iluzji. Pokazując prawą dłoń z nożem, lewą skrycie robił co innego. I gdzie indziej. Mógł wysłać małą armię, by z rozgłosem obiegnęła zamek jakiegoś króla, reszcie wojsk każąc się po cichu uporać z władcą innego, odległego państwa. Gaborn przestraszył się nie na żarty.

Raj Ahten zdobył miasto Sylvarresta wyłącznie dzięki swemu urokowi osobistemu i ledwie siedmiu tysiącom jazdy i pieszych. Owszem, zabrał ze sobą Niezwycięzonych, rdzeń swojej armii, ale przecież miał na swe rozkazy wielkie, milionowe zastępy walecznych mężów.

Gdzie oni się podziewali?

Gaborn zastanowił się nad tym, co przeczytał. Relacje o bitwach Raja Ahtena nie zdradzały żadnych szczególnych sekretów. Emir wyłożył czarno na białym, na czym polega taktyka Wilka, ale dobry szpieg dostarczyłyby co najmniej tyle samo informacji.

Książkę przejrzał jeszcze wiersze emira, nudne w gruncie rzeczy i wtórne, chociaż w zasadzie trzymające metrum, zawsze z pełnymi, choć niekiedy prostackimi rymami.

Były wśród nich sonety zachęcające czytelnika do pielęgnowania rozmaitych cnót, utwory w stylu tych prostych wierszyków, które podsuwa się dzieciom do nauki czytania. Dopiero tu coś zgrzytnęło Gabornowi. Niektóre wersy kończyły się niedokładnymi rymami

(lub zgoła brakiem rymu), co przy szybkiej lekturze wręcz rzucało się w oczy.

Pierwszy pojawił się dopiero na dziesiątej stronie, w dziwnym wierszu utrzymanym w formie sonette menor.

Gaborn przeczytał go uważniej, jako że w tytule widniało imię Sylvarresty.

Sonet dla Sylvarresty

Kiedy wiatr pustynię po nocy omiata,

A piaszczysty welon odgradza od świata,

Kładziem się przy ogniu, gdzie miękkie postanie, By poczytać księgi kunsztu filozofii.

O, jak oczy nasze cieszą, umysł płochy rozjaśniają Śmiertelnych, co tęsknią za miłością, ale umierają.

Gaborn próbował przestawiać słowa w kolejnych wierszach, ale nie zdołał ułożyć żadnego sensownego zdania, które coś by mu posunęło.

Na chwilę zamyślił się nad tymi dawnymi czasami, gdy ludzie z Północy otwarcie podróżowali do Indhopalu. Całkiem niedawno słyszał, jak pewien kupiec wspominał:

„Kiedyś było w Indhopalu wielu dobrych ludzi, ale teraz albo wszyscy nie żyją, albo nazbyt boją się zła”.

Pięć wierszy dalej Gaborn trafił na następny z kulejącym rymem, tyle że tym razem dotyczyło to pierwszych dwóch wersów. Wrócił do poprzedniego wiersza i zestawiał

obie nie dopasowane końcówki: „posłanie, filozofii” i „wewnątrz, grzbietu”. Szybko przerzucił pięć stron i zaraz znalazł kolejny wiersz z nie rymującymi się słowami: „komnata, snów”.

- „Posłanie filozofii. Wewnątrz grzbietu. Komnata snów” - wymamrotał. Serce zabiło mu żywo. W Komnacie Snów pobierali nauki członkowie Bractwa Dni, ale co dokładnie im tam wykładano, Gaborn nie wiedział. To były dziedziny zakazane dla Władców Runów. Oczywiście, gdyby któryś Dziennik odkrył, co zawiera kronika emira, księga zostałaaby niezwłocznie zniszczona. Tego właśnie musiało dotyczyć ostrzeżenie pod dedykacją: „pokazuj ją tylko zaufanym”.

Gaborn przejrzał resztę tomiku. Ostatnia część zawierała ogólnofilozoficzne rozważania zatytułowane O naturze dobrego księcia. Autor starał się przekonać kandydatów na królów, aby baczyli na swe maniere i nie próbowali podrzynać gardeł starym ojcom, tylko cierpliwie czekali, aż ci zejną własnym przemysłem.

Okładkę i grzbiet książki zrobiono z twardej skóry obszytej miękką skórą jagnięcą.

Po raz pierwszy od paru godzin książkę oderwał się od lektury i spojrzął za siebie. Rowana leżała cicho i oddychała powoli. Spała.

Gaborn sięgnął po nóż i przeciął nici, którymi zszyto oprawę z kartami. Ręce trzęsły mu się paskudnie i trwało to o wiele dłużej niż powinno.

Jego przodkowie od pokoleń zastanawiali się nad tym, czego się naucza w Komnacie Snów. Ktoś oddał życie, żeby ta książka dotarła do Sylvarresty, chociaż to akurat wynikło zapewne z nieporozumienia. Szpieg musiał wiedzieć, że tomik pochodzi z Tuulistanu i przypuszczał chyba, iż zawiera on informacje na temat planowanego przez Raja Ahtena ataku. Tak więc zabił niewinnego człowieka.

Gaborn zaniepokoił się jednak (nawet jeśli był to niepokój irracjonalny), że i on zginie, jeśli ktoś z Bractwa Dni dowie się o sprawie.

Po chwili wydobyl spod grzbietu pięć wąskich karteczek z rysunkiem i poniższymi zapiskami:

Drogi Sylvarresto

Pamiętasz, jak rozprawialiśmy w Binyi o tych, którzy zbuntowali się przeciwko mnie, powiadając, że zabrałem im studnie, by poić swoje bydło? Jeszcze jako książkę odebrałem naukę, że cała ziemia mojego królestwa do mnie należy, podobnie jak zamieszkujący na niej ludzie. Wszystko to moim miało być wedle prawa i zgodnie z wolą Mocy.

Tak więc zamierzałem ukarać tych ludzi za ich niegodziwość.

Ty jednak skłoniłeś mnie, bym raczej zabił swe bydło, bo jak powiedziałeś, każdy człowiek jest panem swej ziemi i że to należące do mnie bydło winno służyć memu ludowi, a nie odwrotnie. Dodałeś jeszcze, że my, Władcy Runów, możemy panować jedynie wówczas, gdy lud nas kocha i gotów jest nam służyć. To dzięki niemu królujemy.

Twoje poglądy wydały mi się wówczas dziwne, zgoła egzotyczne, ale interesujące, i skłoniłem się ku nim. Wiele lat strawiłem potem na rozmyśleniach o naturze tego, co sprawiedliwe, i tego, co niesprawiedliwe.

Obaj mieliśmy okazję poznać fragmenty doktryn wykładanych w Komnacie Snów, ostatnio jednak dowiedziałem się czegoś więcej, czegoś szczególnie tajnego. Dla wyjaśnienia tej sprawy załączam rysunek:

W Komnacie Snów wyklada się Dziennikom, że nawet najmarniejszy wróbel uważa się za pana

niebios i przekonany jest w głębi serca, iż cokolwiek tam ujrzy, z pewnością jest jego własnością.

Uczą ich, że człowiek jest taki sam. Każdy ma się za władcę samego siebie i z urodzenia przysługuje każdemu prawo udziału w trzech domenach: widzialnej, obejmującej rzeczy, które możemy zobaczyć i dotknąć; wspólnej, kształtowanej przez to, co nas łączy z innymi; oraz niewidzialnej - której dojrzeć nie umiemy, ale i tak jej czynnie bronimy.

Podczas gdy niektórzy powiadają, że zakres dobra i zakres zła zmieniają się z czasem i zgodnie z okolicznościami lub wolą Mocy albo królów u władzy, Bractwo Dni twierdzi, iż świadomość dobra i zła jest nam wrodzona, a sprawiedliwe prawa rodzaju ludzkiego mamy zapisane w sercach.

Jeśli ktokolwiek naruszy naszą domenę, jeśli spróbuje ograbić nas z naszych przyrodzonych praw, przypisujemy mu związek ze „złem”. Jeśli pragnie zabrać naszą własność lub odebrać nam życie, jeśli zaatakuje naszą rodzinę lub społeczność, naruszy naszą godność lub zamachnie się na naszą wolną wolę - za każdym razem słusznie możemy się bronić.

Z drugiej strony, jak powiada Bractwo Dni, dobro polega na własnowolnym wzbogaceniu cudzej domeny. Jeśli dasz mi pieniądze lub jakiś przedmiot, jeśli wyświadczysz mi uprzejmość lub poprosisz, bym został twoim przyjacielem, jeśli poświęcisz mi czas, wówczas to uznam cię za dobrego.

Nauki Dzienników różnią się zdecydowanie od tego, co słyszałem od ojca, i odmienne rodzą implikacje. Mnie uczono, że z namaszczenia Mocy jestem panem mego królestwa i mogę zabrać własność każdemu poddanemu, od każdej poddanej zażądać tu miłości, gdyż wszystko to do mnie należy.

Teraz nie wiem, co o tym sądzić. Trzymam się nauk ojca, jednak w głębi serca wiem, że nie czynię słusznie.

Obawiam się, stary przyjacielu, że wszyscy podlegamy osądowi Dzienników, a ten rysunek ukazuje najpewniej, wedle jakiej miary nas oceniają. Nie wiem, w jakiej mierze jesteśmy przez nich manipulowani, ale sądzą, że gdyby zechcieli nas zabić, to wedle własnych kryteriów postąpiliby źle.

W niektórych księgach można przeczytać, że to Szlachetni przydali każdemu władcy Dziennika, jednak w pradawnych czasach nazywano ich nie Dziennikami, ale Strażnikami Snów. Zastanawiam się więc: Czy to możliwe, że manipulują nami w jakiś osobliwy sposób?

Czy kształtują po cichu nasze nadzieje i aspiracje? A przede wszystkim: Owszem, piszą kroniki naszych żywotów, ale czy zawierają w nich prawdę? Czy ci bohaterowie, na których się wzorujemy, kiedykolwiek istnieli? Czy wedle własnej miary też byli bohaterami? A może Bractwo Dni przekręca prawdą dla osiągnięcia celów, których natury nie potrafimy się nawet domyślić?

Spisałem zatem w tajemnicy tę kronikę i wysyłam ją tobie. Starzeję się i nie pożyję już długo. Gdy umrę i Bractwo Dni opublikuje dzieje mego życia, zechciej, proszę, porównać obie kroniki. Sam jestem ciekaw, co znajdziesz. Który epizod mego życia pominą, a który upiększą?

Żegnaj, Prawy Przyjacielu

Gaborn przeczytał pismo kilka razy. Nauki Bractwa Dni nie wydawały się szczególnie odkrywcze. Można powiedzieć, że obejmowały kwestie wręcz oczywiste, chociaż Gaborn nigdy nie spotkał się z takim ich wyłożeniem. Nie widział też powodu, by podobny tekst miał być utrzymywany w tajemnicy. A już w ogóle nie pojmował, dlaczego należało go skrywać przed Władcami Runów. Niemniej emir strzegł tych zapisków, czyli się czegoś obawiał.

Z drugiej strony Gaborn wiedział, że czasem wielka moc kryje się właśnie w drobiazgach. Gdy miał pięć lat, próbował często unosić ciężką halabardę, broń strażnika pełniącego służbę przy kracie

bramnej. Niedługo potem otrzymał pierwszy dar siły i zaraz pobiegł sprawdzić nowe możliwości. Odkrył, że teraz halabarda nie stawia mu oporu, mógł nawet nią swobodnie wywijać. Tylko jeden dar krzepkości, a jaka zmiana. To był dla niego wielki dzień. Obecnie, już jako Władca Runów, wiedział, że taki jeden dar to tyle co nic.

Ale nauki, o których właśnie przeczytał, niezwykle go zastanowiły. Owszem, były proste, jednak Bracia Dni zawsze hołdowali prostocie. Osobliwe było ich bezgraniczne oddanie i szczególne rodziło owoce. Podobnie jak umiłowanie obżarstwa, też prosta stosunkowo sprawa, która jednak powoduje otyłość, a nawet śmierć.

Gaborn rzadko zastanawiał się nad tym, czy jest dobry. Po lekturze zapisków na temat nauk z Komnaty Snów zaczął wątpić, czy wedle miary Bractwa Dni można w ogóle być

„dobrym” Władcą Runów. Ci, którzy oddawali swoje dary, zwykle zaczynali tego po jakimś czasie żałować, jednak talent raz ofiarowany był nie do odzyskania. Z punktu widzenia Dzienników działalność Władców Runów musiała być chyba jawnym naruszeniem cudzych praw.

Czy można by znaleźć okoliczności uzasadniające przekazanie daru? pomyślał Gaborn. Może wówczas, gdy dwie osoby pragną połączyć swoje siły dla zwalczenia jakiegoś wielkiego zła...

Ale nawet wtedy tych dwóch już wcześniej winno stanowić jedność.

Najważniejsze jednak było przeświadczenie leżące u podstaw wszystkich nauk Dzienników: że każdy człowiek jest władcą, a wszyscy ludzie są równi. Gabornowi nie mieściło się to w głowie.

Księżę pochodził od samego Erdena Geborena, który dawał i odbierał życie, którego sama ziemia uczyniła królem. Skoro Moce wnosiły jednego człowieka ponad innych, dowodziło to bezspornie, że ludzie nie mogą być równi. Gaborn zastanowił się, gdzie zatem szukać złotego środka, i poczuł, jakby znalazł się o krok od objawienia.

Zawsze się uważał za prawowicie przeznaczonego do władania swym ludem.

Niemniej był też jego sługą. Do obowiązków Władcy Runów należało chronić poddanych, nawet za cenę własnego życia.

A Bractwo Dni uważało, że wszyscy są władcami? Czy to oznacza, że nikt nie jest poddanym z urodzenia? Czyżby w gruncie rzeczy Gaborn nie ma prawa do władztwa?

Przez kilka ostatnich dni gnębiło go pytanie, czy sprawiał się dobrze w roli księcia.

Jakkolwiek podchodził do zagadnienia, zawsze musiał sobie w końcu postawić podstawowe pytanie: Czym jest dobro? Zaczął więc teraz drążyć nauki Bractwa Dni, zastanawiać się nad konsekwencjami.

Leżał na podłodze piwnicy i rozmyślał, a nowa wiedza zaczęła zmieniać jego sposób widzenia świata, który nigdy nie miał już być dlań taki jak przedtem.

Jak można się bronić, nie naruszając czyjejś domeny? Patrząc na rysunek emira, pomyślał, że granice domeny zewnętrznej, tej niewidzialnej, są często bardzo rozmyte. Nie zawsze da się jednoznacznie orzec, gdzie kończy się przestrzeń osobista jednego człowieka, a zaczyna drugiego.

Jak stosownie zareagować, kiedy ktoś wdziera się na twe terytorium? Gdy ktoś naruszy twoją niewidzialną domenę, ostrzegasz go. Po prostu mu o tym mówisz. Gdy ktoś naruszy twą domenę społeczną, dajmy na to szarga twą reputację, przedstawiasz sprawę innym, otwarcie stawiasz czoło takiej osobie.

Jednak gdy ktoś chce naruszyć twą domenę widzialną, chce cię zabić lub ograbić?

Co wtedy? Gaborn nie widział innej możliwości jak sięgnięcie po broń.

Może to jest odpowiedź? Wychodziło na to, że poruszając się od zewnętrznych kręgów ku centrum napotykało się coraz bardziej osobiste domeny. Im bardziej prywatny teren, tym bardziej zdecydowana odpowiedź winna towarzyszyć próbie jego naruszenia. Czy tak?

Ale czy to dobre rozwiązanie? Gdzie tu w ogóle jest miejsce na dobro? Stosowna reakcja, owszem, niemniej rysunek sugerował, że sprawiedliwość i odwaga to dwie różne sprawy. Dobry człowiek to ktoś, kto powiększa domeny innych, a nie ten, kto tylko broni własnych. W ten sposób, pragnąc czynić sprawiedliwość, ma się do wyboru: albo być tylko człowiekiem, albo być człowiekiem dobrym. Co lepsze?

Czy dobrym czynem jest wzbogacić kogoś, kto chce mnie obrabować? Pochwalić tego, kto mnie znieważa?

Gdyby Gaborn chciał być przede wszystkim dobry, niewiele mógłby zdziałać. Jednak starał się bronić swego ludu, a czy to nie znaczy, że jest dobry? Lecz przecież, by go obronić, nie mógł się kierować tylko prawością.

Nauki bractwa mąciły w głowie. Może właśnie dlatego skrywało je ono przed Władcami Runów? Z litości. Wedle poglądów Dzienników prawość niełatwo zachować.

Choćby teraz: Raj Ahten chce zawładnąć tym królestwem. Gdybym chciał być dobry, winienem mu je oddać...

Ale czy to by było w porządku? Chyba jednak nie. Może zatem podstawową cnotą Władcy Runów powinna być sprawiedliwość?

Zaczął się zastanawiać, czy sami członkowie bractwa pojmowali do końca, jakie skutki niesło spojrzenie na człowieka zgodnie z rysunkiem. A może tych domen jest więcej niż tylko trzy? Może gdyby przestawił to i owo wedle cech indywidualnych, tworząc raczej dziewięć kręgów, łatwiej by odgadł, jak stosownie należy reagować na naruszenie każdej z nich?

Pomyślał o Wilku. Raj Ahten naruszał ludzkie domeny na każdym poziomie. Zabierał majątek, rozbijał rodziny, mordował, gwałcił i niewolił.

Gaborn musiał chronić przed tą bestią i siebie, i swój lud. Musiał, bo w przeciwnym razie potwór złupi cały świat. Nie mógł jednak ograniczyć się tylko do odstraszania napastnika, groźba czy argumentacja by tutaj nie wystarczyły, podobnie jak obnażenie prawdziwych pobudek działania Raja Ahtena przed jego ludem. Gaborn musiał zabić Wilczego Władcę. Nie miał innego wyjścia.

Książę wsłuchał się w puls ziemi, ale nie ujawniła swej woli. Nie odpowiedziała ani dreszczem, ani wizją płomienia, który zapaliłby się w sercu.

Na razie Gaborn nie mógłby dosięgnąć Wilka. Raj Ahten był zbyt potężny, co jednak nie wykluczało szpiegowania. Może udałoby się go w jakiś sposób dotkliwie zranić? Może gdyby pojmać tych darczyńców, których wozi ze sobą? Może cała ta pogoń Wilka za zdobyczami wynikała z podszeptów jakiegoś przebiegłego doradcy? Zabicie kogoś takiego mogłoby wiele skomplikować.

Gaborn mógł odkryć niejedną słabą stronę Wilka, najpierw jednak musiał się do niego zbliżyć. Trzeba było poszukać drogi do wewnętrznego zamku.

Czy ziemia to zaaprobuje? zastanowił się. Czy winienem podejmować walkę z Rajem Ahtenem? Czy mogę naruszyć ślubowanie?

Wyglądało to na dorzeczny, chociaż śmiały plan: szpiegować Wilka, by odkryć jego słabe strony. Choćby w roli Alesona Oddańca, który pojawił się już przecież raz w Warowni Darczyńców.

Gaborn sądził, że mogliby tam wejść z Rowaną tuż po brzasku, po zejściu nocnej zmiany warty. Gdyby nieśli nieco przypraw, zapewne by ich wpuszczono.

Przez całą noc leżał i rozmyślał...

Gdy Gaborn z Rowaną wyszli z magazynu, jutrzienka przepłaszała już z wolna chłód przedświt. Oboje nieśli bele z pietruszką i miętą. Mgła snuła się nisko nad rzeką, spowijając białym welonem mury i pola. Wschodzące słońce ożlacało jej górne warstwy.

Gaborn zatrzymał się za progiem i wciągnął powietrze. Mgła miała dziwny zapach, lekko słony i

morski, co w tym miejscu było nader dziwne. Niemal natychmiast wyobraził sobie statki wypływające z zatoki, niemal usłyszał pokrzykiwanie mew i zatęsknił za domem.

Może to tylko tęsknota? pomyślał. I dlatego wydaje mi się, że ta mgła pachnie jakoś inaczej?

Odgłosy poranka nie różniły się niczym od normalnego miejskiego gwaru na początku dnia. Krowy i owce kręciły się ciągle w obrębie murów i ich beczenie i muczenie było słychać dosłownie wszędzie. Kawki w gniazdach przy kominach domów pytlowały jak najęte, dźwięczał młot kowala, a z kuchni przy Warowni Gwardii dolatywał zapach świeżo wypieczonego chleba. Ponad wszystkie jednak wonie wybijał się kwaśny smród spalonej trawy.

Gaborn nie obawiał się, że ich ktoś rozpozna: oboje ubrani byli jak tutejsi, całkiem anonimowi mieszkańcy miasta.

Rowana poprowadziła Gaborna zamgloną ulicą, aż doszli do starej chatki stojącej na stoku wzgórza niczym pustelnia. Było to tuż obok niegdysiejszego Ogrodu Czarnoksiężnika. Cały tył szalasu oplatała winorośl.

Szybko napełnili żołądki czekającymi na pierwszy fatalny przymrozek winogronami.

Nie wiedzieli, czy znajdą w ciągu dnia cokolwiek do jedzenia. Nagle z chatki dobiegło ich pokaskływanie. Gaborn wstał, gotów zaraz odejść. W środku ktoś zaczął się kręcić tu i tam, podpierając się laską. Jeszcze chwila, a mógł wyjść i nakryć intruzów.

Gaborn pociągnął Rowanę, stawiając ją na nogi, ale w tej samej chwili z błoni na południe od miasta dobiegło ich granie rogów myśliwskich.

Zaraz potem rozległy się powarkiwania i wrzaski. Gaborn wspiał się nieco wyżej na wzgórze, żeby zerknąć poza Mur Zewnętrzny. Od wschodu płynęła rzeka, za nią ciągnęły się zasnutą ciążą mgłą pola. Na południu przegradzały dolinę drzewa Mrocznej Puszczy.

Nagle we mgle na skraju drzew przy Wzgórzu Południowym coś się poruszyło.

Gaborn dostrzegł błysk słońca na stalowych zbrojach i spiczastych hełmach.

Powyżej migotały groty kopii. Z lasu wyłaniali się jeźdźcy.

Przed nimi umykało z tysiąc nieludów. Czarne stwory biegły na czworakach i zawodziły przerażone. Na wpół oślepienie blaskiem dnia znalazły jednak drogę wiodącą ku bramie miejskiej.

Za nimi Gaborn ujrzał jeźdźca w ciemnogrnatowej tunice Domu Ordenów. Na materii zieleniał wizerunek rycerza. To nie było złudzenie: jego ojciec atakował miasto.

Nie! chciał krzyknąć Gaborn. To była samobójcza szarża. Ojciec wziął za mało ludzi do eskorty, raczej orszak niż prawdziwą armię. Nie dość na wojnę! Nie mieli machin oblężniczych ani czarnoksiężników.

Ledwo księżę o tym pomyślał, zaraz zrozumiał, o co tu chodzi. Ojciec mógł przyjąć, że Gaborn wciąż jest w zamku, który przecież upadł. Robi zatem, co może, aby odzyskać syna.

Gaborna ogarnęło przerażenie i przytłaczające poczucie winy. Jego upór, jego głupota sprawiły, że aż tylu ludzi znalazło się teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Niemniej, chociaż oddział ojca służyć miał ozdobie, byli w nim prawdziwi, bitni żołnierze. Konie pognały przez mgłę w dół zbocza, jeźdźcy unieśli topory nad głowy. Gaborn patrzył, jak niczym nie okryte nieludy uciekają przed żeleźcami. Darły się jak opętane, szeroko otwarte paszcze ukazywały rzędy żółtych kłów. Niektóre próbowały przystawać i wbijać tyłca pik w błotnisty grunt, ale rycerze na opancerzonych rumakach parli naprzód. Kopie przebijały przeciwników, topory opadały raz za razem, posoka, błoto i sierść fruwały w powietrzu. I wciąż było słychać ten

ogłuszający wrzask, przemieszany już teraz z jękami konających.

Zadudniły kopyta. Setki głosów podjęły zawołanie bojowe: „Orden! Mężny Orden!” W odpowiedzi ziemia zatrzęsała się na wschodzie i na polach za rzeką pojawił się oddział olbrzymów. Ruszyli ku Mrocznej Puszczy: osiemdziesiąt pagórków przesuujących się we mgle.

Straż na murach zamku podniosła krzyk i zadęła w rogi, aby zerwać wojsko z posłań. Gaborn obawiał się, że Raj Ahten może wysłać swoich ludzi na pole. Orden prowadzić mógł co najwyżej dwa tysiące zbrojnych, chyba że królowi udało się ściągnąć posiłki z pomniejszych strażnic Sylvarrestów.

Jednak obawa przed kontratakiem Raja Ahtena nie trwała długo. Gaborn usłyszał krzyki u południowej bramy i po chwili zaklekotały kołowroty. Wojsko unosiło pospiesznie most zwodzony. Mgła w dolinie zalegała na tyle gęsto, że trudno było orzec, czy choć część nieludów zdołała się schronić w mieście.

Raj Ahten pojął, że wyprowadzenie wojska za mury byłoby zbyt dużym ryzykiem. Nie wiedział przecież, jak liczną armię przyprowadził Orden. W razie ataku mógłby zostać osaczony przez przeważającego przeciwnika. Ostatecznie podsufwanie skromnego oddziału dla wywabienia obrońców było powszechnie znanym, od wieków stosowanym podstępem.

Ze wschodu dmuchnął wiatr i zgęstniała mgła pochłonięła pole bitwy. Gaborn nawet olbrzymów nie mógł w niej dostrzec.

Ale słyszał i przerażone rzenie koni, i okrzyki bojowe ludzi ojca. Na wzgórzu po drugiej stronie doliny zagrały rogi: dwa krótkie dźwięki i jeden długi. Rozkaz przegrupowania sił.

- Chodź! - zawołał Gaborn do Rowany i wziął ją za rękę. Pobiegli pod górę, ulicą wiodącą do zamku.

Miasto ogarnął chaos. Żołnierze Raja Ahtena nakładali broje i ruszali pędem, żeby obsadzić mury miejskie. Gdy Gaborn i Rowana dobiegli do Bramy Królewskiej, żołnierze unosili właśnie broń. Kazali Gabornowi się odsunąć.

Z zamku wypadło pięciuset zbrojnych Wilka; pognali przez dzielnicę handlową ku Murowi Zewnętrznyemu. Przed nimi zmykało stadko spłoszonego bydła. W całym tym zamieszaniu Gaborn z Rowaną zarzucili bele przypraw na ramiona i przemknęli się pod broną na rynek.

Ta część miasta nie była broniona. Ludzie Raja Ahtena nie przygotowali jeszcze planu działania na wypadek ataku i na charakterystycznych wieżyczkach nikogo nie było.

Patrząc na mury, Gaborn dojrzał tuzin żołnierzy gnających do katapult, inni obsadzali wieże w rogach zamku, ale było ich nader niewielu. Część pobiegła na Mur Zewnętrzny, reszta próbowała zorganizować obronę Warowni Darczyńców. Drugi krąg umocnień, Mur Królewski, wciąż był praktycznie nieobsadzony.

Z równiny w dole dobiegały wrzaski nieludów, kwik konających koni i ryk olbrzymów. Ale nie tylko. W pewnej chwili przez mgłę przebiła się pieśń rycerzy rodu Ordenów. Głębokie, pełne głosy sławiły walkę w słusznej sprawie.

Ojciec Gaborna wymagał, aby każdy z członków jego straży przybocznej miał trzy dary głosu. Chodziło o to, aby jego rozkazy było słyszeć nawet w największym bitewnym

zgiełku. Pieśń śmierci uderzyła w kamienie zamku Sylvarresta, aż zadrżały, i wróciła echem odbitym od wzgórz. Miała wzbudzić przerażenie w sercach wrogów: *Na honor, na krew, unieście miecz,*

Mocarni rycerze Ordena.

Wroga rozplatać to wasza rzecz

O, krwawi rycerze Ordena!

Z dali niósł się wciąż kwik i rzenie ginących koni. Bardzo wielu koni. Gaborn nie pojmował, skąd te odgłosy, aż pojął, że żołnierze jego ojca wyrzynają spętane wierzchowce jazdy Raja Ahtena, pasące się na przeciwległym stoku.

Przystanął z Rowaną na brukowanej uliczce sto jardów od Warowni Króla i wbił spojrzenie w zamglone błonia. Chciał dojrzeć cokolwiek. Nagle wkoło zaroilo się od biegnących ludzi.

Gaborn odwrócił się właśnie zaintrygowany, gdy jakiś krępy żołnierz odepchnął go z krzykiem:

- Z drogi!

Obok przemknęła postać w czarnej zbroi i czarnym hełmie zamiatającym białymi, sowimi skrzydłami. Raj Ahten w otoczeniu swej straży przybocznej, doradców i Dzienników.

Obok trzymało się troje tkaczy płomieni.

Gaborn omal nie wyciągnął miecza, by uderzyć na Wilka, ale w porę się pohamował.

To byłaby głupota. Odwrócił czerwoną z gniewu twarz.

Raj Ahten przebiegł na wyciągnięcie ręki, po drodze rzucał gwardzistom rozkazy w indhopalskim:

- Przygotujcie ludzi i konie! Wy, płomieniści, na mury. Wyślijcie strumienie ognia w las, chcę widzieć przez tę mgłę. Poprowadź kontratak! Niech cholera weźmie tego bezczelnego Ordenu!

- To nie jest naturalna mgła - odparł z niepokojem jeden z tkaczy. - Wyczarowana przez wodnych czarnoksiężników.

- Nie mów mi tylko, Rahjim, że boisz się jakiegoś młodego wodnego maga, który nawet nie podhodował sobie jeszcze skrzeli - warknął Raj Ahten. - Więcej po tobie oczekiwałem. Zresztą ta mgła w równej mierze pomaga Ordenowi, co przeszkadza.

Czarnoksiężnik pokręcił ponuro głową.

- Jakaś Moc występuje przeciwko nam! Czuję to!

Gaborn mógłby sięgnąć Wilka, mógłby jednym cięciem strącić mu głowę z karku, ale nic nie zrobił.

Zdrętwiał, czując, że okazja wymyka mu się bezpowrotnie. Raj Ahten ze świtą pognał dalej ku Rynkowej i dopiero wtedy Gaborn ruszył ręką, by dobyć miecza.

- Nie! - syknęła Rowana, łapiąc go za nadgarstek. Wepchnęła klingę z powrotem do pochwy.

Miała rację, chociaż gdy Gaborn rozejrzał się po ulicy, musiał uznać, że to idealne miejsce na zasadzkę. Ciągące się po obu stronach składy miały pozostać zamknięte jeszcze przez dwie godziny, a raczej byłoby tak normalnie, gdyby nie to, że ten dzień daleki był od normalności. Możliwe, że dzisiaj nikt nie otworzy sklepu.

Rynkowa skręcała na południowy zachód, tak że chociaż nie biegła daleko od Warowni Króla, nie całą ją było widać, zarówno z Muru Królewskiego powyżej, jak i Zewnętrznego w dole. Dwupiętrowe budynki przesłaniały perspektywę.

Gaborn zatrzymał się. Poranne cienie były wciąż długie, a ulica pusta.

Zastanowił się, czy może nie powinien poczekać tu na Raja Ahtena, gdy będzie wracał tą samą drogą.

Spojrzał w stronę Warowni Króla.

Ulicą biegła ku nim kobieta w ciemnogrnatowej jedwabnej szacie zawiązanej tak niestaramie, że zuchwale wrywały się spod niej piersi. W prawej dłoni trzymała małą metalową kulę na srebrnym łańcuszku. Była to kadzielnica, kadzidło jednak nie tliło się, ale paliło jasnym płomieniem. W ciemnych oczach kobiety tańczyły szalone ogniki, głowę miała łysą. Nosiła się z taką godnością, że Gaborn natychmiast poznał, że musi być kimś ważnym. Jednak dopiero gdy przed nim stanęła i

dojrzał jej przeraźliwie suchą skórę, zrozumiał, że to kaczką płomieni.

Kobieta zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na księcia, jakby go poznała.

- Ty! - krzyknęła.

Gaborn nie myślał. Nie musiał. Każdym włókmem ciała wyczuwał, że ma przed sobą wroga. Jednym płynnym ruchem wyciągnął miecz, wziął szeroki zamach i ściął kobiecie głowę.

Rowana krzyknęła głucho. Przycisnęła dłonie do ust i cofnęła się o krok.

Przez mgnienie oka tkaczka płomieni stała nieruchomo i tylko jej głowa leciała coraz dalej. Kadzielnica wciąż zwisała z dłoni.

Potem całe ciało zmieniło się w zielony słup ognia, który buchnął wysoko w powietrze. Kamienie bruku krzyknęły pod stopami tkaczki, gdy żar momentalnie spopielił jej szczątki. Gaborn poczuł, że brwi zwijają mu się i palą. Sztych miecza buchnął

płomieniem tak gwałtownie, jakby objęła go klątwa. Ogniki pomknęły po zakrwawionej klindze ku jelcowi i Gaborn musiał cisnąć oręż na ziemię. Natychmiast też oderwał od pasa pochwę i ją również odrzucił, jakby miała podzielić los miecza.

Poniewczasie pojął, że popełnił błąd, zabijając tkaczkę płomieni. Potężnego maga nie można unicestwić. Owszem, ma śmiertelne ciało, a z czasem jego duch traci odrębność i zlewa się w jedno ze swym żywiołem, ale nie dzieje się to od razu. W krótkiej chwili dzielącej śmierć od tego złączenia czarnoksiężnik ognia uwalnia całą swą moc.

Moc tożsamą z żywiołem, któremu służył.

Gaborn czym prędzej wycofał się chwiejnym krokiem, ciągnąc Rowanę za sobą.

Nawet po śmierci tkaczka płomieni próbowała zachować ludzką postać, przez co wznoszący się ku niebu gejzer zielonego ognia zmienił się po chwili w wielką, na osiemdziesiąt stóp wysoką płomienistą sylwetkę kobiecą, której rysy błyskawicznie wyrażniały.

Piekło topazowych i szmaragdowych płomieni zastygło krągłością małych piersi, idealną gładzią policzków i perfekcyjnym obrysem ust, strzelistą muskulaturą nóg. Przez chwilę postać stała jakby zagubiona, patrzyła nieprzytomnie to na wschód, to na południe, skąd dobiegała wrzawa bitwy.

Po chwili tkaczka sięgnęła z zaciekawieniem ku szczytowi dachu jednego ze składów przy rynku. Gdy dotknęła go ognistą dłonią, ołowiana blacha stopiła się, a rynnami pociekły strumienie metalu.

W murach zamkowych handlowali bogaci kupcy i wiele sklepów miało szerokie, szklane witryny, które teraz pękały z gorąca. Drewniane drzwi i szyldy buchnęły płomieniem.

Tkaczka płomieni nie pojęła chyba jeszcze, że została zabita. Na razie tylko rozglądała się nieprzytomnie. Gaborn myślał już, że jest bezpieczny...

...gdy spojrzała zdecydowanie w jego kierunku.

- Uciekaj! - krzyknął i pociągnął Rowanę.

Dziewczyna jednak stała zszokowana. Gorąco dało się jej we znaki znacznie dotkliwiej niż Gabornowi. Krzyczała z bólu, porażona bliskością żywiołu. Przez tyle lat w ogóle go nie czuła, a tu od razu...

Po lewej był jakiś sklep. Byle tylko miał tylne wyjście, pomyślał Gaborn, unosząc ramię i nurkując przez szybę witryny.

Szkoło posypało się wkoło i rozcięło mu skórę na czole, ale nie śmiał teraz badać zranień. Przeciągnął Rowanę przez cały bałagan ku otwartym drzwiom do pracowni na zapleczu. Gdy się obejrzał, ujrzał zieloną rękę wsuwającą się za nimi przez wybite okno niczym ognisty wąż.

Szmaragdowy palec dosięgnął pleców Rowany. Młoda kobieta krzyknęła, plując krwią, gdy

płomień przeszył ją jak miecz. Ogień wystrzelił z jej brzucha.

Gaborn puścił dłoń Rowany. Spojrzał jeszcze na jej pełne cierpienia oczy. Krzyk ucichł prawie natychmiast. Książę stał bezradny i tylko myśli kotłowały mu się w głowie. Nijak nie mógł jej pomóc.

Przebiegł przez próg pracowni. Dokoła wałały się dłutka i dłuta do rzeźbienia w drewnie. Trociny i wiórki zaścielały podłogę.

Dlaczego ona? zastanawiał się Gaborn. Dlaczego żywioł zabrał ją, a nie mnie?

Tylne drzwi były zaryglowane od środka. Gaborn otworzył je i czując narastającą za plecami falę gorąca, wypadł na uliczkę.

Z początku, na ślepo, chciał się rzucić w lewo, ale w końcu pognał w prawo.

Wbiegł do wąskiego zaułka, w którym przeciwległe domy dzieliło ledwie dwanaście stóp.

Czuł się skrajnie opuszczony, a do tego jeszcze obolały. Wciąż miał przed oczami twarz ginącej Rowany. Chciał ją ochronić, a tymczasem przez swoją zapalczliwość doprowadził do jej śmierci. Nie dowierzał jeszcze, że to zdarzyło się naprawdę, co chwila myślał, żeby zawrócić po dziewczynę.

Skręcił za róg.

Niecałe dwadzieścia stóp przed nim stało dwóch zbrojnych Raja Ahtena, obaj mieli oczy wytrzeszczone ze strachu. Cofali się, szukając ucieczki. Na Gaborna nie zwrócili najmniejszej uwagi. Książę obrócił głowę, by sprawdzić, co ich tak przeraziło.

Ognista postać tkaczki płomieni wspięła się na dach i okraczyła go, siadając w parodii erotycznej pozy. Dach buchał dławiącym i czarnym jak noc dymem.

Słup ognia tracił już kobiece cechy - płomienie strzelały w rozmaitych kierunkach, zbierając obfite żniwo. Ile razy szmaragdowy jęzor dotknął jakiegoś domu, gorące piekło potężniało i coraz mniej przypominało człowieka.

Gorejące oczy toczyły dokoła spojrzeniem. Tutaj rynek do spalenia, niżej drewniane budynki, gdzie handlowano pospolitszymi towarami. Na wschodzie stajnie, na południu spowita mgłą Mroczna Puszcza, skąd dobiegały wciąż krzyki bólu i przerażenia.

Magini tylko zerknęła na Gaborna i skupiła uwagę na obu żołnierzach stojących dla niej na wyciągnięcie ręki. Obaj odwrócili się i rzucili do ucieczki. Książę stał

nieruchomo. Obawiał się, że osobliwa postać może reagować przede wszystkim na ruch, podobnie jak niektóre upiory.

Magini jednak ponownie zwróciła głowę ku rozległym wzgórzom Mrocznej Puszczy, ku wystającym ponad mgłę konarom wysokich drzew, które obiecywały ucztę zbyt obfitą, by żywioł mógł je zignorować. Tkaczka płomieni zmieniła się w głodnego potwora, a kamiennymi budynkami rynku zbyttno by się nie posiliła.

Wyciągnęła rękę i złapała się dzwonnicy. Wstała i przekraczając płomienistymi nogami kolejne dachy, ruszyła ku lasowi.

Gdy doszła do kraty Bramy Królewskiej, w dole podniosły się krzyki. Żołnierze na wieżyczkach po obu stronach buchnęli płomieniem i padli niczym połcie spalonego na ruszcie mięsa. Przyjacieli, wróg, drzewo czy dom - żywiołu nie obchodziło, co trawi.

Żeby lepiej widzieć, Gaborn wspiął się po zewnętrznych schodach na tyłach gospody i przycupnął tuż pod okapem. Kamienne wieże bramne popękały i poczerniały od gorąca, a żelazna brona spłynęła, roztopiona.

Magini pobiegła Rynkową ku bramie miejskiej; wszędzie wkoło rozległ się zawodzący unisono chór przerażonych głosów. Do bramy dobiegła już jako prawie całkiem bezkształtny słup ognia. Wspięła się jeszcze na mur tuż nad mostem zwodzonym i zawahała na chwilę, zapewne obawiając

się fosy. Płomienna twarz obróciła się ku drewnianym chatom dolnego miasta, oczy spojrzwały tęsknie ku Maślanej. Po czym kłęb ognia skoczył ponad fosą i pognął przez pola ku Mroczej Puszczy.

Gaborn wyłowił odgłos bojowych rogów żołnierzy ojca. Grały sygnał do odwrotu.

Serce biło mu tak mocno, że przez chwilę nie słyszał nic innego.

Blask żywiołu wgryzł się w mgłę, niczym zygzak błyskawicy przeciął ją w jednym miejscu i Gaborn ujrzał trzech konnych obracających opętańczo toporami pośrodku cizby niełudów.

Nagle żołnierze zniknęli pochłonięci przez ogień. Żywioł zaczął rozpełzać się po równinie i pożerać suchą trawę, drewno i ludzi, a czynił to tak chciwie, że całkiem zatracił

resztki świadomości i zmienił się w wielką płomienistą rzekę rozlewającą się gwałtownie po polu.

Gabornowi zrobiło się niedobrze. Gdy ogień dosięgnął Rowany, czuł prawie, jakby to jego nadziano na płomienisty sztych. Teraz słyszał jęki dobiegające z pola i jeszcze krzyki tych, którzy umierali lub zwijali się z bólu w mieście. I ciągle widział pełne cierpienia spojrzenie Rowany... i czuł się, jakby ją zdradził.

Nie wiedział, czy zabijając tkaczkę płomieni, zrobił dobrze, czy źle. To był poryw chwili, niemal odruch, który chociaż wydawał się właściwy, okazał się straszny w skutkach.

Ściana ognia powstrzymała jednak Raja Ahtena przed wyjściem na błonia. To być może dało ludziom ojca szansę na wyniesienie cało skóry, pomyślał Gaborn.

Albo i nie. Gaborn nie wiedział, ilu zbrojnych zginęło w rzece płomieni. Mógł mieć jedynie nadzieję, że mimo mgły wszyscy dojrzeli żywioł przekraczający mury i zdołali uciec.

Niemniej były ofiary w mieście. Niektórzy dopiero mieli umrzeć.

Tuziny, a może setki żołnierzy Raja Ahtena, którzy spłonęli żywcem. No i jeszcze brona Bramy Królewskiej zniknęła.

Gaborn spojrzął ku bramie miejskiej i ujrzał, że wielki, dębowy most zwodzony bucha płomieniem, a wieże obok wałęsały się w gruzy. Kołowroty mostu stopiły się w bezkształtne bryły metalu.

Jednym cięciem miecza Gaborn rozwiązał kwestię obrony zamku Sylvarresta. Gdyby jego ojciec chciał teraz atakować, miałby wolny wstęp do miasta.

Książę dojrzał jeszcze jedno - drobną postać stojącą na Murze Zewnętrzny i patrzącą na ścianę płomieni. Postać męża w czarnej zbroi, z białymi sowimi skrzydłami przy hełmie.

Wojownik ścisnął w jednej dłoni rycerski młot bojowy i krzyczał. Krzyczał głosem tysiąca ludzi, a jego słowa wracały odbite echem od wzgórz i wprawiały w drżenie mury zamku.

-
Mendellasio Drakenie Ordnie, zabiję ciebie i twoje potomstwo!

Gaborn zbiegł po schodach i uciekł ukryć się w najbliższej alejce.

16

FINTA

W drodze z Tor Hollick Borenson zadumał się głęboko, ale nie o nadchodzącej bitwie myślał, tylko o Myrrimie, kobiecie, z którą zaręczył się w Bannisferre. Dwa dni temu odwiózł ją wraz z matką i siostrami do miasta, aby uchronić rodzinę przed buszującymi po okolicy oddziałami Raja Ahtena. Myrrima dobrze zniosła atak. Zaciśnęła tylko usta, jak na dobrą żonę żołnierza przystało.

Przez te kilka spędzonych z nią spokojnie godzin Borenson nieodwołalnie się zakochał. Nie tylko dlatego, że była piękna, chociaż cenił też jej urodę. Chodziło o wszystko -

również o szelmowskie wyrachowanie, skłonność do podejmowania zmagania z losem i jeszcze poządliwość, która odbijała się w oczach dziewczyny, gdy jechali do gospodarstwa jej matki.

Obróciła się ku niemu z uśmiechem i wyrazem zwodniczej niewinności na twarzy.

- Panie Borenson, zakładam, że masz dar sił życiowych? - spytała.

- Dziesięć takich darów - przyznał chełpliwie. Myrrima uniosła ciemne brwi.

- To może być ciekawe. Słyszałam, że niejedna panna odkryła w noc poślubną, jak to dary siły życiowych skutkują na mężczyznę. Mam na myśli skutki łózkowe, a nie bitewne. To prawda?

Borenson daremnie szukał jakiejś stosownej odpowiedzi. Nigdy nawet nie śnił, że tak cudowna kobieta zapyta go szczerze o jego pościelowe talenty. Zanim cokolwiek wymyślił, Myrrima do reszty go usadziła.

- Do twarzy ci w czerwonym - stwierdziła, a on spłonął się jeszcze mocniej; i odetchnął, dopiero gdy odwróciła głowę.

Borenson nie raz się już zakochawał, ale tym razem było inaczej. Znajomość z Myrrima nijak nie przypominała burdelowego romansiku, była słuszna i prawa. Tak właśnie to czuł: jako coś prawego.

Ze swego zakochania zdał sobie sprawę, gdy jechał ostrzec króla Ordenu przed inwazją. Galopując drogą, minął trzy piękne dziewczyny z koszykami jagód. Jedna uśmiechnęła się do niego kusząco, ale on myślami był przy Myrrimie i dopiero dziesięć mil dalej zorientował się, że nie odwzajemnił uśmiechu.

Czyste szaleństwo.

Jadąc do zamku Sylvarresta, starał się nie myśleć o narzeczonej. Powiedział sobie tylko, że im szybciej załatwi się z bitwą, tym szybciej wróci do Myrrimy.

Jednak jeszcze nim dotarli do celu, zaczęli wpadać na pierwsze oddziały zwiadowcze Raja Ahtena, krążące po drodze w sile od pięciu do dziesięciu ludzi. Najszybsi rycerze dopadli ich wszystkich zgrabnie i zabili, Borenson zaś zaplanował spokojnie atak na niełudy.

W pobliżu miasta zatrzymał się na brzegu rzeki Wye i otworzył powierzoną mu przez króla Ordenu butelkę z mgłą. Ledwo ją utrzymał, gdy buchnął z niej tęgi wichur.

Opróżnił naczynie nad wodą, dzięki czemu mgły powstało dwakroć więcej niż normalnie. Zakorkował zatem butelkę, gdy była jeszcze w połowie pełna.

Pachnąca morzem mgła rozpełzła się po dolinie wkoło miasta. Była słonawa i Borenson pomyślał o domu i o tym, jak by to było dobrze zabrać Myrrimę do nowego majątku. Znał Drewverry i pamiętał, że dwór był solidny, z kominkiem w sypialni.

Świtało. Szybko odpędził podobne myśli i nakazał łucznikom napiąć cięciwy i ruszyć ostro przez las. Pięć minut później jego ludzie zaskoczyli śpiące na drzewach niełudy. Poleciały strzały: kosmate stwory spadały z dębów jak ulęgałki. Niektóre martwe, inne próbowały umykać do zamku.

Jego ludzie przegnali z łomotem przez błonia wielką i kudłatą czarnym futrem masę niełudów z wyszczerzonymi kłami i czerwonymi ślepiami płonącymi strachem i wściekłością.

Borenson zawsze śmiał się podczas bitwy, a w każdym razie tak mu powiadano, gdyż sam rzadko to sobie uświadamiał. Maniery tej nabrał bezwiednie jeszcze w młodości, gdy giermek Poll spuszczał mu baty - zawsze ze śmiechem. Kiedy Borenson dorósł

na tyle, by odplacić pięknym za nadobne, też zrobił to, chichocząc rozgłośnie. Niektórych wrogów tym przerażał, innych rozwścieczał, ale tak czy tak mieszał im szyki, aż zaczęli popełniać błędy, podczas gdy jego towarzysze wprost przeciwnie, nabierali ducha.

W pewnej chwili znalazł się pośrodku równiny, we mgle, otoczony przez tuzin niełudów. Kreatury syczały i warczały w niebogłosy.

Puścił w ruch młot bojowy. Ciosy parował tarczą, koniowi zaś nakazał wierzgać dla odrzucenia przeciwników. Zatracony w rytmicznej pracy młotem, zdumiał się niepomiernie, gdy po lewej pojawił się we mgle snop płomieni.

Borenson krzyknął na wierzchowca, by się cofnął, ratował życie. Koniec końców ogier nosił dość darów, by iść z wiatrem w wyścigi. Jednak ściana ognia runęła na nich, niczym żywy potwór wysunęła płomieniste macki. Nieludy pojęły, że śmierć im tu pisana i jeden złapał Borensona za stopę, próbując ściągnąć go z siodła, by razem zginęli w ognistych objęciach.

Rycerz zahaczył stwora młotem i pomyślał, że naprawdę może tu przepaść, a wtedy nigdy nie przekaze Rajowi Ahtenowi wiadomości, którą powierzył mu król Orden.

Wraził młot w pysk niełuda, odkopnął stwora i zanurkował z koniem w mgłę.

Gnał przez równinę, nawołując: „Orden! Orden!” Wzywał swoich do odwrotu. Ogień ścigał go tak, jakby to jego nade wszystko pragnął pochwycić i strawić.

Nagle Borenson znalazł się pod drzewami.

Gdy ogień dotarł do dębów, zawahał się, jakby niepewny, co czynić dalej. Potem ogarnął jeden wielki dąb i jakby zapomniał o Borensonie.

Ledwie pół tuzina niełudów dotarło za rycerzem z powrotem aż do linii drzew, chociaż dziesiątki następnych wyskakiwały z płomieni. Borenson odczekał kilka długich minut, aż pojawią się jego podwładni. Miał nadzieję, że zdołali ujść żywiołowi.

Tutaj, pod drzewami, czuł się bezpieczny, ukryty. Liście zwieszały mu się nad głową, otulały niczym płaszcz. Gałęzie chroniły przed strzałą i pazurem, spowalniały pochod płomieni.

Z dołu doliny dobiegł przerażający krzyk - to Raj Ahten groził śmiercią całemu rodowi Ordenów. Borenson nie pojmował, co mogło tak rozwścieczyć Wilka, ale cieszył się, że widać dopiekił mu do żywego.

Zadał w róg bojowy i parę minut później cztery setki ludzi zaczęły nadciągać z rozmaitych zakątków błoni wokół Sylvarresty. Niektórzy przynieśli niepokojące wieści, że na wschód od miasta walczą olbrzymy, inni wspominali, że niełudy zebrały się w kupę, żeby dotrzeć do bram. Część zbrojnych pogoniła za resztą stworów w las, gdzie zaczęli polować na nie do skutku. Inny oddział zajął się wyrzynaniem koni Raja Ahtena. Bitwa się rozmywała i zaczął się wdzierać chaos. Borenson niemal pożałował, że przykrył całe pole mgłą.

Zastanowił się, co dalej, i wyszło mu, że najbezpieczniej byłoby pozostać w puszczy i dobić resztki niełudów. Jednak przed murami, we mgle, czekała bardziej kusząca zwierzyna.

- Dobrze - powiedział i wydał rozkazy: - Przejdziemy pola przed miastem zagonem ze wschodu na zachód. Kopijnicy z przodu, zająć się olbrzymami. Łucznicy po bokach i pilnować mi niełudów.

Powietrze pełne było dymu niesionego od płonących łąk i pasa lasu w dole zbocza.

Rycerze Ordena zwarli szeregi i ruszyli między drzewami na dół, na wschodnie pole. Borenson nie niósł kopii, zajął więc miejsce pośrodku oddziału, ale blisko czoła, żeby móc dowodzić.

Gdy gnali przez mgłę, dojrzał majaczącego po lewej olbrzyma. Dwóch jeźdźców uderzyło na niego z kopiami.

Ranny potwór machnął pazurzastą łapą i wyrzucił rumaka bojowego jak szczeniaka, rycerza zaś przegryzł na pół potężnymi szczękami. Po chwili zniknął z tyłu otoczony przez łuczników.

Przed oddziałem pojawili się jeszcze dwaj olbrzymi, z tyłu ciągnęły niełudy.

Warczały, odzyskując z wolna w tym towarzystwie odwagę. Wypuściło się ku nim dwudziestu rycerzy, ale serce zadrżało Borensonowi w piersi, bo jeden z olbrzymów zaczął nawoływać pozostałych.

Rychło pojawiła się wielka horda zebranych razem olbrzymów i niełudów. Skupisko czarnych pagórków z rojem pikinierów z tyłu. Monstra ryknęły triumfalnie.

Borenson zamarł. Przez mgłę podążały setki rycerzy z tarczami pokrytymi brązem.

Na ich czele jechał potężny wojownik w czarnej zbroi i hełmie z białymi, sowimi skrzydłami.

Uniósł właśnie wielki młot bojowy i głosem tysiąca ludzi krzyknął: „Kuanzaya!” Jego widok przeraził Borensona, gdyż rycerz nosił królewski pancerz i takąż broń.

Raj Ahten podniósł zasłonę hełmu i Borenson ujrzał najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. Nośny głos Władcy Runów sprawił, że nawet rumak Borensona zgubił krok i nieprzytomny ze strachu zaczął się wrywać do ucieczki.

Borenson krzyknął nań, by atakował, ale wołanie Wilka ogłuszało, być może nawet trwale uszkodziło słuch wierzchowca.

Koń zatrzymał się gwałtownie. Opierał się wodzom i próbował sięgnąć Borensona zębami, rycerz jednak zdołał w końcu skierować go ku wrogowi. Po chwili znaleźli się w gąszczu bitwy. Kopijnicy atakowali olbrzymów, ale tych było wielu i jazda niebezpiecznie się już rozproszyła. Łucznicy szyli gęsto strzałami, Borenson zaś starał się dojść Raja Ahtena.

Jego rumak nie chciał się jednak zbliżyć do Wilka i tylko wrywał się wciąż do ucieczki. Po chwili pracujący z niewiarygodną szybkością młotem Raj Ahten przegalopował po lewej Borensona. Pomknął przez szeregi ludzi Ordenu, zostawiając za sobą krwawy szlak, Borenson zaś ujrzał przed sobą mur olbrzymów.

Jeden rzucił się na rycerza i machnął wielką dębową maczugą. Borenson pochylił się, unikając ciosu, i wyminął olbrzyma. Ruszył ku gromadzie syczących i warczących niełudów, które wyraźnie się ucieszyły, widząc na swej drodze samotnego jeźdźcę. Obok przeszło paru kolejnych olbrzymów - zmierzali ku największemu skupisku walczących.

Gdzieś z tyłu jeden z poruczników Borensona zadał w róg. Rozległ się nagły sygnał do odwrotu.

Borenson uniósł młot i tarczę i chichocząc, ruszył do walki o swe życie.

17

W GROBOWCU KRÓLOWEJ

Trzy godziny po różowym świcie Ioma stanęła na murze Warowni Darczyńców. Mgła na błoniach niemal już zniknęła i tylko samotne jej pasma snuły się w cieniach Mrocznej Puszczy. Księżniczka spojrzała na Raja Ahtena wracającego z tysiącem Niezwycięzonych do miasta. Przed nimi podążał z tuzin olbrzymów i setki psów bojowych.

Nadjeżdżali wśród wiwatów i krzyków. Wszystko zdawało się mówić, że Wilk wykorzystał szansę - pogonił za oddziałami Ordenu aż do lasu i wybił większość, a resztę rozproszył. Raj Ahten jechał dziarsko i pozdrawiał tłumy uniesioną bronią.

Na pierwszy znak ataku Chemoise zaprowadziła Iomę do Warowni Darczyńców. „Dla twego bezpieczeństwa”, powiedziała.

Na polach płonęły jeszcze resztki namiotów i gospodarstw, ogień nadgryzał też zajadle Mroczną Puszcę. Wschodni wiatr przeniósł go na drzewa dwie mile od miasta.

Płomienie zachowywały się chwilami jak żywe stworzenia, strzelając mackami w różnych, osobliwych czasem, kierunkach, ogarniając to pojedyncze drzewo, to stóg siana, to chciwie trawiąc dom.

Pożar w mieście już opanowano, gdyż tkacze płomieni wyciągnęli zeń wszystką siłę, ale chociaż Raj Ahten wysłał ludzi na ulice, by odszukali mordercę jego ulubionej, płomienistej magini, to efekt dochodzenia był jak dotąd mizerny. Żywioł

pochłoniął większość Rynkowej i zniszczył wszelkie znaki zbrodni.

O wiele więcej śladów pożogi pozostało przed okopconymi i dymiącymi ruinami bramy miejskiej. W pobliżu fosy leżały ciała tysiąca spalonych niełudów, które tam właśnie próbowały stawić w końcu czoło konnicy Ordenu. Wśród nich widnieli gdzieś powaleni rycerze króla,

około dwustu skurczonych truchel w srebrzystych niegdyś zbrojach.

Kolejne setki niełudów zaściełały skraj lasu, miejsce pierwszego starcia. Z rosnących w pobliżu drzew zostały tylko osmalone kikuty.

Na polu zalegały też trzy tuziny martwych olbrzymów. Dziwny przedstawiali widok ze spaloną sierścią - różowoskórzy, z mordami prawie wielbłądzimi i gołymi, wielkimi pazurami. Niektórzy trzymali wciąż w łapach zabitych rycerzy lub ich konie.

Wierzchowce Raja Ahtena, które pasły się pod lasem, też nie uszły swemu losowi, podobnie jak wielu spośród ich strażników.

A jednak ich wódz świętował zwycięstwo.

Ioma nie wiedziała, czy ma się przyłączyć do ogólnej radości z tej okazji, czy opłakiwać Ordena. Obecnie była darczyńcą Raja Ahtena i nie jego musiała się bać, ale zabójców wysłanych przez innych królów oraz wolnych rycerzy, którzy ślubowali nastawać na życie Wilka.

Chemoise stała obok Iomy, patrzyła na poczerńnięte pola i płakała, gdy wojsko Raja Ahtena wjeżdżało do miasta. Dym snuł się wciąż nad popiołami, tu i ówdzie pełgały płomyki.

Dlaczego Chemoise płacze? zastanowiła się Ioma, po czym uświadomiła sobie, że sama też ma oczy pełne łez.

Księżniczka zrozumiała. Chemoise płakała, bo świat poczerńiał. Czarne pola i lasy, czarne dni przed nimi. Ioma otuliła się mocniej płaszczem z kapturem, który krył jej twarz, chociaż cienka wełna stanowiła mizerną ochronę przed porannym chłodem.

Część oddziałów Raja Ahtena czekała już na dolnym dziedzińcu, tkacze płomieni i doradcy wypatrywali go za bramą. Niedobitki olbrzymów pochylały się w przejściu, szukając bezpieczeństwa w obrębie murów.

Na wzgórzach od południa zagrał róg, zaraz potem dołączył do niego drugi i trzeci.

Widać z armii Ordena został jednak ktoś żywy.

Ioma sądziła, aż ludzie Raja Ahtena zawrócą i pognają szukać ocalałych przeciwników. Nie pojmowała, dlaczego aż tak wielka część wojska w ogóle nie wzięła udziału w bitwie.

Chyba że podczas walki zdarzyło się coś, o czym nie wiedziała. Może Wilk obawiał się o swoich ludzi. Może w gruncie rzeczy byli słabsi, niż przypuszczała.

Właśnie... Raj Ahten zaniechał pościgu, zatem... uznał, że mogliby wpaść w pułapkę.

Wilk był mądry, z pewnością o wiele mądrzejszy od Iomy. Jeśli bał się czegoś, to nie bez powodu. Gaborn powiedział wczoraj Iomie, że król Orden ściągnie niebawem pod miasto z posiłkami. Księżniczka jednak nie przywiązywała do tego większej wagi, bo Orden podróżował zwykle jedynie z paroma setkami ludzi. Czego mogliby dokonać?

Niemniej Gaborn wierzył najwyraźniej, że będzie to siła dość duża, aby uderzyć na Raja Ahtena. Nie powiedział jednak, jak liczne są oddziały ojca, przypomniała sobie Ioma. Roztropnie. Czego Sylvarrestowie nie wiedzieli, tego nie mogli zdradzić przeciwnikowi.

Ioma spojrzała na Dziennik, która przysiadła kilka kroków dalej wraz z Dziennik jej matki. Obie patrzyły na pociemniałe pola. Na pewno wiedziały, ilu ludzi przywiódł Orden, wiedziały dokładnie, co robi w tej chwili każdy z królów, jednak na dobre czy na złe, zawsze patrzyły na maszerujące armie, jakby to były pionki na szachownicy.

Iluzbrojnych wziął w tym roku Orden na Hostenfest? Tysiąc? Pięć tysięcy?

Mystarria była bogatym i ludnym krajem. Król Orden zabrał ze sobą syna i zamierzał wystąpić z propozycją małżeństwa. Zwykle rodziny monarsze starały się przy takiej okazji błysnąć bogactwem, zaprezentować najlepszych żołnierzy, wystawić rycerzy do przyjacielskich pojedynków.

Orden mógł przyprowadzić całkiem liczną, doborową gwardię. Zapewne z pięciuset chłopca.

Niemniej Orden był próżny. Lubił się popisywać. Zatem należy podwoić tę liczbę.

Wojownicy z Mystarrii słynęli z zawziętości. Ich łucznicy ćwiczyli od dzieciństwa, i to od razu na końskim grzbiecie. Skuteczność stosowanych przez jazdę toporów i młotów osadzonych na długich trzonkach przeszła wręcz do legendy.

Możliwe, że siła tej legendy powstrzyma Raja Ahtena przed wysłaniem wojsk w pole, może drugi raz tak łatwo nie opuści zamku. Albo też Wilk obawia się tego Króla Ziemi, przed którym ostrzegali go tkacze płomieni.

Ioma przez dłuższą chwilę patrzyła w dół. Nikt więcej nie wracał już do miasta. Nie widziała ani jednego czarno odzianego wojownika.

Zuchwałe rogi zaczęły się odzywać z różnych kierunków. Grały w lasach na wschodzie i południu, nawet na zachodzie. Zapowiadały nadciągnięcie następnych oddziałów.

Rycerze Ordenu wciąż walczyli w puszczy z nieludami. To miał być dla nich długi, wyczerpujący dzień. Na dole, przy bramie, Raj Ahten obrócił się w siodle, żeby raz jeszcze spojrzeć na pola. Zastanawiał się, czy nie zawrócić. W końcu jednak wjechał do zamku, a jego ludzie unieśli mocno uszkodzony most.

Życie popłynęło dalej. Ioma widziała z wieży sporą część miasta. Przy Warowni Gwardii kobiety i dzieci szukały zniesionych przez kury jajek. Młynarz pilnował nad rzeką żaren z owsem. Kuchenne zapachy mieszały się z wonią dymu i popiołu. Iomę od tego aż ścisnęło w żołądku.

Gdy uznała, że dość się napatrzyła z góry, zeszła na dziedziniec Warowni Darczyńców. Jej Dziennik podążyła za nią, Dziennik matki została jeszcze na wieży, ze wzrokiem wbitym w pola.

Ojciec Iomy siedział na słońcu i bawił się ze szczeniakiem, który warczał i chwycił go zębami za dłoń. Król zmoczył spodnie, gdy była na górze, poszła zatem po szmatę i wiadro, by go oczyścić. Nie sprzeciwiał się, patrzył tylko na oszpeconą twarz, której nie rozpoznawał i wyraźnie bał się jej brzydoty.

Był przystojny jak zawsze, ale przecież nie stracił darów uroku osobistego, były nawet silniejsze. Nadczłowiek z umysłem niemowlęcia. Gdy zmywała z niego mocz, leżał z szeroko otwartymi oczami, spoglądał na nią i chichotał, coś bełkocząc, wyraźnie ucieszony, całkiem niewinnie zresztą, tym nowym, miłym doznaniem.

Ioma omal nie zalała się łzami. Dwanaście godzin, tyle prawie minęło, odkąd ojciec oddał dar rozumu. Pierwszy dzień był krytyczny, potencjalnie najgorszy. Ci, którzy oddawali znaczniejsze dary, ryzykowali wtedy najwięcej. Darmistrze zwali to „szokiem darowania”.

Ci, którzy ofiarowali rozum, zapominali wtedy niekiedy oddychać albo ich serce przestawało nagle bić. Jeśli jednak ktoś taki przetrwał pierwszy dzień, to wychodząc z szoku, mógł nawet odzyskać nieco ze swych umiejętności. Niewiele, ale zawsze. W tej chwili ojciec Iomy był

najsłabszy, najbardziej bezbronny, jednak ku wieczorowi krańcowe osłabienie powinno zacząć przechodzić, a gdy więź pomiędzy nim a Wilkiem w końcu okrzepnie, powróci też być może częściowa zdolność myślenia.

To się zdarzało. Szczęśliwie ojciec Iomy nie doznał silnego szoku, ale też nie pragnął oddać daru całym sercem. Jeśli jeszcze dren nie był idealnie dopasowany, a darmistrz nie wyspiewał zaklęć perfekcyjnie... Z czasem mógł sobie nawet przypomnieć, jak ma na imię.

Ubierając ojca, Ioma śpiewała mu cicho. Chociaż ciągle jej nie poznawał, uśmiechnął się, słysząc piosenkę. Nawet jeśli nigdy nie pojmie, kim jestem, powiedziała sobie Ioma, warto będzie śpiewać. Może to polubi. Pod koniec nałożyła mu jeszcze płócienną pieluchę i to było tyle.

Dziedziniec Warowni Darczyńców pełen był osłabionych kobiet i mężczyzn, którzy oddali w nocy swe talenty. Opiekunowie ledwie nadążali z wypełnianiem swych obowiązków. Gdy Ioma i

Chemoise skończyły zabiegi przy swoich ojcach, zaraz musiały się zająć innymi mężczyznami - gwardzistami, którzy służyli wiernie Sylvarrestom od dzieciństwa.

Kucharze przygotowali śniadanie i Ioma zaczęła roznosić darczyńcom talerze z pasztecikami jagodowymi. Przyklęła przy młodej kobiecie, która spała na słońcu przykryta zielonym kocem. Nazywała się Cleas i była gwardzistką, nie raz eskortowała księżniczkę podczas jej wycieczek na wzgórze.

Niewiele kobiet służyło w straży zamkowej, a jeszcze mniej wychodziło w pole, jednak Cleas robiła w życiu i jedno, i drugie. Miała dary krzepy od ośmiu mężczyzn i była jednym z najsilniejszych mistrzów miecza na służbie Sylvarresty. Raj Ahten, odbierając jej talenty, miał szczególne powody do zadowolenia. Teraz Cleas już nie oddychała. W nocy musiało jej w pewnej chwili zabraknąć sił, aby zaczerpnąć powietrza.

Iomę zabolął ten widok, chociaż nie wiedziała, czy powinna być bardziej zła, czy wdzięczna losowi. Wraz ze śmiercią Cleas piętnaście osób odzyskało nagle sprawność, dzięki czemu zmniejszył się tłok w Warowni Darczyńców. Niemniej Ioma znów straciła kogoś bardzo bliskiego. Ścisnęło ją w gardle. Klęczała przy Cleas i płakała. Po chwili obejrzała się.

Jej Dziennik przyglądała się temu i chociaż Ioma miała ją za wypraną z uczuć, zawsze z kamiennym obliczem, tym razem dostrzegła na jej twarzy smutek.

- Była dobrą kobietą, dobrą wojowniczką - powiedziała Ioma.

- Tak, to straszna strata - zgodziła się Dziennik.

- Pomożesz mi ją zanieść na cmentarz? - spytała Ioma. - Znam kryptę, w której możemy ją złożyć, godną gwardzisty. Pochowamy ją razem z moją matką.

Dziennik lekko skinęła głową. W tak ponury dzień nawet drobny gest znaczył dla Iomy wiele. Była wdzięczna kobiecie.

Gdy skończyła karmić darczyńców, wzięły nosze, przykryły Cleas kocem zamiast całunu i wnieśli ją pod południowy mur warowni. Tam ułożyły ją na ziemi obok pięciu innych noszy. Na czterech z nich leżały zwłoki darczyńców, którzy nie przeżyli nocy.

Matka Iomy, Venetta, spoczywała na samym końcu, pod czarnym, jutowym przykryciem. Poznały ciało dzięki smukłej złotej koronie, którą ktoś złożył na piersi królowej. Na regaliu siedział biało-czarny pajak skakun. Czatował na krążącą powyżej zieloną muchę.

Po śmierci matki Ioma nie widziała jej twarzy i nie miała odwagi na nią spojrzeć. Musiała jednak w końcu sprawdzić, czy ciało należycie przygotowano do pochówku.

Z wypełnieniem tego obowiązku przez cały poranek zwlekała.

Kanclerz Rodderman przybył w nocy, aby zająć się pogrzebem, ale potem gdzieś zniknął. Może wyszedł z Warowni Króla, wezwany do innych spraw, ale Ioma przypuszczała, że wolał unikać Raja Ahtena. Może nawet nie dopełnił swoich powinności wobec królowej.

Ludzie Raja Ahtena przynieśli ciało do Warowni Darczyńców, żeby nie wystawiać go w Wielkiej Sali. Zwyczaj kazał, by poddani mogli przez cały ranek żegnać się tam ze swą władczynią, jednak widok królowej na marach mógł wpłynąć deprymująco na mieszczan i nawet wzbudzić jakieś niepokoje. Tutaj, za wysokimi murami warowni, oglądać mogli ją jedynie darczyńcy.

Ioma odsunęła czarny całun.

Ujrzała całkiem inną twarz niż ta, którą znała. I to nie z powodu strasznej rany - to było oblicze obcej osoby. Matka nosiła niegdyś szereg darów urody i uchodziła dzięki temu za wielką piękność. Po śmierci uroda zniknęła, a we włosach pojawiły się siwe nitki, cienie pod oczami pociemniały, skóra pokryła się zmarszczkami.

Ciało zostało umyte, ale nic nie mogło zakryć głębokiej rany z boku twarzy w miejscu, gdzie

uderzył ją sygnet Raja Ahtena. Ani wgniecenń czaszki powstałych przy uderzeniu o bruk. Kobieta na noszach naprawdę wyglądała jak ktoś całkiem obcy.

Nie, Raj Ahten nie musiał się obawiać reakcji nowych poddanych. Nie podnieśli by buntu. Nie z powodu śmierci tej pomarszczonej staruszki.

Ioma podeszła do stojącego u bramy kapitana straży, niewysokiego, ciemnego mężczyzny z wąsami, w pełnej zbroi z posrebrzonym hełmem. Dziwnie było widzieć na tym stanowisku kogokolwiek innego niż Ault czy Derrow, którzy strzegli bramy od wielu lat.

- Panie, pozwól, proszę, przenieść zmarłą do grobowca króla - powiedziała i wstrzymała oddech.

- Dzameg est atagowany - mruknął kapitan z silnym taifańskim akcentem. - Nie bezpiecznie.

Ioma zwalczyła pokusę, by się wycofać. Nie chciała się narażać kapitanowi, jednak pochowanie matki uważała za swój święty obowiązek. Musiała okazać jej szacunek, przywrócić godność jej pamięci.

- Zamek nie jest atakowany - spróbowała przekonywać - tylko garść niełudów w lasach. - Machnęła ręką w kierunku odległego o pół mili, spalonego pola bitwy. -

A jeśli Orden was zaatakuje, to zobaczycie go z daleka, bo najpierw będzie musiał dojść do Muru Zewnętrzny. Warowni Darczyńców nie zagrozi.

Mężczyzna wysłuchał jej pilnie. Głowę przechylił na bok. Ioma nie potrafiła orzec, czy ją zrozumiał. Może mówiła za szybko. Mogłaby zwrócić się do niego po chałtycku, ale tego języka pewnie nie znał.

- Nie - odparł.

- No to jej duch zemści się na tobie, bo ja jestem bez winy. Nie chcę być nawiedzana przez Władczynię Runów.

W oczach mężczyzny błysnął strach. Duchy Władców Runów potrafiły narobić więcej kłopotów niż inne, szczególnie jeśli owi władcy zginęli gwałtowną śmiercią. Ioma nie obawiała się w gruncie rzeczy ducha matki, jednak ten kapitan pochodził z odległego Taifanu, gdzie podobne rzeczy traktowano o wiele poważniej.

- Szybgo - powiedział. - Teraz. Idź. Ale tylko pół godziny.

- Dziękuję - odparła Ioma i chciała położyć mu dłoń na rękę w geście wdzięczności, cofnął się jednak przed nią.

Księżniczka zawołała Chemoise i swoją Dziennik.

- Szybko, potrzebujemy ludzi, żeby ponieśli nosze. I jeszcze szaty pogrzebowe.

Chemoise pobiegła do kuchni i zebrała grupę głuchoniemych piekarzy, rzeźnika z pomocnikiem i pozbawionego węchu kuchcika. Po paru chwilach obok noszy zjawily się dwa tuziny pomocników.

Rzeźnik przeszedł do Sali Darczyńców i wrócił z całym naręczem czarnych bawełnianych peleryn z obszernymi kapturami i długimi rękawami. Każdy dostał

taką szatę, aby duchy w grobowcach mogły poznać, że to nie rabusie zjawili się na cmentarzu.

U obrąbków płaszczy kołysały się srebrne dzwonki mające odgonić co złośliwsze widma.

Gdy się ubrali, wzięli nosze i ponieśli je ku bramie. Ioma szła z przodu, przy prawym uchwycie noszy matki. To było jej, zwyczajem nakazane, miejsce.

Widząc, że są gotowi, taifański kapitan i jego sierżant wzięli się do pracy i szybko unieśli kratę.

Wypuścili wszystkich z warowni, dodając ostrzeżenie: „Dza gwadrans z powrotem. Nie później!”

Ioma wiedziała, że to nie wystarczy, aby ułożyć ciała w grobowcach, zanucić zmarłym kojące pogrzebowe pieśni, ale zapewniła, że będą na czas, byle tylko kapitan się nie denerwował.

Ruszyli z ciałami na tyły Warowni Darczyńców, ku zalesionemu parowowi kryjącemu królewskie grobowce.

Ioma nigdy ciężko nie pracowała, nie uszła zatem nawet dwustu kroków za bramę, gdy zaraz za rogiem ulicy Stóp serce zaczęło jej bić jak szalone i oblała się potem. Musiała poprosić towarzyszy, by przystanęli na chwilę.

Było już prawie południe. Gdy czekali tak w jasnym słońcu i wśród wszechobecnej woni popiołu, z cieni pod jedną z markiz wyłonił się brudny i młody garbus w płaszczu z naciągniętym na głowę kapturem.

Ioma zrazu pomyślała, że to Binnesman. Czują bijącą odeń siłę ziemi i zastanowiła się, co też spowodowało czarnoksiężnika z powrotem do miasta, dlaczego jej szukał.

Garbus podszedł do Iomy tak blisko, że aż cofnęła się o krok.

- Pozwól dziewczę, stary Aleson ci z tym pomoże, - szepnął, odsuwając nieco kaptur, i sięgnął po uchwyt noszy.

To nie był Binnesman. Pod skorupą brudu kryła się twarz Gaborna. Ioma zamarła zaskoczona. Coś poszło nie tak. Z jakiegoś powodu Gaborn nie wyszedł z miasta i teraz szukał jej pomocy. Na dodatek w ciągu ostatnich paru godzin dziwnie urósł, wzbogacił się o moce ziemi.

Ioma nasunęła mocniej kaptur, żeby ukryć twarz. Przez chwilę znów czuła się wyzuta całkiem z odwagi i godności. Zakłęcie wplecione w znak na drenie Raja Ahtena nadal odbierało jej wiarę w siebie. I choć raz za razem powtarzała w myślach litanię: To nie tak, to nie tak, to nie tak... nie mogła znieść myśli, że Gaborn ją rozpozna. Ale oddała mu nosze i poszła obok niego aleją i dalej, wąskimi uliczkami wiodącymi do nekropoli.

Cmentarz Sylvarrestów składał się z setek małych, kamiennych grobowców.

Wszystkie jaśniały kościaną bielą i kryły się w gaju wiśniowym. Wiele grobowców przypominało miniaturowe pałace z absurdalnie wysokimi wieżyczkami i posągami zmarłych królów oraz królowych stojącymi u wejść. Reszta grobowców należała do najwierniejszych sług oraz gwardzistów i te wzniesiono z prostego kamienia.

Gdy weszli w cień gaju, Gaborn i reszta postawili nosze na ziemi.

- Jestem Gaborn Val Orden, księżę Mystarrii - wyszeptał młodzieniec do Iomy. -

Przepraszam, że się narzucam, ale ukrywałem się całą noc i potrzebuję kilku informacji.

Możesz mi powiedzieć, jak mieszkają Sylvarrestowie?

Ioma znów się zdumiała. A więc jednak jej nie poznał. Nie poznał jej teraz, gdy przestała być piękna, a jej skóra nabrała szorstkości kory. Stojąca za księżniczką Dziennik otuliła się mocniej płaszczem, by ukryć szaty zdradzające jej przynależność do bractwa.

Anonimowa kobieta, która tylko pomogła przy noszach.

Ioma nie chciała, żeby Gaborn odkrył, kim jest. Nie zniosłaby tego. Miałby ujrzeć ją taką szpetną? Ale zaraz przeraziła się jeszcze czegoś, co także skłaniało ją do nieujawniania się: przecież Gaborn mógłby chcieć ją zabić. Koniec końców była darczyńcą wrogiego króla.

- Nie wiesz nawet, czyje ciało niosłeś? - spytała niskim i przestraszonym głosem, usiłując choć trochę zmienić jego ton. - Królowa nie żyje. Ale król owszem. Oddał swój rozum Rajowi Ahtenowi.

Gaborn złapał ją za ramię.

- A co z księżniczką?

- W porządku. Dostała do wyboru: umrzeć albo żyć i służyć swemu ludowi jako regentka. Też zmuszono ją do przekazania daru.

- Co oddała? - spytał Gaborn i przerażony wstrzymał oddech. Ioma zastanowiła się, czy powiedzieć prawdę. Odkryłaby przy tym, kim jest, a przecież nie mogła...

- Oddała wzrok.

Gaborn zamilkł na chwilę, po czym nagle pochylił się ku noszom, dając znak, że koniec postoju. Zamyślony szedł między grobami. Ioma pokazała drogę do grobowca swych rodziców. Był w klasycznym stylu, zwieńczony wykutą w marmurze miniaturą pałacu z dziewięcioma wieżycami, przed jego wejściem stały posągi przedstawiające króla Sylvarrestę i królową Venettę. Wykute zostały w białym marmurze krótko po ich ślubie dziewiętnaście lat temu. Ioma dała znak tragarzom, by przynieśli również Cleas. Wierna strażniczka miała prawo spocząć u boku królowej.

Gdy weszli do grobowca, Ioma poczuła zaraz woń śmierci i róż. Leżały tu tuziny szkieletów oddanych wojowników, szare, pokryte pleśnią kości, a w nocy ktoś zarzucił posadzkę masą jasnoczerwonych płatków róż, które miały stłumić niemiłe zapachy.

Zanieśli królową do jej sarkofagu w niszy na tyłach grobowca. Wykuty był z czerwonego piaskowca, z portretem zmarłej i jej imieniem na wieku. Strop wnęki przykryto gładką marmurową płytą, tak cienką, że przepuszczała światło.

Mimo sporej odległości od wejścia, powietrze było tu całkiem świeże, a to dzięki drobnym otworom wentylacyjnym pomiędzy kamieniami tylnej ściany.

Odsunięcie wieka kosztowało Gaborna i dwóch piekarzy wiele wysiłku. Wewnątrz leżała pusta trumna. Złożyli w niej królową i już mieli zamknąć sarkofag, gdy Ioma poprosiła ich o chwilę zwłoki, by mogła raz jeszcze spojrzeć na Venettę.

Cleas położyli w kamiennej niszy, zgarnawszy do tyłu kości jakiegoś zmarłego przed dziesięć lat gwardzisty. Nie mieli zbroi ani oręża Cleas, by je z nią pochować, zatem piekarz wziął młot bojowy spoczywający na najbliższych zwłokach i położył go na piersi gwardzistki, jej dłonie splótł na drzewcu.

Gaborn stał jeszcze przez chwilę w mdłym świetle, przyglądając się obrosłym pleśnią szkieletom. Wiele z nich wciąż okrywała zbroja, na pancerzach leżała broń.

Chociaż pomieszczenie było zasadniczo niewielkie, ledwie czterdzieści na dwadzieścia stóp, w ścianach wycięto pięć poziomów kamiennych nisz. Najdawniejsi zmarli leżeli tu od dwudziestu lat. Kości palców i stóp zaścielały podłogę, wymieszane i rozwłócone przez szczury.

Gaborn wyglądał, jakby chciał o coś spytać.

- Tutaj możesz mówić bez obaw - powiedziała Ioma, która klęczała wciąż przy sarkofagu matki.

- Ci ludzie są głusi, na dodatek ślubowali służyć rodowi Sylvarrestów. Nikt cię nie zdradzi.

- Macie tu zwyczaj grzebać zmarłych z bronią?

Ioma skinęła głową. Z jakiegoś powodu bardzo to ucieszyło Gaborna. Czyżby zamierzał okraść grobowiec? pomyślała.

- W Mystarrii zachowujemy dobrą broń i pancerze dla żywych, aby mogli zrobić z nich właściwy użytek.

- Widać Mystarria nie ma tylu chętnych do pracy mieczników i płatnerzy co my - odparła sucho Ioma.

- Czy nikomu nie będzie wadziło, jeśli pożyczę sobie stąd jakąś broń? Moja została zniszczona.

- Kto wie, co może urazić zmarłych?

Gaborn nie sięgnął od razu po broń, tylko zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem.

- Zatem ona jest w Warowni Darczyńców? - sapnął w końcu, Ioma zawahała się.

Gaborn nie powiedział, o kogo pyta. Był wyraźnie poruszony.

- Księżniczka przybyła do warowni dziś rano, po czym umyła i nakarmiła swego ojca - powiedziała. - Gwardzista Raja Ahtena odprowadził ją tam, aby nic jej nie groziło podczas ataku. W każdej chwili może jednak wyjść. Sądzę, że wciąż jest w swym pokoju w Warowni Króla. Razem ze

swoimi sługami.

Gaborn przygryzł wargę i zaczął chodzić jeszcze szybciej. Myśli kłębiły mu się w głowie.

- Możesz przekazać jej parę słów ode mnie?

- To nie powinno być trudne.

- Powiedz jej, że ród Ordenów poprzysiągł ją chronić. Powiedz, że zabiję Raja Ahtena i że pewnego dnia będzie mogła spojrzeć mi w oczy już wolna, nie jako darczyńca.

- Proszę... nie próbuj - powiedziała Ioma, tłumiąc łkanie. Głos się jej załamał i przez chwilę bała się, że Gaborn to zauważy i ją pozna.

- Czego nie mam próbować?

- Zabić Raja Ahtena - odparła Ioma z naciskiem. - Królowa Sylvarresta zraniła go paznokciami pokrytymi trucizną, ale on wytrzymał działanie jadu. Mówią, że nawet jeśli miecz przeszyje mu serce, to rana się zablizni, zanim jeszcze ostrze wyjdzie z ciała.

- Musi być jakiś sposób, żeby go zabić.

- Najpierw przyjdzie ci zabić wszystkich z rodu Sylvarrestów, bo tak król, jak i jego córka są darczyńcami Raja Ahtena. Sam Sylvarresta przyjął w nocy osiemdziesiąt darów rozumu na rzecz Wilka.

Gaborn odwrócił się na te wieści i podszedł do drzwi grobowca. Zamyślony zapatrzył się na zalaną słońcem okolicę.

- Nie zabiję przyjaciół - powiedział. - Ani ich darczyńców. Jeśli przekazali mu dary, nie uczynili tego dobrowolnie. Nie są moimi wrogami.

Ioma zdumiała się. Zabijanie darczyńców wroga była zwykłą praktyką, złem koniecznym. Mało który Władca Runów rezygnował z tej ponurej możliwości. Czyżby Gaborn zamierzał zostawić ich wszystkich przy życiu dlatego jedynie, że nie kierowały nimi złe pobudki?

- Jeśli oszczędzisz Sylvarrestów, to co z innymi? Z innymi królami, którzy też są darczyńcami Raja Ahtena, chociaż wcale tego nie chcieli? Też nie zasłużyli na śmierć. Nie kochają Wilka.

- Musi być jakiś sposób, aby uśmiercić Raja Ahtena bez zabijania niewinnych -

mruknął Gaborn. - Na przykład dekapitacja.

Ioma nie wiedziała, co powiedzieć. Wobec potężnych Władców Runów ścięcie głowy było najpewniejszym sposobem, jednak zamiar taki dzieliła od wykonania naprawdę długa droga.

- A kto to zrobi? Ty? Gaborn spojrzał na Iomę.

- Mogę spróbować, jeśli zdołam podejść wystarczająco blisko. Powiedz, czy zielarz Binnesman ma się dobrze? Muszę z nim porozmawiać.

- Poszedł sobie. Zniknął w nocy. Ludzie Raja Ahtena widzieli go... na skraju puszczy.

Ze wszystkiego, co dotąd powiedziała, ta wiadomość była mu chyba najbardziej nie na rękę.

- Cóż - mruknął zrezygnowany - muszę zmienić plany. Skoro czarnoksiężnik jest w lasach, to tam go poszukam. Dziękuję za wieści, pani...?

- Prenta - szepnęła Ioma. - Prenta Vass.

Gaborn ujął jej dłoń i ucałował ją, jakby miał dziewczynę za dwórkę samej królowej.

Trzymał tę dłoń nieco za długo i poczuł lekki zapach jej perfum. Ioma znowu zdrętwiała, ale głos jej nie zadrżał. Była już pewna, że jej nie poznał, ale czy ten zapach...?

Spojrzał jej w twarz uważnymi błękitnymi oczami. Zaciśnął nieco usta i nic nie powiedział. Ioma odsunęła się, odwróciła... Serce biło jej mocno. Znow zaczęła się bać.

Owszem, była odrażająca, z jej urody nic nie zostało. Żółte oczy, pomarszczona skóra, wszystko to robiło dość paskudne wrażenie. Ale wygląd i tak nie oddawał tego, co działo się w jej duszy, nie opisywał tego oceanu obrzydzenia do siebie.

Na pewno ją potępi. Bez wątpienia odepchnie ją... On jednak obszedł Iomę i znów spojrział jej w twarz.

Chyba jednak skojarzył... Patrzył na nią w milczeniu, jakby szukał rysów kobiety, którą poznał dopiero wczoraj. Nie próbował jednak jej zawstydzać, głośno wyrażając swe domysły. Ioma nie wytrzymała tego spojrzenia i mimowolnie zasłoniła twarz dłonią.

- Nie ukrywaj się przede mną, Prento Vass - powiedział, łagodnie odsuwając jej dłoń. Imię wymówił z wahaniem. Poznał ją. - Nawet teraz jesteś piękna. Czy mogę ci jakoś pomóc, usłużyć?

Dziennik zaczęła się nerwowo wiercić, piekarze uznali nagle, że mają coś pilnego do załatwienia, i czym prędzej opuścili grobowiec. Ioma była bliska płaczu.

Najchętniej padłaby mu w ramiona, ale stała tylko, trzęsąc się jak osika.

- Nie. Nijak.

Gaborn przełknął z trudem ślinę.

- Czy możesz zanieść księżniczce jeszcze jedną wiadomość ode mnie?

- Jaką?

- Powiedz... że wciąż widzę jej twarz. Że jej piękno odcisnęło się na zawsze w mej pamięci. Powiedz, że mam nadzieję ją uratować, pomóc jej ma miarę mych możliwości, i że może nawet zrobiłem już coś dobrego: zabiłem potężną tkaczkę płomieni.

Ponieważ ja tu jestem, mój ojciec przybył pod zamek, chociaż chyba trochę za późno. Powiedz jej, że spędziłem noc w mieście, ale teraz muszę odejść. Żołnierze ojca szukają mnie w lasach.

Nie śmiem bawić tu dłużej. Spróbuję przekraść się do puszczy, nim ojciec zaatakuje miasto.

Ioma skinęła głową.

- Pójdiesz ze mną? - spytał, patrząc jej w oczy, i teraz wiedziała już na pewno, że ją rozpoznał. Patrzył na nią bez pogardy, ale z bólem i tak łagodnie, że znowu zatęskniła za jego objęciami. Ale nie śmiała się ruszyć.

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Pójść? I zostawić ojca? Nie.

- Raj Ahten nie robi mu krzywdy.

- Wiem. Sama nie wiem... nie wiem, co myśleć. Raj Ahten nie jest ze szczętem zły, nie tak, jak się obawiałam. Binnesman ma nadzieję, że sprowadzi go jeszcze na dobrą drogę.

- Oblicze czystego zła poraża urodą - przypomniał Gaborn stare powiedzenie Władców Runów.

- Mówi, że chce zwalczyć raubenów. Chce zjednoczyć rodzaj ludzki, by go obronić przed nimi.

- A gdy wygra już wojnę, to czy zwróci wam wszystkie dary? - zapytał Gaborn. -

Czy poświęci swe życie, by uwolnić tych, których obrabował, jak zrobił to niegdyś dobry król Herron? Chyba nie. Zachowa wszystko.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Chyba jednak wiem - trwał przy swoim Gaborn. - Raj Ahten odkrył swą naturę.

Nie ma krzty szacunku dla innych. Zabierze ci wszystko, nic nie zostawi.

- Skąd ta pewność? Binnesman nakłaniał go, by się zmienił. Miał nadzieję przekonać Wilka, by pozbył się tkaczy płomieni.

- Wierzysz, że to robi? Naprawdę? Wierzysz w to, stojąc tutaj, nad ciałem swej matki? Naprawdę myślisz, że jest choć trochę dobry?

- Gdy mówi, gdy spojrzeć mu wtedy w twarz...

- Iomo, jak możesz wątpić, że Raj Ahten to zło? Czy zostało jeszcze coś, czego nie próbował ci odebrać? Może ciało? Rodzina? Dom? Wolność? Bogactwo? Pozycja? Kraj?

Zabrał ci cały twój świat i równie łatwo może cię pozbawić życia, bo pragnie cię odrzeć ze

wszystkiego, nawet z nadziei. Co jeszcze musi ci zrobić, nim przyznasz, że jest zły? Co jeszcze?

Ioma nie potrafiła odpowiedzieć.

- Zamierzam uciąć temu draniowi głowę - stwierdził Gaborn. - I znajdę sposób, żeby tego dopiąć, najpierw jednak muszę wydostać się stąd żywy. A teraz, czy pójdziesz ze mną, jeśli i twego ojca zabiorę z miasta? - Ujął jej dłoń, a kiedy jej dotknął, cała ciemność pierzchła. Ioma prawie nie śmiała wierzyć w swe szczęście, bo gdy patrzyła w oczy Gaborna, wszystkie jej lęki, całe obrzydzenie do siebie i świadomość brzydoty zniknęły.

Był jakby żywym talizmanem, który odmienił jej serce. Oto kamienna forteca, pomyślała.

Niebo.

- Proszę - szepnął błagalnie. Nieprzytomnie skinęła głową.

- Pojadę.

Gaborn ścisnął jej dłoń.

- Nie wiem jeszcze, jak to zrobimy, ale przyjdę po ciebie i twego ojca. Niebawem zjawię się w Warowni Darczyńców.

Ioma znowu poczuła ten zmysłowy dreszcz, który dotąd towarzyszył tylko jej kontaktom z Binnesmanem. Serce biło jej mocno, choć on jedynie trzymał lekko jej dłoń, tak lekko i delikatnie, jakby wciąż miała swe dary urody, jakby ciągle była piękna.

Obrócił się, wziął krótki miecz z leżącego w pobliżu ciała i schował go w fałdach swojego płaszcza. Potem wyszedł pospiesznie, na chwilę przesłaniając światło w wejściu do grobowca.

Gdy zniknął, Ioma prawie nie śmiała wierzyć, że po nią wróci, że będzie ją ratował.

Zaraz jednak wypełniła ją ciepła, kojąca pewność. Wróci.

Dopiero teraz Dziennik zdecydowała się odezwać.

- Powinnaś na niego uważać.

- A to czemu?

- Może ci złamać serce.

Ioma wyraźnie wyczuła w jej głosie coś dziwnego, jakby szczególny szacunek.

I przeraziła się. Jeśli Raj Ahten przyłapie ją na próbie ucieczki, nie okaże miłosierdzia.

Wiedziała jednak, że puls nie przyspiesza jej ze strachu, że powód jest inny.

Przycisnęła dłoń do piersi, próbując uspokoić szalony tętent.

Chyba już je złamał, pomyślała.

18

OSZUKAŃCZY POJEDYNEK

Dwie godziny po tym, jak Gaborn wymknął się z grobowca, pod bramę miejską Sylvarresty podjechał Borenson z zieloną flagą parlamentariusza na pice zabitego niekulda.

Uśmiechał się wymuszenie.

Cały był obolały, zbroję miał umazaną krwią. Dosiadał nowego konia, do niedawna należącego do towarzysza, który nigdy już nie wyruszy w pole.

Borenson wcale nie miał ochoty spotkać się z Rajem Ahtenem, wiedział bowiem, że będzie to niebezpieczna rozgrywka, na dodatek szczęście mu nie sprzyjało.

Większość jego ludzi poległa, drogo płacąc za każde z drobnych zwycięstw. Zabili jednak ponad dwa tysiące niekulda i pozbawili armię Wilka większości koni. Zdołali też usieć sporo olbrzymów, a ponadto co najmniej tuzin z nich zginął w tym szalonym pożarze. Kilkudziesięciu legendarnych Niezwyciężonych Raja Ahtena pogoniło za żołnierzami Borensona do Mrocznej Puszczy i obecnie przypominali wszyscy jeże, tak ich naszpikowano strzałami.

Niemniej, mimo wielkich strat przeciwnika, nie było to łatwe zwycięstwo. Pościg ustał

ostatecznie dopiero w głębi lasu, gdyż Raj Ahten obawiał się zasadzki. Borenson, który miał nadzieję, że Wilk nie zrezygnuje zbyt łatwo, żałował, że tak się stało, gdyż wśród drzew ludzie Ordenu czuli się o wiele pewniej.

Jednak z drugiej strony Borenson bardzo chciał, aby Raj Ahten bał się wciągnięcia w zasadzkę, aby wierzył, że lasy pełne są wrogów. Król Ordenu powiadał często, że nawet największego mocarza można oszukać niezależnie od tego, ile darów nosi, gdyż „i najmądrzejszy na tyle tylko ruszy głową, na ile mu wiadomości starcza”.

I tak w końcu Borenson podjechał do bram Sylvarresty i zatrzymał konia przy fosie. Z uśmiechem.

Stojący na okopconym murze żołnierz machnął trzykrotnie piką na znak, że uznaje w Borensonie posła, i skinął nań, by wjechał do środka. Most był opuszczony, gdyż stopiona maszyna nie pozwalała go podnieść, na dodatek była w nim wypalona dziura wielkości rosnącego chłopca.

Borenson został, gdzie był, nie chciał przekazać wiadomości w cztery oczy.

- Nie mam ochoty pływać w zbroi! - krzyknął. - Raju Ahtenie, przynoszę ci wieści!

Pokażesz mi się, czy wolisz może ukrywać się za murami?!

Wydawać by się mogło, że oskarżanie Wilka o tchórzostwo to czyste szaleństwo, ale Borenson dawno stracił złudzenia co do tego obłąkanego świata i nie zamierzał udawać tu jedyne normalnego.

Gdy minęło kilka chwil bez odpowiedzi, Borenson znów zaczerpnął głęboko powietrza.

- Raju Ahtenie - zawołał - na Południu zwą cię Wilczym Władcą, jednak mój pan twierdzi, że żaden z ciebie wilk, że spłodził cię zwykły kundel i przez to nie masz ludzkich upodobań, wolisz raczej za sukami ganiać! Co ty na to?!

Nagle na koronie muru pojawił się Raj Ahten, jasny niczym słońce, z białymi, sterczącymi na boki sówimi skrzydłami na hełmie. Spojrzał w dół, wyraźnie wzburzony obelgami.

- Zostań mym sługą - powiedział łagodnie i tak uwodzicielskim tonem, że Borenson omal nie zeskoczył z siodła i nie padł na kolana.

Zaraz jednak poznał, że ma do czynienia z Głosem, i zignorował żądanie. Na kapitana gwardii Ordenu byle sztuczki nie działają.

- Sługą kogoś, kto sterczał na tym murach cały ranek, miotając groźby na mego pana?! Chyba oszalałeś! - krzyknął Borenson i splunął na ziemię. - Obawiam się, że nie dorobiłbym się na tej służbie! Za mało życia ci zostało!

- Mówiłeś, że masz dla mnie wiadomość - rzekł Raj Ahten. Borenson pomyślał, że Wilk coś zbyt łatwo puszcza dziś wszystko mimo uszu.

Borenson spojrzał przeciągle, z wyrachowaniem, po obsadzonych żołnierzami murach. Tysiące łuczników i drugie tyle pikinierów. A na kładkach poniżej stali mieszkańcy miasta - ciekawscy chłopcy chętni usłyszeć, co to za wiadomość, rolnicy, kupcy i kramarze - gotowi bronić zamku równie gorliwie jak poprzedniego dnia, tyle że teraz na cudzej służbie. Borenson pamiętał, że posłanie jest przeznaczone przede wszystkim do ich wiadomości.

Wieść o klęsce przekazana na osobności umniejsza co najwyżej ducha wodza, jednak wygłoszona przed całą armią może wyrządzić większe szkody niż najgroźniejszy nawet atak.

- Przykra sprawa, gdy tak mała armia uwięźnie daleko od domu - powiedział

Borenson, niby to do siebie, jednak dość głośno, by usłyszeli go ludzie na murach.

- To dobra armia - odparł Raj Ahten. - Na takich jak ty wystarczy.

- Raczej ja na nią wystarczę. Twoi ludzie słuchają mnie jak należy. Wzorowo ginęli w puszczy dziś rano. Walczyli prawie tak dobrze, jak oczekiwałem.

Coś błysnęło w oczach Wilka. Borensonowi udało się go rozwścieczyć. To może być moje największe osiągnięcie, pomyślał kapitan.

- Dość tego - odezwał się Raj Ahten. - Twoi ludzie też poginęli. Jeśli chcesz porównywać, kto lepiej umiera, to owszem, twoi wygrali, bo sporo zabiłem ich rano. A teraz słucham, mów, co ci kazano. A może przybyłeś tylko po to, żeby wystawić na próbę moją cierpliwość?

Borenson uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- Oto moje posłanie: Dwa dni temu król Mendellas Draken Orden zajął zamek Longmot! - Odczekał chwilę, by ta wiadomość dotarła do słuchaczy, po czym ciągnął dalej: - I chociaż wysłałeś armię okupacyjną, by wzmocniła obronę tego kawałka skały, to król Orden kazał mi przekazać, że twoje posiłki zostały wybite do nogi.

Ta wieść wstrząsnęła obrońcami na murach. Ludzie Raja Ahtena popatrywali po sobie niepewnie.

- Kłamiesz - odparł obojętnie Wilk.

- Mnie oskarżasz o kłamstwo? - spytał Borenson, używając własnego Głosu, jak mógł najlepiej, aby przekonać słuchaczy, że jest aż do bólu szczery i nieco urażony.

- Wiesz przecież, że to prawda. Sam poczułeś, że dziś rano król Orden kazał zabić w Longmot wszystkich, którym odebrałeś dary. Poczułeś, że ubyło ci sił. Nie zaprzeczysz! A teraz powiem ci jeszcze, jak to się dokonało: wyruszyliśmy trzy i pół tygodnia temu -

stwierdził Borenson, zgodnie z prawdą, bo wtedy właśnie opuścili Mystarrię. Potem policzył, kiedy armia Wilka musiała zacząć wędrówkę. - Krótko po tym, jak otrzymaliśmy wieści o twoim wymarszu z Południa.

W tym samym czasie mój pan, król Orden - ciągnął Borenson - rozesłał wici do najdalszych zakątków Rofehavanu, by zastawić sidła na wilcze szczenię. Pętla została już założona i niebawem poczujesz, jak się zaciska. Będziesz się dusić, aż zadławisz się własną chciwością!

Ludzie na murach zaczęli szemrać i rozglądać się niespokojnie. Borenson wiedział, co myślą.

- Chcesz usłyszeć, skąd mój pan wiedział, że zaatakujesz Heredon? - Borenson znów wzruszył ramionami. - Mój pan wie wiele rzeczy. Usłyszał o twoich planach od szpiegów, którzy służą u twego boku.

Borenson spojrzał wymownie na doradców i magów stojących za Rajem Ahtenem i uśmiechnął się lekko, jakby mimowolnie. Dłużej zatrzymał oczy na Dzienniku Wilka. Może Raj Ahten będzie dalej ufał wszystkim tym ludziom, ale oni raczej ufać sobie nie będą.

Wilk zachichotał na prowokację Borensona i odparł słowami, które wzbudziły strach w sercu wojownika:

- Rozumiem, król Orden wysłał cię, byś się dowiedział, co spotkało jego syna.

Nie ma powodów do zmartwienia, trzymam młodzieńca dla okupu. Co Orden może mi za niego zaproponować?

Borenson wciągnął głęboko powietrze i spojrzał z desperacją na mury. Kazano mu nie proponować żadnego okupu za nikogo tak długo, jak długo Raj Ahten nie wyjawí, kogo właściwie więzi. Ale Wilk odgadł, o co chodzi. Borenson mógł mieć tylko nadzieję, że to, co teraz powie, pomiesza mu szyki.

- Nie mam nic proponować, chyba że będę mógł zobaczyć księcia. Raj Ahten uśmiechnął się dwuznacznie.

- Jeśli król Orden nie potrafi upilnować własnego syna, ja go wyręczał nie będę.

Poza tym wcale by cię jego widok nie ucieszył.

Borenson zastanowił się. Gra zaczynała się komplikować. Nazbyt się gmatwała, ale...

Gdyby Raj Ahten naprawdę miał Gaborna, nie wahałaby się go pokazać. Chyba że go zabił.

Jednak jeśli go nie pojmał, to upierając się przy tym, by zobaczyć księcia, Borenson wyjawia Wilkowi, że on też nie wie, gdzie właściwie podziewa się Gaborn.

Borenson zrozumiał poniewczasie, że znacznie przekroczył instrukcje Ordenu.

Przesadził ze sprytem i gorliwością w odgadywaniu pragnień swego pana. Mógł przez to narazić całą misję na fiasko.

Twarz poczerwieniała mu ze wstydu. Zawrócił konia, żeby odjechać, chociaż wątpił, czy Raj Ahten go puści. Wilk musiał być przerażony, na dodatek zastanawiał się pewnie, czy król Orden przejął dreny z Longmot. I chciałby wiedzieć, ile też ich proponuje mu w ramach okupu.

- Poczekaj! - zawołał za Borensonem. Wojownik obejrzał się przez ramię.

- Co mi proponujesz, jeśli pokażę ci księcia?

Borenson nie odpowiedział. Bał się odzywać, toteż popędził tylko konia. Ujechał ze sto jardów świadom, że daleko jeszcze do miejsca, w którym będzie bezpieczny.

Wciąż mogli go ustrzelić z murów, byli też magowie. Raj Ahten raczej nie pozwoli mu uciec, dopóki nie spróbuje dowiedzieć się wszystkiego.

Niemniej Borenson raz jeszcze zadał sobie najistotniejsze tu pytanie: jeśli Raj Ahten pojmał księcia, to dlaczego nie chce go pokazać?

Zawrócił konia i spojrzał w ciemne oczy Wilka.

- Gaborn dotarł szczęśliwie do naszego obozu - skłamał z kamienną twarzą. - Dołączył do nas dziś w nocy i obawiam się, że z okupu za niego nic nie wyjdzie. Przybyłem tylko, aby dostarczyć wiadomość, którą już usłyszałeś.

Raj Ahten nie okazał żadnych emocji, ale doradcy zachowali się jednoznacznie.

Byli wystraszeni, a to mówiło nader wiele. Borenson był już pewien, że odgadł: Raj Ahten nie pojmał księcia. Przypomniał sobie drużynę szperaczy wybitą w nocy i inny jeszcze oddział, widziany w puszczy godzinę temu. Dlaczego Wilk wysłał tropicieli do lasu? No tak, szukają

Gaborna...

- Niemniej - ciągnął Borenson - ród Sylvarrestów bliski jest z dawna memu panu.

Mogę zaproponować coś w zamian za rodzinę królewską, za ich bezpieczny powrót na wolność.

- Co? - rzucił Raj Ahten.

Borenson całkiem już rozstał się z planem przygotowanym przez Ordenu.

- Sto drenów za każdego z członków rodziny królewskiej.

Raj Ahten roześmiał się z ulgą, ale i szyderczo. Tutaj, na Północy, gdzie od dziesięciu lat krwawy metal był niezwykle rzadki, trzysta drenów mogło uchodzić za sporą fortunę, jednak dla Raja Ahtena, który miał czterdzieści tysięcy drenów ukrytych w zamku Longmot, to było nic. Wilk przestał dowierzać Borensonowi, że Orden naprawdę zdobył

tamtę zamek.

I o to chodziło.

- Rozważ dobrze tę propozycję, nim zaczniesz ze mnie szydzić - rzekł Borenson.

Pora chwycić Wilka za kudły. - Król Orden przejął w Longmot czterdzieści tysięcy drenów i od dwóch dni pół tuzina darmistrzów robi z nich dobry użytek. Możliwe, że dla kogoś tak bogatego jak ty strata czterdziestu tysięcy drenów do drobiazg, ale mój pan nie podniesie kwoty okupu za króla i jego rodzinę. Po co mu oni, skoro są twoimi darczyńcami?

Sto drenów za osobę i ani jednego więcej!

Borenson zauważył, że doradcy Wilka starają się opanować drzenie, i uznał, że trafił w dziesiątkę, chociaż sam Raj Ahten stał wciąż spokojnie i tylko krew odpłynęła mu z twarzy.

- Kłamiesz - powiedział Wilk, nie okazując strachu. - Nie macie księcia. Nie macie drenów. I nie ma żadnych szpiegów. Dobrze wiem, w co grasz, pośle, i nie robi to na mnie wrażenia. Nudzisz mnie.

Używając Głosu, Raj Ahten chciał dodać ducha swoim oddziałom, ale było już za późno, zło się dokonało. W zestawieniu z katastrofalnymi doniesieniami Borensona zapewnienia Wilka wypadły blado. Borenson jednak zaczął się obawiać, że Raj Ahten może jeszcze przejrzeć jego myśli, i poczuł, że najwyższa pora odjeżdżać.

Wypuścił konia i pognął po spalonej trawie. Tu i ówdzie unosiły się jeszcze niewielkie smugi dymu. Gdy nie mogli go już ustrzelić z łuku, zawrócił rumaka raz jeszcze.

- Raju Ahtenie! - zawołał. - Mój pan zaprasza cię na spotkanie w Longmot, jeśli ośmielisz się tam przybyć! Przyrowadź ze sobą wszystkich tych głupców, którzy wypatrują rychłej śmierci! Twoje pięć tysięcy przeciwko pięćdziesięciu tysiącom!

Przysięgam ci, że mój pan nie okaże wam łaski i spuści ci baty, ty złośliwy kundlu! - Uniósł rękę na ten znak ludzie, których rozstawił na wzgórzach, zadęli w rogi. Grali sygnał, który krótkim staccato nakazywał przeformowanie chorągwi jazdy.

Król Orden wysłał na tę wyprawę aż dwustu ludzi z rogami, bo zamierzał urządzić z ich pomocą leśny koncert na znak, że Ioma przyjęła zaloty Gaborna. W czasie wojny jednak każdy róg zwiastował obecność stu konnych. Raj Ahten też o tym wiedział i pozostało mieć nadzieję, że czuły słuch Wilka pozwoli mu policzyć dokładnie wszystkie rogi.

Niech wierzy, że Borenson ma ze sobą nie osiemdziesięciu, ale osiem tysięcy zbrojnych.

19

PRZESIEWANIE

Gdy Borenson odjeżdżał, Jureem, najwierniejszy doradca Raja Ahtena, patrzył spod przymrużonych powiek na swego pana stojącego na okopconym murach Sylvarresty.

Oblicze Wilka jaśniało pięknem, wydawało się niemal półprzezroczyste i tak promienne, jakby zawarł się w nim blask całego świata. Ponure wieści nie zmąciły ego urody.

Ale Jureem trząsł się ze strachu. Wiedział już, że coś poszło nie tak, chociaż jego pan wszystkiemu zaprzeczył. Jureem mógł się tylko zastanawiać, co właściwie się stało, Raj Ahten bowiem rzadko zwierzał się ze swych myśli i od dawna nie pytał już o radę.

Przez całe lata mieszkańcy Północy byli cierniem w boku jego pana. Wysyłali rycerzy mordujących darczyńców, nawet ukochana siostra Raja Ahtena zmarła w jego ramionach skutkiem rany zadanej przez takiego rycerza. Jureem nauczył się nienawidzić bladokórych ludzi z Północy i aż teraz, gdy Raj Ahten zaczął im odbierać dary i na inne jeszcze sposoby wykorzystywać, doradca nie miał dla nich ani żalu, ani współczucia, ani nawet zwykłej, ludzkiej litości.

A teraz to.

Przez chwilę Jureem czuł się całkiem nie na miejscu; irytująco rozkojarzony, najchętniej pobiegłby do Longmot sprawdzić, czy Borenson mówił prawdę. Chętnie strzeliłby wysłannikowi w plecy. Żałował, że w ogóle pozwolił mu się odezwać. Co więcej, pamiętał wizje, jakie mieli tkacze płomieni Raja Ahtena, wizje, w których pojawiał się król, który zniszczy Wilka. Król Orden.

I jeszcze czarnoksiężnik Binnesman odszedł, aby przyłączyć się do wrogów Raja Ahtena.

Jureem zacisnął dłonie w pięści. Nie chciał, aby ktoś zauważył, że drżą. Myślał, że wyeliminowanie rodu Ordenów nie będzie trudne. Teraz nie był już tego tak pewny.

Żadna księga nie pomieściłaby wszystkich planów i pomysłów jego pana. Jureem rozumiał je tylko po części. Zgodnie ze zwyczajem, król Orden przybywał co roku do zamku Sylvarresta na polowanie i nigdy nie miał ze sobą więcej niż trzystu ludzi.

Raj Ahten uznał, że w tym roku król zabierze niechybnie swego syna, podrosłego już wystarczająco Gabora, toteż umyślił urządzić zasadzkę. Chciał oblec zamek Sylvarresta z niewielkimi siłami i zmusić Ordenu do zawrócenia na południe, gdzie czekałyby już oddziały ukryte przy drogach prowadzących do Mysterrii. Zabiłyby króla Ordenu i jego syna. Gdyby nawet nie próbował uciekać na południe, zwiadowcy i tak prędzej czy później by go dopadli.

Wszelako była to tylko jedna z setki przygotowywanych akcji. Tego samego dnia dziesiątki grup zabójców miały uderzyć na wyznaczone wcześniej cele, kilka armii maszerowało ku fortecom na wschodzie i zachodzie. Gdzie indziej liczne oddziały miały się tylko pokazać i zniknąć w jakimś lesie czy na górskiej przełęczy, żeby samą swą obecnością albo zastraszyć załogę takiej czy innej warowni, albo też odciągnąć czuwające w pobliżu oddziały od powierzonych im obiektów.

Jureem wiedział jednak, że cały plan jego pana opiera się na jednoczesnym uderzeniu na Ordenu i Sylvarrestę.

Teraz jednak plan zaczął się sypać. Coraz więcej przemawiało przeciwko niemu, a tkacz płomieni dojrzał w ogniu króla, który może zgładzić Jasne Światło Indhopalu.

Raj Ahten nie był przygotowany na ten atak. Do zamku Sylvarresta zabrał tylko niecałe tysiąc drenów i połowę zużył już minionej nocy, wiążąc się z tutejszymi darczyńcami. To była prawda, zostawił czterdzieści tysięcy drenów w Longmot, sądząc, że tam będą bezpieczne. Longmot to potężny zamek, z wysokimi murami wzmocnionymi magią. Raj Ahten obsadził go raczej nieliczną załogą, ale rychło miało się to zmienić.

Sposobny czas na zaatakowanie Longmot ograniczał się do paru dni. Zresztą nawet z garstką obrońców zamek mógł się oprzeć szturmom załóg niewielkich pobliskich warowni, jak zamki Groverman i Dreis, które odległe były tylko o dzień drogi. Zwiadowcy sprawdzili wcześniej, że oba miały skromne garnizony, a szpiedzy Jureema nie widzieli w ich okolicach żadnych wojsk Ordenu.

Jedyne, co donieśli na temat Ordenu, to że król przyprowadził na Hostenfest siły „większe, niż oczekiwano” i że rozłożył się obozem pod wioską Hazen u południowej granicy Heredonu. Orszak składał się z blisko trzech tysięcy ludzi, wliczając oczywiście prócz rycerzy także giermków, kucharzy i wszelkie służby. To była duża siła. Raj Ahten nie był przygotowany na walkę z podobną armią. Normalnie Orden brał na polowanie mniej niż trzystu ludzi.

Zeszłej nocy zwiadowcy wypatrzyli jednak ponad dwa tysiące rycerzy jadących w kierunku miasta Sylvarresta. Jakim cudem? Czyżby Orden zabrał ze sobą dwa duże oddziały i jeden posłał na Longmot, drugi na północ?

Dwa dni. Jureem nie dostał od dwóch dni żadnego meldunku z Longmot. A powinien.

Przynajmniej ten zwykły, rutynowy meldunek o stanie garnizonu. Jureem podejrzewał, że Longmot naprawdę padł. Król Orden zdołał jakoś zdobyć zamek.

Posel wspomniał o pięćdziesięciu tysiącach żołnierzy. Pięćdziesiąt tysięcy?

Liczba zaniepokoiła Jureema, bo była dziwnie bliska szacunków dotyczących armii, którą Orden mógł wystawić przeciwko Wilkowi wiosną. O ile umknąłby z zasadzki, oczywiście.

Król Orden miał na swoje rozkazy ćwierć miliona żołnierzy, chociaż w żadnym razie niejednocześnie. Nie mógł przecież ogołocić wszystkich zamków z załóg.

Złożone te plany, z nazbyt wąskim marginesem błędu. A Raj Ahten musiał podbić Północ, i to szybko. Wydobycie krwawego metalu w Kartishu spadało już od kilku lat. Koło środka zimy wyczerpią się ostatnie złoża.

Można było go znaleźć jedynie w Inkarrze. Powiadano, że tamtejsze kopalnie wciąż mają się dobrze. Jednak żadnemu władcy Rofehavanu czy Indhopalu nie udało się nigdy podbić tego kraju. Czarnoksiężnicy byli tam może niezbyt potężni, ale za to liczni, na dodatek Inkarranie stosowali

taktykę bitewną idealnie pasującą do górzystego terenu: preferowali szybkie uderzenia na mocnych, choć drobnych kucach. Poza tym nikt nie mógł

marzyć o podbiciu Inkarry, jeśli wcześniej nie pokonał tamtejszych mistrzów.

Co gorsza, przed wiekami zdarzyło się, że pewien starszy darmistrz imieniem Tovil uciekł z Rofehavanu do Inkarry, gdzie dał początek nowej szkole sporządzania drenów. Z czasem zaowocowało to zdumiewającymi odkryciami, których nikomu nie udało się powtórzyć. Dreny z Inkarry nie zostawiały szram, przez co i kształtów tamtejszych runów nie dawało się odtworzyć. Nie było żadnych blizn, które by cokolwiek sugerowały, a talenty i cechy i tak przepływały z jednej osoby na drugą. Mimo długich lat szpiegowania władcy Rofehavanu i Indhopalu nigdy nie wydarli Inkarranom ich tajemnic.

Za każdym razem, gdy ktoś z Północy próbował atakować Południe, szybko się okazywało, że południowcy nie tylko stawiają zacięty opór, ale jeszcze zaopatrują w dreny wrogów najeźdźcy. Dzięki temu nikomu nie udało się podbić Inkarry, zdobyć jej bogactw, wykorzystać osiągnięć.

Jureem wiedział, że Raj Ahten nie może zwlekać. Musiał czym prędzej, już teraz, pokonać królów Północy, podporządkować ich sobie, i ruszać dalej. Możliwe, że w tych dawnych dniach, po których ślad został jedynie w legendzie, również Daylan Młot korzystał z podobnych runów jak Inkarranie. Jeśli tak, to Raj Ahten musiał je zdobyć, zanim stanie się Sumą Wszystkich Ludzi.

Jureem szczycił się, że niełatwo go oszukać i jego zdaniem Borenson przedstawił im opowieść opartą zasadniczo na faktach, wzbogaconą jednak mocno kłamstwami.

Wszelako rozważając całe posłanie, niezwykle trudno było odgadnąć, gdzie kończyła się prawda, a zaczynało oszustwo.

Minęło jeszcze kilka chwil, aż Raj Ahten spojrzał w bok, na Jureema.

- Idziemy, mój doradco - powiedział. Wilk rzadko szukał obecnie porady u Jureema czy Feykaalda, ale teraz był wyraźnie zaniepokojony.

Zeszli z murów i aby uniknąć tłumów, poszli w kierunku małego wzniesienia w pobliżu stajni.

- Feykaald - zwrócił się Raj Ahten do najstarszego ze swoich doradców - jak sądzisz, czy król Orden ma syna przy sobie?

- Oczywiście nie - syknął starzec. - Gdy po raz pierwszy wspomniałeś o okupie, poseł był zbyt zaskoczony i przestraszony jednocześnie. Całe to posłanie było jednym wielkim kłamstwem bez słowa prawdy.

- Zgadza się, że Orden nie odszukał syna, ale chociaż poseł zdradzał niebywałą skłonność do łgania, to jednak powiedział nieco prawdy.

- Syna nie odszukał - zgodził się Jureem, naśladowując wiernie głos posłańca.

- To pewne - stwierdził Raj Ahten. - Co z Longmot?

- Nie mógł go zdobyć - rzucił szybko Feykaald.

- Ale zdobył - powiedział Raj Ahten z wyraźną troską. Jureemowi serce omal nie stanęło.

- Trudno mi się zgodzić, o Najjaśniejszy - odparł. - Zachowanie posłańca wskazuje jasno, że i to było kłamstwem. Orden to chyba skończony głupiec, skoro tak miernego łgarza wysłał z równie ważnym poselstwem!

- Postawa posła nie ma nic do rzeczy - mruknął Wilk. - O świcie poczułem, że część sił mnie opuszcza. Całkiem nagle śmierć dosięgła wiele setek darczyńców. Ich dary przepadły. Tego jestem pewien.

Utrata tytułu darów była dotkliwym ciosem i poważną stratą. Ale nie to przerażało Jureema. W odległych krainach na Południu darmistrze Raja Ahtena pracowali nieustannie nad pozyskaniem dlań nowych darczyńców. Byli to ludzie o wielkim uroku i potężnym Głosie, przez co mało kto potrafił im

się oprzeć. Ludzie masowo oddawali się w służbę Wilkowi, nadstawiali pierś pod dreny. Raj Ahten rósł z każdą chwilą, w zdumiewającym tempie zbierając dary rozumu, krzepy, uroku i sił życiowych. Jureem dawno już stracił rachubę, ile tysięcy darczyńców ma jego pan, wiedział jedynie, że jest codziennie potężniejszy. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo urośnie owego dnia, gdy stanie się Sumą Wszystkich Ludzi.

Jednak tego ranka został trafnie ugodzony.

Za kilka dni przybędzie armia okupacyjna, setki tysięcy żołnierzy staną na straży zdobyczy. Orden nie mógł przewidzieć, że nadejdzie tak wielka siła.

W tym samym czasie trzy armie wejdą w granice królestwa Orwynne na zachodzie i król Theros Val Orwynne znajdzie się w saku. Mało co mu zostanie do wyboru, jak tylko poddać się lub spróbować bronić twierdzy, a już na pewno nie będzie mógł pomóc Ordenowi w Longmot. Równocześnie sabotażyści zatrują paszę w stajniach Wielkiego Króla Connela we Fleeds, co zapobiegnie atakom zjadłej konnicy tamtejszych klanów.

Nie, Orden musi być przerażony. Dlatego właśnie wysłał tego szczekliwego kundla z poselstwem do Raja Ahtena.

- Może Orden nawet wziął Longmot, ale go nie utrzyma - powiedział Jureem.

Niemniej Raj Ahten miał rację: skoro Longmot padł, a poseł tak kluczył, to może w ogóle nie kłamał?

Raj Ahten przeszedł do sprawy, która poruszała go najbardziej:

- Czy wśród nas jest szpieg?

Jureem, jakkolwiek się zastanawiał, nie widział innej możliwości, żeby Orden dowiedział się o planowanym ataku na Heredon. Podobnie było z kwestią ukrytych w Longmot drenów czy słabością tamtejszego garnizonu.

Zaraz też zaniepokoił się, że sam może mieć z tego powodu kłopoty. Czy rozmawiał o tym z którymś z kochanków? Czy wypowiadał się w obecności sług lub obcych? Może palnął coś przy niewłaściwej osobie?

Mogło się zdarzyć, uznał. Owszem, zwierzał się ze swoich niepokojów dotyczących skromnej obsady Longmot jednemu z umiłowanych, kawalerzyście prowadzącemu hodowlę wyśmienitych ogierów. Ale czy wspominał o drenach? Nie, o tym mowy nie było.

Jureem zerknął w bok. Feykaald był z Rajem Ahtenem od wielu lat, Justeem mu ufał.

Co do tkaczy płomieni, Wilk ich nie obchodził. Służyli żywiołowi i poszli za Rajem Ahtenem tylko dlatego, że obiecał im wojnę, przyrzekł pożywić ich władcę.

Jureem nie obawiał się, żeby mogli się okazać szpiegami. Co innego poszczególni dowódcy. Chociaż jak? Jakim cudem nawet najlepszy szpieg mógłby w tak krótkim czasie powiadomić Ordenu o sposobności otwierającej się w Longmot?

Nie, to musiał być Dziennik, wysoki mężczyzna z siwiejącymi włosami i władczym, jakby wyciosanym obliczu, które zawsze drażniło Jureema. On mógł wspierać Ordenu. Tylko on.

Jureem od dawna podejrzewał, że ta chwila nadejdzie, i bardzo się jej obawiał.

Bractwo Dni głosiło, że jest neutralne, że nigdy nie wspiera żadnego władcy przeciw drugiemu, gdyż byłaby to jawna ingerencja w sprawy ludzi, czego Władcy Czasu nie zwykli tolerować. Każdy z Dzienników jedynie rejestrował, ale to była wersja oficjalna, bo Jureem słyszał zbyt wiele plotek i zbyt wielu poszłał się doszukał w pracach dziejopisów, które świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. A Raj Ahten rósł siłę, i to od dawna, i prędzej czy później musiał urosnąć na tyle, żeby Bractwo Dni uznało za stosowne wystąpić przeciwko niemu.

Jureem uważał, że bractwo jest w pewnej mierze większym zagrożeniem dla Wilka niż wszyscy

wolni rycerze, którzy ślubowali go zabić.

Dziennik wiedział oczywiście o wszystkich poczynaniach Raja Ahtena. Z wielkim wyprzedzeniem poznał plany zaatakowania Longmot, słyszał, że w zamku zostawiono zbyt skromną załogę. Jego bliźniaczy partner lub partnerka, osoba skryta w klasztorze daleko na północy, też to wszystko wiedziała. A jeden Dziennik mógł łącznie przekazać całą swą wiedzę wszystkim innym.

Juremowi pozostało teraz jedynie opanować się, nie skoczyć wrogowi do gardła i nie wypatroszyć go na poczekaniu.

- Myślę, że jesteśmy zdradzani - powiedział, zerkając z ukosa na Dziennika. -

Chociaż doprawdy nie wiem jak.

Jego pan patrzył uważnie. Zrozumiał zawołane oskarżenie.

Ale co mógł zrobić? Jeśli Jurem oskarży Dziennika fałszywie i zabije, to tylko pogorszy sprawę. Wówczas całe bractwo otwarcie wystąpi przeciwko Rajowi Ahtenowi i wyjawia jego sekrety każdemu, kto tylko zechce słuchać. Z drugiej strony, jeśli Jurem daruje Dziennikowi życie, to dalej będą mieli szpiega w obozie.

Raj Ahten przystanął.

- I co zrobimy? - spytał Feykaald, splatając drobne dłonie wystające z rękawów turkusowej jedwabnej szaty na podobieństwo poskręcanych konarów drzewa.

- A wedle ciebie co powinniśmy zrobić? - odparł Raj Ahten. - To ty jesteś moim doradcą, Feykaaldzie, doradzaj zatem.

- Winniśmy wysłać wiadomość - szepnął starzec. - Wiadomość do generała Suha.

Niech zawróci swe armie, zaniecha ataku na Orwynne i raczej wzmocni nasze siły.

Feykaald był stary i doświadczony. I ostrożny. Dzięki temu przeżył tyle lat. Ale Jurem wiedział, że Wilk pragnie czasem rady śmielszej, nawet ryzykownej. Dzięki temu, i dzięki podpowiedziom Jureema, był teraz tym, kim był.

Raj Ahten spojrzał na drugiego doradcę.

- A ty co mówisz?

Jurem skłonił głowę i starannie dobierając słowa, przedstawił swoje zdanie:

- Wybacz mi, o Błogosławiony, ale nie jestem skłonny przesadnie się tym wszystkim niepokoić. - Zerknął nieufnie na Feykaalda. - Możliwe, że Orden przejął twe dreny, ale skąd weźmie darczyńców, żeby je wykorzystać? Sam odarłeś w Longmot z darów wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek wartość. Miejscowych zatem należy wykluczyć. To znaczy, że mógłby czerpać jedynie od swoich wojowników, co jest raczej mało atrakcyjną dlań perspektywą, bo w ten sposób osłabiałby własną armię.

- Co zatem proponujesz?

- Ruszać do Longmot i odzyskać dreny! - To była oczywiście jedyna możliwa odpowiedź.

Czekanie na posiłki byłoby błędem. Dałoby jedynie Ordenowi czas na umknienie ze skarbem lub wzmocnienie sił.

Raj Ahten uśmiechnął się, słysząc tę radę. Jurem wiedział, że to ryzykowny plan. Być może Orden chciał wywabić Wilka z zamku Sylvarresta, wciągnąć go w pułapkę.

Jednak życie w ogóle jest ryzykowne, a Raj Ahten nie mógł sobie pozwolić na bezczynność. Jak dotąd przyjął sześć darów metabolizmu i dzięki temu mógł się, nie obawiać ciągle zasadzających się na niego zabójców. Jednak podobny bagaż niósł ze sobą olbrzymie niebezpieczeństwo, praktycznie pewność wczesnej śmierci. Dary metabolizmu zwracały się przeciwko obdarowanym. Pewna legenda zawierała opowieść o tym, jak to kiedyś wrogowie pojмали darczyńcę pewnego króla, darczyńcę, który wzbogacił swego władcę właśnie o metabolizm. Nie zabili go jednak, tylko dołożyli

mu jeszcze setki darów metabolizmu, czyniąc zeń pośrednika, tak że król umarł ze starości w ciągu ledwie kilku tygodni. Z tego powodu Raj Ahten pobierał wszystkie dary metabolizmu przez jednego tylko pośrednika, mężczyznę, którego cały czas trzymał przy sobie, żeby w razie czego mieć czas na zabicie go

i zerwanie połączenia.

Mało który król odważał się przyjmować więcej niż jeden czy dwa takie dary. Z

sześcioma Raj Ahten mógł być sześć razy szybciej niż zwykły człowiek, ale też starzał się sześć razy szybciej. Chociaż miał również tysiące darów sił życiowych i lata traktowały go dzięki temu łagodnie, to jednak Jureem wiedział, że ciało ludzkie zużywa się z czasem. Jego pan żył już trzydzieści dwa lata, ale fizycznie był o wiele starszy, miał około osiemdziesięciu pięciu lat.

Raj Ahten nie mógł liczyć, że pożyje wiele ponad biologiczne możliwości przeciętnego człowieka, czyli sto dziesięć lat. Bez wszystkich innych darów nie przetrwałby obecnie ani chwili.

Ledwie kilka lat wcześniej popełnił fatalny błąd, zabijając kilku spośród swoich darczyńców, żeby zwolnić tempo starzenia się. Jednak niecały tydzień później zamachowiec z Północy omal go nie zabił. Od tamtego czasu Wilk musiał zmagać się ze swoim brzemieniem szybkiej przemiany materii.

Trzy lata. Albo zdoła w tym czasie zjednoczyć świat i stanie się Sumą Wszystkich Ludzi, albo zginie. Rok na skonsolidowanie Północy, dwa na Południe. Jeśli umrze, to wraz z nim zginie nadzieja rodzaju ludzkiego. Raubenowie byli zbyt potężni.

- No to ruszamy do Longmot - powiedział Raj Ahten. - Co z armią Ordenu w Mrocznej Puszczy?

- Jaką armią? - spytał Jureem, przekonany na podstawie wielu drobnych przesłanek, że te oddziały nie stanowią większego niebezpieczeństwa. - Widziałeś jakąś armię?

Ja słyszałem tylko rogi grające w lesie. Gdzie parskanie tysięcy koni? Nie było! Orden rozsunął mgłę, by ukryć słabość swych szeregów.

Jureem zerknął z ukosa na swego pana. Łysy i otyły, wyglądał na przygłupa, jednak Raj Ahten wiedział, że jego doradca jest równie groźny jak kobra.

- Masz do dyspozycji dwadzieścia legionów, które podchodzą pod Longmot. Jeśli staniesz na ich czele, to armia Ordenu nie dotrzyma im pola. Musimy odzyskać Longmot.

Raj Ahten z powagą skinął głową. Czterdzieści tysięcy drenów to trzy lata pracy tysięcy górników i mistrzów rzemiosła. Całe złożę rudy krwawego metalu. Obecnie już wyczerpane. Nie miałby czym zastąpić tych drenów.

- Przygotować ludzi do wymarszu - powiedział. - Opróżnimy skarbiec Sylvarresty i będziemy kupować żywność we wsiach pod drodze. Wyruszamy za godzinę.

- A co z końmi, panie? - spytał Feykaald. - Potrzebujemy koni.

- Moi żołnierze mają dość darów, większość nie potrzebuje koni. A zwykle wierzchowce wymagają więcej pokarmu i odpoczynku niż ludzie. Moi żołnierze pobiegą do Longmot. Zabierzemy konie ze stajen Sylvarresty, jeśli się nadadzą.

Sto sześćdziesiąt mil drogą. Jureem wiedział, że Raj Ahten pokonałby ten dystans w parę godzin, ale większość jego łuczników miała nie więcej niż jeden dar metabolizmu. Im droga do Longmot zajmie co najmniej dzień.

Będzie trzeba zostawić nieludy, tylko opóźniłyby marsz. Niemniej resztki olbrzymów i psy wytrzymają.

- Ale co z twoimi tutejszymi darczyńcami? - spytał niespokojnie Feykaald. - W

Warowni Darczyńców masz ich aż dwa tysiące. Nie mamy koni, by ich zabrać, ani dość strażników, by chronić, jak należy. - Doradca też zaczął już myśleć przede wszystkim o organizacji kampanii.

Odpowiedź zmroziła obu słuchaczy:

- Nie musimy zostawiać żadnej straży.

- Jak to? - zdumiał się Feykaald. - To jawne zaproszenie dla Ordenu, by zaatakował.

Zabije twoich darczyńców!

- Oczywiście. Jednak ich śmierć przysłuży się ostatecznie naszej sprawie.

- Naszej sprawie? A to w jaki sposób? - dociekał zdumiony doradca.

Jednak Jureem zrozumiał już, na czym polegało i okrucieństwo, i przemyślność tego planu.

- Od dawna narody Północy jednoczyły się przeciwko nam, jednak jeśli Orden zamorduje teraz darczyńców Sylvarresty, a musi to zrobić, położy kres wieloletniej, wspaniałej przyjaźni. I co zyska? Może osłabi nas na parę dni, ale swoją pozycję podkopie na zawsze. Nawet jeśli umknie z drenami, władcy Północy zaczną się bać Ordenu.

Niektórzy mieszkańcy Heredonu znienawidzą go, może nawet zapragną zemsty. Wszystko to obróci się przeciwko Ordenom, a zniszczenie Ordenów to klucz do zdobycia Północy.

- Jesteście genialni - szepnął z podziwem Feykaald, patrząc na Raja Ahtena i na Jureema.

Lecz Jureemem głównie kierowała niechęć do marnotrawstwa. Tyłu ludzi nie wiadomo po co przyszło na świat i nic nie znaczyło, mądrze więc było zbierać od nich dary, wykorzystywać je z głową. Ale marnować życie darczyńców... to po prostu wstyd.

Jureem i Feykaald wydali kilka krótkich rozkazów i po chwili cały zamek ożył przygotowaniami. Ludzie biegali tam i z powrotem.

Raj Ahten ruszył powoli wąską, brukowaną uliczką. Chciał być przez chwilę sam.

Sam na sam z myślami. Minał stajnie królewskie, piękne i nowe piętrowe budynki z drewna.

U góry trzymano siano i ziarno, na dole stały konie.

Żołnierze wyprowadzali pierwsze wierzchowce, poganiali stajennych.

Mijając drzwi, Raj Ahten zaglądał do środka, gdzie stały lub wisały na pasach konie darczyńcy. Stajenni dbali jak mogli o nieszczęsne stworzenia. Przez otwarte wrota przelatowały tam i z powrotem świergotliwe jaskółki.

Stajnie pękały w szwach, bo prócz koni Sylvarresty sprowadzono tu także niektóre z najlepszych rumaków Raja Ahtena. Przez noc mieli się nimi zająć jego stajenni.

Wilk miał dość wierzchowców, żeby wystawić całkiem porządną oddział jazdy.

Wszedł do ostatniej ze stajen. W powietrzu wisiała woń końskiego potu, która mocno drażniła przeczulony węch Wilka. Koniuszy Wilka omywał jego wierzchowca aż dwa razy dziennie, i to wodą zaprawioną lawendą i pietruszką, żeby nieco zmniejszyć dokuczliwy zapach.

Przy jednym z pierwszych boksów stał chłopak o ciemnych włosach i przygotowywał pod siodło pięknego ogiera naznaczonego wieloma runami. Obok czekało kilka innych koni podobnie bogatych w dary. Chłopak był zbyt blady, aby należeć do stajennych Raja Ahtena, widać został jeszcze po Sylvarreście.

Słyszając, że ktoś wchodzi, młodzieniec spojrzął nerwowo przez ramię.

- Spocznij - rzucił Wilk. - Zaprowadź konie do bram i sam ich tam przypilnuj.

Dwa najlepsze zachowaj dla moich doradców, Feykaalda i Jureema. Nie dasz ich nikomu innemu, rozumiesz? - Raj Ahten wskazał na stojącego za progiem Jureema, który zdawkowo skinął głową chłopakowi.

Młodzieniec skłonił się, narzucił koniowi na grzbiet małe siodło myśliwskie i pospieszył przerażony, z otwartymi ustami, obok Wilka i jego doradców.

Raj Ahten czasem działał tak na ludzi. Aż się uśmiechnął. Chociaż... od tyłu chłopak wyglądał znajomo... Niespodzianie Wilk poczuł ospałość, jakaś chmura zasnuła mu pamięć, myśl, której

właśnie sięgał, zagubiła się w oparze... Ale po chwili wiedział: spotkał już tego chłopaka wcześniej. Rano, na ulicy...

Chociaż nie, to nie był ten chłopak. To był tylko posąg, który bardzo go przypominał.

Młodzieniec wyprowadził konia ze stajni i zaczął dociągać popręgi, troczyć juki.

Niedaleko, ale nie mógłby nic podsłuchać.

Zostawszy w pustej stajni sam na sam z Dziennikiem, Raj Ahten obrócił się raptownie i złapał mężczyznę za gardło. Od jakiegoś czasu Dziennik chodził dwa kroki dalej za swym panem niż zwykle. Pewnie to oznaka poczucia winy, pomyślał Wilk. I strachu.

- Co wiesz o tym ataku na Longmot? - spytał Raj Ahten, unosząc Dziennika nad ziemię. - Kto mnie zdradził?

- Nie, auuugh... nie ja! - odpowiedział Dziennik. Złapał oboma dłońmi nadgarstek Wilka. Ze wszystkich sił próbował go od siebie odciągnąć. Walczył o życie.

Strach ściał mu twarz, czoło okryło się potem.

- Nie wierzę ci - syknął Raj Ahten. - Tylko ty mogłeś mnie zdradzić. Ty albo ktoś z twoich.

- Nie! - sapnął Dziennik. - My, hmm, nie stajemy po niczyjej stronie w sprawach stanu. To... twoja sprawa, panie, nie nasza.

Raj Ahten spojrzał mu w oczy. Dziennik był wyraźnie przerażony.

Wilk trzymał go, a mięśnie miał twarde jak stal z Pomocy, i zastanawiał się, czy nie złamać Dziennikowi karku. Może i mówił prawdę, ale i tak był niebezpieczny.

Dobrze byłoby go zatłuc, pozbyć się szkodnika. Ale gdyby to zrobił, wszyscy członkowie Bractwa Dni na całym świecie przysięgliby się przeciwko Rajowi Ahtenowi i zdradzili wrogom wszystkie jego sekrety: liczebność jego armii i miejsca ukrycia jego darczyńców.

Postawił Dziennika na ziemi.

- Będę cię miał na oku - warknął.

- Tak jak ja ciebie, panie - odparł mężczyzna, rozcierając obolałą szyję.

Raj Ahten obrócił się i wyszedł. Dowódca gwardii meldował, że Gaborn Val Orden zabił w pobliżu jednego ze zwiadowców i zostawił przy okazji świeży ślad zapachu.

Raj Ahten miał dary węchu ponad tysiąca ludzi, większość jego tropicielei natomiast wzięła te dary od psów, i stąd obawiali się tojadu, który książę nosił ze sobą.

- Gdzie idziesz, mój panie? - spytał go Jureem.

- Zapolować na księcia Ordena - odparł Wilk, decydując się błyskawicznie, wręcz odruchowo. Potrwa trochę, nim jego ludzie staną gotowi do drogi. Ze swoimi darami metabolizmu mógł wykorzystać owocnie czas cudzej pracy. - Możliwe, że wciąż jest w mieście, a to jedna z tych spraw, których nie można zostawić byle komu.

20

KSIĄŻĘ BEZ MASKI

- Rozkaz jest rozkaz! Jego wysokość kazali mi wsadzić króla i dziewczuchę na porządne konie, a jakby co, to nawet przywiązać ich do siodeł! Wóz jest za wolny na taki marsz przez lasy - powiedział Gaborn, naśladowując akcent z Fleeds, skąd pochodzili najlepsi jeźdźcy, a książę chciał ująć za zaufanego stajennego.

Gaborn dosiadł ogiera i spojrzał z góry na kapitana. Stali przed Warownią Darczyńców. Straż pospiesznie wypełniała wielki, kryty wóz darczyńcami z zamku Sylvarresta. Zabierali tylko pośredników Raja Ahtena, w tym i króla.

- Ja tam nierzeczywiście o tym nie wiem! - odparł kapitan z szorstkawym taifańskim akcentem i rozejrzył się niespokojnie dokoła. Jego ludzie porzucili posterunki i pobiegli do kuchni po prowiant. Część

oficerów grabiła skarbiec Sylvarresty, inni rozbijali witryny sklepów na rynku. Każda chwila rozmowy z Gabornem umniejszała łup, który kapitan mógłby schować do własnej kieszeni.

- Ja tylko robię, co każą - mruknął Gaborn, odwrócił się i ścisnął boki wierzchowca piętami, po czym szarpnął linkę, na której prowadził pozostałe cztery konie. To była decydująca chwila. Rumak Gaborna spłoszył się, położył uszy i zaczął toczyć ślepiami. Kilku żołnierzy wbiegło do Warowni Darczyńców, by też zerknąć chciwie do skarbcza.

Ogier Gaborna przymierzał się do ostatniego i kopnął go. Luzak obok też zaczął tańczyć i Gaborn musiał uspokajać zwierzęta, by nie wpadły w szal.

W tym czasie dokoła zaroilo się ludźmi. Żołnierze Raja Ahtena ganiali w różnych kierunkach, zbierając zapasy, broń, spędzając konie. Gdzieniegdzie kupcy próbowali ocalić te resztki dóbr, które im jeszcze zostały.

- Stadź! - krzyknął kapitan do Gaborna, który zaprowadzał porządek w swej karawanie. - Wsadzę gróla na gonią. Gdóry est dla niego?

Gaborn uniósł oczy do nieba, jakby odpowiedź była oczywista. Gdyby naprawdę był stajennym, wiedziałby, który wierzchowiec jest najspokojniejszy, i sam bym zadbał, aby zidiociały król nie spadł z siodła. Jego rumak, na którym wczoraj przyjechał do miasta, został wyćwiczony w rozpoznawaniu żołnierzy Wilka po ubiorze i ciągle próbował

sięgać ich zębami i kopytami. Kręcił się niespokojnie i rzucał łbem, nie wiedząc, co robić.

Jego zdenerwowanie udzielało się pozostałym rumakom.

- A bo to wiadomo dzisiaj? - rzucił książę. - Czuję burzę w powietrzu. Wszystkie są jakieś spłoszone. - Spojrzał na konie. Po prawdzie dwa wydawały się nieco spokojniejsze.

Zamieszanie nie robiło na nich większego wrażenia. - Daj pan króla na Powstańca, z niego nie spadnie nawet w galopie! - Gaborn poklepał deresza, któremu właśnie z konieczności wymyślił imię. - Księżniczka niech siada na jego siostrę, Nagrodę. Ich Dzienniki niech jadą na tych płochliwszych, najwyżej sobie dupy poobijają, mało mnie to obchodzi. I trzeba uważać na pas u strzemięcia przy siodle króla. Jest trochę luźny. A Sygnaturka niech pojedzie na samym końcu. Wierzga. - Gaborn podał linkę kapitanowi, przekazując mu pieczę na wszystkich czterech luzakami. I już chciał odjechać.

- Czegaj! - krzyknął kapitan. Tak, jak Gaborn się spodziewał. Książę obejrzał się znudzony.

- Sam władujesz gróla na siodło! Wszystgich wsadzisz na siodła i odprowadzisz gonie do bramy.

- Nie mam czasu! - zaprotestował Gaborn. Żeby dostać jakąś robotę, czasem najlepiej bronić się przed nią rękami i nogami. - Chcę zobaczyć, jak żołnierze będą wyjeżdżali!

- Bez gadania! - wrzasnął kapitan.

Gaborn wrzusił ramionami i popędził konie na dziedziniec Warowni Darczyńców, gdzie stał wielki wóz.

Jak dotąd nikt nie podprowadził jeszcze koni do wozu, dyszel opierał się po prostu na ziemi.

Gaborn zajrzał do środka. Starał się nie wpatrywać zbyt natarczywie w Iomę.

Otarł rękawem pot z czoła, zeskoczył z konia i pomógł dziewczynie wdrapać się na siodło. Nie miał pojęcia, jak księżniczka jeździ konno, i odetchnął z ulgą, widząc, że lekko sadowi się na klaczy i wprawnie bierze wodze.

Z bełkoczącym królem było trudniej. Patrzył na wszystko z przerażeniem, próbował łapać konia za szyję i ledwo znalazł się na górze, zaraz chciał zejść. Chociaż kiedyś był świetnym jeźdźcem, teraz śladu po jego umiejętnościach nie zostało. Gaborn pojął, że będzie

musiał całkiem dosłownie przywiązać go do łąku.

Sięgnął zatem po linkę, na której prowadził luzaki, obwiązał króla dwa razy w pasie i z przodu przymocował linę do łąku, z tyłu zaczepił ją o pętle od juków.

Serce podchodziło mu do gardła: podejmował szalone ryzyko, Ioma trzymała się w siodle, ale król mógł stworzyć masę problemów.

Zamierzał przeprowadzić ich przez bramy miasta, a potem galopem skierować się w lasy, pod opiekę wojsk Ordenu. Miał nadzieję, że żaden z łuczników nie śmie ustrzelić króla. Jako pośrednik był zbyt cenny dla Raja Ahtena.

Najbardziej jednak księżę obawiał się pościgu.

Szczęśliwie wierzchowiec Sylvarresty wydawał się bardziej zaintrygowany niż wystraszony zachowaniem jeźdźca. Przywiązany król zajął się z dużym zapałem głaskaniem i całowaniem końskiego karku i ani w głowie mu było złączyć z siodła.

Raj Ahten pochylił się nad krwawymi plamami na ziemi pośród brzoź. Wyżej na zboczach, w plamie słonecznego światła, stali jego doradcy i dwóch strażników.

Tutaj panował cień. Wilk całkiem sam próbował odszukać zapach Gaborna i starał się, jak tylko mógł.

- To właśnie tam! - zawołał jeden z dowódców.

Ziemia pachniała jednak tylko pleśnią, humusem i zgniłymi liśćmi. Po pożarze Ogrodu Czarnoksiężnika deszcz naniósł też sporo popiołu. Chociaż... woń krwi żołnierza była wyraźnie wyczuwalna.

Księżę przeszedł przez ogród Binnesmana, przez co jego własny zapach krył się pod wonią rozmarynu, jaśminu, traw i wielu jeszcze innych roślin. Ponadto ludzie Raja Ahtena zdeptali sporo śladów, krążąc tu w nocy całym tłumem.

Im Wilk dłużej wąchał, tym mniej czuł.

Jednak żaden z psów tropiących nie miał szansy sprawić się równie dobrze jak on.

Uklęknął na ściółce i w skupieniu wciągnął powietrze. Powoli sprawdzał, co czuje. Popętlął kawałek między drzewa. Może młodzieniec zahaczył gdzieś dalej o gałązkę czy o pień olchy.

Gdyby tak, zostawiłby wyraźny ślad.

Nie znalazł niczego w pobliżu plam krwi, obok jednak trafił na coś ciekawego.

Piżmowy zapach kobiety, dziewczyny pracującej w kuchni. Dziwne, że tropiciele go przeoczyli. Może to tylko przypadek, a może ta kobieta towarzyszyła księciu.

Raj Ahten nagle uświadomił sobie coś i wstał. Pół tuzina spłoszonych tym ziąb zerwało się z pobliskiego drzewa. Wilk posłuchał wiatru szumiącego w listowiu.

Znał zapach tej dziewczyny, już ją spotkał...

Dziś rano.

Minął ją tuż przy bramie zamkowej.

Raj Ahten miał dary rozumu ponad tysiąca ludzi. Pamiętał każde uderzenie swego serca, każde usłyszane kiedykolwiek słowo. Odtworzył wygląd kobiety, przynajmniej od tyłu.

Kształtna młódka w płaszczu z kapturem. Ciemna brunetka z długimi włosami. Stała obok posągu z szarego kamienia. Resztę wspomnienia przysłoniła mgła, która znowu nadpełzła, nieoczekiwanie mieszając myśli.

Chociaż nie... jasne, że nie, przypomniał sobie Wilk. To nie był posąg. To coś się ruszało. Jednak gdy mijał to miejsce, widział jakby tylko kamień.

Próbował odtworzyć twarz „posągu”, pomyśleć o nim jak o człowieku z krwi i kości. Ale nie mógł. Ciągle widział go niedokładnie. Owszem, posąg przedstawiał

chłopaka... bez twarzy. Zwykły chłopak w prostym, brudnym płaszczu. Oboje stali na ulicy blisko tego miejsca, gdzie zamordowano później tkaczkę płomieni.

Zaraz, zaraz. Ich zapach... Raj Ahten przypomniał go sobie, uchwycił. Tak, tutaj też się pojawił. I jeszcze... w stajni. Raj Ahten widział przecież tego młodzieńca ledwie chwilę temu. Właśnie w stajni.

Wilk pamiętał dokładnie wszystkie minione lata, a mimo to nie potrafił odtworzyć oblicza osoby, którą spotkał kilkanaście minut wcześniej. Starał się, ale zamiast niego ujrzał

drzewo: wielkie drzewo w sercu mrocznego lasu. Było tak wielkie, że jego rozkołysane gałęzie zdawały się sięgać gwiazd. Pod drzewem było spokojnie, bardzo spokojnie.

Raj Ahten przyjrzał mu się, a gdy uniósł ręce, poczuł na dłoniach ciepło gwiazdznego blasku.

Przenikało go z wolna.

Zatęsknił, by stać się tym drzewem i też poddawać się łagodnie wiatrowi.

Nieruchomo, całkiem nieruchomo, stać pnem w jednym miejscu, korzeniami sięgnąć głęboko w ziemię, gdzie wędrują łaskoczące robaki. Oddychać pełną piersią, pozwalać ptakom skakać i śpiewać na gałęziach, więc gniazda w rozwidleniach, szukać pędraków pod korą.

Wstrzymał oddech i stanął pomiędzy drzewami puszczy. Spojrzał na swoich mniejszych braci. Cieszył się omywającym go wiatrem, wiatrem przemykającym powyżej.

Uspokajająca pieśczoła... Wszystkie nadzieje i ambicje gdzieś uleciały. Oto ideał: drzewo, spokojne, nieruchomo drzewo... Ach, stać tak wiecznie!

Nagle ogień ogarnął jego pień.

Raj Ahten otworzył oczy. Przed nim stał jeden z tkaczy płomieni i mierzył weń oskarżycielsko ognistym palcem.

- Co robisz, panie? Stoisz tu już całe pięć minut!

Zdumiony Raj Ahten wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się niespokojnie po gaju.

- Ja... Gaborn jest wciąż w mieście - powiedział. Nie potrafił jednak opisać chłopaka, nie widział jego twarzy. Skoncentrował się. Przed oczami przesunęły mu się kamienie, samotna góra, przepaść.

Dlaczego nie mogę dojrzeć jego twarzy? Potem zerknął raz jeszcze na drzewa wkoło i zrozumiał. Gaj nie był wielki, ale stanowił odnogę Mrocznej Puszczy. Była w nim moc.

- Podpal ten las - powiedział tkaczowi.

I czym prędzej pobiegł do bram miasta z nadzieją, że jeszcze nie jest za późno.

Zlany potem Gaborn poganiał konie przez dolny dziedziniec. W bramie miejskiej tłoczyli się żołnierze.

Za murami miasta kłębiło się pięć tysięcy rycerzy na wierzchowcach okrytych najpiękniejszymi ladrami, jakie wykuwali płatnerze Sylvarresty. Czarnymi, wypolerowanymi ladrami.

Jednak to, że aż tyle wojska zdążyło już opuścić miasto, wcale nie ułatwiało sprawy.

Taka armia nigdy nie maszeruje sama, towarzyszą jej kucharze, płatnerze, krawcy, tragarze, rzemieślnicy wyrabiający strzały, prostytutki, praczki i inne jeszcze osoby, które teraz wypełniały ulice. Raj Ahten przywiódł łącznie siedem tysięcy żołnierzy, ale kolejny tysiąc osób podążał za wojskiem. Płatnerze zaprzęgali konie na dziedzińcu, dzieci kręciły się pod nogami. Maślaną nadbiegły dwie krowy i zaczęły przebijać się przez tłum.

W zamieszaniu Gaborn wyjechał z miasta, prowadząc wierzchowca Iomy, dalej jej ojca i obojga Dzienników. Cały czas musiał powstrzymywać swojego ogiera od kopania i gryzienia każdego wojaka ze znakiem czerwonego wilka, herbem Raja Ahtena, na tarczy lub na płaszczu.

Jakiś ciemnonolicy sierżant wyciągnął ręce po wodze ogiera.

- Dawaj mi tego konia, chłopcze! Biorę go! - krzyknął.

- Raj Ahten kazał mi go pilnować - powiedział Gaborn. - To koń dla Jureema.

Sierzant cofnął rękę jak oparzony i odprowadził wierzchowca tęsknym spojrzeniem.

Gaborn parł przez ciżbę ku masie żołnierzy rozstawionych na poczerniałej trawie przed bramą.

Co jakiś czas obracał się, by spojrzeć na króla.

Sylvarresta szczyrzył zęby, machał rękami, rozglądał się radośnie jak typowy idiota. Dobrze wyćwiczony ogier Gaborna bez większego trudu znajdował drogę w tłumie i torował szlak pozostałym koniom.

Przy poczerniałych szczątkach bramy powstał zator czekających na przejście po nadwerezonym moście. Przepaloną część już prowizorycznie naprawiono.

- Droga dla króla! Uwaga na rumaka króla! - krzyknął Gaborn. Mijając bramę, spojrzął na mury. Łucznicy strzegli ich całą masą, ale większość zeszła już z posterunków. Chwila, i był po drugiej stronie. Nie ufał do końca uszkodzonemu mostowi, mógł

nie utrzymać ciężaru konia z jeźdźcem, chociaż na dziurę narzucono kilka desek. Nie wyglądały zbyt pewnie, zsiadł więc, Iomie polecił zrobić to samo. Tylko króla zostawił w siodle, potem przeprowadził ostrożnie wszystkie wierzchowce. Wmieszali się w tłum wojska.

Żołnierze spoglądali nerwowo na wzgórze. Woleliby jak najszybciej wyruszyć w drogę. Oddziały stały w wyjątkowo zwartych szykach, jak zwykle, gdy istnieje ryzyko niespodziewanego ataku. Rogi Ordenu grały im niespełna godzinę wcześniej i ponure nastroje widać jeszcze nie przeszły.

Ioma przeszła po moście i Gaborn pomógł jej się wspiąć na siodło. Prowadząc jej wierzchowca po polnej drodze, nie puszczał wodzy, jakby był stajennym dostarczającym rumaka w nakazane miejsce.

Nagle z tyłu wybuchło jakieś zamieszanie.

- Ty tam, księżę Orden! - zawołał mocny głos. Gaborn skoczył na siodło i spiął konia.

- Galop! - krzyknął.

Ogier pojął polecenie i wyrwał do przodu tak błyskawicznie, że księżęomal nie spadł.

Wybierając konie w stajniach Sylvarresty, ufał, że zostały wdrożone do pogoni.

Nie pomylił się - pognały niczym wiatr. Miały silne nogi i szerokie piersi, hodowano je wyraźnie z myślą o polowaniu w lasach.

Jakiś obdarzony lepszym refleksem żołnierz próbował zagrozić Gabornowi drogę.

Zdążył nawet prawie dobyć topora.

- Bij! - krzyknął Gaborn i koń skoczył. Uderzył wojownika przednim kopytem, aż ten padł z głową rozplataną krawędzią podkowy.

- Zatrzymać ich! Zatrzymać, zanim dotrą do lasu! - wołał z muru Raj Ahten, a jego głos wracał odbity echem od wzgórz.

Gaborn wypadł na otwarte pole. Obok jechała krzycząca coś Ioma. W ręce ścisnęła wodze konia, na którym kolebał się ojciec.

Para Dzienników została w tyle. Jakiś żołnierz złapał Dziennika króla za płaszcz i ściągnął go z siodła, gdy koń zaczął stawać dęba. Zaraz opadło go jeszcze trzech innych. Dziennik Iomy, szczupła kobieta o prosto zarysowanej linii ust, przestała w zamieszaniu panować nad wierzchowcem i została mocno w tyle.

Tuzin rycerzy wypuścił konie za uciekinierami, ale Gaborn wiedział, że nie musi się ich obawiać. Mieli ciężkie rumaki, hodowane do walki, które nie miały szans w takim biegu, szczególnie

z opancerzonymi jeźdźcami na grzbiecie. Ale na polu nie brakowało też koni wzmocnionych darami, o nadnaturalnej sile i wytrzymałości.

Książę obejrzał się i krzyknął do Iomy, by jeszcze przyspieszyła. Miał tylko krótki miecz, o wiele za mało, by poważić się na walkę z takimi przeciwnikami.

Byli też jeszcze łucznicy na murach, wielu miało potężne, stalowe łuki bijące na pięćset stóp. Kilkudziesięciu nałożyło już strzały na cięciwy. Wprawdzie na taki dystans nie

byli w stanie dokładnie mierzyć, ale któraś ze strzał mogła dojść celu przypadkiem. Z jednako fatalnym skutkiem.

Koń Gaborna galopował tak płynnie, jakby zrodził go wiatr. Dudniąc kopytami, uniósł uszy i zadarł ogon, zadowolony, że opuścił ciasną stajnię. I gnał tak, znowu wolny, niczym burza.

Las był z każdą chwilą coraz bliżej.

Strzała świsnęła księciu koło szyi, otarła się o ucho wierzchowca. Z tyłu rozległ się bolesny kwik. Gaborn obejrzał się. Koń Dziennik Iomy dostał strzałą w kark i potknął się, a dosiadająca go kobieta, zdumiona niepomiernie, z ustami ułożonymi w idealny okrąg, przeleciała nad jego głową i padła na poczerwiałe pole. Z jej pleców też sterczała czarna strzała.

Tuzin łuczników strzelił jednocześnie i chmura strzał poszybowała w kierunku Gaborna po długiej krzywej.

- W prawo! - krzyknął książę i pozostałe trzy konie posłusznie zmieniły kierunek biegu, omijając miejsce upadku pocisków.

- Łucznicy, przerwać! - wrzasnął wściekły Raj Ahten. Ci głupcy gotowi byli zabić jego darczyńców!

Pięć tuzinów rycerzy cwałowało przez poczerwiałe i naznaczone szczątkami niełudów i olbrzymów pole ku niskim wzgórzom, u podnóża których spalone drzewa wyciągały ku niebu kikuty konarów. Jeśli nie zdołają dopaść księcia, nim wjedzie do lasu, pomyślał Raj Ahten, to drań gotów naprawdę uciec do swoich.

Jakby dla potwierdzenia podejrzeń Wilka, z lasu dobiegł samotny i płaczliwy zew rogu. Ktoś był na szczycie pierwszego wzgórza i dawał ludziom Ordenu sygnał do ataku.

Ilu ich mogło kryć się w gąszczu?

Dwaj tkacze płomieni wbiegli na mur obok Raja Ahtena. Bezwłosi mężczyźni aż promieniowali piekielnym żarem.

Wilk tylko wskazał im kierunek. Wciąż nie mógł dostrzec twarzy chłopaka. Ile razy Gaborn się odwracał, coś rozmywało jego rysy. Widział jednak plecy, sylwetkę.

- Rahjim, widzisz tego młodzieńca, który zostaje z tyłu i szykuje się do walki?

Spal go.

Ciemne oczy tkacza pojaśniały z zadowolenia. Sapnął nerwowo, aż dym poszedł mu z nozdrzy.

- Tak, o Wielki.

Mag nakreślił palcem w powietrzu run ognia, potem uniósł wysoko rękę i wystawił na chwilę w kierunku słońca. Niebiosa nagie pociemniały, gdy promienie słoneczne splotły się w powróż płynnego jedwabiu i spłynęły na otwartą dłoń, aż cała wypełniła się kipiącym ogniem.

Rahjim przetrzymał energię przez mgnienie oka, aby lepiej ją zogniskować, po czym cisnął z całą mocą.

Gaborna rzuciło aż na koński kark, gdy ładunek trafił go w plecy. Książę poczuł gorąco. Strzała? pomyślał. Nie, ogień, palę się...

Jeden z rycerzy Raja Ahtena dogonił Iomę i próbował złapać wodze jej wierzchowca.

Gaborn zdarł brudny i obszarpany płaszcz i cisnął go w powietrze akurat na czas, by ujrzeć, jak

bucha płomieniami. Uznał, że pewnie pokrywające materię błoto dało mu tę bezcenną chwilę, nim płaszcz zajął się cały. Szmata poleciała w kierunku prześladowcy Iomy i spadła prosto na pysk jego konia. Wyglądało to tak, jakby ktoś tu uprawiał

sztuki magiczne.

Zwierzę kwiknęło przerażone i zrzuciło jeźdźca.

Gaborn obejrzał się. Był już setki jardów od tkaczy płomieni. Za daleko, by mogli go razić naprawdę groźnymi zaklęciami. Niemniej chybiwszy za pierwszym razem, teraz wściekną się i dadzą pokaz swoich możliwości.

W dali krętej drogi znów rozległ się róg wzywający do szarży. Gaborn pomyślał z przerażeniem, że jeśli Ordenowi rzeczywiście teraz zaatakują, do Raj Ahten dowie się, jak niewielu ich jest.

Niebo znów pociemniało, tym razem na dłużej. Gaborn obejrzał się, dostrzegł

tkacza z uniesionymi rękami i jasną kulą płynnego ognia formującą się między palcami.

Książę przycisnął głowę do karku wierzchowca, aż woń przesiąkniętej słodkawym potem sierści wypełniła mu nozdrza.

Droga przed nim skręcała na wschód, chociaż potem prowadziła na południe. Była szeroka i pylista, jak zwykle o tej porze roku, gdy wędrowały po niej tysiące kupców. Przemykała obok poczerniałych drzew i zmierzała ku puszczańskiemu wzgórzu, z którego odzywał się róg. Ale gdyby Gaborn zjechał tutaj ze szlaku i ściał zakręt, dopadłbym las o wiele szybciej.

A tam tkacze płomieni nie mogliby go już dostrzec. Byłby bezpieczniejszy.

- W prawo! - krzyknął, zjeżdżając z drogi. Wierzchowiec Iomy też posłuchał, a koń z królem na grzbiecie po prostu ruszył jego śladem. Przy nagłym skręcie Sylvarresta przestraszył się ciężko, zawył i przytulił się do karku rumaka. Gaborn tymczasem spał swego ogiera do skoku nad poczerniałą kłodą.

Po lewej przemknęła kula ognia wielka jak porządny wóz, mimo że ciśnięta z takiej odległości musiała stracić wiele ze swojej mocy i objętości. Uderzyła w poczerniałą ziemię, aż buchnęło gorącym i błysnęło, a w powietrze wzniosła się cała masa popiołu.

Ale Gaborn był już o skok drzew, był już wśród nich. Co chwila skręcał, by mieć jakiś pień pomiędzy sobą a tkaczami. Nawet martwe, opalone drzewa dawały osłonę.

Żołnierze Raja Ahtena nie zaniechali jednak pogoni. Przeklinali głośno w mowie południowców, ich twarze wykrzywiała wściekłość. Byli bez płaszczy, z dużymi obszarami gołej skóry, co przypomniało Gabornowi o ziołach, które dostał od Binnesmana.

Miał je ciągle w zawieszonym na szyi woreczku.

Ziele ruty.

Sięgnął po mieszek, zdarł go z szyi, otworzył i pomachał nim w powietrzu.

Skruszone na proszek liście poleciały gęstą chmurą.

Efekt był wręcz piorunujący.

Żołnierze, którzy wpadli w chmurę, zaczęli się dławić. Konie kwiknęły z bólu i padły bez zmysłów. Ludzie podnieśli krzyk, w ziemię z chrzęstem uderzył metal. Gaborn się obejrzał.

Ponad dziesięciu rycerzy leżało w koleinach, reszta oddalała się od powalonych w niewytłumaczalny sposób towarzyszy. Większość uznała widocznie, że mądrzej będzie nie pchać się w pobliże tego grającego co pewien czas rogu, bo zawrócili galopem do miasta.

Gaborn wjechał na małe wzniesienie. Droga wiła się stąd ku wąskiej dolinie.

Wśród poczerniałych drzew blisko szczytu następnego pagórka stał jeden samotny wojownik na nie opancerzonej siwej klaczy. Na lewym ramieniu nosił tarczę nie większą niż spory talerz.

Borenson. Czekał. Białe zęby błysnęły z gęstej rudej brody, gdy uśmiechem witał księcia. Gaborn nie sądził, że widok odmalowanego na tarczy zielonego rycerza domu Ordenów może mu kiedyś sprawić tyle radości.

Borenson uniósł róg, zadał weń, wygrywając znów ten sam sygnał, i ruszył pędem ku Gabornowi. Jego klacz przeskoczyła ciało martwego olbrzyma i pognąła w dół zbocza.

- Łucznicy, szykować się! - krzyknął bez sensu, bo dolina za nim była pusta, tylko drzewa i skały. Z tulei przy siodle wyciągnął długi bojowy topór i wywinął nim nad głową. Z hukiem przegalopował obok Gaborna, żeby osłonić jego ucieczkę.

Tylko jeden wojownik Raja Ahtena zapędził się aż na tę stronę wzgórza.

Wielki mąż na czarnym rumaku z uniesioną niczym smuga blasku białą kopią. Gaborn błyskawicznie zawrócił konia, ale jeszcze się obejrzał. Pod złotym płaszczem rycerz nosił czarną zbroję z czerwonym wilkiem. Kopia była szkarłatna od krwi. Na hełmie miał wymalowane białe skrzydła, co sugerowało, że nie jest zwykłym żołnierzem, ale jednym z dowódców gwardii Raja Ahtena, Niewidzialnym noszącym co najmniej pięćdziesiąt darów.

Borenson nie mógł się z nim równać. Ale i tak wypuścił ku niemu konia. Kopyta klaczy wyrzucały wielkie pacyny suchej ziemi.

Dopiero wtedy Gaborn zrozumiał: oddziały ojca wycofały się, nie przybędą mu na pomoc. Borenson musi zabić tego rycerza, nawet za cenę własnego życia, bo inaczej Raj Ahten pozna prawdę.

Gaborn dobył miecza.

Niezwyciężony parł naprzód, złożył się do uderzenia kopią. Sterczała przed nim niewzruszona, jak zastygła.

Borenson uniósł wysoko topór. Oby udało mu się odbić kopię, zanim go dosięgnie jej grot.

Ale rycerz Wilka miał mnóstwo darów i Gaborn nie wiedział, co naprawdę potrafią Niezwyciężeni, jakie sztuczki znają, jak walczą.

Niemal dokładnie w chwili, gdy Borenson powinien się nadziać na kopię, rozległo się głośne „Na bok!”, a jego koń odskoczył i wierzgnął.

Kopia ugodziła w szyję zwierzęcia. Dopiero wtedy Gaborn ujrzał, że był to szczególny oręż, zespolony metalowymi szpilami z rękawicą jeźdźca. Pomagało to w walce z przeciwnikami w zbrojach płytowych, bo dawało gwarancję, że drzewce nie wymknie się z okrytej stałą dłoni, gdy grot trafi na twardą przeszkodę.

Z drugiej strony odrzucić taką kopię można było, jedynie zdejmując rękawicę.

Niezwyciężony nie skruszył jej przy uderzeniu i jako że grot utkwiał w końskiej szyi, kopia wyłamała mu ramię. W końcu pękła, ale wcześniej zgruchotała rycerzowi kilka kości.

Niezwyciężony zawył wściekle. Bezwładna i bezużyteczna prawa ręka zwiśla mu z boku, wciąż ze szczątkami kopii u rękawicy.

Nim sięgnął lewą ręką po nabijaną ćwiekami maczugę, Borenson zdążył zeskoczyć z siodła i zadać przeciwnikowi cios toporem, tak mocny, że ostrze przecięło zbroję, przeszło przez skórzany kaftan i wbiło się głęboko w dołek obojczyka. Borenson, który podążył za bronią, uderzył wielkiego rycerza tarczą, a impet sprawił, że obaj przetoczyli się przez zad konia i spadli na ziemię.

Normalnego człowieka już by to zabiło, ale oszalały Niezwyciężony tylko krzyknął z zapalem i odepchnął Borensona na kilka jardów.

Zaraz też skoczył na równe nogi i ujął maczugę. Gaborn zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek nie zasłużył jednak w pełni na swoje miano, czy rzeczywiście nie był niezwykły. Niektórzy z

tych rycerzy mieli ponad dwadzieścia darów sił

życiowych, mogli więc przeżyć niemal każdy, najgorszy nawet cios.

Wojownik runął na leżącego Borensona tak szybko, że wyglądał jak rozmazana smuga. Ten kopnął go okutym w stal butem. Słysząc było, jak kostka Niezwycięzonego pęka z suchym trzaskiem. Mimo to zamachnął się maczugą. Borenson przyjął cios na krawędź tarczy, jednak impet wcisnął mu dolny jej brzeg w brzuch.

Borenson aż jęknął.

Gaborn był już prawie obok. Skoczył z konia i Niezwycięzony zaczął się obracać na jego spotkanie, unosił już maczugę, gotów zmiażdżyć księcia żelaznymi kolcami...

Hełm nie pozwalał mu jednak na szerokie spojrzenie, przez co dojrzał wyraźnie przeciwnika dopiero wówczas, gdy obrócił się w pełni. Za późno. Gaborn przemknął pod maczugą i wraził Niezwycięzonemu sztych w oko.

Miecz wszedł bez większego oporu. Księżę poszedł za ciosem, rzucił tamtego z hukiem na plecy i upadł na niego. Przez chwilę leżał nieruchomo i walczył o odzyskanie tchu.

Potem spojrzał Niezwycięzonemu w twarz, żeby sprawdzić, czy atak się powiodł.

Klinga zagłębiła się w oczodół aż po rękojeść, przebiła czaszkę i wyszła tyłem hełmu.

Nawet Niezwycięzony nie mógł przetrzymać tak fatalnej rany. Zwiotczał martwy, sflaczał jak meduza.

Gaborn usiadł, wciąż wstrząśnięty tak bliskim spotkaniem ze śmiercią. Szybko jednak doszedł do siebie, sprawdził, czy nie jest ranny, i spojrzał w górę zbocza w obawie, że zaraz pojawi się tam następny rycerz.

Spróbował oswobodzić miecz z blach hełmu. Ostrze ani drgnęło.

Księżę stanął na czworakach i wciąż dysząc, poszukał spojrzeniem Borensona.

Wojownik leżał na brzuchu i wymiotował na drogę.

- Miłe spotkanie, przyjacielu - powiedział z uśmiechem. Miał wrażenie, że uśmiecha się po raz pierwszy od paru tygodni, chociaż przecież rozstał się z Borensonem ledwie dwa dni temu.

Borenson splunął na ziemię, otarł usta i też uśmiechnął się do Gaborna.

- Lepiej ruszaj stąd dupę, nim sam Raj Ahten przyjedzie - rzucił.

- Jemu też damy radę.

- Nie żartuję - warknął Borenson. - Nie wypuści cię tak łatwo. Nie rozumiesz, że przybył na Pomoc tylko po to, żeby zniszczyć ród Ordenów?

21

POŻEGNANIE

W Warowni Darczyńców Chemoise pomagała ojcu wstać z posłania wymoszczonego słomą i suszoną lawendą. Kosztowało ją to wiele wysiłku, w końcu jednak dotarli na trawiasty dziedziniec, gdzie czekał wielki wóz, który miał go zabrać z powrotem na południe.

Był rosły, ale nie jego waga stanowiła największy problem, tylko przykurczone nieustannie mięśnie. Chwytał ją za ramiona tak silnie, że palce wpijały się w skórę niczym szpony. Nogi miał zbyt sztywne, by samodzielnie stawiać kroki.

Czuła, że zawiodła go lata temu, gdy pozwoliła mu wyruszyć na Południe, przeciwko Rajowi Ahtenowi. Obawiała się wtedy, że nigdy nie wróci, że zginie, ale od dawna uważała to za zwykłe, dziecinne lęki. Teraz jednak, gdy odkryła, co go spotkało w niewoli, była skłonna uznać tamte myśli za przecucie, wizję zesłaną być może przez dawno zmarłych przodków.

Taszczyła zatem nie tylko ojca, ale i brzemię porażki, która naznaczyła wszystkie minione lata. To, że była brzemienna, tylko powiększało jej przygnębienie - nie było stosowne, by przyzwoitka

księżniczki zachodziła w ciążę.

Zachodnia Wielka Sala w Warowni Darczyńców była ogromna, na trzy piętra wysoka, co noc spało w niej tysiąc pięciuset mężczyzn. Podłogę wyłożono gładkimi, orzechowymi deskami, w każdej ścianie był kominek pozwalający ogrzać pomieszczenie jak zima długa.

Wschodnia Wielka Sala, po drugiej stronie dziedzińca, była schronieniem dla pięciuset kobiet.

- Gdzie...? - spytał ojciec, gdy ciągnęła go wzdłuż dwóch rzędów materacy, na których leżeli darczyńcy.

- Na południe, zapewne do Longmot - odparła Chemoise. - Raj Ahten kazał was zabrać.

- Na południe - wyszeptał z niepokojem ojciec.

Mijali darczyńcę, który właśnie zanieczyścił swoje posłanie. Gdyby miała trochę czasu, zajęłaby się nim, ale wóz mógł odjechać w każdej chwili, a ona nie mogła ryzykować rozdzielenia z ojcem.

- Ty... jedziesz? - spytał.

- Oczywiście - stwierdziła. W rzeczywistości nie mogła mu tego obiecać, ale zamierzała zdać się na miłosierdzie ludzi Raja Ahtena. Miała nadzieję, że pozwolą jej troszczyć się o ojca. Na pewno pozwolą, powtarzała sobie. Darczyńcy potrzebują opieki.

- Nie! - jęknął ojciec. Zaprzestał prób ożywienia nóg, które zwisły bezwładnie, aż Chemoise zatoczyła się z nim na bok. Wytrzymała i to. Wlokła go, mimo że się opierał. - Pozwól mi... umrzeć! - wyszeptał stanowczo. - Podaj... truciznę. Żebym zachorował. Żebym umarł.

Bolały ją te prośby. Samobójstwo było dlań jedynym sposobem, żeby osiągnąć boleśnie Raja Ahtena. Jednak Chemoise nie potrafiła nawet pomyśleć o zabiciu kogokolwiek z tych ludzi, chociaż wiedziała, jak straszny żywot wiodą niekiedy przykuci łańcuchami do brudnej podłogi. Wciąż miała nadzieję, że jej ojciec wróci któregoś dnia, cały, w pełni sił.

Wytaszczyła go przez wielkie, dębowe odrzwia na jasne światło dnia. Wiatr niósł woń deszczu. Wszędzie kręcili się żołnierze Raja Ahtena. Przeszukiwali wciąż skarbiec i zbrojownię nad kuchniami. Na ulicy słyszała brzęk tłuczonego szkła i krzyki kupców.

Dociągnęła ojca do wielkiego, krytego wozu. Boki i dach miał z grubych, dębowych desek i tylko mały, okratowany otwór pozwalał na dopływ świeżego powietrza.

Jeden z żołnierzy złapał jej ojca za kark i wrzucił na wóz jak worek ziarna.

- To je osztań - stwierdził z akcentem świadczącym, że pochodzi z Muyyatinu.

- Tak - odparła Chemoise. Wszyscy służący Rajowi Ahtenowi za pośredników znaleźli się już na wozie. Strażnik odwrócił głowę.

Chemoise spojrzała w stronę bramy i zdumiała się na widok Iomy, króla Sylvarresty, dwojga Dzienników i księcia Ordona, którzy wyjeżdżali właśnie z warowni i zmierzali Rynkową ku bramie miejskiej.

Chciała jechać z nimi albo przynajmniej krzyknąć do nich, błogosławić im na drogę.

Poczekala jednak, aż strażnik ułoży jej ojca między innymi. Wóz zakołysał się lekko. Z przodu woźnica doprowadzał fachowo cztery konie do dyszla i przypinał je kolejno.

Chemoise wspięła się na stopień i zajrzała do wozu. Na słomie leżało czternastu darczyńców. Wnętrze cuchnęło zastarzałym potem i uryną, które od dawna widać wsiąkały w deski. Dziewczyna poszukała miejsca, gdzie by mogła usiąść między głuchymi, ślepymi i zidiociałymi nieszczęśnikami. Nagle strażnik zauważył Chemoise.

- Nie! Ty nie! - krzyknął i wypchnął ją z wozu.

- Ale to mój ojciec! - jęknęła Chemoise.

- Nie! Ty nie jechacz! - powtórzył strażnik, zagradzając drogę. Chemoise cofnęła się.

Spróbowała poszukać zaczepu dla stóp na drabnie z tyłu, ale strażnik ją spostrzegł i zepchnął również stamtąd.

Upadła ciężko na ubitą ziemię.

- To wojszkowe. Tylko dla wojszka - powiedział strażnik, machając groźnie dłonią.

- Czekaj! - krzyknęła Chemoise. - Tam jest mój ojciec! Strażnik tylko spojrzał

na nią obojętnie, jakby sam pomyślał, że córka może kochać ojca, był dlań osobliwą fanaberią.

Położył dłoń na rękojeści szabli, którą nosił u pasa. Chemoise wiedziała już, że nie da się przekonać, nie okaże miłosierdzia.

Z krzykiem i gwizdaniem woźnica strzepnął lejcami i konie ruszyły. Otoczony strażą wóz wyjechał z Warowni Darczyńców.

Chemoise nie mogła iść za nim do Longmot. Wiedziała, że nigdy już nie ujrzy ojca.

22

TRUDNY WYBÓR

Borenson uśmiechał się do Gaborna i patrzył, jak na twarzy księcia pojawia się wyraz zrozumienia - zaczynał pojmować, że Raj Ahten przybył głównie po to, by usieć ich obu, ojca i syna. Borenson zaś poczuł, że ogarnia go czarna rozpacz.

Spojrzał na króla Sylvarrestę. Nie jestem mordercą, powiedział sobie. Nie jestem.

Zawsze starał się być dobrym żołnierzem. Chociaż żył dla miecza i dzięki mieczowi, nie lubił

zabijać. Walczył, aby bronić życia przyjaciół. Unicestwienie ich wrogów nie było dlań celem

samym w sobie. Nawet jego towarzysze broni go nie rozumieli. Owszem, śmiał się w walce, ale nie dlatego, że lubił rozlew krwi. Już dawno się nauczył, że to najlepszy sposób, aby zasiać strach w sercach przeciwników.

Dostał jednak od króla wyraźny rozkaz: zabić darczyńców Raja Ahtena, nawet jeśli będzie wśród nich jego przełożony i najdroższy przyjaciel - syn królewski.

Starczyło spojrzenie, aby poznać, że Sylvarresta utracił swoje dary. Zidiociały, nie potrafił już nawet siedzieć samodzielnie na koniu, oczy rozszerzone miał strachem. Musieli go aż przywiązać do łąku.

Borenson pomyślał, że ta dziewczyna obok króla to albo Ioma, albo królowa, chociaż która, trudno było powiedzieć, skoro utraciła dar urody. Skórę, miała szorstką jak popękany rzemień.

Nie jestem mordercą, powtórzył sobie Borenson, wspominając minione lata, kiedy Orden świętował Hostenfest z Sylvarrestą. Wonie pieczonej wieprzowiny, młodego wina i rzepy zawsze rozchodziły się daleko i mocno. I jeszcze świeży chleb z miodem i pomarańcze z Mysterrii. Sylvarresta nigdy nie szczędził ani wina, ani żartów.

Gdyby Borenson nie uważał, że król to ktoś nieporównanie znaczniejszy od niego, chętnie nazywałby Sylvarrestę swoim przyjacielem.

Na wyspie Thwynn, gdzie urodził się Borenson, zasady gościnności jasno powiadały, że skrzywdzenie lub zamordowanie kogoś, kto cię żywił, jest najcięższą zbrodnią. Takich złoczyńców zabijano bez litości. Borenson widział kiedyś, jak prawie ukamienowano pewnego mężczyznę, który jedynie obraził gospodarza.

To Ioma. Dopiero teraz ją poznał, a i to nie po rysach, lecz po zgrabnej sylwetce.

Pamiętał, jak pewnego wieczoru, siedem lat temu, siedział w Warowni Króla przy huczącym ogniu i popijał korzenne wino. Orden z Sylvarrestą opowiadali sobie o zabawnych zdarzeniach z poprzednich polowań. Głośny śmiech obudził młodą Iomę w pokoju powyżej, przyszła więc posłuchać.

Ku zdumieniu Borensona księżniczka siadła mu na kolanach i wystawiła stopy do ognia. Nie

wybrała ani króla, ani żadnego z ich strażników. Wybrała jego i siedziała tak potem, patrząc sennie w jego rudą brodę. Była piękna już jako dziecko i Borenson poczuł

przyływ instynktu opiekuńczego. Wyobraził sobie, że pewnego dnia też będzie miał równie udaną córkę.

Teraz uśmiechał się do Gaborna i starał się ukryć wściekłość i obrzydzenie do siebie, że będzie musiał wykonać rozkaz. Ale przecież nie jestem mordercą...

Ze wzgórza zbiegł rumak zabitego Niezwycięzonego. Uszy położył po sobie, stanął i rozejrzał się spokojnie dokoła. Ioma podjechała do niego, zaczęła coś do niego szeptać, wzięła wodze. Spróbował ją ugryźć, ale uderzyła go po żelaznym naczółku w okolicy chrap, żeby wiedział, kto tu rządzi. Potem przywiodła konia Borensonowi.

Podjeżdżając, zeszywniała w siodle. Spojrzała na rycerza z lękiem w żółtych oczach.

- Proszę, panie Borenson.

Nie od razu przyjął wodze. Stała w zasięgu ciosu, mógłby ją zabić samą pięścią, złamać jej kark. Ale stała obok i chciała mu pomóc. Raz jeszcze był jej gościem. Nie potrafił uderzyć.

- Oddałeś dziś wielką przysługę memu ludowi, wywabiając Raja Ahtena z zamku Sylvarresta - powiedziała.

W Borensonie zakiełkowała nieśmiała nadzieja. Może ona nie jest pośrednikiem Wilka? Może jedynie, aczkolwiek trudno w to uwierzyć, oddała własny dar, co nie stanowiło większego zagrożenia dla Mystarrii? Gdyby tak było, miałby pretekst, aby ją oszczędzić.

Z ciężkim sercem przejął wodze. Ogier nie zareagował na jego obcą zbroję.

Zamiótł tylko ogonem, odganiając muchy.

- Dziękuję, księżniczko - odparł. Mam rozkaz cię zabić, powiedziałby najchętniej, wolałbym więc cię nigdy nie spotkać. Jednak wcześniej musiał poznać lepiej plan Gaborna. Może księżę miał jakiś powód, aby sprowadzić króla i Iomę, powód, którego Borenson nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

- Słyszałam wiele rogów w lasach - zagadnęła Ioma. - Gdzie reszta waszych ludzi?

Chciałabym im podziękować.

Borenson odwrócił się.

- Pojechali godzinę temu.

To nie była dobra pora na rozmowy. Zdjął swoją broń z martwego konia, przeniósł ją na zdobycznego wierzchowca i skoczył na siodło.

Pogonili przez poczerniały las do drogi, a potem ruszyli nią, pokonując kolejne wzgórza, aż dotarli do pierwszych żywych drzew, obietnicy schronienia.

Przy szemrzącym strumieniu na skraju lasu Gaborn zarządził postój. Nawet konie z runami siły na karkach i piersiach musiały chwilę odpocząć i nieco się napić. Ponadto na brzegu strumienia leżał żołnierz Ordenu. Z szyi sterczała mu czarna pika niełudów. Ponure przypomnienie, że chociaż niebawem znajdą się w lesie, niebezpieczeństwo nie zniknie.

Borenson przez cały ranek polował ze swoimi na niełudy i rozgonił ich oddziały, wszelako były to stworzenia urodzone do nocnych łowów i zwykle działały w małych grupach. Niektóre z nich zawędrowały niewątpliwie do lasu i kryły się obecnie w cieniu, czekając na sposobność do podjęcia polowania.

Gdy koń pił, Gaborn zsiadł i obejrzał ciało żołnierza. Uniósł zasłonę hełmu.

- Ach, biedny Torin - mruknął Borenson. Martwy teraz mężczyzna był dobrym żołnierzem, z wielkim talentem do morgensterna.

Torin nosił zwykły strój wojownika z Mystarrii. Czarną kolczugę łańcuszkową na kaftanie z

owczej skóry okrywał ciemnogrnatowy płaszcz z herbem Mystarrii, zielonym rycerzem, a ściślej - jego okolonym dębowymi liśćmi brodatym obliczem. Gaborn przesunął palcami po obrysie znaku.

- Piękne kolory - szepnął Gaborn. - Trudno o piękniejszy strój. - Zaczął zdejmować odzienie z Torina. - To już drugie zwłoki, które dziś okradam - mruknął, zniesmaczony tą koniecznością.

- Ale tym samym nadajesz nową godność tej podłej profesji - skomentował Borenson, nie chcąc wnikać publicznie w gnębiące go problemy polityczne. Gdy spojrzął na Iomę, dostrzegł w jej oczach lęk.

Wiedziała, co mu nakazano. Nawet ona wiedziała.

Jeden Gaborn wydawał się niczego nieświadomy. Oszalał czy co? A może nie dorósł jeszcze do takich myśli? Co go w ogóle podkusiło, żeby uciekać Ahtenowi z kobietą i idiotą na postronku? Najlepszy koń na niewiele się zdaje, jeśli ktoś nie potrafi go dosiadać, a Sylvarresta wyraźnie tego nie umiał.

- Gdzie jest mój ojciec? - spytał księżę, odzierając trupa.

- Nie domyślasz się? - odpalił Borenson, nie przygotowany na to pytanie. - W tej chwili winien być jakieś pięćdziesiąt mil od Longmot i pewnie ma nadzieję dotrzeć do zamku przed zmrokiem. Raj Ahten trzyma tam czterdzieści tysięcy drenów zakopanych pod zagonami rzepey w majątku Bredsfor. Wiesz, gdzie leży ta włość?

Gaborn pokręcił przecząco głową.

- Droga to trzy mile na południe od zaniku. Szary budynek z ołowianym dachem i dwoma bocznymi skrzydłami. Przejeliśmy wiadomość od księżnej Laren, która powiadała, że za dzień czy dwa ma tam dotrzeć wielka armia Raja Ahtena. Twój ojciec chce ją uprzedzić i przejąć skarb.

- Raj Ahten o tym wie? - spytał Gaborn, ściągając z poległego kolczugę. - To dlatego wyjeżdża z zamku Sylvarresta? Chce odzyskać dreny?

Gaborn uznał to za oczywisty przejaw szalonej skłonności do podejmowania ryzyka. Gniewnie rozpiął zmarłemu kaftan. Borenson zastanawiał się, co też może chodzić księciu po głowie. Czy nie rozumie, że trzeba zabić Sylvarrestę? Co on sobie myśli?

- Twój ojciec chciał przekonać Wilka, że Longmot padł już kilka dni temu - wyjaśnił.

- I że od tamtej pory nic, tylko przyjmuje dary na kopy.

- Desperacka zagrywka - mruknął Gaborn, na wszelki wypadek oglądając uważnie kaftan w poszukiwaniu pcheł lub wszy, jednak jeśli nawet żerowały kiedyś na Torinie, to musiały go opuścić, gdy ostygł.

Księżę włożył kaftan i kolczugę, narzucił płaszcz, chociaż wszystko to było nieco na niego za duże. Obok prawej ręki Torina leżała mała okrągła tarcza: drewniana, obita cienką mosiężną blachą i pomalowana na ciemnogrnatowo. Dolna krawędź była obciążona i zastrzona, żeby można było poderżnąć nią przeciwnikowi gardło jak nożem. Tak małe tarcze nosili zwykle tylko wojownicy z darem metabolizmu, którzy poruszali się szybko i sprawniej władali lekką bronią. Gaborn wziął tarczę.

- A co z Rajem Ahtenem? - spytał Borenson. - Widziałem, że zbiera się do wymarszu, ale czy na Longmot?

- Jest dokładnie tak, jak ojciec chciał. Wyruszy za godzinę. Borenson skinął głową. Słońce odbiło się w jego błękitnych oczach i uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech ulgi.

- Powiedz mi - spytał półszepem - dokąd ich zabierasz? - Wskazał na Iomę i jej pozbawionego rozumu ojca.

- Do Longmot. Wybrałem najlepsze konie z królewskich stajni. Będziemy przed zmrokiem.

Może i tak, o ile twoi podopieczni wiedzą, jak się jeździ, chciał powiedzieć Borenson, ale tylko

oblizwał wargi.

- To długa i ciężka droga. Może lepiej będzie zostawić tu Sylvarrestę, mój panie? - szepnęła tonem przyjacielskiej porady. Jak mógł, ukrywał prawdziwe znaczenie tych słów.

- Żeby po tylu staraniach wpadł z powrotem w ręce Ahtena?

- Nie strugaj ze mnie wariata. - Borenson w końcu nie wytrzymał. Twarz zapłonęła mu gniewem, ręce aż mu chodziły. - Sylvarresta od dawna był naszym przyjacielem, ale teraz służy Wilkowi. Ile darów rozumu mu przekazuje? Ile darów urody przekazuje mu księżniczka?

- To nieważne. Nie zabiję przyjaciół.

Borenson zamilkł na chwilę, żeby nieco opanować wzbierającą w nim pasję. Czy naprawdę stać cię na podobną wspaniałomyślność?! chciał krzyknąć, ale nie śmiał zwracać się tak ostro do Gaborna. Zaczął więc go przekonywać: - Oni nie są już naszymi przyjaciółmi.

Służą Rajowi Ahtenowi.

- Mogą być jego pośrednikami, ale wybrali życie, aby nawet tak służyć swemu ludowi.

- I pozwalając Rajowi Ahtenowi zniszczyć Mysterię? Nie oszukuj się. Oni służą twojemu wrogowi, mój panie. Wrogowi tak twojemu, jak i twojego ojca, wrogowi całej Mysterii. I mojemu też! To bierna służba, owszem, ale nie są przez to wcale mniej groźni niż jego wojownicy.

Och, jak Borenson czasem zazdrościł darczyńcom, obrastającym dzięki bogactwu swych panów w tłuszcz i rozpieszczanym na wszystkie sposoby.

Gaborn musiał oczywiście widzieć, że Borenson służy swemu panu ze wszystkich sił, dzień i noc, krwawi na tej służbie, poci się i cierpi. Przyjął dar metabolizmu, przez co starzał się dwa razy szybciej niż inni. Chociaż metrykalnie miał dopiero dwadzieścia lat, czyli niewiele więcej od Gaborna, zaczynał już łysieć, a w brodzie pojawiły mu się siwe pasma.

Dla niego życie przemykało obok niczym brzeg widziany z łódki niesionej wartkim nurtem. Wszystko zostawało bezpowrotnie w tyle, a on nie miał nawet czasu, by uchwycić się czegokolwiek, cokolwiek złapać.

A tymczasem ludzie podziwiali darczyńców za ich „ofiarność”. Własny ojciec Borensona oddał jeszcze przed urodzeniem syna pewnemu rycerzowi dar metabolizmu. Od tamtego czasu leżał w magicznym odrętwieniu, a Borenson miał to za szczególne oszustwo, że jego ojciec wciąż jest młody i nawet nie cierpi, podczas gdy ten, kto ma jego dar, starzeje się szybciej i słabnie. I co to za ofiara?

Nie, takich jak Borenson służba swym panom kosztowała o wiele więcej niż tych przeklętych darczyńców, którzy bali się przeżyć samodzielnie swe życie.

- Musisz ich zabić - syknął Borenson.

- Nie mogę.

- No to, na wszelakie straszliwe Moce, ja będę musiał to zrobić! - jęknął rycerz.

Sięgnął po topór i zerknął na króla.

Ioma usłyszała szcęk wyciąganej broni, wzdrygnęła się i spojrzała na Borensona.

- Wstrzymaj się - powiedział miękko Gaborn. - Rozkazuję ci. Są pod moją opieką.

Ślubowałem im to.

Poryw wiatru zamiótł kurz z drogi.

- A ja mam rozkaz zabić darczyńców Raja Ahtena.

- Odwołuję ten rozkaz - obwieścił stanowczo Gaborn.

- Nie możesz - odparł z napięciem Borenson. - To rozkaz twojego ojca, a on jest wyższy rangą niż ty! Twój ojciec tak kazał i chociaż ciężka to powinność, muszę ją wypełnić.

Cokolwiek sobie myślisz, ja służę i będę służył królowi Ordenowi!

Borenson nie chciał kłótni. Kochał Gaborna jak brata, ale zaczynał się gubić. Jak ma służyć

wiernie rodowi Ordenów, jeśli ojciec i syn są odmiennego zdania w tak ważnej kwestii?

W odległym zamku Sylvarresta zagrały surmy bojowe. Raj Ahten zarządził wymarsz wojsk. Borensonowi serce zabiło. Jego ludzie mieli opóźnić marsz tej armii i w tej chwili powinni gnać czym prędzej do Dziczego Brodu, gdzie mogli coś wskórać.

Borenson odwiesił topór, sięgnął po róg i zadał dwa razy długo, raz krótko. Sygnał dobycia broni. Dla oddziałów Raja Ahtena znak, że nie można wykluczyć zasadzki i lepiej uważać po drodze. Borenson niemal pożałował, że nie ma tu swoich ludzi i nie może ruszyć do walki.

Na razie jednak czuł się nazbyt na widoku, stojąc tak na skraju lasu. Gaborn zdjął Torinowi hełm, nałożył go i spojrzął na Borensona.

- Słuchaj, jeśli mamy czterdzieści tysięcy drenów, to mój ojciec nie musi zabijać swych przyjaciół. W tej sytuacji lepiej będzie zabić Raja Ahtena, a wtedy Sylvarresta wróci na tron.

- Trochę boję się tego „jeśli” - powiedział Borenson. - Czy możemy ryzykować? A co, jeśli Raj Ahten zabije twojego ojca? Oszczędzając Sylvarrestę, narażasz być może na śmierć ojca.

Gaborn pobrał. Dostrzegając niebezpieczeństwo, bez wątpienia rozumiał, o jaką stawkę przyszło mu grać... Chociaż nie, pomyślał Borenson. Chłopak jest zbyt niewinny.

- Nie pozwolę, żeby do tego doszło - powiedział Gaborn. Borenson wznosił oczy do nieba i zacisnął zęby.

- Ja też nie - odezwała się Ioma, które przeprowadziła już konia na drugi brzeg strumienia. - Prędzej sama się zabiję, niż dozwolę, by ktokolwiek jeszcze ucierpiał za moją przyczyną.

Borenson starał się mówić jak najciszej, aby księżniczka nie słyszała, ale oczywiście uniósł się w gniewie. Zastanowił się. W tej chwili król Orden galopował z tysiącem pięciuset ludzi do Longmot. Wysłano wieści o pomoc do innych zamków i zapewne jeszcze przed świtem przybędzie stamtąd trzy do czterech tysięcy zbrojnych.

Ale Raj Ahten stał na czele sporej armii, która urośnie jeszcze, gdy pojawią się posiłki z Południa. Król Orden musiał więc przejąć te dreny. Gdy już tego dokona, będzie mógł zamknąć się w zamku Longmot. Nie ma w tym królestwie twierdzy, która lepiej nadawałaby się do obrony.

Ciężkie czasy wymagają niezwykłych wyborów. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Raj Ahten miał tyle darów od swych poddanych z Południa, że gdyby Borenson zabił Sylvarrestę i Iomę, to i tak nie pomógłby Ordenowi. W każdym razie Gaborn zdawał się w to wierzyć.

Z drugiej strony, czasy też były niepewne. Orden i inni królowie wysyłali na Południe zabójców. Podczas nieobecności władcy mogli się tam pojawić zdrajcy gotowi skorzystać ze sposobności i powiększyć własne wpływy. Trudno było wykluczyć i taką możliwość, że w pewnej chwili dary przyjęte w Heredonie zyskają wielce na znaczeniu.

Borenson powinien jednak zabić oboje pośredników. Westchnął. Sięgnął po topór i ścisnął łydkami boki konia.

Gaborn złapał wodze jego rumaka.

- Trzymaj się od nich z daleka! - warknął tonem, którego Borenson nigdy jeszcze u niego nie słyszał.

- Wypełniam tylko obowiązek - mruknął ze smutkiem Borenson. Nie chciał tego robić, ale rozum podpowiedział mu, że nie ma innego wyjścia.

- A moim obowiązkiem jest chronić Iomę i jej ojca - powiedział Gaborn. - Tak, jak czynią to Związani Przysięgą Władcy Runów!

- Związani Przysięgą? - spytał niedowierzająco Borenson. - Co to za głupota? -

Teraz dopiero pojął, dlaczego przez ostatnie dwa tygodnie podróży Gaborn był taki milkliwy,

jakby odległy. Po raz pierwszy w życiu zachowywał się tajemniczo

- To prawda. Ślubowałem Iomie.

- Kto przy tym był? - spytał odruchowo Borenson.

- Ioma i jej przyzwoitka.

Borenson zastanowił się, jak daleko rozeszła się już wiadomość o przysiędze. Może zdołałby coś uratować, zabijając wszystkich świadków?

- I jej Dziennik - dodał książę.

Wojownik położył topór na łęku i spojrzał ostro na króla Sylvarrestę. Teraz wiedzieć mogli już wszyscy. Przyzwoitka, kanclerz króla, cały Heredon. Nie zdoła zataić postępu Gaborna.

Który na dodatek patrzył teraz na przyjaciela z ogniem w oczach. - Nie brakuje mu odwagi, osłu patentowanemu! pomyślał Borenson. - Zamierza ze mną walczyć. Naprawdę by się na to porwał?

Borenson wiedział jednak, że to nie przelewki. Ślub Ochrony był poważną i świętą przysięgą.

Rycerz nie śmiał nadto podnieść ręki na księcia, to byłaby zdrada stanu. Nawet gdyby uczynił to w dobrej wierze, wykonując rozkaz króla, nie uniknąłby później egzekucji za uderzenie następcy tronu.

Gaborn patrzył mu natarczywie w oczy.

- Jeśli nie uznajesz mojego prawa do zmiany rozkazu ojca - powiedział w końcu - to nakazuję ci poczekać z jego wykonaniem, aż dotrzemy do Longmot i porozmawiam z moim ojcem.

Gaborn mógł dojechać tam nawet przed Borensonem. Wtedy król sam rozplacze tę łamigłówkę.

Borenson zamknął oczy i opuścił z rezygnacją głowę. Zgadzał się.

- Jak rozkażesz, mój panie - powiedział, jednak upiorne poczucie winy go nie opuszczało.

Otrzymał rozkaz zabicia darczyńców z zamku Sylvarresta i gdyby unicestwił króla i Iomę, mógłby oszczędzić wszystkich innych, którzy przekazywali swe dary przez tych dwoje.

Jednak zabicie Sylvarresty byłoby zwykłym okrucieństwem. Niezależnie od ceny Borenson nie chciał mordować kogoś, kogo chciałby mieć za przyjaciela. Nie śmiał też unieść broni przeciwko swojemu księciu.

Borenson myślał gorączkowo. Spojrzał na króla, który pisnął ze strachu, gdy tuż nad jego głową przemknęła błękitna sójka.

Ale jeśli nie zabiję tych dwojga, to ilu będę musiał zgładzić w Warowni Darczyńców? Ile darów przyjął Sylvarresta? Czy życie tych dwojga warte jest więcej niż życie wszystkich ich darczyńców? Cóż złego uczynili tamci? Nikt z nich nie rzuciłby w naszych ludzi nawet zgniłym jabłkiem. Jednak samym swym istnieniem wzmacniali Raja Ahtena.

Zamyślony głęboko Borenson zacisnął zęby. W kącikach jego oczu zaczęły się zbierać łzy. Każesz mi zabić wszystkich, którzy przekazują swe dary poprzez tych dwoje, myślał. Ale nie miał wyboru. Kochał księcia i zawsze wiernie mu służył. Jeśli jednak to zrobię, znienawidzę się do końca życia, stwierdził. Ale zrobię to dla ciebie.

- Nie! - krzyknęło coś w głębi jego umysłu. Borenson otworzył oczy i spojrzał Gabornowi w oczy. Książę puścił wodze jego rumaka i stał wyczekująco, jakby w każdej chwili gotów był ściągnąć Borensona z siodła.

- Prowadź ich w pokoju, mój panie - powiedział Borenson, starając się ukryć smutek.

Gaborn zaraz się odprężył.

- Potrzebuję broni - powiedział. - Mogę pożyczyć twoją?

Pod ręką była tylko czarna pika tkwiąca w gardle Torina. U siodła zdobycznego rumaka wisiał jednak młot bojowy, broń raczej mało elegancka. Borenson wiedział, że Gaborn woli robić szablą

lub mieczem, że wręcz uwielbia szybką szermierkę, ale młot też miał zalety: był idealny w walce z przeciwnikiem w kolczudze, mógł rozbić zbroję lub hełm. W takiej walce miecz był mniej przydatny.

Borenson wyciągnął młot i rzucił go Gabornowi. Wciąż nie było mu łatwo, hamował się, żeby nie zaatakować Sylvarresty. Nie jestem zabójcą, powtarzał sobie. Nie jestem. Nie moją sprawą jest walczyć z księciem, zabijać królów.

- Spiesz do Longmot - powiedział w końcu z westchnieniem. - Wyczuwam nadchodzącą burzę. Zatrę twój ślad, utrudnię tropicielom robotę. Jedź najpierw główną drogą na południe, ale przed Wzgórzami Ardamonu skręć w las: most Hayworth został spalony.

Musisz na przełaj dotrzeć do Dziczego Brodu. Wiesz, gdzie to jest?

Gaborn pokręcił głową. Skąd miał wiedzieć?

- Ja wiem - odezwała się Ioma.

Borenson przyjrzał się jej. Spokojna, mimo brzydoty pewna siebie. Księżniczka nie okazywała strachu. Przynajmniej wiedziała, jak dosiadać konia.

Borenson podjechał do biednego Torina, wyciągnął z ziemi pikę, którą Gaborn wyrwał z szyi zabitego i rzucił grotem do przodu księżniczce. Złapała ją jedną ręką.

- Nie będziesz nas eskortował? - spytał Gaborn.

Czy on naprawdę ciągle nie rozumie, co muszę teraz zrobić? zdumiał się Borenson.

Nie chciał zwierzać się księciu z zamiaru złożenia wizyty w zamku Sylvarresta.

Nie, uznał w końcu, on rzeczywiście nie wie. Jest zbyt niewinny. Gdyby cokolwiek przeczuwał, próbowałby go powstrzymać.

Na to zaś Borenson nie mógł pozwolić. Sam się tym zajmę, pomyślał. Wezmę na siebie odpowiedzialność za całe to zło, niech ta krew splami moje ręce, byś ty nie musiał brudzić swoich.

- Wzywają mnie inne obowiązki - powiedział, potrząsając głową. Wolał skłamać, niż zranić. - Będę śledził armię Raja Ahtena. Chcę mieć pewność, że nie zboczy niespodziewanie z drogi, by zaatakować w innym miejscu.

Po prawdzie chciałby dotrzymać towarzystwa Gabornowi, dopilnować, żeby bezpiecznie dotarł do puszczy, jednak nie ufał sobie wystarczająco, by zostać z nim chociaż godzinę. Poczucie obowiązku mogło wrócić w każdej chwili, i to na tyle silnie, że zwróciłby się przeciwko Gabornowi, zabił dobrego króla Sylvarrestę.

- Jeśli ci to pomoże, to po przyjeździe do Longmot powiem ojcu, że nie spotkałem cię w lesie - zaproponował książe. - Przecież nie musi wiedzieć.

Borenson obojętnie skinął głową.

23

ZACZYNA SIĘ POLOWANIE

Raj Ahten stał z zaciśniętymi pięściami nad ciałem Niezwycięzonego. U stóp wzgórza jego armia maszerowała na Longmot. Oddziały łuczników wypełniały drogę, przesuając się wśród czarnej puszczy niczym złoty wąż.

Kanclerz Jureem przykląkł przy powalonym żołnierzu i brudząc szaty, obejrzał pozostawione w popiele ślady. Nie trzeba było wielkiej wprawy, by pojąć, co tu się stało: jeden człowiek, tylko jeden człowiek pokonał mocarnego Niezwycięzonego, potem ukradł

jego konia i odjechał z Gabornem, królem Sylvarrestą i jego córką. Jureem poznawał leżącą nieopodal martwą klacz. Należała do gburowatego posłańca Ordenu.

Zrobiło mu się niedobrze na ten widok. Gdyby choć paru więcej żołnierzy wytrzymało w pościgu, Gaborn musiałby wpaść w ich ręce.

- Jest ich tylko pięcioro - powiedział Feykaald. - Jada raczej na przełaj niż drogą. Możemy wysłać tropicieli, tak z tuzin, ale z Ordenowymi w lasach nie ujadą pewnie daleko...

Raj Ahten zacisnął wargi. Jureem pomyślał, że Feykaald nie potrafi nawet dobrze liczyć. W drogę wyruszyło stąd czterech ludzi. Jego pan stracił już przez Gaborna dwóch zwiadowców, ileś tam psów bojowych, paru olbrzymów i jeszcze tkaczkę płomieni. A teraz Niezwycięzonego. Książę Orden wyglądał ledwie na wyrosniętego chłopca, ale Jureem zaczynał się zastanawiać, czy dzieciak nie nabrał przypadkiem w sekrecie całej masy darów.

Wojownicy Raja Ahtena nazbyt zlekceważyli potomka Ordena. I to nie raz. Sądząc po koniach, jakie wybrał ze stajni Sylvarresty, książę kierował się w lasy, z dala od drogi.

Ale dlaczego? Bo chciał zwabić Raja Ahtena w pułapkę? Czyżby miał skrytych w lesie żołnierzy? A może po prostu obawiał się podróżować drogą? Raj Ahten miał kilka potężnych rumaków z darami. Piękne konie, wyhodowane do gonitw po równinach i pustyniach, każdy z tysiącletnim rodowodem. Może chłopak wiedział, że jego wierzchowce na równym nie mają szans. Niemniej te górskie rumaki, z grubymi kośćmi i silnymi zadami, bez zbroi na dodatek, wśród pagórków będą niezrównane. Jureem podejrzewał, że Gaborn i Ioma znają te lasy lepiej niż którykolwiek ze szpiegów Wilka.

Doradca wciągnął niespokojnie powietrze i zaczął obliczać, ilu ludzi tu wysłać.

Gaborn Val Orden byłby bardzo przydatnym zakładnikiem, szczególnie gdyby wydarzenia w Longmot potoczyły się tak, jak Raj Ahten domniemywał.

W lasach zalegała cisza, chociaż jeszcze przed godziną rozbrzmiewało tu granie rogów bojowych Ordena. Najpewniej Gaborn był już ze swoimi i jechał otoczony setkami gwardzistów. Niemniej... nie można było tak po prostu pozwolić mu umknąć. Na samą myśl o ucieczce księcia krew się burzyła w Jureemie.

- Musimy wysłać ludzi, żeby odszukali chłopaka - doradził w końcu. - Może z setkę naszych najlepszych zwiadowców?

Raj Ahten wyprostował grzbiet.

- Nie. Dwudziestu najlepszych Niezwycięzonych. I każ zdjąć ladry z ich koni. I jeszcze dwadzieścia mastiffów, żeby podjęły trop.

- Jak każesz, mój panie - powiedział Jureem i odwrócił się, jakby chciał wykrzyczeć rozkazy do maszerującej w dole armii. Nagle jednak o czymś pomyślał. - Który z dowódców ma prowadzić pościg?

- Sam poprowadzę - odparł Wilk. - Polowanie na księcia może się okazać ciekawą i pożyteczną rozrywką.

Jureem zerknął w bok i uniósł ciemną brew. Skłonił się lekko na znak posłuszeństwa.

- Ale czy to mądre, mój panie? Inni też mogą się tym zająć. Ze mną włącznie. -

Na samą myśl o szaleńczej jeździe poczuł ból pośladków i wołał zamilknąć.

- Owszem, mogą, ale nie tak wytrwale jak ja.

24

NADZIEJA DLA UDRĘCZONEGO LUDU

Burza, która przeszła późnym rankiem, sprawiła, że droga do Longmot rozmiękła.

Król Orden galopował na południe, do odległego o dziewięćdziesiąt osiem mil Hayworth. Było to ciche miasteczko rozciągające się na brzegach rzeki Dwindell, wokół

małego młyna.

Jak okiem sięgnąć, na południe ciągnęły się łagodne wzgórza okryte roslymi dębami.

Ludzie żyli tu spokojnie. Większość trudniła się bednarstwem. Wiosną, kiedy rzeka wzbierała,

widowało się tutaj tratwy zbudowane z setek powiązanych razem baryłek splawianych na targ.

Mendellasowi Ordenowi wcale się nie podobało, że musi spalić most. Zatrzymywał się tu często w swoich podróżach i kosztował piwa warzonego w zajęzdzie Dwindell, który stał tuż przy moście, na niedużym cyplu.

Zanim jednak dotarł do miasta, deszcz rozpadał się na dobre. Wielkie krople, które przeszkadzały jego wojsku, ściekały też pomiędzy czterocalowymi deskami mostu.

Jego ludzie spróbowali zaproszyć ogień pod pomocnym przyczółkiem, gdzie rosły gęsto krzewy jeżyn, ale spływająca z drogi woda nie pozwoliła im na to. Orden sądził, że może kilka nasączonych olejem pochodni coś da, ale i z nimi nic nie wskórali.

Chwilę potem Orden przeklął swe pieskie szczęście - paru miejscowych sprowadziło oberżystę, starego Stevedore'a Harka. Król wiele razy korzystał z jego gościnności.

- Proszę, proszę co wasza królewska mość tu porabia? I co właściwie robią ludzie waszej wysokości? - spytał wojowniczo brnący błotnistą ulicą oberżysta. Tysiąc pięciuset zbrojnych Ordena nie zrobiło na nim wrażenia. Był to gruby mężczyzna w workowatych spodniach, z fartuchem na obszernym brzuchu. Twarz poczerwieniała mu pod siwiejącą brodą, deszcz spływał po policzkach.

- Obawiam się, że muszę spalić wasz most - odparł Orden. - Dziś wieczorem nadejdzie tędy Raj Ahten. Nie mogę pozwolić, by siedział mi na karku. Chętnie wynagrodzę miastu tę szkodę.

- Ech, nie sądzę, by tak łatwo to waszej wysokości poszło - roześmiał się oberżysta. -

Radzę raczej zajrzeć do mnie i wypić coś zacnego. Służę też gulaszem dla waszej wysokości i jego dowódców, chociaż trochę jeszcze może być surowy.

- Dlaczego nie mogę spalić mostu?

- Bo jest magiczny. Piętnaście lat temu trafił go piorun i spalił do cna. No to jak go odbudowaliśmy, poprosiliśmy jednego czarnoksiężnika wodnego, by rzucił na niego zaklęcie. Ogień nie ima się tego drewna.

Orden stał w deszczu i czuł, jak z wolna opuszcza go nadzieja. Gdyby miał własnego wodnego mistrza, łatwo mógłby zdjąć to zaklęcie. Ale nie miał nikogo. Zresztą przy podobnej ulewie most pewnie i tak by nie spłonął.

- No to będziemy musieli go porąbać - powiedział.

- Spokojnie, nie trzeba - mruknął gniewnie oberżysta. - Jeśli wasza wysokość chce, żeby nie było mostu, to starczy go rozebrać, byle tylko zostawić nam belki i deski, to go sobie później odbudujemy. Przechowamy je we młynie.

Orden rozważył propozycję. Stevedore Hark był kimś więcej niż tylko oberżystą. Był też burmistrzem i miał głowę do interesów. Most został zrobiony z wielkich, łączonych na kołki belek wspartych na trzech kamiennych filarach osadzonych w dnie rzeki.

Rozmontowanie go musiało potrwać nieco dłużej niż jego zniszczenie, ale półtora tysiąca ludzi to całkiem pokaźna siła robocza. Konie, nawet te z darami, potrzebowały odpoczynku.

No i pozostawała jeszcze kwestia przyjaźni. Zniszczenie mostu nie uszłoby mu tak całkiem bezkarnie. Podczas następnej podróży do miasta z pewnością odkryłby, że całe piwo zwietrzało.

- Skoro tak, to chętnie wstąpię do ciebie na obiad, przyjacielu - powiedział Orden. -

Ale najpierw zajmiemy się ukryciem waszego mostu.

Dogadali się.

Deszcz padał coraz mocniej, żołnierze wzięli się do pracy, Orden zaś poszedł do gospody, gdzie siadł zadumany przed wielkim, buzującym kominkiem.

Obiecano mu nie dogotowany gulasz, ale pół godziny później oberżysta podał świeży chleb i pieczone z jednego ze słynnych wielkich dzików, na które polowano w Mroczej

Puszczy. Wspaniała woń zdradzała, że mięso zostało przyprawione pieprzem i rozmarynem, a marynowano je w ciemnym winie, pieczone zaś było na marchewkach, leśnych grzybach i orzechach laskowych. Smakowało równie dobrze, jak pachniało.

To wszystko było, oczywiście, jawnym bezprawiem. Zwykli ludzie nie mogli polować na królewskie dziki. Po prawdzie Stevedore Hark zasłużył na chłostę.

Wszelako sprawił się wyśmienicie - obiad był godnym poczęstunkiem, który w zamiarze Harka miał podnieść króla na duchu, wyszło jednak odwrotnie. Orden wpadł w ciężką melancholię i siedząc przed ogniem, gładził tylko brodę i rozmyślał.

Ile razy ucztował w tej oberży z Sylvarrestą? Ile razy kosztowali tu darów pobliskiej puszczy? Ile razy podniecał się graniem ścigających dzika ogarów, ile razy ciskał potem włócznią w zagonionego zwierza? Gościnność oberżysty i wspaniały obiad sprawiły, że król Orden poczuł się bardzo... samotny.

Pięć lat temu, gdy Mendellas Orden zjechał tu na polowanie, do gospody wdarł się zabójca. Odszukał królową i zamordował ją w łóżku wraz z nowo narodzonym dzieckiem.

Zdarzyło się to ledwie sześć miesięcy po poprzednim ataku, w którym zginęły dwie córki Ordena. Za zabójcą ruszyła wściekła pogoń, jednak udało mu się ująć. Tropiciele zgubili ślad w górach na południe od Mystarrii. Mógł zatem uciekać do Inkarry albo i na południowy zachód, do Indhopalu.

Orden stawiał na Indhopal lub Muyyatin. Nie mógł jednak uderzyć na sąsiadów bez dowodów, na ślepo. Czekał zatem i czekał, aż zabójcy powrócą. Aż przyjdą po niego.

Nie przyszli.

Jednak wiedział, że i tak stracił część swego jestestwa. Stracił żonę, miłość jedyną i największą. Nie ożenił się po raz wtóry i nie zamierzał tego zrobić w przyszłości. Skoro nie można naprawdę zastąpić niczym straconej nogi lub ręki, jak można mieć nadzieję na zastąpienie utraconej połowy siebie?

Ból nie malał z latami. Wielość darów rozumu pozwalała Ordenowi pamiętać doskonale głos i twarz żony. W snach wciąż spotykał Corette, rozmawiał z nią. Często, gdy budził się chłodnym, zimowym rankiem, dziwił się w pierwszej chwili, że nie ma jej obok, że nie grzeje się przy nim, jak robiła to za życia. Nie potrafił opisać tego dojmującego poczucia straty, chociaż raz próbował je sam sobie wyjaśnić.

Nie było tak, żeby nie widział dla siebie przyszłości. Nie uważał wcale, że wszystko się dlań skończyło. Jeśli Moce pozwolą, będzie żył dalej bez żony. Został mu przecież syn, który dopiero miał wejść w wiek męski. Nie czuł też, żeby została przekreślona przeszłość, bo pamiętał smak pocałunków Corette w noc poślubną, pamiętał, jak płakała z radości, gdy pierwszy raz karmiła Gaborna. Nie, to czas teraźniejszy przestał dlań istnieć.

Stracił teraz. Możliwość przebywania w towarzystwie żony, kochania jej, dzielenia z nią każdej chwili.

I gdy tak siedział w gospodzie i jadł wyśmienitą dziczyznę podaną mu na porcelanowym talerzu, pojął, że właśnie utracił coś jeszcze.

Gwałtownie zubożała przeszłość. Masa dobrych wspomnień stanie się wkrótce źródłem kolejnych cierpień. Król Sylvarresta najpewniej żył jeszcze, ale był pewien rozkaz i był Borenson, który rychło, może jeszcze tego wieczoru, spróbuje ów rozkaz wykonać. Orden stanie się z konieczności katem człowieka, którego nad wyraz umiłował i podziwiał. Gorzka to przyprawa do wspaniałego dania, ponury postępek.

Stevedore Hark zauważył zapewne, że Orden jest przygnębiony, podawszy bowiem niektórym z

jego dowódców cienki gulasz, przysiadł się na chwilę do monarchy.

- Wczoraj wieczorem przyszedły wieści z zamku Sylvarresta - szepnął. - Złe wieści.

Najgorsze, jakie w życiu słyszałem.

- Najgorsze od paru pokoleń - mruknął Orden i spojrzął na starego oberżystę.

Stevedore'owi przybyło w tym roku nieco siwizny na bokobrodach, włosy też miał bardziej białe niż szpakowate.

Powiada się, że Władcy Czasu potrzęsają raz do roku srebrnym dzwonkiem, a kto go usłyszy, ten się o rok starzeje. Jeśli kogoś nie lubią, dzwonią mu częściej, ich ulubieńcy zaś nie słyszą dzwonka nigdy.

Tego lata Władcy Czasu nie darzyli chyba Harka sympatią. Oczy miał podkrążone. Z braku snu? Otrzymał fatalne nowiny, nie mógł pewnie zasnąć w nocy.

- Sądzisz, wasza wysokość, że zdołasz odeprzeć potwora? - spytał. - Góruje nad tobą liczebnie.

- Mam nadzieję go powstrzymać - odparł Mendellas.

- Jeśli ci się uda, wasza wysokość, zostaniesz naszym królem - stwierdził beznamiętnie oberżysta.

Orden nie rozważał dotąd tej możliwości.

- Nie, wasza dynastia nie wygasła. Jeśli nawet Sylvarresta zginie, to następna do sukcesji jest księżna Arens.

- Niepodobna. Ludzie jej nie zechcą. Wyszła za mąż w Seward, a to za daleko, by stamtąd władać. Jeśli ocalisz Heredon, wasza wysokość, lud nie będzie chciał nikogo prócz ciebie.

Ordenowi serce zabiło żywo na te słowa. Zawsze kochał lasy i wzgórza Heredonu, kochał jego czysty i przyjazny lud, wonne powietrze.

- Wypędzę Raja Ahtena - powiedział, chociaż wiedział, że to nie starczy. Nie starczy wygnać go z tej krainy, trzeba będzie pogonić go dalej. Wilka nie da się przepłoszyć, to nie szczeniak. Trzeba zatłuc go jak wściekłego psa.

Oczami wyobraźni ujrzał czekającą go wojnę, pojął, że będzie musiał uderzyć z wiosną na Południe, na Deyazz, Muiyatin i Indhopal, stamtąd zaś na Khuram, Dharmad i dalsze jeszcze królestwa. Aż zabije wszystkich darczyńców Raja Ahtena i będzie mógł zabić samego Wilka.

Jeśli wygra tę wojnę, splądruje zdobyte tereny. Większość królestw Południa nic go nie obchodziła, ale musiał pamiętać o jednym: o kopalniach krwawego metalu. Tych w Kartishu, na południe od Indhopalu.

Zmienił temat rozmowy. Zaczął wspominać z oberżystą polowania z Sylvarrestą.

- Jeśli przyjdzie taki dzień, że zostanę królem Heredonu, zaproszę cię na następne polowanie - zażartował.

- W rzeczy samej, obawiam się, że to jedyny sposób, by powstrzymać mnie od kłusownictwa, wasza wysokość - zaśmiał się Stevedore Hark i klepnął króla w plecy. Mało kto w Mysterii poważiłby się na taką poufałość.

Orden jednak pomyślał, że Sylvarrestę przyjaciele klepali tak wiele razy. Taki to był człowiek. Ciepły i bezpośredni, a jednak monarcha.

- No to jesteśmy umówieni, przyjacielu. Weźmiesz udział w moim następnym polowaniu. Teraz jednak... Dziś wieczorem armia Ahtena podejdzie do rzeki i odkryje, że nie ma mostu. Mam do ciebie prośbę. Przypomnij im, że Dziczy Bród jak raz nadaje się do przeprawy.

- Chyba sami tam pójda naturalnym biegiem rzeki, co?

- Są tu obcy. Ich szpiegowie mogli nie oznaczyć na mapach brodów. Może znają tylko mosty.

- Szykujesz dla nich, panie, jakąś niespodziankę? - spytał Hark i Orden skinął głową. - No to im powiem.

Obiecawszy to, oberżysta wrócił do pracy. Niedługo potem deszcz ustał, a król opuścił gospodę gotów do dalszego marszu.

Sprawdził jeszcze, co z mostem - rozebrano go do ostatniej deski, a cały budulec, nawet wielkie legary, złożono w bezpiecznym miejscu. Król poczekał jeszcze, aż ludzie i konie też coś przegryzą.

Dowódcy kupili ziarno dla wierzchowców i baryłki piwa dla ludzi. Chociaż stracili przez to godzinę, żołnierze znacznie zyskali na siłach i żwawo ruszyli w drogę, kierując się do Longmot.

Całe popołudnie przedzierali się przez wzgórza Durkin u stóp gór, żeby dotrzeć do fortecy przed zmrokiem.

Zamek Longmot stał na wąskim i stromym wzgórzu pomiędzy dolinami i dwoma miasteczkami, jednym na południu, drugim na zachodzie. Nie był tak wielki, jak niektóre twierdze, ale miał niewiarygodnie wysokie mury, z misternie wykutymi machikułami. Żołnierze mogli z nich słać strzały bezpośrednio w dół, lać wrzący olej lub miotać kamienie.

Nie było martwych stref ostrzału, na dodatek atakujący nie mieli większych szans odgryźć się obrońcom.

Same mury były nieznurwane. Wzniesiono je z ogromnych głazów - niektórych nie uciągnęłoby i tuzin koni - a jednak pasowały do siebie tak idealnie, że nie dałoby się znaleźć między nimi szczeliny dość obszernej, aby nawet palce wsunąć podczas wspinaczki.

Wielu uważało Longmot za niezdojty i rzeczywiście, dotychczas nikt nie pokonał jego murów. Zamek padł tylko raz, pięćset lat temu, gdy oblegający zdołali się podkopać pod zachodni mur, tak że się zawalił. Poza tym nie było nań sposobu.

Zbliżywszy się do Longmot, król Orden zatęsknił za jego bezpiecznym schronieniem.

Nie był nijak przygotowany na obraz zniszczenia, który ujrzał.

Podzamecza zostały spalone - setki domów, stodoł i magazynów zgorzało aż do kamiennych fundamentów. Z niektórych zgliszcz snuły się jeszcze nitki dymu. Na polach nie było ani jednej owcy, ani śladu bydła czy jakiegokolwiek innego zwierza.

Nad wieżami zamku łopotały szare proporce Longmot, kolejne zwieszały się z murów. Wszystkie jednak były poszarpane lub wręcz podarte. Na zewnętrznych murach widać było ledwie kilka tuzinów żołnierzy.

Orden spodziewał się ujrzeć miasteczka w takim stanie, w jakim widział je podczas ostatniej wizyty. Czyżby doszło tu do jakiejś bitwy, o której dziwnym zrzędzeniem losu nie usłyszał?

Potem pojął, co się stało. To załoga Longmot spaliła zabudowania i zagoniła inwentarz do zamku. Oczekiwali nadejścia okupacyjnej armii Raja Ahtena. Niszcząc podzamecza, chcieli pozbawić najeźdźcę dogodnego schronienia. W górzystym terenie, w przededniu zimy, brak dachu nad głową mógł być dotkliwy.

Gdy mała armia Ordenu zbliżyła się do bram zamku, król ujrzał wyraz wielkiej ulgi malujący się na obliczach obsady murów. Ktoś zadał w róg, rozległ się krótki sygnał zwiastujący, że dostrzeżono sojusznicze posiłki.

Opadł most zwodzony.

Gdy Orden wjeżdżał przez bramę, z zamku rozległy się wiwaty. Skromne dość, na tak niewiele głosów... Tego widoku nie oczekiwał: wszędzie pod murami leżały trupy, ranni mieszczanie siedzieli pod gołym niebem. Wielu nosiło zbroje, tarcze i hełmy zabrane pokonanym ludziom Raja Ahtena. Na parapetach murów widać było ślady krwi. Okna były powybijane, we wspornikach i drewnianych ścianach budynków tkwiły ciągle strzały, topory i włócznie. Wieża przy siedzibie władcy została

spalona.

Tam też, na zewnątrz Warowni Diuka, wisiał z okna sam diuk powieszony na własnych jelitach, dokładnie tak, jak opisała to diuszesa Emmadine Ot Laren.

Wszędzie widać było ślady walki i tylko garstkę tych, którzy przeżyli.

Kiedyś mieszkało tu pięć tysięcy ludzi. Pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy zębami, pazurami i nożami pokonali rycerzy Raja Ahtena. Nie byli żołnierzami z mnogością darów, brak im było lat ćwiczeń. Nie mieli broni. Dysponowali jedynie dwoma atutami - zaskoczeniem i wielką odwagą. Zyskali ledwie dzień. Dość, by uciekli z rodzinami ci, którzy obawiali się zemsty Raja Ahtena.

Orden sądził, że zostanie tu cztery do pięciu tysięcy ludzi gotowych wesprzeć obronę i wspomóc darami...

Na dachach zabudowań przycupnęły kurczaki i gęsi. Na dziedzińcu ryło parę świń.

Rachityczne wiwaty szybko ucichły.

- Królu Ordenie, jakie wieści przywozisz z zamku Sylvarresta?! - krzyknął ktoś z samej góry Warowni Darczyńców.

Orden uniósł głowę. Mężczyzna nosił mundur wyższego dowódcy. To mógł być kapitan Cedric Tempest, adiutant diuszesy, obecnie tymczasowy dowódca obrony.

- Zamek Sylvarresta padł. Raj Ahten go trzyma.

Kapitan Tempest nie próbował ukryć przerażenia. Wyraźnie liczył na lepsze wiadomości. Miał zapewne nie więcej niż stu ludzi i żadnych szans na prawdziwą obronę.

Sam mógł jedynie opóźniać nieuniknione w nadziei, że Sylvarresta pospieszy z odsieczą.

- Odwagi, ludu Sylvarresty! - zawołał Orden, używając Głosu, a jego słowa odbiły się echem od murów. - Sylvarresta nie utracił jeszcze królestwa, a co mu uszczknięto, to dlań odbierzemy!

Strażnicy na murach podnieśli wrzawę.

- Orden! Orden! Orden!

Król zwrócił się do jadącego tuż obok kapitana Stroeckera.

- Kapitanie, udaj się sam na południe do majątku Bredsfor i sprawdź na zagonach rzepy, czy nie widać tam śladów świeżego kopania. Powinieneś znaleźć tam pewną liczbę drenów. Gdy na nie trafisz, przywieź mi dwadzieścia z runami metabolizmu, resztę na powrót ukryj. Dobrze ukryj.

Król Orden uśmiechnął się i pomachał udręczonym obrońcom Longmot. Nie zamierzał sprowadzać tu wszystkich drenów, to by nie miało sensu, szczególnie teraz, gdy Raj Ahten gotów był nie tylko zaatakować, ale zapewne rozebrać nawet cały zamek w ich poszukiwaniu.

Wedle najlepszej wiedzy Ordena tylko trzech ludzi znało obecnie miejsce ukrycia drenów: on sam, Borenson i kapitan Stroecker.

I lepiej, żeby tak zostało.

25

SZEPTY

Ioma jechała przez Mroczną Puszcę ledwie godzinę, gdy za plecami usłyszała naszczekiwanie psiej sfory. Dochodziło z dna doliny.

Na ziemię spadły właśnie pierwsze krople deszczu, górami wstrząsnął huk gromu odległej jeszcze burzy. Gwałtowny, zmienny wiatr sprawiał, że ujadanie to przybierało na sile, to słabło, stając się prawie niesłyszalne.

Tutaj, na kamienistej i nagiej grani, zdawało się, że sfera jest jeszcze całe mile z tyłu, ale Ioma wiedziała, że to złudzenie. Psy bojowe z darami odwagi i metabolizmu mogły przebiec tę odległość w kilka chwil, a konie zaczynały już okazywać zmęczenie.

- Słyszysz je?! - krzyknęła do Gaborna. - Nie są daleko!

Gaborn obejrzał się w chwili, gdy jego wierzchowiec przeskakiwał wysoką kępę wrzosów. Po chwili znów znaleźli się w lesie. Twarz księcia była blada, ale skupiona.

- Słyszę. W konie!

Pogonili więc dalej. Gaborn wyciągnął młot i zaczął utrać co niżej wiszące gałęzie, aby nie musieli kluczyć między drzewami. Chodziło głównie o Iomę i króla Sylvarrestę.

Księżniczka bała się, co wyniknie z tej gonitwy. Jej ojciec pojęcia nie miał, co się dzieje, nie rozumiał niebezpieczeństwa. Całkiem nieświadomy rozglądał się wkoło, obserwował krople deszczu. Na dodatek tylko sznur utrzymywał go na końskim grzbiecie, podczas gdy ścigający byli wybornymi jeźdźcami.

Gaborn jeszcze zwiększył tempo. Gdy wjechali do wielkiego lasu sosnowego, pogonił konia po siodle grani ku gęstej puszczy. Kierował się na zachód.

Ciemne drzewa połknęły dudnienie kopyt i ciężkie sapanie koni. Ioma nie miała dotąd pojęcia, że w Mrocznej Puszczy rosną drzewa aż tak wysokie.

Wierzchowce znów ruszyły galopem. Gaborn popuścił im cugli, tak że poleciały jak na skrzydłach w dół wąwozu, w gęstniejący mrok. Po niebie niósł się hurkot burzy, drzewa gięły się w podmuchach wiatru i skrzypiały korzeniami, ale na sam dół deszcz nie docierał, co najwyżej czasem jakaś zbłąkana wielka kropla znalazła drogę przez konary.

Przez ten szaleńczy galop Ioma nie zaniepokoiła się nawet, że Gaborn wybrał

drogę w głąb parowu, który wił się u stóp góry, i że wypadli z niego w końcu na tę samą stronę świata, z której przybyli, czyli na północny zachód. Gdzieś przed nimi leżał zamek Sylvarresta.

Chociaż nie, zdecydowała po namyśle. Nie zamek. Jedziemy bardziej na zachód. Ku sercu lasu, gdzie kryje się Siedem Kamieni.

To ją poruszyło. Nikt, kto się tam wybierał, dotąd nie powrócił, a w każdym razie od paru pokoleń nikogo takiego nie widziano. Ojciec powiedział kiedyś, że ona akurat nie musi obawiać się duchów ukazujących się przy kamieniach: „Erden Geboren darował nam te lasy jeszcze za życia i uczynił nas władcami tej krainy. Był przyjacielem śniadych, zatem i my jesteśmy ich przyjaciółmi”.

Jednak nawet ojciec omijał kamienie. Jedni powiadali, że dynastia Sylvarrestów osłabła przez wieki, inni twierdzili, iż duchy śniadych nie pamiętają już swej przysięgi i nie chronią tych, którzy szukają świętego miejsca.

Ioma rozmyślała o tym wszystkim przez całą godzinę, gdy Gaborn gnał na zachód, chociaż robiło się coraz mroczniej, a las wyglądał na coraz starszy. W końcu dotarli do wzgórza, gdzie pod ciemnymi dębami widać było w ziemi masę dziur i jam, z których dobiegały przytłumione krzyki, szcęk oręża i rzenie koni. Odgłosy dawnych bitew.

Znała to miejsce: Pole Śmierci Alnoru. W jamach kryły się przed blaskiem dnia upiory.

- Gaborn! - zawołała. - Gaborn, skreć na południe! Obejrzał się, wzrok miał niezbyt przytomny. Wskazała kierunek.

- Tamtędy!

Ku jej uldze książę skrećił i pogonił konia pod górę łagodnego zbocza. W pięć minut dotarli na szczyt i znaleźli się pośród brzoź i dębów, gdzie słońce świeciło jasno. Tutaj jednak gałęzie sięgały często do samej ziemi, a poszycie rosło gęsto, musieli więc zwolnić.

Nagle przeskoczyli małą grań i wpadli do dolinki, w której wylegiwało się pod dębami stado wielkich dzików. Grunt był tu zryty, jakby go ktoś zorał pługiem. Dziki wybierały żołądźce i różne robactwo.

Zwierzaki podniosły pisk, gdy konie niespodzianie znalazły się wewnątrz stada.

Wielki odyniec, który, jak się zdawało Iomie, sięgał jej wierzchowcowi aż do grzbietu, wstał z chrząkaniem i pokiwał groźnie łbem z długimi szablami.

Koń ruszył na dzika, po czym skręcił gwałtownie, omal nie zrzucając Iomy z siodła, i minawszy zwierza, pognął w dół zbocza.

Ioma obejrzała się, aby sprawdzić, czy odyniec ich nie ściga. Jednak przelecieli tak błyskawicznie, że stado tylko pochrząkało jeszcze trochę ze zdumieniem i odprowadziło intruzów spojrzeniem ciemnych, błyszczących jak paciorki ślepi.

Gaborn przemknął między brzozaami do niedużej rzeki, szerokiej może na czterdzieści stóp. Była płytką, z kamienistym dnem.

Widząc wodę, Ioma pojęła, że zgubiła się ze szczętem. Często zaglądała do Mroczonej Puszczy, ale zwykle trzymała się wschodniego jej skraju. Do tej rzeki nigdy nie dotarła. Czy był to górny bieg Wye, czy Fro? Raczej nie Fro, bo o tej porze roku powinna być wyschnięta, jeśli zaś Wye, znaczyło to, że przez te parę godzin zawędrowali dalej na zachód, niż sądziła.

Księżę wprowadził konie do wody i pozwolił im ugasić pragnienie. Wierzchowce były spocone, sapały ciężko. Szramy runów na grzbiecie wskazywały, że każdy z koni miał cztery dary metabolizmu i jeszcze krzepkości i sił życiowych. Ioma obliczyła szybko w myślach, że skoro gnali przez dwie godziny, nie jedząc ani nie pijąc, to dla zwykłego konia byłoby to równoważne ośmiu godzinom galopu. Normalny wierzchowiec dawno już by padł

przy takim wysiłku, i to nie raz, ale po trzykroć. Zresztą, sądząc po ciężkim oddechu, nie była wcale pewna, czy nawet te przeżyją tę ucieczkę.

- Musimy dać odpocząć koniom - szepnęła do Gaborna.

- Myślisz, że nasi prześladowcy też przystaną? Ioma wiedziała, że nie.

- Ale konie nam padną.

- To silne rumaki - powiedział Gaborn. - Ci, którzy nas ścigają, pierwsi zostaną bez koni.

- Skąd ta pewność?

Gaborn pokręcił niepewnie głową.

- Tak sądzę. Noszę lekką kolczugę konnicy mego ojca. Niezwyciężeni Raja Ahtena mają ciężkie płytowe napierśniki i napleczniki, żelazne rękawice, naręczaki i nagolenniki, do tego kolczugę łańcuszkową. Każdy z ich koni musi dźwigać kilkadziesiąt funtów więcej niż nasze. Są świetne na pustynię, ale tu... mają za szerokie kopyta i za słabe podkowsy.

- Myślisz więc, że okuleją?

- Po to wybierałem możliwie skaliste granie. Nie podejrzewam, aby ich konie zbyt długo utrzymały podkowsy. Nawet twój jedną stracił. Jak się na tym znam, to pewnie już zaczęły kuleć.

Ioma patrzyła na Gaborna jak zafascynowana. Nie zauważyła, by jej koń zgubił podkowsę, ale gdy teraz spojrzała do wody, ujrzała, że zwierzę faktycznie stara się oszczędzać prawe przednie kopyto.

- Przebiegły jesteś, nawet jak na Ordena - stwierdziła. W zamyśle miał to być komplement, jednak gdy go już wypowiedziała, przyszło jej do głowy, że zabrzmiał bardziej jak obelga.

Gaborn jednak najwyraźniej nie poczuł się obrażony.

- Rozgrywki takie jak ta rzadko wygrywa się orężem - powiedział. - Częściej decyduje pęknięte kopyto czy upadek jeźdźca. - Spojrzał na swój młot i ułożył go w poprzek siodła, jak szpicrutę. - Ale gdyby nas dopadli, to spróbuję walczyć, ty zaś uciekaj ile sił, bo brak mi i broni, i darów, by pokonać ludzi Raja Ahtena.

Zrozumiała i desperacko zapragnęła zmienić temat.

- Gdzie nas prowadzisz?

- Gdzie? Do Diczego Brodu, a potem do Longmot. Spojrzała mu w oczy, skryte częściowo pod za dużym hełmem.

Próbowała stwierdzić, czy kłamie, czy tylko zwariował.

- Dyczny Bród jest na południowym wschodzie, a ty od dwóch godzin kierujesz się głównie na północny zachód.

- Naprawdę? - spytał zdumiony Gaborn.

- Naprawdę. Myślałam, że chcesz zmylić wszystkich, nawet Borensona. Boisz się zabrać nas do Longmot? Chcesz mnie obronić przed swym ojcem? - Ioma poczuła lęk.

Nie ufała Borensonowi, nie podobało jej się, jak na nią patrzył. Czowała, że chce ją zabić, że otrzymał taki rozkaz. Obawiała się też, że zaatakują jej darczyńców, chociaż Gaborn zdawał się nie dopuszczać takiej możliwości. Gdy Borenson powiedział, że odłącza się od nich, bo zamierza śledzić ruchy wojsk Wilka, Ioma uznała, że to całkiem sensowne wytłumaczenie, chociaż w żadnym razie nie rozproszyło wszystkich wątpliwości.

- Chronić cię przed moim ojcem? - spytał księżę, który wciąż chyba nie rozumiał.

- Nie.

Ioma zastanawiała się, jak mu to powiedzieć.

- Będzie chciał naszej śmierci - odezwała się spokojnie po chwili. - Uzna to za konieczność.

Zabije mego ojca, a jeśli nie zdoła zgładzić kobiety, która służy za pośredniczkę między mną a Rajem Ahtenem, zechce zabić i mnie. To dlatego oddaliśmy się od szlaku na południe?

Pomyślała, że być może Gaborn tak bardzo bał się jechać na południe, że całkiem nieświadomie, nie wiedząc nawet, co czyni, wolał obrać inną drogę. W końcu, jeśli Orden uzna zabicie Sylvarresty za bezwzględnie konieczne, Gaborn mu tego nie wyperswaduje. Jej też nie zdoła uratować.

- Nie - odparł całkiem szczerze, marszcząc z zakłopotaniem brwi. Nagle wyprostował się w siodle. - Słyszysz?

Ioma nastawiła ucha i wstrzymała oddech. Oczekiwała naszczekiwania psów lub krzyków pogoni, ale niczego nie usłyszała. Tylko wiatr wył powyżej na grani i liście brzoź szumiały w jego porywach.

- Nic nie słyszę. Może masz lepszy słuch ode mnie.

- Ale posłuchaj... tam, między drzewami! Naprawdę nie słyszysz? - Wskazał na stok powyżej, mniej więcej na północny zachód.

Wiatr ucichł nagle, liście znieruchomiały. Ioma wytężyła słuch, spodziewając się, że dobiegnie ją jednak jakiś dźwięk - może trzask łamanej gałązki, może szelest skradających się kroków... Ale wkoło wciąż panowała cisza.

Gaborn stanął nagle w strzemionach i spojrzał między drzewa.

- Co słyszysz? - szepnęła Ioma.

- Głos. Dobiega spomiędzy drzew. Szepcze coś.

- Co? - Ioma obróciła koniem w miejscu, by spojrzeć na to, w co wpatrywał się księżę.

Nie dostrzegła niczego prócz białej kory drzew, zielonych i złotych liści i cieni kładących się w głębi. - Co mówi?

- Słyszałem to dzisiaj już trzy razy. Z początku myślałem, że woła moje imię, ale teraz już wiem, że się myliłem. Ten głos powtarza: „Erden, Erden Geboren”.

Dreszcz przebiegł Iomie po plecach.

- Zajechaliśmy za daleko na zachód - syknęła. - Tu są upiory. To one do ciebie przemawiają. Musimy ruszyć na południe. Zanim zmierzchnie zapadnie. - Zostały im jeszcze ze trzy godziny dnia, ale

byli za blisko zachodniej części Mrocznej Puszczy.

- Nie! - powiedział Gaborn i spojrzał na Iomę. Wzrok miał nie do końca przytomny, jakby wpatrzony w dalekie przestrzenie. - Jeśli to duch, to nie chce nam zrobić krzywdy!

- Może i nie - mruknęła Ioma. - Ale nie warto ryzykować! - Bała się upiorów, poza tym bała się o ojca.

Książę znów obrócił wzrok w stronę Iomy, ale tym razem jakby w ogóle jej nie widział. Brzozy na wzgórzu znów zaszeleściły. Ioma spojrzała na las. Niebo zanosło się chmurami i mżawką, która znacznie ograniczała widoczność.

- Tam! Znowu! Słyszysz? - Niczego nie słyszę. Gabornowi oczy nagle błysnęły.

- Widzę! Teraz widzę! - szepnął z przejęciem. - Erden Geboren. W dawnej mowie znaczy to „zrodzony z ziemi”. Drzewa są złe na Raja Ahtena. Zranił je. Ale ja jestem Zrodzony z Ziemi. Chcą mnie chronić.

- Skąd wiesz? - spytała Ioma. Zwąc się Zrodzonym z Ziemi, Gaborn powiedział zapewne więcej, niż sam wiedział. Erden Geboren był ostatnim wielkim królem Rofehavanu w czasach, gdy było to jeszcze jedno państwo. Darował te lasy swemu strażnikowi, Heredonowi Sylvarreście, który służył mu wiernie w krwawych wojnach przeciwko raubenom i czarnoksiężnikom tothów. Z czasem praojcowie Iomy też zaczęli zwać się królami, i prawnie nimi byli, ale nie mogli się równać z potomkami rodu Geborenów.

Jednak ponad szesnaście stuleci temu krew Geborenów rozproszyła się po różnych szlacheckich rodach Rofehavanu i teraz już trudno było orzec, kto jest najbliższym z nimi spokrewniony.

Biorąc pod uwagę bliskie związki między domami Valów i Ordenów, Gaborn miał prawo do tego tytułu. O ile starczyłoby mu odwagi, by go używać, oczywiście. Czy jednak znaczyło to, że wraz z przyjęciem miana Zrodzonego z Ziemi obejmował te lasy, całe to królestwo we władanie?

- Jestem pewien, że te duchy, jeśli to naprawdę duchy, nie chcą nas skrzywdzić - odparł.

- Nie, nie o to pytam. Skąd masz pewność, że jesteś Zrodzonym z Ziemi?

- Binnesman mnie tak nazwał - stwierdził po prostu książę. - W swoim ogrodzie.

Ziemia poprosiła mnie, bym poprzysiągł ją chronić, a potem Binnesman namaścił mnie nią i ogłosił, że jestem Zrodzonym z Ziemi.

Ioma zastygła z otwartymi ustami. Znała Binnesmana całe życie. Stary zielarz mówił jej kiedyś, że Strażnicy Ziemi błogosławili nowych królów, obsypując ich pyłem tej ziemi, której mieli bronić. Jednak od setek lat nie odprawiano już podobnych ceremonii. Wedle Binnesmana ziemia „cofnęła swe błogosławieństwo”, nie chciała się wiązać z obecnymi władcami.

Ioma przypomniała też sobie, co powiedział Binnesman w warowni jej ojca, gdy Raj Ahten wziął go na spytki. Nadchodzi nowy Król Ziemi... Myślała, że zielarz mówi o królu Ordenie, bo to on właśnie wjechał do królestwa we wspomnianym czasie. Teraz pojęła, że to nie o niego chodziło: to Gaborn, Gaborn zostanie królem..

Niemniej Raj Ahten wierzył wciąż, że jego mistrzowie ognia ujrzeni w płomieniach starego Ordenu. To Mendellasa Ordenu się bał i dlatego jechał do Longmot. Żeby go zniszczyć...

Nagle Ioma poczuła, że jeśli nie zsiądzie zaraz z konia, to za chwilę z niego spadnie.

Była pewna, że gdy Raj Ahten spotka Mendellasa Ordenu w Longmot, żadna siła nie uratuje króla przed śmiercią.

Zsunęła się z siodła. Stała w strumieniu, który mile chłodził jej stopy. Spróbowała zebrać myśli. Bała się jechać do Longmot, bo wiedziała, że król Orden będzie chciał jej śmierci. Z drugiej strony bała się też nie jechać, bo Gaborn by jej nie zostawił, a jeśli Binnesman miał rację, to jedynie

on mógł uratować Ordena.

Jadąc tam, zaryzykuje życie swoje i życie ojca. Zda się na łaskę króla Ordena, którego nigdy nie lubiła. Lecz nielubienie i brak zaufania to za mało, by pozwolić komuś umrzeć.

Czy mogła jednak wystawiać na szwank życie ojca?

Sylvarresta siedział na koniu i wpatrywał się tępo w strumień. Nie rozumiał, co się dzieje dookoła. Padał na niego deszcz, ale on nie wiedział, co to takiego, i daremnie próbował wypatrzyć pojedyncze krople. Całkiem bezradny. Bezradny i zdany na jej opiekę.

Gaborn spojrział na Iomę, jakby obawiał się o jej zdrowie. Pojęła, że obce są mu gnębiące ją dylematy. Pochodził z Mystarrii, królestwa nad oceanem, które obfitowało w wodnych czarnoksiężników. Brak mu było wiedzy Strażników Ziemi, nie miał

pojęcia, że został ogłoszony Królem Ziemi. Do głowy mu nie przychodziło, jak bardzo Raj Ahten się go boi i tylko nie wie jeszcze, że próbuje zabić niewłaściwą osobę.

Wiatr znów zahuczał na wzgórzu. Gaborn nasłuchiwał, jakby łowił dobiegający z oddali głos. Jeszcze kilka chwil temu Ioma zastanawiała się, czy księżę przypadkiem nie oszalał, teraz jednak wiedziała, że stało się coś cudownego. Drzewa do niego przemówiły, zawołały go, chociaż ani on, ani ona nie mieli pojęcia dlaczego.

- I co teraz zrobimy, mój panie? - spytała. Nigdy nie zwróciła się tak do nikogo prócz ojca, nigdy nie ukorzyła się tak przed nikim innym.

Jeśli nawet Gaborn zauważył tę zmianę, nic po sobie nie pokazał.

- Ruszemy na zachód - szepnął. - W głąb lasu. Ku sercu puszczy.

- Nie na południe? Twój ojciec może być w niebezpieczeństwie... większym, niż sądzi.

Moglibyśmy mu pomóc.

Gaborn uśmiechnął się.

- Niepokoisz się o mego ojca? Kocham cię za to, księżniczko. Chociaż wypowiedział to lekko, poznała ten ton. Był jej wdzięczny i naprawdę ją kochał.

Aż zadrżała na tę myśl. Zapragnęła go tak mocno, jak jeszcze nigdy nie pragnęła jakiegokolwiek mężczyzny. Zawsze była wrażliwa na magię, wiedziała, że jej pożądanie do Gaborna wywołały wzbierające w nim moce ziemi. Bo przecież nie był

przystojny, jak sobie mówiła. Nie bardziej niż inni mężczyźni.

A jednak ją pociągał.

Jak on może mnie kochać? Jak on może kochać tę twarz? Utrata urody stanęła między nimi jak mur. Podobnie jak jej utrata szacunku do siebie i przepadek nadziei. Jednak gdy się do niej odezwał, gdy zapewnił ją o swej miłości, poczuła, że robi jej się ciepło. Nadzieja ożywała. Mimo wszystko.

Gaborn zmarszczył czoło.

- Nie, nie na południe - stwierdził cicho. - Musimy ruszyć własną drogą, na zachód.

Czuje., że przyzywają mnie duchy. Mój ojciec podąży do Longmot i zamek go ochroni. To kość ziemi. Moce ziemi go zachowają. Tam będzie bezpieczniejszy niż my tutaj. - Podjechał do Iomy i wyciągnął rękę, by pomóc jej wrócić na siodło.

Wiatr przyniósł zza wzgórz ujadanie psów.

26

PODARUNEK

Galopowali od czterech godzin, przeskakując powalone wiatrem osiki, wspinając się na wzgórza i zjeżdżając w dolinki. Ioma pozwoliła Gabornowi prowadzić, po części z ciekawości, jaką drogę wybierze.

Drzewa zlały się w rozmazaną smugę, podobnie jak czas, który przestał płynąć swym naturalnym

korytem.

W pewnej chwili Gaborn zwrócił uwagę, że ojciec Iomy zdaje się lepiej trzymać w siodle. Zupełnie jakby coś otworzyło mu się w głowie i przypomniał sobie nieco z umiejętności jeździeckich.

Ioma nie była tego taka pewna. Gaborn zatrzymał konie w strumieniu i zasypał Sylvarrestę pytaniami:

- Możesz jechać? Jeśli cię odwiążę, czy utrzymasz się w siodle? Król nie odpowiadał, z uwagą obserwował krążącą mu wokół głowy muchę. Spojrzał w niebo i zmrużył oczy przed słońcem.

- Gaaag. Gaaag - wybełkotał.

- To może znaczyć „tak” - stwierdził Gaborn.

Ale gdy Ioma spojrzała ojcu w oczy, nie dostrzegła w nich choćby przebłysku zrozumienia. To nie była odpowiedź, tylko bezsensowne gaworzenie.

Gaborn wyciągnął nóż i przeciął linę, która przytrzymała Sylvarrestę w siodle.

Króla zainteresował nóż. Spróbował go złapać.

- Nie dotykaj ostrza - upomniał go Gaborn. Ale Sylvarresta dopiął swego i zaciął się odrobinę. Ze zdumieniem spojrzał na krwawiącą ranę.

- Trzymaj się lęku - polecił mu Gaborn i położył dłonie króla gdzie trzeba. - Trzymaj się mocno.

- Myślisz, że się uda? - spytała Ioma.

- Nie wiem. Chwycił się kurczowo. Powinien się utrzymać, Ioma bała się, że ojciec może spaść z konia, chciała jednak, żeby był wolny, bez więzów.

- Będę na niego uważać - powiedziała.

Pozwolili koniom popaść się trochę na słodkiej trawie u stóp wzgórza. W dali, nad górami, huczały pioruny. Ioma zamyśliła się głęboko. Znowu zaczęło mżyć. Sylvarresta zapatrzył się na przelatującego obok złotego motyla zwanego monarchą. Wyciągnął nawet ku niemu rękę, gdy pofrunął w stronę lasu.

Po chwili wjechali w mrok, między drzewa, których korony chroniły ich przed przelotnym deszczami. Jechali przez godzinę, aż o zmroku trafili na starą drogę biegnącą wzdłuż strumienia.

Gdy nią podążali, z traw wyleciał następny monarcha. Ojciec Iomy znowu wyciągnął po niego rękę i coś zawołał.

- Stać! - krzyknęła Ioma, zeskakując z siodła. Podbiegła do ojca, który siedział wyczekująco z uniesioną niezgrabnie ręką i nasłuchiwał dyszenia wierzchowca.

- Mo-til! - krzyknął ponownie, próbując złapać złotego owada, który wysforował się przed konie. - Mo-til! Mo-til! - Z oczu pociekły mu łzy, łzy radości. Jeśli nawet kryło się za nimi jakieś bolesne doznanie, to Ioma nie potrafiła go dostrzec. Płakał, bo odkrył coś nowego.

Objęła głowę ojca, chciała spojrzeć mu w oczy. Miała nadzieję, że odzyska nieco rozumu, choć tyle, aby mówić. I stało się. Jeśli przypomniał sobie jedno słowo, to będą i następne. Minął już czas największego osłabienia i zaczynał się „budzić”. Znaczyło to, że więź między nim a biorcą daru okrzepła, utrwaliła się. Z czasem ojciec przypomniał sobie może nawet jej imię i to, jak bardzo go ona kocha. Może zapanuje nad zwieraczami i zacznie nawet jeść samodzielnie.

Teraz jednak, gdy tylko ujrzał jej szpetną twarz, krzyknął ze strachu i zaraz się odsunął.

Król Sylvarresta był silny, o wiele silniejszy niż ona. Z tyłoma darami łatwo wyrwał się z uścisku i odepchnął ją tak mocno, że omal nie złamał jej obojczyka.

Ale mniejsza z tym, pomyślała Ioma. Ból nie umniejszył jej radości. Gaborn zawrócił i podjechał do nich. Pochylił się w siodle i ujął dłoń Sylvarresty.

- Nie bój się, panie - powiedział łagodnie. Pociągnął dłoń króla ku Iomie, położył ją na jej

dłoni, przesunął lekko, pieszczotliwie. - Widzisz? Jest całkiem miła. To Ioma, twoja piękna córka.

- Ioma - powtórzyła księżniczka. - Pamiętasz? Pamiętasz mnie? Jeśli nawet coś pamiętał, to tego nie okazał. Szeroko otwarte oczy miał pełne łez. Pogładził jej dłoń, ale na razie nie był zdolny do niczego więcej.

- Iomo - szepnął Gaborn - wskakuj z powrotem na siodło. Nie słyszysz psów, ale są na naszym tropie. Ujadają w lasach za nami. Nie mamy czasu do stracenia.

Ioma przeraziła się. Niebawem miały zapaść ciemności. Nagle ustał deszcz.

- Dobrze - odparła i dosiadła konia. Teraz i ona usłyszała ujadające w oddali psy. Jakiś czający się w pobliżu samotny wilk odpowiedział im wyciem.

27

W NIEŁASCE

Jureem patrzył, jak Niezwycięzeni jego pana układają się w cieniu brzoź na krótki odpoczynek. Za pobliskim grzbieciem pagórki falowały i marszczyły się jak płynny metal, a drzewa rosły coraz większe. Gaborn umykał w najciemniejszą część, samo jądro Mrocznej Puszczy.

Jureem, podobnie jak Niezwycięzeni, wiedział, że należy bać się tego miejsca. Na mapach zachodnia połać puszczy była tylko białą plamą z niewyraźnym rysunkiem Siedmiu Kamieni pośrodku. W Indhopalu powiadano, że u fundamentem świata jest wielki żółw, na nim opiera się Siedem Kamieni, a na nich dopiero spoczywa świat. Jureem miał to za legendę, głupią wprawdzie, ale intrygującą. Dawne księgi opisywały, że Siedem Kamieni ustawili śniadzi, niegdysiejsi Władcy Podziemi, i że uczynili to tysiące lat temu, aby

„podtrzymać świat”.

Niezwycięzeni przeszukali grunt pod brzożami w poszukiwaniu śladów Gaborna.

Zgubili jego trop, nawet mastiffy stały ogłupiałe, nie mogąc niczego zwęszyć.

Niewytłumaczalna sprawa. Młody Orden prowadził troje jeźdźców. Ich zapach powinien zostawić wyraźny ślad w powietrzu, o śladach kopyt na ziemi nie wspominając. Ale nawet Raj Ahten nie potrafił wywąchać chłopaka, a ziemia była tak sucha i kamienista, że nic się na niej nie odciskało.

Większość ludzi Wilka zsunęła się już z siodła. Dwanaście koni padło, podobnie jak kilkanaście psów. Piesi też nie mieli już siły gonić Gaborna, chociaż powinni.

- Ziemia jest za twarda - narzekali. - Nie możemy po niej biec. Jeden z Niezwycięzonych siadł na powalonym pniu i zdjął buty.

Jureem ujrzał czarne wybroczyny na podbiciu i wielkie pęcherze na piętach i palcach. To te paskudne wzniesienia zabiły większość koni i psów. Ludzi też w końcu zabijają. Jureem trzymał się jeszcze jakoś w siodle, ale pośladki bolały go tak bardzo, że bał

się zsiąść w obawie, że nie zdoła się wdrapać na grzbiet wierzchowca. Co gorsza, miał

wrażenie, że lada chwila jego koń padnie. Pieszko Jureem nigdy nie dotrzymałby kroku oddziałowi, zostawiliby go samego w lesie.

- Jak on to robi? - zastanawiał się głośno Raj Ahten. Ścigali Gaborna już sześć godzin i nie mogli wyjść z podziwu, że tak sprawnie ich zwodzi. Za każdym razem gubili ślad w brzezynie, i to kompletnie, aż musieli okrążyć gaj, by podjąć trop w pobliżu sosen. I za każdym razem było to coraz trudniejsze.

- Binnesman - odezwał się Jureem. - Binnesman nałożył na księcia jakiś czar Strażnika Ziemi, który go kryje

- O Światło Ziemi - odezwał się poważnie miękkiem, nieco kobiecym głosem jeden z dowódców Raja Ahtena, Salim al Daub. - Może lepiej by było, gdybyśmy zaniechali tego bezowocnego pościgu. Konie padają. Twój także robi bokami, panie.

Istotnie, nawet rumak Raja Ahtena zdradzał oznaki zmęczenia, chociaż Jureem nie wyobrażał sobie, żeby tak mocarne zwierzę mogło paść.

- Poza tym - ciągnął Salim - to nienaturalne. Ziemia wkoło jest twardsza niżli skała, a jednak koń księcia przemyka po niej jak wiatr. Liście zakrywają zaraz jego ślady. Nawet ty, panie, nie możesz wyczuć jego zapachu. Jesteśmy zbyt blisko serca tej nawiedzanej puszczy.

Nie czujesz tego, panie?

Raj Ahten nie odpowiedział. Nasłuchiwał z wyrazem obojętności na nieziemsko pięknym obliczu. Miał dary słuchu od setek ludzi. Obrócił ucho ku puszczy, przymknął oczy.

Jureem pomyślał, że jego pan musi słyszeć i szelest liści, i bicie serca każdego z towarzyszy, szmery oddechów, burczenie w brzuchach...

Poza tym jednak... panowała cisza. Absolutna, osobliwa cisza ogarnęła całą mroczną dolinę. Jureem też nastawił ucha. Brakło śpiewu ptaków, szczebiotu wiewiórek.

Jakby nawet drzewa wstrzymały oddech i zamarły w oczekiwaniu.

- Słyszę - szepnął Raj Ahten.

Jureem wyczuwał potęgę drzemiącą w tych lasach i miał się nad czym zastanawiać.

Jego pan obawiał się zaatakować Inkarę, bo i tam czaiły się pradawne moce arru.

Jednak tutaj, na Północy, mieszkańcy Heredonu żyli obok tego lasu i najwyraźniej ani nie czerpali z jego sił, ani się z nimi nie sprzymierzali. Ich przodkowie byli częścią tych puszczy, jednak ludy Północy utraciły silną niegdyś więź z ziemią i zapomniały wszystko, co dawniej było im bliskie.

A może i nie. Las wspierał Gaborna. Raj Ahten zgubił trop chłopaka. Całkiem go zgubił.

Wilk obrócił głowę na pomocny zachód i spojrzał ponad dolinami na tę najciemniejszą, daleko przed nimi. Na chwilę zalało go słońce.

Cisza zdawała się emanować właśnie z tamtej doliny.

- Tam się kieruje - orzekł Raj Ahten pewnym głosem. Mówił niewątpliwie o Gabornie.

- O Najjaśniejszy - odezwał się błagalnie Salim. - Haroun prosi o pozwolenie, by tu pozostać. Czujecie obecność złośliwych duchów. Twoi tkacze płomieni zaatakowali las i drzewa pragną zemsty.

Słowa te wyraźnie zirytowały Raja Ahtena. Czemu właściwie, tego Jureem nie wiedział.

Chociaż... może chodziło o to, że właśnie Salim zwrócił się doń z prośbą. Niegdyś był świetnym gwardzistą, ale zawiódł jako zabójca i od tamtej pory Wilk miał go w niełasce.

Raj Ahten podjechał do Harouna, zaufanego wojownika, który siedział na kłodzie.

Rozcierał poranione stopy.

- Chcesz tu zostać? - spytał Raj Ahten.

- Jeśli się zgodzisz, o Najwyższy - odparł okulały.

Zanim Haroun zdążył się poruszyć, Wilk wydobył sztylet, pochylił się i wbił ostrze w oczodół wojownika. Haroun otworzył szeroko usta i spróbował wstać, ale po chwili z rżeniem runął do tyłu przez kłodę.

Jureem i pozostali Niezwyciężeni patrzyli na swego pana ze strachem.

- Kto jeszcze chce tu zostać? - spytał Raj Ahten.

28

PRZY SIEDMIU KAMIENIACH

Gaborn poganiał konia jak tylko mógł, lecz zwierzę, jedno z najsilniejszych w Mysterrii, zaczynało się już słaniać.

Rumak spazmatycznie wciągał powietrze, uszy położył po sobie, aż prawie przylgnęły do łba. To były poważne oznaki zmęczenia. Gdy przeskakiwał przez kłodę lub krzak janowca, zahaczał tylnymi kopytami o przeszkodę. Ładował też niezbyt pewnie, na luźnych kopytach. Jeśli książkę nie

chciał okaleczyć ogiera, musiał się wkrótce zatrzymać. W ciągu sześciu godzin przebyli ponad sto mil, najpierw na południe, potem z powrotem na północny zachód.

Gaborn był pewien, że zwiadowcy Raja Ahtena zaczęli już tracić wierzchowce. Słyszał jedynie dwa lub trzy psy - nawet one zmęczyły się pościgiem. Oby dość, żeby zaczęły gubić ślad.

Jechał dalej, prowadząc Iomę i jej ojca wąskim parowem. Z wolna zapadała noc.

Wciąż widział lepiej niż zwykle. Zyskana poprzedniej nocy sprawność wzroku jakby w ogóle nie przeminęła. Dziwne. Myślał, że stracił ją już wiele godzin wcześniej. Czuł się zagubiony i pojęcia nie miał, gdzie ta wędrówka się skończy, ale z lekkim sercem jechał coraz dalej w głęboki i skryty wśród sosen parów.

Tutaj właśnie trafił na coś całkiem niespodziewanego, nie pasującego wręcz do dzikich połaci Mrocznej Puszczy: kamień przydrożny. Obsypany przez wieki sosnowymi igłami, zarośnięty, ale wyraźnie wskazujący na wąwóz, w którym dawało się dostrzec ślady jakiegoś szlaku.

Dziwna to była drożyna. Za wąska, by mógł nią przejechać nawet niewielki wóz.

Przeznaczona raczej dla istot o drobnych stopach.

Ioma też nie oczekiwała chyba podobnego widoku, bo spojrzała na szlak ze zdumieniem i rozejrzała się wkoło, raz i drugi. W ciemnościach jej oczy wydawały się większe i ciemniejsze niż zwykle.

Przez następne pół godziny im dalej jechali, tym większa cisza panowała wkoło, a drzewa rosły coraz gęściej. Dotarli do starodrzewu rozłożystych dębów, większych niż wszystko, co Gaborn dotąd widział. Ich konary skrzypiały lekko na wietrze. Najniższe gałęzie wyrastały na wysokości osiemdziesięciu stóp. Zwieszały się z nich długie na trzydzieści, czterdzieści stóp siwe brody porostów.

Na wzgórzu obok księżę dostrzegł migoczące spomiędzy pni światło. Pod skalną półką widać było niewielkie wyloty jam. Przez krąg blasku przemknęła zamiatająca ogonem freta wojownik.

Dzikie frety. Niektóre żyły w jaskiniach, inne w norach pod korzeniami drzew. Żywiły się żołądziami i grzybami. Gaborn dojrzał więcej ognia w gęstwinie. Miejskie frety rzadko używały ognia, jako że przyciągał on ludzi gotowych wykopać stworzenia z ich jam. W każdym razie obecność dzikich fret uspokoiła Gaborna.

Wyteżył uszy, nasłuchując odgłosów pogoni, ale nie doszedł go żaden dźwięk poza szumem rzeki płynącej w rozpadlinie gdzieś po prawej.

Szlak ciągle biegł w dół. Drzewa rosły tu coraz starsze i większe. W ich cieniu mało co mogło wyrosnąć, brakło tak janowca, jak i pnączy. Wiele było za to mchu, nie tkniętego stopą czy kopytem.

Niemniej w pewnej chwili Ioma krzyknęła i wskazała coś w głębi lasu. Daleko w cieniach majaczyła szara sylwetka przysadzistego, mocno zbudowanego i bezbrodego męża.

Wpatrywał się w nich nienaturalnie wielkimi oczami.

Gaborn zawołał go, ale mężczyzna zniknął jak mgła o wschodzie słońca.

- Upiór! - zawołała przerażona Ioma. - Duch śniadego!

Gaborn nigdy nie widział śniadego. Żaden żyjący człowiek nie miał tego szczęścia.

Jednak duch nie kojarzył się z człowiekiem: był zbyt zaokrąglony i przysadzisty.

- Jeśli to był duch śniadego, to tym lepiej - stwierdził księżę tonem kogoś świetnie zorientowanego. - Śniadzi pomagali naszym przodkom. - Mimo to nie wierzył, że jest aż tak dobrze. Na wszelki wypadek pogonił nieco konia.

- Poczekaj! - zawołała Ioma. - Nie możemy jechać dalej. Słyszałam o tym miejscu.

To dawna droga śniadych, prowadzi do Siedmiu Kamieni.

Gaborn zmarł. Siedem Kamieni leżało w sercu Mrocznej Puszczy. Stąd promieniowała cała jej

magia. Powiniennem uciec, pomyślał. Chciał jednak dotrzeć do kamieni. Drzewa go wzywały.

Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał odgłosów pogoni. Drzewa ugiwały się w dali przed wiatrem i mówiły coś... ale nie słyszał co.

- Już niedaleko - szepnął Iomie i oblizał wargi. Serce zabiło mu jak młotem: wiedział, że to prawda. Cokolwiek leżało przed nimi, było blisko. Pogonił konia do kłusu. Chciał wykorzystać resztki wieczornego światła.

Z przodu dobiegło go odległe, szeleszczące staccato jakby całego stada grzechotników. Zamarł. Nigdy nie słyszał niczego podobnego, ale przypomniał sobie z opisów, co to może być.

Wypychający powietrze z płuc rauben.

- Stój! - krzyknął, chcąc zawrócić konia i wycofać się z parowu. Jednak niemal w tej samej chwili usłyszał krzyk:

- Do mnie! Do mnie, powiedziałem! To był Binnesman.

- Szybko! - wrzasnął Gaborn i ruszył jak wiatr. Podkowy zadudniły głucho na mchach pod czarnymi konarami. Wyciągnął młot i wparł pięty w boki osłabłego konia.

Tysiąc sześćset lat temu zdarzyło się w Mrocznej Puszczy, że Heredon Sylvarresta zabił tu maga raubenów. Czyn ten przeszedł do legendy. Król wraził bestii włócznię prosto w podniebienie.

Gaborn nie miał włóczni ani kopii, nie sądził też, aby jakikolwiek człowiek miał szansę pokonać raubena młotem bojowym.

- Czekaj! Zatrzymaj się! - krzyknęła Ioma.

Parów ciągnął się bez końca, droga wiodła coraz głębiej, tak że gdy Gaborn spojrzał w górę, na sterczące gdzieś wysoko w mroku konary, miał wrażenie, że ziemia otacza go nie tylko z boków, ale i zaczyna zastępować z wolna niebo.

„Ziemia cię ukryje...”, usłyszał nie tak dawno. Ioma i jej ojciec jechali za nim. W

pewnej chwili poczuł, że jeszcze parę kroków, jeszcze trochę, a ziemia połknie go, wciągnie w swe trzewia.

Gnali pod dębami tak wysokimi, że wedle Gaborna mogły tu rosnać od początku świata. I nagle drzewa się skończyły, skończyła się też droga. Szelest raubena dobiegał gdzieś z tej pustej przestrzeni.

Kilkaset jardów dalej leżał krąg niekształtnych kamieni. Ciemne, tajemnicze bloki przypominające do pewnego stopnia ludzi. Gaborn podjechał do nich w blasku gwiazd.

Coś tu było nie tak. Ledwie chwilę wcześniej słońce zachodziło za szczytem wzgórza, niebo zaciągało się zmierzchem. Jednak tutaj, w parowie otoczonym stromymi zboczami, zapadła już ciemna noc. Nad Gabornem jaśniały tysiące gwiazd.

Chociaż legendy wspominały zawsze o Siedmiu Stojących Kamieniach, nie była to nazwa najważniejsza. Obecnie tylko jeden kamień, najbliższy Gabornowi, stał

prosto. Chociaż z drugiej strony był on czymś więcej niż tylko kamieniem. Kiedyś mógł przedstawiać człowieka, ale czas zatarł szczegóły, spękał powierzchnię i okrył zielonkawym nalotem, który jarzył się niczym próchno. Sześć podobnych posągów leżało od niepamiętnych wieków na ziemi. Wszystkie głowami na zewnątrz.

Jednak chociaż podobne, nie były identyczne. Jeden miał przekrzywioną głowę, drugi uniesioną nogę, trzeci wyglądał, jakby próbował gdzieś odpełznąć.

Nagle, z czegoś, co Gaborn wziął początkowo za olbrzymi gład leżący za jedynym stojącym posągiem, buchnął wielki blask. Książę ujrzał, że gład poruszył się, postąpił krok, i znowu coś błysnęło zimnym światłem, które zmroziło powietrze, porysowało krawędzie rzeźby, złuszczyło drobne odłamki.

Rauben ruszył na spotkanie młodzieńca.

- Uważaj, Gabornie! - krzyknął Binnesman, chociaż księżę wciąż nie mógł go nigdzie dostrzec.

Gaborn po raz pierwszy widział łeb raubena i otwartą paszczę pełną krystalicznych zębów, które lśniły w blasku gwiazd jak lód.

Stwór ów nie miał wspólnych przodków z człowiekiem i nie przypominał żadnej istoty, która chodziła kiedykolwiek po ziemi. Zrodził się i ukształtował w podziemnym świecie z organizmów, które powstały niezliczone epoki wcześniej w głębokich, wulkanicznych jeziorach.

Bestia robiła wrażenie swą wielkością. Mierzyła szesnaście stóp, tak że ogromna, skórzasta głowa, szeroka i długa niczym mały wóz, górowała nad Gabornem, chociaż księżę siedział na koniu. Nie miała oczu, uszu ani nosa, tylko rząd włosów czuciowych, które otaczały tył głowy i łączyły się z linią pyska.

Rauben poruszał się szybko jak karaluch, na czterech wielkich nogach, które wyglądały jak wyrzeźbione w poczerniałej kości. Łysnęło wiszące wysoko na ziemią, oślizłe podbrzusze.

Gdy Gaborn podjechał bliżej, stwór uniósł w masywnych łapach służący mu za broń stalagmit, długi kolec czystego agatu, na którym płonęły ogniste runy. Groźne znaki tkaczy płomieni.

Gaborn nie obawiał się tych lodowych zębów ani ostrych pazurów w długich łapach.

Raubenowie byli wprawdzie srogimi wojownikami, ale magowie raubenów uchodzili za największych mistrzów czarnoksięstwa.

W gruncie rzeczy cała sztuka Władców Runów była jedynie próbą naśladowania magii raubenów. Gdy któryś z nich umierał, jego współplemieńcy zjadali ciało, wchłaniając jego wiedzę, siłę i całą, zebraną przez wieki magię. Dlatego też magowie raubenów byli najgroźniejsi. Gromadzili w sobie moc setek pokoleń zmarłych przodków.

Księżę spiął konia i zaszarżował, bestia jednak usunęła się na bok, a Gaborn znów usłyszał szum powietrza wypuszczanego otworami oddechowymi na grzbiecie. Był w tym poszumie dziwny szept i zaśpiew, jakby powtarzanych nieustannie zaklęć.

Gaborn krzyknął z całych sił, używając Głosu. Słyszał o wojownikach, którzy potrafili powalić przeciwnika samym krzykiem.

Księżę nie miał takiego daru, ale wiedział, że rauben reaguje na ruch, i nieważne, czy wyczuwa go dzięki wibracji powietrza, czy drganiom ziemi pod swymi łapami. Miał nadzieję, że skonfunduje nieco stwora, oślepi go na czas ataku.

Rauben zamierzył się stalagmitem na młodzieńca i syknął zajadle. Gaborna owionął mroźny podmuch, ani trochę nie cieplejszy niż wichur kęsający w najsrozsze zimy.

Powietrze wkoło niemal zamarzło. Księżę uniósł swoją małą tarczę.

Legendsy powiadały, że najsilniejsze z zaklęć tkaczy płomieni pozwalają wyciągnąć z człowieka całe ciepło w taki sam sposób, w jaki mistrzowie ognia uzyskują je z ognia czy ze słońca. Płuca i serce zamarzają i człowiek umiera z zimna w jasny, letni dzień.

Niemniej było to zaklęcie bardzo złożone, wymagało olbrzymiej koncentracji. Gaborn nigdy nie słyszał o tkaczu, który by je opanował.

Rauben jednak to potrafił. Czując lodowaty podmuch, księżę rzucił się na bok i zwisł w biegu z siodła, chowając się za ciałem konia. Chociaż częściowo skryty, Gaborn i tak poczuł, że brakuje mu tchu.

- Nie! Wracaj! - krzyknął Binnesman skądś spoza kręgu kamieni.

Gaborn zbliżył się do potwora i wciągnął głęboko powietrze. Rauben nie miał własnego zapachu. Te stworzenia naśladowały zawsze woń ziemi, na której stały.

Bestia zagrzechotała wściekle. Powietrze wydarło się z sykiem z jej długiego ciała.

Wierzchowiec Gaborna zachwiał się pod uderzeniem mrozu i księżę skoczył z siodła ponad padającym zwierzęciem. Zamachnął się z całej siły i uderzył bestię młotem w podbrzusze.

Rauben cofnął się i spróbował trafić napastnika stalagmitem. Gaborn uchylił się przed ciosem i uderzył w bark bestii. Ostry dziób młota wszedł głęboko w skórzaste cielsko. Księżę szybko wyrwał żeleźce i uderzył powtórnie, żeby pogłębić ranę, gdy nagle potwór spuścił nań agatową maczugę.

Gaborn osłonił się młotem, miażdżąc przy okazji jeden wielki pazur. Broń ześliznęła się na ognisty oręż raubena. Maczuga zadygotała na całej długości, z pazura maga buchnął płomień, prawdziwa eksplozja ognia, która zwęgliła drzewce młota.

Ioma jechała niedaleko za Gabornem. Krzyczała na potwora. Koń Sylvarresty okrążał go z lewej. Tańczące wkoło chaotycznie rumaki dezorientowały raubena, aż machnął maczugą na oślep w jedną, potem w drugą stronę.

Tego, co zdarzyło się potem, Gaborn nie widział. Rauben zdecydował się ostatecznie na ucieczkę. Stojący mu na drodze księżę niemal został staranowany. Uderzony wielkim brzuchem bestii runął na plecy.

Upadł tak gwałtownie, że aż stracił dech. Rauben umykał, a księżę zastanawiał się, czy nie umrze od tego zderzenia. W dzieciństwie spadł raz z siodła podczas nauki jazdy i został stratowany przez konia w pełnej zbroi. Rauben był wielokrotnie cięższy od konia okrytego ladrami.

Księżę poczuł, że ma pęknięte zębra. Coś błysnęło mu przed oczami i odniósł wrażenie, że leci gdzieś, spada niczym liść w głęboką, nieskończoną otchłań.

Gdy odzyskał przytomność, zęby mu dzwoniły. Pod nosem czuł słodką woń jakichś liści. Binnesman sięgał pod jego kolczugę i wcierał mu w skórę ziemię.

- Ziemia cię uleczy, ziemia cię uleczy - powtarzał szeptem. Miejsca obłożone ziemią promieniowały miłym ciepłem. Okład uśmierzał ból. Wrażenie przemarznięcia do kości z wolna ustępowało.

- Będzie żył? - spytała Ioma. Binnesman skinął głową.

- Tutejsza ziemia ma potężną moc leczniczą. Widzisz? Już otwiera oczy.

Gaborn uniósł niepewnie powieki. Z początku nic nie widział, obraz był nazbyt rozmyty. Chciał zerknąć na Binnesmana, ale to był dlań zbyt duży wysiłek.

Stary czarnoksiężnik stanął nad Gabornem wsparty na swej drewnianej lasce.

Wyglądał upiornie. Brud i krew rozmazane na twarzy, szaty zalatujące spalenizną.

Gdy dotknął księcia prawą dłonią, młodzieniec poczuł, że jest przeraźliwie zimna.

Bestia próbowała zabić również Binnesmana.

Czarnoksiężnik cały się trząsł. Może z bólu, a może ciągle był w szoku. Strach porysował mu oblicze głębokimi zmarszczkami.

Jedyny stojący posąg pulsował blaskiem. Mroźne podmuchy nadwerężyły go, nadłupały w kilku miejscach, okryły siatką pęknięć. Leżący wciąż bez siły Gaborn wciąż czuł dokoła przejmujący chłód. Czary maga raubenów.

W oddali rozległo się ujadanie psów.

- Gabornie? - szepnęła Binnesman.

Posąg jakby falował. Wiekowa, na wpół ludzka twarz spojrziała na leżącego młodzieńca. Gaborn pomyślał, że chyba wzrok go zawodzi. Ale w tejże chwili blask wewnątrz posągu zgasł niczym zdmuchnięta nagle świeczka. Rozległ się potężny zgrzyt.

- Nie! Jeszcze nie! - krzyknął Binnesman, patrząc na kamień.

Jakby odmawiając jego prośbie, posąg pękł na pół i runął na ziemię. Jego głowa wylądowała

niemal na stopach Gaborna. Ziemia jęknęła. Otrząsała się?

Książę zupełnie już nie wiedział, co myśleć. Patrzył na leżące o parę kroków od niego szczątki posągu i słuchał szczekania psów.

Oto koniec Siedmiu Stojących Kamieni. Skał, które podtrzymywały ziemię.

- Co się... dzieje? - spytał z wysiłkiem. Binnesman spojrzał mu w oczy.

- Być może nadchodzi koniec świata - szepnął.

29

SZALEŃSTWO TEGO ŚWIATA

Binnesman pochylał się nad Gabornem i zbadał jego rany.

- Nic poważnego - mruknął. Jego laska zaczęła emanować zielonkawą poświatą, która nie miała jednak nic wspólnego z ogniem. Przysiadło na niej kilka setek świetlików. Kilka krążyło wokół głowy zielarza.

Gaborn dopiero teraz mógł się przyjrzeć staremu. Nos miał zakrwawiony, błoto oblepiało policzek. Chyba nie był poważnie ranny, ale bez wątpienia sponiewierany.

Uśmiechnął się ponuro do Gaborna i Iomy, nastawił ucha na ujadanie psów w lesie.

- Chodźcie, przyjaciele. Wejdźcie do kręgu, tam będziemy bezpieczniejsi.

Iomy nie trzeba było popędzać. Złapała wodze obu wierzchowców, swojego i ojcowego, i wciągnęła oba pomiędzy powalone posągi.

Gaborn dźwignął się na kolana. Żebra wciąż go bolały, szczególnie gdy wciągał powietrze. Wsparty na ramieniu Binnesmana pokuśtykał do środka.

Jego koń już tam był. Pasł się w niskiej trawie i wyraźnie oszczędzał prawą przednią nogę. Gaborn był wdzięczny losowi, że uchronił zwierzę przed czarami raubena.

Wahał się jednak wkroczyć w krąg posągów. Wyczuwał w nim wielkie natężenie mocy ziemi.

To było miejsce pradawne i straszne, groźne dla tych, którzy byli mu obcy.

- Chodź, Zrodzony z Ziemi - powiedział Binnesman.

Ioma podeszła sztywno, wpatrzona w swe stopy i wyraźnie zaniepokojona emanującą spod ziemi mocą. Gaborn wyczuwał ją podobnie, jak czuje się promienie słońca na skórze w pogodny dzień. Płynęła z dołu i napełniała energią całe jego ciało. Przyklęknął, żeby zdjąć buty, poczuć tę siłę pełniej. Ziemia pachniała tu ostro, jak silnie zmineralizowana. Chociaż wszędzie wkoło rosły gigantyczne dęby, żaden nie stał blisko środka kręgu, ustępując miejsca nielicznym krzewom białej jagody. Życiodajna energia ziemi była widać zbyt silna, aby cokolwiek innego mogło przetrwać. Gaborn zdjął buty i usiadł na trawie.

Binnesman rozejrzał się jak wojownik lustrujący pole bitwy.

- Nie bój się - szepnął. - Dla Strażników Ziemi to miejsce ma szczególną moc.

Może i ma rację, pomyślał Gaborn, ale bez przesady. Ostatecznie mało nie przegrał tu walki z raubenem.

Czarnoksiężnik sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka podłużnych liści tojadu.

Skruszył je starannie i cisnął proch w powietrze.

Na starożytnej drodze ujadały psy, ich skowyt odbijał się echem od pni starych dębów. Gaborna aż dreszcz przebiegł na ten dźwięk. Rozejrzał się uważnie wkoło.

- To drzewa wzywały mnie tutaj - powiedział. Binnesman skinął głową.

- Prosiłem je o to. I nałożyłem na ciebie zaklęcie chroniące przed pościgiem Raja Ahtena. Chociaż na taką odległość wiele nie pomogło.

- Tylko dlaczego te drzewa nadały mi mylące imię? Dlaczego zwą mnie Erdenem Geborenem?

- Są stare i sklerotyczne - odparł Binnesman. - Ale pamiętają jeszcze swego króla. Ten las był

sprzymierzeńcem Erdena Geborena. Bardzo go przypominasz. Poza tym twój ojciec miał cię tak nazwać.

- Co to znaczy, że „miał mnie tak nazwać”?

- Władcy Czasu powiedzieli kiedyś, że kiedy siódmy kamień upadnie, Erden Geboren raz jeszcze przybędzie do kręgu posągów wraz ze swym Strażnikiem Ziemi i orszakiem wiernych królów i książąt. Tu odbędzie się jego koronacja i tutaj poczyni plany na koniec ery, do której należał, a wszystko w nadziei, że gatunek ludzki zdoła jednak przetrwać.

- Namaściłbyś mnie na króla?

- Jeśli świat nie oszaleje ze szczętem, to tak.

- A Raj Ahten?

- W doskonalszym nieco świecie byłby największym z twoich sprzymierzeńców.

Obalin przyciągnął go dziś w nocy, podobnie jak ciebie i króla Sylvarrestę. - Binnesman wskazał na leżący kamień przypominający posąg.

Obaliny, tak zatem się zwały. Gaborn nigdy nie słyszał tej nazwy.

- Znaleźliśmy się w straszliwym niebezpieczeństwie, Gabornie. Nic nie jest tak, jak być powinno. Dziś w nocy mieli przybyć tu wszyscy królowie Rofehavanu i Indhopalu.

Jednak wielcy mężowie, zastępy niedoszłych bohaterów przyszłych wojen, albo zginęli już, albo leżą bez sił jako darczyńcy Raja Ahtena w jego warowniach. Zbliża się wojna, która obudzi szaleństwo żywiołów, podczas gdy szeregi obrońców ziemi nieliczne są i słabe.

- Nie rozumiem.

- Spróbuję wyłożyć to jaśniej, gdy przybędzie Raj Ahten - powiedział Binnesman.

Nagle z mroku wypadły ciemne sylwetki mastiffów. Ich ujadanie przybrało na sile.

Za nimi pojawili się ludzie i kilka koni. Tylko trzy wierzchowce wytrzymały trudy pościgu. Reszta odpadła. Dwunastu wojowników dotarło tu na własnych nogach.

Gaborn stropił się, że aż tylu ludzi przetrzymało forsowny marsz w tak trudnym terenie.

To musieli być przerażająco silni wojownicy.

Psy gończe w skórzanych maskach i kolczastych obrożach podbiegły na sto stóp do kamiennego kręgu, gdzie zatrzymały się z wściekłym warczeniem, jakby natknęły się na mur. Mastiffy bardziej przypominały cienie rzucane przez drżące płomienie niż psy.

Nie mogły podejść tam, gdzie Binnesman rozrzucił tojad. Kilka pogoniło naokoło kręgu.

- Cicho! - krzyknął na nie zielarz.

Psy przypadły do ziemi, podwinęły kikuty ogonów i zamilkły. Żaden nie śmiał nawet pisnąć.

Jureem ruszył za swoim panem do środka kręgu powalonych kamieni. Jego ogier był mokry, jakby przepłynął rzekę. Płuca pracowały mu jak miechy. Nie przeżyłby kolejnych dziesięciu mil pogoni.

Widok wciąż żywego, kuśtykającego między posągami księcia Gaborna nieco zaskoczył Jureema.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, lodu, dymu i kurzu.

Raj Ahten spojrzał ostro na Gaborna. Przechylił głowę, jakby chciał się czegoś w nim dopatrzeć.

Dziwne rzeczy się tu dzieją, pomyślał Jureem. Wszystkie kamienie leżały na ziemi.

Niekształtne, choć poniekąd wciąż ludzkie w swych agonalnych pozach. Woń dymu i lodu podpowiadała, że musiała się tu rozegrać jakaś walka. Binnesman był ranny, twarz miał zabłoconą i okrwawioną.

Gdzieś w górze szumiał wiatr. Olbrzymie dęby skrzypiały powolnym rytmem, uginające się

gałęzie pozdrowiały gwiazdy. W środku kręgu jaśniało źródło mdłego światła.

Strażnik Ziemi mierzył oddział Wilka spod krzaczastych brwi. Gwiazdy rozjaśniały jego kędzierzawą brodę. Był dziwnie pewny siebie. Brudny i zakrwawiony, ale wciąż pewny siebie. Jureem pożałował, że nie ma tu tkaczy płomieni jego pana. To był błąd, że zapuścili się w lasy bez nich.

Raj Ahten zsiadł w końcu z utrudzonego wierzchowca, chociaż wodzy nie puścił.

Uśmiechnął się.

- Książę Ordnie! - zawołał swym najbardziej uwodzicielskim głosem, podczas gdy jego ludzie okrążali zdobycz. - Twoja ucieczka dobiegła końca. Nie musisz się mnie bać. Nie musisz już umykać. Chodź, przyjacielu.

Jureem czuł, jak ten głos przyciąga. Nie ulegało wątpliwości, że książę zbliży się zaraz do Jasnego Światła Indhopalu. Ale książę stał nieruchomo.

- Księżniczko, może chociaż ty mi nie odmówisz? - odezwał się Raj Ahten.

Jureem odetchnął, widząc, że Ioma wstaje i rusza ku Wilkowi.

- Nikt z tobą nie pójdzie - powiedział Binnesman, stając na drodze księżniczki.

- A i ty nie możesz zbliżyć się do nas bardziej niż twoje psy czy twoi wojownicy. -

Czarnoksiężnik ostentacyjnie skruszył w dłoni kolejny liść.

Tojad. W dowolnych rękach zawsze groźny. Odstraszał psy równie sprawnie jak kokoryczka kobry. Ludzie Raja Ahtena też cofnęli się od posągów. Dla nich tojad nie był śmiertelną trucizną, ale ich powonienie ucierpiałoby ponad miarę.

- Co tu robisz? - spytał Raj Ahten Binnesmana. - To nie twoja sprawa. Odejdź teraz, a nikt nie zrobi ci krzywdy.

- O wiele ciekawsze jest, co ty tu robisz - odparł Binnesman. - Jesteś królem człowieczym.

Słyszysz nawoływanie drzew?

- Niczego nie słyszę. Binnesman pokręcił głową.

- Wszędzie wkoło tego miejsca wyryte zostały runy kryjące je przed niepowołanymi oczami. Potężne runy. Nikt nie odnajdzie go sam. Przywabiła cię tu wielka Moc. - I pokiwał głową jak mędrzec, który jest całkiem pewny swych argumentów.

- Może... jakiś szept, Strażniku Ziemi - przyznał w końcu Raj Ahten. - Ale bardzo słaby. Jak głosy umarłych.

- To dobrze. Jest w tobie wiele ziemskich mocy, a tylko one mogą nas zachować w bliskim już czasie końca epoki. Jeśli nasz lud ma przetrwać, winniśmy wspólnie poszukać rady. Ziemia cię wezwała, Raju Ahtenie, podobnie jak tych królów, których zniewoliłeś. Czy teraz już słyszysz?

Binnesman spojrzał głęboko w oczy Wilka.

- Czuję. To miejsce pełne jest tej Mocy, której służysz. Binnesman oparł się na lasce.

Blask świetlików rozjaśnił mu twarz, która załśniła dziwnie, jakby metalicznie.

Najpewniej Binnesman zrodził się jako zwykły mężczyzna, ale oddanie ziemi pozbawiło go człowieczeństwa. Jureem pojął, że zielarz być może jest teraz równie obcy rodzajowi ludzkiemu jak frety lub nieludy.

- A co z tobą? - spytał czarnoksiężnik. - Czy i ty służysz tej Mocy? Czy potrafisz służyć czemuś, co cię przerasta?

- Dlaczego miałbym to robić? Moi tkacze płomieni prosili mnie nieustannie, bym oddał się w służbę ich ogniom. Ale dlaczego miałbym to uczynić? Te Moce nie służą człowiekowi.

Binnesman przekrzywił głowę, jakby wsłuchiwał się w słowa Raja Ahtena.

- Ależ służą, i to często, gdy nasze i ich cele się pokrywają. Służą wdzięcznie tym, którzy sami

oddali się im w służbę.

- Niechętnie, jeśli w ogóle. Binnesman pokiwał głową.

- Martwi mnie twój brak wiary.

- A mnie twój nadmiar wiary. Zielaarz uniósł krzaczaste brwi.

- Nigdy nie zamierzałem przysparzać ci zmartwień. Jeśli cię uraziłem, błagam o wybaczenie.

Raj Ahten spojrział z ukosa na księcia Gaborna.

- Powiedz mi, Strażniku Ziemi, co to za zakłęcie, które sprawia, że ile razy patrzę na księcia, zawsze widzę tylko skały albo drzewa? Przydałoby mi się.

Jureem zdumiał się. On widział Gaborna bez żadnych problemów. Księżę nie nosił ani maski, ani płaszcz z kapturem.

- To drobna sztuczka - powiedział Binnesman. - Ale przed chwilą pytałeś o co innego.

Chciałeś wiedzieć, dlaczego cię tu sprowadziłem. Przyznaję, ja cię tu przywiodłem. Chcę czegoś od ciebie.

- Czego?

Binnesman wskazał na posągi.

- To Siedem Stojących Kamieni Mrocznej Puszczy. Bez wątpienia o nich słyszałeś.

Może nawet wiesz, jak źle to wróży, że wszystkie się przewróciły. - Mówił ze smutkiem, jakby bolał nad wielką stratą.

- Owszem, znam je. W waszej mowie zwiecie je obalinami. W mojej mówimy o Coar Tangyasi, Kamieniach Czuwania. Taką nazwę podają dawne zwoje. Powiada się, że wzniesli je śniadzi, aby strzegły rodzaju ludzkiego.

- Zgadza się - odparł Binnesman. - Znasz stare zwoje, jak widzę. Wiesz zatem, że śniadzi byli wielkimi czarnoksiężnikami. Moje umiejętności nie umywają się do tego, co oni potrafili. Czerpali siły z głębi ziemi, umieli nadawać kształt rzeczom i zachowywać go mimo upływu czasu. Ja sięgam płytko, znam się tylko na ziołach i na wszystkim, co rośnie. Dawno, dawno temu magowie raubenów wydali w Podziemnym Świecie wojnę śniadym. Śniadzi nie potrafili bronić się jak należy. Z czasem pojęli, że wyginą i że potem raubenowie będą chcieli zniszczyć również człowieka. Spróbowali więc ochronić nas do czasu, aż dorośniemy i okrzepniemy. Wzniesli obaliny Mrocznej Puszczy i tchnęli w nie życie.

Z czasem zaczęliśmy zwać je Siedmioma Stojącymi Kamieniami. Oczy miały kamienne, ale strzegły dla nas głębokich zakątków podziemi. Często szeptały naszym królom parę słów, ostrzegając przed raubenami. Jednak ich głosy słyszeli tylko ci, którzy żyli w harmonii z ziemią. Ci właśnie, najwrażliwsi pośród ludzi, zostawali królami. Ty też usłyszałeś te ostrzeżenia, Raju Ahtenie. Nakazywały ci wysłać wojowników do walki z raubenami. Uczyłeś się im przeciwstawiać. Aż do teraz! Dzieciństwo ludzkości dobiegło końca. Magowie raubenów z Podziemnego Świata są już wolni!

Raj Ahten zamyślił się nad słowami Binnesmana.

- Walczyłem niegdyś z raubenami i dobrze sobie radziłem. Obawiam się, że nazbyt wielką wiarę pokładasz w swoich kamieniach. Śniadzi nie przewidzieli nadejścia Władców Runów, nie mogli wiedzieć, jak będą potężni. Jeśli jakiś posąg przewrócił się w Mrocznej Puszczy, to tak, jakby liść spadł z drzewa, i nic więcej.

- Nie lekceważ ich. Obaliny to więcej niż tylko kamienie. O wiele więcej. - Binnesman spojrział z szacunkiem na ziemię. - Ty zaś musisz bać się raubenów naruszających twe granice. Może nie pojmujesz, jak wielkie to zagrożenie. Gdy obaliny żyły, można się było wiele dowiedzieć, dotykając ich tylko. Czy wiesz na przykład, że raubenowie są już w Kartishu?

W Kartishu leżały kopalnie krwawego metalu. Jeśli raubenowie je przechwycili...

- W swojej naiwności sprzymierzyłeś się z tkaczami płomieni - ciągnął Binnesman

- bo rozporządzają siłą przydatną w razie wojny. Jednak to nie przypadek, że raubenowie też służą temu samemu żywiołowi. Nie przypadkiem też rauben zjawił się tu dziś w nocy i zadał śmiertelną ranę temu ostatniemu obalinowi. Chcą przyspieszyć koniec człowieka.

Binnesman spojrzał znów na Raja Ahtena, ale tym razem uczynił to prawie obojętnie.

- Niemniej są moce większe niż te, z których korzystają tkacze płomieni.

Wilk ruszył ostrożnie ku Ordenowi, jakby rozważał możliwość zaatakowania księcia.

Spośród wszystkich wojowników tylko Ahten nie brał nigdy żadnego daru od psa i on jeden mógł wytrzymać działanie ziół Binnesmana. Ani czarnoksiężnik, ani jego uczeń nie byli dlań oczywiście godnymi przeciwnikami.

- Wstrzymaj się - powiedział Binnesman, obracając się gwałtownie. - Nawet nie myśl, żeby zabić kogoś na tej ziemi. Te moce chronią życie, ocalają. Nigdy odwrotnie.

Ku zdumieniu Jureema Raj Ahten przystanął i schował broń. Być może dotarł doń rozkaz w głosie czarnoksiężnika: „Nawet nie myśl, żeby zabić kogoś na tej ziemi...” Binnesman wbił spojrzenie w oczy Wilka.

- Mówisz, że pragniesz mej pomocy w walce z raubenami. Dobrze więc. Pomogę ci, jeśli się do mnie przyłączysz. Oddaj swe dreny. Przyłącz się do nas w staraniach, aby dobrze przysłużyć się ziemi. Pozwól, aby jej moce cię wsparły.

- Najpierw przekonaj króla Ordena, aby zwrócił mi moje dreny, a potem zobaczymy...

Binnesman pokręcił ze smutkiem głową.

- Niestety, obawiam się, że nawet wtedy się do nas nie przyłączysz. Ty nie tyle chcesz pokonać raubenów, ile marzysz o sławie, na którą sobie tym czynem możesz zasłużyć.

Gaborn podszedł bliżej.

- Raju Ahtenie, posłuchaj, proszę, głosu rozsądku - odezwał się szczerze. - Ziemia cię potrzebuje. Służ jej, jak ja to czynię. Pewien jestem, że wraz z ojcem obmyślilibyśmy jakiś plan. Możemy rozdzielić dreny pomiędzy oba państwa, aby jedno nie musiało bać się drugiego...

Księżę zadrżał w obawie, czy nie proponuje zbyt wiele. Musiał czuć, że ten pomysł go przerasta, ale przemawiał z wielką powagą. Tak jak czarnoksiężnik.

Raj Ahten nie poświęcił propozycji Gaborna nawet słowa.

- Masz rację - powiedział do Binnesmana. - Nie przyłączę się do ciebie, Strażniku Ziemi. Nie dlatego, że szukam zaszczytów, ale ponieważ ty służysz węzom i polnym myszom, a ja człowiekowi. Nie ufam ci. Nasze sprawy nic dla ciebie nie znaczą. - Mówiąc o węzach i polnych myszach, spojrzał pogardliwie na młodego księcia.

- Wręcz przeciwnie, ludzkie sprawy znaczą dla mnie bardzo wiele - zaprzeczył

Binnesman. - Chociaż nie uważam, by ludzie byli ważniejsi niż polne myszy, choć z pewnością nie są też od nich mniej ważni.

- Zatem zacznij mi służyć - odezwał się Raj Ahten, znów tym uwodzicielskim głosem.

Binnesman niczym młodzieniec wskoczył na powalony obalin. Spojrzał z góry na białe kwiatki jaśniejące w blasku gwiazd i jednym gestem kazał się odsunąć i księciu Ordenowi, i wszystkim innym.

- Chcesz mnie użyć jako broni - powiedział Wilkowi. - Ja mam moc, owszem, ale otrzymałem ją tylko po to, aby chronić. Brakuje ci też wiary w moc, której służę. Skoro tak, to pozwól, pokażę ci mój oręż...

Jureem pomyślał, że czarnoksiężnik podniesie z trawy skrytą tam laskę magiczną.

Może jakiś pradawny, niezniszczalny miecz. On jednak machnął tylko trzykrotnie swą zwykłą laską wysoko nad głową, po czym opuścił ją, kierując koniec ku punktowi odległemu o kilka stóp.

Darń rozpękła się nagle i usunęła z korzeniami na boki.

Pod nią, w czarnej ziemi, Jureem dostrzegł coś jakby kości istoty, która zmarła tu w odległej przeszłości i leżała potem wielki całe, gnijąc pogrzebana. Jednak gdy przyjrzał im się bliżej, pojął, że to nie kości, tylko kamienie, patyki i korzenie. Leżały niemniej tak, że kojarzyły się z ludzkim szkieletem. U szczytu, gdzie stanął Binnesman, widniał

kamień przypominający głowę obramowaną pożółkłymi szablami dzika. W samej czaszce czerniały dwa otwory. Dokładnie tam, gdzie winny znajdować się oczodoły.

Po chwili Jureem zaczął odróżniać też inne kamienie przypominające kości rąk. Na kształt pazurów wystawały z nich bawole rogi.

Niemniej, jeśli cała ta układanka miała przypominać szkielet człowieka, to dziwny musiałby to być człowiek. Cały opleciony był mackami korzeni wijącymi się jak winorośl na murze.

Binnesman uniósł laskę. Dęby wkoło nagle zaszumiały sykliwie. Wiatr poruszył górnymi konarami, aż przemówiły liście. Na polanie nie dawało się wciąż wyczuć ani śladu wiatru.

Jureem przeraził się, bo poczuł, że moc ziemi gwałtownie narasta. Wypełzała spod tych kamieni, wypełniała polanę.

Binnesman znów machnął laską, zatoczył nią kilka kół. I zaśpiewał: *Wojna nadciąga. Pokój odchodzi,*

tu i teraz, w tej dolinie.

Ziemia oddycha. Życie się rodzi,

dawna moc paktu nie przeminie.

Laska znieruchomiła. Zielarz spojrział w skupieniu na oplecione korzeniami kamienie. Oddychał ciężko, jakby wypowiedzenie tych parunastu słów kosztowało go wiele sił.

Śpiew się urwał. Binnesman wpatrywał się wciąż w ziemię.

- Ziemi służę i zawsze służyć jej będę - wyszeptał. - Moje życie rodzi życie.

Życie tchnę w me dzieło. Sam wiele z życia utracę.

W tejże chwili doszło do dziwnej i przerażającej przemiany. Piersz Binnesmana rozgorzała szmaragdowym blaskiem, który zebrał się w jaskrawą kulę i eksplodował, zalewając światłem ziemię przed czarownikiem niczym spadający meteor.

Binnesman krzyknął z bólu i zacisnął palce na lasce. Gdyby nie ona, bez wątpienia by upadł. Czas płynął niewiarygodnie powoli. Świetliki wzbiły się jasną chmurą i odleciały, Jureem prawie nie widział teraz czarnoksiężnika.

Jego włosy, dotąd tylko poznaczone srebrnymi nitkami, srebrzyły się w blasku gwiazd. Opierał się na lasce jak przygięty do ziemi starzec. Zielony płaszcz w jednej chwili okrył się czerwienią, rdzawymi kolorami jesieni, jak zdarza się to kameleonom wspinającym się po murach leżącego na południu zamku Raja Ahtena. Jureem pojął, co się stało: stary czarodziej przekazał ileś lat swojego życia tym kamieniom i korzeniom pogrzebanym w ziemi.

Ziemia zadrżała, jakby wdzięczna za ten dar, jęknęła skrzypliwie.

Jeśli nawet ten hałas coś znaczył, to Jureem nie pojął ani słowa.

Binnesman nasłuchiwał jednak, więc może naprawdę ziemia przemówiła do niego.

Nagle spowaźniał.

Wyprostował się powoli, wsparty na lasce. Wyglądał na śmiertelnie wyczerpanego.

Znów zaczął wymachiwać kolicie laską, aż posypał się z niej deszcz iskier. I znów zaśpiewał:

*Ciemność będzie ci krwią,
biały pył spoi kość,
serce zabije w kamieniu.*

*Dzień oczy twe opromieni, myśl tchnie
pazurzastą, zębatą, drapieżną.*

Kamienie, rogi i korzenie zdrząły, poruszyły się. Kości ręki cofnęły się odrobinę. Binnesman cisnął laskę na ziemię i zawołał:

- Powstań z pyłu, mój orędowniku! Okryj się ciałem! Zwę cię Mrocznym Oswobodzicielem!

Zwę cię Jasnym Niszczycielem!

Ziemia ożyła z gromowym hukiem, żeby spełnić żądanie. Opłynęła kamienie i kawałki drewna. Liście i żdźbła trawy, kamyki i gałązki zatańczyły w wielkim wirze.

Chwilę potem pojawiły się wyraźne, kształtne kości i ścięgna. Pulsujące czerwienią mięśnie. Łapiące pierwszy oddech płuca. Wszystko splatało się w ciało, mieniąc się zieleniami i brązami, czerwienią i żółcią. Działo się to tak szybko, że Jureem ledwo zdążył uchwycić moment przemiany ziemi w żywą istotę.

Mroczny Oswobodziciel i Jasny Niszczyciel uniósł niezwykle długą rękę. Zaraz okryła się ciałem. Z początku widać było, że zbudowany jest z ziemi, niebawem jednak skóra stwardniała, zaślniła szmaragdowe na szyi i na plecach. Gdzieniegdzie tylko przeblyskiwała żółć jesiennych liści. Binnesman stwarza wojownika, pomyślał Jureem. Oblicze i gardło istoty jaśniało zieleniami traw i bielą kamyków.

Wojownik dźwignął się na kolana. Wyciągnął szyję, gwiazdy odbiły się w jego oczach. Dotąd były matowe i martwe niczym kamyki z dna potoku, jednak tknięte światłem gwiazd odbiły ich blask i rozjarzyły się inteligencją. Prócz inteligencji wyrażały jeszcze spokój, wielki spokój, który sprawił, że Jureem zatęsknił boleśnie, aby znaleźć się gdzieś bardzo daleko, w innej całkiem roli.

Jureem wiedział, czym jest ta... istota. Wielu magów szukało sposobu na opanowanie mocy ziemi. Najlepszy dotąd był w tym Arrdun, wielki twórca wielu magicznych formuł arru. W porównaniu z nim zwykli Strażnicy Ziemi mogli wydawać się słabi, chociaż z drugiej strony, niewielu ich mieszało się do spraw ludzkich, a gdy nawet próbowali, to mijały wieki, nim do tego dorosli. Niemniej dorosły, w pełni wykształcony Strażnik Ziemi zaliczał się do najgroźniejszych istot, jakie stąpały pod gwiazdami.

Znakiem dorosłości była umiejętność powołania do życia dzikiego - istoty zrodzonej z krwi i kości ziemi, żywego talizmanu walczącego dla swego mistrza. Eldehar stworzył gigantycznego konia, na którym ruszył do walki z tothami. Mawiał też, że jego dzikiego można „zniszczyć, ale nigdy pokonać”. Jureem nie pojmował w pełni więzów łączących Strażników Ziemi z ich dzikimi. Wiedza o tym zaginęła gdzieś w mrokach dziejów.

Teraz, gdy dziki się kształtował, zerwał się ogromny wiatr. Wiał nie tylko w górze, ale i tutaj, na polanie. Pochylił wierzchołki drzew, potargał włosy Jureema. Uderzył szybko i gwałtownie, niczym spadająca z nieba burza.

Potem wojownikowi zaczęły rosnąć włosy. Długie i zielone jak wodorosty. Spłynęły mu po plecach i ramionach, przykryły pierś. Gdy dziki nabrał kształtów, Jureem zdumiał się niepomiernie, dojrzał bowiem krągłości piersi i bioder.

Kobieta. To była kobieta, wysoka i piękna, zgrabna przy tym, z długimi włosami i smukłymi kończynami.

Krzyknęła, aż ziemia się zatrzęsła, a wiatr uderzył z nową siłą i uniósł dziką, która smugą zieleni wleciała nad wierzchołkami drzew i poszybowała gdzieś na południe. I zniknęła.

Na polanie zapadła cisza. Wiatr się uspokoił.

Juremowi mowę odebrało. Czy o to właśnie chodziło Binnesmanowi? Czy dzika uleciała celowo, czy przez pomyłkę? I dokąd wiatr ją poniósł? I czy naprawdę była to wielka, zielona kobieta?

Doradcy wciąż brakowało tchu. Zmieszany spojrzął w lewo, potem w prawo. Chciał sprawdzić, jak zareagowali na zjawisko żołnierze. Wszystko stało się tak szybko.

Wierzchowiec księcia Ordenu zarżał przerażony, cofnął się i stanął na tylnych kopytach. Dla niego zielona kobieta wyrosła nagle nie wiadomo skąd.

- Spokojnie - powiedział Binnesman i zwierzę przestało się miotać.

Czarnoksiężnik spojrzął w górę, gdzie zniknął jego twór. Wyglądał na przygnębionego.

Coś poszło nie tak. Binnesman nie oczekiwał, że dzika nagle odleci. Teraz był pusty, opadły z sił. Stary i przygarbiony stał w karmazynowych szatach. Chciał skłonić dziką do walki o swą sprawę, ale coś się doszczętnie pomieszało. Zwiesił głowę i pokręcił nią z niedowierzaniem.

- Proszę, proszę - mruknął Raj Ahten. - I co to miało być wedle zbaraniałego czarnoksiężnika? Gdzie jest dzika? Obiecałeś mi broń.

Binnesman znów tylko pokręcił głową.

- Naprawdę jesteś aż tak głupi? - nie popuszczał Wilk. Zielarz spojrzął nań ze zmęczeniem w oczach.

- Niełatwo wydobyć dzikiego z ziemi. Ma własny umysł i lepiej ode mnie zna wrogów ziemi. Zapewne pilne sprawy wezwały ją gdzie indziej.

Binnesman wyciągnął rękę ku rumakowi Raja Ahtena. Trzy pozostałe wierzchowce spłoszyły się na ten ruch i Jurem musiał zмагаć się chwilę z wodzami, by utrzymać swego konia na miejscu.

- Co robisz? - spytał Wilk.

- Już późno. Pora, by wrogowie ziemi zamknęli oczy i zaczęli śnić o czasach pokoju.

Jurem patrzył zdumiony, jak niemal natychmiast Raj Ahten i jego żołnierze zapadli w sen. Większość osunęła się na ziemię i zachrapała rozgłośnie. Wilk spał na stojąco.

Stary czarnoksiężnik przyjrzał się śpiącym wojownikom.

- Uważaj, Raju Ahtenie - szepnął. - Strzeż się zamku Longmot. - Podniósł głowę i natknął się na czujne spojrzenie Jureema. - Nie zasnąłeś? Niesamowite! Widać ty jeden wśród nich nie jesteś wrogiem ziemi.

Jurem nie wiedział, co powiedzieć. Przeraził się, widząc, jak jego pan uległ cudzej woli. Nie mógł się nadziwić, że stary czarnoksiężnik i jego podopieczni wciąż żyją.

- Służę... memu panu, ale nie chcę krzywdzić ziemi.

- Nie możesz służyć i jemu, i ziemi - rzekł Binnesman, dosiadając rumaka Raja Ahtena. - Znam już jego myśli, czytam w jego sercu. Gotów jest zniszczyć ziemię.

- Jestem jego poddanym - powiedział Jurem, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Jego ojciec był niewolnikiem, tak samo ojciec jego ojca. Potrafił jedynie służyć królowi, i to dobrze służyć.

- Król Ziemi nadchodzi - oznajmił Binnesman. - Jeśli nadal chcesz służyć jakiemuś królowi, wybierz jego.

Skinął ręką, by księżę Orden i Ioma też dosiedli koni. Król Sylvarresta w ogóle nie zsiadał. Czarnoksiężnik spojrzął przeciągle na Jureema, po czym razem z towarzyszami odjechał w noc tą samą drogą, którą przyjechali.

Doradca siedział przez dłuższy czas w siodle i patrzył na śpiącego Raja Ahtena.

Noc wydawała się ciemniejsza niż jakakolwiek za pamięci Jureema, chociaż gwiazdy płonęły jasno na niebie. Tkaczka powiedziała przed śmiercią, że nadchodzi król. Król, który zniszczy jego pana.

Ostatni raz Król Ziemi pojawił się dwa tysiące lat temu. Był nim Erden Geboren.

A teraz nadchodził król Orden. Szykował się właśnie w Longmot na atak Raja Ahtena.

Jureem spojrział na obaliny. Tam, gdzie kiedyś stało ich siedem, teraz leżały tylko szczątki.

Czego to znak? Doradca wciągnął głęboko ciepłe, nocne powietrze.

Pachniało ziemią. Niewiele brakowało, by zawrócił konia i ruszył za czarnoksiężnikiem. Ale odgłos kopyt ucichł już w ciemności.

Wbił oczy w swego pana.

Od lat poświęcał wszystko dla Największego i Jedyne, spełniał każdą jego zachciankę. Wychodził ze skóry, żeby być dobrym sługą. Teraz wejrzał w swe serce i zastanowił się, dlaczego właściwie to robił.

Dziesięć lat wcześniej był taki czas, gdy Raj Ahten często wspominał o połączeniu sił, o zjednoczeniu królów Południa pod jednym sztandarem dla odparcia najazdu raubenów. Z

latami to marzenie odmieniło się jakoś, zwichrowało. A Jureem wciąż zwał go Najjaśniejszym, jakby Raj Ahten był źródłem wszelkiego blasku i chwałą podziemi.

Doradca zawrócił konia. Jestem tu najślabszy, powiedział sobie. Jednak może Orden przyjmie mnie na służbę.

Zostanę napiętnowany jako zdrajca, pomyślał. Jeśli teraz odjadę, Raj Ahten uzna, że to ja byłem szpiegiem, który doniósł Ordenowi o drenach.

Zastanawiał się przez chwilę. Niech tak się stanie. Skoro i tak jestem podejrzewany, to niech chociaż będą po temu jakieś powody. Znał wiele sekretów, którymi mógł się podzielić. Na dodatek ułatwi swą ucieczką robotę prawdziwemu szpiegowi działającemu w pobliżu Raja Ahtena.

Będzie oczekiwał, że pojechałem na południe, do Longmot, pomyślał Jureem. Z czasem faktycznie tam podążę, ale jeszcze nie dzisiejszej nocy. Na razie skieruję się na północ i poszukam jakiejś stodoły lub szopy, żeby się przespać.

Czuł się krańcowo zmęczony i brakło mu sił na dłuższą jazdę. Dość ostatnio tłukł się w siodle.

Księga 4

DZIEN

DWUDZIESTY DRUGI

MIESIĄCA ŻNIW

DZIEŃ RZEZI

30

ŚMIERĆ PRZYCHODZI DO DOMU PRZYJACIELA

Południowo-wschodni wiatr niósł zapach deszczu. Ciemne chmury nadciągały z wolna nad puszcę. Borenson nastawił ucha. Prócz odległych grzmotów słyszał też rwane popołudniowym wiatrem końskie rzenie, wyczuwał woń wierzchowców. Oddziały Raja Ahtena maszerowały przez poczerniałe wzgórza.

Minęło dopiero pół godziny, odkąd Gaborn wskoczył na siodło. Borenson skinął mu głową, życząc, by konie rączo biegły. Po chwili księżę, Ioma i król Sylvarresta pognali pod górę pokrytego popiołem wzgórza i zniknęli w bezpieczniejszej głębi lasu.

Trzasnęło jeszcze kilka gałązek, parsknął jeden z koni, jednak wszystkie trzy galopowały tak zwinnie, że już po chwili nic nie świadczyło o ich niedawnej obecności.

Borenson też skierował się ku skrajowi lasu, ale wybrał inną drogą. Przed nim ciągnęły się stare dęby i jesiony, wiele z opalonymi doszczętnie końcówkami konarów.

Gdy podjechał bliżej, zauważył coś osobliwego: obszar pogorzelniska urywał się, jakby przegrodzony niewidzialnym murem. Dalej drzewa nie nosiły żadnego śladu pożaru.

Ani osmalonej gałązki... Nawet pajęczyny wisiały całe. Tak jakby... płomienie pożerały wszystko, aż drzewa powiedziały: „Ten las jest nasz. Dalej nie pójdziecie”.

A może ten nienaturalny ogień wygasł z jakichś własnych powodów? pomyślał

Borenson. Żywioł mógł świadomie kierować batalią płomieni, ale w jakiejś chwili stracił dla nich zainteresowanie, zostawił samopas, aż szczęły.

Borenson zatrzymał konia u zielonej bariery. Nasłuchiwał, obawiając się jechać dalej. Brakło śpiewu ptaków, wśród martwych liści nie wypatrzył ani frety, ani nawet myszy. Brodate dęby zagradały drogę wielkimi płachtami porostów zwieszającymi się z konarów. To była naprawdę stara puszcza. Borenson polował w tych nawiedzonych lasach, ale nigdy nie wjeżdżał do nich sam. Wiedział, jakie to niebezpieczne.

Nie, ogień sam się nie zatrzymał, uznał w końcu. To puszcza mu się przeciwstawiła.

Drzewa, które tu rosną, są dość stare, by pamiętać, jak śniadzi wznosili Siedem Kamieni.

Krążą tu pradawne duchy, którym nikt nie powinien stawiać czoła w pojedynkę.

Borensonowi zdało się, że czuje na sobie ich spojrzenie. Złośliwe duchy, które sprawiły, że powietrze zrobiło się gęste. Zerknął na niebo. Z południowego wschodu ciągnęły niskie chmury. Wiatr dął mu w twarz.

- Nie jestem waszym wrogiem - szepnął drzewom. - Jeśli wypatrujecie wrogów, to niebawem ich napotkacie. Przybywają. Ostrożnie i z respektem Borenson skłonił konia do wejścia pod ciemne konary.

Wjechał tylko na kilka jardów, ukrył i spętał wierzchowca w małej kotlinie, po czym podpełznął do skraju lasu, żeby obserwować przemarsz wojsk Raja Ahtena.

Nie musiał czekać długo. Minęło ledwie kilka chwil, gdy zza wzgórz wyjechało dwudziestu ludzi poprzedzanych przez psy bojowe. Ku przerażeniu Borensona prowadził ich sam Wilk.

Przez chwilę gwardzista obawiał się, że tropiciele odnajdą jego ślad, ale przystanęli na dłuższą chwilę przy rzece, by przeszukać ziemię w miejscu, gdzie Gaborn zdjął kolczugę z trupa Torina.

Borensona dobiegły ich urywane pokrzykiwania, ale nie rozumiał dialektu indhopalskiego, którym się posługiwali. Znał tylko kilka przekleństw w północnej odmianie tej mowy, ci zaś najwyraźniej przybyli z południa.

Raj Ahten połapał się, że ścigani się rozdzielili. Ruszyli tropem księcia.

Borenson próbował odgadnąć, dlaczego również Wilk wziął udział w pościgu, co nie wróżyło, niestety, dobrze. Może ceniał Iomę i Sylvarrestę bardziej, niż można by sądzić? Albo chciał pojmać

Gaborna i trzymać go jako zakładnika? Wojownik w duchu życzył księciu powodzenia. By nic nie wstrzymało biegu jego konia, nim dotrze do Longmot.

Tropiciele ledwie zerknęli na ślady Borensona, gdy drogą nadeszła cała armia Raja Ahtena. W ostatnich promieniach przedburzowego słońca jaśniały złote opończe.

Pierwsi maszerowali łucznicy w sile kilku tysięcy. Szli po czterech w szeregu.

Za nimi ciągnął tysiąc konnych. Potem pojawili się doradcy i magowie Wilka.

Żołnierze mało Borensona obchodzili. Czekał, kto jeszcze nadjedzie, aż ujrzał

wielki, obudowany deskami wóz służący do przewozu darczyńców. Zapewne nie było ich

więcej niż trzy tuziny. Pod strażą kilku setek Niezwycięzonych.

Strzała nie przebiłaby drewnianych burt. Borenson uznał, że jeden człowiek nijak nie wdrze się do wozu.

Ale też nie musiał. Prawda i tak była oczywista. Raj Ahten wziął najpewniej ze sobą tylko garstkę swoich pośredników w nadziei, że nikt nie spróbuje zabić kilkuset nieszczęsnych darczyńców siedzących w warowni Sylvarresty czy innych zamkach, które Wilk opanował na Północy.

Gdy wóz przejechał, gdy przeciągnęli kucharze, płatnerze, kowale i rozmaite ciury obozowe, zjawiła się tylna straż złożona z tysiąca łuczników. Borenson musiał

przełknąć gorzką prawdę, że nie da się zabić pośredników Raja Ahtena. Musiał się przekraść do Warowni Darczyńców w zamku Sylvarresta, chociaż nie wiedział, ilu strażników tam napotka.

Siedział na skraju lasu przez długie godziny, podczas gdy chmury przeciągały po ciemnym niebie. Wiatr zrywał z drzew suche liście. Przed wieczorem zaczęło się błyskać, lunął deszcz.

Borenson naciągnął koc na głowę i wrócił w myślach do Myrrimy. Dziewczyna została w Bannisferre. Miała tam trzy darczyńczynie - bezrozumną matkę i dwie brzydkie siostry. Oddały, co miały najlepszego, by uratować rodzinę, wygrać walkę z ubóstwem. Po drodze do ich domu Myrrima opowiedziała Borensonowi, jak zginął jej ojciec.

- Matka wychowała się w majątku i miała własne dary. Ojciec zaś był kiedyś bogaty.

Sprzedawał wytworne ubrania na rynku, szył zimowe płaszcze dla dam. Ale jego skład spłonął razem z płaszcami i właścicielem. Całe złoto rodziny też musiało paść łupem płomieni, bo nie znaleźliśmy potem ani odrobiny. - W ten oględny sposób dała do zrozumienia, że jej ojciec został zamordowany podczas napadu rabunkowego. - Mój dziadek jeszcze żyje, ale wziął sobie młodą żonę, która wydaje więcej, niż on przynosi do domu.

Borenson zastanawiał się, do czego dziewczyna zmierza, aż wyszeptala mu początek starego przysłowia:

- „Szczęście to łódka...”

- „...na wzburzonym morzu, która opada i wznosi się z każdą falą” -
dopowiedział.

Pojął, że Myrrima nie ufa szczęściu. Ich małżeństwo mogło być szczęśliwe, ale tylko dlatego, że teraz akurat znajdowali się na grzbiecie fali. Obawiała się, że chwila, moment, a łódka ześlizgnie się w dolinę, może nawet zniknie na zawsze pod powierzchnią.

Borenson tak właśnie się teraz czuł. Wtłoczony pod fale, choć nie pozbawiony nadziei, że jeszcze uda mu się wypłynąć. Pomysł, aby wysłać samotnego wojownika do Warowni Darczyńców, był poroniony. Najpewniej Borenson przybędzie na miejsce, stwierdzi, że warownia jest zbyt silnie broniona, i będzie musiał zrezygnować.

Wiedział jednak, dobrze wiedział, że jeśli pojawi się najmniejsza choć szansa wniknięcia do środka, to z niej skorzysta.

Burza przeszła późnym wieczorem, a on siedział bez ruchu i nasłuchiwał, jak woda kapie z drzew, jak skrzypią na wietrze konary. Czuł woń gnijących liści i żywej, puszczańskiej ziemi. Czysty zapach tego kraju. I jeszcze smród spalenizny.

Wzdragał się przed zamordowaniem darczyńców. Długo próbował się do tego przygotować, przekonać siebie, że to naprawdę konieczne. Wyobrażał sobie, jak wdziera się na mury, walczy ze strażą. Wjechałby do miasta, ruszył do bram Warowni Darczyńców, powaliłby przeciwników i wypełnił swą powinność.

Taki atak byłby niewątpliwie dowodem odwagi, ale skończyłby się raczej jego śmiercią. Co nie było wcale tak paskudną perspektywą, zważywszy na charakter zadania. Gdyby nie Myrrima, z chęcią

porwałby się na ten samobójczy atak.

Gdyby spróbował wejść do warowni za dnia, wszystko skończyłoby się fiaskiem. Co więcej, jeśli nawet by mu się powiodło, musiałby jeszcze wrócić do swego króla i zameldować... co zaszło między nim a Gabornem i dlaczego nie zabił króla Sylvarresty... Aż go żołądek zabolął na tę myśl. Nie mógł skłamać Ordenowi, nie mógł udawać, że w ogóle nie spotkał księcia.

Patrzył, jak słońce niknie na zachodzie, złocąc chmury zwiastujące następną burzę.

Zdjął pęta z konia i ruszył na południe, do zamku Sylvarresta.

Nie jestem mordercą, powtarzał sobie, chociaż od dawna uprawiał się z zapalem w żołnierskim rzemiośle. I został wojownikiem. Jednym z najlepszych. A teraz miał się jeszcze stać skrytobójcą.

Przypomniawszy sobie, jak pięć lat wcześniej królowa Orden została zamordowana w swoim łóżku. Razem z nowo narodzonym dzieckiem. Borenson próbował dopaść sprawcę, wielkiego męża, który poruszał się zwinnie niczym wąż, nosił czarne szaty i zakrywał twarz. Jednak zabójca uciekł.

To było bolesne wspomnienie. A gorsza jeszcze była świadomość, że niebawem sam stanie się kimś podobnym.

Podjechawszy bliżej, Borenson ujrzał ledwie garstkę strażników krążących po murach.

Lojalni żołnierze Sylvarresty zostali zdziesiątkowani, a Raj Ahten poskapił swoich, by strzegli pustego miasta. Na murach Warowni Darczyńców nie było widać nikogo.

Borenson posmutniał. Tam właśnie winni czuwać starzy przyjaciele: kapitan Ault, sir Vonheis, sir Cheatham. Jednak nawet jeśli jeszcze żyli, to leżeli gdzieś bezwładni w Warowni Darczyńców. Trzy lata temu, podczas polowania, wziął ze sobą dzban melasy. Nakapał nią w lesie cały szlak wiodący do stóp Derrowa. Resztą syropu wysmarował mu buty. Gdy kapitan obudził się rano i ujrzał oblizującą mu pięty niedźwiedzicę, narobił takiego wrzasku, że cały obóz postawił na nogi.

Borenson sięgnął po białą flaszkę. Wyciągnął korek i uwolnił resztę mgły.

Pół godziny później zdjął zbroję i wyruszył. Pod osłoną mgły wspiał się od zachodu na Mur Zewnętrzny. Potem przekradł się przez miasto do wewnętrznego kręgu umocnień. Mur Królewski pokonał szybko, napotykając tylko jednego młodzieńca, który akurat odwrócił się doń plecami.

Okolo północy dotarł pod Warownię Darczyńców i przyjrzał się jej uważnie. Nikogo nie dostrzegł, strażnicy jednak mogli czuwać ukryci w wieżyczkach Warowni Króla.

Wybrał zatem stronę pomocną, wychodzącą na las i nekropolę, skąd mało kto mógłby go dostrzec.

Deszcz zmoczył kamienie, utrudniając wspinaczkę. Zmitrężył sporo czasu, nim wreszcie dotarł na szczyt. Stwierdził, że parapety rzeczywiście nie zostały obsadzone, ale schodząc pod schodach, spostrzegł dwóch miejskich strażników - młodych ludzi z paroma darami, którzy szukali w bramie warowni schronienia przed deszczem.

Począł, aż błyskawica rozjaśni niebo, i rzucił się na nich. Zabił obu w chwili, gdy nad warownią przetaczał się huk gromu. Nikt nie usłyszał ich krzyków.

Nie przestawał się dziwić. Ani jednego Niezwyciężonego? Nikogo, kto by strzegł darczyńców? A może to pułapka i strażnicy kryją się wśród darczyńców?

Obrócił się i spojrzał na mokre od deszczu kamienie budowli. W wielkich salach było ciemno, lampy płonęły tylko w kuchniach. Wiatr świszczął w bramie, omiatał podwórzec.

Zabijanie darczyńców było rodzajem sztuki. Niektórzy z nich, Borenson o tym wiedział, sami mieli sporo darów lub długą praktykę we władaniu bronią i potrafili się skutecznie bronić. Mogli być okaleczeni - głusi lub ślepi, niemi lub pozbawieni węchu - ale wciąż niebezpieczni. Rozsądek

nakazywał omijać takich ludzi. Najpierw należało ich osłabić, usuwając pierwotnych darczyńców.

W ten sposób zaczynało się zawsze od zabijania kobiet i młodzieży. Zgodnie z regułą: najpierw najslabszych. Gdyby ktoś zabił męża noszącego dwadzieścia darów, zaraz miałyby na karku wszystkich dwudziestu jego darczyńców. Obudziliby się niechybnie i albo podnieśli alarm, albo sami rzucili się do walki. I chociaż czasem kusilo, by zostawić paru przy życiu, było to ryzykowne. Jeszcze zawezwaliby straż. Tak więc zabijało się wszystkich.

Na początek mordowało się zwykłych ludzi, którzy oddali swój dar i żadnego nigdy nie przyjęli. Ci byli na samym dole. Należało zablokować wyjścia i posuwać się coraz wyżej.

Chyba że ktoś obudzi się w niestosownej chwili.

Najlepiej zrobię, jeśli zacznę od kuchni, pomyślał Borenson. Zabrał martwemu strażnikowi klucze i zamknął kratę w bramie, aby nikt tu nie wszedł ani nie uciekł. Potem ruszył do kuchni. Była zamknięta, ale starczyło wsunąć dziób młota w szparę przy framudze.

Z ośmioma darami krzepy bez trudu wysadził drzwi z zawiasów.

W środku ujrzał prostą dziewczkę, która została, aby wyszorować podłogi. Dziecko około dziesięciu lat, z jasnymi jak słoma włosami. Poznał ją - to ona usługiwała księżniczce Iomie podczas ostatniej uczyt wydanej z okazji Hostenfest. Za młoda na to, aby ofiarować jakiś dar. Zresztą Sylvarresta i tak by niczego od niej nie przyjął.

Ale potem był tu jeszcze Raj Ahten. I dziewczynka na pewno mu coś ofiarowała.

Gdy ujrzała Borensona w drzwiach, otworzyła usta do krzyku. Ale nie wydała z siebie ani dźwięku.

Niema, oddała głos nowemu panu.

Mało brakowało, aby cały plan Borensona runął w gruzy. Zrobiło mu się niedobrze.

Był jednak karnym żołnierzem, zawsze dobrym w swym fachu. Nie mógł pozwolić, aby ta mała przecisnęła się przez kratę i pobiegła po pomoc. Dzieciak będzie musiał umrzeć, ale ocali to być może tysiące mieszkańców Mystarrii.

Objął dziewczynkę i wyjął jej miotłę z dłoni. Chciała krzyczeć, próbowała się wyrwać. Wczepiła się palcami w krawędź stołu, przewróciła ławę.

- Przepraszam! - szepnął Borenson i skrzywił jej kark. Nie chciał, żeby cierpiała.

Gdy ostrożnie położył ciało na podłodze, usłyszał głuchy stuk dochodzący ze spiżarni.

W cieniu stała jeszcze jedna dziewczyna, jej czarne oczy lśniły w ciemności.

Może i dokonywał bohaterских czynów, ale z całego serca nie cierpiał bohatersko zabijając dzieci pracujących w nie strzeżonej warowni.

Zaczęła się najbardziej ponura noc w życiu Borensona.

31

CZAS NA PYTANIA

Konie gnały traktem przez las, pomiędzy skrytymi w mroku drzewami. Binnesman trzymał laskę jak najwyżej, by oświetlać drogę, choć zapewne kosztowało go to wiele wysiłku. Wyglądał na wyczerpanego i postarzałego.

Pnie tylko migały obok.

Gabornowi cisnęły się na usta tysiące pytań. Gubił się w domysłach. Chciał porozmawiać z Binnesmanem, ale się wstrzymywał. W Mystarrii uważano takie przepytywanie obcego za nieuprzejmość. Gaborn zawsze uważał, że ten zwyczaj to zwykły towarzyski przesąd, jednak teraz zaczął dostrzegać w nim głęboki sens.

Zadając pytania, narusza się niewidzialną domenę drugiego. Zabiera mu się czas i w pewnej mierze przymusza do udzielenia odpowiedzi, która przecież może mieć jakąś wartość. Czasem

wymierną, w ziemi lub złocie. A stąd już niedaleko do kradzieży.

Aby nie myśleć o obalinach i utracie dzikiej Binnesmana, Gaborn zaczął się zastanawiać, jak często dobre maniery w gruncie rzeczy służą ochronie domen innych. Jeśli tak na nie spojrzeć, wyraźnie dostrzega się, że grzecznościowe zwroty i gesty wplatają się w szerszy system.

W końcu jednak książę powrócił do rozważań o tym, co się niedawno zdarzyło.

Podejrzewał, że Binnesman wie o nadchodzących czarnych latach o wiele więcej, niż wyznał Rajowi Ahtenowi, zapewne znacznie więcej, niż w ogóle mógł powiedzieć.

Edukacja czarnoksiężnika trwa długo i jest żmudna, a Gaborn słyszał kiedyś, że samo zrozumienie jej podstaw wymaga nawet miesięcy studiów.

Po chwili książę postanowił, że o pewne sprawy w ogóle nie będzie pytał. Na przykład o to, jaką cenę zapłacił Binnesman za tchnięcie życia w dziką.

Strażnik Ziemi zjechał tymczasem z drogi i poprowadził ich splątanymi ścieżkami ciągnącymi się wśród drzew. Nawet najlepszy tropiciel zgubiłby się w tych ciemnościach, Gaborn nie przeszkadzał więc czarnoksiężnikowi. Binnesman wiódł ich w ciszy, przy blasku gwiazd. Po godzinie wyjechali na jakiś stary trakt. Stąd pogonili na północ, aż nagle, minawszy kolejny grzbiet, wypadli na szerokie pola pod wioską Trott, dwanaście mil na zachód od miasta Sylvarresta.

Na leżącej poniżej równinie stały setki namiotów należących do południowych kupców, którzy przybyli na Hostenfest, ale musieli opuścić błonia pod miastem, gdy Raj Ahten zaczął oblężenie.

Binnesman zatrzymał okrzykiem konie i przyjrzał się ciemnej równinie. Słońce późnego lata wypaliło trawę prawie na biel, tak więc światło gwiazd pozwalało dojrzeć to i owo.

- Patrzcie! - szepnęła Ioma.

Gaborn spojrział, gdzie pokazywała. Coś ciemnego pełzło przez pole ku namiotom, koniom i mułom.

To były Nieludy. Osiemdziesiąt albo i sto. Widać miały nadzieję napełnić w obozie puste brzuchy. Na wschodzie, wzdłuż grzbietu wzgórza, poruszało się kilka wielkich głązów.

Sylwetki trzech olbrzymów.

Wszyscy byli głodni i pożądali mięsa. Raj Ahten przeciągnął tu wcześniej z nimi, tak więc ci, którzy przeżyli poranną bitwę, wrócili. Wrócili, żeby się najeść.

- Będzie trzeba uważać - mruknął Gaborn. - Nasze konie potrzebują paszy i wypoczynku. Na razie jednak musimy jechać, może przez otwarte pole, żeby nie dać się zaskoczyć. - Książę skierował wierzchowca na wschód, z powrotem ku zamkowi Sylvarresta.

Jadąc w tym kierunku, dotarłby do drogi wiodącej przez wzgórza Durkin, czyli na południe.

- Nie, powinniśmy jechać na zachód - powiedziała Ioma.

- Na zachód?

- Most w Hayworth został zniesiony. Do puszczy z końmi teraz nie wrócimy, zatem i Dziky Bród nie będzie nam po drodze. Poza tym wolałabym nie wpaść po ciemku na armię Raja Ahtena.

- Ona ma rację - mruknął Binnesman. - Pozwól, niech poprowadzi.

Czarnoksiężnik ledwo mówił ze zmęczenia. Czy to zaklęcia go tak wyczerpały?

- To jedyna droga - powiedziała Ioma. - Na zachód traktem przez wzgórza Trummock.

Jest bezpieczny. Puszcza podeń nie podchodzi. Ludzie mego ojca wycięli drzewa.

Binnesman uznał, że należy dać trochę wytchnienia koniom. Jak na komendę wszyscy zsiadli, aby rozprostować nogi, poprawić uprząż.

- Ruszajmy - rzekł w końcu czarnoksiężnik. Wszystkim się zdawało, że minęła ledwie chwila. - Mamy parę godzin, nim Raj Ahten się obudzi. Zróbmy z nich dobry użytek.

Pojechali w dół zbocza, ku równinie. Wprawdzie konie były głodne, a trawa rosła tu wysoko,

ale zeszcła już i sypała się: nie nadawała się na paszę.

Po półgodzinie wolnej jazdy polną drogą poczuli się dość pewnie, by porozmawiać o planach na najbliższą przyszłość.

- Na tej drodze mój koń pogoni najszybciej - powiedział Binnesman. - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pojedę przodem. Będą mnie potrzebowali w Longmot. Poza tym może znajdę moją dziką.

- Myślisz, że mogła tam polecieć? - spytała Ioma.

- Nie mam pewności - mruknął Binnesman i nie podjął tematu.

Niebawem dojechali do podniszczonego gospodarstwa przy wijącym się strumieniu. Z tyłu widać było mały sad i pochyły chlewik dla paru świń. Mieszkańcy chaty musieli się obawiać ataku, bo na śliwie przed domem i na drzwiach chlewika zawiesili latarnie.

Pewnie strach ich zżera, pomyślał Gaborn. Chata stała samotnie, milę od osady, i nie można było liczyć na sąsiadów. Ciężka sprawa, gdy masa niełudów i olbrzymów grasuje po polach.

Ojciec Iomy podjechał do latarni przy chacie i wpatrzył się w nią zahipnotyzowany, jakby po raz pierwszy zobaczył coś podobnego. Gaborn uświadomił sobie, że król nie widział jeszcze latarni, przynajmniej nie za obecnej pamięci. Dla niego cały świat był czymś kompletnie nowym. Niby znanym, ale odkrywaniem raz jeszcze, niczym w osobliwym śnie.

Książę też podjechał do latarni, tak żeby jego twarz była dobrze widoczna, i zastukał do drzwi. Natychmiast się uchyliły, a w szparze ukazała się skrzywiona i pomarszczona jak rzepa twarz starej kobiety. Przybysze wyraźnie nie budzili jej zaufania.

- Czy możemy dostać trochę wody i paszy dla koni? - spytał Gaborn. - I jeszcze wody dla nas?

- O tej porze? - warknęła kobieta. - Nawet gdybyś był królem, to po nocy nic ci nie dam! - I zatrzęsnęła drzwiami.

Gaborn zdumiał się i spojrzał na Iomę, ciekaw, co powie. Binnesman uśmiechnął się, Ioma zaś ze śmiechem podeszła do śliwy. Zerwała pół tuzina dużych, fioletowych owoców.

Książę dojrzał poruszenie w domu. Kobieta próbowała wypatrzeć coś przez okno, ale ponieważ nie było w nim szyb, lecz błony, widziała tylko rozmazane cienie.

- Zostawcie śliwki! - krzyknęła jednak.

- A gdybyśmy tak zerwali ich sobie trochę i zapłacili złotem?! - odkrzyknął Gaborn.

Kobieta błyskawicznie stanęła znowu w drzwiach.

- Macie pieniądze?

Książę sięgnął do kieszeni i wyciągnął monetę. Rzucił ją kobiecie, która dziwnie sprawnie ruszyła z progu i złapała złoto. Zamknęła skrzypiące drzwi, by sprawdzić metal zębami, po czym uchylła je ponownie.

- W chlewiku jest ziarno - oznajmiła jakoś serdeczniej. - Dobry owies. Weźcie, ile wam trzeba. Śliwki też możecie zrywać.

- Błogosławieństwo niech spłynie na ciebie i twoje drzewo - odparł Binnesman. -

Trzy lata dobrych zbiorów.

- Dziękujemy - dodał Gaborn, kłaniając się nisko. Wraz z Binnesmanem poprowadzili konie ku zabudowaniom gospodarczym, a Ioma z ojcem zajęła się owocami.

Książę otworzył chlewik i wyciągnął jutowy worek z ziarnem. Wysypał je do mocno zużytego drewnianego koryta. Czarnoksiężnik milczał przez cały czas, siedział na koniu i tylko obserwował Gaborna.

- Chciałeś mnie o coś spytać - powiedział w końcu. Książę nie śmiał zaczynać od najbardziej

palących pytań.

- Twoje szaty poczerwieniały - zauważył na początek.

- Tak jak zapowiadałem. W wiosnie swej młodości Strażnik Ziemi zyskuje moc, dba o nią i zgłębia jej tajniki. Zielonym latem swego życia dojrzewa i zaczyna zbierać plony. Dla mnie jednak nastąpiła już jesień i pora mi zająć się żniwami.

- A co będzie zimą? Binnesman uśmiechnął się lekko.

- O tym wolałbym teraz nie mówić.

Gaborn sięgnął po jedno z bardziej nurtujących pytań.

- Dlaczego Raj Ahten mnie nie widzi? Myśli, że nałożyłeś na mnie jakieś zaklęcie.

Czarnoksiężnik zachichotał.

- W moim ogrodzie, gdy ziemia nakreśliła ci run na czole, dała ci moc, której ja, w mojej słabości, nie śmiałem przywoływać. Jesteś teraz niewidzialny, przynajmniej dla wrogów. Ci, którzy służą ogniovi, nie mogą cię dostrzec, dociera do nich tylko obraz twojej miłości do tej krainy. Im bliżej podchodzą, tym potężniej zaklęcie ich odrzuca.

Dziwię się, że Raj Ahten w ogóle zauważył cię na polanie. Może to ogień dał mu tyle siły. Sam tego wcześniej nie rozumiałem, chociaż teraz pojmuję, w czym rzecz. Gaborn zamyślił się.

- Niemniej nie powinieneś uważać się za całkiem bezpiecznego z tym darem - dodał

Binnesman. - Wielu złych ludzi wciąż może cię skrzywdzić, pod warunkiem że nie służą ogniovi. A tkacze płomieni potrafią niekiedy przebić zasłonę, jeśli podejda dość blisko.

Gaborn przypomniał sobie tkaczkę, którą spotkał w zamku Sylvarresta. To, jak spojrzała na niego i całkiem nagle rozpoznała w nim największego wroga.

- Rozumiem... - szepnął. - Teraz rozumiem, dlaczego Raj Ahten mnie nie widzi. Ale dlaczego ja nie widzę jego?

- Co? - spytał Binnesman, unosząc brwi w niepomiernym zdumieniu.

- Wcześniej widziałem jego twarz, hełm i zbroję. Ale dziś w nocy coś go przede mną skrywało. Tak jak mnie przed nim. Patrzyłem nań i widziałem... mnogość ludzi... wszyscy kłaniali mu się, oddawali hołd. Stali w płomieniach.

Binnesman roześmiał się długo i rozgłośnie.

- Może nazbyt głęboko się weń wpatrywałeś. Powiedz mi, o czym myślałeś, gdy pojawiła się ta wizja?

- Po prostu chciałem zobaczyć go takim, jaki jest pod tymi wszystkimi darami urody.

- Pozwól, że coś ci opowiem - rzekł Binnesman. - Wiele lat temu mój mistrz, Strażnik Ziemi, służył zwierzętom w puszczy. Zającom, ptakom i innym. Przychodziły do niego, a on je żywił lub leczył w razie potrzeby. Gdy spytałem go, skąd wie, czego potrzebują, zdumiał się i powiedział: „Przecież starczy popatrzeć im w oczy”. I tyle, jakby to było oczywiste.

Potem odesłał mnie, gdyż uznał, że nie nadaję się na Strażnika Ziemi. Bo widzisz, Gabornie, on miał dar ziemi, dar Widzenia. Potrafił wejrzeć w serce każdej istoty i poznać, czego ona chce, czego potrzebuje lub co kocha. Ja nigdy tego nie umiałem. Nie potrafię ci zatem powiedzieć, jak tego używać ani jak to działa. Uwierz mi, chciałbym mieć twój dar.

- Ależ ja go nie mam... - zaprotestował Gaborn. - Nie potrafię wejrzeć w twoje serce.

Ani Iomy.

- Byłeś tam, gdzie ziemia sama z siebie ma wielką moc. Masz ten dar, chociaż nie wiesz jeszcze, jak go używać. Przyjrzyj mu się. Wprawiaj się. Z czasem się nauczysz.

Gaborn zastanowił się. Czarnoksiężnicy często zalecali, aby czemuś się przyjrzeć, wniknąć w

sprawę.

- Teraz jednak wzywają cię większe obowiązki. Podobnie jak Erden Geboren wybierał wiernych sprzymierzeńców, by walczyli u jego boku, tak i ty musisz wyszukiwać swoich. To wielka odpowiedzialność. Ci, których wybierzesz, zostaną związani z tobą na zawsze.

- Wiem - mruknął Gaborn. Słyszał legendy o tym, jak Erden Geboren dobierał towarzyszy broni. Potrafił wejrzeć im w serca i wiedział zawsze, co się z nimi dzieje. Nigdy przeto nie byli sami.

- Musisz zacząć wybierać... - dodał Binnesman i wpatrzył się w mroczne pola.

Gaborn, zamyślony, przyjrzał się starcowi.

- Nigdy nie potrzebowałeś daru Widzenia, prawda? Inni Strażnicy Ziemi mogą służyć myszom i węzom, ale tobie ziemia kazała... służyć człowiekowi... Służyć mu w tych mrocznych czasach, które nadchodzą.

Binnesman zmieszał się i zerknął na księcia.

- Bardzo cię proszę, nigdy nie mów o tym głośno. Gdyby to wyszło na jaw, nie tylko Wilk chciałby pozbawić mnie życia.

- Nigdy. Nigdy o tym nie wspomnę.

- Może mój dawny mistrz miał rację. Może naprawdę nie służę dobrze ziemi...

Gaborn wiedział, że zielarzowi chodzi o utratę dzikiej.

- Spadła? Zginęła?

- Jest solą tej ziemi, upadek jej nie zabije. Ale... obawiam się o tę istotę.

Wyszła naga z ziemi. Niczego nie wie, zagubi się beze mnie, który winienem troszczyć się o nią, uczyć... A jest potężniejsza, niż ktokolwiek się domyśla. W jej żyłach płynie krew samej ziemi.

- Jest niebezpieczna? Co może zrobić?

- Skupia w sobie moją moc. Tak samo, jak wodni czarnoksiężnicy czerpią moc z wody, a tkacze płomieni z ognia, tak ja zaczerpnąłem ją z zasobów ziemi. Jednak w niektórych miejscach ziemia zawiera więcej energii niż w innych. Przez dziesięciolecia pilnowałem, by gleba była na polanie jak najlepsza, gromadziłem właściwe kamienie. Z nich właśnie stworzyłem moją dziką.

- Więc... to tylko ziemia i kamienie?

- Nie. To coś więcej. Nie mogę nad nią zapanować, jest tak samo żywa jak ty czy ja.

Dziki zawsze czerpie wzór postaci z umysłu stwarzającego. Próbowałem wyobrazić sobie wojownika zdolnego stawić czoło raubenom, zielonego rycerza, jak ten, który służył twoim przodkom. Ale i nad tym nie zapanowałem.

- Będę musiał rozesłać wici - powiedział Gaborn. - Poprosić ludzi, by pomogli jej poszukać.

Binnesman uśmiechnął się słabo. Zerwał źdźbło jęczmienia i zaczął przeżuwać soczysty koniec.

- Zatem Raj Ahten przepadł dla naszej sprawy - mruknął. - Może tak i lepiej.

Ioma znalazła Gaborna i Binnesmana przy korycie, z którego pożywiały się konie.

Jadły tak, jak robią to tylko rumaki z darami - łąpczywie, że aż strach.

Zostawiła towarzyszy przy wierzchowcach i poprowadziła ojca do strumyka, by go umyć. Zmoczył się przy Siedmiu Kamieniach, ale wcześniej nie miała możliwości się nim zająć.

Gdy Gaborn do niej dołączył, wysuszyła już ojca i przebrała w świeże ubranie.

Leżał na skraju sadu i chrapał w najlepsze z głową opartą o korzeń. Widok ten był dość niezwykły, choć kojący. Król był Władcą Runów, z kilkoma darami sił życiowych i krzepy.

Ioma tylko raz widziała go dotąd śpiącego, a i wtedy trwało to tylko pół godziny. Niemniej czasem zastanawiała się, czy sypiał z matką. Zostawał z nią niekiedy długo w noc, szczególnie gdy królestwo gnębiły kłopoty. Ale żeby spał? Prawie nigdy. Jednak długi dzień musiał go zmęczyć.

Gaborn usiadł obok Iomy, oboje oparli się o to samo drzewo. Książę wziął od dziewczyny

śliwkę, wgrzył się w miąższ.

Niebo znów ciemniało, nadciągały chmury, dął południowy wiatr. Typowa jesienna pogoda Heredonu: chmury, silne przelotne opady, krótkie i gwałtowane burze.

Binnesman sprowadził konie do strumienia. Piły, dopóki czarnoksiężnik nie polecił im przerwać. Niektóre zaczęły potem skubać krótką trawę, inne zasnęły na stojąco.

Wielki rumak Raja Ahtena nie okazywał zmęczenia. Patrzył wyczekująco na Binnesmana.

- Muszę was teraz opuścić - powiedział czarnoksiężnik po paru chwilach. - Ale spotkamy się w Longmot. Jedźcie szybko. Mało jest rzeczy na tej ziemi, których winienes się bać.

- Nie boję się - odparł Gaborn.

Binnesman spojrział nań krytycznie, jakby chciał powiedzieć, że to niedobrze. Należy się bać chociaż trochę. Książę jednak starał się tylko uspokoić starego zielarza.

Zielarz dosiadł wielkiego ogiera.

- Spróbujcie trochę odpocząć. Zwierzętom starczy godzina albo dwie. Raj Ahten obudzi się około północy i wtedy może znowu za wami ruszyć. Niemniej nałożę na was zaklęcie ochronne. - Wyszepiał kilka słów, po czym wyciągnął z kieszeni garść ziół, podjechał do Gaborna i wysypał mu je na dłoń. Zapachniało pietruszką.

- Zatrzymaj je. Wchłoną wasz zapach, ukryją przed Wilkiem i jego żołnierzami. A zanim odjedziecie, wyrwij jeden włos z głowy i zawiąż na nim siedem supełków. Gdyby Raj Ahten spróbował was tropić, będzie się kręcił w kółko.

- Dziękujemy - powiedzieli Ioma i Gaborn.

Binnesman zawrócił konia ku drodze i pogalopował w ciemność. Kierował się na południe.

Ioma poczuła się zmęczona. Upiornie zmęczona. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś miękkiego miejsca, na którym mogłaby ułożyć głowę. Gaborn objął ją ramieniem i przytulił, by mogła się na nim oprzeć. Ciepły gest. Zaskakujący.

Położyła się, zamknęła oczy, słuchając, jak Gaborn je śliwkę. W brzuchu burczało mu dziko i tak głośno, że nie mogła się odprężyć.

Książę łagodnie pogładził ją po policzku, po włosach. Pomyślała, że ta pieśczoła winna dodać jej pewności siebie, uspokoić... ale wyszło inaczej. Spięta się jeszcze bardziej.

Po części bała się odtrącenia. Chociaż powiedział wcześniej, że ją kocha, nie wierzyła, aby chodziło o głębokie uczucie.

Była zbyt brzydka. Spośród wszystkich brzydul ziemi, myślała, ja jestem najszpetniejsza. Z mrocznych zakamarków umysłu dochodził na dodatek szept podpowiadający, że w pełni na tę swoją brzydotę zasłużyła.

To musiało być wynikiem przekazania daru. Iomy nigdy wcześniej nie nachodziły takie myśli. Nie czuła się nigdy tak niewydarzona. Dopiero run władzy Raja Ahtena jej to zaszczepił.

Jednak gdy Gaborn spoglądał na nią lub jej dotykał, zdawało się, jakby część zaklęcia pierzchała na chwilę. Czuła znów, że jest coś warta. Wiedziała, że on, jedyny spośród wszystkich mężczyzn, potrafi naprawdę ją kochać. I bała się, że go utraci. To był okrutny strach. Głównie dlatego, że wcale nie bezzasadny.

Druga sprawa była o wiele trudniejsza. Ioma nigdy jeszcze nie spędziła chwili sam na sam z mężczyzną. Również z Gabornem. Wcześniej zawsze była przy niej Chemoise i Dziennik. Teraz, gdy siedziała tu z księciem przy śpiącym ojcu, czuła się skrępowana. I zarazem pobudzona.

Wiedziała, że nie chodzi o sam dotyk; to jego magia tak na nią działała. Czuła w swoim podnieceniu czysto twórcze pragnienia. Odzywały się gdzieś głęboko pod czaszką. To samo zdarzało się, gdy przebywała blisko Binnesmana, ale nigdy tak silnie. Poza tym Binnesman był już starcem, i to

wcale nie pięknym. Gaborn to co innego. On ośmielił się powiedzieć, że ją kocha. Ioma wiedziała, że chce się jej spać. Nie miała darów krzepy ani metabolizmu, jedynie pojedynczy dar sił życiowych otrzymany krótko po narodzinach. Tak więc, chociaż była bardziej wytrzymała niż przeciętna dziewczyna, potrzebowała snu jak wszyscy inni.

Jednak był jeszcze elektryzujący dotyk Gaborna.

To niewinna pieszczota, powiedziała sobie Ioma, gdy głaskał jej policzek, przyjacielska.

Pragnęła jednak tej pieszczoty. Chciałaby, aby przesunął rękę niżej, wzdłuż szyi. Nie śmiała przyznać się przed sobą, że gdyby przesunął ją o wiele niżej, też chętnie by to przyjęła. Przytrzymała jego dłoń, aby przestał gładzić jej policzek.

W odpowiedzi ścisnął jej palce, pocałował je. Wziął je na chwilę pomiędzy wargi.

Tak łagodnie, że aż wstrzymała oddech. Uchyliła lekko powieki i spojrzała w górę.

Było tak ciemno, jakby oboje leżeli szczelnie zakryci kocem. Ta kobieta nie może nas widzieć, pomyślała. Między nami są drzewa, jest dom. Zresztą i tak nie wie, kim jesteśmy.

Serce zabiło jej żywiej na tę myśl. Gaborn musiał to poczuć, musiał słyszeć, z jakim trudem wciąga powietrze.

Przytulił znów dłoń do jej twarzy i wznowił pieszczoty. Ioma wygięła lekko plecy.

Nie możesz mnie chcieć, pomyślała. Nie możesz. Mam paskudną twarz. Żyły wychodzą mi na dłoniach jak ryjące robaki.

- Żałuję, że nie jestem już piękna - wyszeptała prawie bez tchu.

- Jesteś - rzekł z uśmiechem Gaborn.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Pachniał śliwkami. Pocałunek ją oszołomił. Uniósł jej głowę i znów ucałował, tym razem znacznie energiczniej.

Ioma objęła go za ramiona i podciągnęła się, aż niemal usiadła mu na kolanach.

Wyczuła, że również on drży z pożądania, i wiedziała już, że mówi prawdę: naprawdę jest w jego oczach piękna, mimo że Raj Ahten zabrał jej urodę, a królestwo jej ojca legło w gruzach.

Nadal uważał, że jest piękna, i chciał jej tak bardzo, jak ona jego.

Gaborn miał nad nią jakąś dziwną władzę. Chciała, żeby całował ją gwałtowniej. Pieścił jej policzek i brodę. Ioma odchyliła głowę, aby mógł ucałować dołek przy obojczyku. Nie odmówił.

Zrobiłam się rozpustna, pomyślała. Przez całe życie była pilnowana, traktowano ją tak, aby nie rozbudzić w niej pożądania, a teraz, po raz pierwszy, była sama z mężczyzną, którego pokochała nagle i gwałtownie. Zawsze trzymała uczucia na wodzy i nigdy nie sądziła, by mogła kiedykolwiek tak bardzo im pofolgować. To tylko magia, powtarzała sobie. To ta jego magia sprawia, że się tak czuję.

Usta Gaborna przesunęły się do jej ucha. Ujęła jego prawą dłoń i poprowadziła ku swojej piersi.

Odsunął jednak rękę, nie dotykając biustu.

- Proszę! - szepnęła. - Proszę. Na chwilę przestań być taki rycerski. Niech się poczuje piękna!

Gaborn oderwał usta od ucha dziewczyny i spojrzał jej w twarz. Cokolwiek ujrzał, nie dał poznać po sobie, że go to zbrzydziło.

- Ja... - odezwał się słabo. - Obawiam się, że takie maniery weszły mi w nawyk.

- Spróbował uśmiechnąć się pocieszająco. - Zbyt wiele lat praktyki. - Odsunął się, ale tylko odrobinę.

Całkiem niespodziewanie Ioma załapała się łzami. Pewnie myśli, że jestem bezwstydną, pomyślała. Pomyłona, podszeptował wewnętrzny głos. Tchórzliwe cielátko, ot co.

Poczuła obrzydzenie do swej żądy.

- Prze... przepraszam! - wyjąkała. - Nigdy mi się to nie zdarzyło!

- Wiem.

- Naprawdę, nigdy!

- Naprawdę wiem.

- Musisz mieć mnie za głupią albo jakąś dziewczkę! Lub pożądlivą maszkarę.

Gaborn zaśmiał się swobodnie.

- Niezupełnie. Ja... Pochlebia mi, że taka jesteś ze mną. Że możesz mnie chcieć.

- Nigdy jeszcze nie zostałam sam na sam z mężczyzną - powiedziała Ioma. - Zawsze była przy mnie moja dworka. I Dziennik.

- A ja nigdy jeszcze nie zostałam sam na sam z kobietą - wyznał Gaborn. - Oboje zawsze byliśmy pod czyjąś czujną opieką. Często zastanawiałem się, czy bractwo nie obserwuje nas jedynie po to, abyśmy byli dobrzy. Nikt nie chce, by jego tajne sprawy wyszły na jaw. Znam takich władców, którzy prawi i szczodrzy są pewnie tylko dlatego, że nie chcą, aby cały świat dowiedział się kiedyś, co im pod czaszką kipi. Tyle że co to za dobro, które czyni się jedynie na publiczny użytek? - Gaborn przytulił ją ponownie, ale tym razem już nie całował. Sugerował raczej, by spróbowała się zdrzemnąć, Iomie jednak senność przeszła, wołała po prostu odpocząć.

Zastanawiała się, co chciał powiedzieć, wspominając o byciu dobrym. Może też tylko starał się być dla niej dobry, a w głębi serca czuł odrazę? I nie śmiał się do tego przyznać?

- Iomo Sylvarresto - odezwał się nagle uroczystym tonem. - Przyjechałem tu z mojego odległego domu w Mystarrii, by zadać ci pewne pytanie. Dwa dni temu odparłaś, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”. A może jednak przemyślałaś to raz jeszcze?

Ioma zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Nic nie mogła mu dać. Raj Ahten panoszył się w jej kraju, odebrał jej urodę, zniszczył rdzeń armii. Chociaż Gaborn twierdził, że ją kocha, obawiała się, że dopóki Wilk będzie przy życiu, książę nigdy nie ujrzy jej prawdziwej twarzy. Zawsze będzie widział tę ohydłą maskę. Zawsze, do końca jej życia.

Nie mogła mu ofiarować nic prócz oddania. Czy to dość, by go zatrzymać? Nie wyobrażała sobie nigdy, że ona, z rodu Władców Runów, może się znaleźć w podobnej sytuacji - że pokocha kogoś i sama będzie kochana, lecz nie będzie miała dla miłego nic prócz siebie.

- Nie pytaj mnie o to - wyszeptala drżącymi wargami. - Ja... Nie mogę teraz o tym myśleć. Ale gdybym została twoją żoną, to starałabym się, abyś nigdy nie żałował tej decyzji.

Nigdy nie całowałabym cię inaczej niż teraz.

Gaborn tulił ją, spokojnie, czule. Jej plecy opierały się na jego piersi.

- Jesteś moją brakującą połową, wiesz? - szepnął.

Ioma ułożyła się wygodnie. Cieszyła się jego bliskością i łagodnym oddechem łaskoczącym kark. Nigdy nie wierzyła w stare opowieści, że każdy ma tylko połowę duszy i skazany jest na nieustanne poszukiwanie brakującej połowy, która przypadła innej osobie.

Teraz jednak czuła, że Gaborn ma rację.

- A pewnego dnia będziesz mnie miała za męża - szeptał dalej książę. - Wtedy postaram się nie urazić cię nadmiarem dwornych manier - zażartował i objął ją ramionami, przytulił mocno. Wewnętrzna strona jego lewego nadgarstka spoczęła na jej piersi, ale teraz Ioma nie czuła już zakłopotania i nie oskarżała się o swawolność.

Tak właśnie powinno być, pomyślała. On ma mnie, ja mam jego. Tak możemy stać się jednym. Ogarnęło ją senne rozmarzenie. Mimo zmęczenia spróbowała wyobrazić sobie, jak to będzie w Mystarrii, w królewskim zamku. Śmiała marzyć... Słyszała opowieści o tym kraju. Zielone wzgórza, słony zapach morza. Mgła zalegająca co świt. Krzyk mew i wieczny szum fal.

Niemal zobaczyła zamek i wielkie łoże zasłane jedwabną pościelą, fioletowe zasłony powiewające w otwartym oknie i siebie nagą obok Gaborna.

- Opowiedz mi o Mysterrii - szepnęła. - O jej lagunach jak z obsydianu, o cyprysach...

To chyba jakoś tak było w tej pieśni?

Gaborn zaśpiewał, i chociaż nie miał lutni, pieśń zabrzmiała wspaniale: *Na lagunach Mysterrii obsydianowych,*

co czerniej matowo pod słońcem,

w poszumie drzew cyprysowych

dywany lilii cicho śnią falujące.

Te laguny zamieszkiwali podobno wodni czarnoksiężnicy i nimfy, ich córki.

- Nigdy nie widziałam czarnoksiężników twojego ojca.

- Są dość słabi. Większość z nich nigdy nie wykształciła skrzeli. Najpotężniejsi wodni magowie żyją w głębi oceanu, ani razu ich nie spotkałem.

- Ale i tak mają wpływ na losy twego ludu. Czy to spokojny kraj?

- O tak. My, w Mysterrii, zawsze ceniliśmy sobie spokój. I stabilizację. Chociaż niektórzy uważają, że to nudne.

- Nie narzekaj. Twój ojciec związany jest z wodą. Tyle wiem. Jest w nim jakaś...

walka przeciwieństw, niestabilność. Czy zabrał swoich czarnoksiężników? Chciałabym jakiegoś poznać. - Ioma pomyślała, że skoro przyprowadził żołnierzy na paradę, skoro chciał pokazać siłę swej armii, mógłby przyprowadzić i wodnych czarnoksiężników.

Może oni pomogliby pokonać Raja Ahtena w Longmot.

- Po pierwsze, nie należą do niego bardziej niż Binnesman do twojego ojca...

- Ale zabrał jakiegoś w orszaku!

- Prawie - mruknął Gaborn. Było widać, jak bardzo chciałby mieć kogoś takiego do pomocy. Wodni czarnoksiężnicy zachowywali się całkiem inaczej niż Strażnicy Ziemi: co rusz wtrącali się w sprawy ludzi. - Ale to długa podróż, a na równinach Fleeds nie ma zbyt wiele wody...

Potem zaczął opowiadać Iomie o życiu w Mysterrii, o wielkim osiedlu burs Domu Zrozumienia i licznych Komnatach ulokowanych w różnych punktach miasta Aneuve.

Niektóre z nich były wielkimi salami mieszczącymi tysiące ludzi i wszyscy mogli słuchać tam wykładów i brać udział w dyskusji. Inne przypominały gospody. Uczni siadali w nich przy buzującym ogniu i jak ich pradawni poprzednicy, rozmawiali ze studentami, popijając gorący rum...

Ioma obudziła się gwałtownie, gdy Gaborn poruszył się pod nią, ujął za ramię i potrząsnął łagodnie.

- Chodź, kochana - szepnął. - Musimy jechać. Minęły już prawie dwie godziny.

Deszcz siąpił z zachmurzonego nieba. Ioma rozejrzała się. Drzewo nad nimi zaskakująco dobrze chroniło przed kroplami, ale i tak zdumiała się, że deszcz nie zbudził jej wcześniej. Nie pojmowała też za bardzo, jak w ogóle udało się jej zasnąć, ale doszła do wniosku, że Gaborn użył Głosu, ukołysał ją do snu, mówiąc coraz ciszej i spokojniej, jakby recytował wiersz.

Ojciec siedział obok. Rozbudzony łapał coś w powietrzu i chichotał cicho.

Wyobrażał sobie, że chwyta motyle.

Ioma zdrętwiała i jej ciało budziło się znacznie wolniej niż umysł. Gaborn pomógł jej wstać. Zastanowiła się, jak najlepiej zadbać o ojca. Raj Ahten mnie zmienił w staruszkę, pomyślała, a jego w dziecko.

Nagle zapragnęła z całych sił, by ojciec taki pozostał: niewinny i zadziwiony.

Zawsze był dobrym człowiekiem, którego wciąż gnębił niepokój. Raj Ahten poniekąd mu się

przysłużył, ofiarowując wolność, jakiej król nigdy dotąd nie zaznał.

- Konie odpoczęły - mruknął Gaborn. - Drogi zrobiły się błotniste, ale i tak powinniśmy dotrzeć na miejsce o czasie.

Ioma skinęła głową i przypomniała sobie, jak całowała się z Gabornem parę godzin temu. I zaraz obudziła się do końca. W głowie jej zaszumiało. Miała wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się wczoraj, było tylko snem. Jednak Gaborn stanął przed nią, objął

ją energicznie i przelotnie ucałował w usta, przekonując, że nic jej się nie zdawało.

Wciąż czuła słabość i zmęczenie, ale pogonili od razu galopem. Binnesman zostawił im jednego luzaka zabranego żołnierzom Raja Ahtena, przystawali więc co godzina, by zmienić wierzchowce, tak aby każdy koń mógł nieco odpocząć, biegnąc bez obciążenia.

Przemykali przez wioski jak wicher, a Ioma przypominała sobie po drodze sen, który miała w objęciach Gaborna. Śniła, że stoi na północnej wieżycze Warowni Darczyńców w zamku jej ojca. Tu właśnie lądowali niekiedy latem jeźdźcy graaków przywożący wieści z Południa.

Armie Raja Ahtena maszerowały w tym śnie przez Mroczną Puszcę, aż drzewa drżały. Za nimi szli tkacze płomieni odziani jedynie w szaty z żywego ognia. Ioma widziała to wojsko tylko w urywanych obrazach: nieludy o czarnych grzbietach przemykające pod drzewami, rycerze w szafranowych i karmazynowych płaszczach jadący przez las na opancerzonych rumakach. I Raj Ahten: stał dumny i piękny na skraju lasu i patrzył na księżniczkę.

Była przerażona i patrzyła, jak jej lud, wszyscy wieśniacy Heredonu, zmykają, by schronić się w zamku. Wzgórza na północy, wschodzie i zachodzie były ich pełne.

Brązowe bluzy, proste buty... Biegli przygarbieni. Silne kobiety ciągnące gromadki dzieciaków, mężczyźni pchający wozy rzepy, wyrostki z kijkami poganiający cielęta. Stara kobieta ze snopem owsa na plecach. Młodzi kochankowie z marzeniem o nieśmiertelności w oczach. Wszyscy gnali na złamanie karku, szukając kryjówek.

Ale Ioma wiedziała, że zamek nie osłoni jej ludu. Jego mury nie powstrzymają Raja Ahtena.

Złożyła zatem wargi i dmuchnęła z całych sił na zachód, potem na wschód, na końcu na południe. Jej oddech pachniał lawendą i powietrze nabrało odeń barwy purpury.

Każdy, kogo dotknął ten podmuch, każdy w całym królestwie, zmieniał się w biały puch ostu. Puch ten unosił się w przestworza i tańczył w podmuchach wiatru, aż nagle złapany silnym prądem poszybował wysoko ponad dęby, brzozy i olchy Mrocznej Puszczy.

Na samym końcu Ioma dmuchnęła na stojącego obok Gaborna i na siebie. Oni też zmienili się w osiowy puch i ulecieli nad Mroczną Puszcę. Patrzyli z góry na jesienne liście, na ich czerwienie, złocistości i na brązy nagiej ziemi.

Armia Raja Ahtena wypadła spod drzew. Wojownicy wywijali toporami i potrząsali kopiami. Gnali w kierunku zamku. Ale nie napotkali przeciwnika. Wszędzie ziała pustka. Raj Ahten mógł myśleć, że wygra, ale koniec końców jedno tylko osiągnie: całkowite opuszczenie.

Koń niósł ją przez noc na południe i miała wrażenie, że wciąż leci, zostawiając świat gdzieś za sobą. Tak było gdzieś do północy, gdy poczuła nagłą słabość. Spojrzała na ojca. Chwiał się w siodle. Opadł ją żal, bo pojęła, co się dzieje.

Ktoś, zapewne Borenson, wdarł się do zamku Sylvarresta i właśnie zaczął zabijać jej darczyńców.

32

WYSOKA CENA ZA GOŚCINNOŚĆ

Armia Raja Ahtena dotarła do Hayworth krótko po północy, jak to przewidział król Orden.

Śpiącego obok żony oberżystę Stevedore'a Harka obudził tętent końskich kopyt. Po wodzie

dźwięk niosło wyraźnie i daleko, a skały nad drogą odbijały wszystkie odgłosy i kierowały w stronę oberży. Stevedore już wiele lat temu przywykł budzić się, słysząc nadjeżdżającego wędrowca. Zwykle znaczyło to, że będzie musiał znaleźć mu wolne łóżko.

Jego gospoda była mała, z dwoma tylko pokojami, często zatem goście musieli spać po pięciu albo na siennikach. Jeśli jakiś podróżny przybywał w środku nocy, trzeba było kogoś obudzić i wytłumaczyć, że będzie miał towarzysza w pościeli. Zwykle troski oberżysty.

Tak więc, ocknąwszy się i jeszcze w posłaniu, Stevedore spróbował najpierw policzyć jeźdźców. Tysiąc czy dwa? zastanawiał się w półśnie. Gdzie ja ich położyć? Po czym przypomniał sobie, że mostu nie ma i że obiecał królowi Ordenowi skierować tych ludzi na południe, do Dziczego Brodu.

Zerwał się na równe nogi. Nie zdejmując koszuli nocnej, zaczął po omacku nakładać skarpety, bo noce zrobiły się już chłodne, szczególnie tutaj, blisko gór. Wpadł

z gospody i spojrzął za rzekę. Pod okapem wisiała zapalona latarnia przygotowana na tę chwilę, ale wcale jej nie potrzebował.

Na drugim brzegu stali żołnierze. Rycerze w pełnych zbrojach. Czterech trzymało skwierczące pochodnie. Światło odbijało się w pancerzach i w wodzie. Ich widok przeraził oberżystę: białe skrzydła wymalowane na hełmach Niezwyciężonych, karmazynowe wilki na płaszczach. I jeszcze mastiffy, olbrzymi i jakieś ciemne stwory za nimi.

- Witajcie, przyjaciele, czego chcecie?! - zawołał Hark. - Mostu nie ma! Nie możecie przejść! Najbliższa przeprawa jest w górze rzeki, to Dziczy Bród! Dwadzieścia mil!

Trzymajcie się drogi, a traficie!

Zachęcająco wskazał mało używany szlak wiodący do brodu. Nocne powietrze pachniało silnie deszczem, a wiatr niósł jeszcze woń sosen. Ciemne wody rzeki uderzały małymi falami w brzeg.

Żołnierze przyglądali mu się w milczeniu. Wyglądali na zmęczonych. A może nie znali jego mowy? Stevedore znał kilka słów w muyyatińskim.

- Chota! Chota! - krzyknął, wskazując drogę do brodu.

Ktoś przepchnął się między jeźdźcami i wystąpił przed żołnierzy. Ciemna postać o gorejących oczach. Bezwłosy mężczyzna. Spojrzął przez rzekę na Harka i uśmiechnął się szeroko, chociaż on jeden wiedział, co go tak rozbawiło.

Zrzucił szatę i stanął nagi. Przez krótką chwilę zdawał się jarzyć własnym blaskiem, po czym z policzka wykwitł mu błękitny płomień i urósł w ciemności.

- Ciemność jest zwodnicza, ale widzę, co w tobie siedzi! - krzyknął. Uniósł pięść i błękitny płomień strzelił mu wzdłuż ramienia, przeskoczył nad wodą jak silnie rzucony kamień i skręcił w kierunku Harka.

Oberżysta krzyknął ze strachu, pocisk zaś zawirował i uderzył w ścianę gospody.

Stare belki jęknęły z bólu i buchnęły płomieniem. Lampa pod okapem rozerwała się i zalała olejem ścianę. Błękitny ogień cofnął się za rzekę i zmalał do rozmiarów ogników jarzących się w oczach mężczyzny.

Stevedore krzyknął i pognął ratować żonę i gości, nim cały budynek rozgorzeje jak pochodnia. Gdy wyciągnął ich wszystkich z łóżek, dach stał już w ogniu.

Pomarańczowe płomienie buchały wysoko w górę.

Oczadziały od dymu oberżysta odszedł od pożaru i spojrzął za rzekę. Ciemny mężczyzna stał tam wciąż, patrzył i uśmiechał się szeroko. Pomachał szeroko Karkowi, odwrócił się i ruszył szlakiem wiodącym w dół nurtu, do Mostu Mocy, trzydzieści mil na wschód. Raj Ahten nadłożył sporo drogi, ale ominie zasadzkę Ordena.

Stevedore Hark czuł, jak serce mu wali. Był stary i gruby, nie miał szans zdążyć do Longmot przez Wilkiem, na dodatek w mieście nie było koni z darami. Nie mógł ostrzec Ordena, że zasadzka zawiodła. Nigdy nie zapuszczał się nocą w lasy. Niemniej po cichu życzył Ordenowi powodzenia.

33

ZDRADA

Król Mendellas Draken Orden obchodził mury Longmot w gasnącym świetle dnia i zastanawiał się, jak najlepiej zorganizować obronę skały. Zamek był dziwny, z wyjątkowo wysokimi zewnętrznymi murami wzniesionymi z macierzystego granitu wzgórza.

Nie miał ani drugiego, ani trzeciego kręgu murów, jak większe zamki w rodzaju twierdzy Sylvarresta. Brakło też bogatej dzielnicy kupieckiej, postawiono tylko dwa przystosowane do obrony budynki dla pomniejszych baronów, no i warownie: dla diuka, dla żołnierzy i dla darczyńców.

Niemniej te jedyne mury były naprawdę potężne, obłożone na dodatek wzmacniającymi runami ziemi.

Najwyższym budynkiem warowni było gniazdo graaków - czysto funkcjonalne, wzniesione na skalnej iglicy, mogło pomieścić do sześciu tych wielkich gadów.

Docierało się tam wąskimi schodami biegnącymi zygzakami wzdłuż wschodniej ściany. Z założenia nie było przewidziane do obrony, nie miało osłon dla łuczników, a schodów nie wzniesiono z uwzględnieniem potrzeb obrońców walczących mieczem czy toporem. Prócz rozległego lądowiska na szczycie było tam tylko sześć okrągłych otworów na gniazda.

Diukowie Longmot nie chowali graaków już od pokoleń i król Orden uważał, że to wręcz wstyd. Przed stu dwudziestu laty zdarzyło się kilka nad wyraz surowych zim i graaki wymarły. Wtedy to też przybyły po śniegu z północy gromady olbrzymów. Jednak gdy się ociepliło i z południa przyleciały znowu dzikie graaki, królowie Heredonu nie poczynili żadnych starań, aby je oswoić, jak ich przodkowie. Tak więc teraz, gdy przychodziło wysłać wiadomość, musieli polegać najeźdźcach i koniach z darami.

Orden uważał, że jest czego żałować. Zaprzepaścić taką długą, użyteczną tradycję...

Od lat nikt nie dbał o gniazda. Kamienne poidła stały puste, wkoło walały się stare kości, resztki po posiłkach graaków. Przez lata Orden wysyłał niekiedy z ich pomocą wiadomości na Północ i niektóre graaki zatrzymywały się właśnie tutaj. Nikt nigdy nie sprzątnął ich odchodów, z czasem zasłały kamienie grubą warstwą. Wiodące na górę schody były wyszczerbione, po skałach piał się powój, niebieskie kwiaty wystawiały płatki do wieczornego słońca.

Orden odkrył jednak, że lądowisko jest całkiem dobrze osłonięte z dołu, nawet z dachów warowni diuka i darczyńców nie było widać, co się dzieje na górze.

Skierował tam więc sześciu ludzi ze stalowymi łukami, nakazując im siedzieć w ukryciu i obserwować okolice. Strzelać mieli jedynie wówczas, gdyby wojska Raja Ahtena podeszły pod bramę.

Dodał jeszcze jednego pieszego z mieczem, aby strzegł schodów.

Zapadł zmierzch. Król poczekał, aż służący przyniesie latarnię, i ruszył na inspekcję Warowni Darczyńców. Z zewnątrz wyglądała surowo i ponuro - okrągła wieża mogąca pomieścić do tysiąca ludzi. Za okna służyło paręnaście wąskich szczelin. Orden pomyślał, że niewielu darczyńców może cieszyć się tam słońcem. Diuk trzymał ich prawie że w więzieniu.

Jednak wewnątrz okazało się zdumiewająco przytulne. Ściany pomalowano na biało, małe okna obwiedzione ornamentem w różyczki i stokrotki. Na każdym piętrze była jedna wielka sypialnia z łózkami ustawionymi przy zewnętrznych ścianach i wielkim paleniskiem pośrodku.

Pomieszczenia były tak urządzone, aby tylko dwoje opiekunów mogło nadzorować jednocześnie nawet stu lub i więcej darczyńców. W każdej z sal była plansza do szachów i wygodne fotele, podłogę zaścielały maty skropione lawendą.

Król Orden pomyślał z niepokojem o synu. Wciąż nie wiedział, co się z nim dzieje. Czy zginął? Czy siedzi w warowni Sylvarresty, czy został darczyńcą Raja Ahtena? Może grzeje się przy ogniu, słaby jak kocię, i gra w szachy? Została tylko nadzieja. Nie wolno było jej tracić. Chociaż... Orden miał jej coraz mniej.

Obecnie w warowni było mniej niż stu darczyńców, wszyscy w jednym pomieszczeniu. Orden policzył, że winno ich tu być przynajmniej pięciuset, bo tylu dopiero mogłoby wzmocnić należycie możliwości obrońców twierdzy. Niemniej około czterystu zginęło podczas oswobodzenia zamku.

W wieży ufortyfikowany był najniższy poziom. Orden obejrzał go bardzo uważnie, bo tutaj właśnie mógł liczyć na pewną przewagę dającą szansę na pokonanie Raja Ahtena.

Przy bronie u wejścia mieściła się wartownia mogąca pomieścić tuzin pikinierów.

Kołowrót do podnoszenia kraty ulokowano osiemdziesiąt stóp dalej, w osobnym pomieszczeniu, gdzie było miejsce dla jeszcze dwóch strażników.

Dalej była zbrojownia i skarbiec diuka. Pierwsze z pomieszczeń pełne było strzał i pocisków do katapult i balist. Orden nie sądził, że znajdzie ich aż tyle.

Strzały powiązано po sto. Król szybko policzył, że jest ich tu co najmniej dwieście tysięcy, większość ze świeżo założonym opierzeniem z gęsich lotek. Zupełnie, jakby diuk szykował się energicznie na koniec świata...

Zbroi diuka, podobnie jak ladrów jego konia, nie było. Najpewniej zabrali je Niezwyciężeni Raja Ahtena. Został jednak długi miecz gospodarza, ze świetnej i sprężystej heredońskiej stali.

Wyostrzony na brzytwę.

Orden przyjrzał się głowni. Był na niej wybity znak Stroehorna, miecznika sprzed około pięćdziesięciu lat. Prawdziwego mistrza.

Ludy Indhopalu, które jeszcze przed półwieczem wkładały do walki jedynie skórzane pancerze, nie ceniły północnych zbroi ani oręża. Na pustyni metalowy pancerz nazbyt ciążył, aby w nim wojować. Indhopalczycy nosili więc wyprawione na twardo i lakierowane skóry, a miast ciężkich mieczy woleli mocno zakrzywione szable. Krzywizna głowni powodowała, że oręż nie tylko przerąbywał przeszkodę, jak miecz, ale i ją kroił. Jednym uderzeniem szabli można było przeciąć człowieka na pół. Przeciwno lekko opancerzonym przeciwnikom okazywały się one bronią skuteczną, jednak w spotkaniu z pełną zbroją szybko się szczyrzyły, a niekiedy ich głownie ze słabej stali wręcz pękały.

Tutaj sprawdzały się tylko grube, północne miecze z prostą kończystą klingą z twardej stali. Czasem starczało jedno pchnięcie, żeby sztych znalazł sobie drogę między blachami, można też było przerąbać drobne pierścienie kolczugi.

Widząc tak piękny miecz porzucony w zbrojowni, Orden poczuł przypływ nadziei.

Raj Ahten miał całe rzesze wojska. Mógł przerażać, ale walczył na obcym terenie, w obcym klimacie i z pomocą słabej, południowej stali. Ponadto szła zima. Co poczną ludzie pustyni, gdy spadnie śnieg?

Osiemset lat wcześniej królowie Indhopalu przysyłali przodkom Ordena rozmaite podarunki: przyprawy, maści, jedwab, pawie i tygrysy. Zależało im na zainicjowaniu handlu.

Z Północy otrzymywali w zamian konie, złoto, futra i wełnę oraz tutejsze przyprawy.

Na skóry i wełnę patrzyli krzywo, że niby nieprzydatne w ciepłych krajach.

Przyprawy uznali za mało interesujące. Konie też nie budziły ich entuzjazmu. Mieli je za gorsze

od własnych i używali jedynie w roli zwierząt pociągowych. Kochali jednak złoto. Kochali je dość, by wysyłać karawany.

Orden zastanawiał się, czy Indhopalczycy zdołają się tu zaaklimatyzować. Zapewne nadal nie cenią ani futer, ani grubej, wełnianej odzieży. Pojmą swój błąd, dopiero gdy połowa z nich zamarźnie. Nie wiedzą też najpewniej, że na Pomocy najlepiej sprawiają się tutejsze, górskie rasy koni, i wciąż mają je w pogardzie, podobnie jak miejscową stal.

Na samym końcu Orden zajrzał do skarbca. Diuk wypełnił go zdumiewającą ilością złotej blachy używanej do bicia monet. Król przyjrzał się matrycom z podobizną Sylvarresty na awersie i Siedmioma Kamieniami na rewersie.

Wydało mu się dziwne, że diuk bił monety. Na podłodze stała waga szalkowa. Orden wyjął własną monetę z kieszeni i położył ją na jednej z szalek, na drugiej umieścił monetę ze szkatuły gospodarza.

Była za lekka. Czy została okrojona, czy do złota dodano cyny lub cynku, nie potrafił orzec. Niemniej jasne się stało, że zanim diuk Longmot został zdrajcą, znacznie wcześniej parał się oszustwem. Fałszował pieniądze.

- Podły pies! - warknął Orden.

- Mój panie? - spytał jeden z jego dowódców.

- Idź odciąć trupa diuka. Gdy przerąbiesz jelita, na których wisi, ciśnij ciało do fosy.

- Panie? - Kapitan nie krył zdumienia, ale też niezmiernie rzadko traktowało się szczątki wysoko urodzonych z podobnym brakiem szacunku.

- Wykonać! - polecił Orden. - Ten typ nie zasłużył nawet na chwilę królewskich względów.

- Tak, panie - odparł kapitan i wyszedł czym prędzej.

Po obchodzie Warowni Darczyńców Orden postanowił zrezygnować z inspekcji pozostałych budynków. Te, w których mieszkał diuk i jego baronowie, wyglądały na zbyt liche, by warto było ich bronić.

Poza tym, pomyślał, lepiej skupić żołnierzy na murach zewnętrznych. Longmot był na tyle wąski, że stojąc na wschodnich blankach, można było bez trudu przestrzelić te kilkaset jardów do murów zachodnich. Gdyby więc wróg zdołał się wspiąć na mury z jednej strony twierdzy, znalazłby się pod ostrzałem tym liczniejszych obrońców.

Tysiąc pięciuset ludzi, może o stu więcej. Tylu tylko zbrojnych Orden miał do dyspozycji. Wysłał wiadomość Grovermanowi i Dreisowi, mając nadzieję, że kogoś mu jeszcze podeślą. Może i Borenson przywiedzie swoich nietkniętych.

Tyle że posiłki zjawią się najwcześniej o świcie.

Po inspekcji do Ordenu podszedł kapitan Cedrick Tempest, adiutant diuszesy. Za nim stąpała Dziennik, pulchna kobieta w średnim wieku. Kapitan był przysadzisty, z krótko przystrzyżonymi, brunatnymi, grubymi i kręconymi włosami. Hełm niósł pod pachą, ale nie skłonił się przed królem. Orden zdumiał się z początku, jednak zaraz pojął, że kapitan występuje jako pan tego zamku, zatem zgodnie z prawem nie musi się kłaniać.

Tempest wyciągnął dłoń do króla, by przywitać się jak równy z równym.

- Wasza wysokość, szczęśliwi jesteśmy, że cię widzimy. Zapewnimy wam wszystkim takie wygody, na jakie nas stać, obawiam się jednak, że rychło czeka nas bitwa.

Armia Raja Ahtena podchodzi z południa.

- Wiem - odparł Orden. - Będziemy walczyć u waszego boku. Wysłałem wieści do Grovermana i Dreisa, poprosiłem ich o pomoc. Nie wiem jednak, czy posłuchają obcego króla.

- Duszesa też prosiła ich o posiłki - powiedział Tempest. - Niebawem zobaczymy, co z tego

wyniknie.

- Dziękuję. - Orden spojrział w oczy mężczyzny.

Wyniknie albo i nie. Jeśli pomoc nie nadejdzie, to będzie znaczyło, że obaj władcy obwarowali się przed najeźdźcami i wolą nie umniejszać swych sił. Po prawdzie trudno byłoby mieć do nich o to pretensje.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - spytał król po chwili.

Tempest skinął lekko głową. Przeszli zatem do Warowni Diuka i wspięli się po schodach na piętro. Ludzie Ordenu zostali na zewnątrz, do środka weszło tylko troje Dzienników - Ordenu, jego syna i nieżyjącej diuszesy.

W wielkiej sali widać było wciąż na podłodze ślady krwi, świadectwo zażartej walki.

Drewniane krzesła leżały w drzazgach, czerwony od posoki topór straszył w kącie wraz z dwoma długimi sztyletami. Pod koniec doszło do walki na noże.

Para czerwonych ogarów spojrzała ciekawie na wchodzącego Ordenu i zamiotła ogonami. Psy spały przed wystygłym kominkiem.

Król wziął pochodnię, zapalił ją i osadził w uchwycie nad kominkiem. Potem przysunął sobie fotel i usiadł jakieś dziesięć stóp od Tempesta.

Kapitan musiał niedawno przekroczyć pięćdziesiątkę, chociaż może to było tylko złudzenie. Ludzie z darem metabolizmu zawsze szybciej się starzeją. Mendellas zwykł jednak określać wiek takich wojowników, patrząc im w oczy. Mimo darów metabolizmu niektórzy z nich zachowywali niewinne spojrzenie zdradzające brak doświadczenia. Oczy zawsze zostają młode, podobnie jak zęby i serce, chociaż skóra może się pokryć plamami i zmarszczkami.

Brązowe oczy Tempesta przepełniał ból. Ślad zmęczenia i walki. Orden nie potrafił wyczytać z nich nic więcej. Sugerowały osobliwie, że wojak ma co najmniej tysiąc lat.

Król postanowił podejść do sprawy z taktem.

- Chciałbym wiedzieć, co tu się stało. Raj Ahten zostawił przecież w Longmot swój garnizon. Dobrych żołnierzy. Jak to się stało, że diuszesa ich pokonała?

- Niestety, wasza wysokość, muszę oprzeć się na tym, co sam słyszałem od innych

- zaczął kapitan. - Sam zostałem zmuszony do oddania daru i podczas walk leżałem w Warowni Darczyńców.

- Mówisz, że Raj Ahten zmusił cię do przekazania daru? Tempest skrzywił się dwuznacznie.

Trochę z obrzydzeniem, trochę z podziwem.

- Trzeba ci wiedzieć, wasza wysokość, że uczyniłem to dobrowolnie. Gdy Raj Ahten poprosił mnie o dar, jego słowa przeszły mnie niby sztylety. Lecz gdy spojrzałem mu w twarz, ujrzałem zjawisko piękniejsze niż kwiat róży albo wschód słońca nad górskim jeziorem. Był samym pięknem. Wszystko, co dotąd wydawało mi się urodziwe lub szlachetne, nagle zbladło, przestało się liczyć. Jednak potem, gdy już się stało, gdy jego ludzie zaciągnęli moje bezwładne ciało do Warowni Darczyńców, zdało mi się, że budzę się ze snu.

Wtedy dopiero pojąłem, co straciłem, jak zostałem wykorzystany.

- Rozumiem - mruknął król Orden, zastanawiając się mimowolnie, jak wiele darów urody musiał zebrać Wilk. I jak wiele darów głosu, że potrafił zyskiwać tak wielką władzę nad ludźmi.

- Co zaszło potem? Jak diuszesa tego dokonała?

- Nie wiem dokładnie, bo leżałem słaby jak szczenię. Głównie spałem. Potem mi opowiedziano, że diuk najwyraźniej przyjął od Raja Ahtena znaczną zapłatę, a w zamian pozwolił mu przejść spokojnie przez Mroczną Puszcę. Nie wspomniał jednak o tym nawet żonie. Ukrył cały skarb w swoich komnatach i nikomu go nie pokazał. Dopiero po jego śmierci, gdy diuszesa domyśliła się, że

do takiej transakcji musiało dojść, przeszukała jego pokoje i znalazła sto paręnaście drenów.

- Rozumiem. Użyła ich zatem, żeby wyposażyć zabójców?

- Właśnie. Gdy Raj Ahten wszedł do Longmot, nie wszyscy żołnierze przebywali akurat w murach zamku. Czterech młodzieńców krążyło po pustkowiach, sprawdzając meldunek drwali z Greenton, którzy widzieli podobno raubena...

- Wiele mieliście ostatnio podobnych wieści? - przerwał mu Orden. To była bardzo ważna sprawa.

- Nie, ale ostatniej wiosny znaleźliśmy w Mroczej Puszczy tropy trzech sztuk.

Orden zastanowił się.

- Duże były te ślady?

- Długie na dwadzieścia do trzydziestu cali.

- Trzypalce czy czteropalce?

- Dwa trzypalce, a największy był czteropalcy. Orden oblizał wargi. W ustach mu nagle zaschło.

- Wiesz, co to znaczy? - spytał kapitana.

- Tak, wasza wysokość. Mamy tu triadę rozplodową.

- I nie zabiliście ich? Nie znaleźliście?

- Powiedzieliśmy Sylvarreście. Wysłał za nimi łowczych. Bez wątpienia Sylvarresta wspomniałby Ordenowi o raubenach.

Mogliby zapolować na nich w tym roku, dając odetchnąć nieco dzikom. Wiadomość jednak była niepokojąca, rymowała się z innymi meldunkami wspominającymi o raubenach przenikających przez góry wzdłuż granic Mystarrii - oddziałach po dziewięć i osiemdziesiąt jeden osobników. Od czasu praojców nie było tych meldunków aż tak wiele. A gdy Orden zmierzał na północ przez Fleeds, słyszał od królowej Herin, zwanej Rudą, że mają tam problemy z raubenami zabijającymi konie. Jednak nie oczekiwał, że te stwory zdołały przeniknąć aż tak daleko na północ.

- Tak zatem mieliście żołnierzy na patrolu, gdy Raj Ahten opanował zamek...

- Właśnie. Poczekali za murami, aż Raj Ahten odjedzie. Dojrzeli ciało powieszzonego diuka, wysłali zatem pismo do diuszesy, prosząc o rozkazy. Posłała do miasta swego darmistrza z drenami. Żołnierze przyjęli dary od wszystkich, którzy tylko mogli je ofiarować, aż mieli ich dość, żeby zaatakować.

- Wspięli się po murze?

- Nie musieli, wasza wysokość. Weszli po prostu. Raja Ahtena nie było już w zamku. Udali wytwórców świec i tkaczy zamierzających pokazać diuszecie swoje wyroby.

Pod świecami ukryli jednak sztylety, a pod kaftanami mieli kolczugi. Raj Ahten zostawił tu jedynie dwustu żołnierzy i ci młodzieńcy, cóż... opanowali sytuację.

- Gdzie są teraz?

- Nie żyją. Wszyscy. Wdarli się do Warowni Darczyńców i zabili sześciu pośredników. Wtedy i my włączyliśmy się do walki. Nie było łatwo.

Orden skinął głową w zamyśleniu.

- Kapitanie Tempest, zapewne wie pan, dlaczego tu przybyliśmy? - Sprawa była delikatna, ale Orden musiał sprawdzić, czy Tempest nie wziął drenów z majątku Bredsfor.

Chociaż wysłał już ludzi, by ich poszukali, wolał nie czekać w niepewności. Dość miał ostatnio złych wieści.

Kapitan spojrzał nań obojętnie.

- Bo usłyszeliście, wasza wysokość, że zostaliśmy zaatakowani?

- Owszem, ale nie to skłoniło mnie do działania. Cały Heredon stoi w ogniu i chętniej skupiłbym

siły, aby oswobodzić miasto Sylvarresta. Przybyłem po skarb.

- Skarb? - Oczy Tempesta zrobiły się nagle bardzo duże. Mało brakowało, a Orden uwierzyłby, że kapitan nic nie wie. Ale nie ufał podobnie „przekonującym” odpowiedziom.

Tempest zbyt dobrze panował nad emocjami, by dziwić się czemuś aż tak ostentacyjnie.

- Wiesz, o czym mówię?

- Jaki skarb? - spytał kapitan, patrząc szczerze w oczy króla. Czyżby diuszesa zataiła istnienie drenów nawet przed własnym adiutantem? Orden miał nadzieję, że tak. To byłoby mądre.

- Wiesz, że diuk fałszował pieniądze? - spytał Orden, używając przy tym Głosu tylko na tyle, by wzbudzić ewentualne poczucie winy.

- Nie! - zaprotestował Tempest, ale coś błysnęło w oczach, źrenice się zmniejszyły.

Nędzny i fałszywy kundel, pomyślał Orden. Kłamie. Gdy spytałem go o skarb, sądził, że mówię o złocie w skarbcu. Jasne, nie wie nic o drenach Raja Ahtena. Ciekawe.

Znaczy to, że diuszesa nie ufała Tempestowi. Wobec tego Orden również nie mógł mu ufać.

Postanowił poprzestać na półprawdzie.

- Król Sylvarresta wysłał wiadomość, że księżna pokonała okupantów i ukryła w zamku skarb. Ukryła lub zakopała. Widziałeś tu gdzieś jakieś ślady kopania? Może ktoś odkrył ten skarb?

Tempest pokręcił głową. Wciąż patrzył z niedowierzaniem. Orden był już pewien, że gdyby kapitan o czymś takim wiedział, wykopałby wszystko przed upływem godziny.

- Komu diuszesa ufała najbardziej? Komu mogłaby powierzyć zadanie ukrycia skarbu?

- Szambelanowi, wasza wysokość - odparł bez namysłu Tempest.

- Gdzie on jest?

- Zniknął! Opuścił zamek zaraz po powstaniu i od tamtej pory go nie widziałem! -

W głosie kapitana pobrzmiwała wyraźna obawa, że szambelan uciekł razem ze skarbem.

- Jak wyglądał?

- Szczupły jak wierzbowa witka, z jasnymi włosami. Bez brody. To jego Orden znalazł zamordowanego. Czyli diuszesa wysłała z wiadomością jedyne go człowieka, który wiedział o drenach, i nie powiedziała ani słowa nikomu innemu. Kapitan Tempest mógł być świetnym żołnierzem, ale brakowało mu uczciwości. Gdyby wiedział o skarbie, uległby pokusie, a diuszesa nie chciała narażać swego króla na kolejne, fatalne w skutkach zdrady.

Orden sposepniał. Zrobiło mu się ciężko na duszy. Sylvarresta był prześwietnym władcą, a tutaj taka nielojalność. Niedobrze. Kompromitacja. Na dodatek, pomyślał, skoro ktoś tak dobry nie cieszył się miłością swych szlachetnych poddanych, to jak ja mogę na nią liczyć?

- Dziękuję, kapitanie Tempest - powiedział Orden tonem sugerującym koniec rozmowy. - Chociaż... jeszcze jedno - dodał, gdy Tempest był już w proggu i zapinał hełm. -

Groverman i Dreis przybędą, jak tylko się dogadają. Prosząc o pomoc, wspomniałem im o tym skarbie. Niebawem ściągną tu armie całej Północy!

Tempest skinął głową, odetchnął z ulgą i wyszedł. Matrona powędrowała za nim.

Orden przesiedział potem całą godzinę w ciemności, na krześle z czarnego orzecha.

Mebel był pięknie rzeźbiony, aż za pięknie... Elementy płaskorzeźby ze scenami biesiadnymi na oparciu gniotły w plecy. Nie dało się w nim wypocząć.

Zebrał nieco szczątków krzesła i rozpałił ogień w kominku. Potem położył się na niedźwiedziej skórze i pogłaskał ogary diuka. Psy zamiotły podłogę ogonami.

Stojący wcześniej w kącie Dziennik króla przypominał teraz o sobie. Wyszedł z cienia i przysiadł na jednym z niewygodnych krzesła. Dziennik Gaborna się nie ruszył.

Orden nie leżał na podłodze i nie bawił się tak z psem od czasów dzieciństwa.

Pamiętał, jak po raz pierwszy zjawił się z ojcem w Longmot. Miał wtedy dziewięć lat. Wracali do domu z jego pierwszego wielkiego polowania. Orszak liczył stu ludzi.

Działo się to jesienią oczywiście, po Hostenfest, podczas którego spotkał młodego księcia z długimi, bursztynowymi włosami i wąskimi ramionami.

To był Sylvarresta. Pierwszy przyjaciel księcia Mendellasa Ordena. Jego jedyny prawdziwy przyjaciel. Orden miał żołnierzy, którzy uczyli go sztuki wojennej, zawierał

sojusze z łąszącymi się synami pomniejszych panów, którzy mogli go nawet lubić, ale zawsze byli świadomi przepaści z urodzenia dzielącej ich od księcia. Nawet inni książęta traktowali Ordena na dystans, pamiętając, że jego królestwo większe jest i bogatsze niż każde inne.

Zaufać mógł tylko Sylvarreście. On zawsze zwracał mu uwagę, gdy Mendellas palnął coś głupiego, śmiał się zeń serdecznie, gdy chybił celu kopią. Tylko on jeden ważył się wytykać mu błędy.

Ordenowi zrobiło się nagle duszno. A ja właśnie popełniłem błąd, pomyślał. Źle zrobiłem, wysyłając Borensona, żeby zabił darczyńców Raja Ahtena.

A jeśli Borenson zabije także Sylvarrestę? Czy zdołam to sobie kiedykolwiek wybaczyć? A może przyjdzie mi cierpieć z powodu tej rany, z powodu tej wojny, do końca życia?

Inni królowie też noszą takie szramy, powiedział sobie. Też musieli niekiedy zabijać przyjaciół. W dzieciństwie Orden zazdrościł ludziom, którzy zabili jego dziadka.

Teraz wiedział, że sprawowanie władzy wiąże się często, o wiele za często, z poczuciem winy.

- Dzienniku? - szepnął do mężczyzny, który siedział za jego plecami.

- Tak, wasza wysokość?

- Masz jakieś wieści o moim synu?

Znał tego człowieka od zawsze, jak długo żył, ale nigdy nie traktował jak przyjaciela czy zaufanego. Niemniej podziwiał go jako uczonego.

- Gdybym coś powiedział, naruszyłbym najświętszy z moich ślubów, panie. Nie możemy mieszać się w sprawy stanu - wyszeptał Dziennik.

Oczywiście. Orden z góry znał tę odpowiedź. Członkowie bractwa nigdy nie pomagają. Ani nie przeszkadzają. Gdyby król tonął dwie stopy od brzegu, Dziennik nie podałyby mu ręki.

- Ale mógłbyś odpowiedzieć? Coś wiesz?

- Tak.

- Naprawdę cię nie obchodzę? Aż tak nieważne są moje uczucia? - rzucił Orden. -

Mój los nie ma znaczenia, los mego ludu? Mógłbyś pomóc mi pokonać Raja Ahtena.

Dziennik nie odpowiadał przez dłuższą chwilę i król wiedział, że mężczyzna się zastanawia. Inni członkowie bractwa łamali niekiedy śluby, zdradzali królom wielkie tajemnice. Tego Orden był pewien. Więc dlaczego ten nie chce? Dlaczego teraz nie chce?

- Gdyby odpowiedział na twoje pytania, wasza wysokość, złamałby najświętszy ślub. Jego brat bliźniak zaraz by się o tym dowiedział - odezwał się z kąta Dziennik Gaborna. W jego słowach brzmiała niewypowiedziana groźba. Strażnicy mieli swoich strażników. - Na pewno to rozumiesz, miłościwy panie.

Orden niezbyt rozumiał, nie ogarniał takiej nieczułości. Zawsze uważał Bractwo Dni i jego poglądy za dziwne nad wyraz. Teraz dodał jeszcze, że są bez serca. Niemniej spróbował pojąć, co usłyszał. Dziennik Gaborna tkwił tutaj, miast podążyć do księcia.

Dlaczego? Czy jego syn nie żyje i Dziennik nie ma gdzie iść? A może czekał, aż młodzieniec pojawi się w Longmot? Albo... Czyżby Gaborn nawet bractwu zniknął z oczu?

Orden zadumał się. Dziennik nazwał go „miłościwym panem”. Nigdy wcześniej tak do niego nie

mówił. Wyraźnie chciałby coś wyznać, niełatwo było mu wytrwać w roli biernego obserwatora. Dziennik pilnował się, ale gdyby mógł, na pewno by mu pomógł w tak ciężkim położeniu.

Czy Dziennik nie pomógłby mi nawet wtedy, gdyby jego życie było zagrożone?

Orden studiował historię i wiedział, że podczas niektórych wojen bractwo przerywało milczenie. Nigdy jednak nie słyszał, co stało się z Dziennikami, którzy wyjawili jakiś sekret.

Kroniki opowiadały ze szczegółami dzieje i czyny królów oraz narodów. Gdyby jakiś Dziennik kiedykolwiek sprzeniewierzył się ślubom, kroniki na pewno by się nad nim nie rozwodziły. Zawsze pisano je z punktu widzenia beznamiętnego obserwatora, który tylko śledził postęпки króla.

Orden długo się nad tym zastanawiał.

Gdy kapitan Stroecker wrócił z majątku Bredsfor, znalazł Ordena leżącego przed przygasającym ogniem i bawiącego się z ogarami.

- Przepraszam, że przeszkadzam, wasza wysokość - odezwał się od progu.

Król spojrział na niego i wstał.

- Co znalazłeś?

Stroecker uśmiechnął się krzywo. Uniósł trzymaną w prawej ręce świeżą rzepę.

Oczy mu lśniły, być może ze złości.

- To, panie. Dość rzepy, aby nakarmić całą armię. Król zamarł ze zgrozy. Dreny zniknęły! Ktoś je zabrał. Kapitan zrobił minę godną błazna.

- I jeszcze to, wasza królewska mość.

Sięgnął do tyłu i wyjął zza pasa mały węzełek z drenami.

Król odetchnął i ulżyło mu tak bardzo, że natychmiast wybaczył kapitanowi ten żart nie w porę.

Doskoczył doń, złapał dreny i uważnie się im przyjrzał. Wyglądały idealnie, bez nadzerek czy obcych domieszek w krwawym metalu. Wszystkie w kartiskim stylu.

Orden nie miał ze sobą darmistrza, by przeprowadził rytuał, ale i nie potrzebował żadnego.

Z darami rozumu od dwudziestu ludzi i głosem od piętnastu sam mógł wyśpiewać zaklęcie nie gorzej niż najlepszy darmistrz.

Wreszcie miał broń.

- Kapitanie Stroecker - powiedział łagodnie - tylko ty, Borenson i ja znamy miejsce ukrycia skarbu. Lepiej, żeby tak pozostało. Nie możemy ryzykować, że wróg go znajdzie. Nie mogę też sobie pozwolić na ryzyko, że trafisz do niewoli.

- Tak jest - odparł kapitan takim tonem, że Orden pojął, co tamten miał na myśli.

Gotów był na największą ofiarę. Jeśli jego pan rozkaże, Stroecker zaraz wypruje sobie wnętrzności.

- Dlatego też, kapitanie, powiesz ludziom, że potrzeba konwojentów, żeby odwieźli wielki skarb do Mystarrii. Wybierzesz trzech, wszyscy mają być młodzi, żonaci i dzieciaci. Będą ci towarzyszyć jako eskorta. Wybierz najlepszych, bo twoje życie może zależeć od ich umiejętności. Weź cztery szybkie konie i napełnijcie sakwy kamieniami. Potem ruszajcie galopem. I gnajcie tak, by nikt nie zdołał was złapać.

- Panie?

- Dobrze słyszałeś. Przed świtem zacznie się bitwa. Oczekuję, że Raj Ahten rzuci przeciwko nam wszystkie swe siły. On wie, że rychło dołączy doń sto tysięcy ludzi, a ja nie wiem, na ilu sprzymierzeńców mogę liczyć. Jeśli zamek padnie i wszyscy zginiemy, to twoim zadaniem będzie wrócić tu później, wydobyć skarb i zawieźć go do Mystarrii.

- Wasza królewska mość, a czy myślałeś, żeby się wycofać? Jeden z psów wstał i przycisnął pysk do uda króla. Pewnie był głodny, ale bardziej chyba zależało mu na pieszczotach.

- Przez cały czas o tym myślę - przyznał Orden. - Ale mój syn zaginął gdzieś w głuszy i ciągle nie wiem, co się z nim dzieje. Dopóki nie usłyszę czegoś konkretnego, muszę przyjmować, że Raj Ahten go pojmał, zabrał mu jakiś dar albo i zabił. - Orden wciągnął głęboko powietrze. Zawsze starał się chronić syna. Żona zrodziła mu czworo dzieci, ale tylko Gaborn przeżył do dziś. Niemniej troska o syna była tylko jedną z wielu. - Na dodatek wysłałem najlepszego z mych wojowników, by zabił mego przyjaciela - dodał

drżącym głosem. - Jeśli moje obawy się potwierdzą, kapitanie Stroecker, jeśli dojdzie do najgorszego, to wolałbym nie przeżyć tej bitwy. Zamierzam skrzyżować miecze z Rajem Ahtenem. Któryś z nas zginie, albo on, albo ja. O świcie utworzymy węzowy pierścień. - Król uniósł dreny.

Kapitan pobladł. Stwarzanie węzowego pierścienia było niebezpieczną zagrywką. Z tymi drenami Orden mógł przyjąć dar metabolizmu od kogoś, kto dostanie ten dar od kogoś innego, tamten od jeszcze jednego i tak dalej, aż wszyscy utworzą długi łańcuch.

W gwarze darmistrzów mówiło się wtedy o „wężu”, mąż na czele stawał się bowiem równie potężny jak jadowita żmija, a w razie śmierci wodza jego miejsce zajmował następny w kolejności, trochę tylko słabszy od poprzednika.

Niemniej przyjęcie tylu darów metabolizmu oznaczało pewną śmierć. Ktoś mógł zostać dzięki temu wielkim wojownikiem, ale ledwie na kilka godzin lub dni, gdyż spalał się przy tym jak spadająca gwiazda. Byli w przeszłości nieliczni desperaci, którzy chwyтали się tego sposobu, jednak zawsze trudno było znaleźć dwudziestu dobrych żołnierzy gotowych odrzucić wszystkie życiowe plany i utworzyć węzowy pierścień.

Niemniej Orden dawał im nadzieję. W tym wariacie król miał oddać swój dar ostatniemu w szeregu, miał połączyć głowę węża z ogonem. W ten sposób każdy z uczestników stałby się pośrednikiem dla pozostałych, ogniwem pierścienia. Przy dwudziestu drenach dwudziestu mężów dzieliłoby jedną pulę metabolizmu, czerpiąc z niej wedle konieczności. Skoro to Orden był najsilniejszy i najbieglejszy w walce, jemu przypadłoby zadanie stawienia czoła Rajowi Ahtenowi. Stałby się „głową węża” i jak długo pozostali z kręgu byłiby beczynni, mógłby korzystać z ich metabolizmu. Wielu jego żołnierzy miało ten dar podwojony lub potrojony, przez co jako głowa węża Orden poruszałyby się z energią trzydziestu, czterdziestu ludzi.

Nadzieja zaś wiązała się z tym, że gdyby przetrwał bitwę i pierścień nie zostałby zerwany, wszyscy jego uczestnicy mogliby dalej żyć po swojemu, bez wielkich utrudnień. Była to jednak zagrywka w pewnej mierze niebezpieczna. Gdyby ktokolwiek jeszcze z kręgu musiał podjąć walkę, odciągnąłby część puli metabolizmu, osłabiając Ordena, być może w krytycznej chwili, i zmniejszając jego szansę. Co gorsza, gdyby ten ktoś wtedy zginął, Orden mógłby zostać jedynie czymś ogniwem, a wtedy opadłby z sił w ogniu walki, straciłby możliwość ruchu.

Nie, jeśli ktoś miałby zginąć w tej walce, to najlepiej głowa węża, sam Orden.

Jeśli bowiem to on umrze i przerwie pierścień, całość darów metabolizmu przejdzie na bezpośredniego darczyńcę króla. On też stanie się nową głową węża i będzie mógł kontynuować walkę z Rajem Ahtenem i siać zniszczenie.

Jednak nawet gdyby wszystko miało pójść jak najlepiej, gdyby wąż wyszedł z bitwy nietknięty, Orden i tak żądał od swoich ludzi straszliwej ofiary. Kiedyś bowiem, oby w odległej przyszłości, pierścień pęknie. Jedno z jego ogniw zginie w jakiejś walce lub ulegnie chorobie. Gdy to się stanie, pozostali wpadną w głębokie odrętwienie typowe dla darczyńców, którzy oddali dar metabolizmu. Wszyscy prócz jednego, nowej głowy węża.

Ten zestarzeje się i umrze w przeciągu paru miesięcy.

Niezależnie od wyniku bitwy wszyscy tworzący węża będą musieli oddać mu jakąś część życia.

Orden dobrze o tym wiedział i tym cieplej mu się zrobiło koło serca, gdy jego kapitan skłonił się w pas i uśmiechnął.

- Chętnie ci posłużę, wasza wysokość, jeśli znajdziesz dla mnie miejsce w pierścieniu - powiedział.

- Dziękuję - odparł Orden. - Ale ty i tak będziesz niebawem ryzykował życie.

Wzywają cię inne obowiązki.

Kapitan energicznie wykonał w tył zwrot i wymaszerował z sali. Orden poszedł za nim, żeby uszykować oddziały do bitwy.

Dowódcy rozstawili już ludzi na murach. Artylerzyści wypchnęli katapulty z wnek w murze ponad bramą i strzelali raz za razem, sprawdzając zasięg. Ciemność nie sprzyjała tym próbom, ale Orden powątpiewał, czy ktokolwiek z załogi ćwiczył się kiedykolwiek w obsłudze tych machin nawet za dnia.

Nagle od wzgórz na zachodzie dobiegło granie rogu. To musiało być gdzieś na drodze z zamku Dreis.

Orden uśmiechnął się ponuro. Zatem earl przybywa wreszcie, żeby też uskubnąć coś ze skarbu, pomyślał.

34

ZABÓJCA

W Khuramie powiadają, że dobry zabójca z nożem może w ciągu jednej nocy zamordować dwa tysiące ludzi. Borenson pracował nawet szybciej, ale on był

żołnierzem z darami i posługiwał się dwoma sztyletami, po jednym w każdej dłoni.

Nie myślał o tym, co robi, nie widział drgawek miotających jego ofiarami, nie słyszał bulgotu krwi ani młócki niedowładnych kończyn. W równym tempie, bezmyślnie, wykonywał swoje makabryczne zadanie.

Skończył trzy godziny po wejściu do Warowni Darczyńców. Niektórzy przebudzili się i próbowali z nim walczyć, ale to było nieuniknione. Nic nie mógł poradzić także na to, że wśród zabitych przezeń kobiet były naprawdę piękne, że trafiali się też młodzieńcy, którzy winni mieć całe życie przed sobą. Wiedział też, że paru scen nigdy nie zapomni, jakkolwiek by się starał: widoku starej kobiety, która wczepiła mu się w płaszcz, błagając, by zaczekał chwilę; uśmiechu starego kompana z polowań, kapitana Derrowa, który pożegnał go jak zwykle, znajomym mrugnięciem...

Gdzieś tak w połowie tej krwawej roboty zrozumiał, że spełnia życzenie Raja Ahtena.

Po to właśnie Wilk zostawił warownię nie strzeżoną. Wiedział, że darczyńcy zostaną zabici.

Nie zależało mu na tych ludziach, nie przedstawiali dlań żadnej wartości.

Niech przyjaciel zabije przyjaciela, niech brat podniesie nóż na brata. Niech narody Północy poróżnia się wreszcie. Tego właśnie chciał Raj Ahten i mordując niewinnych, Borenson wiedział, że jest tylko narzędziem w jego dłoni.

Przecież nie musiał zostawiać ich bez obrony. Starczyłoby czterech czy pięciu dobrych ludzi. Czy ten potwór mógł czerpać z tego jakąś przyjemność?

Borenson stawał się z wolna jednym wielkim siedliskiem bólu. Jednak musiał wykonywać rozkazy. Dokładnie i bez gadania. Musiał zabić tych ludzi i chociaż w środku buntował się nieustannie, zastanawiał się, czy wszystkich odszukał, czy wykonał zadanie do końca. A może Raj Ahten ukrył gdzieś niektórych?

Pośrednicy znaleźli się poza jego zasięgiem. Wilk zabrał ich ze sobą, trzeba było zatem zabić wszystkich, którzy tutaj mu służyli. Gdy więc w końcu stanął w bramie warowni, krew pokrywała go od stóp do głów.

Wyszedł z zamku na Rynkową, upuścił sztylęty na bruk i stał tam długi czas, pozwalając, by deszcz obmył mu twarz i ręce. Miłe były te zimne krople, ale w wielu miejscach krew zastygła w grudy i nie schodziła.

Ogarnęło go lekkie szaleństwo. Nie chciał już być żołnierzem Ordenu ani żadnego innego króla. Hełm go uwierał. Bolało, jakby stalowa skorupa z wolna miażdżyła mu głowę. Rzucił go na ziemię. Potoczył się z grzechotem po kamieniach w dół ulicy.

Opuszczającego miasto Borensona nikt nie zatrzymywał. Posterunki były zresztą załóżnie nieliczne. Przy bramie miejskiej młody gwardzista spojrzął tylko na jego zakrwawioną twarz i odskoczył z krzykiem. Uniósł palec wskazujący i kciuk w geście chroniącym od złych duchów.

Borensen zawył, aż echo poszło po mieście otworzył furtę w bramie, i wybiegł w deszcz. Przemknął przez spalone pola ku odległemu zagajnikowi, gdzie ukrył konia.

W ciemności i deszczu czaiło się pół tuzina niełudów z długimi pikami. Popełniły wielki błąd, atakując Borensona. Runęły na niego w małej kotlinie, skacząc niczym małpy, z wysuniętymi naprzód pikami.

Czerwone ślepia jarzyły im się w mroku, bujne grzywy upodabniały ich nieco do wilków. Warczały i podskakiwały na krótkich nogach, czasem podpierały się knykciami.

W pierwszej chwili Borensen pomyślał, żeby dać się zabić. Zaraz jednak przywołał obraz Myrrimy: jej suknię z jedwabiu w barwie obłoku, grzebień z masy perłowej w jej włosach. Wspomnił jej zapach, jej śmiech, gdy całowali się przed domkiem..

Potrzebował jej teraz, a niełudy były sługami Raja Ahtena. Sprowadził je tutaj, żeby zabijały, i chociaż żołnierze Ordenu rozgonili całe tałatajstwo po wzgórzach, to jeszcze przez miesiące ich niewielkie bandy miały być plagą tej krainy.

Dla Raja Ahtena niełudy się nie liczyły. Słuchały go, bo lubiły ludzkie mięso.

Gotowe były zabić każdego, kogo im wskaże, ale zawsze zaczynały od najsłabszych: dzieci w kołyskach, kobiet w kąpieli.

Pierwszy machnął piką tak blisko Borensona, że kamienny grot otarł się ze zgrzytem o jego zbroję.

Szybko jak wąż wojownik wyciągnął topór i oczyścił przestrzeń wkoło siebie.

Skorzystał ze swej nadzwyczajnej siły i wyrwał jednemu niełudowi rękę, następnemu wbił ją w klatkę piersiową.

Uśmiechnął się i zaczął chłodno śledzić każdy szczegół walki. Nie chodziło mu tylko o to, żeby zabić niełudy, chciał uczynić z tego rodzaj tańca, swoiste dzieło sztuki. Kolejnemu wraził dłoń w pancerną rękawicę w zęby, złapał za język i wyrwał.

Czwarty chciał uciec. Borensen wyczuł rytm jego kroków, przyjrzał się uniesionym uszom i z impetem opuścił topór na jego czaszkę. Rozbił ją idealnie, jak trzeba.

Kości pękły z rozgłośnym traskiem, trysnęła posoka. Trochę jak melon.

Niełud padł. Na gwardzistę rzuciły się ostatnie dwa stwory z czarnymi pikami.

Bez daru wzroku Borensen nigdy nie zdołałby się przed nimi obronić. A tak tylko odsunął groty na bok, złapał jedne drzewce, obrócił, stawiając krok w bok, i cisnął z taką siłą, że przebiło oba niełudy w okolicy mostka. Stanęły w drgawkach, nadziane na jedną pikę.

Wojownik odstąpił parę kroków i teraz już tylko patrzył. Niełudy wiedziały, że umierają. Ten z tyłu padł pierwszy, powalając towarzysza na kolana.

Borensen ruszył dalej. W myślach miał jeszcze każdy szczegół walki, tak bliskiej tańcowi czy poezji, jak tylko to było dlań możliwe. Zaczął się śmiać chrapliwie, bo tak właśnie powinna wyglądać wojna - gdy ludzie walczą o przetrwanie. Gdy ktoś dobry chroni swój dom i swą rodzinę.

Starcie podziało bardziej kojąco niż deszcz. Borenson pospieszył do wierzchowca. Nie umyję rąk, postanowił. Nie umyję twarzy, póki nie stanę przed księciem i królem. Niech ujrzą, co spowodowali.

Dosiadł konia i pognął przez mrok. Cztery mile na wschód od miasta natknął się przy drodze na trupa żołnierza Ordena. Zabrał jego włócznię.

Jego koń nie mógł się równać z rumakiem Gaborna, ale ponieważ droga była pusta i gładka, choć trochę błotnista, chłodzony deszczem ogier mógł galopować choćby i wiecznie.

Przemknęli przez wzgórze, gdy deszcz przestał padać, chmury rozeszły się i na niebie błysnęły gwiazdy.

Borenson zamierzał jechać do Longmot, ale gdy dotarł do rozwidlenia dróg, to miast na południe, skrzył na wschód, ku Bannisferre. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie.

Ranek zastał go wśród zielonych pól. Nic wkoło nie przypominało o wojnie. W winnicach dwadzieścia mil na północ od Bannisferre młode kobiety z koszami zbierały winogrona.

Zboczył na pole i zjadł trochę ociekających deszczem owoców. Były soczyste, wspaniałe. Tak właśnie musiały smakować winogrona pierwszemu człowiekowi, który kiedyś ich spróbował.

Obok płynęła szeroka rzeka, wielka srebrzysta wstęga lśniąca wśród zielonych pól. Wcześniejszy pomysł, aby nie zmywać krwi, wydał się Borensonowi mało stosowny.

Nie chciał, aby Myrrima go zobaczyła w takim stanie. Lepiej, żeby się nigdy nie domyśliła, co zrobił. Zjechał więc do rzeki i popływał trochę nago. Nie zwracał zupełnie uwagi na ludzi gnających drogą świnie.

Wysuszył się w słońcu i nałożył z powrotem zbroję, ale zakrwawiony płaszcz wrzucił do rzeki. Woda poniosła znak przedstawiający zielonego rycerza na niebieskim polu.

Wojska Raja Ahtena musiały już dotrzeć do Longmot, pomyślał. Są daleko przede mną. Nie zdążę przed bitwą. Po prawdzie mało go to już obchodziło. Niezależnie od wyniku ataku na Longmot i tak zamierzał wypowiedzieć służbę swemu panu.

Zabijając niewinnych darczyńców, mężczyzn i kobiety, którzy nie popełnili żadnej zbrodni, prócz umiłowania swego dobrego i sprawiedliwego króla, Borenson uczynił

znacznie więcej, niż mógł jego pan odeń oczekiwać. Śluby złożone Ordenowi straciły moc, stał się wolnym rycerzem. Sam będzie decydował, o co należy walczyć.

Wdrapał się na gruszę rosnącą obok porzuconego gospodarstwa. Zerwał kilkanaście największych owoców z samego szczytu. Część dla siebie, resztę dla Myrrimy i jej rodziny.

Z góry dostrzegł coś ciekawego: za wzniesieniem niebieszczały głębokie oczka wodne ze stromymi brzegami i wierzbami rosnącymi dokoła. Powierzchnię stawów zasłaly żółte liście, ale prócz nich pływały tam też białe i czerwone różyczki. Mieszka tam zatem wodny czarnoksiężnik, pomyślał leniwie Borenson. Ludzie przynoszą mu róże, aby im błogosławił.

Po chwili zszedł szybko z drzewa i pobiegł do stawków. Poważny i pełen nadziei stanął nad brzegiem jednego z nich. Nie miał róż ani żadnych innych kwiatów, ale miał gruszki. Też całkiem dobry kąsek dla czarnoksiężnika.

Usiadł na czarnym korzeniu pod wierzbą, której gałązki zwieszały się nad wodą.

Liście szeleściły na lekkim wietrze. Przez dłuższy czas wołał: „Czarnoksiężniku tej wody, morza miłośniku, czarnoksiężniku tej wody, usłysz mą prośbę!” Jednak powierzchnia oczka stała nieruchomo i tylko czasem przemykały po niej wodne pająki lub brązowa traszka pojawiła się w toni, błyskając złocistymi ślepkami.

Zrozpaczony Borenson pomyślał, że może czarnoksiężnik zmarł już dawno temu, a ludzie dalej

przynoszą podarki w nadziei, że kiedyś inny jeszcze się tu osiedli.

A może to nawiedzone miejsce i miejscowe dziewczyny rzucają kwiaty do wody dla ułagodzenia ducha jakiegoś topielca?

W końcu znużony przesiadywaniem na korzeniu wierzby i daremnym nawoływaniem zamknął oczy i wdychając jedynie zapach wody, pomyślał o domu, o Mystarrii, o spokojnych, uzdrawiających stawach Derry, gdzie nawet szaleniec doznawał ukojenia, gdzie znikwały i złe wspomnienia, i myśli niespokojne.

Gdy tak marzył, nagle poczuł, jak jego kostki dotyka zimny korzeń. Chciał już poruszyć stopą, lecz domniemany korzeń złapał go i ścisnął lekko.

Spojrzał w dół. Na skraju wody, tuż pod powierzchnią, unosiła się dziewczynka lat około dziesięciu, o skórze gładkiej i błękitnawej jak porcelana i o srebrzystych włosach. Patrzyła na niego spod wody wielkimi i zielonymi jak morze oczami. Całkiem nieruchomo, nie mrugała nawet. Jedynie jej karmazynowe skrzela na szyi poruszały się w rytm oddechu.

Puściła jego stopę i przytrzymała się podwodnej części korzenia wierzby.

Nimfa wodna. Za młoda, aby miała wielką moc.

- Przyniosłem ci gruszkę, miła. Jeśli chcesz...

Wodnica nie odpowiedziała. Wciąż tylko patrzyła na niego tymi oczami bez wyrazu.

Ostatniej nocy zabiłem kilka dziewcząt w twym wieku, chciałem jej powiedzieć Borenson.

Powiedzieć albo, jeszcze lepiej, wykrzyczeć.

Wiem, odpowiadały jej oczy.

Nigdy nie zaznam spokoju, szepnął bezgłośnie Borenson.

Ja mogę dać ci spokój, mówiły oczy rusałki.

Borenson wiedział jednak, że to kłamstwo. Wciągnęłaby go do stawu, dała mu miłość.

Jak długo by go kochała, mógłby żyć pod wodą, ale potem by o nim zapomniała i utonąłby.

Mogła mu dać tylko kilka krótkich dni rozkoszy przed śmiercią.

Chciałbym, lubię cię. Mógłbym zlać się w jedno z wodą, znam jej spokój, pomyślał

Borenson i przywołał w pamięci obraz wielkich ojczystych mórz i białych fal przetaczających się nad zielonymi niczym stara miedź głębinami.

Oczy wodnicy aż rozszerzyły się na tę wizję. Uśmiechnęła się, wdzięczna za podzielenie się wspomnieniem o morzu.

Borenson wziął złocistą gruszkę, zanurzył ją w wodzie i podał wodnicy.

Wyciągnęła smukłą, niebieskawą dłoń z długimi, srebrnymi paznokciami. Nagle chwyciła go za nadgarstek i wychyła ze stawu, by ucałować go w usta.

Było to całkiem nieoczekiwane. Nimfa wyskoczyła z wody jak ryba. Borenson czuł jej wargi tylko przez chwilę.

Podał jej gruszkę i odszedł, ale przez długie godziny nie potrafił sobie przypomnieć, jaka właściwie boleść sprowadziła go nad staw z białymi i czerwonymi różyczkami kołyszącymi się wśród złocistych liści.

Wrócił po konia i dosiadł go. Jechał wolno, pozwalając nawet, by zwierzę popasło się trochę po drodze. Nie trwało jednak długo, gdy dotarł do niewielkiej łąki pod Bannisferre, gdzie wśród polnych stokrotek stał domek Myrrimy.

Z komina nad kuchennym paleniskiem snuł się dym, a jedna z brzydkich sióstr Myrrimy, Inette, jak pamiętał, stała przed frontowymi drzwiami i rzucała ziarno stadku chudych czarnych kurczaków.

Podjechał do niej. Inette spojrzała na wojownika, uśmiech wykrzywił szpetne oblicze.

Szybko jednak zniknął.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. Gdzie Myrrima?

- Posłaniec przybył z miasta - odparła dziewczyna. - Oddziały się zbierają, pan Orden jest w Longmot. Ona, Myrrima, wyjechała w nocy. Wielu chłopaków z miasta poszło walczyć.

Cały spokój ostatniej godziny natychmiast gdzieś uleciał.

- Do Longmot?! - krzyknął Borenson. - Po co?!

- Chciała być z tobą!

- Ale to nie będzie ani piknik, ani tańce! - darł się dalej Borenson.

- Ona o tym wie - szepnęła Inette. - Ale jest zaręczona. Jeśli przeżyjesz, będzie chciała być z tobą. A jeśli nie...

Borenson zwiesił głowę. Myślał gorączkowo. Do Longmot było prawie sześćdziesiąt mil. Przez noc tam nie dojechała. Nawet dwie noce to za mało.

- Wyruszyła pieszo?

Inette pokręciła lekliwie głową.

- Z chłopcami, wozem...

Za późno. O wiele za późno. Borenson popędził konia do galopu. Musiał ją zatrzymać.

35

W SILNYCH RAMIONACH

Nagły wybuch płaczu Iomy przeraził Gaborna. Pomyślał nawet, że może ktoś ją trafił strzałą. Jechali już od paru godzin, przystając co jakiś czas, by zmienić konie, i nie słyszał od niej nawet słowa skargi. Zwolnił i obrócił się, żeby spojrzeć na dziewczynę.

Najpierw jednak zobaczył króla. Chwiał się w siodle z opuszczoną głową, dłonie zacisnął kurczowo na łąku. Łkał cicho, spazmatycznie. Łzy ciekły mu z oczu.

Ioma się przygarbiła.

- Stój! Gaborn, musimy się zatrzymać! - krzyknęła, biorąc wodze ojcowego rumaka.

- Co się stało?

- Gaaa - odezwał się Sylvarresta.

- Nasi darczyńcy umierają - powiedziała Ioma. - On... nie wiem, czy mój ojciec będzie miał siły, żeby jechać dalej.

Gaborn sposepniał.

- Borenson. Mogłem się domyślić - szepnął zmęczonym głosem. - Przykro mi, Iomo.

- Podjechał do króla, ujął go pod brodę.

- Możesz jechać, wasza wysokość? Możesz utrzymać się w siodle? Musisz! Trzymaj się! - Sprawdził chwyt królewskich dłoni na łąku, zacisnął je jeszcze mocniej. -

Trzymaj się! O tak!

Sylvarresta spojrział Gabornowi w oczy i zrobił, co książę kazał.

- A ty dasz radę? - spytał Gaborn Iomę. Ponuro skinęła głową.

Ruszyli lekkim klusem. Gaborn trzymał się blisko podopiecznych. Król patrzył w gwiazdy albo obserwował światła mijanych osad.

Pięć mil dalej dotarli do zakrętu i tutaj Sylvarresta osunął się z siodła. Spadł na biodro, potoczył się trochę na błocie i trawie, po czym znieruchomiał zapłakany.

Gaborn podszedł do niego i uspokoił szeptem. Potem posadził go przed sobą i tak pojechał, tuląc króla Sylvarrestę w silnych ramionach.

36

WĘŻOWY PIERŚCIEN

Przez całą noc król Orden czekał niecierpliwie na wieści o synu. Było to trudniejsze do zniesienia niż wszystko, czego dotąd doświadczył.

Jego ludzie wynieśli ze zbrojowni wszystkie dwieście tysięcy strzał i rozmieścili je na stanowiskach przy blankach. Na murze pod zachodnią wieżą rozpalili wielki ogień, sygnał o zagrożeniu mogący przywołać każdego, kto ujrzy albo blask, albo dym. W pobliżu ustawili wielkie kotły ze zjełczałym olejem do podgrzania. Jego woń wypełniła rychło zamek.

Orden rozkazał pięciu ludziom udać się trzy mile na zachód i zapalić podobny stos sygnałowy na szczycie Tor Loman, aby mógł go dojrzeć każdy w promieniu dwudziestu staj. Diuk Groverman nie odpowiedział jak dotąd na wezwanie, może chociaż zawstydzi się trochę na taki znak.

Tuż przed świtem przybyło jednak odeń dwa tysiące ludzi, którzy zaraz wyjaśnili przyczyny swego opóźnienia. Groverman słyszał o upadku Longmot i myślał, by odbić zamek, najpierw jednak wysłał wiadomość do Sylvarresty. Jego umyślni musieli jednak zginąć, nim dotarli do króla. Po całym dniu czekania wysłał stu zwiadowców na koniach z darami i od nich dopiero dowiedział się, że miasto padło. Orden zastanowił się, którądy jechali ci zwiadowcy, że jego patrole ich nie zoczyły. Najpewniej przez puszcę... Gdy zwiadowcy wrócili ze złymi wieściami o Sylvarreście, Groverman czekał jeszcze trochę na posiłki z odleglejszych zamków.

Ostatecznie przysłał jednak dobrych i silnych rycerzy. Z drugiej strony, mimo wszystkich wysiłków, Orden wciąż nie czuł się gotowy do bitwy. Podejrzewał wręcz, że do takiej próby nigdy nie zdołałby przygotować się należycie.

Na dodatek pojawił się jeszcze earl Dreis, osobnik niekompetentny i załazący za skórę. Już po godzinie pobytu w Longmot spróbował przejąć dowództwo nad jego obroną. W pierwszej kolejności rozkazał obsłudze katapult schować je do wnęk w murach, niwecząc cały wysiłek, jaki włożyli w sprawdzenie ich zasięgu i celności.

Orden znalazł go w dawnych kwaterach diuka. Siorbał ciepłą herbatę, podczas gdy sługa masował mu stopy.

- Czemuż to nakazałeś pan wycofać katapulty? - spytał z miejsca król.

Diuk z początku nie był chyba pewien, czy powinien się obrazić, czy może jednak bronić.

- To kwestia strategii, mój drogi, strategii. Bo widzisz, pomyślałem, że jak ukryjemy je z początku bitwy i potem nagle wyciągniemy, to jak nic zaskoczymy Raja Ahtena!

Orden nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać nad taką głupotą.

- Raj Ahten widział już niejedną katapultę - wyjaśnił cierpliwie. - Zdobył ze sto zamków. Widok paru machin na pewno nie wystraszy ani jego, ani jego ludzi.

- Tak, ale...

- Co więcej, te katapulty też już widział, bo był tutaj cztery noce temu. Wie, że one tu są.

- Ach, oczywiście! Słuszna uwaga! - powiedział earl, odsuwając sługę i zbierając się niezgrabnie z fotela.

- Musimy ustawić je z powrotem i rozkazać ludziom, by raz jeszcze się wstrzelali.

- No... dobrze - mruknął earl, jakby myślał już o czymś innym.

- Ponadto nakazałeś, panie, zająć swoim ludziom stanowiska przy bramach, a moich wysłałeś na mury - ciągnął Orden. - Miałeś po temu jakiś konkretny powód?

- Ach, oczywiście! Musisz wiedzieć, że moi ludzie walczyć będą o swój kraj ojczysty, zatem jest dla nich sprawą honoru, aby bronić bram!

- Panie - odezwał się Orden, starając się zachować cierpliwość - musisz zrozumieć, że w tej bitwie wszyscy nasi ludzie będą walczyć przede wszystkim o życie. Poza tym moi cenią swój kraj nie mniej niż twój. Przyproceedziłem najlepszych rycerzy, każdy ma od dziesięciu do dwudziestu darów.

Sprawiają się lepiej niż zwykły żołnierz.

Dreis się napuszył.

- Ale twoi, panie, walczą jedynie mieczami i młotami, a moi jeszcze sercem i siłą woli, wiedząc, że stają w najszlachetniejszej ze spraw!

- Panie Dreis...

Dreis uniósł dłoń, że teraz to niby on mówi.

- Zapominasz, gdzie jesteś, panie Orden - warknął. - To Heredon, nie Mysteria.

Ja dowodzę w tym zamku, póki ktoś znaczniejszy nie zajmie mojego miejsca.

- Niewątpliwie - powiedział Orden, kłaniając się lekko, chociaż nigdy nie przyszło mu to z większym trudem. - Nie zmierzałem niczego sobie uzurpować. Uważam jedynie, że niektórzy z moich rycerzy mogliby walczyć u boku twoich, panie. W ten sposób pokazalibyśmy dobitnie Rajowi Ahtenowi, że jesteśmy sojusznikami.

- No tak! - stwierdził Dreis, łapiąc przynętę. - Szlachetna sprawa taki sojusz.

Dobry pomysł. Tak, oczywiście, zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

- Dziękuję.

Król Orden raz jeszcze skłonił głowę i odwrócił się, żeby wyjść. Chyba wiedział już, jak radzą sobie z tym bufonem jego doradcy.

- Ach, nie odchodź, proszę - powiedział Dreis. - Jeśli mogę spytać: słyszałem, że szukasz ludzi do węzowego pierścienia?

- Tak - odparł Orden, obawiając się następnego pytania.

- Wchodzę, rzecz jasna. Jako głowa.

- Gotów jesteś wystawić się na takie ryzyko? - spytał Orden. - Godny podziwu to zamiar, ale będziesz nam potrzebny gdzie indziej, jak sądzę. Ktoś musi dowodzić bitwą.

Odruchowo nadał swojej wypowiedzi ton błagalnej prośby, jak czynili to zapewne doradcy Dreisa.

- Ach, jeśli o to chodzi, to uważam, że starczy wyuczyć ludzi pewnych reguł, a potem pozwolić im, by sami sobą dowodzili - odparował earl. - Nie będę musiał dowodzić całą bitwą.

- Niemniej rozważ, proszę, kwestię bezpieczeństwa podległych ci krain. Heredon dość już ucierpiał. Jeśli zginiesz, byłaby to niepowetowana strata. Na wszelki wypadek lepiej by było, gdybyś nie przyjmował roli głowy węza, a zajął raczej jakieś inne, bliskie jej, a jednak zaszczytne miejsce.

- Och, nie nalegam...

- Czy zabiłeś już kiedyś człowieka, panie?

- No... tak, zdarzyło się. Trzy lata temu powiesiłem jednego złodzieja.

Nie osobiście, rzecz jasna, pomyślał Orden. Sprawę załatwił na pewno kapitan straży.

- Zatem wiesz, że niełatwo potem zasnąć. Wiesz, że trudno spojrzeć w oczy temu, kogo pozbawiasz życia. Znasz poczucie winy. Nieodłączną część losu władcy. Ja zabiłem po raz pierwszy, gdy miałem dwanaście lat. Pewnego oszalałego chłopca, który próbował ogłuszyć mnie pałą. Od tamtej pory zabiłem w walce około dwudziestu ludzi. Moja żona...

odsunęła się przez to ode mnie, ochłodziła, zaczęła traktować obojętnie. Można by sądzić, że czasem kochają nas za to, ale dla kobiet nawet odrobina krwi na rękach to świadectwo rzekomego okrucieństwa i nieczułości. Plami duszę. Oczywiście, nie jestem Rajem Ahtenem... kto wie, ilu ludzi zabił własną ręką. Dwa tysiące, dziesięć?

- Tak, poczucie winy - mruknął earl. - To paskudna sprawa. Było widać, jak zastałe trybiki w głowie Dreisa zaczynają się z wolna obracać, jak budzi się w nim lęk.

Ordenu żadne poczucie winy nie gnębiło, chciał tylko przypomnieć temu głupcowi, ilu ludzi

zginęło dotąd z rąk Raja Ahtena. Podsunął mu pomysł, jak uniknąć udziału w walce. Całkiem słuszny pomysł i nader prawy, nie kojarzący się nijak ze zwykłym tchórzostwem.

- Dobrze więc, zresztą to twoje dreny - powiedział earl. - Może to ty, panie, powinieneś zostać głową węża.

- Dziękuję. Wypełnię godnie to zaszczytne zadanie.

- Ale ja będę drugi, zaraz po tobie.

- Po prawdzie miałem nadzieję zachować to miejsce dla kogoś innego, dla kapitana mojej gwardii. To wielki wojownik.

- Aha! - Teraz, gdy Dreis się nad tym lepiej zastanowił, nie był już taki pewny, czy interesuje go ta walka. - Cóż, tak chyba będzie najlepiej.

- Niemniej mogę zachować dla ciebie miejsce zaraz za nim, panie. - Orden wiedział, że nie musi tak naprawdę rezerwować jakiegokolwiek miejsca dla tego bęcwała. Gdy odda już swój dar kapitanowi, Orden będzie mógł ustawić go w dowolnym miejscu węża. Na przykład gdzieś w środku.

- No, to wszystko już ustaliliśmy - powiedział Dreis tonem sugerującym, że audyencja skończona. Potem wyjaśnił dobitnie swym sługom, by nie przeszkadzali mu przed świtem, bo bardzo potrzebuje snu.

Król Orden wrócił na blanki, by wypatrywać posiłków i zwiastunów przeciwnika.

Ustawił swoich dalekowidzących w gnieździe graaków, po czym posłał jeszcze zwiadowców, by pilnowali wzgórz i dróg na wschodzie i zachodzie.

Ale Raj Ahten jakoś wciąż się nie pojawiał.

Miast niego przez całą noc zjeżdżali ochotnicy gotowi wspomóc obrońców. Najpierw zjawili się trzystu chłopów spod zamku Dreis, wszyscy z kuszami; nie mieli zbroi, tylko pikowane wełniane kaftany mogące zatrzymać co najwyżej strzałę, która traci już impet. Krótco przed świtem nadciągnął oddział Borensona - osiemdziesięciu żołnierzy, wielu rannych po wczorajszej bitwie.

Zameldowali, że Raj Ahten nie pokazał się nawet w pobliżu zasadzki przy Dzikim Brodzie. Nie słyszeli też nic o Gabornie.

Z zachodu nadjechała chorągiew dwustu kopijników na koniach z darami. Wyruszyli z zamku Jonnick, dowiedziawszy się o upadku miasta Sylvarresta, i zbliżyli się do niego ledwie na tyle, by usłyszeć wieści, że Wilk ciągnie pod Longmot.

Ze wschodu przybywali wolni rycerze z różnych zamków. Z jednego tuzin, z drugiego pięćdziesięciu. Większość miała swoje lata i nic już do stracenia, niektórzy, młodzi, wierzyli jeszcze, że wojna to tylko chwalebna przygoda. Dołączyli do tysiąca pięciuset rycerzy i łuczników earla Dreis i dwóch tysięcy zbrojnych Grovermana.

Byli też synowie chłopów i kupców z miasteczek i wsi leżących na skraju puszczy.

Mieli zacięte miny, choć uzbrojeni byli co najwyżej w siekiere albo kosę. I jeszcze młodzieńcy z miast w wytwornych strojach, z rękojeściami mieczy kapiącymi od złotych zdobień.

Ordenowi ich widok nie dodawał ducha, nie sądził, aby niewyszkoleni ochotnicy mogli cokolwiek tu zdziałać. Z drugiej strony nie odmawiał im prawa do walki, skoro chcieli bronić własnego kraju. On był tu tylko gościem.

Ludzie na murach witali głośno każdy oddziałek przejeżdżający pomiędzy bliźniaczymi stosami płonącymi po obu stronach drogi przed bramą. Dęli radośnie w rogi, witając znanych sobie przybyszów: „Niech żyje sir Freeman!” albo „Wiwat dzielne Barrows!”

Orden poznawał ich barwy, patrząc na tarcze, domyślał się imion większości rycerzy.

Jeden wszelako, który zjawił się prawie o brzasku, zaskoczył go i zainteresował.

Przyjechał prawie ostatni. Był rostry jak niedźwiedź, dosiadał żwawego, czarnego muła o

wygiętym grzbiecie. Nie miał zbroi, tylko okrągłą tarczę z olbrzymim, ostrym guzem i płaski hełm z jednym krowim rogiem. Nosił gruby płaszcz ze świńskiej skóry, a za całą broń, prócz sztyletu, miał wsparty na łęku siodła wielki topór z żelazną rękojeścią długą na prawie sześć stóp. Wraz z nim jechało jeszcze pięćdziesięciu podobnych mężczyzn z kuszami i toporami. Banici.

Ludzie na murach Longmot nie okrzyknęli go, chociaż znać musieli. Shostag Topornik. Od dwudziestu lat dawał do wiwatu, wraz ze swoimi, wszystkim Władcom Runów wzdłuż pasma gór Solące.

Powiadano, że był Wilkiem ze starej szkoły, który wziął wiele darów od psów. Gdy zbliżył się do bram zamku, król Orden spojrzał na dolinę za nim i ujrzał przemykające niespokojnie w blasku gwiazd cienie wilków. Gnały wzdłuż żywopłotów, przeskakiwały kamienne murki.

Shostag zatrzymał się sto jardów od bramy, na skraju ruin spalonego podzamcza.

Nawet w tak lichym świetle widać było, że brudny jest i nie ogolony, w każdym calu prostak.

Splunął w popioły, spojrzał na blanki i wbił spojrzenie w oczy Ordena.

- Widziałem wasze ognie - powiedział. - Słyszałem, że chcecie śmierci jednego Władcy Runów.

Czy wasze zaproszenie nas też obejmuje?

Orden nie był pewien, czy może mu ufać. Topornik mógł równie dobrze obrócić się przeciwko niemu, ruszając w ogień bitwy na zamek.

- To zaszczyt walczyć w jednym szeregu z ludźmi tak... sławnymi jak wy - odparł

Orden. Nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie jakiegokolwiek pomocy, nawet Topornika.

Shostag odchrząknął, splunął na ziemię.

- Jeśli zabiję z chłopakami tego gościa, chcemy darowania rejestru.

Orden skinął głową.

- I jeszcze chcę nadania ziemi i tytułu, jak każdy inny pan. Orden zastanowił się. Miał taki majątek w puszczy, na granicy Lonnock. Ponure bagnisko pełne bandytów i komarów.

Od trzech lat marnował się, czekając na właściwego pana. Shostag albo pozbyłby się tych rozbójników, albo włączył ich do swojej kompanii.

- Mogę obiecać majątek w Mysterrii, gdyby król Sylvarresta nic nie dał.

- Biorę - burknął Shostag i machnął na swoich.

Dwie godziny zostały do świtu, a Orden wciąż nie usłyszał nic ani o Gabornie, ani o Borensonie. Kolejny wysłannik przyniósł tylko wieść, że diuk Groverman przyśle jeszcze ludzi z sąsiednich zamków, ale nie dotrą do Longmot przez zmrokiem.

Orden wiedział, że Raj Ahten zjawi się wcześniej.

Groverman roztropnie uczynił, zabezpieczając w pierwszej kolejności własny zamek, i to niezależnie od obietnicy udziału w skarbie.

Wychodziło zatem, że więcej pomocy nie będzie. Wprawdzie zwiadowcy nie donieśli jeszcze o zbliżaniu się Raja Ahtena, król był jednak pewien, że to kwestia góra dwóch godzin.

Najbardziej jednak niepokoił się brakiem wiadomości o Gabornie. Nadzieja słabła w nim przez całą noc, aż w końcu zaczął powtarzać sobie, że nie ma już na co liczyć. Raj Ahten musiał go pojmać. A jeśli tak, to albo go zabił, albo pozbawił jakiegoś daru.

Zdesperowany Orden wziął zatem swoje dreny, ustawił ochotników w szeregu i polecił darmistrzowi earla Dreis, by zaczął wyśpiewywać zaklęcia. Dreny pojaśniały, błysnęły wstęgi blasku. Mężowie kolejno łączyli swe zasoby daru metabolizmu.

Orden dołączył do nich ostatni, zamykając węzowy pierścień.

O świcie kazał zamknąć bramy. Miał niecałe sześć tysięcy ludzi i bardzo niewiele nadziei, ale teraz mógł już tylko czekać. Za murami zostawił tylko paru zwiadowców, by meldowali jak najszybciej, gdy tylko dojrzą Wilka. Na więcej posiłków nie mógł już liczyć.

Wygłosił jeszcze ostatnią przemowę do żołnierzy. Użył Głosu, by wniknął do każdego, najdalszego nawet zakamarku twierdzy. Rycerze, pospólstwo i łotrzyki na murach patrzyli nań wyczekująco, wszyscy już pod bronią.

- Słyszeliście, że Raj Ahten wziął miasto Sylvarresta, nie używając oręża. Starczył mu jego urok i Głos, by rozbroić oddziały króla. Wiecie też, co się potem stało z tymi ludźmi.

Tutaj nic takiego się nie wydarzy. Gdyby Raj Ahten użył Głosu, wszyscy, którzy będą dość blisko, mają zacząć do niego strzelać, jakby już się zaczął szturm. Nie ustąpimy pola, póki albo on nie będzie martwy, albo my. Gdyby jakiś młodzik posłuchał jego Głosu, moi rycerze stracą takiego z murów. Nie pozwolimy, żeby dzieci przeszkadzały mężom walczyć.

Niech Moce będą z nami!

Gdy skończył, sześć tysięcy mężów uniosło broń.

- Orden! Orden! Orden!

Król spojrział po murach. Wiedział, że jego ostrzeżenie przed sztuczkami Raja Ahtena zostawi silny ślad. Ostatecznie też użył Głosu. Pozostało mieć nadzieję, że Wilk nie zdoła go przebić.

Znad Mrocznej Puszczy dmuchnął chłodny wiatr. Zapachniało śniegiem.

Ale gdzie jest Gaborn?

37

CHŁOPCY NA DRODZE

Myrrima siedziała na rozklekotanym wozie, który od świtu pędził, skrzypiąc i kołysząc się, śladem parukonnego zaprzęgu. Odkąd minęli pola pod Bannisferre i wjechali do Mrocznej Puszczy, jazda stała się szczególnie uciążliwa, bo wóz co rusz podskakiwał na ryjących pod drogą korzeniach.

Tylko dziesięciu chłopców było z Bannisferre, pozostali ściągnęli z okolicznych gospodarstw. Mieli jedynie łuki, włócznie i głowy nabite marzeniami o pomszczeniu zbrodni popełnionych w ostatnim tygodniu na ich krewnych i znajomych.

Nawet wóz musieli pożyczyć od gospodarza Foksa mieszkającego przy drodze pod miastem. Nikt z nich nie miał własnego konia, by wierzchem ruszyć na wojnę.

Gadane mieli wszakże jak synowie najlepszej szlachty. W tym jednym bez wątplenia byli dobrzy.

- Jak słońce na niebie, zabiję Niezwycięzonego, słowo daję - rzucił jeden, Hobie Hollowell. Był smukły i silny, ze strzechą jasnych włosów i błękitnymi oczami.

Coś błyskało w nich niepokojąco, gdy spoglądał na Myrrimę. Ledwie parę tygodni temu dziewczyna miała nadzieję się z nim zaręczyć.

- Prędej dziur w niebie tym łukiem narobisz - zachichotał Wyeth Able. - Strzały masz krzywe, akurat do zeza.

- Ale ja nie ustrzelę go z łuku - zaśmiał się Hobie. - To będzie tak: poczekam, aż zacznie wspinać się po murze zamku, a wtedy rzucę w niego twoim tłustym trupem!

Jak rąbniesz w niego tym wielkim zadkiem, rozplaszczy się jak żaba.

- Akurat! Nie dasz rady mnie unieść, a co dopiero rzucić - sapnął Wyeth, zdejmując kapelusz, po czym dał Hobiemu szturchańca. Wyeth był silny już teraz, a kiedyś miał być taki szeroki jak wysoki. Po chwili reszta przyłączyła się do przepychanki. Zaśmiewali się i kotłowali po całym wozie.

Myrrima uśmiechnęła się słabo. Wiedziała, że te docinki są na jej cześć, że chłopcy chcą przyciągnąć jej uwagę. Większość z nich znała od lat, chociaż odkąd otrzymała dary urody, ich

stosunek do niej bardzo się zmienił. Ci, którzy uważali ją przedtem za jedną z wielu nieciekawych dziewcząt spod miasta, teraz zapominali czasem przy niej nie tylko języka w gębie, ale i własnych imion. Smuciło ją, że uroda stała się przeszkodą w normalnych kontaktach. To nie było w porządku. I wcale tego nie chciała.

Wyeth położył Hobiego na dnie wozu. Całkiem bez wysiłku. Uśmiechnął się do Myrrimy, czekając aprobaty. Skinęła uprzejmie głową, uśmiechnęła się.

Od Longmot dzieliły ich ostatnie mile. Wkoło ciągnęły się trawiaste wzgórza z gajami rozłożystych dębów. Długo już byli w drodze i Myrrima czuła się bardzo zmęczona.

Konie w zaprzęgu były zwykłymi zwierzętami, bez darów, ale miały wiele siły i od dawna chodziły razem, zupełnie jak ci chłopcy na wozie.

Gdy dojechali do Longmot i ujrzeni jego wysokie i długie mury oraz groźne wieże, Myrrima prawie że pożałowała całej wyprawy. Bolał ją widok pogorzelskich podzamcz i poczerńniętych szczątków gospodarstw w dolinkach.

Wzgórza i góry na północ i północny zachód od Longmot należały jeszcze do Mrocznej Puszczy, porastały je dęby, osiki i sosny, ale teren na południe od zamku, pofałdowany jak falujące morze, zielenił się łąkami, sadami, winnicami i ogrodami. Murki z kamieni i sterczące rogi dzieliły krajobraz na kwadratowe i trójkątne splechety, każdy innego koloru, niczym kawałki materiału na klanowej spódnicy.

Teraz jednak i to uległo ponurej zmianie. Gdzie wcześniej stał dom rolnika czy stodoła, dziś czerniały jedynie ruiny. Szereg otwartych wrzodów na powierzchni ziemi... Sady i ogrody ogołocoły z owoców i warzyw, brakło koni, świń i kaczek.

Myrrima rozumiała, dlaczego mieszkańcy okolic Longmot tak uczynili, dlaczego żołnierze spalili nie chronione murami podzamcze, wsypali sól do własnych studzien. Nie chcieli ułatwiać wrogom Heredonu życia i dlatego zniszczyli wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Ta kraina... nazbyt przypominała żyzne okolice Bannisferre, co pogłębiało jeszcze żalobę Myrrimy. Widok ruin i pustych pól przyprawiał ją o dreszcze, źle wróżył.

Gdy wóz dotarł do bram zamkowych, były jeszcze otwarte. Straż popatrywała niespokojnie na pola i wzgórza na zachodzie. Myrrima ujrzała, kto stoi na murach, i duch upadł w niej jeszcze bardziej. Większość obrońców rekrutowała się z takich samych chłopaków jak ci, z którymi przyjechała. Żaden nie obroni się przed Niezwyciężonymi Raja Ahtena i Orden powinien chyba o tym wiedzieć.

- Kim jesteście? Skąd przybywacie? - spytał burkliwie strażnik przy bramie.

- Z Bannisferre - odrzekł Wyeth Able, unosząc brwi. - Przybyliśmy pomścić naszych.

Na blankach wieży bramnej pojawił się mężczyzna o szerokiej twarzy i stosownie do tego rozstawionych oczach. Spojrzenie miał ogniste, nosił pełną zbroję, a napierśnik zdobił mu wizerunek zielonego rycerza. Na głowie miał obszytą złotem czapkę ze lśniącego, zielonego aksamitu.

Król Orden.

- A trafiacie czasem w coś z tych waszych łuków, moi drodzy? - spytał. - Żołnierze Raja Ahtena poruszają się bardzo szybko.

- Gołębie posyłam do garnka jak trza - odparł Wyeth. Orden przyjrzał się korpulentnemu Wyethowi.

- Gołębie i chyba nie tylko. Witajcie. - Potem jego oczy spoczęły na Myrrimie, a było w nich tyle podziwu, że dziewczynie aż dech zapało. - A tu kogo mamy? Mieczem pani robisz? Szlachcianką jesteś?

Myrrima opuściła spojrzenie na podolek. Bardziej ze wstydu niż z szacunku dla władcy.

- Jestem... przyjaciółką twego syna, panie. Zaręczyłam się z jednym z twoich gwardzistów... z Borensonem. Przyjechałam, żeby być przy nim. Nie władam mieczem, ale potrafię, ugotować dobry gulasz, umiem opatrywać rannych.

- Rozumiem - odparł łagodnie Orden. - Borenson to zacy mąż, godzien szacunku.

Ale nie wiedziałem, że się zaręczył.

- To stało się całkiem niedawno, wasza wysokość.

- Pani, Borenson jeszcze tu nie dotarł, chociaż powinien. Poślę go do zamku Sylvarresta, gdzie miał wykonać pewne zadanie. Wypatruję go pilnie z nadzieją, że zjawi się lada chwila, chociaż i wojsk Raja Ahtena tylko patrzeć. Nie wiem, kto będzie pierwszy.

- Och. - Myrrima myślała gorączkowo. Borenson nie czekał na nią. Tego nie przewidziała. Do głowy jej nie przyszło, że król znajdzie mu zajęcie gdzie indziej. Nie łudziła się co do przebiegu bliskiej już bitwy, ale z drugiej strony zdążyła trochę poznać Borensona. Wiedziała, jak ważna jest dla niego służba, jak wiele jej poświęca. Nie powstało jej nawet w głowie, aby mógł zawieść. Czy zginać.

Chciała być przy nim. Właśnie teraz, w godzinie potrzeby. W jej rodzinie oddanie i poświęcenie wobec ukochanych bliskich liczyło się najbardziej. Inaczej nigdy by nie przetrwali.

Zwilżyła wargi.

- Jeśli nie będę wam zawadą, to poczekam tu na niego.

38

NADZIEJA

Wstawał już dzień, gdy Ioma i Gaborn dotarli do niedużej wsi Hobtown leżącej dwadzieścia dwie mile na północny zachód od Longmot. Cała osada liczyła piętnaście domów i kuźnię, niemniej w soboty zjawiało się tu nieco okolicznych gospodarzy, aby sprzedać plony. A to akurat była sobota.

Gdy zatem wjechali między zabudowania, spotkali parę osób, które o tej wczesnej porze były już na nogach. I dobrze, bo konie potrzebowały obroku i odpoczynku.

Ioma dostrzegła dziewczynkę, może dwunastoletnią, która wrywała w ogrodzie cebulę i pory. Obok ogrodzenia ogrodu rosła wysoka koniczyna.

- Przepraszam, moja miła! - zawołała Ioma. - Czy możemy popaść nasze konie na twojej koniczynie?!

- Oczywiście, proszę bardzo... - odparła tamta i zamilkła, ledwo spojrzała na przybyszów, a dokładniej na Iomę.

- Dziękujemy - odezwał się Gaborn. - Chętnie zapłacimy, ale gdybyśmy mogli jeszcze kupić coś na śniadanie...

Dziewczynka spojrzała z kolei na Gaborna. Otrząsała się dopiero z pierwszego szoku i wyraźnie wolała nie kierować oczu na Iomę.

- Mam chleb z nocy i trochę mięsa - zaproponowała, zachwycona perspektywą zapłaty. Wśród rolników normą był handel wymienny i niejeden mógł cały rok przegospodarzyć, ani razu nie czując na dłoni ciężaru monety.

- Chętnie, w zupełności nam to starczy - stwierdził Gaborn. Dziewczę rzuciło koszyk z cebulą na ziemię i pobiegło do domu. Ioma próbowała się uspokoić, odsunąć jakoś pamięć odrazy, którą okazała jej dziewczynka. Niby tylko chwila, nic wielkiego, księżniczka jednak znów poczuła, że jest tylko okropnym brzydactwem.

Ojciec Iomy zasnął podczas jazdy i Ioma uznała, że to dobrze. Wcześniej spadł z konia, sporo czasu przepłakał. Gaborn trzymał go teraz na siodle przed sobą, tak jak czasem wozi się dzieci.

Wierzchowce zaczęły skubać łąpczywie koniczynę.

Ioma rozejrzała się wkoło. Domy były tu z kamienia i drzewa, kryte strzechą. W doniczkach pod oknami rosły kwiaty i zioła, w oknach zaś tkwiły prawdziwe szyby.

Niewielkie Hobtown robiło wrażenie całkiem bogatej osady.

Wieś rozłożyła się w uroczej dolince pomiędzy dąbrowami. Na łąkach wśród traw rosły stokrotki, polne goździki i inne jeszcze kwiaty, dalej pasło się tłuste bydło. Dostatnia okolica, pomyślała Ioma. Dostatnia i spokojna. Jeśli jednak potwierdzą się najgorsze obawy Gaborna, jeszcze dzisiaj przejdą tędy wojska Raja Ahtena. Zniknie coś nader wartościowego.

Nadejdzie kres tej niewinności.

Ioma uniosła głowę i ujrzała, że Gaborn się do niej uśmiecha.

Ledwie chwilę po tym, jak dziewczynka aż przesłoniła usta dłonią, przerażona szpetotą księżniczki. Ioma obawiała się, że nigdy nie będzie już piękna, ale gdy Gaborn na nią spojrział, nagle poczuła się tak, jakby nigdy nie straciła urody.

- Jak ty to robisz? - spytała.

- Co robię?

- Że ilekroć na mnie patrzysz, zaraz czuję się piękna?

- Pozwól, że odpowiem pytaniem na pytanie. W Internooku piękna jest tylko taka kobieta, która ma płowe włosy. We Fleeds musi być ruda i piegowata. W Mystarrii moi pobratymcy cenią nade wszystko kobiety o szerokich biodrach i obwisłych piersiach. Tutaj zaś, w Heredonie, piękność musi piersi mieć małe, jędrne i chłopięcą niemal sylwetkę. W całym Rofehavanie za urodziwe uważane są tylko kobiety o bladej cerze, a w Deyazz te o cerze możliwie ciemnej. Ponadto noszą tam jeszcze złote klipsy, które obciągają im płatki uszu. Tutaj takie uszy uznano by za groteskowe. Pytam cię więc: kto ma rację?

Czy wszystkie te kobiety są piękne, czy wszystkie są brzydkie? A może w gruncie rzeczy wychodzi na to samo?

Ioma zastanowiła się.

- Może fizyczna uroda to tylko ułuda? - mruknęła. - A ty potrafisz przejrzeć tę ułudę?

- Nie sądzę, aby to była tylko ułuda, ale raczej coś tak zwyczajnego naszym oczom, że nie zawsze ją dostrzegamy. Jak te łąki dokoła: my, podróżni, podziwiamy rosnące na nich kwiaty, ale miejscowi rzadko pewnie zauważają ich piękno.

- A gdy ktoś lub coś pozbawi nas całego piękna i nie zostanie nic, co można by podziwiać?

Koń Gaborna stał tuż obok wierzchowca Iomy. Zwierzę przesunęło się lekko, tak że kolano księcia dotknęło kolana dziewczyny.

- Zostanie się radować - stwierdził Gaborn. - Ludzie mogą być też piękni w środku. A gdy czują się odarci z zewnętrznej urody, ogarnia ich tęsknota za pięknem wewnętrznym i tak długo trzyma, aż odmieni ich serca. A wówczas rozkwita z nich piękno, jak te łąkowe kwiaty.

Gdy patrzę na ciebie, widzę, że twój lud się uśmiecha i że ty nade wszystko cenisz u niego ten uśmiech. Jak mógłbym nie kochać tego, co nosisz w sercu?

- Dziwnie patrzysz na piękno. Skąd ci się to wzięło? - spytała Ioma, zastanawiając się nad tym, jak w paru zdaniach zdołał opowiedzieć i o jej miłości, i o nadziei dla jej ludu.

- Od mistrza ogniska domowego Ibirmarlego, który uczył mnie w Domu Zrozumienia.

Ioma uśmiechnęła się.

- Chciałabym spotkać go kiedyś i podziękować mu. Ale zastanawiasz mnie, Gabornie.

Byłeś w Domu Zrozumienia, studiowałeś w Komnacie Serca, a to dość dziwne miejsce dla Władcy Runów. Dlaczego poświęcałeś czas dziełom trubadurów i filozofów?

- Zaglądałem nie tylko tam, także do Komnaty Twarzy, Komnaty Stóp...

- Aby dowiedzieć się czegoś o aktorach i podróżnikach? A dlaczego nie do Komnaty Oręża lub Komnaty Złota?

- Władać bronią nauczył mnie ojciec i zamkowi gwardziści. A co do Komnaty Złota... Nudno tam. I zawistnie. Co rusz jakieś kupieckie książątko patrzy wilkiem na innego, podobnego sobie...

Ioma zupełnie już nie wiedziała, co myśleć, i uśmiechnęła się tylko do Gaborna.

Dziewczynka wyszła z chaty z kilkoma trójkątnymi plackami, mięsem i trzema świeżymi figami. Gaborn zapłacił jej i ostrzegł, za kilka godzin będzie tędy przechodzić armia Raja Ahtena. Po czym wolno odjechali.

Zatrzymali się poza osadą, pod drzewem przy stawie. Puścili konie do wody.

Gaborn patrzył w milczeniu na jedzącą Iomę. Spróbował obudzić króla, aby i on coś przekąsił, ale bez powodzenia.

Schował zatem nieco chleba, mięsa i figę do kieszeni. Przed nimi rysował się groźny, ciemnogrnatowy masyw gór. Ioma nigdy jeszcze nie dotarła tak daleko na południe. Wiedziała jednak, że tam właśnie, za tymi górami, przebiega Przepaść Krzywdy, głęboki wąwóz oddzielający sporą część królestwa.

Zawsze chciała go ujrzyć. Słyszała, że wiodąca tamtędy droga jest bardzo niebezpieczna, całe mile biegnie tuż nad otchłanią. Wieki temu śniadzi wyrabali ją w żywej skale, oni też zbudowali wielki most nad Rzeką Krzywdy.

- Wciąż myślę, że to dziwne - powiedziała. - Tyle czasu spędziłeś w Komnacie Serca... Większość władców niewiele studiuje poza sztukami wojennymi. I niekiedy Głosem.

- Przypuszczam, że skoro większość władców chce jedynie wygrywać bitwy i utrzymać swoje zamki, to nie potrzebują niczego poza naukami z Komnaty Oręża.

Ale... mnie to chyba nie przekonuje. Przez wieki szukaliśmy sposobów, jak podejść się nawzajem. To godne ubolewania, że silni starają się zapanować nad słabymi. Dlaczego miałbym zgłębiać tajniki podobnych niegodziwości?

- Bo to konieczne - stwierdziła Ioma. - Ktoś musi strzec prawa, chronić lud.

- Może i tak, ale mistrz Ibirmarle potępiał zawsze takie rozumowanie. Nauczał, że silny nie powinien gnębić słabego, że to źle, podobnie jak wówczas, gdy mądry łupi głupiego, a cierpliwy wykorzystuje czyjś brak opanowania. Wszystko to są różne sposoby wykorzystywania innych, zaprzęgnięcia ich do naszego pługa. Dlaczego miałbym traktować ludzi jak narzędzia, a nawet gorzej, jak coś, co psuje miły widok?

Gaborn zamilkł na chwilę i zapatrzył się na północ, w kierunku zamku Sylvarresta, gdzie Borenson zabił ostatniej nocy wszystkich darczyńców. Ioma domyślała się, że książę bardzo żałuje, iż tak się stało. Może nawet uważa to za osobistą porażkę wynikłą z jego wielkiej naiwności.

- Kiedyś, dawno temu, pewien stary pasterz, starszy swej osady, przysłał wiadomość do mego dziadka. Prosił go, żeby zechciał kupić wełnę. Osada miała wcześniej umowę z pewnym kupcem z Ammendau, który woził wełnę na targ, ale kupiec niespodziewanie zmarł. Dlatego starszy wysłał list do króla, prosząc, by kupił wszystko dla swych oddziałów, za zwykłą cenę. Nie wiedział jednak, że długotrwałe deszcze padające na zachodnim pogórzu popsuky wełnę tamtejszych owiec. Zgniła im na grzbietach. Gdyby zatem ludzie z owej osady zawieźli swój towar na targ, uzyskaliby zapewne trzykrotnie wyższą cenę.

Mój dziadek mógł skorzystać z okazji i zarobić. Gdyby posłuchał kupców kształconych w Komnacie Złota, tak właśnie by postąpił. Oni bowiem uważają, że cnotą jest kupować tanio i sprzedawać drogo. Dziadek jednak skontaktował się z mistrzem Komnaty Stóp i zorganizował

karawanę, która przewiozła wełnę na porządnym targu, i to taniej, niż bywało wcześniej. Potem

posłał jeszcze list do starszego i poprosił go, aby biednym dalej sprzedawali wełnę po normalnej cenie, by nie pomarзли w zimie.

Ioma słuchała tego z lekkim zdumieniem, zawsze bowiem uważała Ordenów za ludzi bez serca, twardo dyktujących warunki. Chociaż... może dotyczyło to tylko króla Mendellasa, który zmienił się po tragicznej śmierci ojca.

- Rozumiem - powiedziała. - I tak twój dziad zdobył miłość biednych.

- I szacunek starszego wioski - dopowiedział Gaborn. - Takim właśnie Władcą Runów chciałbym być, władcą, który potrafi zaskarbiać sobie serca ludzi, ich miłość.

Mam nadzieję, że tak się stanie. Serce zdobyć trudniej niż zamek. Zaufanie łatwiej utracić niż ziemię. To dlatego tyle czasu spędzałem w Komnacie Serca.

- Rozumiem. I przepraszam.

- Za co?

- Za to, że ciągle powtarzałam, że ci odmówię, gdybyś mnie poprosił o rękę. -

Uśmiechnęła się do niego, powiedziała to niby żartem, ale przecież to była prawda. Tak wtedy myślała. Jednak Gaborn okazał się cudownie intrygujący i wyglądało na to, że nie są to jego wszystkie przymioty. Ioma obawiała się, że jeśli wydarzenia nadal będą postępować w tym tempie, to zakocha się w nim przed jutrzejszym wieczorem, i to tak mocno, że nigdy nie zechce się już z nim rozstać.

Konie skończyły pić i księżę oprowadził je po łączce.

Majestatyczna głębia Przepaści Krzywdy otwarła się przed nimi całkiem nagle - dołem grzmiała rzeka, droga zaś wiała się wzdłuż krawędzi. Wedle legendy to śniadzi stworzyli wąwóz, niszcząc kolumny, które podtrzymywały tutaj Górny Świat.

Wierzchowce ruszyły powoli wąskim szlakiem, a Ioma podziwiała wyrastające z dna przepaści kolumny szarego i białego kamienia. Widok był wręcz cudowny.

Księżniczka zastanawiała się, czy to może są właśnie te kolumny z legendy. A może tylko korzenie gór, które wiatr i deszcze starły niegdyś na proch?

Przy samym urwisku wyrastały wielkie drzewa, zupełnie jak kępy sierści na zgrzeble. Miłą na północ Rzeka Krzywdy spływała wodospadem w otchłań tak wielką, że Ioma nie mogła dojrzeć jej pogrążonego w ciemności dna. Nawet huk wody się stamtąd nie wydostawał. W cieniach nad przestworem krążyły gigantyczne nietoperze.

Powiadano, że gdy ktoś spadał tu z drogi, to jego krzyk rozlegał się z dołu jeszcze przez cały miesiąc, aż ginął w oddali.

Jechali bez pośpiechu. Sylvarresta często zatrzymywał konia, by zajrzeć w snujące się poniżej opary.

39

ZIELONY MAŻ

Król Sylvarresta obudził się, wypłynął z wolna z krainy snów, chociaż nie do końca, gdyż drzwi jego umysłu wciąż były zatrzaśnięte. Mało co pamiętał. Ani słów, ani nazw, nie znał nawet swego imienia. Jednak sporo rzeczy wyglądało dlań znajomo: konie, drzewa... Ujrzał wielką jasność rozpełzającą się po niebie. Złocistości, różane poblaski... Był pewien, że kiedyś już to widział.

Jechali powoli wąską drogą. Po lewej wznosiła się ściana szarej skały, po prawej otwierała się bezdenna przepaść. Sylvarresta nie widział, co to jest, nie odróżniał też stron, prawej ni lewej. Na cokolwiek się natykał, było dlań odkryciem. Daleko, bardzo daleko w dole widział szarawe mgły. Na górze stały sosny, sterczały rzędem wzdłuż krawędzi urwiska.

Wjechali na wąski most wyciosany z jednego wielkiego głazu. Spinał brzegi przepaści,

wznosząc się pośrodku ku niebu. Sylvarresta spojrzął w dół i poczuł

się, jakby wisiał w powietrzu. Nie pamiętał, aby tu już kiedyś był, aby czuł się podobnie.

Na moście stało kilka tuzinów żołnierzy, wszyscy w granatowych opończach, z obliczem zielonego męża na tarczach. Twarz otaczały zielone liście. Młodzieniec i kobieta, którzy towarzyszyli królowi, przywitali się radośnie z tymi żołnierzami. Wojacy porozmawiali chwilę z młodzieńcem o planach obrony mostu, potem pożegnali się i zostali w tyle.

Król, dziewczyna i młodzieniec przebyli most i wjechali w sosnowy las. Droga wiodła ku szczytowi góry. Konie przemykały pod konarami.

Wielkie ptaki o piórach barwy nieba migwały między drzewami, śpiewały na gałęziach, wiatr powiewał odświeżającym chłodem.

Dotarli do szczytu i zaczęli zjeżdżać z zalesionych wzgórz ku krainie dolin pokrytych szachownicą pól.

Wśród pól wyrastał zamek, wysoki, z szarego kamienia. Z jego blanków odezwały się rogi. Sylvarresta ujrzał powiewający proporzec, trochę jakby znajomy - srebrny niedźwiedź na czarnym polu.

Na murach stały setki ludzi, niektórzy z łukami, inni z pikami i młotami, a wszyscy w hełmach z szerokim okapem. Niektórzy nosili płaszcze z twarzą zielonego męża i jeszcze jasne tarcze, które lśniły srebrzyście jak powierzchnia spokojnego stawu. Na jego widok zaczęli wiwatować i machać rękami. Król Sylvarresta odmachał im, też coś krzyknął, aż w końcu opuszczono most zwodzony. Wjechali.

Kopyta zagrzechotały na bruku. Ruszyli pod stromy pagórek. Ludzie wciąż hałasowali radośnie, ale z wolna wyraz ich twarzy zaczynał się zmieniać. Niektórzy wskazywali na króla, bladzi i jacyś dziwni. Sylvarresta nie wiedział, co to ma znaczyć, ale byli przerażeni, wstrząśnięci, rozczarowani.

- Darczyńca! - krzyczeli. - On jest darczyńcą!

Potem jego koń zatrzymał się przed frontonem szarego budynku, niewielkiej warowni. Król siedział przez chwilę, wpatrując się w rdzawobrazową jaszczurkę, długą jak jego palec, wygrzewającą się na kamieniach skalnego ogródka obok drzwi. Nie mógł sobie przypomnieć, czy widział już kiedyś tak dziwne, fascynujące zjawisko.

Spłoszona jazgotem jaszczurka uciekła po ścianie na szary dach. Król zrozumiał, że to jest żywe. Zaczął krzyczeć, pokazywać gada palcem.

Młodzieniec jadący za królem zsiadł z konia i pomógł Sylvarreście zsunąć się z siodła. Wraz z nim i tą brzydką kobietą król wszedł do budynku i ruszył jakimiś schodami w górę.

Był bardzo zmęczony. Pokonywał stopnie, ale nogi go bolały, bliskie skurczu.

Chciałby odpocząć, ale młodzieniec kazał mu iść dalej, aż do pokoju pełnego smakowitych, kuchennych zapachów, gdzie płonął ogień.

Już od drzwi ujrzał parę merdających ogonami psów, które przyciągnęły jego uwagę. Dopiero po chwili zauważył dwa tuziny mężów siedzących za stołem i jedzących to, co tak ładnie pachniało.

Potem spojrzął nad ich głowami i tchu mu zabrakło. U szczytu stołu siedział wysoki mężczyzna, piękny i ciemnowłosy, z szeroko osadzonymi błękitnymi oczami i kwadratową szczęką skrytą prawie w całości pod gęstą brodą.

Sylvarresta znał tego mężczyznę, znał go lepiej niż kogokolwiek innego. Zielony mąż. W zielonej tunice i połyskliwej czapce z zielonego aksamitu.

Serce Sylvarresty wezbrało radością. Przypomniał sobie imię tego mężczyzny.

- Orden! - zawołał.

Stojący obok Sylvarresty młodzieniec też coś krzyczał.

- Ojcie, jeśli pragniesz śmierci tego nieszczęśnika, to miej przynajmniej tyle przyzwoitości, by zabić go własną ręką!

Król Orden wstał powoli zza stołu, z wahaniem ruszył na spotkanie przybyłych. Co rusz przenosił spojrzenie z Sylvarresty na młodzieńca i z powrotem. W jego oczach malowało się przerażenie, płonęła złość, a ręka sama szukała rękojeści krótkiego miecza. Zmagał się z bronią, jakby nie mógł jej dobyć, aż w końcu obnażył głownię do połowy.

I schował ją z trzaskiem, cały wściekły. Zachwiał się, postąpił krok, objął Sylvarrestę. I rozplakał się.

- Przyjacielu, cośmy uczynili?! - łkał. - Cośmy uczynili?! Wybacz! Wybacz mi!

Sylvarresta nie protestował przeciwko uściskowi i tylko się zastanawiał, co też się tu porobiło takiego złego, aż w końcu płacz jego przyjaciela zaczął przycichać.

40

ODWOŁANY ROZKAZ

Księżę nigdy nie widział, by ojciec płakał. Nawet wtedy, gdy matka Gaborna i jego młodzieńcy brat zostali zamordowani, Orden nie uronił jednej łzy żalu. Nie zabłysła mu nigdy w oku łza szczęścia, gdy wznosił radosny toast.

A teraz tulił Sylvarrestę i płakał. Z ulgi. Z radości.

Król Mendellas Draken Orden zanosił się płaczem. Dla jego świty był to widok tak kłopotliwy, że ponad dwudziestu szlachty i dygnitarzy, którzy z nim śniadali, wyszło spiesznie, zostawiając w sali tylko Iomę, obu królów, Gaborna i troje Dzienników.

Gaborn zerknął przez komnatę i poczuł się niewyraźnie. Ujrzał swego Dziennika.

Uwolnił się od niego na pół tygodnia i było to całkiem miłe doświadczenie.

A teraz wydawało mu się, że jest wołem czekającym na ponowne nałożenie jarzma.

Niewysoki mężczyzna skinął uprzejmie głową i Gaborn wiedział już, że odtąd ani przez chwilę nie będzie już sam. Obok stała matrona z rudawymi, siwiejącymi gdzieś włosami. Dziennik Emmadine Ot Laren, od śmierci diuszesy bez przydziału.

Przywitała się z Iomą, skłoniła się lekko, co miało zapewne zastąpić cały ceremoniał.

Niedwuznacznie dawała do zrozumienia księżniczce, że od dziś będzie jej towarzyszyć.

Cała trójka widziała wszystko, utrwałała w pamięci.

Gaborn odetchnął w duchu, że żaden z Dzienników nie będzie świadkiem, jak król Orden zabija przyjaciela, i to gdy ów przyjaciel jak nigdy dotąd potrzebuje jego pomocy. Miast tego podadzą kiedyś, długo po śmierci władcy, że objął Sylvarrestę i popłakał się jak dziecko.

Dziwne, pomyślał Gaborn, że nie uronił ani jednej łzy ulgi na mój widok.

Sylvarresta pozwolił Ordenowi tulić się przez kilka długich chwil, aż nie mógł

już znieść uścisku mocarnych ramion i spróbował się uwolnić. Dopiero wtedy Orden ujął jego bicepsy i odkrył, że są zwiotczałe.

- Utracił swoje dary? - spytał, Ioma skinęła głową.

- Oboje utracili - dodał gniewnie Gaborn. - Borenson był wczoraj w zamku Sylvarresta. Gdy pojechaliśmy, został w tyle. Ty go wysłałeś, by ich zabił, prawda? - Spojrzał

oskarżycielsko w oczy ojca. Głupio wierzył, że wspominając o zabiciu darczyńców Raja Ahtena, Borenson mówi tylko ogólnie. Nie wyobrażał sobie, aby z zadaniem zgładzenia wszystkich w całej Warowni Darczyńców zamku Sylvarresta mógł zostać wysłany jeden człowiek.

Jednak zachowanie ojca to potwierdzało. Z początku odmalowało się na jego twarzy poczucie winy, później smutek. Gaborn dał ojcu dość czasu na rozważenie skutków rozkazu, który wydał. Wszyscy darczyńcy w zamku Sylvarresta ponieśli śmierć. Nawet jeśli król i Ioma zostali

pośrednikami Raja Ahtena, teraz nie mieli mu wiele do zaoferowania, jedynie własne dary.

- To znaczy, że opuszczając zamek, Raj Ahten zostawił wszystkich swych darczyńców? - spytał ojciec Gaborna.

- Prawie wszystkich. Zabrał pośredników... - Orden uniósł brwi w zdumieniu. -

Ale zdołałem wyprowadzić wcześniej Iomę i króla.

Orden przechylił głowę. Zaczynał chyba pojmovać, czego dokonał jego syn.

- Zastanawiam się... - Odchrząknął. - Zastanawiam się, dlaczego Borenson pozwolił tej dwójce odjechać. Nakazałem mu, by uczynił coś wręcz przeciwnego.

- Zmieniłem twój rozkaz - wyjaśnił Gaborn.

Jego ojciec zareagował tak szybko, że księżę nie zdążył się nawet poruszyć.

Przyskoczył do syna i uderzył go otwartą dłonią w twarz tak mocno, że aż krew się połała, a Gaborn pomyślał w pierwszej chwili, że stracił ząb.

- Jak śmiałeś?! - zawołał król. - Możesz się ze mną nie zgadzać, możesz mnie lekceważyć, umniejszać moją rolę, nawet krytykować i jawnie się sprzeciwiać! Ale jak śmiesz ze mną walczyć?! - W jego oczach płonął gniew.

Nagle otworzył usta zdumiony i pełen żalu z powodu swego uczynku. Odwrócił się i podszedł do szczeliny łuczniczej. Stał tam z dłońmi wspartymi na kamieniach i zapatrzył się na zewnątrz.

- Ioma i jej ojciec byli pod moją opieką. Na mocy ślubowania - powiedział

pospiesznie Gaborn, zdając sobie sprawę, że nie dotrzymał słowa danego Borensonowi. Miał twierdzić, że w ogóle się nie spotkali, jednak czuł się tak, że jedno słowo więcej, jedno mniej...

- Zmusiłem go, by poniechał wykonania rozkazu. Powiedziałem mu, że tobie zostawię rozstrzygnięcie. - Miał nadzieję, że to ostatnie zdanie udobrucha ojca.

Przez okno dobiegały radosne wiwaty. Kolejne oddziały ściągały do zamku przed bitwą.

- Twoje poczynania to niemal zdrada stanu - mruknął król Orden, wciąż odwrócony plecami. - Sprzeczne ze wszystkim, czego cię uczyłem.

- Ale zgodne z twoimi najskrytszymi pragnieniami. Nakazałeś zabić swych przyjaciół, ale serce dyktowało ci co innego.

- Skąd możesz wiedzieć, co działo się w moim sercu? - spytał Orden, trochę jakby nieobecny.

- Po prostu... wiedziałem.

Król w zadumie skinął głową, obrócił się i długo spoglądał na Gaborna, zmagając się z myślami. W końcu wciągnął głęboko powietrze.

- Zatem odwołuję ten rozkaz - powiedział już opanowany. - Dziękuję, Gabornie, żeś sprowadził tu mego przyjaciela.

Gaborn odetchnął z ulgą.

Król Sylvarresta podszedł do stołu i zaczął wybierać kąski z talerzy. Oboma dłońmi napchał sobie usta szynką.

- Ale obawiam się, że i tak go straciłem - wyszeptał ojciec Gaborna.

- Tylko do czasu śmierci Raja Ahtena. Wtedy ty odzyskasz przyjaciela, a ja zyskam żonę. - Gaborn nie chciał przekazywać tej wiadomości już teraz, ale to była ważna sprawa i uznał, że będzie lepiej, jeśli ojciec usłyszy o tym od niego, a nie od kogoś obcego. Był przygotowany na następny policzek. - Ojciec, powiedziałem ci już, że ślubowałem chronić Iomę. Jak jeden Związany Przysięgą Władca Runów drugiemu.

Ojciec Gaborna zapatrzył się w palenisko. Zacisnął szczęki, jakby rozdrażniony nowiną, chociaż gdy się odezwał, jego głos brzmiał prawie normalnie.

- Cóż, zawsze podejrzewałem, że to tylko kwestia czasu.

- Jesteś niezadowolony?

- Owszem, ale nie zaskoczony. Chociaż muszę przyznać, że wybrałaś złą chwilę, by dopuszczać do głosu sumienie. Najgorszą z możliwych.

- Ale nie jesteś zły? Jego ojciec stłumił chichot.

- Zły? Niezbyt. Skonsternowany może, przygnębiony. Ale zły? Niby dlaczego? Mój jedyny przyjaciel jest Związanym Przysięgą Władcą Runów. - Przez chwilę w zamyśleniu kiwał głową. - Chociaż... wciąż mam wrażenie, że cię straciłem.

- Gdy pobijemy już Raja Ahtena, sam się przekonasz, że niczego nie straciliśmy - powiedział Gaborn.

- Myślisz, że to będzie takie łatwe?

- Z czterdziestoma tysiącami drenów chyba tak.

- A, Borenson powiedział ci o tym? Owszem, mamy te dreny. Teraz brakuje nam tylko czterdziestu tysięcy ludzi palących się do roli darczyńców. Wtedy na coś się nam przydadzą.

- Chcesz powiedzieć, że nie zacząłeś jeszcze robić z nich użytku?

- Trzymam je ukryte tam, gdzie zakopała je diuszesa. Wykorzystaliśmy zaledwie garść.

Gaborn nie krył zdumienia. Bez darczyńców jego ojciec mógł liczyć tylko na jedno.

Na jeden tylko sposób pokonania Raja Ahtena.

- Wąż? Stworzyliście węża? Jak wielkiego?

- Wężowy pierścień - poprawił go król, jakby dla uspokojenia. - Na dwudziestu dwóch mężczyzn, większość z co najmniej dwoma darami metabolizmu. Prawie wszystkich widziałeś tutaj, nim wyszli.

Ledwie chwilę wcześniej król stwierdził, że ma wrażenie, jakby stracił syna.

Wydawało się, że przesadza, że nazbyt dramatycznie ocenia wydarzenia. Teraz Gaborn gotów był uznać, że ojciec może jednak mieć rację. Tak czy inaczej, byli dla siebie straceni. Z

czasem, gdy pierścień zostanie zerwany, Gaborn przekona się, jak wielką ofiarę uczynił król tego dnia.

To też wyjaśniało, dlaczego ślubowanie syna nie wywołało złości Ordenu. On już się odsuwał od Gaborna.

Władca zwilżył językiem wargi.

- Zamierzam zabić Raja Ahtena jeszcze dzisiaj. Dla ciebie. Własnoręcznie. Powiedzmy, że to będzie mój prezent ślubny dla was. Dostaniecie głowę Wilka. A mój przyjaciel odzyska zmysły.

- Jak? Ilu masz na swoje rozkazy?

- Sześć tysięcy. Mniej więcej - odparł Orden i znów podszedł do okna. Wyrzał. -

Rano Groverman przysłał jeźdźców z wiadomością, że nie przyjdzie mi z pomocą.

Zamierza wzmocnić obronę własnego zamku. Tak więc mamy od niego tylko tę garstkę i nieco wolnych rycerzy, którzy nie chcieli zostać z tchórzem. Bardzo niedobrze, wielce na niego liczyłem. Jednak to wybitnie rozumny człowiek. Robi to, co i ja bym zrobił: obwarowuje własny dom.

Gaborn uśmiechnął się.

- Twój zamek jest w Mysterrii, tysiąc dwieście mil stąd. Nie odwróciłbyś się plecami do przyjaciela.

Król spojrział na syna z ukosa.

- Chcą, żebyś zabrał teraz stąd Iomę i króla Sylvarrestę. Wynoście się. Jedźcie do zamku Groverman. Będzie należycie broniony.

- Wolałbym nie. Dość mam uciekania.

- A jeśli ci rozkażą? W tej sprawie nie dopatrzysz się we mnie rozterki. Serce i rozum podpowiadają jedno i to samo.

- Nie - powiedział stanowczo Gaborn. Ojciec zawsze próbował go chronić i najwyraźniej gotów był dalej postępować tak samo, nawet za cenę własnego życia.

Jednak Gaborn był Władcą Runów i chociaż niewiele darów nosił, były one jednak dość różnorodne.

Z większą zwinnością, siłami życiowymi i możliwościami umysłu mógł stawać w polu lepiej niż jakikolwiek zwykły żołnierz. Poza tym kształcił się w taktyce i szermierce.

Jako syn królewski musiał się nauczyć skutecznie walczyć, chociaż nie mógł się równać z Niezwyciężonymi Raja Ahtena.

Ioma złapała za rękaw tuniki Gaborna.

- Zrób, jak ojciec każe! - szepnęła z naciskiem. - Weź mnie do Grovermana. Gdy tam przyjedziemy, rozkażę mu walczyć!

Gaborn pojął natychmiast, że księżniczka ma rację. Zamek Grovermana leżał ledwie trzydzieści mil od Longmot. Jeśli dobrze pogonią konie, za parę godzin będą na miejscu.

- Posłuchaj jej - poradził Orden. - To może coś dać. Groverman zbierał siły.

Teraz może mieć na murach nawet dziesięć tysięcy obrońców.

Gaborn już postanowił. Zabierze Iomę do Grovermana. Zajmie mu to jakieś pięć godzin i wróci koło południa. Do tego czasu wojska Raja Ahtena obiegają już Longmot.

Choć jeśli pod zamek podciągnie również sto tysięcy sił głównych Wilka, Gaborn nigdy ich nie odepchnie.

- Iomo, czy mógłbym przez chwilę porozmawiać z ojcem sam na sam?

- Oczywiście - odparła dziewczyna i wyszła.

Król Sylvarresta wciąż podjadał wszystko, co znajdował na stołach. Został też Dziennik Gaborna i jego ojca.

Książę, jak kiedyś, nie potrafił zapomnieć o ich obecności. Czuł się wręcz skrępowany. Niemniej po wyjściu Iomy podszedł do ojca, objął go i rozplakał się.

- Co się stało? - szepnął Orden. - Czemuż to książę płacze?

- Wysyłasz mnie z daremną misją. Czuję, że coś... coś jest bardzo nie tak. - Nie wiedział, jak to wypowiedzieć, ale był przeświadczony, że muszą porozmawiać szczerze o tym, co się stanie, jeśli jeden z nich zginie. Wiele razy rozważali już podobną ewentualność, i po śmierci matki Gaborna, i przy innych okazjach. Jednak tym razem książę czuł, że nadchodzi nieuniknione.

Chciał przede wszystkim się pożegnać.

- Skąd możesz wiedzieć, że będzie daremna? Być może do twojego powrotu uporam się już z Wilkiem. Ustawię konnych na dziedzińcu przy bramie. Gdy przyprowadzisz ludzi Grovermana, niech uderzą od północy, ze wzgórza. Ma łagodny stok, idealny do ataku na kopie. Moi wyjadą z bramy na spotkanie i weźmiemy tego potwora z dwóch stron...

Ale musisz obiecać mi jedno. Raja Ahtena zostawisz dla mnie. Sam będę z nim walczył.

Jestem głową węża i tylko ja mogę się z nim zmierzyć.

- On może być bardziej niebezpieczny, niż sądzisz - powiedział Gaborn. - Mierzy, żeby zostać Sumą Wszystkich Ludzi. Ma tak wiele darów sił życiowych... niełatwo go zabić.

Będziesz musiał ściąć mu łeb.

- Tyle to się domyślam - odparł z uśmiechem król Orden. Gaborn spojrzał ojcu w oczy i zrobiło mu się nieco lżej na duszy.

Mury były gęsto obsadzone, a zamek niewielki, łatwy do obrony. Z sześcioma tysiącami Orden

powinien powstrzymać nawet ataki Niezwycięzonych.

Ojciec nie rzucał się ślepo w objęcia śmierci. Starannie szykował się do walki. Kości zostały rzucone. Głowa węża ma szansę pokonać Raja Ahtena. Gaborn wiedział w głębi serca, że spośród wszystkich mężów w tym zamku król Orden jest najlepiej przygotowany do tego zadania.

Ale i tak bolało. Bolało, bo Gaborn wiedział, co może się stać. Bolałoby jeszcze bardziej, gdyby odjechał bez pożegnania.

- A gdzie jest Binnesman? - spytał. - Mógłby cię chronić.

- Ten czarnoksiężnik Sylvarresty? Nie mam pojęcia.

- Powiedział... że go tu spotkam. W nocy wywołał dzikiego z ziemi. Liczy, że nakłoni go do udziału w bitwie. Kierował się do Longmot. - Gaborn był pewien, że Binnesman w końcu tu przybędzie.

Raz jeszcze objął ojca, oparł czoło na jego policzku. Zostałem namaszczony na Króla Ziemi, pomyślał. Powiadają, iż Erden Geboren był tak wrażliwy na moce ziemi i na siły życia, że ilekroć któryś z jego przyjaciół znalazł się w niebezpieczeństwie, Erden zaraz wyczuwał jego lęk. A jeśli któryś umarł, całym sobą przeżywał tę stratę.

Gaborn, wciąż obejmując ojca, też wyczuwał wkoło niego aurę niebezpieczeństwa.

Stał mu przed oczami obraz płomyka lampy, który stara się nie zgasnąć. Dziwny obraz, całkiem mu dotąd obcy. A może to tylko wyobraźnia i nic więcej?

Jednak przez całą noc spędzoną w siodle widział wszystko wyraźniej niż kiedykolwiek. Działanie ziół Binnesmana nie ustawało, chociaż w zasadzie powinno. Może zawsze będzie już tak widział?

Zaszła w nim jeszcze jedna zmiana. Cudowna zmiana. Przypuszczał, że gdyby tylko się postarał, mógłby wejrzeć o wiele głębiej, ujrzyć więcej. Ziemia obdarzyła go Widzeniem. Przytulił mocniej ojca i zamknął oczy. Całą mocą serca spróbował wniknąć w duszę króla Ordena.

Przez długą chwilę nic nie widział i zaczął nawet powątpiewać, czy naprawdę udało mu się wejrzeć w nocy w myśli Raja Ahtena.

Potem, jakby z wielkiej odległości, dobiegła go dziwna mieszanina obrazów, zapachów i dźwięków. Najpierw ujrzał morze, błękitny ocean toczący dumnie fale pod czystym niebem, białe czapy piany na ich szczytach. Matka i siostry Gaborna buszowały między tymi falami niczym fokami. Był też z nimi król Sylvarresta. Matka Gaborna była większa od niego i od dzieci, przypominała raczej morsa, podczas gdy tamci równać się mogli co najwyżej z zatokowymi fokami. W ustach czuł smak chleba z dyni obsypanego ziarnami słonecznika. I jeszcze jabłkowego wina, którym splukał kęs. W oddali grały myśliwskie rogi.

Gdy Gaborn nastawił ucha, poczuł, że koń, na którym siedział, zrywa się do galopu. Pierś wezbrała mu radością, gdy spojrzął na mury swego miasta i usłyszał skandowanie chmary ludzi: „Orden, Orden, Orden!”

Ogarnęło go łagodne ciepło, poczucie wielkiej miłości, jakby cała czułość i dobroć świata objawiły mu się nagle w jednym wielkim spazmie.

Teraz widział wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd. Patrzył w ojcowe serce i wiedział już, co Mendellas Orden ukochał najbardziej: morze, rodzinę, chleb z dyni obsypany słonecznikiem, jabłkowe wino, polowanie i radość swego ludu.

Nagle wycofał się z poczuciem winy. Dlaczego to robię? Zaglądam w duszę mego ojca... To zawstydzające. Prawie jakbym go podpatrywał, pomyślał.

Przypomniawszy sobie jednak, co należy do jego powinności i jak podobno Erden Geboren dobierał sobie towarzyszy broni. Gaborn obawiał się o ojca, że wszystkich sił chciałby go ochronić, ocalić w

tej najczarniejszej godzinie.

Staniesz dziś do walki, pomyślał, prawie szepnął, a ja będę walczył u twego boku.

41

WYBÓR OFIARY

Szalony bieg od Siedmiu Kamieni dał się we znaki Rajowi Ahtenowi, który pragnął jak najszybciej dołączyć do swojej armii. Władca Runów z darami sił życiowych i metabolizmu może wprawdzie gnać szybciej i dalej niż inni ludzie, ale to wymaga wielkich zasobów energii. Nawet on nie może biec wiecznie.

Doścignął swoich dobrze przed świtem, ale za jaką cenę! Biegając ponad sto mil w pełnej zbroi, nie jadł niczego po drodze i stracił ze dwadzieścia funtów tłuszczu. Pot spływał zeń strumieniami i chociaż Wilk przystawał często, aby napić się ze strumyków i kałuż, utracił też dziesięć funtów wody. Nadmierne obciążenie nerek i kości powiększyło wyczerpanie. Zdecydowanie nie był w odpowiedniej kondycji do walki.

Biegając, co rusz napotykał ślady przemarszu armii świadczące, że jego wojsko też powoli słabnie. Przy drodze leżały tuziny padłych koni, z których nawet nie zdjęto ladrów.

Trafiał na dziesiątki umierających piechurów, olbrzymów leżących bez zmysłów przy stawach, a nawet ziające, wyczerpane mastiffy.

Gdy dotarł do maszerujących oddziałów, nie przejął się, że most w Hayworth został rozebrany, bo stracili przez to ledwie cztery godziny. Potem już tylko odpoczywał w siodle i jadł, ile mógł. Do Longmot zostały im kolejne cztery godziny marszu.

Przez całą drogę rozmyślał o zdradzie Jureema, który odjechał gdzieś w noc, i o źle wróżących wydarzeniach w kręgu Siedmiu Kamieni. Jedno i drugie nie dawało mu spokoju, niemniej Raj Ahten i tak uważał, że na razie musi uporać się z ważniejszymi sprawami. Musiał zdobyć Longmot i odzyskać dreny. Gdy już będzie miał je w ręku, zastanowi się nad wszystkim innym.

Jego ludzie sprawiali się w marszu na tyle dobrze, że mógł zarządzić pół godziny odpoczynku. Przystanęli w miasteczku Martin Krocc, by wojsko mogło przetrząsnąć domy i stodoły w poszukiwaniu jedzenia.

Wczesnym rankiem, gdy byli trzydzieści mil od Longmot, tropiciele zameldowali o kolumnie paruset rycerzy umykających przed jego armią. Jechali pod rozmaitymi proporcami.

Zapewne wolni rycerze z zamku Dreis i pobliskich włości. Kusiło, by ruszyć za nimi, ale Raj Ahten wiedział, że jego ludzie nie są zdolni do pościgu. Nie poganiał już ich tak bardzo i przez resztą drogi zarządzał co jakiś czas postój. O dziesiątej rano okrążyli ostatnie wzgórze i ujrzał odległy o dwie mile zamek Longmot.

Zwiadowcy wspięli się na wzgórze i zakrzyknęli, że generał Vishtimnu jeszcze nie nadciągnął. Jednak i to nie był powód do niepokoju. Z sześcioma tysiącami ludzi i olbrzymami Raj Ahten mógł blokować zamek do czasu przybycia posiłków. Co więcej, budowa machin oblężniczych była kwestią godzin, potem zostanie tylko ostrzeliwać Longmot i czekać.

Orden nie trudił się ustawieniem na dachach drewnianych osłon mających chronić przed pociskami katapult. Dla tkaczy płomieni byłoby to tylko ułatwienie, wręcz zaproszenie do podpalenia zamku.

Tak więc niebawem miało się zacząć bombardowanie, a skoro i tak szykowało się całodzienne oczekiwanie na posiłki, ludzie winni się czymś zająć - na przykład pracami ziemnymi oraz budową machin oblężniczych. Wkoło zamku pełno było kamiennych murków mogących dostarczyć tak amunicji, jak i budulca do umocnień. Niemniej Raj Ahten nie chciał wznosić pod Longmot całego miasta, wolałby uniknąć długotrwałego oblężenia.

Wiedział, że im dłużej będzie tu obozował, tym więcej czasu da królom Rofehawanu na zebranie sił do kontrataku, a wtedy najsilniejsze nawet fortyfikacje mu nie pomogą. Musi zatem wybrać inne rozwiązanie.

Dostępne zresztą, szczególnie z tyłoma Niezwyciężonymi pod bokiem. Do dyspozycji miał oręż i zwykły, i magiczny. Zapłacisz za swoje wścibstwo, królu Ordenie, pomyślał Wilk.

Nim jutro wstanie świt, wykurzę cię z tej nory!

Żołnierze przewrócili zatem część wozów, by posłużyły za prowizoryczne przedpiersie, namioty zaś ustawili na wzgórzu na południe od Longmot i tak zaczęło się to oblężenie. Wystawiono posterunki na wszystkich drogach wiodących do zamku, trzy tysiące

łuczników i kopijników zajęło pozycje na polach. Kolejne pięć setek ludzi w towarzystwie olbrzymów Wilk pchnął na zachodnie wzgórze, by ścinałi wysokie sosny do budowy drabin i taranów.

Raj Ahten kazał rozpakować balon obserwacyjny. Gdy przywiązano kosz do niskiego drzewa, wezwał tkaczy płomieni, by napełnili powłokę gorącym powietrzem. Reszcie swoich ludzi pozwolił się posilić i odpocząć. Sam przysiadł na obciążonych purpurowym jedwabiem poduszkach w cieniu wielkiego dębu rosnącego samotnie na stoku, trzydzieści stóp od wozu darczyńców. Zajadał daktyle i ryż i przyglądał się fortyfikacjom Longmot.

Na murach doliczył się tylko czterech tysięcy ludzi, na dodatek była to radosna i czysto przypadkowa zbieranina szlachty, młodzików z miasta i zwykłych chamów.

Czarnoksiężnika Binnesmana z nimi nie było. Podobnie Jureema.

„Król nadchodzi, król, który cię zniszczy!” - te słowa czarnoksiężnika wciąż dźwięczały mu w uszach. Orden w połyskliwych zielonych aksamitach, ze złotą tarczą. Król jednego z najpotężniejszych narodów świata. Budził szacunek. Dla kogoś takiego ludzie gotowi byli walczyć jak szaleni. Takie bitwy opiewano potem w pieśniach. A jeśli Raj Ahten miał rację, to Orden był na dodatek Królem Ziemi.

Chociaż nie przerażał Wilka widok żołnierzy na murach, coś jednak nie dawało mu spokoju. Byli dziwnie ustawieni. Przyjrzał się dokładnie ludziom, orężowi i zbrojom. Nie dostrzegł niepokoju na ich twarzach, zauważył za to, że ci bez zbroi zostali rozstawieni pomiędzy pancernymi. Wyraźnie tworzyli zwarte oddziały: uzbrojeni w broń białą z przodu, łucznicy z tyłu.

W zasadzie nic nie uzasadniało jego niepokoju.

Fosa była o tej porze roku pełna zatechłej, zgniłej wody. Jedna wylęgarnia komarów i wszelkich chorób. Na powierzchni unosił się jakiś trup. Wprawdzie to była tylko stojąca woda, ale z wcześniejszych pomiarów Raj Ahten wiedział, że mimo to bardzo głęboka - około czterdziestu stóp. Za głęboka, aby mineryzy mogli się łatwo podkopać pod fundamenty zamku.

Jeszcze w zeszłym tygodniu było tu podzámce, małe miasto liczące pięć tysięcy dusz. Przez pokolenia budynki podeszły na odległość strzału z łuku pod mury zamku. Za domami można by było ukryć maszyny oblężnicze, miotać stamtąd pociski ponad blankami. Ale żołnierze Ordena mieli dość oleju w głowie, by spalić miasto i oczyścić przedpole przed bitwą.

Nie, tego zamku nie da się zdobyć z marszu, szczególnie teraz, gdy cztery albo i pięć tysięcy ludzi stoi na murach, a kolejni kryją się zapewne na dziedzińcach i w wieżach. Na dodatek twierdza była dobrze uzbrojona, Raj Ahten sam widział stosy strzał zgromadzone w zbrojowni.

Westchnął. Gdyby przeciągnął oblężenie przez zimę, obrońcy musieliby spalić część strzał, by się ogrzać. Ale przecież nie mógł tu tkwić aż tak długo.

Do południa została tylko godzina. Generał Vishtimnu wciąż się nie pokazywał, ale gotowe było

już pierwsze sześć katapult. Żołnierze zanieśli na wzgórze około stu prymitywnych drabin i złożyli je tam razem.

Dalekowidzący w koszu balonu nie dostrzegli wielu ludzi w murach zamku.

Zdecydowana większość tkwiła na blankach, chociaż było jeszcze kilkuset konnych czekających w siodłach na dziedzińcu za bramą. Nie wypatrzyli śladu mieszkańców miasta, chyba że kryli się wszyscy w Warowni Darczyńców, strzeżonej przez dwustu doborowych gwardzistów Ordenu. Możliwe, że Orden wydrenował kilkuset mieszczan z darów i schował ich w warowni. Chociaż... nie była aż tak duża, by pomieścić wielkie tłumy.

To była dobra wiadomość. Orden wprawdzie przejął dreny, ale nie miał dość ludzi, by zrobić z całego tego bogactwa użytek. A to znaczyło, że wciąż musiały się znajdować w zamku. Nietknięte.

Z tych, które Raj Ahten zabrał ze sobą do zamku Sylvarresta, zostało już ledwie czterysta.

Wezwał darmistrzów i przejrzał swoje zasoby. Większość drenów była obecnie bezużyteczna, służyły bowiem tylko do przenoszenia darów zmysłów. A lepszego węchu, słuchu czy dotyku obecnie nie potrzebował.

Większość drenów z runami znaczniejszych atrybutów wykorzystał w zamku Sylvarresta. Nie został ani jeden ze znakiem zwinności, chociaż było wiele z symbolem rozumu.

Wilk zdumiał się, znajdując tylko dwanaście drenów z runami metabolizmu.

Pożałował, że nie wziął ich więcej. Zamyślił się, coraz mniej pewny swego losu.

Tkaczka płomieni wejrzała w przyszłość i ostrzegła go, że zginie w Heredonie z ręki jakiegoś króla. Sylvarrestę już złamał, został zatem Orden.

Który bez wątpienia nabrał wiele darów metabolizmu. Władca Runów jego postury nie potrzebował więcej krzepy, zwinności ani rozumu. Owszem, nieco sił życiowych mogło przydać się w walce, ale tym, co dałoby mu największą szansę na pokonanie Raja Ahtena, mógł być tylko metabolizm.

Ale ile tego przyjął? Dwadzieścia darów? Kalendarzowe liczył około trzydziestu pięciu lat, ale po założeniu rodziny przyjął jeden dar metabolizmu, skutkiem czego biologicznie miał z dziesięć lat więcej. Nawet tuzin darów sił życiowych nie mógł

zniwelować w pełni efektów przyspieszonego starzenia się organizmu, pomagał sobie zatem jeszcze darami krzepy, zwinności i rozumu. W ten sposób dłużej zachowywał względną młodość.

Szpiedzy Raja Ahtena już lata temu donieśli, że Orden ma co najmniej sto darów.

Ile było ich jeszcze ponad tę setkę, Wilk mógł się tylko domyślać.

Tak czy owak, Orden był godnym przeciwnikiem.

Ile darów metabolizmu przyjął? Pięć? Nie, to za mało. Pięćdziesiąt? Jeśli tak, to jest już prawie martwy, umrze w ciągu roku. Wówczas Raj Ahten mógłby darować sobie walkę. Starczyłoby wycofać się z wojskiem na zimę, a wiosną Orden byłby już zdzieciniałym starcem.

Podobno w czasach Harridana Wielkiego posłaniec Marcoriaus tak bardzo chciał dostarczyć jak najrychlej wieści o bliskiej już bitwie pod Polypolusem, że przyjął aż sto darów metabolizmu, dzięki czemu przebiegł przez Morze Carolla. Gnał tak szybko, że nie zapadał się w wodę. Zmarł w przeciągu trzech miesięcy, oczywiście.

Jednak perspektywa tak wielkiej szybkości wciąż kusila niejednego, chociaż było to nader niebezpieczne. Ruszając zbyt gwałtownie z miejsca, można było złamać nogą, tak olbrzymie siły działały wówczas na ciało. Aby w pełni zapanować nad swoimi ruchami, aby się tego nauczyć, trzeba było mieć jeszcze sporo darów rozumu i zwinności.

Orden miał i jedno, i drugie, a teraz przyspieszył jeszcze swoją przemianę, materii.

Musiał zatem przyjąć od dziesięciu do dwudziestu darów metabolizmu. Tak przynajmniej szacował Wilk.

Musiał się z nim zrównać.

Ostatecznie mogę przyjąć te dary, a potem zabić moich darczyńców, pomyślał.

Robił już tak wcześniej, chociaż dla utrzymania morale wojsk zawsze pilnował, żeby nie zostawiać świadków.

- Wezwij dwunastu Niezwycięzonych z wieloma darami metabolizmu - polecił Hepolusowi, swemu naczelnemu darmistrzowi. - Są mi potrzebni.

Darmistrze wyszli z namiotu i wrócili po kilku chwilach z Niezwycięzonymi - elitą gwardzistów i zabójców. Każdy miał co najmniej trzy dary metabolizmu. Wszyscy byli rośli, grubokościści, przez co i dary krzepy nie były dla nich problemem. Dość mieli również rozumu i sprawności. Wilk wiedział, że będzie mu ich potem bardzo brakować.

Znał ich wszystkich. Najmniej ceniał Salima al Dauba, dawnego strażnika zamkowego wyniesionego kilka szczebli ponad swój dawny status, chociaż zawiódł, niestety, jako zabójca. Dwakroć wyruszał po życie księcia Ordenu i dwakroć wracał pokonany, jedynie z uszami kobiet i dzieci.

- Dzięki za przybycie, przyjaciele - powiedział Wilk, podjąwszy decyzję. - Służyliście mi dzielnie przez wiele lat. Teraz proszę was, byście oddali mi jeszcze jedną przysługę. Potrzebuję waszego metabolizmu. Ciebie, przyjacielu Salim, spotka ten zaszczyt, że posłużysz za pośrednika. - Przemawiał płynnie, a słuchacze przyjmowali jego słowa z rozkoszą, jakby łykali kandyzowane daktyle. Byli bezbronni wobec mocy jego Głosu. Darmistrze wyjęli dreny.

Zimny wiatr z południa targał jedwabnymi ścianami namiotu Raja Ahtena.

42

ZIMNY WIATR

Od strony wielkiego i purpurowego, monarszego namiotu, w którym skrył się Raj Ahten, dobiegały do uszu Ordenu śpiewy darczyńców. Tłumił je zimny wiatr i szelest liści, tak że mało kto na murach mógł cokolwiek dosłyszeć, a nawet Orden musiał się skupić. Las szumiał jak falujące morze.

- Co ich napadło? - spytał stojący na murze chłopak, syn gospodarza, co to nic nie wiedział o wojnie, choć stawał do boju w roli łucznika. Czekali tak już od godziny, a Raj Ahten nie spróbował nawet wysłać parlamentariusza. Z drugiej strony nie szykował się również do ataku.

Król Orden zaczął przechadzać się po murach. Mijał ludzi stojących ciasno, ramię w ramię, na czterech głęboko. Z coraz większym niepokojem patrzył, jak Wilk szykuje się do oblężenia, jak rozmieszcza oddziały.

- Nie podoba mi się ten śpiew - szepnął Ordenowi do ucha kapitan Holmon. - Raj Ahten i bez tego ma dość darów. Jeśli już mamy walczyć, to lepiej teraz, nim dostanie posiłki.

- Ale jak? - spytał Orden. - Po prostu uderzyć na niego?

- Zawsze możemy sprowokować tego starego psa do walki. Orden skinął głową.

- No to zadmij w róg, Holmonie. Wezwij Raja Ahtena do układów. Niech podejdzie bliżej, niech stanie w zasięgu naszych łuków.

43

ISKRA

Darmistrze Raja Ahtena zdążyli przekazać Salimowi dary metabolizmu od dziewięciu ludzi, gdy na zewnątrz rozległo się granie rogu. Wezwanie do układów.

Darmistrze spojrzeli wyczekująco na Wilka.

- Dokończcie - polecił naczelnemu, Hepolusowi. Siedział na poduszkach, bez zbroi, gotów przyjąć zespolone dary.

Z rosnącym podnieceniem nasłuchiwał znajomego śpiewu. Salim krzyknął z bólu, gdy rozgrzany do białości dren wypalił ślad na jego skórze. Rozszedł się odór palonych włosów, zaskwierczał tłuszcz.

Przyjmowanie daru sprawiało niewysłowioną rozkosz. Było to tak, jakby kochać się z przepiękną kobietą. Ale przyjmowanie darów od kogoś, kto wcześniej sam wiele ich nagromadził, prowadziło do ekstazy. Przejawszy je od jedenastu ludzi, z których wszyscy mieli własne pomnożone atrybuty, Salim dysponował blisko czterdziestoma darami metabolizmu, czekającymi tylko, aby wlać się gwałtownie w ciało Raja Ahtena.

Wilk rzadko zaznawał równie wielkiej przyjemności.

Zanim darmistrz odsunął dren od Salima, Raj Ahten aż spocił się z wrażenia.

Hepolus uniósł powoli jaśniejącą końcówkę i tanecznym krokiem przemierzył namiot. W powietrzu za nim drżała kręta wstęga siarczanego blasku.

Gdy dren dotknął skóry Wilka pod sutkiem, ten zadrżał z rozkoszy. Rozkoszy niemal nie do niesienia. Miotany spazmami upadł na podłogę i krzyknął jak w orgazmie.

Tylko mnogości darów sił życiowych zawdzięczał przetrwanie, ale i tak zamroczyło go na kilka długich chwil.

Gdy się ocknął, darmistrz klęczał przy nim cały w nerwach. Mokry od potu Raj Ahten wciąż drżał. Spojrzał na swoich ludzi.

- Dobrze się czujesz, panie? - spytał darmistrz Hepolus. Mówił niewyraźnie i powoli, jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Cały świat wyglądał osobliwie, trochę jak fragment leniwie płynącego snu. Ludzie poruszali się w zwolnionym tempie, powietrze było gęste, ciężkie jak przed potężną burzą.

Raj Ahten otarł pot z twarzy. Uważał przy tym, by nie poruszać się zbyt energicznie.

Dawno temu poznał już, co przybór darów metabolizmu robi ze słuchem. Nie tylko ludzka mowa stawała się powolniejsza, wszystkie dźwięki brzmiały inaczej.

Wysokie tony słyszało się niżej, podczas gdy niskie były prawie niesłyszalne. Powiedzenie czegoś tak, aby inni zrozumieli, wymagało zarówno cierpliwości, jak i panowania nad głosem.

- Nic mi nie jest - odparł Wilk, wolno i wyraźnie wymawiając słowa.

Darczyńcy rozejrzeli się dokoła, wolno jak zmęczeni starcy.

Wilk wskazał na Salima, który leżał na dywanie.

- Zanieście mego pośrednika do wozu darczyńców. Rozstawcie strażę, by strzegły pozostałych. Raj Ahten miał teraz czterdzieści dwa dary metabolizmu. Idąc normalnym krokiem, normalnym dla niego, oczywiście, pokonałby w godzinę ponad sto czterdzieści mil.

W nieruchomym powietrzu brnąłby przy tym jak pod huraganowy wiatr.

Spowalniając swe ruchy, nałożył zbroję i hełm. Gdy zapinał pasek, poruszył się przypadkiem zbyt szybko i złamał mały palec u lewej dłoni. Palec zrósł się momentalnie, ale groteskowo zgięty. Raj Ahten złamał go ponownie, nastawił i poczekał chwilę, aż znów się wygoi, po czym, starając się wyglądać zwyczajnie, wyszedł niespiesznym krokiem przed namiot.

Na wieży bramnej ludzie króla Ordenu powiewali zieloną flagą. Parlamentariusze.

Pomiędzy dwoma olbrzymami czekało w siodłach jedenastu Niezwycięzonych, straż honorowa Wilka. Pieszy trzymał dwunastego konia dla Raja Ahtena.

Wilk wskoczył na siodło, skinął na tkaczy płomieni, którzy czekali już na ten znak, i siedząc prosto niczym posąg, pogalopował ku bramom Longmot.

Dziwnie się czuł. Jak to w galopie, koń w każdym cyklu kroków unosi się na chwilę w powietrzu, ale tym razem każda z tych chwil ciągnęła się w nieskończoność, przez co spora część krótkiej jazdy wydawała się Wilkowi raczej lotem ponad przesuwaną się miarowo ziemią.

Po paru końskich krokach nad jego głową uformował się lśniący obłok, wynik uprzejmości tkaczy płomieni. Emanował złocistym blaskiem i co chwila strzelał

iskrami w barwie tytanowej bieli. Tak podświetlony, Wilk spojrział w szeroko otwarte oczy obrońców zaniku.

Robili wrażenie zaciętych i nader sceptycznych. Byli całkiem inni niż mieszczanie z zamku Sylvarresta. Ściskali mocno broń, a łucznicy nasadzili strzały na cięciwy i patrzyli chłodno, jakby obliczali szansę strzału.

- Ludu Longmot! - zawołał Raj Ahten, starając się, by słowa padały powoli i nie traciły mocy właściwej Głosowi. Chciał, aby uznali go za osobę rzeczową i pokojowo nastawioną.

Stojący na murze Orden zacisnął pięści.

- Strzelać! - krzyknął.

W zwolnionym tempie runął z góry cały deszcz, czarna ściana strzał i stalowych pocisków z kusz i balist.

Raj Ahten czekał, siedząc nieruchomo w siodle. Nie chciał zdradzać się przedwcześnie, a strzały i tak mógł w razie potrzeby odbić lub się przed nimi uchylić.

Pociski opadały coraz niżej. Wilk rozejrzał się na boki. Jego rycerze unieśli tarcze. Byli wyraźnie poruszeni tym aktem barbarzyństwa.

Nie miał czasu ich ratować.

Pierwsza strzała gnała wprost na niego. Wyciągnął ramię, by ją po prostu złapać, ale siła, z jaką zderżyły się strzała i dłoń, była tak wielka, że pękła brzechwa i grot poleciał dalej, ku piersi wodza, który musiał łapać go osobno. I bardzo szybko.

W tejże chwili deszcz pocisków i strzał spadł na jego gwardzistów. Z fatalnym skutkiem. Wielki, stalowy bełt z balisty zmiotł z siodła rycerza tuż obok i Wilk musiał

unieść swą małą tarczę, aby odbić kolejne pociski, lecące ze świstem w jego kierunku.

Jeden trafił w szczelinę pomiędzy płytami końskiej zbroi. Wbił się zwierzęciu pod żebra. Wierzchowiec zachwiał się, wpadł na krzak ostu i zaczął się osuwać na ziemię. Raj Ahten nagle znalazł się w powietrzu. Leciał pozornie wolno i nadal wyłapywał

wymierzone weń strzały. Obracał się tak, by pozostałe trafiały i łamały się na płytach zbroi, omijając miejsca chronione jedynie kolczugą.

Był silny, ale nawet w tym stanie nie mógł się przeciwstawić impetowi, jaki nadał mu koński galop. Gdy wierzchowiec upadł, Raj Ahten przeleciał, głową naprzód, ponad jego łbem.

Wiedział, że nawet jeśli nie roztrzaska sobie czaszki, to padający za nim koń może go zmiążyć. Wysunął zatem ręce przed siebie, odepchnął się lekko od ziemi, wylądował łagodnie, pod kątem, i przetoczył się po trawie, byle dalej od rumaka.

Udało mu się, ale za cenę dwóch strzał, które trafiły go w tej krótkiej chwili.

Jedna wbiła się przy obojczyku, tuż ponad krawędzią napierśnika, druga wgrzyła się w udo.

Raj Ahten odpełził od wierzgającego konia i spojrział na obrońców na murach.

Wyciągnął strzałę z uda i cisnął ją z powrotem w kierunku zamku.

Kiedy jednak złapał drugą, tkwiącą przy obojczyku, brzechwa pękła na pół.

Spojrział zdumiony na jej końcówkę z lotkami. Strzała nie powinna łamać się tak łatwo. Zaraz jednak pojął, że ta akurat została wydrążona i dodatkowo ponacinana. Ona miała pęknąć. Szybko się domyślił dlaczego, a po chwili przyszło potwierdzenie. Poczł, że do klatki

piersiowej sączy mu się silna trucizna, zbliżająca się złowrogimi mackami do serca.

Zerknął uważnie na blanki i dojrzał pewnego żołnierza stojącego sto stóp wyżej - mężczyznę o pociągłej twarzy, z żółtymi zębami, w kaftanie ze świńskiej skóry.

Strzelec podrzucił łuk i krzyczał radośnie, że zabił Wilka z Indhopalu.

Gdy pierwsza fala pocisków już spadła i nastąpiła chwila względnej ciszy, Raj Ahten wyciągnął sztylet z pochwy. Rana w piersi bolała coraz bardziej, trucizna przenikała do krwi tak szybko, że Raj Ahten nie wiedział, czy nawet jego tysiąc darów sił życiowych zdoła zapobiec najgorszemu.

Miejsce wniknięcia grotu przy obojczyku już się zbliżyło, kryjąc pocisk. Wilk szybkimi ruchami rozciął skórę i wyciągnął ułamany fragment strzały. Gdy skończył, ze śmiertelną celnością cisnął sztyletem w szczęśliwego łucznika.

Obrócił się i powoli ruszył z powrotem. Wolał nie czekać na kolejne strzały, nie oglądał się też, przez co nie widział, jak sztylet trafia żołnierza w czoło i strąca go z murów.

Starczyło mu, że słyszał krzyk umierającego.

Przebiegł ze sto jardów po trawie. Trucizna sprawiła, że czuł się wyczerpany, ledwie unosił stopy. Najpierw jedna, potem druga... Oddychał wolniej, z wysiłkiem.

Obawiał się uduszenia. Strzała trafiła blisko płuc i wniknęła głęboko, a że rana od razu się zagoiła i nie było krwawienia, jad nie mógł wypłynąć na zewnątrz.

Każdy krok stawiał z olbrzymim wysiłkiem. W końcu upadł. Rana bolała straszliwie, rwała i paliła. Czuł, jak trucizna dociera do serca, ogarnia je, ściska niczym potężną pięścią.

Wyciągnął rękę ku swoim. Błagał o pomoc, o uzdrowicieli. Miał tu lekarzy, by o niego dbali, miał zielarzy i chirurgów, jednak żył obecnie w tak olbrzymim tempie, że chwila ciągnęła mu się godzinami. Mógł paść na długo przed przybyciem zielarza.

Serce biło mu nieregularnie, z wysiłkiem. Ciężko walczył o każdy oddech. Ze swoimi darami słuchu słyszał wyraźnie, co się dzieje w jego słabnącym sercu. Przycisnął głowę do ziemi i usłyszał również szmery ryjących pod murawą robaków.

Serce stanęło.

W nagłej ciszy robacze krzątanie zabrzmiało jeszcze głośniejsze. Jedyne odgłosy tego świata. Raj Ahten zapragnął, żeby jego serce poruszyło się znowu. Chciał, żeby ruszyło.

Bij, na Moce, bij...

Próbował złapać choć haust powietrza. W desperacji uderzył się w okrytą żelazem pierś.

Serce drgnęło. Uderzyło raz. Słabo, nieśmiało. I zaczęło spazmatycznie łopotać.

Raj Ahten skoncentrował się. Serce znów uderzyło, tym razem mocniej. Chwilę później ponownie. Płuca wypełniły się nagle powietrzem.

Wilki krzyknęły niemal bezgłośnie. Chciałyby, aby jego darmistrze w odległych krajach wyposażyli go w więcej sił życiowych, żeby mógł znieść tę torturę. „Król nadchodzi!”, przypłynęło gdzieś z głębin pamięci. „Król, który cię zabije!” Ale nie tak, błagał wszystkie Moce. Nie chcę ginąć tak podłą śmiercią.

Nagle ucisk wokół serca zmałał. Zaczęło energicznie tłoczyć krew i Raj Ahten oddał mocz w zbroi, nie panując nad pęcherzem. Niemniej poczuł ulgę. Organizm pozbywał się trucizny.

Leżał na trawie, a ból powoli ustępował. Dla niego trwało to długie chwile, chociaż dla łuczników na murach minęło co najwyżej parę uderzeń serca.

Pozbierał się na nogi i chwiejnie ruszył ku swoim oddziałom. Skrył się za olbrzymem i padł na kolana.

Obejrzał się. Paru Nieśmiertelnych z eskorty próbowało ująć spod ostrzału, ale nawet uniesione

wysoko tarcze nie na wiele im się zdały. Łucznicy na murach naszpikowali ich w końcu grotami.

Raj Ahten poczuł, jak ogarnia go wielka i ślepa wściekłość. Ledwie ją stłumił.

Wiedział, że śmierć tych ludzi nic by mu nie przyniosła. Dysząc ciężko, stanął poza zasięgiem ich łuków.

- Dzielni rycerze, panowie bez czci! - krzyknął w kierunku zamku. - Przybywam w tych ciężkich czasach jako wasz przyjaciel i sojusznik! Nie jestem wam wrogiem!

Użył całej mocy Głosu, bo przecież ci ludzie widzieli, że został ranny, a jedenastu najlepszych jego rycerzy umierało na polu. Mimo to i mimo odległości Głos powinien zachwiać ich wolą walki.

- Przybądź do mnie, królu Ordenu! - ciągnął rzeczowo. - Naradźmy się razem!

Wiesz bez wątpienia, że zdąża ku nam wielka armia! Może nawet widzisz ją już z tych wysokich murów?! - Miał nadzieję, że Vishtimnu jest blisko. Może widok jego oddziałów napędzi Ordenowi trochę strachu. - Nie możecie mnie pokonać! - zawołał głosem tak czułym, że aż słodkim. - Ale nie żywię do was złości! Rzućcie broń! Otwórzcie bramy! Bądźcie mymi poddanymi! Zostanę waszym królem, a wy moim ludem!

Zamarł w oczekiwaniu, pewien, że twierdza zaraz się podda, jak wcześniej miasto Sylvarresta. Czekał tak długą chwilę, nim coś zaczęło się dziać. Nie to jednak, czego się spodziewał.

Tylko kilkudziesięciu młodzików rzuciło broń z murów. Piki i łuki zagrzechotały na kamieniach, plusnęły do fosy. Zaraz za nimi jednak polecieci ci, którzy dobrowolnie się rozbroili. Twardzi rycerze pozbyli się małych duchem towarzyszy. Ich ciała roztrzaskały się o mury.

Na wieży bramnej stanął wielki mąż niedźwiedziej postury i splunął, jak mógł daleko, a plwocina doleciała aż do konających wojowników Raja Ahtena. Ludzie Ordenu wybuchnęli śmiechem i zaczęli potrząsać bronią.

Raj Ahten siadł w podmuchach zimnego wiatru i zazgrzytał zębami. Przemówił do nich tak samo jak pod Sylvarrestą, z jakże jednak odmiennym, zaskakującym efektem.

Może to wina przyspieszenia metabolizmu, pomyślał. Może jednak mówił szybciej, niżby należało, bez właściwej intonacji. Za każdym razem, gdy przyjmuje się dar metabolizmu, trzeba od nowa uczyć się i mówić, i słyszeć.

Albo ubyło mu uroku osobistego. Stracił go wiele od czasu, gdy podchodził pod miasto Sylvarresta. Czuł śmierć diuszesy Longmot i ubytek wszystkich darów, które od niej uzyskał.

- Jak chcecie! - wrzasnął. - Jeśli tak, to zrobimy to po mojemu!

Jeśli Orden rzeczywiście próbował rozpać wściekłość Raja Ahtena, to mu się udało. Iskra padła na chrust.

Wilk walczył o odzyskanie panowania nad sobą i w końcu mu się to udało.

Wiedział, że obrońców czekają trudne chwile. Lepiej by było dla wszystkich, gdyby załoga poddała się teraz. Zdobył już setkę zamków, wiele równie warownych jak ten tutaj. Miał wprawę w tej sztuce.

Poprzysiągł sobie, że przykładnie ukaże tego nad miarę hardego Ordenu. Stanął przed swoim wojskiem, uniósł wysoko młot i opuścił go zdecydowanym ruchem.

Katapulty wyrzuciły pierwszą salwę kamieni. Te mniejsze zniknęły za murami, cięższe uderzyły w blanki. Dwóch rzeźmieszaków Ordenu spadło z murów.

Król odpowiedział całą artylerią zamku, która składała się z sześciu katapult i czterech balist. Katapulty wyrzucały małe, żelazne pociski, które spadały całą chmarą.

Tyle że za

krótko - pięć jardów przed oblegającymi. Orden powinien naładować je czymś lżejszym.

Z balistami jednak wyszło całkiem inaczej. Nie opuszczając dotąd Południa, Raj Ahten nie

widział nigdy balisty zbudowanej z heredońskiej stali. Była to sprężysta stal wynaleziona niegdyś, po długich latach pracy, przez czarnoksiężników ziemi, metalurgów z Bannisferre i Ironon. Salwa ciemnych pocisków runęła z murów zamku i Wilk mógł tylko patrzeć z zaskoczeniem, jak wielkie bełty sieją spustoszenie wśród jego ludzi.

Jeden z żelaznych grotów mknął prosto na niego. Raj Ahten uchylił się, ale zaraz usłyszał, jak pocisk wbija się z ohydny odgłosem w kogoś stojącego z tyłu.

Obrócił się. Na ziemi siedział tkacz płomieni, w miejscu jego pępka ziała dziura wielkości grejpfruta. Szafranowa szata młodzieńca buchnęła nagle białym płomieniem. Jego moc wymykała się spod kontroli.

- Wycofać się! - krzyknął Raj Ahten. Trzeba było poszukać ukrycia. I to szybko.

Wilk pogonił na wzgórze i wtedy tkacz płomieni gwałtownie przemienił się w wielką postać utkaną z czystego żywiołu, który jak robak drażył dotąd jego duszę, a teraz wymykał się na świat.

Smukła, łysa sylwetka urosła na sto stóp. Na razie siedziała na ziemi. Płomienie lizały czaszkę i wiły się jak gniazdo węży. Postać spojrzała niepewnie na Longmot.

Raj Ahten obserwował rozwój wydarzeń. Żywioł winien zebrać teraz krwawe żniwo, zburzyć kamienne mury, spalić bramę, upiec żywcem obrońców, niczym robaki na patelni. Jak w zamku Sylvarresta.

Niemniej i tak wśród jego odczuć dominowało rozczarowanie. Przez lata troszczył się o tkaczy płomieni, a teraz, ledwie zaczął tę kampanię, dwoje już zginęło. Beznadziejne marnotrawstwo środków bojowych. Mógł już tylko czekać w nadziei, że żywioł zrobi swoje, a jemu zostanie posprzątać.

Piekło płomieni zaczęło ogarniać trawę u stóp postaci, gorąco buchało jak z pieca, sięgając aż do Raja Ahtena. Płuca pękały mu z bólu przy każdym oddechu.

Balon na ogrzane powietrze, który wisiał wciąż pięćset stóp nad polem bitwy, został w porę odciągnięty. Powłoka nie zdążyła się zająć, a postać ruszyła przez łąkę ku miastu. Ludzie na murach strzelali w panice z łuków, ale maleńkie strzały znikały spopielone niczym spadające gwiazdy. Nie mogły zranić żywiołu, a jedynie go podsycaly.

Ognista postać maga podeszła do najbliższego drewnianego obiektu, którym był zwodzony most Longmot. Płomieniste zielone palce wysunęły się ku niemu, rozległ się trzask pękających belek, sypnęło iskrami. Żołnierze na murach cofnęli się błyskawicznie przed żywiołem, ludzie Raja Ahtena zaczęli wiwatować, chociaż ich wódz tylko uśmiechnął się ponuro.

Nagle z rzygaczy i gargulców pod blankami, z machikuł nad bramą trysnęła woda.

Ogarnęła kamienie falą, mury zalśniły intensywną, wilgotną szarością. Unosząc się samorzutnie z fosy, otoczyła zamek dodatkowym, chłodnym murem. W zetknięciu z nią żywioł ognia zamieniał się w parę, kurczył się i znikał.

Raj Ahten nie posiadał się ze zdumienia, chociaż w środku cały się gotował.

- Zakłęcie wodnego czarnoksiężnika! - krzyknął jeden z tkaczy płomieni. Wyglądało na to, że zamek obwarowano też magią wodną. Tego nikt nie oczekiwał, bo przecież w Heredonie nie było nigdy wodnych czarnoksiężników. W każdym razie Raj Ahten o żadnym nie słyszał.

Zastanowił się. Takie zakłęcie ochronne działało nie dłużej niż rok. Nakładając je, należało wyryć stosowny symbol na murze ponad bramą. Wilk był tam cztery dni wcześniej i nie widział żadnego znaku ni runu.

W końcu spojrzał na blanki nad mostem: na samym szczycie wieży bramnej stał

Orden i przykładał swą złotą tarczę do kamieni. To ona została naznaczona magią.

W połączeniu z murami chroniła cały zamek.

Wściekłość wykrzywiła oblicze Wilka. Żywioł tkacza płomieni skręcał się pod uderzeniami wody. Zawodził i kulił się niczym krzywdzone dziecko, aż w końcu zmienił się w zwykły ogień trawiący łąkę. Jednak i on szybko wygasł.

Raja Ahtena ogarnęła bezsilna, szalona złość.

I wtedy właśnie od zachodu, z lasu porastającego wzgórze wyjechał na koniu Raja Ahtena czarnoksiężnik Binnesman. Kierował się dokładnie pomiędzy zamek i armię Wilka.

44

CZARNOKSIEŻNIK BINNESMAN

Król Orden przycisnął złotą tarczę do piersi. Zabrał ją jako podarunek dla Sylvarresty, chciał mu ją wręczyć w dniu zaręczyn ich dzieci. Zakłęcie miało chronić zamek Sylvarresta. Teraz uratowało Longmot.

Tarcza jednak stała się bezużyteczna. Uszła z niej magiczna moc i mogła co najwyżej odbijać strzały.

Orden przeklął się pod nosem. Gdy Raj Ahten padł, trafiony strzałą, król zawahał się, a przecież mógł wówczas nakazać atak, dopaść Wilka i uciąć mu głowę. Miast tego czekał, licząc, że trucizna sama go zabije, i sposobna chwila minęła.

A teraz jeszcze to.

Orden przyjrzał się galopującemu po zielonej trawie zielarzowi i jego wielkiemu rumakowi. Zdumiał się. Strażnicy Ziemi rzadko mieszały się w sprawy ludzi, jednak ten tutaj wydawał się dość nierozgarnięty, by próbować przerwać wojnę.

Król nie widział Binnesmana ledwie rok, zaskoczyły go więc zmiany w wyglądzie czarnoksiężnika. Nosił szaty w barwach jesiennej puszczy: szkarłatne, z domieszkami jasnego brązu i złota. Ciemne włosy były teraz szarawe jak lód, lecz przestał się garbić. Wyglądał na znacznie starszego, a jednak pełnego życia.

Na polu przed nim stali Niezwyciężeni i tysiące łuczników, do tego zastępy olbrzymów w zbrojach oraz mastiffy w skórzanych maskach i kolczastych obrożach.

Binnesman podjechał do bram zamku.

Orden czuł wypełniającą go energię, energię jakby uśpioną, czekającą na stosowną chwilę. Dwudziestu jeden wojowników, całe ciało węża, kryło się w rozmaitych piwnicach, schowkach i komnatach zamku Longmot. Wszyscy skuleni, w zbroi i z orężem pod ręką, gotowali się na chwilę, gdy Orden skorzysta z ich darów metabolizmu. Król czuł, jak ten potencjał przepływa przez niego, jak burzy mu krew, doprowadzają na skraj wrzenia.

Po drugiej stronie pola ludzie Ahtena kryli się pod drzewami, zdumieni przebiegiem bitwy. Sam Wilk ruszył ku Binnesmanowi. Poruszał się błyskawicznie, bardziej jak rozmazane widmo niż człowiek.

- Raju Ahtenie! - zagrział Binnesman, unosząc głowę. Spojrzał na Wilka spod krzaczastych brwi. - Dlaczego z uporem atakujesz tych ludzi?!

- To nie twoja sprawa, Strażniku Ziemi - odparł spokojnie Raj Ahten.

- Wręcz przeciwnie. Całą noc jechałem przez Mroczną Puszczę, słuchałem głosów drzew i ptaków. Wiesz, czego się dowiedziałem? One rozmawiały o tobie.

Wilk wysunął się sto jardów do przodu - wciąż był poza zasięgiem łatwego strzału i z armią za plecami.

- Orden ma moje dreny - powiedział, jakby to właśnie była odpowiedź na pytanie zielarza. - Chcę je z powrotem!

Dźwięk poniósł się daleko nad polami. Orden ledwo własnym uszom wierzył, że słyszy Wilka na tak wielką odległość.

Stary czarnoksiężnik uśmiechnął się i usiadł wygodnie w siodle, jakby chciał odpocząć. Na błoniach na skraju pola stała trójka tkaczy płomieni. Wszyscy byli wyraźnie wzburzeni, ogień w nich buzował, paląc szaty i strzelając wkoło żółtymi, czerwonymi i błękitnymi płomieniami.

- A dlaczego się upierasz, że wszystkie dreny na ziemi muszą należeć właśnie do ciebie? - spytał Binnesman.

- Te zrobiono z rudy wydobytej w moich kopalniach - stwierdził Raj Ahten, podchodząc jeszcze bliżej. Znów był uwodzicielsko piękny. - I to moi niewolnicy wykopali rudę.

- Z tego, co pamiętam, te kopalnie należały do sułtana Hadwaru. Przynajmniej do czasu, gdy poderżnąłeś mu gardło. Niewolnicy zaś... Zanim ich pojmałeś, byli czyimiś synami i córkami. Nawet do krwawego metalu nie możesz zgłaszać pretensji, bo to pradawne szczątki twych przodków, którzy zginęli wieki temu w strasznej rzezi.

- A jednak to wszystko moje - powiedział łagodnie Wilk. - I nikt mi tego nie odbierze.

- Jakim prawem twoje? Całą ziemię uważasz za swoją własność, a przecież jesteś tylko zwykłym śmiertelnikiem. Czy dopiero śmierć zmusi cię, byś pojął, że tak naprawdę niczego nie posiadasz? Bo nie posiadasz. To ziemia cię piastuje, dzień w dzień, przy każdym oddechu! Jesteś związany z nią równie mocno jak twoi niewolnicy przykuci do kopalnianych ścian. Uznaj jej władzę nad sobą! - Binnesman westchnął i spojrzał w górę, na króla Ordena. - I co powiesz, królu? Uważam cię za rozsądnego. Czy dasz Rajowi Ahtenowi dreny, by skończyć z tą awanturą? - Oczy mu się śmiały, jakby oczekiwał, że Orden wybuchnie wesołością.

- Nie - rzekł król. - Nie dam. Jeśli chce je mieć, musi mnie pokonać!

Binnesman cmoknął językiem niczym stara baba besztająca dziecko.

- Słyszałeś, Raju Ahtenie? Oto jest mąż, który śmie ci się przeciwstawić. I podejrzewam, że wygra...

- Nie ma ze mną szans - odparł z godnością Wilk, chociaż twarz poczerwieniała mu ze złości. - Kłamiesz.

- Ja? A po cóż miałbym kłamać?

- Chcesz wszystkich nas przekabacić, byśmy zaczęli służyć twojej sprawie.

- Naprawdę tak to widzisz? Życie, twoje czy moje, czy twoich wrogów, to skarb.

Ja cenię życie. Czy przekabacaniem nazywasz próbę uratowania twego nędznego żywota?

Raj Ahten nie odpowiedział, tylko tłumiąc gniew, przyjrzał się Binnesmanowi.

- Dwa razy już przed tobą stawałem - powiedział zielarz. - Ostrzegam cię po raz ostatni, Raju Ahtenie: zaniechaj tej bezsensownej wojny!

- Lepiej zejdź mi z drogi - warknął Wilk. - Nie powstrzymasz mnie.

Binnesman uśmiechnął się.

- Nie, nie powstrzymam. Ja nie. Ale inni owszem. Namaszczonego nowego Króla Ziemi.

Jego nie pokonasz.

- To może wspomóc ród Ordenów, ale nie ciebie.

- Nie przybyłem cię prosić, byś wsparł moją sprawę. Wiem, że tego nie uczynisz.

Ale słuchaj mnie uważnie, bo przemawiam w imieniu Mocy, której służę: Raju Ahtenie, ziemia, która cię zrodziła, ta ziemia, która troszczyła się o ciebie jak ojciec i matka, ta ziemia cię teraz odrzuca! Wyrzeka się ciebie i nie będzie cię więcej chronić. Przeklinam przeto grunt, po którym stąpasz, nie da ci już oparcia! Kamienie w ziemi staną ci się przeszkodą. Przeklęte będzie twe ciało,

kości i ścięga. Ramiona ci osłabną. Przeklęty będzie owoc twoich łądzwi, nie zostawisz potomstwa. Przekleci ci, którzy do ciebie przystaną, bo wszyscy podzielą twój los! Ostrzegam cię: opuść tę krainę!

Strażnik Ziemi przemawiał z takim przekonaniem, że Orden zaczął wypatrywać jakiegoś znaku, który potwierdziłby jego słowa. Jednak ani ziemia się nie zatrzęsała i nie połknęła Raja Ahtena, ani kamienie nie zaczęły spadać z nieba. Wszystko wyglądało tak samo jak zawsze pod jasno świecącym słońcem.

Orden wiedział jednak, że ziemia nie zabija. Nie niszczy. I że Binnesman nie może liczyć na wsparcie swej dzikiej, a brakuje mu mocy, by wywołać coś równie widowiskowego.

Niemniej z czasem klątwa czarnoksiężnika mogła dać widome efekty. Takie słowa nigdy nie ulatują z wiatrem. Stare matrony powiadały nawet, że to najsilniejsza postać magii.

Jeśli miały rację, to Raj Ahten już teraz zasługiwał na współczucie.

Na razie jednak nic się nie działo. Pozostało tylko ostrzec czarnoksiężnika.

- Binnesmanie, lepiej stąd odjedź! - krzyknął Orden. - Zrobiłeś, co mogłeś! Nie zapobiegiesz bitwie!

Zielarz odwrócił się i spojrzął na Ordena, a było w jego oczach tyle złości, że król aż cofnął się o krok. Binnesman pojął chyba w końcu, co się święci, bo skierował

konia na

zachód, ku Mrocznej Puszczy, i odjechał galopem.

45

PSI RYCERZ

Zamek Groverman stał na niewysokim, piaszczystym wzgórzu pośród Wrzosowisk Mangona, w łagodnym zakolu rzeki Wye. Nie był to ani najsilniejszy, ani największy zamek

Heredonu, ale nadjeżdżającej równiną Iomie wydawał się tego ranka najpiękniejszy.

Przepyszne wieże, szerokie bramy, dokoła wrzosy oraz żółty piaskowiec jaśniejący w blasku słońca niczym płynna skała.

Ioma, jej ojciec, Gaborn i troje Dzienników mknęli po wrzosach obok stad półdzikich koni i pierzchającego bydła.

Ioma znała to miejsce tylko z map, ksiąg i opowieści. Groverman jesienią i zimą zawsze przybywał do zamku jej ojca, nigdy jednak nie widziała jeszcze jego włości. Od wieków panowie zamku Groverman władali tymi ziemiami, zaopatrując Heredon w konie i wołowinę. Ojciec Iomy nie miał tak wielkich stajen jak tutejsze. Na zielonych brzegach Krętej Rzeki młode konie pasły się i swawoliły do woli, aż koniuszy brał je i wiódł do królewskich stajen, gdzie przedstawiał żrebaki układaczom.

Układacze ci mieli dary krzepy i metabolizmu, dzięki którym mogli zapanować nad każdym dzikim rumakiem. Żrebaki się ich bały, bały się ich aż tak, że bez sprzeciwów zostawały darczyńcami.

Zamek Groverman był niezwykle ważną dla Sylvarresty fortecą, gdyż tutejsza Końska Warownia Darczyńców wspierała darami rumaki jego wysłanników i żołnierzy.

Późną jesienią zamek nabierał też znaczenia jako ośrodek handlowy. Okoliczni właściciele ziemscy i wieśniacy zganiali bydło na jesienny ubój. Jutro zaczynało się na dodatek Hostenfest, wielkie święto przed ostatnimi, jesiennymi pracami. Za tydzień, gdy uczyt dobiegną końca, tłuste woły zostaną odprowadzone przez cały Heredon do rzeźni Tolfestu. Ich los dopełni się przed dwudziestym piątym dniem miesiąca liści, zanim spadną zimowe śniegi.

Wraz z bydłem hodowcy przyprowadzili tegoroczne żrebaki. Pola wkoło zamku Groverman

pokryły się labiryntem zagród i namiotów.

Gdy Ioma to ujrzała, duch w niej upadł.

Poraziła ją wiadomość, że diuk Groverman odmówił przybycia do Longmot. Uznała to za podłe i nikczemne, świadectwo niewdzięczności i braku odwagi, która winna przecież cechować wszystkich władców Heredonu.

Teraz jednak rozumiała, że Groverman miał poważne powody, aby nie opuszczać swego zamku. Wkoło fortecy kłębiły się tłumy ludzi i zwierząt. Hodowcy koni i bydła, kupcy przybyli na święto, uchodźcy z Longmot i uciekinierzy z nie bronionych wiosek.

Szczególnie bolał ją widok uchodźców z zamku Longmot. Kobiety, dzieci i mężczyźni stłoczyli się nad brzegiem Krętej Rzeki. Większość miała tylko koce, które rozpięte między wybitymi w ziemię palikami miały ich chronić przed zimowym chłodem i śniegiem. Groverman pozwolił im miłosiernie rozbić obozy tuż pod samymi murami zamku, które chroniły trochę przed hulającymi po równinach wichurami.

Niemniej i tak można by pomyśleć, że oto wioska z łachmanów nadpłynęła rzeką i osiadła na brzegu, zaludniając go łachmaniarzami. Siwowłosi mężczyźni kręcili się bez celu tu i tam, jakby tylko na mrozy czekali, by wreszcie spokojnie zamarznąć. Kobiety owijały dzieci w grube, wełniane pledy i tuliły je w ramionach, bo nie miały nic więcej, by je ogrzać. Sądząc po ich rozgłośnym kaszlu, nie zostało już wiele czasu do nadejścia zarazy, która zdziesiątkuje całe obozowisko.

Ioma szacowała, że licząc łącznie mieszkańców Groverman, uchodźców i przybyłych na święto, w zamku i pod murami zebrało się około trzydziestu tysięcy ludzi.

Olbrzymia rzesza, którą niełatwo będzie obronić. Na dodatek mury zamku obsadzone były z jakiegoś powodu rzadziej, niż się spodziewała. Znaczyło to, że Groverman, aby ratować wszystkich tych ludzi, musi zatrzymać w zamku wszystkie swe siły.

Jadąc szeroką drogą, mijala zagrody pełne rogacizny. Wszyscy wpatrywali się w Gaborna, jako że Groverman nader rzadko miewał dotąd gości spod znaku zielonego rycerza. Jadąca z tyłu trójka Dzienników świadczyła, że jeźdźcy są kimś nader ważnym, i to niezależnie od stanu odzieży dwojga z nich.

Przy bramie zatrzymali ich strażnicy.

- Niesiesz nowe wieści dla naszego pana? - spytał Gaborna jeden z nich. Króla i Iomę zignorował.

- Tak - odparł łagodnie młodzieniec. - Powiedz, proszę, jego wysokości, że książe Gaborn Val Orden prosi go o audiencję. Towarzyszą mu król Jas Laren Sylvarresta i księżniczka Ioma.

Strażnicy otworzyli usta na te słowa i spojrzeli osłupiali na pokryte błotem szaty Iomy. Sylvarresta w żadnym razie nie wyglądał na króla, Ioma pomyślała, że wraz z ojcem jest w całym tym zbiorowisku najnieszczęśliwiej wyglądającą parą.

Spróbowała zatem przywołać całą swą dumę. Wyprostowała się w siodle. Sporo ją to kosztowało, bo ledwie mogła znieść, że patrzy na nią aż tylu ludzi. Patrzcie, co się stało z waszą księżniczką, coś podszeptywało jej z głębi umysłu. Najchętniej ukryłaby twarz, jak niektórzy darczyńcy po oddaniu urody. Ale ona wystawiła się na badawcze spojrzenia straży, chociaż nadal musiała walczyć z mocą tego runu, który wszczepił jej darmistrz Raja Ahtena.

Potem zbrojni przyjrzeni się jeszcze Dziennikom, jakby chcieli potwierdzić słowa Gaborna. Dwóch zderzyło się w przejściu, spiesząc zawiadomić diuka.

Groverman nadbiegł rozległym podwórcem, poły bogato wyszywanego płaszcza w kolorze ochry łopotwały za nim na wietrze. Mieniły się lazuryty i perły przy skórzanym kołnierzu. Za nim spieszył Dziennik.

- Co jest?! Kto przybył?! Co się dzieje?! - krzyczał z daleka diuk, otulając się ciasniej płaszczem. Ranek wstał chłodny, szare chmury gnały niebem z południa.

Przystanął w odległości tuzina jardów i zaczął przyglądać się na zmianę Gabornowi, Iomie i królowi.

- Witaj, panie - odezwała się księżniczka, nie schodząc z konia. Wyciągnęła rękę, aby mógł ucałować jej pierścień. - Chociaż odwiedzałeś nas w zamku Sylvarresta ledwie cztery miesiące temu, obawiam się, że bardzo się zmieniłam od tamtej pory.

Było to oczywiście spore niedomówienie. Co zaś do jej ojca, to wyglądał jak cień dawnej postaci. Odarty z urody straszyl obliczem starca, szyderczą karykaturą niegdysiejszej twarzy. Ledwie trzymając się w siodle, bezrozumnie rozglądał się wkoło zachwycony zamkiem.

- Księżniczka Ioma? - spytał, jakby nie do końca przekonany, Groverman.

- Tak.

Diuk podszedł bliżej, ujął jej dłoń i bez żenady powąchał.

Był nieco dziwnym mężem. W zasadzie można go było nazwać Wilkiem, bo przyjmował dary od psów, jednak w odróżnieniu od innych, nie robił tego z żądzy władzy.

Kiedyś długo w noc sprzeczał się o to z ojcem Iomy, dowodząc, że mniejszym złem jest wziąć dar psa niż od człowieka. Tak więc miał kilkanaście psich darów, a jednak rządził jako prawowity władca, i to szanowany przez lud.

Ze swą wąską twarzą i blisko osadzonymi ciemnoniebieskimi oczami w niczym nie przypominał króla Sylvarresty. Nikt, kto by ujrzał ich razem, nie powiedziałby, że wywodzą się z jednej rodziny.

Poznawszy jej zapach, ucałował pierścień.

- Witaj, witajcie w moim domu.

Szerokim gestem dłoni poprosił Iomę, by raczyła zsiąść z konia i weszła na dziedziniec.

- Mamy kilka pilnych spraw do omówienia - powiedział Gaborn, który chciał jak najszybciej przejść do sedna sprawy. Wolałby rychło wrócić do ojca, po prawdzie nie miał ochoty nawet zsiadać.

- Oczywiście - rzucił Groverman, zapraszając Iomę do swej rezydencji.

- Spieszmy nam się - powiedziała Ioma. Czuli, że jeszcze chwila, a krzyknie na Grovermana, by nie bawił się w formalności, by zwołał wojowników i wysłał ich tam, gdzie szkuje się bitwa.

Podejrzewała, że diuk może próbować sprzeciwu, może zwodzić obietnicami mniejszej pomocy. Nie miała ochoty wysłuchiwać kwakań ani usprawiedliwień.

- Musimy porozmawiać natychmiast - dodał Gaborn.

Diuk musiał dosłyszeć w głosie Gaborna nagłący ton, bo spojrzał na niego z urazą.

- Pani, czy książę Orden przemawia w imieniu twoim i króla?

- Tak - stwierdziła Ioma. - Jest moim przyjacielem i naszym sojusznikiem.

- Czego zatem ode mnie chcecie? - spytał diuk. - Powiedzcie tylko, a zaraz się stanie.

Powiedział to z takim oddaniem, że Ioma była prawie pewna, iż tylko udaje. Ale gdy spojrzała mu w oczy, zobaczyła tylko szczerą gotowość służenia władcy.

Przeszła zatem do sedna sprawy.

- Niebawem zacznie się atak na Longmot. Król Orden tam jest, a z nim Dreis i jeszcze inni. Jak mogłeś odmówić mu pomocy?

Groverman rozłożył szeroko ręce, jakby niezwykle zaskoczony.

- Odmówić pomocy?! Cóż więcej mógłbym uczynić?! Wysłałem najlepszych rycerzy, i to najszybciej, jak mogłem, ponad dwa tysiące zbrojnych. Powiadomiłem też Cowforth, Emmit, Donyeis i Jonnick, będą tu przed południem. Jak pisałem w liście, przed nocą przyślę jeszcze pięć tysięcy

ludzi!

- Ale... - mruknęła Ioma. - Orden powiedział nam, że odmówiłeś pomocy.

- Na mój honor, to pomyłka! Nigdy bym tego nie zrobił! - zawołał Groverman. -

Gdyby kobiety mogły służyć za giermków, a bydło stanąć miast rycerzy, to w godzinę bym wyruszył z armią w sile ćwierci miliona. Jest, jak jest, ale żebyś odmówił mu pomocy, co to, to nie!

Ioma zastanowiła się. Na murach Longmot stało aż za wielu rycerzy. Myślała, że przybyli z Dreis albo że Orden zebrał ich po drodze.

Gaborn dotknął łokcia Iomy.

- Mój ojciec oszukał nas i chyba wiem dlaczego. Domyślił się, co czuję. Zawsze mawiał, że nawet najmądrzejszy nie wymyśli genialnego fortelu, gdy brak mu dobrych informacji. Oszukał nas tak samo, jak zamierza nabrać Raja Ahtena. Wiedział, że ufając w nadejście posiłków, nigdy nie opuścimy Longmot. Dla naszego dobra wysłał nas byle dalej od niebezpieczeństwa.

Ioma pokręciła głową. Orden łągał tak wprawnie i gładko, wzbudził w niej tak wielką złość na Grovermana, że teraz trwało chwilę, nim uwierzyła.

Jeśli jej szacunki były prawidłowe, to Raj Ahten powinien podchodzić już pod Longmot. Nawet jeśli zaraz zawróci z Gabornem, nigdy nie dotrą przed zamknięciem bram.

Na dodatek armia Wilka miała powiększyć się tego dnia o sto tysięcy ludzi.

Gdyby Groverman wyruszył, jak zamierzał, i tak byłoby za późno. Ale przecież nie mogła siedzieć tu beczynn timer, gdy jej sojusznicy walczyli na murach Longmot. Coś na pewno da się zrobić, musi być coś takiego! Ioma poruszyła się w siodle. Miała już pomysł!

- Diuku Groverman, iloma tarczami w tej chwili dysponujesz?

- Mam dziesięć tysięcy zbrojnych. Ale to zwykle pospólstwo. Najlepszych rycerzy posłałem do Longmot.

- Nie pytam o ludzi, tylko o tarcze. Ile tarcz masz pod ręką?

- No, gdyby przeszukać zbrojownie w pobliskich majątkach, to może zebrałoby się z dwanaście tysięcy.

- Zrób tak - powiedziała Ioma. - I każ, by zabrano też wszystkie kopie i broje, i jeszcze wierzchowce. Wyszukajcie wszystkich mężczyzn, a także kobiety i dzieci powyżej dziesięciu lat, każdego, kto utrzyma się w siodle, oraz wyprowadźcie bydło i konie z zagród.

Zbierzemy też koce z obozowiska i poniesiemy je niby sztandary na drągach z ogrodzeń. I weź jeszcze wszystkie rogi, jakie znajdziesz. Spiesz się. Musimy wyruszyć najpóźniej za dwie godziny. Na Longmot pomaszeruje wielka armia, tak wielka, że nawet Raj Ahten zdrzży ze strachu!

46

KLĄTWA

Na zimnym, poszarzałym niebie nad Longmot ciemność wyzierała spomiędzy chmur jak przeciwieństwo błyskawic. Trzej pozostali Rajowi Ahtenowi tkacze płomieni uwijali się w bitewnej gorączce, wszyscy nadzy, odziani tylko w karmazynowe płomienie.

Skuleni za spiętrzonymi kamieniami, ogrodzeniem wzniesionym niegdyś pracowicie przez jakiegoś gospodarza, ciskali ognistymi pociskami w zamek. Kolejno wyciągali ręce ku niebiosom i ścigali słoneczne promienie, tak że przez chwilę ciemność zalegała nad okolicą, a potem tak długo urabiali kule energii w dłoniach, aż jarzyły się niczym miniaturowe słońca. Po czym leciały ku murom.

Jednak bez większych efektów. Zamek Longmot został wzniesiony bardzo dawno.

Strażnicy Ziemi przez wieki nasycili jego kamienie niezliczonymi zaklęciami.

Kule blasku i gorąca wyrwały się z rąk tkaczy płomieni i puchły po drodze, zbyt długiej, by

magowie mogli w pełni nad nimi zapanować, przez co olbrzymie, nie tak już skupione, rozbiły się nieszkodliwie na blankach.

Niemniej wojownicy króla Ordena musieli się schować za blankowaniem, a jeden z tkaczy przy pierwszym rzucie zdołał trafić balistę, co skłoniło obrońców do wtoczenia reszty machin miotających do wnętrza wież.

Bitwa toczyła się prawie po cichu i raczej monotennie. Tkacze płomieni uwijali się, tracąc siły, a nic niemal w zamian nie zyskując, a zastępy olbrzymów ładowały katapulty i zasypywały zamek kamieniami.

Czasem, gdy kula ognia trafiała w mur na wysokości pomostów i żar wnikał do środka przez wręby blanków i strzelnic, Raj Ahten słyszał miły jego uszom krzyk bólu. To któryś z łuczników przekonał się na własnej skórze, że napastnik jednak potrafi kąsać.

Gdzieś buchały płomieniem wiązki strzał, niczym drzewo na rozpałkę.

Oddziały ludzi i olbrzymów szykowały przez cały czas stos paliwa mający posłużyć tkaczom płomieni za źródło energii, gdyż popołudniowe niebo coraz bardziej zaciągało się chmurami i tkacze mieli za mało słońca, przez co ich pociski były coraz podlejszej jakości. Z piekielnym stosem pod ręką mogliby urabiać bardziej skupione i o wiele mniejsze kule, zdolne przejść w całości przez strzelnice. Olbrzymi powalali zatem ogromne dęby i ściągali pnie ze wzgórz, układając z nich przed zamkiem gigantyczną, splątaną koronę.

Magowie mieli ją potem podpalić.

Pół godziny po odjeździe Binnesmana przygalopował z zachodu posłaniec z ważną wiadomością. Nie zatrzymując się, przemknął przez obóz i padł u stóp Raja Ahtena.

Aha, pomyślał Wilk, ktoś wypatrzył wreszcie armię Vishtimnu. W obecnej kondycji, z tak szybkim metabolizmem, oczekiwanie, aż posłaniec się odezwie, trwało dlań całą wieczność. Dobrze chociaż, że zwiadowca od razu przeszedł do rzeczy, omijając ceremoniał.

- Błagam o wybaczenie, Wielki Królu - rzekł, skłaniając głowę. Oczy miał rozszerzone strachem. - Niosę pilne wieści. Stałem na posterunku nad Przepaścią Krzywdy. Muszę zameldować, że ledwie parę chwil temu zjawił się na drodze samotny jeździec i zniszczył most. Wyciągnął palec, rzucił klątwę i most runął.

- Co? - spytał Wilk. Czyżby Strażnik Ziemi chciał odciąć Raja Ahtena od armii posiłkowej? Czarnoksiężnik utrzymywał, że nie stanie w tej bitwie po niczyjej stronie, a Wilk mu uwierzył. I źle zrobił, bo zielarz wyraźnie nie zamierzał pozostać bezczynny.

- Most został zniszczony. Nie ma przejścia - powtórzył zwiadowca, przyuczony od lat, by odpowiadać na każde pytanie pana, nawet retoryczne, i odpowiadać zgodnie z najlepszą wiedzą, unikając własnych komentarzy i domysłów.

- Dostrzeżliście jakieś oznaki, że armia Vishtimnu nadciąga?

- Nie, Najjaśniejszy. Niczego nie widziałem. Ani przedniej straży, ani kłębow kurzu na drodze. W puszczy cisza.

Raj Ahten zamyślił się. To, że niczego na razie nie widać, nie świadczy jeszcze, że generał nie nadciąga. Możliwe, że czarnoksiężnik dowiedział się jakoś, iż Vishtimnu jest już blisko. Nie chce, by główne siły dotarły do Longmot, i dlatego zniszczył

most. To jednak spowolni marsz Vishtimnu, ale go nie powstrzyma. Generał prowadził tabory pełne prowiantu, ubrań, broni i wszelkiego zapatrzania w ilości wystarczającej na przetrwanie całej zimy i doprowadzenie kampanii do końca. Wielkie wozy nie przebędą przepaści bez mostu, trzeba będzie poprowadzić je dookoła, nakładając jakieś sto dwadzieścia mil. To dawało cztery, a może i sześć dni opóźnienia. Spóźnią się też rycerze na wzmocnionych koniach. Nie tak bardzo, ale z

pewnością nie dojadą do Longmot dzisiaj.

Zniszczenie mostu nie było zatem aż takim nieszczęściem, chyba... Chyba że czarnoksiężnik wiedział coś więcej. A jeśli przez lasy maszeruje więcej niż jedna armia?

Może chciał odciąć Rajowi Ahtenowi drogę ucieczki?

Nagle Wilk przypomniał sobie Jureema. Doradca zbiegł już kilka godzin temu. Może bał się jechać pod Longmot? Może sam zastawił tu jakąś misterną pułapkę?

Raj Ahten nie wahał się dłużej. Dwie i pół mili na północny wschód od Longmot wznosiła się samotna góra. Otoczona odnogą Mrocznej Puszczy, wyrastała ponad drzewa wyżej niż jakiegokolwiek inne wzgórze w promieniu wielu mil. Na niej stała pradawna wieża strażnicza, widoczna nawet z obozu - okrągła budowla z płaskim szczytem, cała z krwistoczerwonego kamienia. Zwano ją Oczami Tor Lomanu.

Z samotni na szczycie dalekowidzący diuka mogli przepatrywać krainę na wiele mil wkoło. Raj Ahten nie wysłał tam jeszcze nikogo, jego zwiadowcy i dalekowidzący tkwili rozproszeni na drogach wiodących we wszystkie strony świata, co dawało lepsze rozeznanie w sytuacji ogólnej. Możliwe, że właśnie w tej chwili któryś z nich galopował tu z fatalnymi wieściami.

- Przygotować się do ataku! - krzyknął Raj Ahten. - Zapalić stos! - Obrócił się i pognął przez zielone pola Longmot z największą bezpieczną dlań szybkością.

47

OCZY TOR LOMANU

Orden patrzył z zaciekawieniem, jak posłaniec podjeżdża do Raja Ahtena i energicznie gestykułuje. Resztę sceny zasłoniły królowi plecy rozstawionych dla ochrony olbrzymów.

Nie spuszczał jednak oczu z obozowiska oblegających w nadziei, że Wilk wreszcie zaatakuje. Jego ludzie stali w gotowości, podobnie było z psami i olbrzymami, drabiny też już miał naszykowane. Magowie tylko czekali na rozkaz. Ale Raj Ahten z jakiegoś powodu cierpliwie czekał.

Niemniej wraz z pojawieniem się posłańca w sercu Ordenu zakiełkowała nadzieja.

Sądząc po zachowaniu jeźdźca, musiał przywieźć złe wieści. Może skłonią Wilka do desperackich poczynań.

I nagle Raj Ahten ruszył biegiem. Przeskoczył kamienny murek i pognął między kurhanami. Orden, patrząc za nim, ocenił, że w godzinę mógłby przebiec w tym tempie ze sto dwadzieścia mil. Przynajmniej po równym. Wilk zwolnił trochę, obiegając zamek, i przyspieszył na wznoszącej się nieco północnej drodze. Zdązał ku starej wieży obserwacyjnej. Jeśli szybciej już nie możesz, to chyba zdołam cię pobić, uznał Orden. Spojrzał

na swoich ludzi na murach.

Za blankami leżała z setka młodych ludzi czekających, aż tkacze płomieni znów zaczną miotać swe piekielne pociski. Co czwarty lub piąty raz młodzieńcom nakazywano podnieść wielki krzyk, jakby zostali poparzeni. Niektórzy okazywali przy tej sposobności wielki talent dramatyczny. Jeden zerwał się i zaczął walczyć z płonącą kamizelką, w końcu padł teatralnie, jakby umierał. Kamizelkę przygotował sobie wcześniej i tak ułożył, by na pewno zajęła się ogniem.

Inni próbowali tłumić chichoty na widok tych manewrów, ale chociaż dziwny, rozkaz był sensowny. Jak długo Raj Ahten miał podstawy wierzyć, że walcząc w ten sposób, dokucza obrońcom, tak długo nie powinien zmienić taktyki.

Orden błyskawicznie ocenił sytuację. Gdyby zdołał dogonić teraz Raja Ahtena, walczyłby z nim sam na sam. Jeden na jednego.

- Lepiej za nim ruszę - powiedział.

Stojący obok dowódcy spojrzeli na Raja Ahtena. Zazdrościli królowi.

- Niech Moce będą z tobą, panie.

- Jeszcze przed nocą i wy, i ja, i Sylvarresta ruszymy na polowanie do Mrocznej Puszczy - powiedział Orden. - Porzućcie obawy.

Król zadał w róg, rozległ się głęboki, basowy sygnał do łowów. Ludzie przy bramie opuścili zaraz most. Tworzący węża zamarli w bezruchu i ich energia popłynęła ku Ordenowi.

Powietrze zgęstniało dlań nagle niczym syrop. Orden miał siłę dwunastu ludzi, ale z metabolizmem sześćdziesięciu musiał wkładać sporo siły w każdy oddech.

Ruszył z jedną tylko bronią - wąskim, krótkim mieczem, dość ostrym, by ściąć Rajowi Ahtenowi głowę. Zamierzał wziąć sobie ostrzeżenie Gaborna do serca i jak najprędzej pozbawić jej Wilka. Poza tym niósł jeszcze tarczę.

Paroma skokami pokonał schody przy zamkowych murach i aż się zdumiał, ile siły wymagało pokonanie początkowego bezwładu. Gdy skręcał za róg, nieco nim zarzuciło.

Pobiegł do bramy. Jego ludzie zaczęli już podnosić most, jak rozkazał. Wspiął się po lekkiej stromiźnie i skoczył przez fosę. Nie przerywając biegu, pogonił za Rajem Ahtenem.

Tarcza stawiała ogromny opór, rzucił ją więc po paru jardach. Przebiegł poczerńiałymi ulicami podzamcza i skręcił na ścieżkę wiodącą do kurhanów.

Omyta nocnymi deszczami trawa zieleniała świeżością. Wszędzie bieleły niej małe kwiatki śniedków.

Orden gnał przez kurhany. Podobnie jak Raj Ahten, pokonując szczyty kolejnych pagórków, wylatywał skutkiem olbrzymiej szybkości w powietrze.

Czytał kiedyś o ludziach z olbrzymim metabolizmem i wiedział, że taki lot nie jest groźny, pod warunkiem że lądując, nadal przebiera się nogami, co łagodzi impet upadku.

Znów skręcił. Właściwe pochylenie ciała na zakrętach było chyba najtrudniejszym elementem takiego szalonego biegu.

Wielu ludzi miewało też problemy z opanowaniem szczególnego, płynnego sposobu przyspieszania. Wkładali w to jak najwięcej siły, zupełnie jak zrywający się z miejsca biegacz bez jakichkolwiek darów, co prowadziło najczęściej do połamania nóg.

Bezwładna reszta ciała nie nadążała za stopami.

Tę zasadę Orden opanował bez problemów.

Jednak przechylenie się na zakrętach było zbyt nienaturalne, by zawsze odruchowo o nim pamiętać. Przy kolejnym król poczuł, jak dziwna siła spycha go ze szlaku.

Zwykłe przyciąganie ziemi okazało się za słabe, na dodatek trafił jeszcze na błoto i tylko wielkim wysiłkiem zdołał, po szeregu akrobatycznych wręcz manewrów, uniknąć roztrzaskania o rosnące przy ścieżce drzewo.

W końcu zobaczył Raja Ahtena, który nieco zwolnił. W tym terenie szybkość, z jaką biegł na początku, była po prostu niebezpieczna.

Niemniej Orden gnał dalej, jakby zależało od tego życie jego i wszystkich jego poddanych. Pędził pod górę ku wieży Tor Lomanu, przemykał między białymi pniami osik, pod złocistymi baldachimami ich liści.

Gdy zerknął z grzbietu kolejnego pagórka na nakrapianą słońcem dolinkę, ujrzał wielkiego jelenia z łopatami szerszymi niż rozpiętość rąk dorosłego mężczyzny.

Zdumione zwierzę skoczyło żwawo, zawisło jakby na chwilę w powietrzu.

Mógłbym dogonić go w mgnieniu oka, pomyślał Orden, mijając płową sylwetkę, która zmykała w kierunku strumienia.

Obok mignęły sosny i ustąpiły miejsca wąskiemu występowi stromych skał. W dali coś błysnęło ciemnym metalem: to Raj Ahten zniknął w lesie.

Brzęk stali ostrzegł Raja Ahtena, że jest ścigany. Obejrzał się. Orden siedział mu prawie na plecach.

Wilk nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek był zdolny go dogonić. Przyspieszył. Droga biegła prosto pomiędzy czarnymi sosnami, na jej końcu jaśniała plama słonecznego blasku, dalej zaś czerwieniał piaskowiec wieży Tor Lomanu.

Raj Ahten pojął, że ucieczka nic nie da. Orden był jednak szybszy i wiedział, kogo ściga.

- Mam cię! - krzyknął król triumfalnie, odległy ledwie o sto jardów.

Wilk postanowił wykorzystać szybkość Ordena przeciwko niemu. Wbiegł na małe wzniesienie i skoczył. Poczł ostry ból w prawej nodze. Przy wybiciu trzasnęła kość strzałkowa.

Wiedział, że za chwilę się wygoi.

W locie obrócił się, wyciągnął zza pasa topór, i cisnął go tam, gdzie powinien się znajdować Orden.

Ku jego zdumieniu król zwalniał. I chociaż topór leciał nań z ogromną prędkością, a i on zbliżał się doń z niewiele mniejszą, poszedł za wysoko i Orden zdołał się uchylić.

Raj Ahten wyleciał po stromym łuku w górę. Wprawdzie uszkodzenie nogi nie było poważne, nie miało jednak szansy wygoić się całkowicie przed lądowaniem.

Spróbował przeto przyjąć impet lądowania na zdrową nogę i przetoczyć się przez grzbiet. Nie wyszło za dobrze, bo złamał goleń.

Gdy chciał wstać, Orden był już przy nim. Zamachnął się energicznie mieczem. Był na tyle szybki, że Raj Ahten nie zdążył się przygotować na atak. Owszem, próbował się uchylić, ale pierwsze cięcie i tak dosięgło szyi. Trysnęły karmazynowe krople.

Wilk poczuł, jak metal uderza twardo w kość.

Król Orden nie posiadał się z radości, gdy ujrzał wielką ranę na szyi Raja Ahtena i przerażenie kielkujące w jego pięknych oczach.

Jednak jeszcze klinga nie wyszła z ciała, a cięcie już zaczęło się goić, zamykać bez śladu. Ten mąż miał tak wiele darów sił życiowych, że właściwie niewiele zostało w nim z człowieka.

Suma Wszystkich Ludzi, z lękiem przypomniał sobie Orden. Wyssał życie z tyłu osób, że zatracił cechy śmiertelnika. Okpił śmierć. Stał się osobną jakością, kimś podobnym do żywiołu lub nawet Władców Czasu.

Kroniki wspominały o podobnych przypadkach. Daylan Młot na przykład. Żył w Mystarrii szesnaście wieków wcześniej, aż powędrował na Południe, by tam cierpieć w milczeniu. Nieśmiertelność stała się dlań brzemieniem. Jego darczyńcy odeszli, ale on nie mógł umrzeć, osobiście odmieniony. Dary przekazane drenami zostały w nim na zawsze, chociaż on ich już nie chciał, przeklinał je.

Orden miał wspaniałą pamięć i ujrzał teraz przed oczami słowa, które czytał w młodości, gdy studiował fragmenty pradawnej kroniki spisanej przez odległego przodka: *Kochający swych towarzyszy Daylan stwierdził, że życie cięży mu wielce. Mężowie, z którymi się przyjaźnił, kobiety, które kochał, wszyscy dorastali, rozkwitali i umierali jak róże jednoroczne, a jego jednego czas nie tknął. Poszukał zatem samotności poza Inkarrą, na wyspach Illienne, gdzie pewnie wciąż zamieszkuje.*

Wszystko to przemknęło Ordenowi przez myśli w tej krótkiej chwili, gdy wyciągał miecz z szyi Raja Ahtena. Poniewczasie pojął, że wyrwał go zbyt silnie: broń wymykała mu

się z ręki. Napiął boleśnie mięśnie dłoni i ramienia, by ją zatrzymać.

Miecz poleciał w gąszcz paproci na pagórku.

Nie miał innej broni, ale Raj Ahten siedział nieruchomo, porażony gwałtownością ataku. Orden skoczył i z całej siły kopnął go w głowę.

Nosił buty bojowe z czubkami obitymi stalą. Wiedział, że takie kopnięcie musi zgruchotać goleń. A jeśli goleń, to chyba i czaszkę.

Raj Ahten zdążył się jednak nieco obrócić i Orden trafił go pod naramiennikiem.

Ból przeszył nogę Ordena. Czuł, że połamał w niej wszystkie kości. Aż krzyknął w wielkim cierpieniu.

Jeśli mam tu się rozpaść, to nie sam, pomyślał. Zdruzgotał ramię Raja Ahtena. I jeszcze rękę, a potem obojczyk i żebra. Poddawały się jedno po drugim pod obcasem Ordena.

Wilk krzyczał, jakby konał. Król opadł na ramię Raja Ahtena i siedział tam chwilę, myśląc gorączkowo, co jeszcze może zrobić. Po chwili stoczył się na bok, żeby sprawdzić, czy przeciwnik jeszcze żyje.

Ku swemu zdumieniu ujrzał, że Wilk próbuje odpełznąć po trawie. Usłyszał jego jęk. Na zniekształconym ramieniu Raja Ahtena odcisnęło się odbicie podeszwy buta Ordena.

Łopatka zapadła się całkowicie, prawa ręka zwisała wykręcona pod nienaturalnym kątem. Zagłębienie w ciele miało z sześć cali głębokości.

Raj Ahten leżał na trawie, oczy zasłzy mu mgłą bólu. Krew buchała z ust, jednak był w tym momencie piękniejszy niż kiedykolwiek. Orden nigdy jeszcze nie widział go z tak bliska, w pełnej chwale. Cud tego zjawiska zaparł mu dech w piersi.

- Bądź mym sługą - szepnął nagle Raj Ahten i Mendellas Draken Orden poczuł, że znalazł się w pełni pod urokiem Wilka. Z całego serca zapragnął mu służyć.

Zaraz potem Orden zaczął się bać. Coś poruszyło się pod pancerzem Wilka. Ramię drgnęło, opuchło, znów drgnęło, jakby lata normalnej kuracji, pełnej powracających zakażeń, stanów zapalnych i bólu, streściły się w jednej chwili, pomiędzy dwoma uderzeniami serca. W końcu na ramieniu Wilka pojawił się baniasty garb.

Orden spróbował wstać. Wiedział, że walka jeszcze nie skończona.

Raj Ahten popełził za nim, złapał jego prawą rękę za nadgarstek i uderzył go hełmem w ramię. Na tyle mocno, że mało brakło, a utraciłby nakrycie głowy.

Orden krzyknął, czując, jak wszystkie kości jego ręki pękają na kawałeczki.

Runął na ziemię, wijąc się z bólu. Połowę ciała miał bezwładną.

Raj Ahten wstał i cofnął się zdyszany.

- Wstyd, królu Ordene. Winienes nabrać więcej sił życiowych. Moje kości już się pozrastały. Ile dni potrwa, nim i ty wyzdrowiejesz? - Kopnął zdrową nogę Ordena, który próbował się podnieść. Król padł na plecy. - Gdzie są moje dreny? - spytał

spokojnie Wilk.

Orden nie odpowiedział.

Raj Ahten kopnął go w twarz.

Krew pociekła królowi z prawego oczodołu, oko wypłynęło i zwisło przy policzku.

Bliski zemdenia osłonił twarz zdrową ręką. Raj Ahten kopnął nie osłonięte żebra. Coś pękło w środku i Orden zaniósł się krwawym kaszlem.

- Zabiję cię! - syknął król. - Przysięgam!

To była czcza groźba. Orden nie mógł już nic zrobić i chciał tylko umrzeć. Raj Ahten musiał go zabić, żeby następny w kolejności wojownik mógł go zaatakować jako nowa głowa węża.

Kaszel przeszkadzał mu w oddychaniu tym gęstym jak melasa powietrzem. Raj Ahten znów kopnął go w pierś. Zrobiło się jeszcze gorzej i Orden znieruchomiał.

Wilk odwrócił się i ruszył pod górę przez suchą i żółtą od wrotyczu trawę. Do fundamentów Oczu Tor Lomanu zostało mu pięćdziesiąt jardów. Kamienne schody trzykroć otaczały masyw wieży. Raj Ahten wspinał się po nich z wysiłkiem. Kulał wyraźnie, jedno ramię trzymał pięć cali niżej niż drugie. Chociaż nadal z piękną twarzą, z tyłu przypominał teraz upośledzonego mocno na ciele garbusa. Prawa ręka zwisała dziwnie, a prawa noga, chociaż pewnie już zdrowa, była wyraźnie krótsza niż lewa.

Spocony z wysiłku Orden łapał ciężko półpłynne powietrze. Trawa przy jego głowie pachniała tak słodko, że zapragnął poleżeć chwilę i odpocząć.

Gaborn i Ioma jechali bok w bok przez wrzosowiska, a za nimi podążała wielka ciżba. Książę trzymał wysoko tarczę, niósł też jedną z kopii diuka z przywiązany u grotu kawałkiem czerwonej materii, jeszcze niedawno fragmentem zasłony w jego warowni.

Przyszpilony pośrodku biały krąg mógł z wielkiej odległości ujść za Oko Internooku.

Zresztą z odległości dwudziestu mil wszystkie znaki i proporce tej „armii” winny kojarzyć się z Internookiem. Gaborn był pewien, że dalekowidzący Raja Ahtena będą czuwać na posterunkach.

Ostatnie pół godziny zajęła Gabornowi organizacja całego przedsięwzięcia.

Ustawienie kilkuset tysięcy sztuk bydła i koni na równinie nie było łatwym zadaniem. Doświadczeni poganiacze i hodowcy ledwie się ze wszystkim uporali.

Sprawę pogarszali pełni entuzjazmu chłopcy, którzy mimo braku umiejętności za wszelką cenę próbowali pomóc i co rusz płoszyli bydło. Gaborn obawiał się, że jeśli w jakiejś chwili cała ta rogata masa ruszy w lewo lub w prawo, to stratuje kobiety i dzieci z tarczami, które jechały szeroką ławą na przedzie i po bokach, udając wojowników.

Jednak gdy spojrział na niebo nad Longmot, chwycił go jeszcze większy strach.

Chmury zasnuwały prawie cały nieboskłon, jednak daleko na horyzoncie co rusz pojawiały się plamy ciemności. To tkacze płomieni ściągali energię ze słońca.

Książę podejrzewał, że to za jego sprawą Raj Ahten przyspieszył atak. Nie uciekł w przerażeniu, zgodnie z oczekiwaniami, ale tym prędzej ruszył do walki.

Podczas jazdy Gabornowi stanęły nagle przed oczami ledwo pamiętane słowa z jakiejś dawnej księgi. Nigdy nie zajmowały go zbytnio moce ziemi, teraz jednak zaczął bezwiednie nucić:

Ziemia, co nas zdradza, kiedy wiatr zawieje,

jako płaszcz nas chroni, podsycą nadzieję.

Kurz dróg zapowiedni, kiedy wzięci w niebo,

Liczbę naszą skryje, zwiedzie drapieżnego.

Zdumiał się, skąd mu się to wzięło, ale z drugiej strony czuł, że to stosowne w tej chwili słowa. Zupełnie jakby trafił właściwym kluczem do zamka dawno nie otwieranych, zapomnianych niemal drzwi.

Czuł też, że te moce w nim wzbierają, chociaż nie wiedział jeszcze, co z tego wyniknie, kim się ostatecznie stanie.

Niepokoił się o ojca. Czuł, że mu coś zagraża, że niebezpieczeństwo osacza go, otula coraz szczelniej całunem.

Mógł mieć tylko nadzieję, że ojciec przetrzyma atak. Uniósł róg bojowy do ust i zaął raz, a wszyscy wkoło uczynili to samo. Armia podjęła pieśń wojenną.

Raj Ahten zabrał ze sobą tuziny dalekowidzących, ale żaden nie miał tylu darów wzroku, ile

władca. Wilk sam nie wiedział, ile ich zgromadził, pamiętał tylko, że trzeba je liczyć w tysiącach. Potrafił dostrzec drobne żyłki na skrzydłach przelatującej sto jardów od niego muchy, a przy świetle gwiazd widział równie dobrze jak inni w pełnym słońcu. Większość ludzi z podobnymi darami byłaby ślepa za dnia, jego jednak chroniły olbrzymie zasoby sił życiowych.

Bez trudu dostrzegł, że na wschodzie podnosi się olbrzymia chmura kurzu. Zwiastun maszerującej na niego armii.

Stanąwszy na wieży, Raj Ahten spojrział w pierwszej chwili na południe i na zachód, szukając znaków bliskości armii Vishtimnu, zapowiedzi pomocy. Przepatrywał horyzont, czy nie mignie mu wystający ponad zieleń puszczy żółty proporzec, nie błysnie słońce odbite w metalu, nie uniesie się gdzieś kurzawa wzbita przez mrowie maszerujących stóp, nie pokaże się ta barwa, na którą nikt nie wymyślił nazwy, a która zwiastuje ciepło tysięcy zdrożonych drogą ludzi.

Jednak nawet wzrok dalekovidzącego nie ogarniał wszystkiego. Nie mógł przeniknąć przez mury ani wejrzeć pod baldachim liści, gdzie kryć się mogło dowolnie wiele armii. Co więcej, wilgotny wiatr z południa niósł pył znad wrzosowisk i rozległych pól Fleeds. Kurz i pyłki traw ograniczały widoczność do trzydziestu, czterdziestu mil.

Raj Ahten wstrzymał na dłuższą chwilę oddech. Nie musiał się martwić, że czas mu ucieka, bo realnie zajęło mu to mniej niż chwilę. W końcu musiał uznać, że południowozachodni horyzont jest pusty. Armia Vishtimnu była za daleko.

Obrócił się na wschód i zamarł. W dali gnał na koniu przez równinę Binnesman.

Wiadomo było, dokąd zmierza. Na samej granicy widoczności jaśniały złotem wieżyce zamku Groverman, obok wiła się srebrzysta wstęga rzeki. Od zamku maszerowała armia, jaką rzadko się widuje: kilkusettyśięczna.

Na przedzie szła szeroka na pięć tysięcy ludzi ława pikinierów. Słońce lśniło na ich tarczach i hełmach. Dalej łucznicy, tysiące łuczników i rycerze na koniach.

Pokonali już z sześć mil wrzosowiska od zamku. Na tak wielką odległość, w pylistym powietrzu, nie było ich widać zbyt dokładnie. Kurz wzniesiony przemarszem nie pozwalał policzyć szeregów, sina chmura wzbijała się na setki stóp. Z dala przypominało to pożar stepu. Jednak poprzez tę zasłonę nie przenikał żar ognia, ale ciepło setek tysięcy żywych ciał.

Nad ich głowami powiewały dziesiątki barw: zielone sztandary Lysle, szare Crowthenu Północnego, czerwone Internooku. Raj Ahten dojrzał w ciżbie rogi, rogate hełmy setek tysięcy wojowników - zajadłych toporników z Internooku.

To niemożliwie, próbował sam siebie przekonać Wilk. Tkaczka płomieni powiedziała, że król Internooku nie żyje.

Może i nie żyje, odpowiedział sobie, ale jego armie wciąż maszerują.

Raj Ahten uspokoił oddech i przymknął oczy. Na polach poniżej gwizdał wiatr, w pobliżu szeptały drzewa, ale i tak to usłyszał. Poprzez szum krążącej w nim krwi dobiegło go dalekie granie rogów i krzyk tysięcy gardeł intonujących pieśń wojenną.

Pojął, że oto wszystkie armie Północy zebrały się przeciwko niemu.

Pod bramą zamku Sylvarresta poseł Ordenu powiedział, że król planował to od tygodni. Wspomniał, jakoby zdrajcy z otoczenia Raja Ahtena mieli wyjawić Ordenowi, gdzie zostały ukryte dreny.

Raj Ahten machnął ręką na całe to gadanie: nigdy nie sądził, by tkwiło w nim choć źdźbło prawdy. Bo gdyby tkwiło... konsekwencje byłyby zbyt przerażające, aby w ogóle o nich myśleć. Jeśli to prawda i Orden rzeczywiście już dawno wszystko zaplanował, to mógł również wysłać po pomoc, mógł skrzyknąć królów Pomocy.

Orden wyruszył cztery tygodnie temu. Cztery tygodnie. To by się mogło zgadzać.

Wojowniczy władca Internooku zdążyłby zebrać swoje oddziały i wysłać je statkami ku kamienistym plażom Lysle. Podczas marszu stamtąd mogły zbierać wolnych rycerzy z rozmaitych królestw. I nie byłiby to zwykli żołnierze. Żaden z nich nie zląkłby się Niezwycięzonych.

Raj Ahten otworzył oczy. Binnesman zawracał przed frontem armii, zajmując miejsce na jej czele.

Nie tak dawno mówił, że przybywa nowy Król Ziemi. Raj Ahten poznał wreszcie prawdę. Strażnik Ziemi zamierzał przyłączyć się do jego wrogów. Będzie jednak służył pewnemu królowi. I mówił jeszcze, że ziemia odrzuca Wilka...

Raj Ahten poczuł, jak wzbiera w nim przerażenie. Był już pewien, że na czele tej armii maszeruje jakiś wielki król, król czarnoksiężnik. Król, przed którym ostrzegali go tkacze płomieni. Wiedzie armię, o której pokonaniu nie mógł nawet marzyć.

Gdy tak patrzył, zdarzyło się coś zaiste cudownego: wielka chmura kurzu nad głowami maszerujących zaczęła formować się w kształt korony wysokiej na setki stóp, poniżej zaś pojawiła się twarz. Surowe oblicze okrutnego męża z mordem w oczach.

Król Ziemi.

Przybyłem na niego zapolować, a teraz to on zapoluje na mnie, pomyślał Raj Ahten.

Nie zostało mu wiele czasu. Musiał wrócić do zamku, zdobyć go jak najszybciej i wycofać się z drenami.

Drżąc ze strachu, zbiegł po schodach Oczu Tor Lomanu.

48

OGIEN

Raj Ahten gnał ścieżką przez las. Przeskakiwał skały, przemykał dolinkami i coraz bardziej skłonny był podejrzewać, że skarbu nie ma już w zamku Longmot, że został gdzieś przeniesiony.

Wszystko na to wskazywało. Orden praktycznie dopraszał się egzekucji, czyli niemal na pewno był głową węża. Jego śmierć uwolniłaby następnego w kolejności wojownika o niewiele wolniejszym metabolizmie.

Jednak jak długo Orden żył, wąż pozostawał nietknięty. Raj Ahten musiał tylko odszukać rycerzy, którzy tworzyli cielsko, i szybko ich pozabijać. Wąż rozpadnie się wtedy na niegroźne kawałki.

Samo istnienie węża sugerowało, że dreny rzeczywiście opuściły Longmot. Gdyby Orden naprawdę przyjął setki darów, nie trudziłby się tworzeniem węża. Zapewniłby sobie większy zasób sił życiowych. W obecnym stanie zbyt łatwo było go zranić, za wolno goiły mu się obrażenia.

Nie, nie mógł mieć ani setek darów, ani nawet dziesiątków. Brakło mu ludzi na darczyńców, zatem przeniósł dreny. Zapewne niedaleko. Ci, co ukrywają kosztowności, zwykle szukają podręcznego schowka, by móc często go sprawdzać.

Chociaż... Orden mógł też przekazać je komuś innemu.

Cały ranek Raj Ahten wahał się, czy zaatakować, i w gruncie rzeczy nie wiedział

dlaczego. Widok tego mrowia żołnierzy na murach budził w nim niepokój. Teraz wiedział już, o co chodziło: brakło wśród nich księcia Ordena. Oczekiwał, że ojciec i syn będą walczyć razem, jak w starych pieśniach.

Jednak syna tu nie było.

Stary czarnoksiężnik mówił, że nadchodzi nowy Król Ziemi, jednak nie kładł nacisku na słowo „nowy”. I jeszcze, że to wielka nadzieja dla rodu Ordenów...

Książę Orden. To by się zgadzało. Chłopak znajdował się pod ochroną zaklęć ziemi, miał

czarnoksiężnika na usługi. Był wojownikiem, i to dobrym, co do tego Raj Ahten nie miał wątpliwości. Dwa razy wysłał Salima, by zabił księcia i zapobiegł sprzymierzeniu się Mystarrii z drugim silnym królestwem. Zabójca zawiódł.

A księżę uprzedzał każdy mój ruch, myślał Wilk, zabił moją tkaczkę płomieni, zmylił moje pogonie...

Zatem to Gaborn miał teraz dreny, uznał Raj Ahten. Nabrał darów i jedzie na czele nadciągającej tu armii. Owszem, nie miał na to wiele czasu, ale i z tym można sobie łatwo poradzić. Orden odbił Longmot trzy dni temu, a od tamtej chwili z tuzin zaufanych żołnierzy mogło przyjmować dary dla Gaborna. Starczyło, że poczekali, aż wróci z zamku Sylvarresta, i stali się jego pośrednikami. Nowi darczyńcy mogli pochodzić z Longmot, z zamku Groverman lub dowolnej twierdzy z tego regionu. Było ich tu z pół tuzina.

Raj Ahten też korzystał czasem z tej metody.

Wracając do Longmot, starał się oszacować, ile czasu zabierze mu zdobycie zamku, wybicie obrońców i przeszukanie fortecy, by ostatecznie potwierdzić domysły.

Miał jeszcze kilka niespodzianek, parę rodzajów broni, których nie zamierzał dzisiaj wykorzystać. Nie chciał teraz ujawniać całego swego potencjału bojowego, chociaż może będzie musiał...

Zastanowił się, czy zdąży potem uciec. Armia nadciągająca od zamku Groverman znajdowała się w odległości dwudziestu pięciu mil. Było w niej wielu pieszych, ale jeśli każdy z tych żołnierzy dysponował przynajmniej jednym darem metabolizmu i siły, to mogą dotrzeć na miejsce za trzy godziny.

Raj Ahten zamierzał zacząć odwrót za godzinę.

W zamku Longmot kapitan Cedrick Tempest niepokoił się już na całego: o swój lud, o Ordena i o siebie. Po tym, jak król pogonił na północ za Rajem Ahtenem, obie armie zastygły w oczekiwaniu, chociaż wojska Wilka wciąż szykowały się do bitwy.

Grupa olbrzymów pozносиła na stok pnie dębów i olch, układając z nich kolisty stos, tkacze płomieni weszli zaś do środka i zmienili martwe drzewa w piekło płomieni.

Przez dłuższy czas cała trójka tańczyła w ogniu, pozwalając, by pieścił ich nagie ciała.

Krążyli wzdłuż kręgu i kreślili w powietrzu magiczne znaki, które rozszarżonymi, błękitnymi liniami wrastały w kłęby dymu i trwały tak niby uczepione murów zamku.

Straszny i hipnotyzujący widok.

Potem magowie zaczęli wirować i zawodzić w dziwnym transie, jakby próbowali uchwycić rytm płomieni, rozmigotać się na ich podobieństwo, żywcem zmienić się w ogień. Machali rękami, podskakiwali, kołysali się i miotali, aż kolejno zaintonowali tęskną pieśń. Przywołanie.

To był jeden z największych talentów tkaczy płomieni - umiejętność wzywania istot ze świata podziemnego. Tempest słyszał o takich sztukach, ale mało kto spośród zwykłych ludzi był kiedykolwiek świadkiem Przywołania.

Niektórzy z obsady murów próbowali rysować ochronne znaki, daremnie mamrocząc zapamiętane piąte przez dziesiąte zaklęcia. Paru błędnych czarnoksiężników z pustkowi zaczęło kreślić runy w powietrzu. Ludzie zbijali się przy nich w ciasne gromady.

Tempest przygryzał nerwowo wargi, gdy czarnoksiężnicy zbierali siły, aż ściana płomieni pogrubiała i pozieleniała ogniem nie z tego świata. Z wolna tworzyła się świetlista brama.

Chwilę później Tempest ujrzał materializujące się w tym blasku postaci - białe, ogniste salamandry z podziemi, jeszcze nie do końca ukształtowane, ale już skaczące, miotające się tu i tam.

Widok ten zmroził Cedricka Tempesta. Jego ludzie nie mieli szans z podobnymi potworami.

Głupotą było zostawać na murach, podejmować walkę. Coś ścisnęło wojownika za gardło. Pomocy, pomyślał, potrzebujemy pomocy.

Ledwie przyszło mu to do głowy, ujrzał rozmazaną sylwetkę kogoś zbliżającego się do zamku od strony Tor Lomanu. Postać biegła przez kurhany. Miał nadzieję, że to król Orden, błagał Moce, aby to Orden właśnie wracał zwycięski.

Jednak biegnący nie miał czapki z zielonego aksamitu. To był Raj Ahten. Bez hełmu.

Tempest zastanowił się, czy Orden zdołał w ogóle dogonić Wilka, po czym spojrzał na dziedziniec zamkowy. Topornik Shostag był drugi w kolejności. Gdyby król zginął, Shostag zająłby jego miejsce jako nowa głowa węża. Tempest nie dojrzał nigdzie ani śladu kudłatego banity. Może zatem Orden nie zginął, może wróci jeszcze, aby za nich walczyć.

Raj Ahten wykrzyczał rozkaz, by gotować się do walki.

„Władcy Runów walczą, zwykli ludzie giną”, powiada stare przysłowie. Święte słowa.

Darczyńcy w strzeżonych warowniach, szeregowi łucznicy, chłopcy ze wsi... To oni nadstawiali karku i padali ofiarą gniewu władców. Po cichu i bezimiennie.

Całe życie Cedrick Tempest starał się zostać kimś więcej niż zwykłym żołnierzem i uniknąć losu byle ciury. Pierwsze dary przyjął w wieku dwunastu lat, gdy miał szesnaście, został sierżantem, a sześć lat później kapitanem gwardii. Przywykł przez ten czas do zapożyczonej od darczyńców siły, do ich zdrowia podtrzymującego jego kondycję.

Dotąd wszystko szło dobrze. Teraz został nominalnym dowódcą Longmot i miał dowodzić wojskami w walce z Rajem Ahtenem. A przecież nie różnił się wiele od zwykłego żołnierza. Jego darczyńcy zginęli w poprzedniej bitwie, miał po jednym darze rozumu, sił życiowych i urody, nic więcej. Zbroja ciążyła mu niemiłosiernie, a młot za nic nie chciał leżeć w dłoni.

Wiejący z południa wiatr przyprawiał go o dreszcze. Kapitan zastanawiał się, co jeszcze przyniesie ten osobliwy dzień, i krył się za blankami. Czuł bliskość śmierci.

Na razie jednak nic się nie działo. Żołnierze, psy i gromada olbrzymów Raja Ahtena trzymali się poza zasięgiem strzału. Przez kilka długich minut tylko tkacze płomieni odprawiali swoje czary i tańce, wirowali pośród płomieni, a salamandry przybierały coraz wyraźniejsze postacie, stawały się demonami białego blasku, dodawały swe magiczne moce do mocy czarnoksiężników.

Nagle magowie przerwali taniec, stanęli nieruchomo i równocześnie unieśli ręce do nieba.

Niebiosa pociemniały onyksowe. Ku ziemi popłynęły warkocze energii. Raz za razem tkacze sięgali w górę, a co zebrali w rękach, przepływało zaraz w ich ciała, aż poczęli się jarzyć coraz intensywniejszym, zielonym blaskiem.

Czarnoksiężnik z pustkowi zamruczał coś pod nosem i zaklął.

Tkacze nie tylko światło wyssali z nieba. Z każdą chwilą robiło się chłodniej. Tempest ujrzał, jak na murach zamku zaczyna osadzać się szron, poczuł, że jego młot coraz bardziej mrozi mu dłonie.

Wielki ziąb ogarniał okolicę. Najbardziej w pobliżu stosu, ale sięgał też dalej, na pola i ku czekającej armii. Ten nieziemski ogień musiał pożerać ciepło, miast odwrotnie. Tkacze tak gwałtownie pochłaniali jego energię, że pewnie nawet Tempest mógłby wejść teraz między płonące kłody i nie doznałby żadnego uszczerbku.

Kapitan szczękał zębami. Zdawało mu się, że jego ciało stygnie i obumiera.

Salamandry w płomieniach rysowały się coraz wyraźniej - eteryczne stworzenia z ognistymi ogonami. Skakały i tańczyły, patrzyły na ludzi na murach.

- Uważajcie na ich ślepie! Nie patrzcie w płomienie! - krzyczał błędny czarnoksiężnik.

Tempest pojął, w czym niebezpieczeństwo. Gdy napotkało się migotliwie spojrzenie salamandry, choćby na mgnienie oka, monstrum zyskiwało na spoistości, a w człowieku krew

zaczynała krążyć wolniej i lodowaciała. Ludzie przenieśli wzrok na mastiffy i olbrzymów lub Niezwycięzonych. Patrzyli na wszystko, tylko nie na salamandry.

W głębokim mroku stos jarzył się jak osobny, dla siebie tylko istniejący świat zielonych płomieni, zawarty w murach naznaczonych gorejącymi runami. Pośrodku migotały zyskujące z każdą chwilą coraz większą moc upiorne postaci.

Chmury też zaczęły przymarzać i zarzuciły ziemię gradem. Z początku padał lekko, jak żwir obsypując się z blanków i podzwaniając na hełmach i zbrojach.

Tempest przestraszył się nie na żarty. Nie wiedział, co ci magowie właściwie szykują. Chcą nas tu wszystkich zamrozić? Porażą nas powodzią ognia? A może mają w zanadru coś jeszcze bardziej nikczemnego?

Jakby w odpowiedzi na jego nieme pytanie tkacze płomieni zakończyli taniec wśród szmaragdowych płomieni. Przez dłuższą chwilę jedynie sploty zieleni spadały z nieba w ich dłonie, aż zrobiło się ciemniej niż w najchmurniejszą bezksiężycową noc. Gdzieś w oddali huknął grom, ale Tempest nie zauważył błyskawicy, która winna mu towarzyszyć.

Wydawało się, że wszystko zamarło w oczekiwaniu, nawet czas jakby przestał płynąć.

Jeden z magów uformował w dłoni kulę ognia, zupełnie jak śnieżkę, cisnął ją w kierunku murów zamku, i upadł do tyłu, skrajnie wyczerpany.

Zielony pocisk z gromowym hukiem rozerwał się na belkach nośnych mostu. Oto godny odzew wobec zawołania nieba. Zamek zadrżał, aż Tempest musiał się przytrzymać występu muru. Pradawne zaklęcia ziemi, które wiązały dębowe deski mostu i kamienie bramy, powinny w zasadzie to wytrzymać. Poprzedni atak, kwadrans wcześniej, ledwie je

Nie stworzono jednak jeszcze niczego, co mogłoby znieść uderzenie podobnie piekielnego żaru. Zielone płomienie owionęły most, sięgnęły żelaznych sztab, pogoniły jaskrawymi iskrami po przytrzymujących go w pionie łańcuchach. Po chwili okazało się, że

ten szczególny ogień w ogóle nie tyka drewna, nie narusza też kamiennych obramowań, że trawi tylko i wyłącznie żelazo.

Cedrick Tempest wyobraził sobie z przerażeniem, co ten żywioł mógłby uczynić z człowiekiem w zbroi.

Most opadł z rozgłośnym skrzypieniem.

Tempest krzyknął, spędzając obrońców z murów, by wzmocnili załogę wieży bramnej. Na dziedzińcu czekało trzystu rycerzy na koniach; w razie potrzeby mieli wypaść na przedpole, jednak bramę i tak blokowała barykada z wozów i beczek. W tej sytuacji przerażająco skromna. W ciemności, wśród padającego gradu, ludzie starali się zająć jak najlepsze pozycje. Niektórzy rycerze krzyczeli, aby atakować już teraz, póki jeszcze mogą coś zdziałać. Inni obrońcy próbowali wzmocnić barykadę u bramy. Rumaki rżały i wierzgały, niejeden rycerz spał przy tym z siodła i został stratowany.

Niebo znów poczerniało. To drugi z tkaczy zbierał energię. Chwilę później, chwilę, która dłużyła się w nieskończoność, posłał kulę ognia w górującą nad mostem wschodnią wieżę flankującą bramę.

Płomienie otoczyły podstawę budowli, niczym zielony pierścień nasunięty na kamienny palec. Jednak te płomienie były jak żywe i szukały wejścia. Kłębiły się wokół strzelnic i machikuł, lizały zaprawę, która spajała budowlę, aż w końcu wdarły się do wnętrza. Tempest pomyślał, że ta sztuczka tkaczy płomieni jest chyba jeszcze bardziej upiorna niż pierwsza.

Tego, co działo się dalej, wolałby nie widzieć, ale nie mógł odwrócić oczu.

Kamienie wieży niemal jęknęły z bólu, ze środka dmuchnęło potężnie i przez wszystkie otwory

wylał się oślepiający blask. Od fundamentów pod sam dach zapłonęło w wieży to, co wykonane było z drewna, od boazerii począwszy, na tarczach skończywszy, zapłonęły wełniane gobeliny, a także skóry, włosie i odzienie na ludziach.

Wszystko w jednej chwili.

W płomienistym piekle widać było miotające się sylwetki uwięzionych w wieży, słychać było krzyki umierających.

Z taką magią nie da się walczyć, pomyślał Tempest, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek sensownego konceptu. Właściwy atak jeszcze się nie zaczął, a brama już stała otworem, i to prawie nie broniona.

Przez gradobicie i ciemność przedarł się za mury krzyk Raja Ahtena:

- Przygotować się do szturm!

Tempest, który uprzednio stracił Wilka z oczu, teraz dojrzał go stojącego wśród swych ludzi na stoku pagórka. Patrzył na zamek, ale jakoś dziwnie, apatycznie.

Niemniej jego wyćwiczone oddziały wiedziały, co robić. Obsługa machin miotających ładowała żelazne kule do koszy. Szczęknęła salwa.

Obrońcy przycupnęli za blankami, co nie wszystkim pomogło. Łucznik obok Tempesta dostał kulą w ciemność i spadł z murów. Ludzie próbowali się chronić, unosząc tarcze nad głowy.

Kapitan poszukał spojrzeniem czarnoksiężnika z pustkowi - mag kulił się przerażony przy murze.

Wiatr dmuchnął z południa i na chwilę zrobiło się jaśniej. Tkacze płomieni pozwolili sobie na odrobinę odpoczynku. Tempest dojrzał, jak balon, nieco wcześniej sprowadzony na ziemię, teraz wznosi się niby graak, i to pomimo uporczywego gradobicia.

Czterech siedzących w koszu ludzi zaczęło wysypywać za burtę worki tajemniczych brudnożółtych, czerwonych i szarych proszków, które unosiły się w powietrzu jak kurz, a wiatr gnał je w kierunku zamku.

Tempest patrzył na to i wciąż się zastanawiał, gdzie też może być Orden, mrucał pod nosem, aby król wrócił i uratował ich wszystkich. Longmot to warowny zamek, chronią go runy ziemi, powtarzał sobie. Ale brama została już rozbita, a szturm dopiero się zaczynał.

Tkacze płomieni znów zaczęli ściągać z nieba ogniste warkocze. Ściana szmaragdowego ognia zajaśniała wkoło wielkiego stosu, znów rozjarzyły się ogniste runy. Poczerniałe konary drzew sterczały niczym płonące szczątki palczastych dłoni albo żelastwo ciśnięte w palenisko. W gorejącym środku kręgu tańczyli tkacze i piekielne salamandry...

Poza płonącym kręgiem zalegała coraz głębsza ciemność i niewiele dawało się dojrzeć na okrytym migotliwymi cieniami polu. Grad zabębnił przez chwilę ze wzmożoną siłą, a powietrze pobielało od mrozu. Tempest ledwie mógł oddychać.

Nagle dojrzał mroczne sylwetki olbrzymów, którzy podnosili leżące na ziemi drabiny.

Ludzie na murach sięgnęli po broń.

- Łucznicy, w gotowości! - krzyknął kapitan i zerknął znów na północ w nadziei, że ujrzy jeszcze wracającego Ordena.

Niemniej teraz był już niemal pewien, że król nie wróci, chociaż nie umarł, niestety, i węzowy pierścień nie został przerwany. Może Orden nie spotkał w ogóle Wilka, może ciągle biegnie gdzieś w bezowocnym pościgu. A może został unieszkodliwiony.

Tempestowi serce biło jak szalone, rozpaczliwie szukał sposobu obrony. Teraz mógł zrobić tylko jedno - wezwać rycerzy z węzowego pierścienia, by wyłonili nową głowę. Ale jak? Nie da się. Darczyńcy węża rozproszeni byli po różnych miejscach zamku. Nie miał czasu ich odnaleźć, porozmawiać ze wszystkimi.

Musiał zatem sam przerwać pierścień. Zabić jednego z darczyńców, a wtedy nowa głowa pojawi się samorzutnie.

Stojący na wzgórzu Raj Ahten uniósł wysoko rękę i opuścił ją nagle, jakby chciał chmury ściągnąć z nieba. Setki mastiffów pomknęły czarną falą w kierunku zamku.

Psy nosiły czerwone maski i żelazne obroże. Budziły grozę samym wyglądem. Ich przywódcy naszczekiwali krótko.

Olbrzymi z drabinami też ruszyli przed siebie, po dwóch na drabinę. Szli na pozór wolno, ale każdy ich krok mierzył cztery jardy. Czarne behemoty szykowały się do nocnego starcia.

Tempest nie miał czasu, aby wyjaśniać komukolwiek, co zamierza zrobić. Opuścił posterunek nad bramą i ruszył ku schodom.

- Kapitanie?! - krzyknął jeden z jego ludzi, jakby się bał, że Tempest może stchórzyć.

Kapitan nie tracił ani chwili. Krzyk podniósł się z pola, gdzie trzy tysiące łuczników ruszyło czym prędzej przed siebie, by nakryć chmurą strzał obrońców na murach zamku.

Tempest zatrzymał się jeszcze przy pierwszym stopniu i spojrzał za siebie.

Niezwycięzeni unieśli tarcze i zaczęli szturm. Na czele szło pięćdziesięciu ludzi z taranem, olbrzymim pniem zwieńczonym żelazną głową wilka. Kapitan niewiele wiedział o magii obłączniczej, ale poznał, że zastosowano tu sporo potężnych czarów. Wilcze ślepia jarzyły się czerwono.

W miejsce opadłego mostu obrońcy ustawili zbitą naprędce z belek i desek bronę.

Oparli ją o szczątki bramy. Taran nie powinien mieć z nią kłopotów. Dalej czekali konni.

Długie kopie trzymali w gotowości, zasłony hełmów mieli opuszczone. Wierzchowce przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę.

Bogaci w dary Niezwycięzeni galopowali, aż ziemia dudniła pod kopytami ich rumaków i gradem, który uderzył z nową mocą.

Zastępy olbrzymów z drabinami wysforowały się naprzód, towarzyszył im oddział z taranem. Brudne chmury ciskanych z balonu pyłów zawisły nad zamkiem jak zwiastun zagłady.

Tempest przystanął jeszcze na chwilę za barykadą przy bramie. Nie był do końca zdecydowany, czy zostać tu ze swoimi, czy pospieszyć dalej i zabić Shostaga.

Z drugiej strony pola znów dały o sobie znać katapulty...

Raj Ahten spojrzał z aprobatą na katapulty wyrzucające w powietrze ładunek sproszkowanych minerałów: siarki, potasu i magnezu, które miały się zmieszać nad zamkiem z solami rzuconymi wcześniej na wiatr z kosza balonu. Moment ich wystrzelenia tak obliczono, by rozsypały się po niebie dokładnie w chwili, gdy taran znajdzie się sto jardów od mostu.

Łucznicy na murach, mimo ciemności i gradu, zauważyli, że wystrzelono salwę, i rzucili się za zęby blanków, przez co utracili tych parę cennych chwil potrzebnych na wycelowanie w Niezwycięzonych.

Przez długie lata Raj Ahten utrzymywał i żywił tkaczy płomieni. W górach na południe od Avenu płonęły wieczne ognie, które mogli wykorzystywać do swej magii. Wilk wierzył, że jego podopieczni należą do najgroźniejszych w swym rodzaju.

Oni zaś prowadzili wyteżone badania nad materiałami wybuchowymi. Z dawna wiedziano, że podczas wsypywania owsa i ryżu do spichlerza płomyk małej lampki mógł zapalić powietrze wewnątrz pomieszczenia, doprowadzając do eksplozji. Górnicy drążący sztolnie głęboko pod masywami Muiyatynu opowiadali, jak pył węglowy iskrzył w zetknięciu z ich latarniami, a czasem wybuchał tak gwałtownie, że całe korytarze się zapadały. Przez pokolenia ludzie zbierali kwiat ogórecznika, by dodawał im odwagi, a dzieci z radością rzucały uschnięte badyle do ognia i słuchały, jak strzelają w płomieniach.

Nikt jednak się nie zastanawiał, jak tę wiedzę spożytkować. Nikt prócz tkaczy płomieni Raja Ahtena, którzy przebadali zjawisko i nauczyli się przygotowywać drobno zmielone mieszanki.

Wilk patrzył teraz z satysfakcją i podziwem, jak zwracają się długie lata tych ponurych i kosztownych poszukiwań. Ostatnie warkocze ognia spłynęły na ziemię i niebo wkoło poczerniało. Zagrzmiało, znów zaczął tłuc grad.

Wielki stos magów zgasł nagle jak zdmuchnięta świeczka, zielone ściany opadły, gdy istoty pośrodku kręgu wchłonęły całe światło i ciepło. Zaległa ciemność.

W tych warunkach żaden łucznik nie mógł dostrzec celu. Obrońcy zamku zrobili jedyne, co im jeszcze zostało, i nad polem popłynęła ponura pieśń. Oddziały wroga przemykały pod osłoną mroku coraz bliżej murów.

Gdy łucznicy unieśli się, by spróbować jednak porazić niedostrzegalnych napastników, ze środka stosu wystrzelił oślepiający snop światła. Niczym żywe słońce uniósł się nad tkaczami i salamandrami i zieloną falą runął w kierunku zamku. Na mgnienie oświetlił przerażone twarze obrońców Longmot. Odważnych, ale nienawykłych do oręża młodzików, dzielnych mężów, którzy choć w strachu, wciąż patrzyli wyzywająco na wroga.

W końcu powódź ognia dotarła do unoszących się w powietrzu pyłów.

W jednej chwili cała połać nieba nad bramą zamieniała się w piekło. Z wielkim rykiem prochy eksplodowały chmurą ognia, szeroką u podstawy na jakieś sto jardów.

Chmura przybrała po chwili kształt grzyba, który zaczął rosnąć i puchnąć, aż podniósł się na milę nad ziemię. Podmuch zmiotł obrońców z murów niczym szmaciane lalki. Wielu ogłuszył, inni uciekli przerażeni.

Jednak to nie było wszystko. Niemal w tej samej chwili mury zamku i setki stojących tam wciąż obrońców ogarnęła ściana ognia.

Na blankach, z dala od wieży bramnej, wojownicy tłoczyli się ramię w ramię, na sześciu głęboko. Zielone płomienie przetoczyły się po nich niczym morskie fale.

Longmot idealnie nadawał się do wypróbowania nowej broni. Południowy mur był długi ledwie na sto dwadzieścia jardów i na tej niewielkiej przestrzeni zebrała się większość obrońców.

Tkacze płomieni unicestwili zapewne ze dwa tysiące spośród nich. Chmura w kształcie grzyba wciąż rosła, magowie zaś padli nieprzytomni wśród szczątków stosu, który wygasł do ostatniego płomyka. Nawet dymu nie było, a poczerniałe kłody rozpadły się błyskawicznie w szary popiół.

Niemniej rozgrzane do białości salamandry poderwały się nagle, niczym wypuszczone z klatki, i pobiegly żwawo w stronę zamku.

Przed bramą rozgrywało się pandemonium. Zastępy olbrzymów dotarły do murów, a łucznicy wypuścili całą chmurę strzał; w zasadzie niepotrzebnie. Niezwycięzeni zaczęli się wspinać po drabinach.

Na blankach nikt na nich nie czekał. Wybuch i fala ognia oczyściły parapety z obrońców.

Wieża bramna stała pusta, wschodnia wieża flankująca zmieniała się w dymiącą ruinę.

Na posterunkach została tylko skromna obsada zachodniej wieży, rekrutująca się z ludzi króla Ordenu. Wylali wrzący olej do kanałów i nagle kamienne machikuły nad bramą rzygnęły płynną śmiercią na głowy oddziału z taranem.

Niektórzy padli poparzeni, jednak sam impet starczył, aby taran dotarł do drewnianej brony.

Wilczy łeb rozerwał się w zetknięciu z przeszkodą, uwalniając całą zgromadzoną w nim magiczną energię. Kratownica rozpadła się, siejąc wkoło kawałkami drewna.

Obrońcy zdążyli tylko krzyknąć, i zginęli zmasakrowani.

W umyśle Raja Ahtena roztańczył się osobliwy ognek.

Wiedział, że teraz już winien wstrzymać swoje oddziały. Okrutna rzeź nie miała sensu, lepiej by zrobił, zachowując obrońców przy życiu. Ci ludzie mieli całkiem sporo cennych darów, nie należało ich marnować. Podli i nic nie znaczący wsparliby swymi żywotami szlachetny cel.

Jednak woń palonego ciała oszołomiła Raja Ahtena. Wbrew rozsądkowi drżał cały, czekając, aż się dokona dzieło zniszczenia.

Cedrick Tempest przebiegał właśnie między dwoma kołmi, zmierzając w kierunku kuchni, gdzie ukrył się Shostag, gdy zielony płomień omiółł blanki i wielka kula ognia wypełniła niebo.

Szczęśliwie patrzył akurat w ziemię i oddalał się od miejsca, w którym nastąpił wybuch, przez co gorący podmuch tylko cisnął go na bruk. Uderzenie wgięło mu hełm, a żar spopielił część ubrania i poparzył skórę. Na chwilę stracił oddech.

Konie wierzgały i przewracały się. Jeden z nich upadł tuż obok, zrzucając dosiadającego go rycerza na Tempesta.

Kapitan stracił na moment przytomność. Gdy ją odzyskał, zaczął pełznąć odruchowo, szukając schronienia. Z murów spadały fragmenty ludzkich ciał, poszarpane i popalone.

W pewnej chwili poczerńiałe zwłoki jakiegoś chłopca uderzyły go prosto w głowę, czyjaś oderwana ręka spadła tuż obok. Wiedział już, że nie przeżyje tego dnia.

Trzy dni temu odesłał żonę i dzieci do zamku Groverman, sądząc, że tam będą bezpieczni. Miał nadzieję, że sam też przetrwa i jeszcze ich ujrzy. Pamiętał, jak patrzył za nimi: dwóch pędraków jechało wierzchem na kucu, najmłodsze żona trzymała na rękach, a najstarsza córka robiła, co mogła, by wyglądać dorośle, i z drżącymi ustami powstrzymywała łzy przerażenia.

Tempest spojrział na zachodni mur. Był prawie pusty. Ci nieliczni, którzy na nim zostali, wyglądali na ogłuszonych, zdezorientowanych.

Nagle na blankach południowej wieży pojawiła się salamandra. Rozejrzała się wkoło. Cedrick zakrył twarz, byle tylko nie napotkać spojrzenia piekielnego stworzenia.

Coś huknęło pięćdziesiąt jardów za nim, tym razem słabiej. Kapitan spróbował podnieść się na kolana i obejrzeć. Niezwycięzeni przebili się z taranem przez skromną barykadę za bramą. Zaporę rozniosło, wkoło poleciały płonące kawałki drewna.

Wszyscy stojący w pobliżu zginęli pod gradem szczątków, ale i tak nie było ich wielu. Paru rycerzy siedziało jeszcze w siodłach, ale powaleni towarzysze zatarasowali im drogę.

Bitwa była przegrana. Obrońcy zostali pokonani, tysiące ich krzyczały i wiły się z bólu. Strzały przelatywały nad murami i spadały śmiertelnościami deszczem, dobijając rannych.

Kilkuset ludzi nadbiegło od północnej strony zamku, by zorganizować jakąś obronę bramy, ale Niezwycięzeni biegli już na nich tysiącami. Psy bojowe w skórzanych maskach goniły po ulicach, zagryzając wszystko, co żywe, rycerzy i konie, pożerając czasem to, co wyrwały zębami.

Tempest nie stracił jeszcze nadziei, że uda mu się znaleźć Shostaga i zabić go, aby wąż zyskał głowę. Jednak prawie stracił już orientację. Krew zalewała mu twarz.

Padł przygnieciony ciężarem biegnących w największy wir walki mastiffów.

49

KRÓL ZIEMI UDERZA

Binnesman galopował przez wrzosowisko ku Gabornowi i Iomie. Wkoło unosiła się chmura kurzu wzbitego uderzeniami tysięcy stóp i kopyt.

Książę spojrział uważnie na czarnoksiężnika. Po raz pierwszy widział go w pełnym blasku dnia. Włosy Strażnika Ziemi zbieleły, workowate szaty utraciły barwę leśnej zieleni i mieniły się teraz jesiennymi szkarłatami i odcieniami pomarańczowego.

Gaborn jechał tak blisko Iomy, że chwilami stykały się ich kolana. Nie śmiał zarządzić postoju, by powitać czarnoksiężnika, bo zbyt wielki był podążający za nim tłum ludzi i zwierząt, ale chciał porozmawiać z Binnesmanem, usłyszeć, co zielarz ma do przekazania.

Strażnik Ziemi przed dłuższą chwilę przypatrywał się armii księcia, po czym zawrócił konia i niemal się zatrzymał.

- To bydlę ma armię Ahtena pożywić czy stratować? - spytał w końcu, nie kryjąc zdziwienia.

- Jedno albo drugie, wedle potrzeb - odparł Gaborn. Binnesman pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Usłyszałem krzyk przestraszonych ptaków i jęk ziemi gniecionej ciężarem stóp.

Sądziłem, że zdołałeś zebrać armię, i pomyślałem, że szczęśliwie zniszczyłem stary most nad Przepaścią Krzywdy. Raj Ahten nie dostanie posiłków z zachodu.

- Doceniam to. A co poza tym możesz mi powiedzieć? Czy ta druga armia już się pojawiła?

- Nie. Nie sądzę też, aby była blisko.

- Może szczęście nam sprzyja.

- Może i tak - przyznał Binnesman.

Na horyzoncie, tuż nad linią pokrytych lasem wzgórz, znów na kilka chwil zaległa ciemność, intensywniejsza jednak niż dotąd. Czarna wstęga, która spowiła widnokrąg.

Pod niebo wzniosł się z wolna wielki słup dymu, świadectwo eksplozji większej niż wszystko, co Gaborn widział do tej pory. W Longmot musiało się zdarzyć coś strasznego.

- Gabornie - powiedział Binnesman - użyj swych talentów otrzymanych od ziemi.

Wejrzyj w bieg wydarzeń i powiedz mi, co się dzieje.

Księżę przymknął powieki. Przez chwilę nic nie czuł i zwątpił nawet, czy Binnesman ma rację, twierdząc, że otrzymał dar Widzenia.

Potem słabo coś się pojawiło. Poczł więzi łączące go z jego ludźmi. Mocne i wyraźne. Zrozumiał, że chociaż tylko ojca wybrał dotąd świadomie na towarzysza broni, to od wielu dni bezwiednie wyznaczał także innych. Myrrimę na rynku w Bannisferre, Borensona... I Chemoise, gdy ujrzał, jak taszczy ojca do wozu. I jego także.

Teraz wiedział, że wszyscy oni znaleźli się w niebezpieczeństwie. Wielkim niebezpieczeństwie. Przeląkł się, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, ci ludzie zginą.

Uderzcie, podpowiedział im bezgłośnie w myślach. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy.

Kilka chwil później zatrzęsła się ziemia i nad równiną przetoczył się łoskot podobny do gromowego huku odległej burzy.

50

OTWARCIE

W zamku Sylvarresta Chemoise szykowała akurat obiad w spizarni. Impuls, by uderzyć, pojawił się tak nagle i zaskakująco, że i reakcja była czysto odruchowa. Dziewczyna rozłupała dłonią cały krąg sera.

Myrrima była mniej porywcza. Szczęśliwie zachowała rozsądek. Ukryła się w drżącym od odległych wybuchów budynku i patrzyła na czarne niebo. Nie mogła uderzyć na Niezwycięzonych, wiedziała, że nie jest dla nich żadnym przeciwnikiem. Pobieгла zatem na górę, by skryć się pod jakimś obszerniejszym łóżem.

Sześć lat wcześniej Eremon Vottania Solette wybrał życie darczyńcy Salima al Dauba, gdyż chciał jeszcze zrealizować dwa marzenia. Pierwsze dotyczyło jego córki i nadziei, że jednak ją kiedyś ujrzy. Drugie wymagało cierpliwości. Pragnął dożyć dnia, gdy w pełni sprawny obudzi się wśród darczyńców Raja Ahtena.

Z czasem nadzieje te osłabły. Darmistrzowie Wilka wyssali zeń zbyt wiele, omal nie umarł. Ograbiony ze sprawności leżał z bezużytecznymi, sztywnymi jak w stężeniu pośmiertnym kończynami.

Życie stało się jedną udręką. Mięśnie klatki piersiowej napinały się posłusznie, gdy chciał wciągnąć powietrze, ale potem musiał świadomie je rozluźnić, żeby doprowadzić do wydechu. Czasem nawet i serce przestawało na chwilę pracować, a wtedy leżał milczący, czekając ze strachem na śmierć.

Nie mogąc swobodnie otworzyć ust, mówił z wysiłkiem, przez zaciśnięte zęby. Nie potrafił przeżuć niczego, jeśli nawet przełknął cokolwiek poza cienkim bulionem, który wlewali mu do gardła śluzę Wilka, to kęs zalegał potem w żołądku ołowiem.

Opróżnienie pęcherza lub pozbycie się stolca sprawiało mu mnóstwo kłopotów i wymagało wielu godzin ciężkiego wysiłku.

Pięć darów sił żywotnych stało się brzemieniem, bo utrzymywały go przy życiu, którego wcale już nie pragnął. Często modlił się, aby król Sylvarresta zabił wreszcie ludzi służących mu swymi darami, ale wiedział, że władca nie posunie się do takiego okrucieństwa.

Eremon marniał dalej. Aż do ostatniej nocy. Dzisiaj poczuł wreszcie, że śmierć jest już blisko.

W zasięgu ręki.

Palce zwinęły mu się boleśnie w pięści. Lata całe przeleżał skulony, złożony we dwoje. Chociaż dary krzepy dawały mu wciąż siły, to jednak mięśnie częściowo zanikły.

Trwał zatem w bezruchu, uwięziony w słabnącym ciele, i wiedział, że nigdy nie dopełni już zemsty, że pozostanie bezradnym narzędziem Raja Ahtena.

I tak zdało mu się cudem, gdy spełniło się pierwsze z jego marzeń. Raj Ahten zabrał go do Heredonu, by rzucić bezwładne ciało u stóp Sylvarresty, zawstydzić dobrego króla.

Wilk potrafił się czasem zdobyć na wiele wysiłku, by tylko dokuczyć innym.

I tak niebywałym zrządzeniem losu Eremon ujrzał córkę. Chemoise wypiękniała, nie przypominała już tego brzydkiego dziecka, którego pamiętał sprzed wyprawy. Zobaczył ją, i to było dość. Teraz czuł, że jego życie się dopełniło, że teraz czekają go już tylko długie lata coraz głębszego zapomnienia.

Niemniej nagle otworzyła się przed nim jeszcze jedna szansa. Tego dnia wóz zatrząsł się nagle, gdy ktoś wspiął się na platformę przed wejściem, otworzył drzwi.

Eremon uchylił powoli powieki. W ciemnym wnętrzu wozu kłębił się rój much żerujących na brudnych jak nieszczęście darczyńcach. Wszyscy leżeli stłoczeni niczym solone piskorze w beczce, za całe posłanie mieli przegniłą słomę.

W otwartych drzwiach stali darmistrze w szarych szatach. Wpadające do środka promienie słońca oślepiały, ale nie do końca. Eremon dostrzegł oparte o ścianę bezwładne ciało. Nowy darczyńca. Kolejna ofiara.

- Co my tu mamy? - spytał strażnik. - Metabolizm?

Darmistrz skinął głową. Eremon widział szramy na ciele mężczyzny - cały tuzin darów metabolizmu. Przyjął je i posłużył Rajowi Ahtenowi za pośrednika.

Darmistrz rozejrzał się, szukając miejsca, w którym można by złożyć przyniesionego. Gdy śpiący obok Eremona ślepy darczyńca zmienił bok i przytulił się w poszukiwaniu ciepła do drugiego sąsiada, darmistrz zaraz dostrzegł lukę, która otworzyła się obok Eremona, i mruknął w swoim języku: Mazza, halab dao abo. „Tutaj, przesun to wielbłądzie łajno”.

Ktoś odtrącił sztywne nogi Eremona na bok, jakby rzeczywiście chodziło o wielbłądzi nawóz, i ułożył nowego darczyńcę.

Eremon spojrział w odległą o niecałe pięć cali twarz eunucha Salima al Dauba. Grubas oddychał

bardzo wolno, co świadczyło, że faktycznie oddał dar metabolizmu. Człowiek, który ograbił Eremona z jego daru, leżał obok, całkiem bezbronny. I był pośrednikiem.

Najpewniej pośrednikiem Raja Ahtena, pomyślał rycerz.

Eunuch był pogrążony w chorobliwym śnie, z którego nie miał się już nigdy obudzić. Eremon zamierzał tego dopilnować.

W wozie czuwał strażnik, siedział na wysokim stołku w przeciwległym kącie, w dłoni trzymał szablę, twarz miał bezgranicznie znudzoną. Eremon nie mógł ryzykować szybkiego ruchu, nie chciał przecież ściągać na siebie uwagi gwardzisty. Ale, czy w ogóle będzie do tego zdolny? Od sześciu lat nie poruszył się przecież szybciej niż mucha w smole...

Długo i niespiesznie próbował rozprostować prawą dłoń. Szło ciężko. Na dodatek czuł się zbyt pobudzony, za bardzo nabrzmiały gniewem. Przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że zabijając tego człowieka, dokona dwóch rzeczy: odzyska swój dar i poważnie nadszarpnie olbrzymi potencjał metabolizmu Raja Ahtena.

Na zewnątrz wrzała bitwa. Ciemność przesłaniała chwilami niebo i w wozie cienie zalegały na zmianę z jasnością. Słyszać było krzyki ludzi na murach zamku.

Eremon pożałował, że nie ma już swoich darów krzepy i nie może udusić Salima tak, aby eunuch nie umarł lekko. Ale, niestety, te dary utracił ostatniej nocy.

Robił, co mógł, żeby otworzyć tę przekłętą, zmartwiałą dłoń. Nagle, gdy tak się zmagił, poczuł przyływ przemożnego pragnienia. Uderzyć. Zaatakować, jeśli tylko się da! Gdy to pomyślał, jego dłoń rozprostowała się nagle bez wysiłku niczym otwierający się kwiat.

51

NA GÓRSKIM SZLAKU

Borenson jechał z Bannisferre na wpół oszalały, prawie jak opętany i niezbyt świadom tego, co robi. Wyobrażał sobie wciąż, jakie spustoszenie posieje, gdy dopadnie wreszcie oddziały Raja Ahtena.

Zbliżając się do Longmot od północy, nie dostrzegał żadnych śladów walki. Zbyt wiele wzgórz i gór zasłaniało mu widok. Nie widział też spowijającej niebiosy ciemności, gdyż snujące się nisko chmury i tak rzucały dość cieni. Raz zdało mu się, że słyszy jakieś krzyki, ale były tak słabe, że równie dobrze mogły być złudzeniem, tłem ponurych obrazów, które wciąż kotłowały mu się w głowie.

Na południe od górskiej wioski Kestrel skręcił z drogi i pogonił wierzchowca leśną ścieżką w nadziei, że prędzej dotrze do celu. Kiedyś sporo polował tutaj ze swym królem. Znajdował się akurat trochę na północ od wielkiej i wygodnej chaty myśliwskiej Grovermana.

Nie bał się ani dzikich zwierząt, ani leśnych upiórów. Jedno go tylko niepokoiło: że dotrze do Longmot za późno.

Gdy jego koń piął się po stoku, zaczęło się nagle robić coraz zimniej. Lodowata mżawka przenikała do szpiku kości, ścieżka zrobiła się zdradliwie śliska.

Niebawem deszcz przeszedł częściowo w śnieg, o wiele trudniejszy do pokonania niż droga.

Borenson stracił, miał zyskać na czasie.

Wysoko na stoku, na okolonej osikami polanie, trafił na trop raubena biegnący w poprzek ścieżki. Rauben ciągnął tędy coś ciężkiego, i to ledwie parę godzin temu, tuż przed świtem. Ziemia pokryta była krwawymi plamami z odrobiną mazi stawowej z rozciętej widać kończyny. Ślady raubena miały prawie trzy stopy długości, dwie szerokości. Z czterema palcami. Samica. Duża samica.

Borenson przyjrzał się tropom, nie schodząc z konia. Wśród stosu ostrych kamieni dostrzegł

strzępki czarnej sierści. Mogły pochodzić z wlezionej przez drogę padliny, zapewne z dzika. Choć były trochę zbyt czyste jak na dziczą szczecinę. Borenson wciągnął

powietrze nosem. Niedźwiedź, bez wątpienia. Rosły samiec. Równie mocno zalatujący piźmem jak dziki z Mrocznej Puszczy, ale nie tak brudny.

Raz jeszcze spróbował wyczuć woń raubena, ale niczego nie wywachał. Raubenowie mistrzowsko upodabniali swój zapach do zapachów otoczenia.

Borenson spojrział na trop. Bardzo by chciał nim ruszyć, chociaż kawałek...

Ale Myrrima mogła znajdować się w niebezpieczeństwie. Trochę potrwa, nim Raj Ahten przystąpi do oblężenia, odpocznie z dzień, przygotowując się do bitwy. Może poczeka na swą armię okupacyjną.

Borenson obawiał się jednak, że nie zdąży dotrzeć do zamku przed zamknięciem oblężenia, nie zdoła pomóc Myrrimie.

Musiał zatem poniechać raubena. Samica dotarła już pewnie wysoko w góry i przysiadła pod jakimś szczytem, by się posilić. Na dodatek teren nie sprzyjał

pościgowi: konary osik rozgałęziały się bujnie, poszycie urosło przez długie lato gęste i wysokie.

Trudno byłoby ją dogonić. Raubenowie wyczuwali ruch, dźwięk odbierali jako drgania. Podejść można ich było, tylko skradając się cicho i możliwie powoli, unikając regularnego kroku. Przez chwilę Borenson się nad tym zastanawiał. Nagle gdzieś z dali doleciał go nie tyle głos, ile trudny do opisanego zew. Zew przymuszający do działania. Uderz! Zaatakuj, jeśli tylko możesz!

Jego król go potrzebował. Myrrima go potrzebowała.

Pogonił wierzchowca przez tworzący się z wolna dywan śniegu. Pierwszy tej jesieni. Wokół nozdrzy konia tworzyły się kłęby pary. Serce waliło Borensonowi jak młotem.

Jutro będzie pierwszy dzień Hostenfest, pierwszy dzień polowania, przypomniał sobie i skupił na tym myśli, by się uspokoić. To byłoby dobre polowanie, skoro spadł śnieg. Dziki zejda w doliny i zostawia masę śladów. Zakładałby się z Derrowem i Aultem, który król pierwszy wrazi włócznię w dziką świnię. Borenson zatęsknił za ujadaniem psów, głębokim graniem rogów. Za nocnymi ucztami przy ogniskach.

Najpierw jednak muszę uderzyć, pomyślał, poganiając konia do jeszcze szybszego biegu. Chciał zaatakować, na razie jednak brakowało mu celu.

Powrócił niepokój, czy na pewno zabił wszystkich darczyńców w zamku Sylvarresta.

Uderzyłem, jak tylko mogłem, powiedział sobie. Zgładził wszystkich, których zobaczył, ale część mogła zostać przeprowadzona z warowni do miasta.

Walka pomiędzy Władcami Runów nigdy nie była sprawą prostą. Liczyła się i liczba darów, i umiejętności, i wprawa wojowników. Ważna była także równowaga pomiędzy samymi darami. Raj Ahten miał ich tyle, że zabijanie jego darczyńców było niemal niecelowe. Jednak silny Władca Runów, odarty nagle z rozumu i sprawności, stawał

się zwykłym ciurą, bez szans w walce. Gdyby zabrać mu szybki metabolizm, to choćby miał dziesięć tysięcy darów krzepy, byłby zbyt wolny, aby je wykorzystać, tylko by się pętał po polu bitwy. Stałby się wojownikiem o „niefortunnych proporcjach darów”.

Zabijając ludzi w zamku Sylvarresta, Borenson pozbawił Raja Ahtena wielu darów sprawności, które Wilk zachłannie ściągał od setek mężczyzn. Co oznaczało zapewne, że czuł

nadmiar krzepy, która nadmiernie napinała mięśnie, czyniła go niezgrabnym. Może ten brak równowagi da jakieś szansę Ordenowi, gdy król stanie do walki z Wilkiem.

Tak więc Borenson miał nadzieję, że wykonał zadanie. Wiedział, że jego nieudolność mogłaby

kosztować Ordenu życie. Nie zniosłby takiej hańby. Niemniej i tak cały czas palił go wstyd i nie mógł sobie darować, że nie zabił króla Sylvarresty i Iomy. Wielu, bardzo wielu zapłaciło najwyższą cenę za to, że poniechał tych dwojga. Wilk zaś tylko na tym zyskał.

Niewiele co prawda, ale jednak. Niemniej gdyby Borenson i kilku jeszcze innych zabójców uderzyli na jego darczyńców we właściwym czasie, może zaburzyliby równowagę darów Raja Ahtena.

Dzisiaj zapoluję na Wilka, powiedział sobie Borenson i pozwolił, aby opadł go morderczy nastrój, okrył wszystkie inne myśli jak płaszcz.

Dziś jestem śmiercią. Dziś na niego zapoluję. Nie będę szukał innej zwierzyny.

Mniejsza o raubena.

W wyobraźni, na zimno przygotowywał się do zabijania. Układał plan spotkania ze zwiadowcami armii Ahtena. Powinni kręcić się przy drodze mile od Longmot. Runie na nich z góry, nie zostawi świadków. Potem zabierze któremuś mundur i dotrze w zamieszaniu do pierwszej linii. Tam pogalopuje prosto do Raja Ahtena, jakby był posłańcem z pilną wiadomością. I przyniesie śmierć.

Wojownicy z Inkarry utrzymywali, że wojna to mroczna dama, która obdarza łaskami tylko tych, co zapamiętują się w jej służbie. Mieli ją za jeden z żywiołów, jak powietrze, ogień czy woda. Niemniej w królestwach Rofehavanu powiadano, iż wojna to tylko jeden z aspektów ognia i że nikt nie powinien jej służyć.

Chociaż może ci przekłęci Inkarranie wiedzą lepiej? W końcu byli mistrzami wojny.

Borenson nigdy nie marzył o łaskach Mrocznej Pani, nigdy wcześniej się do niej nie zwracał, obecnie jednak modlitwa sama przyszła mu na usta. Pradawna modlitwa, którą nie raz słyszał, ale sam nigdy dotąd nie ośmielił się jej wypowiedzieć.

Weź mnie w ramiona, Mroczna Pani, weź mnie.

*Otul mnie całunem i niech twój oddech słodki
policzki mi zmrozi. Niech ciemność zapadnie
nade mną, niech twą mocą mnie wypełni.*

Wzywam cię dziś, Pani. Dziś jestem śmiercią.

Jechał, uśmiechając się. Nagle zaniósł się głębokim, gardłowym chichotem, który płynął jakby nie z jego trzewi, ale z jakiegoś innego miejsca w okolicy. Z gór, a może z drzew...

52

PRZEPIĘKNY DZIEŃ

Obolały Orden nie potrafił orzec, jak długo leżał w omdleniu. Krew na ustach jeszcze nie zaschła, na języku czuł miedziany posmak. Raj Ahten zaraz znów mnie kopnie, pomyślał Mendellas Orden. Zamęczy mnie na śmierć.

Ale nic takiego nie następowało. Orden leżał słaby, ledwie przytomny i czekał na śmiertelny cios, który nie nadchodził.

Z tyłoma darami sił życiowych król mógł znieść nawet bardzo rozległe obrażenia bez groźby śmierci. Czekają go zapewne tygodnie powrotu do zdrowia, ale nie zgon.

I tego właśnie obawiał się najbardziej.

Otworzył zdrowe oko i spróbował ujrzeć cokolwiek. Słońce przeświecało mgławo przez chmury; nagle niebo poczerniało.

Polana wkoło była pusta.

Przełknął z wysiłkiem i spróbował zebrać myśli. Zapadając w omdlenie, słyszał słabe metaliczne pobrzękiwanie. Możliwe, że to Raj Ahten gdzieś odbiegał.

Orden zerknął na skraj pola u stóp wzgórza. Wiatr kołysał łagodnie sosnami, trawa kłoniła się, jakby trwale przygięta do ziemi, w powietrzu wisiało stadko szpaków. Dziwnie wyglądały, unoszone wiatrem niczym pył ostu, parę piędzi od niego. Ale Orden żył tak szybko, że nawet wicher byłby dlań tylko podmuchem.

Raj Ahten uciekł.

Zostawił mnie, pojął Orden, bo dotarło doń, że mogę być częścią węża. Zostawił mnie, by tym łatwiej zaatakować zamek. Z dali dobiegał głuchy ryk, coś jak wściekły szum morza, gdy przypływno zagarnia plażę. W obecnym stanie Ordena świat dźwięków też był jakiś inny.

Po chwili zrozumiał, że to, co słyszy, musi być wrzawą bitewną. Podźwignął się na jednej ręce i spojrzał ponad stokiem Tor Lomanu na zamek Longmot.

To, co ujrzał, przeraziło go.

Za zasłoną deszczu czy mokrego śniegu szalał pod murami wielki, nieziemski ogień, na którym żerowali tkacze płomieni i salamandry. Co chwila fale zielonych płomieni ruszały z łoskotem ku zamkowi. Przez pole nadciągały z drabinami zastępy olbrzymów, mastiffy w maskach i żelaznych obrożach zbliżały się ciemną, skotłowaną masą ku bramie. Zewsząd nadjeżdżali Niezwyciężeni, obstępując zamek jak mrowie robactwa, uniesionymi tarczami odbijali strzały, broń trzymali w gotowości.

Wojska Raja Ahtena szturmowały Longmot. Niebo nad zamkiem było czarne, ku ziemi płynęły z niego warkocze ognia.

Królowi Ordenowi zdawało się, że na długie chwile zaległ mrok, błyskały w nim jedynie te osobliwie zapętlone strugi ognia ściągane przez tkaczy płomieni.

Nic nie mógł na to poradzić. Nie był zdolny ruszyć do walki: ledwo miał siły, żeby pełznąć.

Załkał cicho. Raj Ahten zabrał mu przeszłość i teraźniejszość. A teraz też przyszłość.

W półmroku Mendellas dźwignął się z wysiłkiem i ruszył niezdarnie po kamiennych stopniach wieży Tor Lomanu. By odegnać fale bólu napływające z połamanych kończyn, zaczął wspominać dobre czasy, uczyty w jego zamku w Mystarrii wydawane w połowie zimy, w Dzień Podarków.

Rano nad błotnistymi nizinami zawsze kłębiła się gęsta mgła, tak że gdy spojrzało się ze szczytu wielkiej wieży na mokradła, widziało się tylko czystą pokrywę oparów, chmur prawie, jakby było się Władcą Nieba płynącym na statku obłocznym. Gdzeniegdzie wystawały z tego morza pomniejsze iglice dworu w Tide, dalej zaś zieleniały sosnowe puszcze porastające zachodnie wzgórza, a na południu błękit nieba odbijał się w lśniących wodach Morza Carolla.

W takie dni uwielbiał zachodzić do swego obserwatorium i przypatrywać się ciemnym kluczom odlatujących na zimę gęsi, które przeciągały po niebie.

Szczególnie dobrze pamiętał jeden taki przepiękny dzień, gdy ożywiony szczególnie pięknym świtem zszedł właśnie z wieży i udał się do sypialni żony.

Zamierzał zabrać ją do obserwatorium, pokazać jej wschód słońca. Kilka tygodni wcześniej nagły przymrozek zabił róże w jej ogrodzie i chciał, żeby ujrzała, jak wysuwające się znad horyzontu słońce barwi mgły na najdelikatniejszy odcień różu.

Jednak gdy wszedł do sypialni, ona uśmiechnęła się tylko, słysząc, o czym mówi, i zaproponowała całkiem inną rozrywkę.

Kochali się na tygrysiej skórze przed kominkiem.

Gdy skończyli, słońce stało już całkiem wysoko na niebie. Biedni zebrali się przed zamkiem w oczekiwaniu na zimowe podarunki.

Król i królowa musieli do nich wyjść. Resztę dnia objeżdżali ulice na wielkich wozach i rozdawali potrzebującym mięso, rzepe, suszone owoce i srebro. Ciężko pracowali, przystając tylko

na chwilę, by wymienić uśmiechy albo dotknąć się przelotnie.

Orden od lat nie myślał już o tamtych dniach, chociaż wszystko, widoki, dźwięki i zapachy, trwało nie zmienione w jego pamięci. Mając dwadzieścia darów rozumu, mógł przywoływać je w każdej chwili. Również tamten, magiczny dzień. Znacznie później dowiedział się, że wówczas właśnie począł z żoną ich pierwsze dziecko, Gaborna.

Jakże za nią tęsknił...

Gdy dowlekl się na szczyt Tor Lomanu, światło wróciło na niebiosy. Spojrzał z przerażeniem na monstrualną ścianę ognia sunącą ku zamkowi. W powietrzu wisały dziwne frędzle jakichś pyłów: te żółte to była siarka, ale poza nią było jeszcze coś czerwonego, szarego i czarnego.

Z tej odległości rozległa, zielona ściana zdawała się sunąć bardzo powoli, niemal w tempie piechura. Orden z wysiłkiem wpełzał na ostatnie stopnie, i to też trwało długo, upiornie długo.

Po drodze zastanawiał się, po co Raj Ahten właściwie tu biegł. Nie po to, żeby spojrzeć na Longmot, bo to akurat nic by mu nie dało. Nie, musiało go zaniepokoić coś całkiem innego.

Król spojrzawszy zatem na wschód i ujrzał chmurę kurzu wznoszącą się nad równiną, jakby szalał tam pożar traw. Ujrzał też odbłask słońca na tarczach armii maszerującej od zamku Groverman.

Mimo ogromu tej kurzawy, Orden wiedział, że to nie może być wielka armia. Góra trzydzieści tysięcy pospólstwa maszerującego po pylistym wrzosowisku. Nie mogli się równać z Niezwycięzonymi.

Jednak Orden wiedział też, że na czele tej armii jedzie jego syn.

Bez wątpienia Gaborn nie był takim głupcem, żeby naprawdę zaatakować Raja Ahtena. Nie, to musiał być podstęp. Orden uśmiechnął się. Przeciwno komuś o inteligencji Raja Ahtena podstęp mógł być potężną bronią. Książę walczył najlepiej, jak mógł

w tych okolicznościach. Poza tym w wielu starciach zwycięstwo przypadało temu, kto nie chciał się poddać, a książę nie był tchórzem.

Dobry fortel, powiedział sobie Orden. Raj Ahten uwierzył najpierw, że Longmot został zdobyty wiele dni temu, a teraz ujrzał armię przybywającą, by go zmiążyć. Pozostało mieć nadzieję, że podstęp zadziała.

Nagle Ordena ogarnął lęk. Gaborn chyba nie zaatakuje? Chyba nie...

Owszem, zaatakuje, pomyślał nagle Orden. Jeśli uzna, że w ten sposób może uratować ojca, zaatakuje na pewno. Zresztą, czy sam nie kazałem mu tak uczynić? pomyślał

król. Czy nie powiedziałem mu, by poprowadził szarżę ze wzgórz?

Orden był przerażony. Ten chłopak ryzykował życie, aby ocalić darczyńców przeciwnika. Stał się prawdziwym Związany Przysięgą Władcą Runów. Nie było wątpiwości. Choćby nawet miał zginąć, i tak ruszy do ataku.

Nad zamkiem pojawił się wielki ogień, płomienie strzeliły wysoko w niebo. Orden widział, jak wielkie zniszczenia poczynił, widział ludzi spadających z murów jak płonące ptaki. Olbrzymi, psy, Niezwyciężeni i łucznicy, wszyscy rzucili się do bramy.

Nie czuł ciągle, aby którykolwiek z jego darczyńców zginął w tej masakrze.

Niemniej było już pewne, że zamek padnie.

Gdzieś głęboko Orden poczuł nagle przepotężne pragnienie, by coś zrobić. Uderz!

Zaatakuj najlepiej, jak potrafisz!

Wiedział, że teraz od niego zależy, czy to wielkie fiasko zostanie tylko klęską, czy też może posłuży jeszcze dobrej sprawie. Wojownicy w zamku, ci tworzący węża, i tak zostaną niebawem zmuszeni do walki, przy czym żaden nie będzie mógł się posłużyć metabolizmem pozostałych. W końcu któryś zginie i pierścień zostanie przerwany. Ale kto zajmie wówczas miejsce na czele

łańcucha?

Byle nie ten idiota Dreis, pomyślał Orden.

Nie, to powinien być Shostag. Straszny i na swój sposób szlachetny. Wielki wojownik.

Orden podpełzł na skraj wieży i spojrział w dół.

Oczy Tor Lomanu z zachodniej strony stały nad urwistym zboczem wzgórza, usianym wyzierającymi spod ziemi wielkimi głazami. Tutaj, pomyślał Orden. Tutaj będzie dobrze.

Rzucił się z wieży. Pora przerwać węzowy pierścień. Niech Shostag Topornik zasłuży sobie na tytuł i nadanie ziemskie. Niech Gaborn przeżyje, aby przejąć, co mu się prawnie należy.

I niech ja powrócę w objęcia kobiety, którą kocham.

Z tyłoma darami metabolizmu Ordenowi zdawało się, że spada bardzo wolno, zupełnie jakby szybował na spotkanie śmierci.

53

BICIE SERCA

W oddali wzniosła się pod niebiosa przypominająca grzyb chmura dymu, nad równiną przetoczył się huk.

Gaborn wyczuł jednak coś jeszcze, chociaż był to znak słaby i dobiegający z daleka.

Czyjeś serce uderzyło raz silnie i zamarło.

Księżę zachwiał się w siodle.

- Ojczy... - wyszeptał.

Naszła go okropna myśl, że to on, żądając uderzenia na Raja Ahtena, ściągnął śmierć na swego ojca.

Ziemia nie miała z tym nic wspólnego, Gaborn nie czuł żadnego przymusu, niczego poza własnym gniewem. To on wydał to polecenie.

Nie, nie wierzę, pomyślał. Nie wierzę, żeby to była moja wina. Zresztą skąd mogę mieć pewność, że nie żyje, dopóki go nie ujrzę?

Czarnoksiężnik odwrócił się do Gaborna. W jego oczach malował się wielki smutek.

- Wołałeś swego ojca. Czy zginął?

- Nie... nie wiem.

- Użyj Widzenia. Zginął?

Gaborn spróbował odszukać ojca, ale nie poczuł jego obecności. Skinął głową.

- I tak korona przechodzi z ojca na syna - szepnął Binnesman cicho, by jedynie Gaborn go usłyszał. - Dotąd byłeś tylko księciem. Teraz musisz stać się godny miana króla.

Gaborna aż zemdliło.

- Co? Co mam począć? Jak przerwać tę rzeź? Nawet jeśli jestem Królem Ziemi, cóż dobrego mogę zrobić?

- Możesz dokonać wiele dobrego. Możesz wezwać ziemię na pomoc. Ochroni cię.

Ukryje. Musisz się tylko tego nauczyć.

- Chcę śmierci Raja Ahtena - rzucił głucho Gaborn.

- Ziemia nie zabija - szepnął czarnoksiężnik. - Jest silna jako piastunka życia, a Raja Ahtena inne jeszcze żywioły wspierają. Pomyśl, Gabornie. Zastanów się dobrze.

Jak możesz najlepiej obronić swój lud? Cała ludzkość znalazła się w niebezpieczeństwie, wszyscy, a nie tylko ta garstka w Longmot. Twój ojciec to tylko jeden z nich, na dodatek sam ruszył temu niebezpieczeństwu na spotkanie.

- Chcę śmierci Raja Ahtena! Natychmiast! - krzyknął Gaborn, ale nie na Binnesmana, tylko do tej ziemi, która obiecała go chronić. Wiedział jednak, że to nie była jej wina. Miał

wcześniej przecucie, że ojciec znalazł się niebezpieczeństwie, ale nie zważał na nie. Nie wyrwał ojca z Longmot.

Teraz żałował tego całym sercem.

Znajdował się dwadzieścia mil od Longmot. Jego koń mógłby przebiec tę odległość w niecałe pół godziny. Ale co by to dało? Tylko by zginął.

Niemniej i tak zastanowił się, czy nie pogonić wierzchowca.

Jadąca obok Ioma musiała się chyba domyślić, co go gnębi. Położyła mu dłoń na kolanie.

- Nie rób tego - szepnęła. - Nie jedź.

Gaborn wbił oczy w ziemię. Spod kopyt jego konia pierzchały koniki polne, tłuste i niezgrabne pod koniec jesieni.

- Jak sądzisz, czy możemy pomóc tym w Longmot? - spytał Binnesmana.

Czarnoksiężnik wrzucił ramionami. Na jego twarzy odbił się niepokój.

- Nawet teraz im pomagasz tym fortem. Ale ty chyba pytasz, czy masz szansę pokonać Raja Ahtena? Nie z tymi oddziałami. Bitwa o Longmot przybrała fatalny obrót. I ty przepadniesz, jeśli przybędziesz za wcześnie. Na razie niech twoi ludzie wzbijają jak najwięcej kurzu, a potem zobaczymy...

Przez chwilę jechali w ciszy. Takiej wręcz namacalnej, dokuczliwej ciszy. Gaborn czuł się rozdarty i z wolna tracił orientację. Winił się za śmierć ojca, za śmierć Rowany i darczyńców w zamku Sylvarresta. Cały tłum ludzi. Świat płacił stanowczo zbyt wysoką cenę za jego słabość. Bo czuł, że gdyby był silniejszy, postąpiłby jakoś inaczej, może skręcił w lewo, miast w prawo, na jakichś rozstajach, uratowałby ich wszystkich.

Nad równiną rozbrzmiał dziwny odgłos, jakby jedna, przeciągła nuta, krzyk, jakiego Gaborn nigdy jeszcze nie słyszał, jakiego nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Płynął wyraźnie z bardzo daleka.

Śmiertelny wrzask Raja Ahtena! pomyślał Gaborn.

Niemal natychmiast dołączył doń drugi, podobny, aż echo poszło po okolicy.

Wierzchowiec Binnesmana wierzgnął i nastawił uszu. W tej samej chwili na ziemię spadły pierwsze, ciężkie krople deszczu ze śniegiem. Czarnoksiężnik wypuścił konia w kierunku Longmot. Gaborn spojrział nań i pożałował, że sam nie może tak pogonić.

- Ruszaj swoje wojsko, Gabornie! - krzyknął Binnesman. - Ziemia jęczy z bólu!

Śnieg z deszczem opadł na okolicę jak ciemna kurtyna. W tych warunkach żaden dalekowidzący nie dostrzegłby nadejścia nowej armii. Jeśli podstęp dotąd nie zadziałał, to teraz już na pewno nic nie da.

Gaborn zakrzyknął i uniósł pięść, dając sygnał do galopu.

54

SHOSTAG

Shostag Topornik leżał ukryty w piwnicach diuka, gdy nagle poczuł, że czas przyspiesza. Raptownie przybyło mu sił, aż skóra zaswędziała go na całym ciele.

Zaraz skoczył do walki.

Zatem Orden zginął. Shostag był ciekaw, jak to się stało.

Topornik widział w swoim życiu tuziny Władców Runów. Brakło mu wiedzy czy wykształcenia, ale oczy miał zawsze szeroko otwarte i potrafił szybko podejmować decyzje.

Większość ludzi uważała, że skoro jego niedźwiedzie muskuły okrywa tłuszcz, to musi być trochę przytępy. Nic podobnego.

Zacisnął dłonie na toporze i pogonił po schodach do drzwi piwnicznych. Był

ostrożny i otworzył je nie szybciej, niż gdyby zwyczajnie chciał wyjść, po czym pobiegł przez spiżarnię i kuchennym wyjściem wypadł na dziedziniec przed wielką salą.

Setki Niezwycięzonych walczyły tu z obrońcami Longmot. Między nimi kręciły się psy, nakrapiane i szare bestie w czerwonych, skórzanych maskach. Po zachodnim murze buszowały ogniste salamandry, na ziemi zaś leżeli ludzie, popaleni lub zabici.

Kilku łuczników Ordenu szło wciąż z północnego muru w kierunku dziedzińca, ale celowali raczej kiepsko i równie często trafiali swoich jak napastników.

Nawet najszybszy pies czy najsilniejszy Niezwycięzony był osiem razy wolniejszy niż Shostag. Dla niego jakby wcale się nie ruszali, wyglądali prawie jak posągi.

Ahtena nie było nigdzie ani śladu. Shostag zaczął się przerąbywać przez tłum.

Machał toporem na lewo i prawo, prawie mimochodem strącał z karków głowy Niezwycięzonych, rozcinał psy na dwoje, uchylał się od strzał i w ogóle robił, co chciał.

Zabił około dwóch setek tych drani, gdy dostrzegł szybkie poruszenie w okolicy bramy. Raj Ahten. Szedł prosto na niego.

Wilk był bez hełmu, ale w jednej ręce niósł topór, a w drugiej szablę. Shostag nie był po prawdzie pewny, czy to Raj Ahten, ale uznał, że chyba tak. Oblicze jaśniało wojownikowi jak słońce, niemniej jedno ramię miał dziwnie zdeformowane. Łatwiej będzie z nim walczyć, pomyślał Shostag.

Raj Ahten spojrzał tylko na Topornika i uśmiechnął się.

- Rozumiem, że król Orden nie żyje, a ty jesteś następny? Shostag zadarł brodę i zamachał zwinnie toporem.

- Wiesz, gdyby tak odciąć ci ten garb z boku, to byłbyś całkiem przystojny.

- No cóż, spróbuj - mruknął zapraszająco Wilk i spojrzał uważnie na wiodącą od kuchennych drzwi ścieżkę trupów. Niektórzy z zabitych nie zdążyli jeszcze upaść na ziemię.

Całkiem nagle Wilk uskoczył w lewo i pognął wąską ulicą ku Warowni Darczyńców.

Shostaga ominął z daleka. Po drodze podrzynał gardła wszystkim obrońcom, własnych ludzi odpychał.

Shostag skoczył za nim. Przejrzał plan Ahtena.

Topornik stał na czele łańcucha dwudziestu dwóch mężów, którzy przekazywali mu swój metabolizm. Kilku z nich już wcześniej nosiło dary tego rodzaju, tak więc obecnie Shostag dysponował szybkością czterdziestu ludzi. Gdyby Wilk zdołał znaleźć choć jedno z ogniw węża i zabić tego wojownika, przerwałby łańcuch, przeciąłby go na pół.

W ten sposób pojawiłoby się dwóch rycerzy z przyspieszonym metabolizmem, ale żaden nie byłby nawet w przybliżeniu tak szybki jak Shostag w tej chwili. Raj Ahten polował na darczyńców.

Pół biedy, gdyby trafił na kogoś z „ogona”. Shostagowi nadal zostałyby dość dużo darów, niewiele mniej niż czterdzieści.

Jednak Shostag wolał nie ufać wyłącznie szczęściu.

Po układzie trupów Raj Ahten zorientował się, że Shostag wyszedł z kuchni. To sugerowało, że darczyńcy nie kryją się w swej warowni, ale siedzą rozrzućeni po różnych zakamarkach zamku. Wilk pobiegł ku najbliższemu, nie bronionemu budynkowi.

Shostag ruszył za nim, ale za szybko - zarzuciło go na zakręcie i wpadł na grupkę obrońców. Zahaczył nogą o czyjaś pikę. Czym prędzej złapał równowagę i pobiegł

dalej, z trudem oddychając gęstym powietrzem. Nie miał dość darów krzepy, by łatwo się z tym uporać. W głowie zaczynało mu szumieć, świat z lekka się kołysał.

Raj Ahten skręcił w drzwi wiodące do komnat diuka. Shostag bez wahania ruszył za nim.

Topornik był prawdziwym Wilczym Władcą, z darami powonienia od trzech psów.

Większość ludzi mogła tylko marzyć o takim nosie. Wiedział, jak silny zapach wydziela przeciętny człowiek, nie zdziwiło go więc, gdy po wejściu do pokoju ujrzał, że Raj Ahten rozbija drzwi cedrowej szafy. Sam poczuł, że ktoś się tam kryje.

Zatoczył toporem i rzucił się na Wilka.

Raj Ahten obrócił się i przyjął cios na żelźce, aż iskry poszły. Żelazna rękojeść mniejszego topora Wilka wygięła się, a Shostag zdumiał się przelotnie, że przeciwnikowi nie pękły kości ręki. Z wdziękiem Ahten przesunął szablę pod bronią Topornika i jednym cięciem otworzył mu brzuch.

Jednak Shostag nie był byle ciurą, aby go przeraził widok własnych wnętrzności.

Miał więcej sił życiowych niż przeciętny Władca Runów, a czerpał je od wilków, które polowały zimą w lasach na niedźwiedzie i dziki. Lekkie swędzenie w okolicy brzucha tylko go zatem rozwścieczyło. Ujął topór w obie dłonie, zawinął nim potężnie i spuścił na Raja Ahtena. W zasadzie powinien go rozplatać na dwoje.

Wilk jednak rzucił się do tyłu, uchylił się nieco, uderzył całym ciałem w cedrowe drzwi szafy, rozbił je do końca i wpadł do środka.

Wraz z ułomkami desek i drzazgami poleciał na ukrywającego się darczyńcę.

Siedział on skulony między sukniemi, w jednej dłoni trzymał młot, w drugiej tarczę. To był sir Owlforth, piąte ogniwo w łańcuchu.

Shostag wiedział, że jeśli teraz nie zabije Wilka, drugiej szansy mieć nie będzie.

Zamachnął się toporem.

W tejże chwili Raj Ahten uniósł zasłonę hełmu Owlfortha i wraził dwa palce w oczodoły darczyńcy. Dotarł aż do mózgu.

Shostaga ogarnęły mdłości. Z przerażeniem spostrzegł, że Raj Ahten, uchyliwszy się przed opadającym toporem, skacze mu do gardła.

I to było wszystko, co zdążył zobaczyć.

55

KRZYK

Raj Ahten nie trudził się wyszukiwaniem nowych głów węża. Zawierzając swojemu nosowi, przeszedł przez budynek i w parę chwil znalazł jeszcze kilku ukrytych mężów. Zabił sześciu darczyńców, a przy okazji zamordował ponad sześćdziesięciu zwykłych obrońców Longmot. Z nadzieją rozglądał się przy tym, czy nie ujrzy gdzie Jureema.

Bitwa powoli wygasła. Zginął król Orden i większość załogi zamku. Rzadko Raj Ahten sprawiał przeciwnikowi równie krwawą łaźnię, a nigdy jeszcze nie wytoczył tyle posoki własną ręką.

W pewnej chwili natknął się na wybiegającego na dziedziniec rycerza, który poruszał się nadspodziewanie szybko. Po tarczy, na której miał siwego konia i cztery strzały, Wilk poznał w nim earla Dreis, nową głowę węża. Na oko earl robił wrażenie wielkiego wojownika: uważne, szare oczy, wysoki, postawa szlachetna w każdym calu.

Ahten zwolnił nieco, by podciąć mu ścięgna pod kolanem. Gdy earl padał, poderznął mu gardło.

Bitwa była już praktycznie wygrana. Raj Ahten stanął pod Warownią Darczyńców, jakieś pięćdziesiąt kroków od dwóch setek zbrojnych, którzy pełnili tam straż, i obejrzał się na dziedziniec, opanowany już przez jego ludzi.

Mury powyżej były prawie puste. Niezwyciężeni biegli po parapecie oczyścić wschodnią ich część, trzy salamandry ruszyły w tym samym celu na zachód.

Wszędzie słyhać było krzyki umierających, dla Wilka ledwie szmer. Wiatr unosił woń krwi,

dymu i spalonej siarki.

Niewiele zostało do zrobienia.

Raj Ahten ruszył ku Warowni Darczyńców, by zabić i tych dwustu wojowników, gdy nagle opadła go wielka słabość, poczuł bolesny skurcz żołądka, znajome mdłości towarzyszące zwykle śmierci darczyńcy.

Eremon Vottania Solette dusił Salima al Dauba. Szło powoli, bo ofiara miała wiele darów sił życiowych. Pot wystąpił na czoło Eremona, palce zwilgotniały i zaczęły się ślizgać po skórze.

Salim nie walczył, wciąż był właściwie nieprzytomny, ale obrócił powoli głowę, jakby nawet w tym stanie chciał się jakoś obronić, przez co dusić go było jeszcze mniej wygodnie.

Zaczął kopać rytmicznie nogami, wargi mu zsiniały, język nabrzmał. Oczy otworzyły się w ślepej panice.

Strażnik niczego nie widział, bo wychylony przez otwarte drzwi przyglądał się szturmowi na zamek. Śmierdzący i zaniedbani darczyńcy nie zwracali uwagi na szamotaninę, a rytmiczne kopanie ginęło w dobiegającym z zewnątrz zgiełku, nie było zresztą głośne i mogło ująć za zwykłe odgłosy wiercenia się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji.

Leżący obok głuchy darczyńca patrzył jednak na Eremona z przerażeniem. Nie był to rycerz Sylvarresty, ale jeden z ludzi Wilka, który przekazywał swemu panu setki darów słuchu. W nagrodę za swą służbę był traktowany gorzej niż pies. Miał powód, aby nienawidzić Raja Ahtena, mógł życzyć mu śmierci, niemniej Eremon i tak baczył na niego kątem oka, czy nie podniesie alarmu.

Salim wierzgnął szczególnie silnie, uderzając butem o podłogę.

Strażnik przy drzwiach obrócił się, ujrzał, co się dzieje. Rzucił się zaraz na Eremona i jednym ciosem odrąbał mu zaciśniętą dłoń.

Krew trysnęła z kikuta tuż pod łokciem. Zabolalo, jakby go ktoś żywym ogniem przypiekał. Jednak sama ręka, nadal sztywna, nie rozluźniła uścisku na gardle Salima. Palce wpijały się kurczowo w przełyk eunucha i nie chciały się rozluźnić.

Strażnik zaczął ją szarpać, ale oderwać nie zdołał. Eremon kopnął go pod kolanem i posłał pomiędzy darczyńców.

W tejsze chwili rycerz poczuł, jak pierś napełnia mu się swobodnie powietrzem, jak serce bije z całą mocą, jak po raz pierwszy od lat ustępuje skurcz mięśni. Salim umarł. Eremon odetchnął głęboko. Raz tylko, uczynił to jednak jako człowiek wreszcie wolny. Po chwili strażnik był już przy nim.

Rajowi Ahtenowi zakręciło się w głowie i świat zwolnił nagle, a głębokie pomrukiwania zwiastujące śmierć earla Dreis zmieniły się w głośny krzyk o pomoc.

Wilk pośliznął się, próbując wyhamować przed tłumem żołnierzy obstawiających Warownię Darczyńców.

Miał już tylko sześć darów metabolizmu, tyle co zwykle. Niektórzy z tych wojowników mogli się prawie z nim równać.

Wrzasnął ogłuszająco, jak chyba żaden człowiek przed nim nie wrzasnął. Za wszelką cenę chciał wystraszyć przynajmniej część obrońców.

Jednak efekt krzyku zadziwił nawet jego.

Ludzie zaczęli padać na kolana, z wyrazem cierpienia na twarzach przyciskali dłonie do hełmów. Ściany fortecy za nimi zadrżały, z pęknięć i szczelin pomiędzy kamieniami posypał się pył, jakby ktoś trzepał dywan. Wilk miał tysiące darów głosu i dość krzepy, aby nasilić ten głos do granic. Lecz nie domyślał się dotąd, ile siły jest w takim krzyku.

Nie zdumiewał się jednak długo, tylko obniżył głos, aż mur sypnął kamieniami.

Nabrał powietrza i znowu zawołał. Jeszcze głośniej, by głębiej wgrzyźć się w kamień. Oto zyskał nową broń.

W księdze Taif napisano kiedyś, że emir Moussat ibn Hafir kazał kiedyś swoim wojownikom podnieść podobną wrzawę. Działo się to na pustyni Dharmad, pod ceglanyimi murami miasta Abanis, które rozpadły się pod ich wrzaskiem. Emir zaraz kazał konnicy atakować przez rumowisko.

Jednak tam głos wydobywał się z gardeł tysiąca wprawnych, przyuczonych do tego wojowników, którzy krzyknęli jak jeden mąż, a mury były z kruchych, suszonych na słońcu cegieł.

Legenda o Abanis nie była jedynym podobnym przekazem. Powiadano także, że silne dźwięki mogą rozłupać skałę, a niektórzy śpiewacy potrafili podobno samym głosem skruszyć kryształ.

Raj Ahten był sam jeden. Niemniej uznał, że warto spróbować. Wojownicy padali jak ścięci, wielu w szoku, niektórzy już martwi. Krew płynęła im z uszu i nosów. A gdy Raj Ahten doszedł do szczytu skali, wielka kamienna wieża Warowni Darczyńców zatrzęsała się nagle i popękała od szczytu do fundamentów.

Raj Ahten znów krzyknął, tym razem próbując różnych tonów. W końcu trafił na właściwy. Wieża sypnęła kamieniami i zawałiła się z wielkim hukiem. Buchnęła kurzawa, a wielkie głazy zdziesiątkowały resztę obrońców na stopniach przed wejściem.

Raj Ahten obrócił się i spojrzał na popękane mury. Warownia Diuka wyglądała, jakby ostrzelano ją z ciężkich katapult kamieniami młyńskimi: porysowane ściany, wyszczerbione parapety, skruszone machikuły.

Ci, którzy zachowali jeszcze przytomność, patrzyli na Wilka z przerażeniem.

Zamek został zdobyty.

Raj Ahten urósł nagle. Był kimś. Niech Król Ziemi przybywa. Jestem odeń silniejszy.

Silniejszy niż sama ziemia.

Wszyscy, nawet jego podwładni, nie mogli się otrząsnąć. Tylko kilku Niezwycięzonych nie utrzymało się na nogach, ale oni mieli co najmniej po pięć darów sił życiowych - widać tyle starczało, aby przetrzymać Głos. Jednak wielu zwykłym żołnierzom

na murach popękały bębunki w uszach, inni zaś zemdleli.

Nie trwało długo, a Niezwyciężeni dokończyli robotę, zabijając tych, którzy jeszcze stawiali opór. Reszta poddała się i została spędzona na dziedziniec.

Gdy wszyscy zostali już rozbrojeni, okazało się, że bitwę przetrwało mniej niż czterystu obrońców. Raj Ahten nie krył zadowolenia z powodu śmierci wszystkich pozostałych.

Salamandry stanęły w bezruchu na murach i spojrzały tęsknie na jeńców. Jednak skoro bitwa została wygrana, zakończył się dla nich czas żniwa. Zaczęły blednąć, aż zostało po nich jedynie falujące, rozgrzane powietrze. Wróciły do podziemnego świata, z którego je ściągnięto.

Raj Ahten przez długą chwilą spoglądał dokoła i napawał się zwycięstwem. W końcu odezwał się do jeńców:

- Zależy mi na pewnej informacji. Ten, który pierwszy mi ją przekaże, przeżyje.

Obiecuję. Reszta zginie. Pytam zatem: Gdzie są moje dreny?

Trzeba przyznać, że większość rycerzy zachowała się godnie i odmówiła odpowiedzi.

Kilku obrzuciło Wilka przekleństwami, jednak sześciu wypowiedziało się na temat, w różnych słowach wyrażając jedno i to samo: „Zabrane! Orden je gdzieś odesłał!” Próbowali sobie kupić życie. Paru krew ciekła z uszu, któryś płakał. Jeden był

młodzieńcem, który pierwszy raz stawił czoło niebezpieczeństwu, inni mieli majątki i rodziny. Raj Ahten poznał wśród nich kapitana, który ledwie parę dni temu został jego darczyńcą. Nie znał jego imienia. Obok stał siwowłosy starzec. Wyglądał na zwykłego tchórza.

Wywołał ich wszystkich z tłumu i poprowadził na most. Niezwycięzeni przystąpili zaraz do zabijania pozostałych.

- Spośród waszej szóstki jeden na pewno ocalał już życie - zaczął. - Na razie nie wiem jeszcze który. Lub którzy, bo może przeżyjecie wszyscy... - Dobrze wiedział, kto odezwie się pierwszy: ten stary tchórz. Jednak nie chciał uprzedzać wypadków. Chciał, żeby wszyscy się odezwali. Musiał porównać ich zeznania, ocenić prawdomówność. - Zadam wam więc kolejne pytanie: Gdzie odesłano moje dreny?

- Nie wiemy. Jego gwardziści odjechali bez słowa - odpowiedzieli wszyscy niemal równo.

Dwóch, którzy się lekko spóźnili, ściał szablą. Widać było, że złość w nim narasta. Obawiał się, że dreny naprawdę zniknęły i że cały ten atak okaże się stratą czasu.

- Wasze szansę rosną - szepnął ze złością pozostałej, przerażonej czwórce.

Krople potu zebrały się na ich czołach. - Powiedzcie zatem, kiedy wywieziono dreny.

Dwóch zawahało się.

- Zaraz po przybyciu ludzi Ordenu - odparł kapitan.

Czwarty milcząco skinął głową, tracąc całą nadzieję. To był ten stary tchórzliwy.

Wiedział, że spóźnił się z odpowiedzią.

Raj Ahten zabił kolejnych dwóch, zostawił tylko kapitana i starego. Kapitan wciąż nosił barwy Longmot, mógł okazać się cennym szpiegiem. Starzec nosił kaftan z dziczej skóry, widać na co dzień pomieszkał w lasach. Najpewniej wiedział tyle tylko, co usłyszał przypadkiem od innych, i próbował wymyślać odpowiedzi.

- Gdzie jest Gaborn Orden? - spytał Raj Ahten.

Ten w skórach nie miał pojęcia, widać to było po jego twarzy.

- Przyjechał o świcie i zaraz wyjechał - odparł kapitan.

Z zamku dobiegły ostatnie, pełne bólu krzyki zabijanych jeńców. Starzec skulił się ze strachu: wiedział, że on będzie następny. Kapitan oddychał ciężko.

W jego spojrzeniu pobłyskiwało to szczególne coś, co pojawia się, gdy człowiek wie, że źle czyni, ale czuje, że nie ma wyboru. Raj Ahten nie sądził, by kapitan był skłonny odpowiedzieć szczerze na jeszcze jedno pytanie. Każdy ma granice wytrzymałości.

Podszedł do starego i rozplątał go jednym cięciem na dwoje.

Zastanowił się, czy i kapitana nie zabić. Wolałby nie zostawiać świadka, który widział, jak działają magiczne mieszanki, poznał jego sztukę wojenną.. Jeden trup mniej, jeden więcej...

Jednak kapitan mógł się przysłużyć większemu dziełu. Niech opowie innym, jak Raj Ahten zburzył mury fortecy samym krzykiem. Niech posieje strach w królestwach Północy.

Wszystkie tutejsze zamki, od tysięcy lat stojące, niemi świadkowie walk z tothami, z nieлюдami i obcymi władcami, wszystkie te dumne fortece okażą się bezużyteczne.

Gorzej, staną się śmiertelnymi pułapkami - Niech mieszkańcy Północy poznaj ą prawdę.

Niech zaczną myśleć o kapitulacji.

- Jestem ci nad wyraz wdzięczny - powiedział Raj Ahten. - Daruję ci życie, zasłużyłeś sobie. Kiedyś byłeś moim darczyńcą i teraz znów mi posłużysz - Chcę, byś opowiedział innym, co się tutaj zdarzyło. Gdy spytają cię, jakim cudem przetrwałeś bitwę, powiedz: Raj Ahten poniechał mnie, bym świadczył o jego potędze.

Żołnierz bezsilnie skinął głową. Nogi mu się trzęsły. Był u kresu sił. Wilk położył mu dłoń na ramieniu.

- Masz rodzinę, dzieci? - spytał niemal przyjacielsko.

Kapitan znów skinął głową i zalał się łzami. Odwrócił twarz.

- Jak się nazywałeś?

- Cedrick Tempest - wyszło chał. Raj Ahten uśmiechnął się.

- Ile masz dzieci, Cedricku?

- Troje... dziewczynki i chłopca. Raj Ahten pokiwał głową z aprobatą.

- Masz się za tchórza, Cedricku. Myślisz, że okazałeś się niełojalny. Ale dzisiaj zaświadczyłeś, że potrafisz być wierny. Byłeś lojalny wobec swych dzieci, prawda? „Dzieci to skarb, bogaty, kto ma ich wiele”. Będziesz żył dla nich?

Cedrick energicznie skinął głową.

- Wiele jest rodzajów odwagi, wiele postaci lojalności - dodał Raj Ahten. - Pamiętaj, nie żałuj nigdy swej decyzji.

Odwrócił się, żeby odejść do swego namiotu na wzgórzu. Po drodze przystanął i czyjąś czapką oczyścił szablę z krwi. Rozwahał następny ruch. Jego dreny zniknęły, zostały zapewne wywiezione do Mystarrii lub ukryte w jakiejś fortecy. Było ich tu ze sto. Posiłki się spóźniały. Maszerowała na niego wroga armia.

Ale miał nową broń, która dała mu dzisiaj całkiem niespodziewane zwycięstwo.

Niemniej ucierpieli przez to i jego ludzie, bo przecież nie wszyscy mieli dość darów sił życiowych. Nie należało używać Głosu zbyt blisko własnych szeregów. Jeśli zamierzał zabić z jego pomocą Gaborna, musiał stawić mu czoło całkiem sam.

Z ołowianego nieba spłynęły pierwsze płatki śniegu. Raj Ahten nie zauważył wcześniej, że zrobiło się bardzo zimno.

Przyjrzał się zniszczeniom w zamku Longmot. Mury popękały, w wielu miejscach oderwały się luźne kamienie, jednak czarna ściana wciąż wyrastała pewnie na sto stóp.

Fundamenty ułożono z głazów grubych na trzydzieści stóp, szerokich na czternaście i na dwanaście wysokich. Forteca trwała niewzruszona od wieków. Wilk widział nad bramą znaki magii ziemi wiążące budowlę.

Najpotężniejsze zaklęcia jego tkaczy płomieni ledwie naruszyły te masywne mury.

Pociski katapult nie zdołały ich ugryźć. Dopiero Głos je zarysował.

Zdumiało to nawet samego Raja Ahtena, który nie wiedział jeszcze za bardzo, kim właściwie się staje. Zamek Sylvarresta zdobył wyłącznie dzięki swojemu urokowi, tutaj zawdzięczał zwycięstwo głównie Głosowi.

W jego królestwach na Południu darczyńcy umierali przez cały czas, nieustannie też werbowano nowych. Układ jego atrybutów zmieniał się z każdą chwilą, niemniej jedno było pewne: otrzymywał więcej darów, niż ich tracił. Wciąż się bogacił. Stawał się Sumą Wszystkich Ludzi.

Może nadeszła wreszcie pora, by stawić czoło temu młodemu głupcowi, Królowi Ziemi, i jego armii. Raj Ahten czuł się silniejszy niż kiedykolwiek.

Obrócił się i ryknął triumfalnie ku najbliższej czarnej ścianie:

- Jestem potężniejszy niż sama ziemia!

Zamek jęknął, cały południowy odcinek murów zadrżał jak w febrze.

Uciekając od bramy, Cedrick Tempest padł i objął dłońmi hełm, skulił się cały, niezdolny zrobić nawet kroku.

Ku niezadowoleniu Raja Ahtena górna część Warowni Diuka runęła na lewo, na jego własnych ludzi. Słysząc było krzyki miażdżonych. Zupełnie jakby zaklęcia ziemi nagle przestały działać w tym miejscu. W tej samej chwili coś zaskrzypiało rozgłośnię na wzgórzu za plecami Wilka i dał się słyszeć potężny trzask.

Raj Ahten obejrzał się na wielki dąb rosnący za jego namiotem. Pień drzewa rozpękł się na

dwoje... i połowa dębu runęła na dach jego wozu z darczyńcami.

Niemal natychmiast Wilkowi oddech zaparło w piersi, poczuł śmierć tuzina skrytych w wozie ludzi.

Świat zwolnił upiornie. Przez długie lata Raj Ahten brał ten wóz wszędzie, gdzie sam się udawał. Trzymał w nim między innymi Dervina Feyla, który dawno temu oddał swemu władcy metabolizm, a potem posłużył za pośrednika.

Dervin zginął. Zginął też pośrednik przekazujący niezliczone dary urody, a także kilkoro pomniejszych sług.

Raj Ahten stał wstrząśnięty swą nieprzezornością. Czy to mój Głos złamał drzewo, pomyślał, czy może ziemia pragnie mi dokuczyć?

A jeśli ziemia? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, bardzo ważne, może najważniejsze.

Czarnoksiężnik Binnesman przeklął go, ale wyglądało na to, że nic z tego nie wynikło. Może to on osłabił drzewo? Czy to tylko Głos spowodował katastrofę?

Takie drobne zdarzenie, a jak brzemiennie w skutki.

Raj Ahten bardzo chciałby wiedzieć, jak to naprawdę było, ale chwilowo zaprzętało go co innego. Mimo zdobycia Longmot został pokonany. Wciąż miał rozum, sprawność i krzepę tysięcy ludzi, ale bez odpowiedniej szybkości wszystko to na niewiele się przyda. Brakło mu równowagi darów. Nawet prosty żołnierz, byle ciura, mógłby go zabić.

Jeśli Gaborn stanie przeciwko niemu z szybkością i odpornością choćby pięciu ludzi, wygra bez trudu.

Raj Ahten w desperacji uniósł oczy ku niebu. Jego tkacze płomieni wypalili się, dreny przepadły, salamandry wróciły do podziemi i nieprędko dadzą się wezwać ponownie, całe prochy zostały zużyte.

Przybyłem zgładzić Ordenu i Sylvarrestę, pomyślał, i tyle osiągnąłem. Jednak zyskałem przez to większego jeszcze wroga.

Pora wycofać się z Longmot, z Heredonu i wszystkich królestw Rofehavanu, przemyśleć na nowo taktykę. Na razie, mimo wszystkich zwycięstw, Północ wymykała mu się z rąk.

Miał tysiące darów, mógłby mieć jeszcze więcej, ale jego kopalnie dożywały kresu swych dni, do cna wyczerpane, a jego dreny wpadły w ręce nieprzyjaciela. Młody król mógł niebawem dorównać mu w liczbie darów. Raj Ahten był zniechęcony.

Śnieg padał coraz mocniej. Pierwszy śnieg, jaki Raj Ahten widział tej zimy. Za parę tygodni wszystkie przełęcze w górach staną się nieprzejezdne. Przekonywał się, że będzie mógł wznowić kampanię później, ale nie pomagało. Aż drętwiał na myśl, że przyjdzie mu czekać do wiosny.

Krzykiem rozkazał swoim, aby zaczęli odwrót. Nie dał im nawet czasu na splądrowanie zamku. Przez długą chwilę czekał, aż żołnierze posłusznie zwiną namioty, zaprzęgną konie i załadują wozy.

Z zamku wyszła gromada olbrzymów z ciałami poległych w łapach. Prowiant na drogę. Na zachodnich wzgórzach zaczęły żałośnie wyć wilki, jakby lamentowały nad ruinami Longmot.

- Ruszać się, niezdary! - krzyknął wysokim głosem doradca Raja Ahtena, Feykaald.

- Zostawić poległych! Wy tam, pomóżcie załadować ten wóz!

Śnieg sypał już całkiem gęsto. Przez kilka chwil napadło go ze dwa cale. Raj Ahten stał ciągle w bezruchu i wpatrywał się w zamek Longmot. Zastanawiał się nad swą klęską i zdradą Jureema.

Gdy wyrwał się z zamyślenia, ruina straszyla martwością. Żaden ogień nie płonął w jej obrębie, nikt nie krzyczał pod gruzowiskiem. Tylko samotny Cedrick Tempest kręcił się przy bramie i przyciskał dłoń do krwawiącego ucha. Mruczał pod nosem jakieś przekleństwa. Zapewne oszalał.

Raj Ahten dosiadł konia, raz jeszcze zastanowił się, jakim cudem Binnesman ukradł

mu ulubionego wierzchowca, i odjechał ku wzgórzom.

56

POWITANIE

Gdy Gaborn dotarł do Longmot, wrogie oddziały były już daleko, a ruiny zamku pokrywał śnieg.

Większość armii księcia była jeszcze daleko z tyłu, wraz z nim jechało tylko pięćdziesięciu wojowników na koniach dość silnych, by mogły dotrzymać kroku wierzchowcowi Gaborna. W lasach na zachodzie wyły wilki, ich samotny zew unosił się i opadał w pełnych grozy kadencjach.

Binnesman jechał przodem i od razu wziął się do przeszukiwania ruin w pobliżu Warowni Darczyńców.

Wszędzie widać było zniszczenia: mury i wieże rozsypały się w gruzy, pod nimi tkwiły szczątki żołnierzy Ordenu. Przed zamkiem leżał ledwie z tuzin trupów wojowników Raja Ahtena, wszyscy naszpikowani strzałami.

Wilk odniósł tu wielkie, oszałamiające wprost zwycięstwo. Nieporównywalne z niczym, co Gaborn wyczytał w starych kronikach. Przez ostatnią godzinę odpędzał

od siebie ponure przecucie, że ojciec nie żyje, ale teraz obawiał się najgorszego.

Na polu bitwy żywy pozostał tylko jeden wojownik. Kapitan w barwach Longmot.

Gaborn podjechał do niego. Żołnierz miał pobladłą twarz, w oczach przerażenie.

Krew spływała mu spod hełmu poniżej prawego ucha i zastygała na policzku.

- Kapitanie Tempest - odezwał się książę, przypominając sobie, że widział już tego człowieka rano - gdzie jest mój ojciec, król Orden?

- Zginął, mój... mój panie - odparł kapitan i usiadł na śniegu ze zwieszoną głową. - Wszyscy zginęli.

Choć Gaborn oczekiwał tego, poczuł się tak, jakby go pchnięto nożem. Przycisnął dłoń do ciężko pracującej przepony. Nie pomogłem, pomyślał. Wszystko na próżno.

Patrzył na zniszczenia i narastała w nim groza. Nigdy jeszcze nie widział aż tak zburzonego - w przeciągu paru godzin - warownego zamku.

- Jak udało ci się przeżyć? - spytał słabo. Kapitan potrząsnął głową, jakby szukał odpowiedzi.

- Raj Ahten wybrał kilku jeńców... resztę zabił... mnie zostawił przy życiu, żebym dał świadectwo.

- Świadectwo czego?

Tempest wskazał niepewnym gestem na wieże.

- Najpierw uderzyli jego tkacze płomieni. Wezwali istoty z podziemi i porazili zamek zaklęciami palącymi żelazo. I kulą ognia, co wybuchła nad bramą i rozrzuciła ludzi jak patyki. Ale nie to było jeszcze najgorsze, bo potem przyszedł sam Raj Ahten i krzyknął, aż fundamenty zdrząły. Kilka setek naszych przy tym zginęło. Ja... mój hełm ma grubą skórzaną wyściółkę, ale i tak nie słyszę na prawe ucho, a w lewym ciągle mi dzwoni.

Gaborn spojrzał oszołomiony na zamek. Wyobrażał sobie, że Wilk musiał użyć jakichś machin piekielnych, aby naruszyć te mury. Lub jego magowie coś wymyślili. Co prawda widział z daleka wielki grzyb dymu wyrastający pod niebiosą, nigdy jednak nie sądził, że sam krzyk może skruszyć skały.

Żołnierze za nim rozchodzili się z wolna po poboju, szukali w ruinach śladów życia.

- Gdzie jest... Gdzie mogę znaleźć ojca?

Tempest pokazał na ścieżkę biegnącą na pobliski pagórek.

- Tędy pobiegł, na Tor Loman. Gonił Raja Ahtena. Tuż przed bitwą.

Gaborn zawrócił konia, ale Tempest zerwał się nagle i przypadł do jego kolana.

- Wybacz mi! - krzyknął.

- Co mam ci wybaczyć? Że przeżyłeś? - spytał Gaborn, którego gnębiło poczucie winy, bo ocalał, chociaż wszyscy dokoła zginęli. - Nie tylko ci wybaczam, ale nakazuję żyć dalej - powiedział i ruszył stępą przez zaśnieżone pole. Za sobą słyszał głośnie łkanie Tempesta, wkoło wyły wilki.

Rozdzwoniły się ogniwa jego kolczugi, gdy koń przeszedł do galopu po błotnistej ścieżce. Z początku książę nie był pewien, czy jedzie we właściwym kierunku.

Śnieg pokrył wszystko, brakło śladów.

Jednak milę dalej, gdy wjechał pod osiki, ujrzał w błocie i zalegających liściach tropy biegnącego przez las mężczyzny o szybkim metabolizmie. Kolejne ślady były oddalone od siebie o dziesięć zwykłych kroków.

Teraz wiedział już na pewno, gdzie jechać. Droga na Tor Loman była dobrze utrzymana, ktoś systematycznie wycinał zarastające ją krzewy. Prawie miła przejażdżka.

Gaborn cały czas przepatrywał pobocza w poszukiwaniu śladów obecności ojca. Bez skutku.

W końcu dotarł na nagi szczyt Tor Lomanu, znalazł łakę ze starym obserwatorium diuka. Śniegu było tu na trzy cale. U podstawy wieży leżał hełm Raja Ahtena.

Był głęboko tłoczony, z nabijanymi srebrnymi ornamentami przypominającymi liny lub splecione płomienie, takie ja te ściągane z nieba przez magów. Biegły w dół, nosalem, i nad szczelinami ocznymi. U nasady nosala widniał pojedynczy, wielki diament.

Gaborn wziął hełm, uznając go za łup wojenny, przywiązał za porwane częściowo paski do siodła. Bardzo uważał przy tym, żeby nie połamać białych sowych skrzydeł.

Gdy to robił, wciągnął głęboko zimne powietrze. Śnieg wyczyścił niebo, zatarł większość zapachów, jednak Gaborn wyczuł ciężką woń aksamitnej czapki ojca i oliwy używanej do konserwacji jego zbroi. Król musiał gdzieś tu być, może nawet niedaleko.

Niewykluczone, że został tylko ranny.

Gaborn wspiał się na szczyt wieży i spojrział w dal. Śnieg przestał padać i widoczność była wspaniała, chociaż z dwoma ledwie darami wzroku Gaborn nie mógł się mierzyć z dalekowidzącymi. Na wschodzie Ioma prowadziła swój lud przez wrzosowiska, zostało im jeszcze dziesięć mil. Zbliżali się właśnie do wzgórz Durkin.

Na południowym zachodzie, na samej granicy widoczności, majaczyły wycofujące się poprzez wzgórze wojska Raja Ahtena. Widać było czerwone i złociste barwy Wilka.

Dojrzał mężczyzn zatrzymujących konie i oglądających się na wieżę. Pomyślał, że widać dalekowidzący musieli go dostrzec i zastanawiali się teraz pewnie, kto stanął na szczycie Tor Lomanu. Może nawet sam Raj Ahten też się obejrzał.

- Wyklinam cię, Raju Ahtenie - szepnął Gaborn. - Jeszcze cię zniszczę. - Uniósł pięść na znak wyzwania, jednak jeśli tamci odpowiedzieli na ten gest, niczego nie dojrzał.

Zawrócili i zniknęli za grzbietem wzgórze.

Nawet z porządną armią nie zdołałbym go teraz dogonić, pomyślał książę.

Niemniej w głębi serca odczuwał ulgę. Podobnie jak ojciec, pokochał ten kraj.

Obaj chcieli przede wszystkim wypędzić Wilka, ocalić piękno i wolność tej krainy. Na razie chyba im się to udało.

Ale za jaką cenę?

Gaborn spojrział pod stopy. Tu też było dużo śniegu, ale dawało się wyczuć woń obu - i Ordena, i Wilczego Władcy. Najpewniej Raj Ahten wszedł na wieżę i ujrzał kłęb kurzu unoszący się nad

stadami bydła i żołnierzami. Podstęp się udał.

To nieco ukoїło ból Gaborna. Można było oszukać Wilka. Można było go pokonać.

Gaborn okrążył platformę, przepatrując lasy. Przypuszczał, że może jego ojciec i Wilk walczyli tutaj, aż w końcu Orden został zepchnięty.

W końcu dojrzał to, czego się obawiał. U podstawy wieży, wśród skał, wystawała ze śniegu dłoń okryta białym puchem.

Zbiegł po krętych schodach. Znalazł ojca. Uniósł ciało, żeby strząsnąć z niego śnieg. Gdy ujrzał jego twarz, serce zamarło mu w piersi. Na zamarzniętym obliczu malował

się szeroki uśmiech. Może jakieś wspomnienie, które napłynęło w chwili śmierci, napełniło go błogim spokojem, może był to tylko dziwny grymas bólu... Gaborn jednak pomyślał, że ojciec uśmiechał się do niego... Że chciał mu pogratulować zwycięstwa...

57

DZIŚ JESTEM ŚMIERCIA

Gdy Ioma odzyskała urodę, Gaborn już odjechał. Księżniczka nie miała pojęcia, jak mogło dojść do śmierci tej kobiety, która była pośredniczką Raja Ahtena, ale sprawiło to jej ulgę. Podobnie jak Ioma, ona też była tylko narzędziem w rękach Wilka, i to bardzo zaniedbanym. Niemniej uroda powróciła. Ioma zaraz poczuła się lepiej, pewniej.

Jak rozkwitający kwiat.

Nie było to już nienaturalne piękno, którym odznaczała się niemal od narodzin, straciła uzyskany wtedy dar, ale skóra na dłoniach zrobiła się elastyczna, zniknęły zmarszczki, na policzkach zajaśniał dziewczęcy rumieniec. Po raz pierwszy Ioma była po prostu sobą, bez cudzych darów.

I dobrze. Tyle jej wystarczy. Pożałowała, że Gaborn nie może jej teraz zobaczyć, ale on był już daleko.

Posłańcy uprzedzili Iomę, czego może oczekiwać w zamku, opowiedzieli, jak Raj Ahten zburzył go krzykiem, ale żadne słowa nie mogły przygotować księżniczki na widok, który roztoczył się przed jej oczami.

Jechała na czele dziesięciu tysięcy ludzi z zamku Groverman i okolicznych wsi.

Wiele kobiet już zawróciło do swoich domów i osad. Miały wiele do zrobienia. Reszta jednak maszerowała za księżniczką, w większości byli to mieszkańcy Longmot, którzy chcieli sprawdzić, co zostało z ich domów.

Gdy zbliżyli się do zniszczonego zamku i ujrzeni puste pola z wilkami wałęsającymi się wśród kamiennych murków, wiele kobiet zaniósło się płaczem nad wszystkim, co straciły.

Opuściły domy ledwie trzy dni temu, jednak nawet ten niedługi czas koczowania pod gołym niebem uświadomił wszystkim, jak trudno będzie sobie poradzić, gdy spadnie śnieg.

Oczywiście, większość miała nadzieję wrócić na swoje, odbudować domy, jednak w tych ciężkich, wojennych czasach pierwszeństwo miało odtworzenie fortyfikacji.

Z zamku nie zostało prawie nic. Wielkie bloki kamienia, które od tysiąca dwustu lat spoczywały na swych miejscach, obecnie leżały popękane i pokruszone.

Ioma zaczęła bezwiednie obliczać, ile czego będzie potrzebowała do odbudowy fortecy: pięciuset znających się na murarce kamieniarzy z Eyremothu, bo oni są najlepsi. Wozy do transportu kamieni, wynajęci z Lonnock olbrzymi do ich układania. Ludzie do przekopania fosy. Drwale do ścinania drzew. Kucharze i kowale. Masa zaprawy, dłuł, pił, drągów, siekier i... lista ciągnęła się w nieskończoność.

Chociaż po co? Skoro Raj Ahten potrafi skruszyć mury krzykiem...

Spojrzała na wzgórze i dostrzegła Gaborna. Klęczał w śniegu. Złożył ciało ojca na stoku ponad

zamkiem, tuż pod wielkim dębem. Obok czerniał okazały, odłamany konar.

Książę zebrał kilkadziesiąt pik i pozatykał je w ziemi wkoło ciała, by je uchronić przed wilkami. Na drzewie zawiesił złotą tarczę Ordenu. Zdjął ojcu hełm i ułożył go w nogach ciała na znak, że król poległ w walce.

Ioma zawróciła konia ku księciu. Wciąż wiodła za sobą wierzchowca swojego ojca, a dalej jechało jeszcze troje Dzienników: jej, jej ojca i Gaborna. Sylvarresta, który jeszcze kilka chwil temu przysypiał w siodle, teraz patrzył wkoło rozradowany widokiem takiej masy śniegu.

Gaborn uniósł spojrzenie na Iomę: twarz miał ściągniętą, malowała się na niej rozpacz i osamotnienie. Księżniczka wiedziała, że nie uda jej się znaleźć słów, aby go pocieszyć. Nie miała nic, co mogłaby mu dać. W ciągu paru ostatnich dni straciła niemal wszystko: dom, rodziców, urodę... i jeszcze kilka mniej istotnych rzeczy.

Jak zdołam kiedykolwiek znów zasnąć? zastanawiała się. Dotąd zamek był dla niej symbolem bezpieczeństwa. Świat mógł szczyrzyć wielkie kły, ale za murami zamku zawsze było spokojnie.

Do teraz.

Poczuła, że jej dzieciństwo dobiegło już kresu, że bezpowrotnie przeminęły lata niewinności. Wraz z nimi straciła spokój myśli. Nie tylko dlatego, że straciła matkę, a zamki jej kraju leżały w ruinie. Długo myślała o tym wszystkim, cały ranek. Wczoraj obawiała się, że Borenson zakradnie się do zamku Sylvarresta i zabije jej darczyńców. Na poły domyślała się, że to nastąpi, i całym sercem była temu przeciwna.

Ale nie postawiła sprawy otwarcie, nie wyraziła sprzeciwu, i tym samym dała przyzwolenie. Od wczorajszego południa cierpła jej skóra, ilekroć o tym pomyślała. Teraz była beznadziejnie słaba i bezbronna. Od dwóch nocy nie spała, w głowie jej się kręciło, obawiała się, że jeszcze spadnie z konia.

Miał wrażenie, jakby wielka, niewidzialna bestia czająca się dotąd w zakamarkach jej umysłu wyskoczyła z mroków i pochwyciła ją w pazury.

Chciała pocieszyć jakoś Gaborna, ale nagle odkryła, że spływają jej po policzkach lodowate łzy. Gdy spróbowała je otrzeć, zaniosła się cichym łkaniem.

Gaborn dobrze przygotował ciało ojca. Uczesał włosy okalające blade oblicze, które nie było już tak monarsze i pełne siły jak za życia. Dary Ordenu przepadły wraz z jego śmiercią. Teraz wyglądał jak wiekowy mąż stanu, z szeroką, ogorzałą nieco twarzą. Uśmiechał się tajemniczo. Miał na sobie zbroję. Leżał na szerokiej desce, a bogato wyszywana peleryna otulała go jak całun. W dłoniach trzymał samotny pączek błękitnej róży, zerwany zapewne w ogrodzie diuka.

Gaborn obrócił się i spojrzał na Iomę, potem wstał powoli, jakby z bolesnym wysiłkiem. Podszedł do dziewczyny, a gdy zsiadła z konia, wziął ją w ramiona i przytulił mocno.

Pomyślała, że będzie chciał ją pocałować, że powie, aby nie płakała. Miast tego usłyszała jego głuchy, pełen cierpienia szept:

- Płacz po nas. Płacz.

Borenson gnał do Longmot na łeb, na szyję, cały wściekły. Odkąd przekroczył odległą o pięć mil od zamku grań i ujrzał zburzone wieże i tłum kręcący się wśród zwalisk pod murami, wiedział już, że jest źle. W ciżbie dostrzegł wiele barw na sztandarach, ale żadna nie należała do Raja Ahtena.

Żądny śmierci Wilka, pragnąc zetrzeć się z nim, gnany furją wpadł na północną drogę, gdzie spotkał parę tysięcy zbrojnego pospólstwa. Rozejrzał się, szukając znaków Ordenu, ale żadnych nie dostrzegł.

Podjechał do dwóch młodzików, którzy odkopywali spod śniegu trupa jednego z żołnierzy Raja

Ahtena. Młodszy chłopak mógł mieć czternaście lat, starszy może osiemnaście. Z początku myślał, że szukają sakiewki czy pierścieni, i spojrzał

na nich z pogardą, ale po chwili zrozumiał. Jeden podtrzymywał ciało, a drugi ściągał zbroję. Dobrze, pomyślał Borenson. Chcą mieć pancierz i broń, na które nigdy by nie było ich stać.

- Gdzie jest król Orden? - spytał, starając się zapanować nad sobą.

- Nie żyje, podobnie jak ci wszyscy nieszczęśnicy w zamku - odparł młodszy. Nie odwrócił się nawet do Borensona, więc nie wiedział, z kim rozmawia.

- Wszyscy? - jęknął Borenson przez zaciśnięte gardło. Musiało być w jego głosie sporo bólu, bo chłopak się odwrócił i uniósł głowę. Oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

Puścił ciało i cofnął się, uniósł dłoń do salut.

- Tak... tak, panie - rzekł z szacunkiem starszy. - Tylko jednego darowali życiem, aby opowiedział, co zaszło. Wszyscy inni zginęli.

- Jeden tylko człowiek przeżył? - spytał Borenson głuchym głosem, chociaż miał ochotę krzyknąć dziko, wyrzucić z siebie imię Myrrimy i nasłuchiwać odpowiedzi.

Myrrima też była w zamku.

- Tak, panie - odparł starszy. Cofnął się przerażony, że Borenson go uderzy. -

Wy... wasi ludzie walczyli dzielnie. Król Orden stworzył węża, sam jeden walczył z Wilkiem. Oni... nie zapomnimy nigdy takiej ofiary.

- Czyjej? Mojego króla czy tych nieszczęśników? Młodszy odwrócił się i uciekł przerażony. Borenson ledwie panował nad sobą, jednak nie czuł większej złości do tych dwóch.

Ruszył dalej tak szybko, jakby Myrrima czekała na niego na wzgórzu albo zwiadowca Raja Ahtena pałętał się po polu, dopraszając się dobicia. Ale gdy się po chwili rozejrzał, dostrzegł tylko Gaborna pod wielkim dębem.

Książę ułożył ciało króla Ordena i otoczył je pikami, jak nakazywał zwyczaj w Mystarrii. Stał tam, przy martwym ojcu, i tulił Iomę w ramionach. Księżniczka była obrócona plecami do Borensona, na głowie miała kaptur, jednak sądząc po sylwetce, to na pewno była ona. Kilka jardów dalej troje Dzienników zbiło się w gromadkę i patrzyło na to wszystko uważnie a cierpliwie.

Bezrozumny Sylvarresta zszedł z konia, przyklęknął przy ogrodzeniu z pik i sięgał ręką do Ordena, jakby go prosił o pomoc.

Borensona ogarnęło tak wielkie przygnębienie i przerażenie, że krzyknął tylko rozpaczliwie.

Zamek padł. Król poległ.

Być może to ja go zabiłem, pomyślał na wpół oszalały gwardzista. Zabiłem mego własnego króla. Orden walczył z Rajem Ahtenem sam na sam i przegrał. Mogłem wykonać jego rozkaz i zabić wszystkich darczyńców. Powinienem doprowadzić sprawę do końca, a wtedy może coś by się odmieniło. Może to Raj Ahten padłby w tej bitwie. A ja pozwoliłem, by mój król zginął.

Poczucie winy ogarnęło Borensona z siłą wiosennego sztormu i pozbawiło reszty zmysłów.

Pradawne prawo Mystarrii powiadało, że ostatni rozkaz króla zawsze musi zostać wykonany, nawet jeśli król poległ w walce. To święty rozkaz.

Dysząc ciężko, Borenson zachichotał, jak zwykle przed walką, ujął kopię w dłoń, gwałtownym poruszeniem głowy zatrzaskał zasłonę hełmu i pogonił konia do galopu.

Zęby zaciskał aż do bólu.

Z szarych chmur spadła biel. Miękka i zimna. Zamarznięte piękno. Pokryło wszystko i iskrzyło się cudownie w promieniach słońca.

Król Sylvarresta aż usta otworzył z podziwu i pojękiwał chwilami na widok jakiegoś nowego

cudu: kruchych z wierzchu, niewielkich zasp na drodze, topniejących czap spadających z drzew. Nie znał słowa „śnieg”, nie potrafił go sobie przypomnieć.

Wszystko było nowe i przepiękne. Był bardzo zmęczony, ale od przybycia do zamku nie zdołał przysnąć. Zbyt wiele dziwów pojawiało się wkoło. Ludzie krzyczeli zrozpaczeni. Widział powalone wieże zamku i mógł się jedynie dziwić, jak ktoś zdołał je zniszczyć.

Kobieta poprowadziła jego konia pod górę, do wielkiego drzewa, gdzie sterczał płot pik.

Sylvarresta słuchał, jak młody człowiek mówi coś do kobiety, po czym spojrzał na drzewo. Na gałęzi siedział jasnorudy kot, na wpół dziki myszołap, jakich wiele spotyka się w gospodarstwach. Siedział i patrzył na króla. Potem wstał, wygiął grzbiet i bijąc ogonem, przeszedł po konarze nad głową Sylvarresty. Miauknął, oznajmiając, że jest głodny, i wpatrzył się w coś na ziemi.

Król podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zauważył mężczyznę leżącą pod lśniącą, zieloną peleryną. Rozpoznał monarszą czapkę, która rano przyciągnęła jego uwagę. I poznał tego mężczyznę na desce.

Król Orden. Jego przyjaciel.

Natychmiast zrozumiał, że zdarzyło się coś strasznego. Orden się nie ruszał. Jego pierś nie podnosiła się, nie opadała. Tylko ręce trzymał złączone na niebieskim kwiatku.

Świat Sylvarresty zadrżał. Gdzieś z głębin pamięci napłynęło częściowe zrozumienie tego, co właśnie widzi. I przeraził się jeszcze bardziej.

Krzyknął bez słów, bo nie wiedział, jak nazywa się to, co nagle sobie przypomniał.

Zeskoczył z konia, upadł w śnieg i niezgrabnie, ślizgając się w błocie, popętlął do Ordena, aż trafił na drzewca pik. Sięgnął po rękę przyjaciela.

W zimnych dłoniach Orden trzymał jeden jedyny kwiat, błękitny jak niebo.

Sylvarresta złapał te zimne palce, spróbował je unieść. Dotknął policzka, pogładził go. Był równie zimny.

Sylvarresta krzyknął i odwrócił się, jakby chciał sprawdzić, czy inni też pojęli już ten wielki sekret. Czy znają tę bestię, która podchodzi cicho wszystkim i każdego.

Gdy spojrzał w oczy tego młodzieńca, a potem kobiety, dojrzał w nich przerażenie.

- Tak - powiedziała łagodnie kobieta. - To śmierć. On nie żyje. Tak, znali sekret.

- Ojciec - odezwała się kobieta ze smutkiem, prosząco. - Proszę, chodźmy stąd!

Przez pole poniżej przemykał rycerz na wielkim koniu. Gnał ku nim jak strzała, z zasłoną hełmu i kopią opuszczonymi jak do ataku. Nadjeżdżał tak szybko. Tak szybko...

Sylvarresta znał już imię tajemnicy. Musiał je wykrzyknąć.

- Śmierć!

58

ZAŁAMANY

Gaborn usłyszał tętent końskich kopyt i szczęk zbroi, ale myślał, że to jakiś miejscowy rycerz galopuje przez pole. Gdy jednak rozpoznał gardłowy chichot, przebiegł go dreszcz.

Patrzył właśnie z grozą na króla Sylvarrestę i smutno mu było, że ten biedny idiota, który prawie nic nie wie o świecie, musi stawić czoło problemowi śmiertelności.

Czuł się, jakby psy rozszarpywały dziecko na jego oczach.

Miał tylko tyle czasu, żeby schować Iomę za siebie, obrócić się i krzyknąć:

- Nie!

I już kary rumak Borensona przegalopował obok z chrzęstem ladrów. Wielki.

Niepowstrzymany. Rycerz złożył kopię wpół końskiego karku, dwadzieścia stóp

wypolerowanego jesionu z poczernionym grotem mierzyło w Sylvarrestę. Gabornowi przebiegło przez głowę, żeby rzucić się za nim, odtrącić tę ostrą stal. Jednak Borenson przemknął obok, zanim książkę zdążył zareagować.

Gaborn stał jedynie trzydzieści stóp od króla Sylvarresty, niemniej czas zaczął płynąć nagle bardzo, bardzo wolno. Ze sto razy widział już szarżę w wykonaniu Borensona. Wojownik miał pewną rękę, potrafił nadziać na ostrze śliwkę ułożoną na słupku ogrodzenia, i to w cwale. Teraz mierzył nisko, jakby w żołądek Sylvarresty, ale zaraz uniósł grot kopii na wysokość serca bezrozumnego króla.

Sylvarresta zdawał się niczego nie zauważać. Twarz wykrzywił mu grymas cierpienia. Odkrył to, czego zdaniem Gaborna nie powinien sobie w ogóle przypominać. Raz za razem wykrzykiwał słowo „śmierć”, chociaż własnej przewidzieć nie potrafił.

Jednak Borenson był już prawie przy nim. Przesunął kopię o cal w prawo, by nie zahaczyć o wetknięte w ziemię piki. Koń przedarł się przez prowizoryczne ogrodzenie, aż kilka pik wyleciało w powietrze, inne poprzekrzywiały się, pochyliły. Niemal w tej samej chwili grot kopii trafił Sylvarrestę tuż pod mostkiem.

Wszedł gładko, odrzucił króla do tyłu i uniósł go w powietrze.

Kopia na dziesięć stóp zagłębiła się w ciało, tak że wypolerowane drewno rozepchnęło żebra.

Dopiero wtedy wojownik odrzucił broń z umierającym.

Koń przeskoczył nad ciałem ojca Gaborna, staranował przeciwległy rząd kopii, minął odłamany konar dębu i pognął dalej.

Król Sylvarresta stał przez chwilę, patrząc bez cienia zrozumienia na wielką kopię przeszywającą go na wskroś, dziwił się strumieniom krwi spływającym po wypolerowanym, białym jesionowym drewnie. Potem ugięły się pod nim kolana, głowa zwisała i runął na lewy bok. Umierając, spojrzał na córkę i jęknął słabo.

Gaborn nie miał żadnej broni pod ręką. Młot zostawił przy siodle.

Skoczył do ogrodzenia, porwał z ziemi pikę i krzyknął na Iomę, aż spłoszył jej konia.

Nie musiał jej poganiać. Pobiegła ku niemu. Myślał, że chce się za nim schować, ale nie.

Minęła go tylko. Biegła do skulonego na ziemi i zalanego krwią ojca.

Borenson zawrócił konia i sięgnął po zawieszony z tyłu siodła topór. Uniósł zasłonę hełmu i spojrzał. Tylko spojrzał. Błękitne oczy pełne były cierpienia. I szaleństwa. Twarz miał czerwoną z wściekłości. Nie uśmiechał się już. Szczyrzył zęby.

Gaborn zerwał z drzewa tarczę ojca i uniósł ją, aby bronić Iomy i Sylvarresty.

Cofnął się, stając pięć stóp za ciałem ojca. Wiedział, że Borenson nie pozwoli swemu wierzchowcowi stratować zwłok. Ich nie zbecześci.

Nie był jednak taki pewien, czy jego nie zaatakuje. Borenson został przymuszony do całej serii krwawych mordów. Zabił wszystkich darczyńców w zamku Sylvarresta.

Przyszło mu wybierać pomiędzy usunięciem króla Sylvarresty a unicestwieniem jego ludzi, w tym własnych przyjaciół. Inaczej dalej służyliby Rajowi Ahtenowi.

Fatalny wybór, sytuacja bez wyjścia. Cokolwiek Borenson by postanowił, czynił zło. Pozbawiał się spokoju na przyszłość.

- Oddaj mi ją! - krzyknął.

- Nie! - odparł Gaborn. - Ona nie jest już darczyńcą! Borenson spojrzał wreszcie pod kaptur Iomy i ujrzał jej twarz.

Gładką, z czystymi oczami. Zastygł na chwilę, zdziwiony.

Obok Gaborna przemknęła ciemna sylwetka rycerza z Heredonu. Ktoś o szybkim metabolizmie

zaatakował Borensona. Skoczył, ale gwardzista cofnął się, machnął młotem i trafił przeciwnika prosto w twarz. Krew prysnęła wkoło, a umierający przetoczył się przez grzbiet konia Borensona.

Setki ludzi widziały, jak zamordowano Sylvarrestę. Dotąd Gaborn wpatrywał się jedynie w swego podwładnego, ale teraz zauważył także innych.

Za wzgórze wypadł diuk Groverman z całą setką rycerzy, wszyscy z bronią w dłoniach. Za nimi biegło pospólstwo. Niektórzy wyraźnie wściekli, inni wstrząśnięci. Paru nie wierzyło chyba jeszcze, że to stało się naprawdę... Gaborn słyszał krzyki. Zagrzewali się do pogoni.

- Zamordował! Przeniewierca! Zabić go!

Inni wrzeszczeli tylko z wielkiego żalu za swoim królem. Młodzi chłopcy z kosami i kijami gnali już pod górę. Błdzi, o ściągniętych twarzach.

Ioma opadła na kolana, ułożyła głowę ojca na podołku. Kołysała się do przodu i do tyłu, płakała. Krew króla wypływała szybko przez wielką ranę i mieszała się z topniejącym śniegiem.

Wszystko stało się tak szybko, że Gaborn nie doszedł jeszcze do siebie. Jego przyboczny gwardzista zabił ojca kobiety, którą księżę pokochał. On też mógł zaraz znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Niektórzy uznaliby jego zabicie za słuszny akt zemsty. Tłum ławą sunął na Borensona. Paru młodzieńców napinało łuki.

Gaborn krzyknął. Włożył w ten krzyk całą moc Głosu.

- Przestańcie! Zostawcie go mnie!

Koń Borensona cofnął się i zatańczył spłoszony. Trwało chwilę, nim rycerz go opanował. Ludzie przebiegający obok Gaborna stanęli wyczekująco. Inni gnali jeszcze pod górę, ale już nie tak pewnym krokiem.

Ioma spojrzała na swoich poddanych i uniosła dłoń, by ich zatrzymać. Gaborn podejrzewał, że jej rozkaz by nie poskutkował, ale Borenson był straszliwym przeciwnikiem.

I tak, po części z szacunku dla księżniczki, po części z obawy, tłum prawie zamarł, a co starsi i mądrzejsi rozpostarli ramiona, by zatrzymać najbardziej zapalczywych.

Borenson z pogardą spojrzał na zbiegowisko, potem machnął młotem, pokazał na Iomę i spojrzał Gabornowi w oczy.

- Ona powinna umrzeć razem ze wszystkimi! Taki był rozkaz twego ojca!

- Ojciec cofnął ten rozkaz - odparł spokojnie Gaborn, używając Głosu jak umiał najlepiej, by przekonać Borensona, że mówi prawdę.

Gwardzista otworzył usta. Przerażony i pełen poczucia winy poczuł nagle, jak brzemień rośnie w dwójnasób. Gaborn niemal słyszał te wyzwiska, które będą przez lata towarzyszyć Borensonowi. Rzucane za jego plecami „Rzeźnik! Morderca! Królobójca!” Księżę jednak nie miał wyjścia, musiał mówić prawdę niezależnie od tego, jak okrutna i bolesna byłaby ona dla przyjaciela.

- Mój ojciec odwołał ten rozkaz, gdy przyprowadziłem doń króla Sylvarrestę. Objął go jak przyjaciela, droższego niż rodzony brat, i błagał go o przebaczenie. - Dla większego efektu Gaborn wskazał piką na ciało króla Sylvarresty.

Jeśli Borenson nie oszalał wcześniej, to teraz już na pewno postradał zmysły.

- Neeeeee! - zawył i łzy popłynęły mu z oczu. Patrzył teraz gdzieś w pustkę, w otchłań swej udręki. - Neeeeee! - Potrząsnął gwałtownie głową. Nie chciał, żeby to była prawda, nie mógł się z nią pogodzić, nie mógł z nią żyć... Na poły rzucił, na poły upuścił

młot na ziemię, uniósł prawą nogę i zsiadł z konia, ale niezgrabnie, jakby schodził po wielkich schodach. - Nie, proszę, nie... - jęknął, kręcąc głową. Złapał hełm i zdarł go. Pochylił się i ruszył

przygarbiony. Jęczał coś pod nosem, wpatrzony w ziemię.

Dziwnie to wyglądało, gdy tak szedł z pochyloną nisko głową, na uginających się nogach.

Gaborn pojął, że Borenson, rozdarty, nie wie, czy ma się rzucić na swego pana, czy paść mu do stóp. Za nic nie chciał unieść głowy.

- Mój panie, panie... ach, panie, zabierz. Zabierz mi...! - powiedział, gdy był już całkiem blisko.

Jakiś młodzieniec przyskoczył z młotem, jakby sam jeden chciał zadać śmiertelny cios, ale Gaborn go powstrzymał. Tłum był coraz bardziej niespokojny i żądny krwi.

- Zabrać ci...? - spytał Gaborn.

- Zabierz mi rozum. Zabierz mi pamięć - błagał Borenson. - Proszę! Nie chcę już nic wiedzieć, nic widzieć. Zabierz mi rozum!

Gaborn nie chciał, aby Borenson stał się podobny do Sylvarresty z ostatnich dni życia. Nie chciał widzieć pustki w tych oczach, które tylekroć się doń uśmiechały.

Jednak w tej chwili musiał uznać, że byłby to czyn miłosierny.

To ja i mój ojciec doprowadziliśmy go na skraj szaleństwa, pomyślał. Gdybym teraz wziął od niego dar, postąpiłbym haniebnie. Jako zły król, który obkłada poddanych podatkami, póki nie mają już czym płacić, a wtedy zabiera ich dary, twierdząc, że to wspaniałomyślność z jego strony.

Skrzywdziłem go, uznał Gaborn. Naruszyłem jego niewidzialną domenę: pozbawiłem wolnej woli. Borenson zawsze starał się być dobrym żołnierzem. Teraz już nigdy tak o sobie nie pomyśli.

- Nie, nie wezmę twojego rozumu - powiedział spokojnie Gaborn i pomyślał nagle, że ma po temu jeszcze inne powody. Borenson był wielkim wojownikiem, najlepszym w Mysterii. Pozbawienie go rozumu byłoby marnotrawstwem. To tak, jakby rolnik zabijał konia, by się najeść, chociaż równie dobrze mógłby złapać kurczaka. Ale czy ta odmowa to tylko wyraz pragmatyzmu? zastanowił się książę.

- Proszę! - krzyknął znowu Borenson. Kulił się teraz tuż obok Gaborna, nie dalej niż na wyciągnięcie dłoni. Głowa mu się trzęsła, drżały dłonie wplątane we włosy.

Nie śmiał unieść spojrzenia, wpatrywał się w buty Gaborna. - Proszę, bo... nie rozumiesz!

Myrrima była w tym zamku! - Wskazał na Longmot i załkał. - Ona tu przyjechała. Zabierz...

mój metabolizm. Niech nic nie wiem do końca wojny!

Wstrząśnięty Gaborn cofnął się o krok.

- Jesteś pewien? - spytał, starając się zachować spokój i rzeczowość, chociaż myśli kotłowały mu się w głowie. Wyczuł liczne śmierci: swojego ojca, ojca Chemoise, nawet króla Sylvarresty. Ale nie Myrrimy. - Widziałeś ją? Widziałeś ciało?

- Wczoraj wyjechała z Bannisferre. Chciała być tu ze mną podczas bitwy. Dotarła do zamku... - Borensonowi załamał się głos. Padł na kolana i zaniósł się łkaniem.

Kojarząc Borensona i Myrrimę, Gaborn czuł, że robi dobrze, bardzo dobrze.

Myślał, że to sugestia Mocy, że to ziemia przemawia przez jego usta. Chyba nie po to, aby tak tragiczny koniec ich spotkał?

- Nie - stwierdził stanowczo. Nie weźmie daru od Borensona, nawet gdyby gwardzista nie mógł znieść poczucia winy. Zbyt ważna stawka wchodziła w grę: całe królestwo. Nie mógł sobie pozwolić na podobne miłosierdzie, nawet gdyby bardzo pragnął.

Borenson oparł dłonie płasko na ziemi. Była to tradycyjna postawa jeńca, który gotuje się na ścięcie.

- Jeśli nie chcesz mego daru, to zabierz mi życie! - krzyknął.

- Nie zabiję cię - odparł książę. - Ale skoro powierzasz mi swe życie, przyjmuję twą ofiarę i nakazuję ci służyć mi dalej. Pomóż mi pokonać Raja Ahtena!

Borenson zwiesił głowę i znów załkał, aż mu tchu zabrakło. Gaborn nigdy nie widział, aby wojownik tak się zachowywał. Z bólem przyjmował do wiadomości, że mężczyzna może tak cierpieć.

Położył dłoń na ramieniu Borensona, dając mu znak, aby wstał. Ten jednak klęczał i płakał dalej.

- Pani?! - zawołał ktoś.

Dokoła zapadła głucha cisza. Groverman i setka jego wojowników przysunęli się bliżej. Wszyscy byli bladzi i wpatrywali się z przerażeniem w Borensona. Nie wiedzieli, co godzi im się począć. Jeden z rycerzy zawołał Iomę, ale ona ciągle trzymała na kolanach głowę ojca i kołysała ją, prawie nieświadoma tego, co dzieje się tuż obok.

Po długiej chwili uniosła oczy. Pełne łez. Pochyliła się, by pocałować ojca w czoło.

Gaborn pojął, że Sylvarresta do samego końca nie wiedział, że jest jego córką.

Zapomniał o niej albo po prostu nie poznawał, skoro utraciła dawną urodę. To było chyba dla Iomy najtrudniejsze do zniesienia.

Wyprostowała się, spojrzała z góry na swoich rycerzy.

- Zostawcie nas - powiedziała najspokojniej, jak mogła.

Tłum stał zakłopotany. Ktoś zakaszłał. Diuk Groverman wbił oczy w Iomę. Nawet powieka mu przy tym nie drgnęła.

- Moja królowo...

- Nic już nie wskóracie! Nic nie zmienicie!

Gaborn wiedział, że Ioma nie mówi ani o morderstwie, ani o wymierzaniu sprawiedliwości, tylko o wszystkim razem. O Raju Ahtenie i całej tej bezsensownej wojnie. A przede wszystkim o śmierci.

- Ci ludzie... to morderstwo... - zaczął znów Groverman. - Ród Ordenów winien zapłacić za tę zniewagę!

Wedle pradawnego prawa władca był odpowiedzialny za zachowanie swych wasali, tak jak gospodarz odpowiada za szkody wyrządzone przez jego krowę. Wedle prawa Gaborn był równie winny zbrodni jak Borenson.

- Ojciec Gaborna leży tu martwy wraz z dwoma tysiącami jego najlepszych rycerzy

- odparła Ioma. - Jakiej jeszcze ofiary chcesz od rodu Ordenów?

- On nie jest mordercą, chcemy tego, który przed nim klęczy! To sprawa honoru! -

krzyknął jakiś rycerz, uznając Gaborna za niewinnego. Księżę nie znał jego barw: dwie wrony i dąb ponad dzikiem Sylvarrestów.

- Honor, mówisz? Ten rycerz, który klęczy przed Gabornem, to sir Borenson. Wczoraj uratował mi życie. I także życie mego ojca. Zabił Niezwyciężonego, by nas obronić. Pod Longmot. Na rozum równać się może z Rajem Ahtenem. Pomógł wygnać tego łotra z naszego królestwa...

- Ale to było morderstwo! - krzyknął rycerz, potrząsając toporem.

Groverman uniosł rękę i uciszył zapaleńca.

- Mówisz, że to sprawa honoru, i zapewne masz rację - stwierdziła Ioma. - Król Orden, najlepszy przyjaciel mego ojca, sam nakazał nas zabić i kto z was powie, że nie miał po temu prawa? Mój ojciec i ja byliśmy darczyńcami naszego najgorszego wroga.

Kto z was odmówiłby wykonania takiego rozkazu, gdyby role się odwróciły? Mój ojciec oddał dary Rajowi Ahtenowi, myśląc, że to drobiazg. Ja podobnie. Ale wiele drobnych ustępstw składa się czasem na jeden duży błąd. I powiedzcie, czy morduje rycerz, gdy zabija wrogów, gdy wykonuje rozkazy? A może właśnie honoru wówczas broni? - Ioma wstała z dłońmi czerwonymi od

krwi. Łzy płynęły jej po twarzy. Całym sercem nakłaniała do uniewinnienia Borensona, aż Gaborn zastanowił się, czy jego byłoby na to stać w podobnych okolicznościach.

Borenson zaś tylko patrzył otępiały na rycerzy, jakby ich osąd go nie obchodził.

Zabijcie mnie, prosily jego oczy, albo dajcie mi żyć. Po prostu skończmy z tym.

Groverman i jego ludzie nie zbliżali się już, ale i nie odstępowali. Stali w jednym miejscu, niezdecydowani.

Ioma przygryzła wargę. Podbródek tak jej się trząsał, że z wargi aż popłynęła krew, ale tego nie zauważyła. W jej oczach jarzył się gniew. I cierpienie. Nie miała już sił na dalszą dysputę. Jej lud był głodny, czuła się zraniona do głębi serca. W przeciągu dwóch dni straciła całą rodzinę...

Gaborn przeżył coś podobnego, gdy jego matka zginęła w zamachu. A teraz ojciec... Wiedział, jak osamotniona musi się czuć Ioma. Domyślał się, że boleje bardziej niż on...

- Mój panie, królu Ordenie, sir Borensonie - powiedziała ze sztucznym patosem. - Po tym, jak pomogliście nam wielce przez ostatnie dwa dni, proszę, byście stąd odjechali, bo w przeciwnym razie mój lud was zabije. To nasza kraina, a że biedna, nie nadużywajcie naszej gościnności. Wynoście się stąd. W zamian za waszą pomoc daruję wam życie, chociaż moi poddani domagają się surowszej kary. - Mówiła to takim tonem, jakby szydziła z własnego ludu. Gaborn wiedział jednak, że mówi poważnie. W tej chwili miała dość wszystkiego.

- Ruszaj - szepnął Gaborn do Borensona. - Spotkamy się w majątku Bredsfors.

Ku jego uldze Borenson wstał i powlókł się do swego konia. Wykonał rozkaz bez śladu sprzeciwu.

Gaborn podszedł do Iomy, zdjął pancerną rękawicę z prawej dłoni i położył tę dłoń na ramieniu dziewczyny. Zdumiał się, jakie jest wiotkie i kruche pod cienką bawełnianą suknią.

Nie pojmował, jakim cudem równie wątłe barki mogą udźwignąć aż taki ciężar.

Nie była już piękna niczym pierwsza gwiazda wieczorna, ale i szpetota zniknęła.

Jaśniała tylko własną urodą, a Gaborn czuł, że bardziej niż w tej chwili nigdy już jej kochać nie będzie. I nigdy bardziej nie zapragnie jej objąć...

- Kocham cię, wiesz - powiedział. Kiwnęła raz głową. Bardzo słabo. - Przybyłem do Heredonu prosić cię o rękę, moja pani. Wciąż cię pragnę. Chciałbym cię mieć za żonę.

Nie powiedział tego po to, aby utwierdzić Iomę w uczuciach, które dla niej żywi.

To było dla jej ludu. Niech wiedzą. W tłumie rozległo się trochę syków. Ktoś nawet krzyknął:

- Nie!

Gaborn pojmował, że nie jest tu obecnie najmiej widzianym gościem. Ci ludzie nie wiedzieli, ile się natrudził i ile zrobił dla ich wolności. Widzieli jedynie to nikczemne zabójstwo. Nie było żadnych szans, aby przekonali się do niego dzisiaj, chociaż z czasem, kto wie...

Ioma uniosła rękę i uściśnęła lekko jego dłoń, ale nic nie powiedziała.

Gaborn wrócił na szczyt wzgórza, gdzie jego koń rozkopywał śnieg, aby się dostać do słodkiej trawy, i pojechał za Borensonem na południe.

Za jego plecami wyłonił się z tłumu Dziennik księcia i niczym cień podążył za władcą.

59

UZDROWICIEL

Siedząc nad ciałem ojca, Ioma zastanawiała się, czy zdoła przeżyć jeszcze jeden dzień. Wydawało się jej, że opuściły ją wszystkie siły, że uleciała gdzieś cała wola walki. Zupełnie jak ta stracona dwa dni wcześniej uroda.

Gdy wstała, rozpaczliwie zachciało się jej spać. Lub krzyczeć. Zimny śnieg topniał, mokły w nim buty, ostry wiatr przenikał przez cienką suknię.

Obecność poddanych nie uspokajała. Oni chcieli wiedzieć, że mają władcę, który ich obroni, ale Ioma nie domyślała się nawet, jak ich poprowadzić. Brakło jej uroku, by mogła ich za sobą pociągnąć, była słaba i nie znała się na walce.

Bez osłony darów jestem dla nich nikim, pomyślała. Wszyscy Władcy Runów są nikim bez swych darczyńców. Bez ich siły nie są dość ważni.

Drżąc tak na wzgórzu, Ioma musiała uznać, że jej lud nic dla niej nie ma. Nikt nie zaproponował jej szala ani ramienia, by mogła się na nim wesprzeć. Nikt nie ośmielił się podejść. Może uważali, że potrzebuje czasu, aby przeżyć swe cierpienie w samotności.

Jednak Ioma nie chciała być sama w takiej chwili.

Gubiła się w myślach. To nie Gaborn nakazał zabić jej ojca. Wręcz przeciwnie, robił, co w jego mocy, aby utrzymać go przy życiu. Jednak w jakiś sposób Ioma czuła się zdradzona. Może dlatego, że Gaborn nie okazał złości Borensonowi.

Gdyby zabrał jego rozum lub zdjął mu głowę z karku, uznałaby go za okrutnego i zarozumiałego. Niemniej Borenson zasłużył na jakąś karę. Chociaż jaką?

Ku zdumieniu Iomy, to czarnoksiężnik Binnesman pierwszy do niej podszedł. Po godzinie. Podszedł i otulił ją kocem. Przysiadł obok i podał naczynie z gorącą herbata.

- Nie... nie chcę niczego - powiedziała. Gardło miała wciąż ściśnięte, żołądek zawiązany na supeł. - Muszę się tylko wyspać. - Była zbyt słaba, żeby nawet na niego spojrzeć.

Wcisnął jej gorący kubek w dłoń. Wypiła. Już dawno nauczyła się, że Binnesman wie więcej o jej potrzebach niż ona sama. Że potrafi ukoić ból serca równie łatwo, jak leczy rany.

Herbata jakby rozluźniła skurczone mięśnie. Ioma zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, dziwiąc się temu herbacianemu cudowi. Poczwała się, jakby dopiero co obudziła się i wstała z łóżka. Prawie tak, chociaż zmęczenie nie ustąpiło. Tego nawet ta herbata nie potrafiła zmienić. Nie potrafiła usunąć bólu, który zaległ w pobliżu kości.

- I co mam teraz zrobić, Binnesmanie? - spytała.

- Musisz być silna - odparł. - Twój lud potrzebuje twej siły.

- Ale ja nie czuję się silna.

Binnesman nie odpowiedział, tylko otoczył ją ramionami i przytulił, jak robił to jej ojciec, gdy była mała i budziła się z krzykiem ze złego snu.

- Gaborn dodałby ci siłę, gdybyś mu pozwoliła - podsunął czarnoksiężnik.

- Wiem.

W dole większość żołnierzy zaczęła rozbijać obóz. Cienka warstwa śniegu już stopniała i noc nie zapowiadała się chłodna. Tylko część zamku wyglądała na zdatną do zamieszkania. Koszary żołnierzy diuka i jeden z budynków zamkowych wciąż stały, chociaż z zarysowanymi ścianami. Nie było tam miejsca dla tysięcy ludzi, niemniej część z nich zabrała namioty. Miejsca powinno starczyć dla wszystkich.

Jednak gdy namioty wyrastały jeden po drugim, Ioma łowiła co pewien czas niechętnie spojrzenia, słyszała jakieś nieprzyjemne szepty.

- Co ci ludzie powiadają o Gabornie? - spytała.

- Zwykle rzeczy... - stwierdził Binnesman. - Głównie plotki.

- Jakie rzeczy?

- Uważają, że powinien bardziej stanowczo zareagować na śmierć twego ojca.

- Mój ojciec zginął, gdy Raj Ahten odebrał mu rozum. Potem nic już z niego nie zostało.

- Ty jesteś z twardszej materii. Jednak gdybyś zaczęła krzyczeć i domagać się śmierci Borensona, ludziom pewnie by nieco... ulżyło.

- Ulżyło?

- Niektórzy podejrzewają, że to Gaborn nakazał zabić twego ojca.

- Gaborn? Jak oni mogą tak sądzić? - spytała zaskoczona Ioma. Spojrzała w dół, na pole. Obok przeszła stara kobieta z wiązką chrustu, obrzuciła Iomę nieufnym spojrzeniem.

- Mówią, że zrobił to, żeby cię poślubić, zagarnąć twoje królestwo. Inni dodają, że skoro nie pozwoliłaś go zabić, to widać cię już ogłupił i że niebawem wpadniesz w jego zdradliwe pazury.

- Kto mówi takie rzeczy? Jak w ogóle można...

- Nie wiń ich. - Binnesman się uśmiechnął. - To normalne. Ostatnie dni były dla nich ciężkie, a w takiej atmosferze łatwo o podejrzliwość. Zaufać jest trudniej i trzeba na to czasu.

Ioma, oszołomiona, pokręciła głową.

- Czy Gaborn będzie tu bezpieczny? Nic mu nie grozi?

- Biorąc wszystko pod uwagę, niektóre osoby w tej dolinie mogą stanowić pewne zagrożenie.

- Musisz go ostrzec, by trzymał się z dala! - powiedziała Ioma i pojęła, że wciąż ma nadzieję, iż Gaborn wróci wieczorem, że nie będzie musiała zbyt długo znosić rozłąki. - Powiedz mu... że nie możemy się teraz zobaczyć, że to zbyt niebezpieczne. Może z czasem... za parę miesięcy - dodała.

Kilka miesięcy... to byłaby cała wieczność. Za miesiąc, dwa spadną wielkie śniegi i zasypią drogi łączące oba królestwa. Trudno będzie podróżować.

Nie zobaczy zatem Gaborna przed wiosną. Dopiero co najmniej za pięć lub sześć miesięcy.

Omów nie załamała się na tę myśl. Niemniej dla obojga będzie lepiej, jeśli powstrzymają się od pośpiechu, dadzą jej ludowi czas, by sam się przekonał, jak sprawy stoją.

Żaden inny książę i tak jej nie zechce, nie zamarzy o żonie, która była darczyńcą wroga.

Teraz, gdy jej ojciec i król Orden zmarli, w ciągu paru tygodni Bractwo Dni wyda kroniki ich żywotów. Może gdy prawda wyjdzie na jaw, poddani Iomy lepiej pomyślą o Gabornie.

Tutaj jednak pojawiał się nowy problem. Chemoise, przyzwoitka Iomy, była w ciąży.

Do wiosny, kiedy to Ioma znów spotka Gaborna, stanie się to aż nadto widoczne.

Skoro poddani Iomy krzywo patrzą na to małżeństwo, co powie lud Mystarrii?

Gaborn nie krył, że przybył, pragnąc zawrzeć sojusz z bogatym i zbrojnym Heredonem, sojusz, który znacznie wzmocniłby Mystarrię. Raj Ahten zabrał jednak wszelkie bogactwa, zamki opróżnił jak kurniki, księżniczkę pozbawił urody. Ioma nie miała dla Gaborna nic poza uczuciem. I wiedziała, że uczucie rzadko bywa w cenie.

Wciąż żywiła nadzieję, że Gaborn może ją pokochać. Bała się, że tylko się oszukuje, licząc na sojusz. Przecież to głupie... dziecinne... Takie marzenie nieroba, który myśli, że wzbogaci się pewnego dnia, bo deszcz rozmyje ziemię i odsłoni garnek złota zakopany na jego polu.

Za parę miesięcy Gaborn upewni się, że na nic nie może liczyć, i raz jeszcze rozważy sprawę. Wprawdzie powiedział, iż ją kocha, lecz przecież na pewno wie, że miłość nie wystarczy, aby połączyć dwa królestwa.

Gdy tak się zastanawiała, Binnesman patrzył na nią zamyślony i kiwał głową. W końcu zmierzył ją ostrym spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

- Zatem chcesz, bym ostrzegł Gaborna i kazał mu się trzymać z daleka. Coś jeszcze mam przekazać?

- Nic. Oprócz... jest jeszcze sprawa Borensona.

- Co z nim?

- Nie wiem... co z nim zrobić. Zabił mojego ojca, zabił króla. Taki czyn nie może ujść bezkarnie. Jednak on sam czuje się tak bardzo winien, że dokładanie mu jakiegokolwiek kary byłoby okrucieństwem.

Binnesman skinął głową.

- Był taki czas, gdy rycerze, którzy zbłądzili, dostawali szansę naprawienia tego, co uczynili...

60

SKARB ODNALEZIONY

W Komnacie Serca Domu Zrozumienia Gaborn dowiedział się, że istnieją sny i wspomnienia tak raniące, iż umysł nie jest zdolny się z nimi uporać.

Dołączył do Borensona i jadąc w ciszy drogą na południe, do majątku Bredsfor, spoglądał na niego i zastanawiał się, czy rycerz zniesie to, co go spotkało.

Borenson nieustannie kiwał głową, broda mu się trzęsła, jakby chciał coś powiedzieć i nie mógł dobyć głosu. Niemniej ilekroć unosił głowę, spojrzenie miał jakby nieco bardziej przytomne, oczy jaśniejsze i spokojniejsze.

Gaborn przypuszczał, że za parę tygodni, może za miesiąc, gwardzista zapomni o swych czynach. Może zacznie twierdzić, że to jakiś inny rycerz zabił Sylvarrestę albo że król zginął w bitwie, lub po prostu spadł z konia.

I lepiej, żeby zapomniał. Jechali w milczeniu, tylko Dziennik Gaborna pokasływał od czasu do czasu, jakby się przeziębiał.

W końcu Borenson się odwrócił. Wyglądał na niemalże wolnego od trosk, ból musiał zepchnąć gdzieś głęboko. Niemniej był tam, czaił się w zakamarkach umysłu.

- Mój panie, niedawno przejeżdżałem w pobliżu domu myśliwskiego diuka i widziałem ślady raubena. Dużej samicy. Czy zezwolisz, bym zapolował na nią dziś w nocy?

To było wyraźne zaproszenie do konwersacji.

- Nie beze mnie - odrzekł Gaborn. - Zeszłej jesieni przyjechałem do Mroczonej Puszczy, żeby polować na dziki, w tym roku wypadnie uganiać się za raubenami.

Może Groverman zabierze się z nami. Jak sądzisz?

- Ha, nie sądzę - odparł Borenson i splunął. - Nie po tym, co zrobiłem.

I znów coś zamgliło mu spojrzenie. Gaborn spróbował zmienić temat.

- Powiem ci coś: jeśli zabijemy tę samicę raubena, dostaniesz jej uszy do zjedzenia - zażartował. Spożycie uszu pierwszego upolowanego dzika było zaszczytem, ale raubenowie nie mieli uszu, na dodatek byli niejadalni. - Albo przynajmniej wytnę ci z jej boku jakiś kawałek, żeby wyglądał na ucho.

- Och, jesteś nazbyt szczodry, mój panie - zachichotał Borenson niczym wieśniaczka na targu, gdy ją szlachcic obdarzy niezasłużonym komplementem. - Hojny jesteś, panie. Wy wszyscy, władcy, jesteście tacy... pańscy, jeśli można tak powiedzieć.

- Hmm, dzięki, dobra kobieto - odparł Gaborn, naśladowując sposób mówienia markiza Ferecii, znanego pozera. Wysoko zadarł nos, jak zrobiłby markiz, po czym, korzystając z Głosu, dodał: - Niech Moce błogosławią cię, tę szopę, w której mieszkasz, i całe twe zasmarkane potomstwo. Proszę tylko, nie podchodź bliżej, bo do wieczora kichać nie przestanę.

Borenson roześmiał się serdecznie, bo markiz rzeczywiście zanosił się psikaniami, gdy jakiś brudny wieśniak zanadto się do niego zbliżył, chociaż zwykle sama groźba, że szlachetnie urodzony pan zachoruje, trzymała lud z daleka i markiz nie musiał znosić woni ubóstwa.

Był to nieco smętny żart, ale Gaborn nie potrafił zdobyć się na nic więcej. Niemniej i to pomogło. Istniała nadzieja, że kiedyś ich kontakty wrócą do normy.

Dwa tygodnie wcześniej Gaborn wjechał do Heredonu beztrouski, a teraz czuł, jakby cały świat przyszło mu nagle dźwigać na swych barkach. W głębi serca wiedział, że nic już nie będzie nigdy takie samo.

Z wolna pokonywali kilkumilową drogę pomiędzy wzgórzami.

Chmury zaczęły się rozpraszać, popołudniowe słońce topiło śnieg. Milę od Longmot pojawiły się pierwsze kamienne gospodarstwa z całymi strzechami bez śladów ognia.

Zwierzęta zniknęły, ktoś zebrał wszystkie owoce z drzew, ale zabudowania stały nietknięte.

W końcu w niewielkiej dolince ujrzeli dwór Bredsfor: długi budynek z szarego kamienia z dwoma skrzydłami. Za nim widać było stajnie i gołębniki, wozownie, kwatery służby i otoczone murami ogrody. Półkolisty podjazd prowadził między kwietnikami i przystrzyżonymi krzewami pod fronton dworu. Przez dolinę przepływał głęboki strumień, w głębi dolinki spinał jego brzegi biały most. Na stopniach dworu siedziała kobieta w gołębioszarych jedwabkach. Ciemne włosy spływały jej kaskadą na lewe ramię.

Myrrima spojrzała na nich i wstała niespokojnie. Wciąż tak samo piękna jak kilka dni wcześniej. Gaborn niemal zapomniał o wielkim uroku tej dziewczyny.

Borenson pogonił konia i ruszył galopem ze wzgórza.

- Jak... co ty tu robisz?! - zawołał, po czym zeskoczył z konia i Myrrima utonęła w jego objęciach.

Gaborn zatrzymał się w odległości stu jardów. Myrrima śmiała się, łkała i tuliła do Borensona.

- Nie zdążyliśmy do Longmot na czas. Król Orden kazał mi poczekać tu na ciebie.

Och, tak się bałam. Niebo poczerniało, wielki huk zatrzęsł ziemią. Przeciągała wtedy armia Raja Ahtena, szli drogą, więc się ukryłam, ale tak się spieszyli... nawet nie zwolnili...

Gaborn zawrócił konia i odjechał za wzgórze. Chciał, żeby tych dwoje miało chwilę dla siebie. Razem z Dziennikiem przysiadł na chwilę pod wiązem, gdzie ziemia była sucha, bez topniejącego śniegu. Ulżyło mu nieco. Wierzył z jakiegoś powodu, że Myrrima odegra jeszcze jakąś rolę w jego przyszłości i w historii wojen, które nadejdą. Był wdzięczny ojcu, że postanowił ją uratować, odesłał ją z dala od niebezpieczeństwa. Niemniej zazdrościł również mimowolnie obojgu szczęścia, które stało się ich udziałem.

Ioma wciąż była przerażona spotkaniem z Rajem Ahtenem. Szok jeszcze nie minął.

Śmierć jej ojca, a przede wszystkim to, jak zginął, mogła trwale ich rozdzielić.

Gaborn nie wiedział nawet, czy księżniczka zechce z nim jeszcze kiedykolwiek rozmawiać.

Może lepiej, żebym o niej zapomniał, pomyślał. Niemniej jej szczęście było dlań ciągle ważne. Gaborn poczuł się niewyraźnie. Oddychał płytko, drżał. Wojna oboje ich głęboko zraniła, a to i tak był dopiero początek.

Jednak nie możemy poddać się cierpieniu, pomyślał Gaborn. Władca Runów ma obowiązek stawać zawsze pomiędzy swymi poddanymi a niebezpieczeństwem. Musi przyjmować na siebie uderzenia wroga, by o wiele słabszy lud miał szansę przetrwać.

Tak więc, chociaż Gaborn czuł wielki ból, nie płakał ani nie pogrążał się w żałobie.

Tak, jak niedawno ślubował, niewzruszenie stawiał czoło niebezpieczeństwu.

Obawiał się jednak, że wydarzenia tego dnia jeszcze długo będą nawiedzać go w snach.

Dziennik stanął za nim, tuż pod wiązem.

- Brakowało mi ciebie, chociaż nie sądziłem, że to w ogóle możliwe - powiedział młodzieniec.

- A mnie ciebie, wasza wysokość. Domyślam się, że spotkało cię kilka przygód.

Dziennik prosił w ten sposób, aby Gaborn wypełnił puste miejsca w zapiskach Bractwa Dni. Do księcia dotarło, że Dziennik nie ma nawet pojęcia, ile zdarzyło się przez ten krótki czas, gdy byli rozdzieleni. Nie wie o ślubowaniu złożonemu ziemi ani o książce emira

Tuulistanu, ani o tym, że Gaborn się zakochał.

- Powiedz mi coś - poprosił Gaborn. - Podobno w dawnych czasach mężczyźni i kobiety z waszego bractwa zwani byli Strażnikami Snów. Czy to prawda?

- Owszem, dawno temu mówiono tak na nas na Południu.

- Dlaczego tak właśnie?

- Pozwól, że odpowiem pytaniem, wasza wysokość. Gdy śnisz, nie wracasz wtedy czasem w znajome strony, do miejsc nijak ze sobą na jawie nie połączonych?

- Tak. Za pałacem mojego ojca w Mysterrii jest droga, którą czasem jadę we śnie.

Niekiedy wyjeżdżam wtedy nagle na pola za Komnatą Ogniska Domowego, które są przynajmniej czterdzieści mil odległe od pałacu. Albo podążam przez te pola i trafiam nad źródło w Mrocznej Puszczy. To ma jakieś znaczenie?

- To tylko znak, że umysł jest strukturą uporządkowaną, która próbuje nadać sens temu światu.

- Gdzie zatem odpowiedź na moje pytanie?

- W twoich snach są ścieżki, którymi boisz się podążyć - stwierdził Dziennik. - Twój umysł, panie, skrywa przed tobą pewne wspomnienia, ale one ukazują się we śnie.

Pamiętasz takie miejsca?

Gaborn pamiętał. Kiedyś, wiele lat wcześniej, gdy przemierzali z ojcem góry, ten kazał mu przejechać ścieżką biegnącą w wąskiej rozpadlinie o stromych ścianach z czarnego kamienia, między którymi wisały rozpięte pajęczyny.

- Tak.

Dziennik spojrział na Gaborna spod przymrużonych powiek i lekko skinął głową.

- Dobrze, znaczy to, wasza wysokość, że jesteś odważny, bo tylko odważni pamiętają podobne miejsca. Niebawem znów ujrzysz siebie jadącego we śnie, a wtedy podąż takim szlakiem. Być może znajdziesz na jego końcu odpowiedź na swoje pytanie.

Gaborn spojrział z zastanowieniem na Dziennika. Znał tę sztuczkę, wiedział, że można wmówić drugiemu, o czym ma śnić. Umysł stosuje się wówczas do instrukcji, wypełnia polecenie.

- Chcesz wiedzieć, co działo ze mną przez ostatnie trzy dni - powiedział Gaborn.

- Czy to byłoby samolubne, gdybym zachował tę wiedzę dla siebie?

- Kto utrzymuje, że jest sługą swego ludu, nie może mieć samolubnych pragnień.

Gaborn uśmiechnął się.

- Po tym, jak się rozstaliśmy... - zaczął i opowiedział wszystko po kolei, chociaż ani słowem nie wspominał o książce emira.

Trwało to całą godzinę, podczas której rozważał, jak wywiązać się z nowych obowiązków. Do obecnej chwili darczyńcy króla musieli odzyskać już swoje dary, zatem lud Mysterrii dowiedział się o śmierci władcy i niewątpliwie pożył się szczegółów.

Dosiadający graaków mali chłopcy byli już najpewniej w drodze do zamku Sylvarresta. Gaborn winien pilnie się tam się zjawić, wysłać kilka listów do domu. Musi przyszykować kraj do wojny.

Zza pagórka ukazała się Myrrima i niepokoje Gaborna pierzchły. Biodra dziewczyny falowały pod szarym jedwabiem jak wzburzone morze.

Podeszła, położyła dłoń na jego dłoni i pogłaskała ją z uśmiechem, patrząc mu głęboko w oczy.

Niewiele kobiet w ogóle odważyło się dotąd dotknąć go tak poufale.

- Panie - wyszeptała - ja... Twój ojciec był dobrym człowiekiem. I potrafił kochać.

Będzie go nam brakowało. Ja zawsze... czcić będę jego pamięć.

- Dziękuję - odparł Gaborn. - Zasłużył na to. Myrrima pociągnęła go za rękę.

- Chodź do ogrodu, wasza wysokość. Jest piękny. Ukoi twe troski, a tymczasem my z Borensonem przyszykujemy obiad. Winogrona dojrzały, na polu rosną warzywa. W

wędzarni znalazłam szynki.

Gaborn nie jadł od zeszłej nocy. Skinął głową ze znużeniem, ujął rękę dziewczyny i wzięwszy konia za wodze, ruszył w kierunku dworu. Za nimi jechał w milczeniu Dziennik.

Ogród spełnił wszystkie obietnice Myrrimy. Śnieg prawie już stopniał, wszystko było wilgotne i świeże. Po kamiennych murach wspinały się róże i wistarie, wkoło rosły wonne zioła.

Przez łąkę płynął szeroki strumień z głębokimi i kamienistymi zakolami, w których wygrzewały się na słońcu łososie, polujące raz po raz na pszczoły krążące przy kwiatkach tuż nad wodą.

Gaborn prawie godzinę krążył wśród ziół i badał, gdzie co rośnie, choć ten ogród nie mógł się równać z królestwem Binnesmana, ani w połowie nie był tak bujny ni różnorodny. Gaborn wiedział o ziołach tyle, ile przeciętny książę, czyli całkiem sporo, koniec końców znalazł zatem wszystko, co było mu potrzebne: tojad na kratce ustawionej przy południowym murze, nieco tasznika na zainfekowane rany, maki na dobry sen. Ziół była jednak taka mnogość, że przeznaczenia większości z nich w ogóle nie znał.

Wykopywał właśnie korzenie ślazu (dobry na oparzenia), gdy tuż przed obiadem zjawił się w ogrodzie Binnesman. Gaborn był tak zajęty, że z początku go nie zauważył.

- Witaj - powiedział czarnoksiężnik, stając za plecami Gaborna. - Widzę, że zbierasz ziółka?

Zaskoczony Gaborn spojrzał nań i skinął głową, wystraszony, że zaraz się okaże, jak kiepski z niego zielarz. Klęczał przy aromatycznych, ząbkowanych liściach i nagle zwątpił, czy to naprawdę ślaz. A może wszystko pomylił?

Binnesman uśmiechnął się uprzejmie i przyklęknął obok Gaborna, żeby pomóc mu kopać.

- Korzeń ślazu najlepiej pomaga na oparzenia, gdy jest świeży - powiedział. -

Chociaż suszony też można kupić. Niemniej to sok jest ważny, a nie powykręcane gałązki, toteż gdy używa się suszonego, należy go najpierw namoczyć w wodzie. Taki również przynosi pewną ulgę.

Gaborn przestał kopać, ale Binnesman kazał mu wrócić do pracy.

- Zwracaj uwagę na szczyty korzeni, na najgrubsze ich części. Warto, żebyś się nauczył, która część jest najbardziej użyteczna. - Wyciągnął roślinę z ziemi, złamał purpurowo-brązowy korzonek na pół i podsunął Gabornowi pod nos. Trochę soku skapnęło mu przy tym na palce. Czarnoksiężnik wtarł je w czoło Gaborna. - Widzisz?

- Tak.

Zapadła chwila ciszy. Zielarz spojrzał Gabornowi w oczy. Na skórze starca ciemniały zielonkawe plamki, ale szaty wciąż nosił w barwach jesieni, płomieniście rude.

- Myślisz zatem, że mam jakąś wielką moc - powiedział w końcu czarnoksiężnik. -

Ale cała ona pochodzi od ziemi.

- Nie, twoje zioła są znacznie silniejsze niż wszystko, co widziałem w Mysterrii.

- Chcesz poznać ich sekret?

Gaborn skinął głową z niedowierzaniem. Nie sądził, że Binnesman zechce kiedykolwiek podzielić się z nim wiedzą na ten temat.

- Sam siej zioła, mój królu. Zawsze w glebie, którą przekopałeś i użyźniłeś własnymi rękami. Podleważ je własnym potem. Służ im, zaspokajaj wszystkie ich potrzeby, a one szczerze ci odpłacą. Niewielu ludzi, nawet mędrców, pojmuje, że prawdziwą władzę zyskuje się dopiero dzięki wiernej służbie.

- I tylko tyle? Nic więcej?

- Moje rośliny rosną, aby służyć ludowi tej ziemi. Widziałeś, jak nawoziłem je ludzkimi odchodami. Używałem odchodów wielu osób, z różnych pokoleń. Tak więc rośliny służą ludziom.

Nasze losy się przeplatają. Wszystkich. Ludzi, roślin, ziemi, nieba, ognia i wody. To wielość, ale w jedności. A gdy pojmimy, że jesteśmy jednym, zaczniemy stapiać się w Jedną Wielką Moc. Wspólnotę.

Binnesman zamilkł i spojrzał wyczekująco na Gaborna.

- Rozumiesz?

Gabornowi zdało się, że zaczyna coś z tego pojmować, ale tylko trochę.

- W Mysterrii też są ogrody - odparł z braku innej odpowiedzi. - Będę z nimi rozmawiać, nauczę się, co winienem wysiewać. W Domu Zrozumienia powinni mieć wiele różnych nasion.

- Czy mogę zobaczyć twoje ogrody? - spytał Binnesman. - Być może doradzę ci to i owo w kwestii uprawy.

- Zapraszam. Ale ty spędziłeś całe życie tutaj. Nie chcesz zostać w Mrocznej Puszczy?

- Po co? Siedem Kamieni runęło, ostatni obalin jest już martwy. Nie dowiem się nic od niego, nie mogę mu już służyć. Mój ogród został zniszczony.

- A twoja dzika? Co z nią?

- Szukałem jej całe popołudnie, nasłuchiwałem poszeptów traw i drzew. Jeśli chodzi po ziemi, to gdzieś daleko. Będę szukał jej jeszcze we Fleeds i dalej na południe. Może w Mysterrii.

- A lasy?

- Tak, są piękne. Będzie mi ich brakowało. Ale teraz ty jesteś moim królem. Pójdę za tobą.

Dziwnie zabrzmiały te poddańcze słowa. Z tego, co Gaborn wiedział, żaden Strażnik Ziemi nigdy nie ślubował wierności żadnemu królowi. Czarnoksiężnicy byli samotnikami, zwykłe ludzkie zobowiązania ich nie obejmowały.

- To będzie straszne, nie sądzisz? - spytał Gaborn. - Mówię o wojnie. Wiem, że nadchodzi. Czuję poruszenie pod ziemią. Energia przepływa coraz żywiej.

Binnesman skinął głową. Gaborn spojrzał na ziemię i spostrzegł, że czarnoksiężnik stoi boso, chociaż pomiędzy liśćmi leżał jeszcze gdzieś śnieg.

Pomyślał, że pora przejść do sprawy, która dręczyła go całe popołudnie.

- Wspierałem ojca całym sercem. Próbowałem go chronić, służyć mu, podobnie jak Sylvarreście, ojcu Chemoise i Rowanie. Ale zawiodłem. Nie żyją, chociaż wybrałem ich, aby ocaleli. Powiedz mi, Binnesmanie, czego nie dopełniłem?

Czarnoksiężnik spojrzał na Gaborna. Szczerze i otwarcie.

- Nie rozumiesz, mój panie? Nie wystarczy chcieć. Musisz służyć im całą wolą swego umysłu.

Gaborn wyczuł w tej odpowiedzi coś niepokojącego. Zdało mu się, że cały świat się kołysze, że znika oparcie i zupełnie, ale to zupełnie nie ma się czego schwytać.

Przecież kochał swego ojca i Sylvarrestę i walczył jak umiał, aby ich ocalić.

- To moja wina, że Raj Ahten jeszcze żyje - mruknął. - Zbyt cienką sieć uprzedłem jak na tak tłustą muchę. - Uśmiechnął się do tego wyobrażenia.

Jednak było coś jeszcze, co próbował ująć w słowa, co mu umykało. Ta wielka moc, którą posiadał, była dlań czymś nowym. Nie znał jeszcze jej ograniczeń ani powinności, które się z nią wiązały.

Binnesman powiedział mu w końcu coś, co miało ścigać Gaborna już zawsze. Gdy to mówił, umysł młodzieńca zaczął się jakby otwierać.

- Nie rozumiałeś, panie? Wybór towarzysza dla ziemi to nie wszystko. Moce ziemi słabną, ogień rośnie w siłę. Każdy, kogo postanowisz chronić, stanie się celem tym żywszych ataków ognia. A przede wszystkim ogień będzie próbował zgładzić ciebie.

Gaborn aż zdrętwiał, bo czuł, że to prawda. Czuł to przez cały czas, podejrzewał że tak jest. To

była cena za nowe możliwości. Straszna cena. Obdarzając kogoś miłością lub przyjaźnią, naznaczał tę osobę, czynił z niej cel.

- Jak to? Jak więc mogę uczynić cokolwiek? Co komu przyjdzie z tego, że go wybiorę?

- Z czasem nauczysz się wykorzystywać swoje moce - powiedział Binnesman. -

Mówisz, że niewielki z tego pożytek dla innych, i zapewne masz rację. Ale czasem takie niewiele znaczyć może wybór między życiem a śmiercią.

Gaborn zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że kilka rzeczy jednak mu się udało. Uratował Iomę przed Rajem Ahtenem. W Longmot ocalił Borensona. Z

przyczyn, których jeszcze nie pojmował, przyciągnął Myrrimę... Nagle pojął, że gdyby nie wysłał Borensona do domu Myrrimy z ostrzeżeniem przed najeźdźcami w lasach, to cała jej rodzina by zginęła.

W ogóle bez wsparcia Gaborna i jego mocy zginęłoby w ciągu ostatnich dni o wiele, wiele więcej osób. Tak, czegoś dokonałem. Ale to nie dość.

- I co teraz postanowisz, mój panie? - spytał Binnesman, jakby przejrzał jego myśli.

- A co byś doradzał?

- Tyś jest królem, ja ledwie twym sługą, nawet nie doradcą - odparł Binnesman. -

Ziemia będzie ci służyć tak, jak mnie służy. Nie mam pojęcia, co powinieneś uczynić.

- Gdzieś tutaj ukryte zostały dreny - stwierdził Gaborn po namyśle i westchnął.

- Wykopię je. Raj Ahten sądzi, że już je mam, że zacząłem z nich nawet korzystać.

Zanim wróci, dojdzie do tego naprawdę. Być może on stanie się Sumą Wszystkich Ludzi, ja za to będę sumą wszystkich jego najgorszych lęków. Ty znasz wiele dawnych ksiąg. Czy to w ogóle możliwe? Czy Raj Ahten może stać się Sumą Wszystkich Ludzi?

- Nie wszystkich. Zbiera siły, które mają mu zapewnić trwałość. Nie wiem wiele o sztuce Władców Runów, ale mogę powiedzieć jedno: jeśli on pragnie zostać Sumą Wszystkich Ludzi, to zapewne powinien udać się do źródła, dowiedzieć się, jak to się robi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Strażnicy Ziemi są długowieczni. Życie w czyjejś służbie zwykle jest długie, a w takiej służbie szczególnie. Kiedyś, gdy byłem młody, jakieś czterysta lat temu, spotkałem na Południu pewnego mężczyznę. W gospodzie pod przystanią Danvers. Wyglądał na młodego Władcę Runów w podróży. Sto osiemdziesiąt lat temu przybył na Północ i odwiedził

zamek Sylvarresta. Spędził tu lato. W każdym razie sądzę, że to był on. Mieliśmy tamtego roku trochę kłopotów z raubenami i rozbójnikami. Uporał się z jednymi i drugimi.

Potem wrócił na południe.

- Daylan Młot? Mówisz, że Daylan Młot ciągle żyje? Suma Wszystkich Ludzi? Po tysiącu sześciuset latach?

- Mówię tylko, że niewykluczone, iż jeszcze żyje. - Binnesman pokręcił głową w zamyśleniu. -

Mogę się mylić. Nigdy nikomu jeszcze o tym nie opowiedziałem. Może i tobie nie powinienem.

- Dlaczego?

- Nie wyglądasz na szczęśliwego. Jeśli on chowa jakieś tajemnice, powinny pozostać wyłącznie jego.

- Czy szczęście to wszystko? - spytał Gaborn.

- Moim zdaniem tak. To winien być cel twego istnienia. Aby żyć w pokoju i radości.

- Czy zatem błędę, zamierzając walczyć z Rajem Ahtenem jego metodami? Może w ogóle nie powinienem z nim walczyć?

- Walka z nim jest niebezpieczna - przyznał Binnesman. - Nie tylko dla ciebie, ale i dla całego

świata. Gdyby poparł naszą sprawę, ucieszyłbym się. Ale on zostanie twoim wrogiem, a ja nie potrafię orzec, czy na pewno winieneś z nim walczyć. Twoim zadaniem będzie zebranie nasienia człowieczeństwa, ocalenie ludzkości. Sam musisz zdecydować, co zachować, a co odrzucić. Zresztą już to zacząłeś. - Pokazał w stronę dworu, gdzie Borenson i Myrrima krzatali się w jadalni.

Gaborn zadrżał na myśl, że przyjdzie mu teraz osądzać ludzi, jednych ratować, innych skazywać na zagładę. Odda się temu całą duszą, owszem, ale i wtedy nie będzie miał pewności, że uniknie błędów.

- A co z Iomą?

- Myślę, że to dobra kobieta - odparł Binnesman. - Dobrze wyczuwa moce, reaguje nawet na najśłabszy impuls. Lepiej niż ty. Czy ja. Może się okazać cennym nabytkiem.

- Kocham ją.

- No to co tu jeszcze robisz?

- Daję jej czas na żałobę. Obawiam się, że jeśli mnie przyjmie, jej lud może się zbuntować. Nie będą mnie chcieli.

- O jej lud bym się nie niepokoił. Już prędeż o nią. Sądzisz, że ona chce tam być sama, bez ciebie? Myślisz, że ona cię nie kocha?

- Kocha mnie.

- No to ruszaj do niej rychło. Jeśli zastaniesz ją pogrążoną w żalu, to podziel z nią jej ból, a rany szybciej się zagoją.

- To... nie byłby dobry pomysł. Nie teraz. Nie od razu... trochę później.

- Rozmawiałem z nią niecałą godzinę temu - powiedział Binnesman. - Pytała o ciebie.

Chciała zobaczyć się z tobą w jakiejś pilnej sprawie. Jak najszybciej.

Gaborn spojrzał czarnoksiężnikowi w oczy. To byłoby szaleństwo jechać do Iomy teraz, gdy jej lud właśnie okazał mu niechęć. Niemniej, skoro Ioma o niego pytała, to chyba nie bez powodu. Może chciała przedyskutować sprawę sojuszu. Mogła potrzebować pieniędzy na odbudowę zamku. Rodowi Sylvarrestów przydałaby się jakaś pożyczka, zbrojni...

Da jej wszystko, o co poprosi, oczywiście.

- Dobrze. Zobaczą się z nią.

- O zachodzie słońca - podpowiedział Binnesman. - Nie zostawiaj jej samej po zmroku.

Słowa zielarza dodały odwagi Gabornowi. Co za pożytek trzymać czarnoksiężnika za doradcę, jeśli nie słucha się jego mądrych rad?

61

POKÓJ

Gaborn nie wyjechał z majątku przed zmrokiem. Najpierw wykapał się i skropił włosy lawendą, a to zabrało trochę czasu. Ponadto przetarł zbroję miękkimi liśćmi, dzięki czemu wyglądał teraz całkiem dorzecznie.

Wieczorem nadciągnęły chmury i ociepliło się, zupełnie jak pod koniec zwykłego popołudnia w końcu lata. W powietrzu unosił się zapach traw i dębów.

Borenson i Myrrima zostali w majątku. W drodze do Longmot Gabornowi towarzyszyli jedynie Borenson i Dziennik. Pod zamkiem pracowało w zachodzącym słońcu wiele tysięcy ludzi. Ratowali zapasy, które zostały się jeszcze w twierdzy, myli zmarłych.

Całkiem niespodziewanie przybyło też osiem tysięcy żołnierzy z leżącego na północy zamku Derry. Prowadził ich wezwany przez Grovermana diuk Mardon.

Gaborn dotarł do obozu, gdzie przyjazny, jak mu się wydawało, strażnik zaprowadził go do Iomy.

W Heredonie zwyczaj nakazywał, by grzebać zmarłych przed zachodem słońca w dniu ich śmierci, jednak do Longmot ściągali wciąż nowi rycerze i pomniejsi panowie, pogrzebanie Sylvarresty okazało się więc niemożliwe. Podobnie nie pochowano króla Ordena, ale czy czekano z tym z szacunku (by obrządek objął od razu obu przyjaciół), czy też z niechęci, żeby obcy król spoczął w tutejszej ziemi, tego Gaborn nie wiedział.

Tak czy owak, aż nadto wielkie tłumy ciągnęły wciąż, by zobaczyć ciała, oddać ostatni hołd.

Gaborn znalazł Iomę czuwającą przy ojcu. Oba ciała zostały umyte i ułożone na kosztownych kocach rozpostartych na kamiennych postumentach. Earl Dreis leżał na honorowym miejscu u stóp obu monarchów.

Gdy Gaborn to ujrzał, rany w sercu znów mu się otworzyły. Podeszedł do Iomy, usiadł obok niej, ujął jej dłoń. Zacisnęła mocno palce, jakby zależało od tego jej życie.

Głowę miała opuszczoną, spojrzenie kierowała gdzieś przed siebie. Gaborn nie wiedział, czy dziewczyna zamknęła się w sobie i zмага się po cichu z cierpieniem, czy może tylko stara się ukryć twarz, bo nie jest już piękniejsza od przeciętnej kobiety.

Siedzieli tak przez pół godziny, a żołnierze Sylvarresty przechodzili i żegnali się w władcę, poszeptując coś do siebie. Wielu rzucało Gabornowi potępiające spojrzenie, szczególnie gdy zauważyli, że nie kryje, co go łączy z Iomą. On jednak na to nie zważał.

Obawiał się, że Raj Ahten odniósł tu jednak pewne zwycięstwo, że udało mu się wbić klin pomiędzy dwa narody, które od wieków uważały się za zaprzyjaźnione. Daremnie szukał w myślach sposobu, jak by tu zaleczyć tę ranę.

Wraz z nastaniem ciemności wśród kurhanów, na milę wokoło, zaczęły się zapalać ogniska. Do mar podeszedł żołnierz z dwoma pochodniami. Zamierzał osadzić jedną w głowach, drugą w nogach nieboszczyków, ale Binnesman go odsunął.

- Zginęli, walcząc z tkaczami płomieni - powiedział. - Nie byłoby stosowne otaczać ich teraz ogniem. Gwiazdy świecą dziś bardzo jasno, ich blask wystarczy.

Istotnie, niebiosa usiane były gwiazdami jarzącymi się prawie tak wyraźnie jak ogniska w dolinie.

Gaborn pomyślał, że Binnesman robi się sentymentalny. A może lękał się płomieni w tej samej mierze, co ukochał ziemię... Nawet teraz, mimo wieczornego chłodu, wciąż chodził boso, by nie utracić kontaktu ze źródłem swej mocy.

Jednak ledwo odniesiono pochodnie, Ioma zadrżała dziwnie, cała napięta. Zerwała się na równe nogi, uniosła ręce wysoko i spojrzała na okoliczne wzgórza.

- Nadchodzą! - krzyknęła. - Nadchodzą! Uważajcie! Gaborn zastanowił się, czy może brak snu w ostatnich dniach nie sprawił, że zaczęła śnić z otwartymi oczami...

Rozglądała się bowiem wkoło, przepatrywała linię drzew na zachodnich wzgórzach, a oczy lśniły jej z podniecenia.

Księżę nadal niczego nie widział, ale Ioma nie przestawała krzyczeć, na dodatek wyraźnie przerażona zaczęła tulić się do Gaborna, jakby działo się coś zarówno strasznego, jak i cudownego.

Nagle Binnesman zerwał się od ciał obu królów.

- Stójcie! Stójcie! - zawołał. - Wszyscy wracać! Dla własnego dobra zostańcie, gdzie jesteście!

Na setki jardów wkoło, we wszystkich obozowiskach, ludzie spojrzeli ku swojej oszalałej księżniczce, nastawili uszu na krzyki Binnesmana i zaniepokojeni unieśli brwi.

Binnesman objął Iomę ramieniem i przycisnął ją do siebie.

- Istotnie, nadchodzą - szepnął z satysfakcją.

Wtedy z wolna Gaborn też zaczął wyłapywać dolatujące z wielkiej odległości szmery

przesuwające się pomiędzy drzewami. Ich źródło zbliżało się ku zamkowi od północnego zachodu. Był to dziwny dźwięk, rósł i opadał niczym wycie wilków, przypominał

też wycie nocnego wiatru w kominach zimowego zamku ojca Gaborna. Tyle że ten zew niósł ze sobą groźbę.

Gaborn spojrział na zachód i nagle jakby owionął go lodowaty podmuch. Dziwny jednak, bo nawet gałązka, nawet źdźbło trawy nie drgnęły pod jego naporem.

Nie, to nie wiatr, uznał księżę, ale odgłos wielu stóp szeleszczących wśród liści i traw.

Po chwili prócz owego zaśpiewu z lasu doszło go jeszcze słabe granie rogów myśliwskich i naszczekiwanie psów. I ludzkie głosy.

Na odległych wzgórzach zapaliły się pod drzewami blade, szare ogniki. Z lasu wychyły tysiące jeźdźców. Otaczał ich mgławki blask, nawet barwy ich szat wyglądały na spłowiałe.

Jednak Gaborn poznawał te barwy: oto byli dawni władcy Heredonu wraz ze swymi damami, psami, orszakami i giermkami, wszyscy ubrani na wielkie polowanie, z włóczniami na dziki w dłoniach. Za nimi ciągnęło pospólstwo i dzieci, szaleńcy i głupcy, uczeni, dziecienni starcy i marzyciele, panny i damy, cały tłum rolników, paziowie i kowale, tkacze, hodowcy koni i czarnoksiężnicy... Cały naród, a wszyscy w świetnych humorach.

To dziwne wycie, które niosło się po lesie, to był ich śmiech. Wszyscy radowali się, jakby obchodzili wielkie święto.

Duchy Mrocznej Puszczy zatrzymały się tuż pod drzewami na zachodnich wzgórzach.

Stały i spojrzały z wyczekiwaniem na Gaborna i Iomę.

Księżę poznawał niektóre widma z orszaku: kapitanów Derrowa i Aulta, Rowanę i innych jeszcze z zamku Sylvarresta. Imion większości nie znał.

Na czele jechał wielki król, którego Gaborn znał tylko z opisów. Rozpoznał go po złotej tarczy, na której widniał pradawny znak zielonego rycerza.

To był Erden Geboren.

Wraz z nim i za nim jechały tysiące innych władców, władczyń i zwykłych chłopów.

Wielka ciżba zalała wzgórze i doliny.

Widmowy król uniósł oburącz do ust wielki róg myśliwski i zadał weń.

Głęboki dźwięk poniósł się wśród wzgórz i wrócił echem. Wszyscy w obozie śmiertelników umilkli. Erden zadał jeszcze dwa razy, ale już krócej.

Ten sam zew wygrywał w zeszłym roku król Sylvarresta na znak, że należy dosiadać koni, że zaczyna się polowanie.

Wokół Gaborna znów dmuchnęło mrozem. Potężnie i przerażająco.

Księżę zbyt się zląkł, by choć mrugnąć czy się skrzywić. Gdyby to zrobił, chyba zaraz ściągnałby na siebie śmierć. Stał tak w bezruchu, aż przypomniał sobie słowa ojca: „Żaden księżę Mystarrii nie musi się obawiać duchów Mrocznej Puszczy”.

Kątem oka dojrzał, jak duch króla Sylvarresty wstaje z martwego ciała. Usiadł i spojrzał tęsknie na drugą stronę pola, gdzie stali myśliwi. Potem wyciągnął

rękę, chwycił Ordna za ramię i potrząsnął nim, jakby budził go z głębokiego snu. Orden też otworzył oczy.

Obaj wstali i zdało się, że zawołali coś w głąb doliny. Chociaż ich wargi się poruszyły, Gaborn nie słyszał głosu, tylko dziwny jęk, co przemknął nad kurhanami.

Z drugiej strony nadeszła rychło odpowiedź. Pięćdziesiąt stóp od skraju lasu wyjechały z tłumu dwie dostojne damy. Każda wiodła osiodłanego luzaka. Gaborn poznał je od razu. Jedną z nich była królowa Venetta Sylvarresta. Drugą matka Gaborna.

Uśmiechały się promiennie i chyba rozmawiały ze sobą pogodnie, jakby nic innego ich nie obchodziło. Obie wspaniałe, obie szczęśliwe.

Król Sylvarresta i król Orden ujęli się za ręce i ruszyli spokojnym krokiem przez pole. Tak samo, jak wtedy, gdy byli młodzi. Sylvarresta coś opowiadał, może jakiś piętrowy dowcip, bo Orden zaśmiewał się serdecznie i potrząsał głową. Wiatr porywał ich głosy, nie pozwalał rozróżnić słów.

Poruszali się zwodniczo szybko, właśnie jak duchy, jak jelenie gnające skokami przez trawę. Po chwili spotkali się ze swymi żonami, ucałowali je na powitanie i dosiedli swych wierzchowców.

Z całego pola zaczęły ściągać kolejne postaci, by przyłączyć się do łowów.

Załoga obróconego w ruinę zamku. Pod dębem pojawił się ojciec Chemoise i pospieszył na przełaj ku ciżbie.

Gdy rycerze i królowie włączyli się już do gromady, duchy zaczęły ustępować.

Wracały do Mrocznej Puszczy. Ogary ujadały w dali, słychać było znowu słabe śmiechy i krzyki zwiastujące początek polowania. Nade wszystko wybijał się zaś głos rogu Erdena Geborena.

Ojciec Gaborna spojrzał jeszcze z siodła na dolinę, jakby dopiero teraz zauważył żywych rycerzy i ich obozowiska. Na mgnienie skrzywił się, wspominając widać swe życie, obraz cierpień, który powrócił niby zły sen. Zaraz jednak spojrzenie mu się wypogodziło, uśmiechnął się szeroko. Świat śmiertelnych już go nie obchodził. Zawrócił konia i pogalopował do lasu. I zniknął.

Odszedł na zawsze, pomyślał Gaborn. Aż do chwili, gdy będę mógł do niego dołączyć.

Gaborn zapłakał. Nie z bólu czy radości, ale z wielkiego zadziwienia. W zeszłym roku, gdy obozowali podczas łowów w Mrocznej Puszczy, ojciec powiedział mu, że królowie Mysterrii i Heredonu nie muszą bać się duchów Mrocznej Puszczy. Teraz już wiedział dlaczego. To my jesteśmy duchami Mrocznej Puszczy, przemknęło mu przez myśl.

Wielka ciżba poczęła znikać w lesie, ale jeden jeździec został jeszcze na polu. Erden Geboren. Przez długą chwilę spoglądał przenikliwie na Gaborna, po czym pogonił konia.

On mnie widzi, pomyślał książę. Widzi mnie. Serce zabiło mu z przerażenia. Takie spojrzenie zawsze wróżyło śmierć. Każdy to wiedział.

Wielki król płynął przez kurhany niby we śnie. W mgnieniu oka pokonał dzielący go od Gaborna dystans i zatrzymał konia, spoglądając na księcia z góry.

Gaborn uniósł głowę. Duch był bez tarczy, nosił pancerz z zielonej skóry. Hełm miał prosty, okrągły, pradawnego wzoru. Patrzył Gabornowi głęboko w oczy, jakby go rozpoznawał.

Książę wyobrażał sobie, że Erden Geboren pojawi się młody, tak jak opisywano go w dawnych pieśniach, że postawy będzie szlachetnej i dzielnej. Tutaj jednak siedział w siodle mąż mocno postarzały, u schyłku sił.

Erden Geboren wskazał na ziemię u stóp Gaborna. Książę też skierował tam wzrok.

Leżące w trawie suche dębowe liście zaszeleściły i poruszyły się w lekkim podmuchu, potem uniosły się, jakby wessane małą trąbą powietrzną, splotły ogonki i spoczęły na świeżo rozczesanych włosach Gaborna.

Wszędzie wkoło dało się słyszeć zgodne westchnienie mężczyzn i kobiet Heredonu.

Erden Geboren ukoronował Gaborna diademem z dębowych liści. W Mysterrii od niepamiętnych czasów wyróżniano w ten sposób Króla Ziemi, a dziś była wigilia Hostenfest.

W wielkim tłumie na polu poniżej jeden tylko mężczyzna ośmielił się krzyknąć:

- Powitajmy wszyscy nowego Króla Ziemi!

Gaborn spojrzał w oczy widmowego króla, Erdena Geborena, i nagle coś zrozumiał.

Mógł rozkazywać tym duchom. Mógł nakazać im wszystko.

- Skoro uczyniliście mnie swym królem, rozkazuje, i tobie, i twym zbrojnym, byście chronili te lasy - rzucił. - Raj Ahten zbyt wielu ludzi pozbawił już tu żywota.

Dopilnujcie, by nie zabrał ani jednego więcej.

Erden Geboren z powagą skinął głową, zawrócił bladawego konia i odjechał przez pola ku Mroczej Puszczy. Jego wielki rumak płynnie przeskakiwał ogrodzenia i żywopłoty.

Na kilka chwil odgłosy polowania rozbrzmiały z nową siłą, aż ucichły w oddali.

Duchy odeszły.

Zapadła absolutna cisza i wszyscy patrzyli teraz na Gaborna. Wielu z zakłopotanymi minami, jakby nie byli pewni, co właściwie zaszło, lub nawet nie chcieli w to uwierzyć. Inni stali tylko z otwartymi ustami, wciąż niepomiernie zdumieni. Powiadano, że niegdyś Mrocza Puszcza słuchała królewskich rozkazów, służyła władcom. Gaborn pojął, że to duchy praojców stawiały się wówczas na polecenie królów. Teraz znów się pojawiły, jemu posłuszne.

Niemal obawiał się odetchnąć, wiedział, że cokolwiek teraz powie, zapadnie głęboko w pamięć wszystkich obecnych.

Ioma spojrzała na niego ze łzami w oczach. Przez cały czas trzymali się za ręce, jej prawa dłoń w jego lewej, ale teraz ścisnęła palce Gaborna jeszcze silniej. I nagle uniosła rękę.

Wśród zwykłych ludzi w obu królestwach małżeństwo zawierano właściwie tak samo: kobieta i mężczyzna, którzy chcieli się pobrać, stawali przed świadkami i chwyтали się za ręce, a przyjaciele wiązali im nadgarstki białą wstęgą. Potem poślubieni unosili te ręce równocześnie. Razem. Niech każdy widzi...

Tak więc wszyscy pojęli łatwo, co znaczył gest Iomy. Jestem biedną kobietą, która chce wyjść za mąż.

Gaborn uniół lewą rękę jeszcze wyżej.

- Sami widzieliście, że Sylvarresta i Orden odjechali razem, jak przyjaciele! - krzyknął do wszystkich stojących na polu. - Widzieliście sami, że śmierć ich nie rozłączyła! Nie pozwólcie zatem, by stało się to z naszymi narodami!

Wszyscy stali cicho. Nikt nie śmiał się nawet poruszyć.

Diuk Mardon rozbił obóz dwieście jardów od królewskich mar, w dolnej części stoku.

Tuż obok jego stóp płonęło ognisko, oświetlając mu twarz. W ręce trzymał niedawno napełniony złoty puchar.

Był potężnym mężczyzną, bardziej władczy niż ktokolwiek w Heredonie.

Kochanym do tego i podziwianym.

Setki oczu zwróciły się w jego kierunku, jakby szukając wskazówki.

Mardon nie był głupcem. Być może pojmował, że Heredon potrzebuje tego sojuszu.

Może zdążył sobie przypomnieć, jak bogata i potężna jest Mystarria, lub też uznał, że i jemu sojusz z Królem Ziemi może tylko pomóc.

Cokolwiek jednak pomyślał czy skalkulował, nie zdradził się z niczym, tylko niemal natychmiast uniół złoty puchar, pozdrawiając Gaborna, i uśmiechnął się szeroko.

- I co powiesz, pani?! - zawołał.

Ioma znów ścisnęła dłoń Gaborna i obróciła się, by nań spojrzeć. Blask gwiazd migotał w jej oczach.

- Ze strony Sylvarrestów... przyjmuję z ochotą. Diuk Mardon znów krzyknął i uniół wysoko puchar.

- Wychodzi na to, że jednak król Sylvarresta czci tegoroczny Hostenfest polowaniem!

Radujmy się wraz z nim... i jego córką! Podwójny mamy powód do świętowania!

Osuszył szybko puchar i cisnął go w mrok nocy, w kierunku obozowiska własnych oddziałów.

Niech jakiś biedny żołnierz uraduje się cennym znaleziskiem.

Ten gest, bardziej niż jakikolwiek inny, ostatecznie przekonał ludzi i związał Mardona z Gabornem już na zawsze.

Księga 5

DZIEŃ

DWUDZIESTY TRZECI

MIESIĄCA ŻNIW

NASTANIE KRÓLA ZIEMI

EPILOG

Tego wieczoru, gdy Ioma zaręczyła się z Gabornem, ziemskie moce szczególnie ją dręczyły, toteż pożądała go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Może działo się tak za przyczyną jednoczesnej obecności księcia i Binnesmana, promieniujących po równi życiodajną energią. A może zmęczenie sprawiło, że była mniej odporna na magię niż zwykle. Albo i sama wyczuwała moc ziemi rosnącą coraz bardziej w Gabornie. Po cichu go odmieniającą.

Tak czy owak, była wdzięczna swemu ludowi, że zaaprobował zaręczyny, bo gdy Gaborn dotknął tego wieczoru jej dłoni i uniósł ją, wiedziała już, że to ktoś więcej niż tylko człowiek. Jego palce splotły się z jej palcami niczym winorośl. Pomyślała, że nigdy już nie dopuści, by coś ich rozdzieliło, bo gdyby do tego doszło, to życie by się dla niej skończyło. Prawdziwe życie. Szczerze wierzyła, że uszłaby wtedy i umarła.

Tej samej nocy wezwała sir Borensona, aby go osądzić.

Borenson przebył bez szemrania trzy mile i padł u jej stóp, raz jeszcze podstawiając szyję, gotów zapłacić gardłem, gdyby sobie tego zażyczyła. Wkoło zebrały się tysiące rycerstwa i żołnierzy. Targały nimi mieszane uczucia, co Ioma łatwo wyczytywała z ich twarzy. Część chętnie rozszarpałaby Borensona żywcem, inni marszczyli czoła w zamyśleniu i obawie, że pewnego dnia, w podobnych okolicznościach, sami mogą znaleźć się na jego miejscu.

Ioma miała prawo wyjąć gwardzistę spod prawa, pozbawić go stopnia i pozycji, a nawet zarządzić jego natychmiastową egzekucję.

- Sir Borensonie - powiedziała - boleśnie zraniłeś ród Sylvarrestów. Czy masz cokolwiek na swoją obronę?

Borenson tylko pokręcił głową, aż radą brodą zamiótł po ziemi. Nie.

- Zatem sama wypowiem się w twoim imieniu. Wprawdzie zraniłeś ród Sylvarrestów, ale dowiodłeś też, że go kochasz. Służyłeś ludowi Heredonu. - Ioma westchnęła. - Niemniej sprawiedliwość wymaga, by cię ukarać. Słyszałam, że w dawnych czasach wybaczano niekiedy podobne czyny, jeśli oskarżony dopełnił aktu skruchy.

Iomie z trudem przychodziła ta przemowa, chociaż podsunięty jej przez Binnesmana pomysł wydawał się całkiem dobrze pasować do sytuacji. Teraz jednak pomyślała, czy to nie przesada. Akt skruchy winien być wykonalny, winien dawać nadzieję na podbudowanie ducha po przejściu wielkiej próby. A ten mógł doprowadzić człowieka do zguby...

Obawiała się, że wyrok załamię Borensona.

- Skazuję cię na podjęcie wyprawy na południe, do krain za Inkarrą. Poszukasz tam Daylana Młota, Sumę Wszystkich Ludzi, byśmy mogli się odeń dowiedzieć, jak pokonać Raja Ahtena.

Tłum westchnął zaskoczony, zaraz potem rozległy się szepty. Borenson kaszlnął ze zdumienia, spojrział na Iomę, potem na stojącego u jej boku Gaborna.

- Jak? Kiedy? Jestem związany przysięgą z rodem Ordenów.

- Zatem zwalniam cię z tej przysięgi, aż dopełnisz aktu skruchy. Zostaniesz wolnym rycerzem, jeśli tego pragniesz. Panem siebie.

- Jeśli pragnę? - Wyraźnie się zastanawiał. Musiałby udać się do wrogich krajów, stawić czoło niezliczonym niebezpieczeństwom, a wszystko w daremnej nadziei, że odszuka legendarną postać. Zajęcie na całe życie, a może i dłużej, bo dla kogoś z darami metabolizmu czas płynął tak szybko...

Borenson obejrzał się przez ramię na Myrrimę. Gdyby przyjął wyrok Iomy, musiałby zostawić narzeczoną. Być może na zawsze. Myrrima stała blada, też się bała, ale dała mu znak: ledwo widocznie skinęła głową.

- Przyjmuję twój wyrok, pani - odparł niezbyt pewnym głosem i wstał.

Nie nosił już barw Ordenów, nie musiał się zatem przebierać. Odciął jednak rzemienie na tarczy i zdjął okrywającą ją skórę z wizerunkiem zielonego rycerza. Pod spodem jaśniała tylko stalowa blacha przynitowana do drewna.

- Kiedy wyruszysz? - spytał Gaborn, klepiąc Borensona w plecy. Rycerz wzruszył ramionami i spojrzał na Myrrimę.

- Za dwa, góra cztery tygodnie. Zanim śnieg spadnie w górach. Po tym, jak się ożeni, pomyślała Ioma. Dojrzała głęboki namysł w oczach Gaborna. Wiedziała, że najchętniej wyruszyłby z Borensonem.

Jednak obowiązki zatrzymywały go na Północy.

Następnego ranka o świcie Gaborn przygotował wóz, aby zawieźć ciała królów do zamku Sylvarresta. Ojciec Iomy miał tam zostać pochowany, Mendellas Ordena zaś zabalsamowany i przewieziony morzem do Mystarrii.

Wraz ze zwłokami Gaborn załadował cichcem na wóz dziesięć wielkich skrzyń z drenami wykopanymi w ogrodzie majątku Bredsfor.

Wszystko nadzorował osobiście. W obozie o brzasku zaczął się ruch. Tysiące żołnierzy zwijało namioty, podczas gdy inni dojeżdżali wciąż z różnych zakątków Heredonu.

Gdy ładowanie dobiegło końca i gdy sprawdzono już, czy koła i podwozie wozu wytrzymają taki ciężar, Gaborn rozejrzał się wreszcie wkoło. Tuż obok zebrał się mały tłumek. Głównie miejscowych.

- Przyszliśmy, by o coś spytać - powiedział żyłasty rolnik. - Czy zechcesz, panie, wziąć od nas nasze dary?

- A dlaczego przyszliście z tym do mnie?

- Boś ty naszym królem - odparł młodzieniec z gromady.

- Ty masz złoto, możesz zapłacić - wyjaśnił rolnik. - Nie chcemy wiele, tyle tylko, by starczyło dla naszych rodzin, żeby przetrzymały zimę. Silny jestem. Całe życie pracowałem.

Mogę sprzedać moją krzepę. A mój syn, ten tam, nawet dnia nie chorował. Możecie go wykorzystać.

Gaborn pokręcił głową ze smutkiem.

- Złoto znajdzie się i bez sprzedawania darów. - Uniósł głos, tak by wszyscy go dosłyszeli. -

Będę potrzebował ludzi do odbudowy tej fortecy. Zapłacę wam dobrze za pracę. Przeprowadźcie tu rodziny na zimę i zamieszkajcie w tych budynkach, co ocalały.

Wszyscy dostaniecie i chleb, i wołowinę dla waszych dzieci. - Pomyślał, że mógłby obiecać im jeszcze więcej: żołądź i grzyby, sarninę i dziczyznę, wszystkie owoce lasów i pól.

- Będziecie mogli dzielić czas pracy. Trochę tutaj, trochę na swoim, żeby odbudować własne domy. Nie kupuję darów od ludzi w potrzebie.

- A co z pozostałymi, którzy też chcą walczyć? - spytał pewien posunięty w latach mężczyzna. - Nie mam rodziny. Za stary jestem, żeby machać młotem. Ale możesz zabrać mój rozum. Jest sprawny, jak kiedyś. Jeśli można, będę wojować w ten sposób.

Gaborn ogarnął zgromadzenie wzrokiem. Od takich, i tylko od takich właśnie ludzi, gotów był przyjmować dary. Ludzi, którzy wiedzieli, że nadchodzi wojna, i chcieli być jak najbardziej przydatni. Niemniej wolał z tym poczekać do wiosny albo i dłużej. Pamiętał wciąż, że Raj Ahten nie odszedł daleko, ponadto zawsze mógł przysłać zabójców. Ci ludzie potrzebowali władcy, a Gaborn potrzebował ich wsparcia.

- Kto jeszcze z was myśli tak samo jak ten człowiek? - spytał.

- Ja! - odezwało się jednym chórem z piętnaście głosów, tak męskich jak i żeńskich.

Tego dnia Gaborn i Ioma ruszyli w towarzystwie pięciuset władców i rycerzy z powrotem do zamku Sylvarresta.

W każdej wsi czy mieście zwalniali, a heroldowie ogłaszali przybycie Króla Ziemi, Gaborna Val Ordena i jego przyszłej żony, Iomy Sylvarresty. Wieść o pojawieniu się nowego Króla Ziemi zdążyła rozejść się po całym Heredonie i przenikała obecnie z wolna do sąsiednich państw, do Fleeds i Crowthenu Południowego.

Przed królem i królową jechał czarnoksiężnik Binnesman, z gałązką dębową w dłoni.

We wszystkich wsiach dzieci patrzyły na Gaborna, na młodego króla, zdumione i uśmiechnięte. Drewniane podobizny Króla Ziemi zdobiły drzwi i okna każdego domu i dzieci miały się z czego cieszyć. To był pierwszy dzień Hostenfest, wiedziano już powszechnie o odparciu Raja Ahtena, a na dodatek po raz pierwszy od tysiąca sześciuset dwudziestu dziewięciu lat znowu pojawił się Król Ziemi i udzielał błogosławieństw swemu ludowi, podobnie jak jego wielki poprzednik.

Stojący wśród dzieci dorośli też machali rękami, wielu miało twarze mokre od łez.

Niektórzy z nich rozumieli, że Król Ziemi zjawiał się nie bez przyczyny, poważnej przyczyny, że czekają ich czasy cięższe niż wszystko, co pamiętano od wieków.

Gdy Gaborn przejeżdżał obok pewnej gospody, oberżysta podszedł do rzeźby przy drzwiach, zdjął jej misterną koronę uplecioną z dębowych gałązek i podał ją królowi, by ten ją nałożył na skronie. Od tej chwili wszyscy poddani ściągali dębowe liście z głów figur i rzucali je Gabornowi do stóp, wraz z kwiatami.

Wprawdzie ludzie nie rozumieli znaczenia tego gestu, niemniej mijając kolejne, ubogie domy, Gaborn patrzył na krzepkich rolników, ich żony i dzieci, jakby chciał w nich czy przez nich coś dojrzeć. Potem uśmiechał się leciutko, unosił lewą rękę w geście błogosławieństwa i wymawiał cicho kilka stosownych słów.

- Wybieram cię. Wybieram was razem i z osobna dla ziemi. Niech ziemia was chroni.

Niech was kryje i uzdrawia. Niech uczyni was swoimi!

Gdy to mówił, cierpiał na myśl, że może kogokolwiek z nich stracić. Tak zaczął zbierać nasienie przyszłej ludzkości, dobierać sobie naród.

Nie ujechali jeszcze dwudziestu mil, gdy żołnierze zwrócili uwagę na dziwne zjawisko: wszystkie dęby w puszczy straciły przez noc liście. Ci, co jechali tą samą drogą poprzedniego wieczoru, pamiętali dobrze, że jeszcze niewiele godzin wcześniej liście były na gałęziach.

Gdy wspomnieli o tym czarnoksiężnikowi, Binnesman powiedział:

- Dęby czynią tak z szacunku dla nowego króla.

I rzeczywiście, wszystkie dęby w całej Mroczej Puszczy w jedną noc zrzuciły liście.

Niedługo później zdarzyło się jednak coś, co jeszcze bardziej zdumiało Gaborna. Z

lasu wyjechał nagle jakiś mężczyzna. Dosiadał wspaniałego, cesarskiego zaiste rumaka, nosił

szaty ze złocistego jedwabiu. Był stary, gruby i śniady. Gdy cisnął na ziemię wysadzany klejnotami sztylet, Gaborn poznał go: to był doradca Raja Ahtena, który wraz z nim dotarł do Siedmiu Kamieni.

- Wszyscy witają Króla Ziemi! - zawołał przybysz z chropawym akcentem, złożył dłonie pod brodą i skłonił się głęboko.

- Znam cię. Już się spotkaliśmy - powiedział Gaborn.

- Moje życie należy do ciebie, panie - odparł doradca. - Zabierz je, jeśli chcesz. Albo, jeśli pozwolisz, będę ci służył. Nazywam się Jureem.

Gaborn wpatrywał się przez chwilę w twarz przybysza.

- Bardzo długo dawałeś posłuch sługom ognia. Jak mogę ci wierzyć?

- Byłem niewolnikiem, synem niewolnika, wasza wysokość. Mój ojciec uważał, że służba innym to najzaszczytniejszy obowiązek każdego człowieka, a dobry sługa to taki, który odgaduje życzenia swego pana. Jeśli jeszcze tego nie uczyniłeś, to błagam cię, byś wysłał posłańców do Indhopalu. Niech zainoszą wieść, że Król Ziemi pojawił się w Heredonie i Raj Ahten przed nim ucieka. Powiedz też ludom, że Raj Ahten walczy z mocami ziemi, aby zniszczyć królestwa Rofehavanu. W Orwynne dwieście tysięcy zbrojnych obiegło stolicę.

Mają rozkazy, aby blokować miasto i ściągnąć na siebie uwagę obrońców, by nikt stamtąd nie ruszył na pomoc Heredonowi. W twojej ojczyźnie, Mystarrii, do dzisiaj najpewniej padły już trzy z południowych zamków. Podam ci imiona władców, którzy je opanowali. Sądzę, że Raj Ahten nie wróci jeszcze do siebie, lecz zostanie w tych warowniach, by stamtąd uderzyć w nowej kampanii. Powiem ci też, w których zamkach Raj Ahten trzyma swoich darczyńców, podam imiona i opiszę najważniejszych pośredników. Wyjawię wszystko, co mój pan zapraśnie wiedzieć. Bo i ja będę od teraz służył ziemi. Wielką bitwę wygrałeś, wasza wysokość, ale to dopiero początek.

Gaborn zdumiał się.

- Myślisz, że jeśli posiej zamieszanie na jego ziemiach, to będzie musiał się wycofać?

Jureem pokręcił głową.

- Sądzę, że nie zechce się wycofać, ale takie wieści napełnią go niepokojem.

Myślę, że jeśli pozwolisz, najjaśniejszy panie, to będę mógł ci pomóc w tej wojnie na miarę moich skromnych możliwości. Oddaję ci się na służbę.

- Sam jesteś panem swego życia - powiedział Gaborn. - Nie trzymam niewolników, ale przyjmuję cię na służbę.

Przez dłuższy czas jechali potem obok siebie, planując kolejne posunięcia.

Wieczorne przybycie Gaborna do zamku Sylvarresta zmieniło się w wielkie święto.

Jadący przodem jeźdźcy uprzedzili, że król i królowa zbliżają się do bram. Po złożeniu króla Sylvarresty obok żony wydano wielką ucztę.

Późnym wieczorem zjawiono się w zamku kilka tysięcy żołnierzy z Orwynne. Wiódł ich stary i korpulentny król Orwynne.

Na widok Gaborna zalał się łzami, padł na kolano i skłonił się nisko.

- Dziękuję - wykrztusił wśród łkań.

- Cóż takiego uczyniłem, że zasłużyłem sobie na twe podziękowanie? - spytał Gaborn.

- Jeszcze wczoraj wieczorem dwieście tysięcy żołnierzy oblegało moje zamki na rozkaz Raja Ahtena. Myśleliśmy, że już po nas. Tyś przysłał nam pomoc.

Gaborn wolałby nie słyszeć reszty opowieści o tym, jak duchy wyszły z Mrocznej Puszczy i zrobiły, co im rozkazał. Jednak musiał.

- Wszyscy ludzie Raja Ahtena zginęli?

- Wszyscy, których dało się dojrzeć z lasu - odparł triumfalnie Orwynne.

Na tę wiadomość wielu obecnych zaczęło wiwatować, ale Gaborn poprosił ich o ciszę.

- Nie ma co cieszyć się głośno ze śmierci tych ludzi - mruknął. - Pada ona cieniem i na nas. W ciężkich czasach, które nadchodzą, będziemy potrzebowali takich ludzi.

Tej nocy Gaborn nie mógł zasnąć. Poszedł do ogrodu Binnesmana. Drzewa i kwiaty zmieniły się w szary popiół, ale pod spodem pulsowało życie. Nasiona i korzenie nabrzmiały już sokami. Choć ogień spustoszył to miejsce, wiosną znów miało się zazielenić.

Na równinach Fleeds, daleko od granic Mrocznej Puszczy, oddziały Raja Ahtena ruszyły galopem na południe. Po całym dniu jazdy napotkały wreszcie resztki armii Vishtimnu, biwakujące pod wielką, skalną iglicą.

Władcy Klanów Fleeds odkryli przemarsz wielu tysięcy zbrojnych przez pustkowia i w obawie, by nie zaatakowali zamku na Tor Bilius, kazali otoczyć obce wojska.

Zabili około osiemdziesięciu tysięcy ludzi.

Raj Ahten przerwał okrążenie. Gdy pojawił się przed wojownikami klanów, wielu z nich zdołał nakłonić do służby pod swoimi sztandarami. Tego dnia przyłączyło się doń trzydzieści tysięcy ludzi, jednak wielu innych nadal miało go za wroga i nie ustawało w walce.

Ich wodzem był król Connel ze swymi dzielnymi wojownikami, który atakował raz za razem, aż jego wojsko skruszyło wszystkie kopie, a porąbane tarcze rozpadły się na kawałki.

Niemniej Connel i wtedy walczył, jak mógł, wymachując toporem i sztyletem.

O zachodzie słońca Raj Ahten rzucił go żywcem swoim olbrzymom, po czym stał przez długi czas i wpatrywał się w to, co zostało z jego armii. Zamyślony spojrzał na północ, jakby nie mógł się zdecydować.

Podobno niektórzy słyszeli, jak przeklinał pod nosem, widzieli, że drżał cały, miotany wściekłością i strachem. Inni twierdzili, że stał tylko zadumany. Mając tyłu ludzi pod bokiem, odczuwał pokusę, by zawrócić do Heredonu, uderzyć na Króla Ziemi już teraz i zakończyć sprawę.

W końcu jednak odwrócił się plecami do północy i skierował się ku góróm.

Trzy noce po upadku Longmot Gaborn i Ioma pobrali się w zamku Sylvarresta.

Ceremonia była okazała, zgromadziła tysiące panów z pobliskich krain. Ioma nie włożyła welonu, a jeśli Gaborn cieszył się jakoś szczególnie, że jego damie wróciła uroda, to nijak tego po sobie nie okazał. Nie stracił dla niej serca, gdy zbrzydła, więc i późniejsza odmiana nie dodała mu skrzydeł.

W noc poślubną dotrzymał obietnicy. Udowodnił, że w łóżnicy nie musi być nazbyt dworny, w każdym razie nie bardziej, niżby Ioma pragnęła.

Tej nocy, gdy skończyli się kochać, Ioma leżała przez długi czas z dłonią na łonie i zastanawiała się, jakie to dziecko zacznie od jutra nosić. Wiedziała bowiem, że właśnie stała się brzemienna. Ziemskie moce wezbrały w Gabornie tak bardzo, że każde rzucone przez niego nasienie musiało wezbrać owocem.

Borenson i Myrrima pobrali się tego samego dnia, ale z mniejszym przepychem.

Następnej nocy, gdy sierp księżyca rozjaśnił niebo nad zamkiem Sylvarresta, Gaborn, Borenson i pięćdziesięciu wolnych rycerzy dosiedli rumaków i luźną kupą ruszyli do Mrocznej Puszczy. Zabrali ze sobą włócznie - zamierzali zapolować na raubenów.

Wyruszyli z ochotą i zapałem. Obiecali sobie, że to będzie pamiętne polowanie.

Binnesman pojechał z nimi, bo chciał zdobyć rzadkie minerały, które występowały tylko w Mrocznej Puszczy. Niegdyś wydobywali je śniadzi, bo była w nich magia głębin ziemi i mogły nadać rzadkie właściwości broni, którą miecznicy Króla Ziemi mieli wykucć tej zimy.

O tym, jak przebiegało to polowanie, niewiele potem mówiono, niemniej Król Ziemi, jego czarnoksiężnik i paru ledwie rycerzy wrócili świtem trzy dni później, w ostatni i najważniejszy dzień Hostenfest. Dzień wielkiej uczty.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleźli znacznie więcej, niż szukali. W dawnej kopalni śniadych trafili na dwadzieścia siedem młodych i wielką samicę, maga raubenów.

W bitwie zginęło czterdziestu jeden rycerzy.

Borenson sam zabił samicę w jej legowisku. Wracając, ciągnął za koniem trofeum myśliwskie: masywną głowę maga. Zostawił ją potem na błoniach przed zamkiem, żeby każdy mógł obejrzeć ten wielki i pokryty szarą skórą łeb. Miał prawie sześć stóp długości, cztery wysokości. Przypominał głowę mrówki czy innego owada, tyle że nie miał

oczu, uszu ani nosa, jedynie włosy czuciowe zwieszające się niczym szare pijawki na potylicy i w pobliżu pyska.

Rząd kryształowych zębów robił wielkie wrażenie przede wszystkim na chłopach i dzieciach. Wielu bało się nawet dotknąć sztywnych warg. Zębów tych było parę tysięcy, wyrastały w siedmiu rzędach, jak u rekina. Były tak samo ostre, ale przezroczyste i twarde jak kwarc. Podobnie jak czaszka raubena.

Pod zamek ściągali tysiące wieśniaków pragnących obejrzeć łeb potwora. Dzieci piszczały, bo bardzo chciały go dotknąć, kobiety gapiły się na niego z rozdziawionymi ustami i chichotały. Starsi patrzyli bez słowa, w zamyśleniu.

To był pierwszy rauben, którego napotkano w Mrocznej Puszczy od prawie tysiąca siedmiuset lat. Wielu z tych, którzy przyszli obejrzeć łeb, sądziło, że nigdy w życiu nie ujrzą już następnego.

Mylili się jednak. Ten rauben nie był ani ostatni, ani jedyny.

Document Outline

- ??
 - ??
 - ??

Table of Contents

